



AUTORKA TRYLOGII GRISZA
LEIGH BARDUGO

KRÓLESTWO KANCIARZY

KIEDY NIE MASZ SZANS NA WYGRANĄ,
ZMIEN ZASADY GRY.

KONTYNUACJA
SZÓSTKI WRON

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Griszowie

Mapy

Część pierwsza. Potępiony

1 Retvenko

2 Wylan

3 Matthias

4 Inej

Część druga. Zabójczy wiatr

5 Jesper

6 Nina

7 Inej

8 Matthias

9 Kaz

10 Jesper

Część trzecia. Cegła po cegle

11 Inej

12 Kaz

13 Nina

14 Wylan

15 Matthias

16 Jesper

Część czwarta. Niezapowiedziany gość

17 Inej

18 Kaz

19 Matthias

20 Inej

21 Kaz

22 Nina

23 Wylan

Część piąta. Królowie i królowe

24 Jesper

25 Matthias

26 Kaz

27 Inej

28 Jesper

29 Nina

30 Kaz

31 Wylan

32 Inej

Część szósta. Działanie i echo

33 Matthias

34 Nina

35 Inej

36 Jesper

37 Kaz

38 Matthias

39 Nina

40 Matthias

41 Wylan

42 Jesper

43 Kaz

44 Inej

45 Pekka

Obsada

Podziękowania

LEIGH BARDUGO

KRÓLESTWO
KANCIARZY

PRZEŁOŻYŁ
WOJCIECH SZYPUŁA

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2017

*Dla Holly i Sarah, które pomagały mi budować;
Noa, który pilnował, żeby ściany nie runęły;
i Jo, która czuwała, żebym ja również nie upadła.*



GRISZOWIE

ŻOENIERZE DRUGIEJ ARMII
MISTRZOWIE MAŁEJ NAUKI

SOMATYCY

(Zakon Żywych i Umarłych)

Ciałobójcy
Uzdrowiciele

ETERYCY

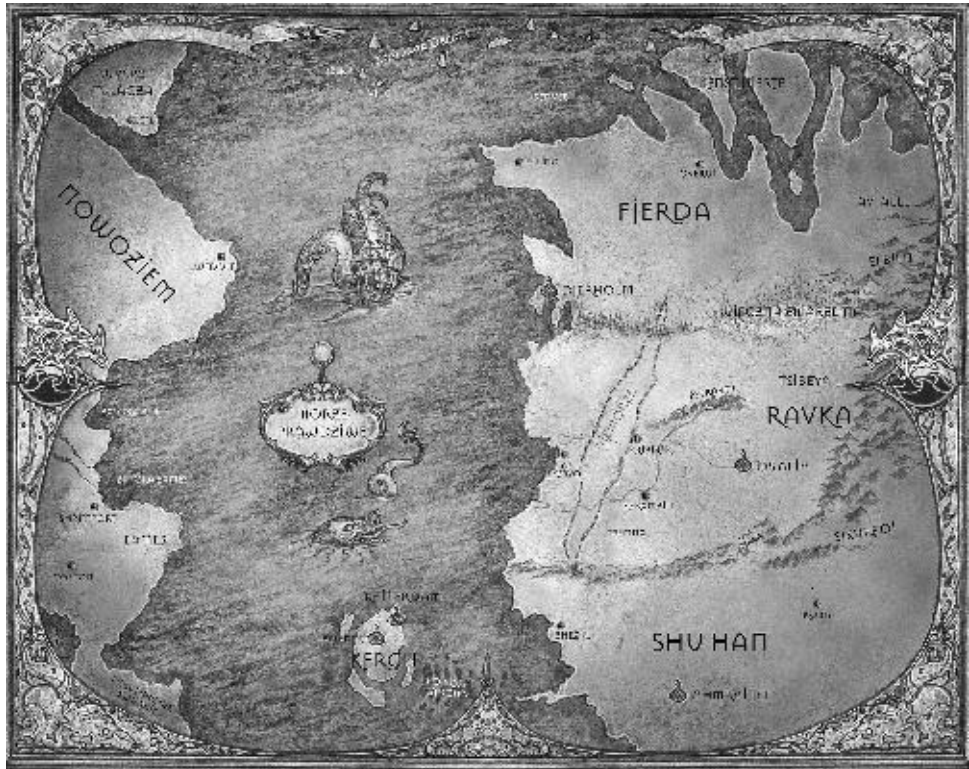
(Zakon Przywołujących)

Szkwałnicy
Piekielnicy
Akwatycy

MATERIALNICY

(Zakon Fabrykatorów)

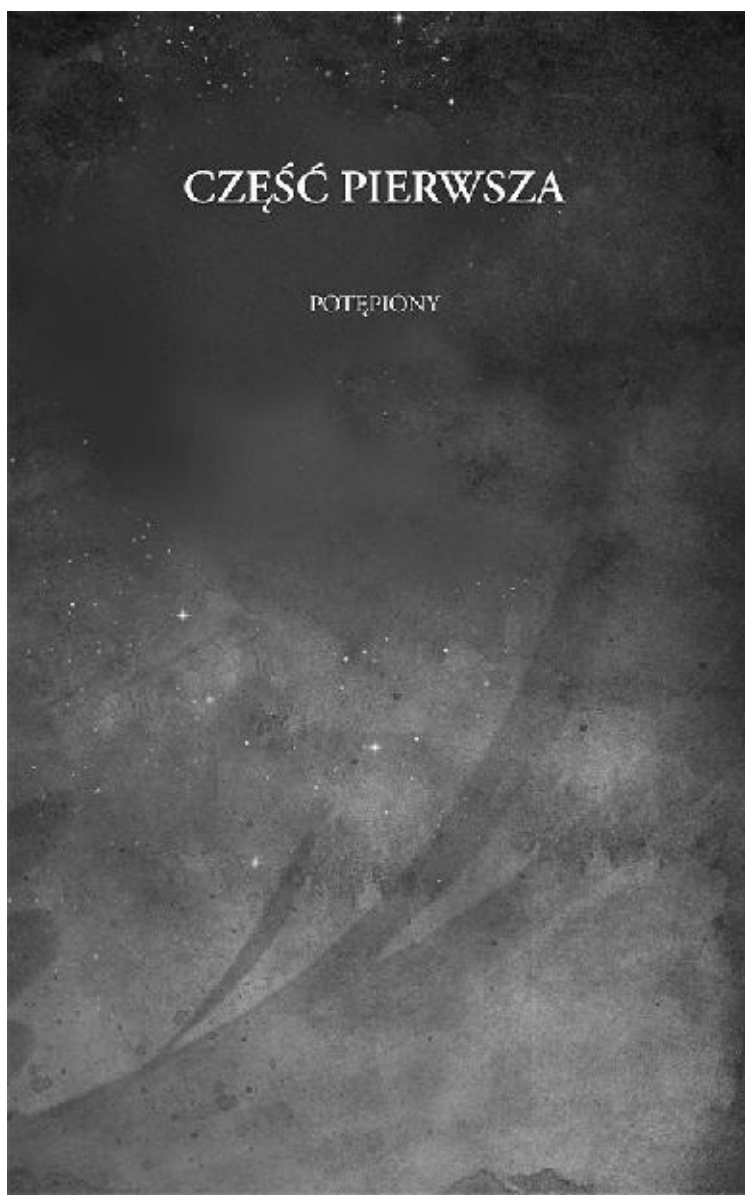
Substantycy
Alchemiści





CZEŚĆ PIERWSZA

POTĘPIONY





Retvenko oparł się o kontuar i wetknął nos do brudnej szklaneczki. Whisky jakoś go nie rozgrzewała. W tym zapomnianym przez świętych mieście nic nie było w stanie człowieka rozgrzać. A na dodatek nie sposób było uciec od smrodu, dławiącego w gardle zapachowego koktajlu z mały, wody z zęz i mokrych kamieni, który zdawało się przenikał przez pory w głąb skóry, jakby brodziło się w esencji miasta niczym w filizance najgorszej na świecie herbaty.

Najgorzej było w Baryłce, szczególnie w takiej żałosnej speluncie jak ta – norowatej tawernie wciśniętej w parter jednej z najbrudniejszych czynszówek w slumsach. Byle jak wzniesiony strop obwisł pod wpływem niesprzyjającego klimatu, a belki poczerniały od sadzy z kominka, który od dawna nie działał, odkąd śmieci zatkały przewód kominowy. Rozsypane na podłodze trociny chłoneły rozlane piwo, wymiociny i inne płyny, nad którymi klienci nie zdołali zapanować. Ciekawe, kiedy ostatnio ktoś tu zamiatał, pomyślał Retvenko i wsadził nos jeszcze głębiej w szklanę, żeby ponapawać się słodką wonią kiepskiego alkoholu. Wyciskała łzy z oczu.

– To się pije, nie wciąga. – Barman parsknął śmiechem.

Retvenko odstawił szklanę i zmierzył go spojrzeniem przekrwionych oczu. Szeroka pierś, gruby kark – prawdziwy zabijaka. Retvenko nieraz widział, jak wyrzucał za drzwi awanturujących się klientów, trudno jednak było go traktować poważnie, gdy ubierał się zgodnie z nedorzeczną modą obowiązującą młodych mężczyzn z Baryłki: w różowej koszuli z rękawami tak opiętymi na potężnych bicepsach, że omal nie pękły, i kamizelce w krzykliwą czerwono-pomarańczową kratę wyglądał jak wysztafirowany krab.

– Powiedz no mi... – zagaił Retvenko. Jego kercheński, który na co dzień pozostawiał wiele do życzenia, po paru głębszych był jeszcze gorszy. – Dlaczego to miasto tak cuchnie? Jak zepsuta zupa; jak zlew pełen niepozmywanych naczyń...

Barman się roześmiał.

– Taki już jest Ketterdam. Przyzwyczaisz się.

Retvenko pokręcił głową. Nie chciał się przyzwyczajać do tego miasta i jego smrodu. Praca dla radnego Hoede była nudna, ale przynajmniej mieszkał w suchych i ciepłych pokojach; jako cenny grizsa kontraktowy mógł liczyć na wszelkie wygody i zawsze miał pełny brzuch. Wtedy przeklinał Hoedego w duchu, miał serdecznie dość nadzorowania transportu jego bezcennych morskich ładunków i nie podobały mu się warunki kontraktu, niemądrej umowy, która pozwoliła mu się wyrwać z Ravki po zakończeniu wojny domowej – ale dzisiaj? Dzisiaj nie mógł się opędzić od myśli o pracowni griszów w domu radnego, o ogniu płonącym wesoło w kominku, o brązowym chlebie podawanym z osełką masła i grubymi plastrami szynki. Po śmierci Hoedego Kercheńska Rada Kupiecka pozwoliła Retvence brać udział w rejsach, żeby w ten sposób mógł wykupić swój kontrakt. Pieniądze były żałosne, ale czy miał inne wyjście? W obcym mieście był zwykłym szkwalnikiem pozbawionym wszelkich umiejętności, któremu został tylko przyrodzony dar.

– Jeszcze? – Barman skinął na opróżnioną szklaneczkę.

Retvenko się zawahał. Nie powinien szastać pieniędzmi. Gdyby nimi rozsądnie gospodarował, wystarczyłoby się nająć do pracy jeszcze na jeden rejs, góra dwa, żeby mógł wykupić swój kontrakt i nabyć bilet trzeciej klasy na statek płynący do Ravki. Niczego więcej nie potrzebował.

Za niecałą godzinę miał się stawić na przystani. Zapowiadano sztorm, więc załoga statku będzie na niego liczyć, że okiełzna morskie prądy i doprowadzi statek bezpiecznie do portu docelowego. Nie wiedział, jaki to będzie port – i nic go to nie obchodziło. Kapitan poda współrzędne, a on, Retvenko, wypełni żagle wiatrem albo poskromi niebiosa. Po czym odbierze wypłatę. Na razie jednak wiatr się nie wzmagał; może uda się przespać pierwszą połowę rejsu.

Postukał w kontuar i skinął głową. Cóż innego mu pozostało? Zasłużył na odrobinę otuchy.

– Nie jestem chłopcem na posyłki – mruknął pod nosem.

– Że co? – zainteresował się barman, napełniając mu szklanekę.

Retvenko zbył go machnięciem ręki. Taki pospolity prostak i tak go nie zrozumie. Robił swoje, harował niezauważony przez nikogo – w nadziei na co? Parę miedziaków ekstra? Życzliwe spojrzenie ładnej dziewczyny? Nie miał pojęcia, co to bitewna chwała i uwielbienie tłumów.

– Jesteś z Ravki?

Retvenko otrząsnął się z wywołanej działaniem whisky mgiełki.

– A co?

– Nic. Po prostu masz ravkański akcent.

Retvenko w duchu nakazał sobie spokój. Mnóstwo Ravkańczyków przybywało do Ketterdamu w poszukiwaniu pracy. A on nijak nie wyglądał na griszę.

Własne tchórzostwo napełniło go niechęcią do samego siebie, do barmana, do całego miasta.

Miał ochotę po prostu posiedzieć i spokojnie sączyć drinka. W barze nie było innych klientów, nikt nie mógł go znieacka zaskoczyć, a z barmanem – choć nie zamierzał

lekceważyć jego mięśni – w razie konieczności z łatwością by sobie poradził. Kiedy jednak był grzeszą, nawet stanie nieruchomo mogło być proszeniem się o kłopoty. Ostatnio sporo mówiło się w Ketterdamie o zaginięciach: griszowie znikali z ulic i własnych domów, prawdopodobnie uprowadzeni przez handlarzy niewolników i przeznaczeni do sprzedaży temu, kto zaoferuje najwyższą cenę. Ale jemu się to nie przytrafi, o nie. Nie teraz, kiedy jest tak blisko powrotu do Ravki.

Jednym haustem dopił whisky, rzucił monetę na kontuar i wstał ze stołka. Nie zostawił napiwku. Każdy musi zapracować na swoje utrzymanie.

Wyszedł z tawerny na nieco chwiejnych nogach; odór wilgotnego powietrza niezbyt mu pomógł. Ze zwieszoną głową powłókł się do Czwartej Przystani z nadzieją, że spacer rozjaśni mu w głowie. Jeszcze dwa rejsy, powtarzał sobie w duchu. Jeszcze kilka tygodni na morzu, kilka miesięcy w tym mieście. Jakoś to znieśie. Zastanawiał się, czy w Ravce będą czekać na niego jacyś starzy przyjaciele. Młody król rozdawał ponoć ułaskawienia jak tanie cukierki, tak mu śpieszno było do odtworzenia Drugiej Armii złożonej z griszów i zdziesiątkowanej podczas wojny.

– Jeszcze dwa rejsy – powiedział na głos sam do siebie, przytupując, by się rozgrzać i otrząsnąć z wiosennej wilgoci.

Jak to możliwe, żeby o tej porze roku nadal było tak zimno i mokro? Życie w tym mieście przypominało uwięzienie pod pachą lodowego olbrzyma. Przeszedł wzdłuż Grafcanal, drząc z zimna na widok wciśniętej w jego zakole wyspy zwanej Czarnym Woalem. To tam zamożni mieszkańcy Kerchu chowali dawniej swoich zmarłych, w małych kamiennych domkach powyżej lustra wody. Wskutek jakiegoś kaprysu klimatycznego wyspę stale spowijały przepływające mgły; niektórzy mówili, że jest nawiedzona.

Przyśpieszył kroku. Nie był przesądny – człowiek obdarzony taką mocą nie miał powodów bać się niebezpieczeństw kryjących się w cieniu – ale chyba nikt nie lubi przechodzić obok cmentarza, prawda?

Opatulił się płaszczem i żwawo przeszedł Havenstraat, wyczulony na wszelkie podejrzanego poruszenia w bocznych zaułkach. Niedługo wróci do Ravki, gdzie bez lęku będzie mógł chodzić po ulicach. O ile tylko zostanie ułaskawiony.

Poruszył się niespokojnie pod osłoną płaszcza. W wojnie, w której griszowie stanęli przeciw griszom, on i jego sojusznicy wyróżniali się brutalnością. Zabijał swoich dawnych towarzyszy, cywilów, nawet dzieci... Trudno – co się stało, to się nie odstanie. Król Nikolai potrzebował żołnierzy, a Retvenko był bardzo dobrym żołnierzem.

Skinął głową strażnikowi w budce przy wejściu do Czwartej Przystani i obejrzawszy się przez ramię, upewnił się, że nikt go nie śledzi. Wyminął stosy kontenerów, zszedł na przystań, znalazł właściwe stanowisko cumownicze i ustawił się w kolejce do pierwszego oficera, żeby się zameldować. Znał go już z poprzednich rejsów – wiecznie znękany, nie w humorze, z chudą szyją sterczącą z kołnierza płaszcza trzymał w ręce gruby plik dokumentów; na jednym z nich Retvenko rozpoznał fioletową pieczęć lakową jednego z członków Kercheńskiej Rady Kupieckiej. W tym mieście taka pieczęć była warta więcej od

złota: gwarantowała najlepsze stanowiska postojowe i uprzywilejowany dostęp do portu. A dlaczego radni cieszyli się takim poważaniem i mieli takie wpływy? Dzięki pieniądзом. Dzięki temu, że Ketterdam bogacił się na ich przedsięwzięciach. W Ravce władza oznaczała coś więcej – tam żywioły były posłuszne woli griszów, a krajem rządził król z prawdziwego zdarzenia, a nie gromada handlarzy-parweniuszy. Owszem, Retvenko próbował wprawdzie zdetronizować ojca aktualnego króla, ale w niczym nie zmieniało to faktów.

– Nie jesteśmy jeszcze gotowi na przyjęcie reszty załogi – oznajmił mu pierwszy oficer, gdy Retvenko mu się przedstawił. – Możesz iść się zagrzać do kapitanatu portu. Czekamy na sygnał od Rady Pływów.

– To się wam chwali – odparł niewzruszony Retvenko.

Spojrzał na jedną z czarnych wież górujących nad portem jak obeliski. Gdyby istniał choć cień szansy, że potężni i wpływowi członkowie Rady Pływów zobaczą go ze swojej wieży obserwacyjnej, kilkoma starannie dobranymi gestami dałby im do zrozumienia, co o nich myśli. Byli ponoć griszami, ale czy kiedykolwiek kiwnęli choćby palcem, żeby pomóc innym griszom w mieście? Wesprzeć tych, których szczęście opuściło i którym przydałaby się odrobina ich łaskowości?

– Nie – odpowiedział sam sobie – nie kiwnęli.

– Na Ghezena, Retvenko... – Oficer się skrzywił. – Piłeś?

– Nie.

– Cuchniesz whisky.

Retvenko pociągnął nosem.

– Kropelkę – zgodził się.

– Wytrzeźwiej. Zrób sobie kawy albo weź trochę mocnej *jurdy*. Ta bawełna musi w dwa tygodnie dotrzeć do Djerholmu, a my nie płacimy ci za leczenie kaca pod pokładem. Zrozumiałeś?

– Tak, tak... – Retvenko machnął lekceważąco ręką.

Zawrócił w stronę kapitanatu, ale po paru krokach strzepnął dłonią. Malutka trąba powietrzna wyrwała pierwszemu oficerowi papiery z dłoni i poniosła w powietrze nad portem.

– Do licha! – zaklął oficer i rzucił się na deski pomostu, usiłując złapać fruujące stronice, nim wylądują w morzu.

Retvenko uśmiechnął się z ponurą satysfakcją... i nagle ogarnął go smutek. Był olbrzymem wśród ludzi, utalentowanym szkwalnikiem, znakomitym żołnierzem – a tutaj stał się zwykłym wyrobnikiem, smutnym, starym Ravkańczykiem, który za dużo pije i kaleczy kercheński.

Dom, przypomniał sobie. Niedługo wracam do domu. Dostanie ułaskawienie i jeszcze raz udowodni swoją wartość. Będzie walczył w obronie ojczyzny. Będzie spał pod dachem, który nie przecieka, i nosił *keftę* z niebieskiej wełny podbitą srebrnym lisim futrem. Znów będzie Emilem Retvenką, a nie jego żalonym cieniem.

– Jest kawa – oznajmił recepcjonista, gdy Retvenko wszedł do biura kapitana portu, i

wskazał mu stojącą w kącie miedzianą misę.

– A herbata?

– Kawa.

Co za kraj.

Retvenko napełnił kubek ciemną breją, głównie po to, żeby mieć od czego zagrzać ręce. Nie znosił smaku kawy, zwłaszcza bez solidnej domieszki cukru, którego kapitanat już nie zapewniał.

– Wiatr się wzmaca – odezwał się recepcjonista, gdy na dworze zadźwięczał dzwon targnięty podmuchem wichury.

– Słyszę – odburknął Retvenko.

– Tutaj pewnie za mocno dmuchać nie będzie, ale w porcie...

– Cicho! – warknął Retvenko. Zerwał się na równe nogi i nadstawił ucha.

– Ale o co chodzi? To...

Retvenko przytknął palec do ust.

– Ktoś krzyknął.

Ten krzyk dobiegł z okolic miejsca, w którym cumował jego statek.

– To tylko mewy. Niedługo wszędzie słońce, więc...

Retvenko uniósł rękę. Podmuch powietrza pchnął recepcjonistę na ścianę i przyparł go do desek.

– Powiedziałem: cicho.

Zawieszony na ścianie recepcjonista rozdziawił bezradnie usta.

– Ty jesteś tym griszą, którego ściągnęli na statek?

Na wszystkich świętych, naprawdę musi chłopakowi wycisnąć powietrze z płuc i go udusić, żeby się uciszył?

Przez mętne okna było widać jaśniejące o brzasku błękitne niebo. Słyszał też krzyki mew przepatrujących fale w poszukiwaniu śniadania. Czyżby trunek zmaćił mu umysł?

Uwolnił recepcjonistę, który osunął się na podłogę. Rozlał kawę, ale nie chciało mu się ponownie napełniać kubka.

– Mówiłem, że to nic takiego – mruknął chłopak, wstając. – Nie ma co się gorączkować.

– Otrzepał się i wrócił za biurko. – Pierwszy raz widzę jednego z was. Znaczą griszę.

Retvenko prychnął. Na pewno nie był to pierwszy raz – po prostu o innych chłopak nie wiedział.

– Dobrze wam płacą za rejsy?

– Nie dość dobrze.

– Bo ja...

Cokolwiek jednak recepcjonista zamierzał powiedzieć, utonęło w zgiełku, gdy drzwi wejściowe eksplodowały fontanną drzazg. Retvenko odruchowo zasłonił twarz rękami, uskoczył i przeturlał się za biurko. Do biura weszła kobieta: czarne włosy, złote oczy... Była z Shu Hanu.

Recepcjonista chwycił przypiętą pod blatem strzelbę.

– Przyszli po pieniądze na wypłatę! – zawołał. – Nie oddam ani *kruge*!

Na oczach wstrząśniętego Retvenki cherlawy urzędniczyna wyprostował się niczym jakiś wojownik-mściciel i zaczął strzelać. Na wszystko, co święte, nic tak nie motywuje Kerchenów jak gotówka!

Wyjrzał zza biurka w samą porę, żeby zobaczyć, jak wystrzelony ze strzelby ładunek trafia kobietę prosto w pierś. Odrzucona wstecz uderzyła plecami o framugę drzwi i osunęła się na ziemię. W powietrzu rozeszła się gryząca woń prochu wraz z cierpkim metalicznym zapachem krwi. Żołądkiem Retvenki targnął zenujący skurcz. Sporo czasu upłynęło, odkąd kogoś postrzelono na jego oczach – w dodatku wtedy była wojna.

– Ani *kruge* – powtórzył z satysfakcją recepcjonista.

Zanim Retvenko zdążył zareagować, kobieta z Shu Hanu zakrwawioną dłonią złapała się framugi, podciągnęła się i wstała.

Retvenkę замуrowało. Ileż wypił tej whisky?!

Kobieta ruszyła naprzód. Spod strzępów rozdartej bluzki przezierała krew, podziurawione śrutem ciało... i coś, co połyskiwało jak metal.

Recepcjonista usiłował pośpiesznie przeładować, ale była dla niego za szybka. Wyrwała mu strzelbę i jednym zadany z straszliwą siłą ciosem powaliła go na ziemię, po czym odrzuciła broń i zwróciła spojrzenie złotych oczu na Retvenkę.

– Weź pieniądze! – wykrzyknął, próbując się odczołgać do tyłu. Wyciągnął z kieszeni niemal pusty portfel i rzucił go w jej stronę. – Bierz, co chcesz!

Uśmiechnęła się wtedy lekko. Z litości? Z rozbawienia? Tego Retvenko nie wiedział, ale nagle zdał sobie sprawę, że wcale nie przyszła po pieniądze. Przyszła po niego.

Nie miało znaczenia, czy jest handlarką niewolników, najemniczką czy kimś jeszcze innym. Teraz stawia czoło żołnierzowi, nie jakiemuś tchórzliwemu słabeuszowi.

Zerwał się na równe nogi. Mięśnie niechętnie go słuchały, ale przyjął postawę bojową i wyciągnął przed siebie rękę. Wichura zawyła w pomieszczeniu, poderwała najpierw krzesło, potem biurko, na koniec parującą misę z kawą i po kolei cisnęła nimi w napastniczkę. Kobieta bez większych emocji odbijała kolejne pociski, jakby odgarniała pajęczyny.

Retvenko skupił moc i gwałtownym ruchem wyprostował rękę. W uszach mu strzeliło, gdy ciśnienie nagle opadło i rozpętał się istny orkan. Może intruzka była niewrażliwa na kule; zobaczymy, jak sobie poradzi z wściekłym huraganem.

Warknęła gardłowo, zanim pochwycona w szpony wichury została niemal wyrzucona na zewnątrz. W ostatniej chwili złapała się futryny, próbując do tego nie dopuścić.

Retvenko się roześmiał. Zapomniał już, jakie to wspaniałe uczucie, kiedy się z kimś walczy.

Nagle za plecami usłyszał głośny huk, jęk wrywanych gwoździ i trzask rozdieranego drewna. Obejrzał się przez ramię. Mignęło mu jaśniejsze o świcie niebo, fragment nabrzeża... Ściana zniknęła.

Silne ręce złapały go i przycisnęły mu ramiona do boków, uniemożliwiając użycie mocy. Wznosił się, szybował w powietrzu, a w dole malał port. Zobaczył dach kapitanatu, bezwładne ciało pierwszego oficera na przystani i statek, na którym miał odpłynąć: z

pokładu została sterta potrzaskanych desek, u stóp złamanych masztów piętrzyły się zwłoki. Napastnicy zaczęli od statku.

Owionęło go zimne powietrze. Uszy wypełniło nierówne bicie własnego serca.

– Proszę... – błagał, gdy wznosili się coraz wyżej, niepewny, o co właściwie prosi.

Bojąc się poruszyć zbyt mocno lub zbyt gwałtownie, wykręcił szyję i spojrzał na swojego prześladowcę... Z gardła wyrwał mu się jęk zgrozy, coś pomiędzy szlochem a panicznym skomleniem zwierzęcia w potrzasku.

Trzymający go mężczyzna pochodził z Shu Hanu. Miał czarne włosy upięte w ciasny kok, mrużył złote oczy dla ochrony przed podmuchami powietrza... a z pleców wyrastała mu para potężnych skrzydeł łopoczących na tle nieba, wieloprzegubowych, zbudowanych z płótna rozpiętego na filigranowych łukach z kutego srebra. Anioł? Demon? Jakiś niezwykle ożywiony mechanizm? A może Retvenko po prostu postradał zmysły?

Tkwiąc w uścisku porywacza, Emil Retvenko zobaczył cień, jaki wspólnie rzucali na skrzącą się daleko w dole tafłę morza: dwie głowy, dwoje skrzydeł, cztery nogi. Stał się wielką bestią, a teraz ta bestia go pożre. Jego prośby przeszły w krzyki, ale jedne i drugie pozostały niewysłuchane.



Co ja tutaj robię? – dziwił się Wylan.

Odkąd poznał Kaza Brekkera, ta myśl przebiegała mu przez głowę co najmniej sześć razy dziennie – ale w nocie takie jak ta, nocie, w które „pracowali”, tętniła mu pod czaszką jak głos nerwowego tenora ćwiczącego gamy: „Cojatatutajrobięcojatatutajrobięcojatatutajrobię”.

Obciągnął błękitną marynarkę, oficjalny uniform kelnerów klubu Cumulus, i próbował udawać, że wcale się nie denerwuje.

Wyobraź sobie, że to uroczysta kolacja, powtarzał w duchu.

W domu rodzinnym przecierpiał niezliczone krępujące posiłki i tym razem nie było wcale inaczej. Prawdę mówiąc, było nawet łatwiej: żadnych niezręcznych rozmów o jego studiach, o planowanym rozpoczęciu zajęć na uniwersytecie – wystarczyło siedzieć cicho, wypełniać polecenia Kaza i wymyślić, co zrobić z rękami. Spleść dłonie z przodu? Za bardzo przypominałby piosenkarza w trakcie recitalu. Z tyłu? Zbyt po wojskowemu. Próbował po prostu zwiesić je swobodnie przy bokach, ale to też mu nie pasowało. Dlaczego wcześniej nie przyjrzał się baczniej kelnerom? Mimo zapewnień Kaza, że salon na piętrze będą mieli cały dla siebie, Wylan był absolutnie przekonany, że lada chwila zjawi się jakiś prawdziwy członek personelu, wskaże go palcem i zawoła: „Oszust!”.

Chociaż... I bez tego niemal codziennie czuł się jak oszust.

Minął niecały tydzień od ich przybycia do Ketterdamu; blisko miesiąc od opuszczenia Djerholmu. Przez większość tego czasu nosił rysy Kuweia, a mimo to, ilekroć własne odbicie mignęło mu w jakimś lustrze albo szybie sklepowej witryny, potrzebował chwili, żeby sobie uprzytomnić, że wcale nie patrzy na obcą osobę. To była teraz jego twarz: złociste oczy, szerokie czoło, czarne włosy. Jego dawne „ja” zostało wymazane i nie był już pewien, czy zna człowieka, który je zastąpił i w tej chwili stał w prywatnym salonie jednego z najbardziej luksusowych przybytków hazardu w całej Pokrywce, zamieszany w kolejne przedsięwzięcie Kaza Brekkera.

Siedzący przy stole gracz uniesieniem kieliszka zasygnalizował prośbę o dolewkę. Wylan zerwał się ze swojego stanowiska pod ścianą i skoczył naprzód. Trzęsącymi się

rękami wyjął butelkę ze srebrnego wiaderka z lodem, ale lata spędzone na przyjęciach u ojca miały też swoje dobre strony – umiał przynajmniej tak nalać szampana, żeby piana nie wylała się z kieliszka. Niemal słyszał przy tym kpiący głos Jespera: „Cenna umiejętność, kupczyku”. Zaryzykował ukradkowe spojrzenie na Jespera.

Snajper siedział przy stole przygarbiony nad kartami. Miał na sobie sfatygowaną granatową kamizelkę haftowaną w złote gwiazdki i wygniecioną koszulę, której biel odcinała się od jego ciemnobrązowej skóry. Ze znużeniem przetarł twarz dłonią. Grali od ponad dwóch godzin. Wylan nie umiałby powiedzieć, czy zmęczenie Jespera jest prawdziwe, czy udawane.

Skoncentrowany na zaleceniach Kaza napełnił kolejny kieliszek.

– Przyjmuj zamówienia graczy – mówił Kaz – i jednym uchem słuchaj, co mówi Smeet. To zwykła robota, Wylan. Robota do wykonania.

Dlaczego nazywali to „robotą”? W niczym nie przypominało to prawdziwej pracy, odnosił raczej wrażenie, jakby lada chwila miał się potknąć i przewrócić. Był o krok od wpadnięcia w panikę.

Skupił się na detalach wyposażenia pokoju – często uciekał się do tej sztuczki, gdy znalazł się w nowym miejscu albo gdy ojciec był w wyjątkowo podłym humorze. Podziwiał wzór z przeplatających się gwiazd na drewnianej podłodze, muszelkowate spoiny żyrandola z dmuchanego szkła, jedwabną tapetę o barwie kobaltu ozdobioną deseniem ze srebrnych chmurek. W pokoju nie było okien, przez które wpadałoby naturalne światło. Kaz twierdził, że w kasynach nigdy nie ma okien: chodziło o to, żeby gracze stracili poczucie czasu.

Wylan patrzył, jak Kaz rozdaje karty Smeetowi, Jesperowi i pozostałym graczom siedzącym przy okrągłym stole. Miał na sobie taką samą błękitną marynarkę jak Wylan. Miał też nagie dłonie. Wylan bardzo starał się nie gapić na nie – nie tylko dlatego, że widok Kaza bez rękawiczek wydawał mu się niezwykle, wręcz niestosowny, lecz przede wszystkim dlatego, że dłonie te zdawały się ożywiane tajemną maszyną, której funkcjonowania nie pojmował. Kiedy uczył się rysować ludzkie postaci, studiował liczne ilustracje anatomiczne i wyrobił sobie niezgorsze pojęcie o ludzkim układzie kostno-mięśniowym, o tym, jak kości, stawy i ścięgna pasują do siebie i tworzą całość. Tymczasem dłonie Kaza poruszały się w taki sposób, jakby stworzono je wyłącznie do manipulowania kartami – długie białe palce zginały się i prostowały w swobodnym rytmie, każdy ich ruch był oszczędny i precyzyjny. Kaz twierdził, że potrafi każdą talię zmusić do posłuszeństwa... Dlaczego w takim razie Jesper przegrywał z kretelem?

Kiedy Kaz przedstawiał im tę część planu w kryjówce na Czarnym Woalu, Wylan słuchał go z niedowierzaniem i – zupełnie wyjątkowo – nie on jeden miał wątpliwości.

– Chwileczkę – odezwała się Nina. – Żebyśmy się dobrze zrozumieli: twój genialny plan polega na załatwieniu Jesperowi kredytu i ustawieniu gry z Cornelisem Smeetem?

– Smeet lubi dwie rzeczy: blondynki i grę w trójkolca o duże pieniądze – odparł Kaz. – Damy mu jedno i drugie. Przez pierwszą część wieczoru ja będę rozdawał, potem Specht przejmie pałeczkę.

Wylan słabo znał Spechta, byłego żeglarza i członka Szumowin, który pilotował ich statek w drodze do Lodowego Dworu i z powrotem. Prawdę powiedziawszy, Specht – ze swoim szpakowatym zarostem i tatuażami wspinającymi się do połowy szyi – odrobinę go przerażał.

Jednakże nawet Specht miał wątpliwości.

– Mogę rozdawać karty, Kaz – powiedział – ale nie umiem ich kontrolować.

– Nie będziesz musiał tego robić. Od momentu, gdy usiądziesz do stołu, gra będzie uczciwa. Najważniejsze to zatrzymać Smeeta przy stole aż do północy. Zmiana rozdającego to krytyczna chwila; wtedy będzie największe ryzyko, że go stracimy. Kiedy wstanę od stołu, zacznę myśleć o tym, żeby zmienić grę albo w ogóle się zwinąć. Musicie zrobić wszystko, co w waszej mocy, żeby się stamtąd nie ruszył.

– Damy radę – zapewnił go Jesper.

– Pewnie. – Nina zmarszczyła brwi. – Tak jak ja w drugiej fazie planu dam radę udawać handlarzkę *jurdaq parem*. To się nie może nie udać.

Wylan nie ująłby tego w taki sposób, ale całkowicie się z nią zgadzał. Bez zastrzeżeń. Powinni raczej pilnować, żeby Jesper nie zbliżał się do kasyna, zamiast podsycać w nim umiłowanie ryzyka.

Kaz był jednak niewzruszony.

– Róbcie swoje – powiedział. – Zapewnijcie Smeetowi rozrywkę do północy. Wiecie, co jest stawką w tej grze.

Wiedzieli: życie Inej. Jak się z tym spierać? Ilekroć Wylan o tym pomyślał, czuł ukłucie wyrzutów sumienia. Van Eck zapowiedział, że daje im siedem dni na wydanie Kuweia Yul-Bo – potem zacznie torturować Inej. Ten czas właśnie dobiegał końca. Wylan wiedział, że nie miał szans na powstrzymanie ojca przed wykiwaniem ekipy Kaza i uprowadzenie Inej – wiedział, lecz mimo to czuł się za to odpowiedzialny.

– A co mam zrobić z Cornelisem Smeetem po północy? – zainteresowała się Nina.

– Spróbuj go przekonać, żeby spędził z tobą noc.

– Co takiego?! – wykrztusił Matthias, czerwieniąc się po czubki uszu.

– Nie zgodzi się – uspokoił go Kaz.

Nina pociągnęła nosem.

– Aha, już to widzę.

– Nino... – burknął Matthias.

– Smeet nigdy nie oszukuje przy grze w karty i nie zdradza żony – powiedział Kaz. – Niewiele się różni od amatorów, jacy codziennie przechadzają się po Baryłce, przez większość czasu jest porządnym i godnym szacunku obywatelem: zero kantów w interesach i pół kieliszka wina do obiadu. Ale raz w tygodniu lubi poczuć się jak wyjęty spod prawa opryszek; kiedy siada do gry z ostrymi zawodnikami znad Wschodniej Klepki, lubi mieć ładną blondynkę do towarzystwa.

Nina odęła wargi.

– Skoro taki z niego grzeczny chłopiec, to dlaczego chcesz, żebym go...

– Dlatego że śpi na pieniądzach i każda szanująca się dziewczyna znad Zachodniej

Klepki powinna przynajmniej spróbować go uwieść.

– Nie podoba mi się to – oznajmił Matthias.

Jesper posłał mu swój niewesoły uśmiech rewolwerowca.

– Prawdę mówiąc, Matthias, wiele rzeczy ci się nie podoba.

– Dopilnujcie, żeby od ósmej wieczór do północy Smeet nie wyszedł z Cumulusa – dodał

Kaz. – To są całe cztery godziny gry, więc zachowajcie czujność.

Nina bez wątpienia się starała – do tego stopnia, że Wylan nie wiedział, czy powinien ją podziwiać, czy się niepokoić. Włożyła delikatną lawendową suknię z jakimś gorsetem, który w alarmujący sposób podkreślał jej piersi; mimo że od czasu walki z *parem* straciła sporo na wadze, nadal zostało jej dość, żeby Smeet miał za co złapać. Przysiadła mu na kolanach, zarzuciła rękę na ramię i gruchała słodko do uszka, gładząc go po piersi; od czasu do czasu jej dłoń zapuszczała się pod połę jego marynarki niczym pysk psiaka wężącego w poszukiwaniu smakołyków. Kiedy Nina robiła sobie chwilę przerwy, to tylko po to, żeby zamówić ostrygi albo świeżą butelkę szampana. Wylan wiedział, że poradzi sobie prawie z każdym mężczyzną w prawie każdej sytuacji, uważał jednak, że nie powinna mizdrzyć się do łypiącego na nią pożądliwie prawnika, w dodatku w zimnym kasynie, w przeciagu. Przeziębienie miała jak w banku.

Jesper po raz kolejny spasował i sapnął z irytacją. Od dwóch godzin powoli, lecz regularnie przegrywał; grał ostrożnie, ale tej nocy nie sprzyjało mu szczęście. Ani Kaz. Ciekawe, jak mieli zatrzymać Smeeta przy stole, kiedy Jesperowi skończą się pieniądze. Czy inni zamożni gracze będą wystarczającą przynętą? Było kilku takich w pokoju – podpierali ściany, śledzili rozgrywkę i czekali, aż zwolni się jakieś miejsce. Żaden nie miał pojęcia, jaką grę naprawdę prowadzi Kaz.

Nachyliwszy się nad Niną, żeby napełnić jej kieliszek, Wylan usłyszał, jak Smeet mruczy pod nosem: – Gra w karty jest jak pojedynek: drobne draśnięcia i rany przygotowują grunt pod ostateczny zabójczy cios. – Smeet spojrzał na Jespera. – Ten chłopak wykrwawia się na stół.

– Naprawdę nie wiem, jak udaje ci się zachować taką trzeźwość myślenia. – Nina zachichotała.

Smeet uśmiechnął się, nie kryjąc zadowolenia.

– To i tak pestka w porównaniu z prowadzeniem interesów.

– Tego również sobie nie wyobrażam. Jak ty sobie z tym radzisz?

– Czasem sam nie wiem – przyznał z westchnieniem Smeet. – Miałem ciężki tydzień.

Jeden z moich kancelistów nie wrócił z urlopu i zabrakło mi ludzi do pracy.

Wylan omal nie upuścił trzymanej w rękach butelki. Szampan chlusnął na podłogę.

– Płacę za to, że mogę go wypić, chłopcze! – zrugął go Smeet. – A nie nosić na ubraniu.

– Wytarł szampan ze spodni i dodał półgłosem: – Tak to jest, jak się zatrudnia cudzoziemców.

On ma na myśli mnie, zdał sobie sprawę Wylan, wycofując się pośpiesznie. Nie umiał się przyzwyczaić do tego, że ma twarz przybysza z Shu Hanu. Nawet nie mówił w ich języku, co zresztą niezbyt go martwiło, dopóki dwoje turystów z Shu Hanu z mapą w

garści nie osaczyło go nad Wschodnią Klepką. Wpadł w panikę, odpowiedział wyrazistym wzruszeniem ramion i na złamanie karku pognął do służbowego wejścia do Cumulusa.

– Biedactwo... – rozczuliła się Nina nad Smeetem.

Przeczesała mu palcami przerzedzone włosy i poprawiła jeden z kwiatków wplecionych w jej własne jedwabiste blond pukle. Wylan nie wiedział, czy powiedziała Smeetowi wprost, że pracuje w Domu Niebieskiego Irysa, ale Smeet z pewnością tak właśnie przypuszczał.

Jesper rozparł się wygodnie na krześle i zabębnił palcami o rękojeści rewolwerów. Jego ruch zwrócił uwagę Smeeta.

– Imponująca broń – przyznał prawnik. – Okładzina z prawdziwej macicy perłowej, jeśli mnie wzrok nie myli – dodał tonem człowieka, który rzadko się myli. – Sam mam piękną kolekcję broni palnej, choć nie tak doskonałej jak nowoziemskie rewolwery.

– Bardzo chętnie zobaczę twoje pistolety – zagruchała Nina.

Wylan z trudem powstrzymał się od teatralnego przewrócenia oczami i wbił wzrok w sufit.

– Będziemy tu tak siedzieć do rana? – spytała Nina.

Wylan starał się ukryć zmieszanie. Czy od początku nie o to właśnie chodziło, żeby zatrzymać Smeeta przy stole? Najwyraźniej jednak Nina lepiej go oceniła, bo na twarzy Smeeta odmalował się lekki upór.

– Bądź cicho. Jeśli wygram dużo pieniędzy, może kupię ci coś ładnego.

– Wystarczy mi świeża porcja ostryg.

– Jeszcze tamtych nie zjadłaś.

Nina rozdeła nozdrza, jakby brała głęboki wdech w oczekiwaniu męczarni. Od czasu zwycięskiej walki z *parem* nie miała apetytu i Wylan nie mógł się nadziwić, jak udało jej się przełknąć niemal tuzin ostryg.

Zjadła ostatnią i wzdrygnęła się lekko.

– Pychota – wymruczała, posyłając Wylanowi znaczące spojrzenie. – Zamówmy więcej.

To był umówiony sygnał. Wylan doskoczył do stołu i zgarnął ogromny półmisek usłany grudkami lodu i pustymi muszlami.

– Pani ma ochotę na przekąskę – powiedział Smeet.

– Życzy sobie panienska ostrygi? – upewnił się Wylan. Jego głos zabrzmiał zbyt piskliwie. – A może krewetki w maśle? – A teraz zbyt basowo.

– Jedno i drugie – odparł pobłażliwym tonem Smeet. – I szampana.

– Cudownie! – zachwyciła się lekko pozieleniała na twarzy Nina.

Przez wahadłowe drzwi Wylan wymknął się do spiżarni pełnej talerzy, szklanej zastawy i serwetek. Stała w niej też blaszana balia z lodem, a większość ściany naprzeciw wejścia zajmowała winda kuchenna, obok której znajdował się wylot rury głosowej umożliwiającej komunikację z kuchnią. Odstawił półmisek na stół i zamówił świeżą porcję ostryg i krewetek.

– Aha... i butelkę szampana – dodał.

– Jaki rocznik?

– Ehm... Ten sam, co wcześniej?

Zdarzało mu się słyszeć, jak ojciec z przyjaciółmi dyskutowali o winach jako dobrej inwestycji, ale nie odważył się zaryzykować wskazania konkretnego rocznika.

Kiedy wrócił do salonu z zamówionym przez Ninę jedzeniem, Kaz właśnie wstawał od stołu. Wykonał przy tym taki gest, jakby otrzepywał ręce: sygnał, że krupier kończy zmianę. Specht – z szyją obwiązaną jedwabnym fularem, który skrywał tatuaże – zajął jego miejsce. Obciągnął mankiety koszuli i zapytał, kto gra dalej, a kto zamierza się wycofać.

Wychodząc do spiżarni, Kaz spojrzał Wyłanowi w oczy.

To był ten moment. Kaz i Jesper zgodnie twierdzili, że gracze często wiążą swoją szczęśliwą passę z konkretnym rozdającym, więc przy zmianie krupiera mają skłonność do rezygnacji z dalszej gry.

Wyłan z niepokojem patrzył, jak Smeet przeciąga się i wymierza Ninie klapsa w pupę.

– Dobrze nam szło – stwierdził, spojrzawszy na Jespera, który z przygnębieniem wpatrywał się w swoją skromną kupkę żetonów – ale chyba czas poszukać bardziej obiecującej rozgrywki.

– Ale dopiero co podali mi jedzenie! – poskarżyła się Nina, wyginając usta w podkówkę.

Wyłan zrobił krok do przodu. Nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć, wiedział tylko, że za wszelką cenę muszą zatrzymać Smeeta.

– Czy wszystko w porządku, proszę pana? Czy mogę państwu zaproponować coś jeszcze?

Smeet jakby go nie słyszał. Jego dłoń nadal błędziła w okolicy pośladków Niny.

– W Pokrywce nie brakuje miejsc, w których można liczyć na wykwinniejsze jedzenie i lepszą obsługę, moja droga.

Wysoki mężczyzna w prążkowanym garniturze podszedł do Smeeta, szykując się do zajęcia jego miejsca przy stole.

– Kończy pan? – zapytał.

Smeet skinął przyjaźnie głową Jesperowi.

– Obaj chyba kończymy, co, chłopcze? Powodzenia następnym razem.

Jesper się nie uśmiechnął.

– Ja jeszcze nie skończyłem.

Smeet wskazał jego stosik żetonów.

– A mnie się wydaje, że jednak tak.

Jesper wstał i sięgnął po rewolwery. Wyłan mocniej ścisnął trzymaną butelkę, pozostali gracze odsunęli się od stołu gotowi albo też chwycić za broń, albo się schować, ale Jesper tylko odpiął pas z bronią i ostrożnie gładząc lśniące krawędzie rewolwerów, położył je na stole.

– Ile za nie? – zapytał.

Wyłan próbował spojrzeć mu w oczy. Czy to też była część planu? A jeśli nawet, to co on sobie wyobraża? Przecież uwielbia te rewolwery; równie dobrze mógłby sobie obciąć rękę i dorzucić ją do puli.

Specht odchrząknął i odparł:

– Cumulus to nie lombard. Przyjmujemy wyłącznie gotówkę i kredyt z Gemensbanku.

– Skredytuję cię – odezwał się Smeeta, udając brak zainteresowania – jeśli miałyby to ożywić grę. Tysiąc *krug* za oba?

– Są warte dziesięć razy więcej.

– Pięć tysięcy.

– Siedem.

– Sześć, a i to tylko dlatego, że mam gest.

– Nie rób tego! – wypalił Wylan.

W pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Nie przypominam sobie, żebym prosił pana o radę – odparował lodowato Jesper.

– Co za bezczelność! – dodał Smeeta. – Odkąd to kelnerzy wtrącają się do rozgrywki?

Nina spiorunowała Wylana wzrokiem.

– Panowie, wracamy do gry czy nie? – wtrącił z niedowierzaniem rozeźlony Specht. –

Kto wchodzi?

Jesper pchnął rewolwery po stole w stronę Smeeta, który w zamian podsunął mu wysoki stos żetonów.

– W porządku. – Szare oczy Jespera były zupełnie pozbawione wyrazu. – Proszę rozdawać.

Wylan najszybciej, jak umiał, odsunął się od stołu i czmychnął do spiżarni. Talerz z lodem i muszelkami zniknął.

Kaz już czekał. Na niebieską marynarkę narzucił długą pomarańczową pelerynę, naciągnął również rękawiczki.

– Kaz! – wykrztusił zrozpaczony Wylan. – Jesper zastawił rewolwery!

– Ile za nie dostał?

– A jakie to ma znaczenie? Zastawił...

– Pięć tysięcy *krug*?

– Sześć.

– Świetnie. Nawet on nie powinien przepuścić takiej forsy w niecałe dwie godziny. –

Kaz rzucił Wylanowi pelerynę i maskę Szarego Diablaka, jednej z postaci z Dzikiej Komedyi. – Idziemy.

– Mówisz do mnie?

– Nie, do tego idioty, który stoi za tobą. – Kaz odwrócił się do rury głosowej. – Przyślijcie innego kelnera – powiedział. – Ten właśnie oblał szampanem paru poważnych graczy.

Ktoś w kuchni zaśmiał się głośno.

– Się robi – dobiegła z dołu odpowiedź.

Chwilę później zdążyli już zbiec po schodach i wybiec przez drzwi dla służby. Kostiumy pozwalały im zachować anonimowość w tłumie nad Wschodnią Klepką.

– Wiedziałeś, że Jesper przegra. Postarałeś się, żeby przegrał – rzucił oskarżycielsko Wylan.

Kaz rzadko podpierał się laską, gdy przemierzali okolice, w których ktoś mógł go rozpoznać, ale mimo że kulał, Wylan musiał teraz nieźle wyciągać nogi, by za nim nadążyć.

– Oczywiście. Ja albo kontroluję przebieg gry, Wylanie, albo w ogóle nie gram. Równie dobrze mogłem sprawić, żeby Jesper wygrywał w każdym rozdaniu.

– To dlaczego...

– Nie po to tam przyszliśmy, żeby wygrać w karty. Chodziło o to, żeby zatrzymać Smeeta w kasynie. Gapił się na te spluwy niewiele mniej niż na biust Niny. A teraz jest przekonany, że czeka go miły wieczór; nawet jeśli zacznie przegrywać, nie odejdzie od stołu. Kto wie, może nawet Jesper się odkuje i odzyska rewolwery?

– Mam nadzieję – mruknął Wylan.

Skoczyli na pokład promu, który Wschodnią Klepką wiozł tłum turystów na południe.

– To zrozumiałe.

– Co to ma znaczyć?

– Ktoś taki jak Jesper wygrywa dwa razy z rzędu i od razu zaczyna mówić o dobrej passie. A kiedy w końcu przegra, tym gorliwiej wyczekuje następnego uśmiechu losu. Kasyno właśnie na tym zarabia.

To dlaczego kazałeś mu grać?! – pomyślał Wylan, ale nie powiedział tego na głos. Dlaczego zmuszasz go, by rozstał się z czymś, co tak wiele dla niego znaczy? Musi przecież istnieć inny sposób na zatrzymanie Smeeta przy stole.

Tyle że to były niewłaściwe pytania – bo najważniejsze brzmiało: dlaczego Jesper zrobił to bez choćby cienia wahania? Może wciąż szukał aprobaty u Kaza, może chciał ponownie wkraść się w jego łaski po tym, jak wskutek jego błędu wpadli w porcie w pułapkę, czego Inej omal nie przypłaciła życiem? A może chciał od Kaza czegoś więcej niż tylko przebaczenia?

Co ja tutaj robię? – znów zadał sobie pytanie Wylan.

Złapał się na tym, że obgryza kciuk, i zmusił się, żeby przestać. Robił to dla Inej. Nieraz ratowała im życie i on jej tego nie zapomni. Robił to, bo rozpaczliwie potrzebował pieniędzy. A jeśli istniał jeszcze jakiś inny powód – wysoki, smukły powód z nadmierną skłonnością do gier losowych – to w tej akurat chwili Wylan nie zamierzał o nim myśleć.

Znalazłszy się na obrzeżach Baryłki, pozbyli się peleryn i błękitnych marynarek i krętymi uliczkami ruszyli na zachód, w głąb Zilveru. Matthias czekał na nich w mrocznej bramie przy Handelcanal.

– Teren czysty? – spytał Kaz.

– Czysty – przytaknął potężnie zbudowany Fjerdanin. – Światła na piętrze domu Smeeta pogasły ponad godzinę temu. Nie wiem tylko, czy służący się położyli.

– Smeet zatrudnia tylko pokojówkę i kucharkę na przychodne. Nie stać go na służbę z prawdziwego zdarzenia.

– Co z...

– Z Niną wszystko w porządku. Z Jesperem też. Wszyscy mają się doskonale poza mną, bo ja muszę się użerać z bandą wyłamujących nerwowo palce nianieki. Zostań na straży.

Matthias sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, czy nie wyróżnić głową Kaza o mur. Wylan zrobił przeproszającą minę, wzruszył ramionami i pośpieszył za Kazem.

Dom Smeeta, pełniący zarazem rolę jego biura, stał w ciemnym odludnym zaułku. Nad kanałem świeciły latarnie, w niektórych oknach płonęły świece, ale wybiła już dziesiąta i większość porządných mieszkańców poszła spać.

– Wejdziemy od frontu? – zdumiał się Wylan. – Tak po prostu?

– Użyj oczu, zamiast kłapać jadaczką – poradził mu Kaz z wytrychami w rękach.

Uzywam, odparł w myślach Wylan, chociaż nie do końca było to prawdą. Zwrócił uwagę na proporcje budynku, nachylenie skośnego dachu, róże rozkwitające w skrzynkach na parapetach, ale nie potraktował domu jako zagadki – zagadki, jak sam musiał teraz przyznać, bardzo łatwej do rozwiązania. Zelver zamieszkiwali ludzie zamożni, choć nieprzesadnie bogaci: przedsiębiorczy rzemieślnicy, księgowi, adwokaci. Domy były tu więc solidne i schludne, z widokiem na szeroki kanał, ale zarazem stłoczone, pobudowane jeden przy drugim i pozbawione pięknych prywatnych ogrodów czy przystani. Chcąc się dostać do domu Smeeta przez okno na piętrze, musieliby najpierw włamać się do sąsiada, co wymagałoby pokonania dwóch zamków zamiast jednego. Lepiej więc było zaryzykować wejście frontowymi drzwiami i udawać, że mieli pełne prawo się tam znajdować. Nawet jeśli Kaz miał się posłużyć wytrychem zamiast klucza.

Użyj oczu.

Sęk w tym, że Wylan nie lubił patrzeć na świat w taki sposób, jak robił to Kaz. I gdy zdobędą pieniądze, nigdy więcej nie będzie do tego zmuszony.

Sekundę później Kaz nacisnął klamkę, drzwi się otworzyły i Wylan usłyszał tupot łap, zgrzyt pazurów na twardych deskach podłogi i stłumione warczenie: sfora ogarów Smeeta rzuciła się w stronę drzwi. Łyskały białe kły, basowy pomruk dudnił w piersiach. Zanim psy zdały sobie sprawę, że to nie ich pan wpadł z wizytą, Kaz wetknął do ust gwizdek i zagwizdał. Ninie udało się zdjąć gwizdek z łańcuszka na szyi Smeeta i schować go pod pustą muszlą ostrygi, którą następnie Wylan wyniósł do kuchni.

Nie rozległ się żaden dźwięk – w każdym razie Wylan niczego nie usłyszał. Nie uda się, pomyślał, oczami wyobraźni widząc już, jak potężne zębiska rozszarpują mu gardło. Psy jednak wyhamowały z poślizgiem, wpadając na siebie nawzajem i tłocząc się w dezorientowanej masie.

Kaz drugi raz dmuchnął w gwizdek, modulując dźwięk w taki sposób, by wydać inne polecenie. Psy ucichły i, skamłając, przypadły do ziemi. Jeden nawet przetoczył się na grzbiet.

– Dlaczego ludzi nie da się tak łatwo wytresować? – mruknął Kaz. Przykucnął i podrapał psa po brzuchu. Jego obleczone w czarną skórę palce gładziły krótką sierść. – Zamknij drzwi.

Wylan wykonał polecenie i oparty plecami o drzwi podejrzliwym wzrokiem mierzył śliniące się psiska. Cały dom śmierdział psem: mokrą sierścią, tłustą skórą, ciepłym zionięciem przesiąkniętym odorem surowego mięsa.

– No co, nie lubisz zwierząt? – spytał Kaz.

– Psy lubię, ale tylko te mniejsze od niedźwiedzi.

Wylan zdawał sobie sprawę, że najtrudniejsza zagadka w domu Smeeta była dla Kaza nie lada wyzwaniem: umiał otworzyć niemal każdy zamek i przechytryć każdy system alarmowy, ale nie potrafił wymyślić prostego sposobu na uniknięcie spotkania ze sforą krwiożerczych ogarów, które mogły im pokrzyżować szyki. Za dnia psy trzymano w psiarni, ale nocą mogły się swobodnie poruszać po całym domu, podczas gdy rodzina Smeeta spała smacznie w wykwintnie urządzonych pokojach na drugim piętrze, odgradzona od nich żelazną kratą na schodach. Smeet osobiście wyprowadzał psy na spacer; kiedy w drogim kapeluszu dreptał za nimi wzdłuż Handelcanal, do złudzenia przypominał ciągnięte przez psy pękate sanie.

Nina zaproponowała, żeby dosypać im czegoś do jedzenia. Smeet codziennie przynosił od rzeźnika smakowite kąski dla całej sfory; podmienienie paczek nie powinno stanowić problemu. Jednakże prawnik pilnował, by w nocy psy były głodne, dlatego karmił je rano. Zauważyłby, gdyby ukochane zwierzaki zrobiły się nagle osowiałe – a nie mogli ryzykować, że zostanie w domu, żeby opiekować się psami. Musiał spędzić wieczór gdzieś przy Wschodniej Klepce i nie zauważyć niczego podejrzanego, kiedy wróci. Od tego zależało życie Inej.

Kaz załatwił rezerwację prywatnego saloniku w Cumulusie, Nina wykradła Smeetowi gwizdek... Kawalek po kawalku plan nabierał kształtów. Wylan wolał nie wiedzieć, co musieli zrobić, żeby poznać wydawane gwizdkiem komendy. Wzdrygnął się na wspomnienie słów Smeeta: „Jeden z moich kancelistów nie wrócił z urlopu”.

I już nigdy nie wróci. Wylan wciąż słyszał jego krzyki, gdy Kaz zwiesił go głową w dół z latarni morskiej na Cyplu Haanraadt.

– Jestem dobrym człowiekiem! – wołał. – Jestem dobrym człowiekiem!

To były jego ostatnie słowa. Gdyby mniej gadał, może by żył.

Kaz podrapał śliniącego się psa za uchem i wstał.

– Idziemy – powiedział. – Patrz pod nogi.

Obeszli bokiem stertę psich ciał w holu i bezszelestnie wspięli się na schody. Wylan znał rozkład domu Smeeta – większość tego typu domów w mieście budowano w podobny sposób: na parterze kuchnia i pokoje, w których można się było spotkać z klientami, na pierwszym piętrze magazyny i biura, na drugim sypialnie dla rodziny. W zamożniejszych rezydencjach było jeszcze piętro trzecie, z pokojami dla służby. W dzieciństwie nieraz chował się przed ojcem na wyższych kondygnacjach rodzinnego domu.

– Nawet nie zamknął na klucz... – mruknął Kaz, gdy wśliznęli się do gabinetu Smeeta.

– Obecność psów go rozleniwiała.

Zamknął drzwi, zapalił lampę i mocno skręcił płomień.

Trzy biurka ustawiono pod oknami, żeby dało się korzystać z naturalnego światła. Przy jednym pracował Smeet, dwa pozostałe były przeznaczone dla jego kancelistów.

„Jestem dobrym człowiekiem”.

Wylan otrząsnął się z tego wspomnienia i skoncentrował na piętrzących się od podłogi po sufit regałach. Wypełniały je książki rachunkowe i pudła z dokumentami, opatrzone –

jak domyślał się Wylan – nazwiskami klientów i nazwami firm.

– Ilu frajerów... – mruknął Kaz, wodząc po nich wzrokiem. – Naten Boreg. Karl Dryden, żalosna gnida... Smeet reprezentuje pół Rady Kupieckiej.

W tym także ojca Wylana. Odkąd Wylan sięgał pamięcią, Smeet był adwokatem i zarządcą majątku Jana Van Ecka.

– Od czego zaczynamy? – spytał szeptem.

Kaz ściągnął z półki opasłe tomiszczce.

– Najpierw się przekonamy, czy twój ojciec kupił ostatnio nieruchomość na swoje nazwisko. Potem sprawdzimy nazwisko twojej macochy, na koniec twoje.

– Nie mów tak o niej, Alys jest niewiele starsza ode mnie. A na moje nazwisko ojciec na pewno nic by nie kupił.

– Zdziwiłbyś się, do czego ludzie są zdolni, żeby tylko nie płacić podatków.

Blisko godzinę przekopywali się przez archiwum Smeeta. Wiedzieli wszystko o oficjalnym majątku Van Ecka – fabrykach, hotelach, stoczni, domku na wsi i farmie na południu Kerchu – ale Kaz przypuszczał, że ojciec Wylana musi mieć również inne nieruchomości, dyskretniejsze, niewymieniane w oficjalnych rejestrach, miejsca, w których może ukryć coś (lub kogoś), co nie powinno zostać znalezione.

Kaz odczytywał na głos nazwiska i wpisy w księdze, zadawał Wylanowi pytania i szukał tropów prowadzących do firm i inwestycji, na których ślad jeszcze nie wpadli. A Wylan – mimo że wiedział, że nic nie jest ojcu winien – i tak czuł się jak zdrajca.

– Geldspin? – rzucił Kaz.

– Przędzalnia bawełny. W Zierfoorcie, zdaje się.

– Za daleko, tam by jej nie trzymał. Firma Allerbest?

Wylan sięgnął głębiej do pamięci.

– To chyba wytwórnia konserw.

– Jedna i druga to prawdziwe fabryki pieniędzy. Obie są na nazwisko Alys. Ale te najlepsze Van Eck i tak zatrzymał dla siebie: stocznię, silosy na Słodkiej Rafie...

– Przecież ci mówiłem – odparł Wylan, bawiąc się piórem i suszką. – Ojciec ufa przede wszystkim samemu sobie, Alys znacznie mniej... A na mnie nic by nie zapisał.

– Następna księga – zbył go Kaz. – Zacznijmy od nieruchomości komercyjnych.

Wylan przestał się bawić piórem.

– Czyżby jednak było coś na moje nazwisko?

Kaz odchylił się na krześle i posłał Wylanowi wyzywające spojrzenie.

– Drukarnia – przyznał.

Dowcip z brodą. Dlaczego więc wciąż ranił?

Wylan odłożył pióro.

– Rozumiem.

– Nie jest przesadnie subtelny. Eil Komedie też jest na ciebie.

– No jasne – mruknął z goryczą Wylan.

Kolejny prywatny żart jego ojca: porzucona wyspa z opuszczonym wesołym miasteczkiem. Bezwartościowe miejsce dla bezwartościowego syna-analfabety. Nie

powinien był się dopytywać.

Upływały minuty, Kaz czytał kolejne pozycje, a Wylan robił się coraz bardziej niespokojny. Gdyby umiał czytać, mogliby dwa razy szybciej przekopywać się przez dokumenty. Ba, gdyby umiał czytać, dawno znalazłby na wylot prowadzone przez ojca interesy.

– Spowalniając cię – powiedział.

Kaz otworzył kolejną księgę rachunkową.

– Od początku wiedziałem, ile nam to zajmie – odparł. – Jak brzmi panieńskie nazwisko twojej matki?

– Nic na nią nie będzie.

– Nie daj się prosić.

– Hendriks.

Kaz zdjął z półki następny tom.

– Kiedy zmarła?

– Miałem osiem lat. – Wylan wziął pióro do ręki. – Kiedy jej zabrakło, ojciec stał się jeszcze gorszy niż przedtem. – Tak to przynajmniej zapamiętał. Miesiące po śmierci matki zlały się w jedno pasmo smutku i milczenia. – Nie zabrał mnie na pogrzeb. Nawet nie wiem, gdzie jest pochowana. Słuchaj, dlaczego właściwie powtarzacie to swoje: „Żadnych żałobników, żadnych pogrzebów”? Nie lepiej powiedzieć: „Powodzenia”? Albo: „Uważaj na siebie”?

– Wolimy nie robić sobie wielkich nadziei.

Sunący w dół kolumny liczb palec w rękawiczce nagle się zatrzymał. Kaz spojrział na jedną księgę, na drugą, znów na tę pierwszą... Zatrzasnął skórzane okładki.

– Idziemy – powiedział.

– Znalazłeś coś?

Kaz skinął głową.

– Wiem, gdzie ją trzyma.

Wylan miał wrażenie, że słyszy autentyczne napięcie w chrapliwym głosie Kaza. W przeciwieństwie do jego ojca Kaz nigdy nie krzyczał, ale Wylan nauczył się nasłuchiwać tej charakterystycznej cichej nuty i rozpoznawać drobinę mrocznej harmonii, która wkradała się do głosu Kaza, kiedy zaczynało się robić niebezpiecznie. Usłyszał ją po bójce na przystani, kiedy Inej leżała na deskach, krwawiąc po ciosie Oomena; drugi raz – kiedy Kaz dowiedział się, że to Pekka Rollins zastawił na nich pułapkę; i trzeci – gdy odkrył, że ojciec Wylana ich wykiwał. Słyszał ją jasno i wyraźnie na szczycie latarni morskiej, gdy kancelista Smeeta błagał o litość.

Kaz robił porządek w pokoju: pchnął kopertę odrobinę w lewo, trochę szerzej otworzył szufladę największej szafki na dokumenty, nieco bardziej odsunął krzesło. Na zakończenie powiódł wzrokiem po wnętrzu, wyjął pióro z dłoni Wylana i ostrożnie odłożył je na miejsce.

– Dobry złodziej jest jak dobra trucizna, kupczyku – powiedział i zdmuchnął lampę. – Nie zostawia śladów. Twój ojciec jest filantropem?

– Niespecjalnie. Składa czasem ofiary Ghezenowi, ale twierdzi, że jałmużna odbiera człowiekowi szansę uczciwej pracy.

– No to powinieneś wiedzieć, że od ośmiu lat płaci datki na kościół Świętej Hildy. Jeżeli chcesz odwiedzić grób matki, to chyba właśnie tam powinieneś zacząć go szukać.

W półmroku Wylan patrzył na Kaza tępyim wzrokiem. Nigdy przedtem nie słyszał o kościele Świętej Hildy. I nigdy przedtem nie słyszał, żeby Brudnoręki bezinteresownie dzielił się jakąś informacją.

– Co...

– Jeżeli Nina i Jesper spisali się, jak należy, Smeet wkrótce wróci. Nie może nas tu zastać, bo wtedy szlag trafi cały plan. Chodź.

Wylan poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go księgą rachunkową przez łeb, a potem kazał mu o tym zapomnieć.

Kaz uchylił drzwi na korytarz... i obaj stanęli jak wryci.

Ponad ramieniem Kaza Wylan dostrzegł małą dziewczynkę: stała na podeście schodów, tuląc się do szyi jednego z wielgachnych szarych psów. Mogła mieć jakieś pięć lat. Spod flanelowej koszuli nocnej ledwie było jej widać czubki palców u nóg.

– Na Ghezena... – szepnął Wylan.

Kaz wyszedł na korytarz i przymknął za sobą drzwi. Wylan – który został sam w ciemnym biurze – zawahał się. Nie wiedział, co robić, i bał się tego, co może zrobić Kaz.

Dziewczynka spojrzała na Kaza szeroko otwartymi oczami, po czym wyjęła kciuk z buzi i zapytała: – Pracujesz u mojego taty?

– Nie.

Wspomnienie znów nawiedziło Wylana.

„Jestem dobrym człowiekiem”.

Zaskoczyli kancelistę, kiedy wychodził z Menażerii, i zawlekli na najwyższe piętro latarni. Kaz złapał go za kostki nóg i zawiesił nad przepaścią. Nieszczęśnik zmoczył się i błagał o litość, zanim w końcu zdradził wydawane gwizdkiem komendy dla psów. Kaz był już gotowy wciągnąć go z powrotem, gdy wtem urzędnik zaczął mu proponować różne rzeczy: pieniądze, numery kont klientów Smeeta, w końcu...

– Mam informacje o jednej z dziewczyn z Menażerii – wykrztusił. – Nowoziemce.

Kaz znieruchomiał.

– Jakie informacje? – zapytał.

Wtedy właśnie Wylan to usłyszał: niską, ostrzegawczą nutę. Kancelista jednak nie znał Kaza, nie wychwycił zmiany w jego głosie. Wydawało mu się, że znalazł punkt nacisku. Że ma coś, czego Kaz chce.

– Jeden z klientów daje jej drogie prezenty – powiedział. – I pieniądze. A ona zatrzymuje je dla siebie. Wiesz, co Paw zrobiła dziewczynie, którą przyłapała na okradaniu jej?

– Wiem – przytaknął Kaz. Oczy zabłysły mu jak ostrze brzytwy. – Tante Heleen pobiła ją na śmierć.

– Kaz... – próbował wtrącić się Wylan, ale kancelista już mówił dalej:

– Zgadza się. Zatłukła ją tam, na miejscu, w salonie. Dziewczyna wie, że jeśli na nią doniosę, będzie po niej. Dlatego daje mi za darmo, żebym tylko trzymał gębę na kłódkę. Wpuszcza mnie cichaczem, może to zrobić też dla ciebie, twoich kumpli... Co tylko zechcecie.

– Gdyby Tante Heleen się o tym dowiedziała, zabiłaby ją – zauważył Kaz. – Dla przykładu, żeby zastraszyć inne dziewczęta.

– To prawda – przytaknął z zapalem urzędnik. – Zrobi wszystko, czego zapragniesz. Wszystko.

Kaz zaczął rozluźniać uścisk na jego kostkach.

– Okropne uczucie, prawda? – mruknął. – Kiedy wiesz, że trzymasz w swoich rękach czyjś los...

Głos ofiary wznosił się o oktawę, gdy kancelista uświadomił sobie swój błąd.

– To zwykła pracująca dziewczyna! – zawołał. – Wie, jaki jest układ! Jestem dobrym człowiekiem! Jestem dobrym człowiekiem!

– W Ketterdamie nie ma dobrych ludzi – odparł Kaz. – Klimat im nie służy.

I go puścił. Tak po prostu.

Wylan się wzdrygnął. Przez szparę w drzwiach widział, jak Kaz kuca, żeby spojrzeć dziewczynce w oczy.

– Jak się wabi ten olbrzym? – spytał.

– Maestro Łatka.

– Ach tak?

– Pięknie wyje. A tata pozwala mi nadawać imiona wszystkim szczeniakom.

– Czy Maestro Łatka to twój ulubieniec?

Dziewczynka zastanowiła się i pokręciła głową.

– Najbardziej lubię Księcia Addama Srebrzystofutrego, potem Puchatego Pyska, a dopiero potem Maestro Łatkę.

– Dobrze wiedzieć, Hanno.

Dziewczynka rozdziawiła usta w małe O.

– Skąd znasz moje imię?

– Znam imiona wszystkich dzieci.

– Naprawdę?

– Ależ tak. Znam Alberta z sąsiedztwa i Gertrude z Ammberstraat. Mieszkam u dzieci pod łóżkiem albo za szafą.

– Wiedziałam! – wyszeptała dziewczynka z mieszaniną triumfu i lęku w głosie. – Mama mówiła, że tam nic nie ma, ale ja wiedziałam, że jest. – Przekrzywiła główkę. – Nie wyglądasz na potwora.

– Powiem ci coś w tajemnicy, Hanno: te najstraszniejsze potwory nigdy nie wyglądają jak potwory.

Dolna warga dziewczynki zadrżała lekko.

– Przyszedłeś mnie zjeść? Tata mówi, że potwory zjadają dzieci, które nie chcą się położyć spać, kiedy rodzice im każą.

– To prawda, zjadają. Ale ja cię nie zjem. Nie dzisiaj. Pod warunkiem, że zrobisz dla mnie dwie rzeczy. – Głos Kaza brzmiał spokojnie, niemal hipnotyzująco i nieco zgrzytliwie, jak struna pod zbyt mocno natartym kalafonią smyczkiem. – Po pierwsze, wracaj do łóżka. A po drugie, nigdy nie mów, że nas widziałas, nikomu, zwłaszcza tacie. – Pochylił się i żartobliwym gestem skubnął Hannę za warkoczyk. – Bo jeśli to zrobisz, poderżnę gardło najpierw twojej matce, potem ojcu, a później wytnę serca wszystkim tym uroczym, zaślinionym psiakom. Księcia Srebrzystofutrego zostawię sobie na koniec, żebyś wiedziała, że to wszystko twoja wina.

Buzia dziewczynki była teraz biała jak koronka przy kołnierzu jej nocnej koszuli, oczy miała wielkie i błyszczące jak dwa księżycy w pełni. Hanna pokiwała z zapalem główką, aż zakolebały jej się fałdki na podbródku.

– No już, już, tylko bez płaczu. Widok łez wzmaga u potwora apetyt. Zmykaj do łóżka i zabierz ze sobą Maestro Łatkę.

Hannah smyrgnęła na górę. W połowie wysokości schodów obejrzała się jeszcze ze zgrozą na Kaza, który przytknął palec do ust.

Kiedy na dobre zniknęła, Wylan wyśliznął się z gabinetu i w ślad za Kazem zszedł na parter.

– Jak mogłeś jej coś takiego powiedzieć? To jeszcze dziecko!

– Wszyscy byliśmy kiedyś dziećmi.

– Ale...

– Mogłem albo tak jej nagadać, albo skrócić kark i upozorować upadek ze schodów, Wylanie. Wydaje mi się, że okazałem wręcz niezwykle umiar. A teraz ruchy!

Wyminęli pozostałe psy, które nie ruszyły się przez ten czas z holu.

– Nie do wiary – mruknął Kaz. – Mogłyby tak pewnie leżeć do rana.

Zadał w gwizdek. Psy poderwały się z podłogi i zastrzygły uszami gotowe znów pilnować domu. Kiedy Smeet wróci, wszystko będzie, jak trzeba: na parterze spacerujące psy, na pierwszym piętrze nietknięte biuro, na drugim pochrapująca z zadowoleniem żonka i udająca, że robi to samo, córeczka.

Kaz wyrzwał na ulicę i gestem przywołał Wylana, po czym zamknął drzwi na zamek i szybkim krokiem ruszyli wybrukowaną uliczką. Wylan obejrzał się przez ramię. Jeszcze nie do końca wierzył, że im się udało.

– Przestań się oglądać za siebie, jakbyś się bał, że ktoś cię śledzi – pouczył go Kaz. – I nie podbiegaj tak. Zachowujesz się jak jakiś Złodziej Numer Trzy w tanim przedstawieniu ulicznym wystawianym przy Wschodniej Klepce. Następnym razem idź normalnie. Staraj się udawać, że jesteś u siebie.

– Nie będzie następnego razu.

– Oczywiście, że nie. Postaw kołnierz.

Wylan wolał się nie spierać. Dopóki Inej nie była bezpieczna i wszyscy nie dostali obiecanych pieniędzy, nie mógł sobie pozwolić na stawianie żadnych wielkich warunków – ale kiedyś to się skończy. Musi się skończyć. Prawda?

Z drugiej strony ulicy dobiegł przenikliwy ptasi krzyk. Matthias. Kaz zerknął na

zegarek i rozczochrał sobie włosy.

– W samą porę – mruknął.

Wyszli z za rogu i zderzyli się z Cornelisem Smeetem.



Trzymając się w cieniu, Matthias śledził rozwój akcji tego niezwykłego przedstawienia.

Cornelis Smeet zachwiał się na nogach i omal nie przewrócił. Kapelusz zsunął mu się z niemal łysej głowy. Chłopak, który na niego wpadł, podszedł i wyciągnął rękę, jakby chciał mu pomóc.

Chłopak ten był Kazem – i zarazem kimś zupełnie innym. Wyraźnie podenerwowany, ze zmierzwioną fryzurą, przyciągnął brodę do piersi i skulił się, jakby z zakłopotania: zwykły żółtodziób, młodziak pełen szacunku dla starszych. Wylan przyczaił się za jego plecami, tak zakutany w płaszcz, że z punktu widzenia Matthiasa praktycznie zniknął.

– Patrz, gdzie leziesz! – sapnął urażony Smeet, nakładając ponownie kapelusz.

– Ogromnie przepraszam szanownego pana. – Kaz otrzepał ramiona kurtki Smeeta. – Niezgrabiasz ze mnie. – Schylił się. – O rety! Portfel panu wypadł!

– Rzeczywiście! – zdumiał się Smeet. – Dziękuję, bardzo ci dziękuję. – I na oczach niedowierzającego Matthiasa wyciągnął z przegródki portfela nowiutki banknot pięciokrugowy. – Proszę, młody człowieku. Warto być uczciwym.

Nie podnosząc głowy, Kaz zdołał wymamrotać unizone podziękowanie:

– Zbytek łaski, szanowny panie. Doprawdy, zbytek łaski. Oby Ghezen był równie hojny.

Korpulentny adwokat poszedł w swoją stronę, nucąc pod nosem, w przekrzywionym kapeluszu, zupełnie nieświadomy faktu, że oto przed chwilą zderzył się na ulicy z krupierem, który przez dwie godziny siedział naprzeciwko niego w Cumulusie. Stanąwszy przed drzwiami domu, wyciągnął spod koszuli łańcuszek, po czym zaczął gorączkowo obmacywać kieszenie kamizelki w poszukiwaniu gwizdka.

– Nie zaczepiłeś mu go na łańcuszku? – spytał Matthias, gdy Kaz z Wylanem dołączyli do niego w cieniu bramy.

– Nie chciało mi się.

Smeet sprawdził jeszcze koszulę, aż w końcu wyjął gwizdek i – znów nucąc pod nosem – otworzył drzwi.

Matthias nie mógł wyjść z podziwu. Nie spuszczał wzroku z rąk Kaza, kiedy ten

otrząpywał Smeeta, ale mimo że wiedział o planie podrzucenia gwizdka właścicielowi, nie udało mu się dostrzec momentu, w którym to nastąpiło. Kusiło go, żeby ściągnąć prawnika z powrotem i zmusić Kaza do powtórzenia sztuczki.

Kaz przyglądał włosy i oddał banknot Wylanowi.

– Nie wydaj wszystkiego w jednym miejscu – ostrzegł chłopaka. – Idziemy.

Matthias wykierował ich na ścieżkę wzdłuż wąskiego bocznego kanału, na którym zacumował łódź. Rzucił Kazowi jego laskę i po kolei zeszli do łodzi. Kaz miał dość oleju w głowie, żeby na ten nocny wypad nie zabierać laski: gdyby ktoś zauważył, jak chłopak z laską z główką w kształcie wroniej głowy myszkuje o dziwnych porach wokół domu Cornelisa Smeeta, nawet przypadkowa niewinna wzmianka o tym mogłaby dojść do uszu Van Ecka – a wtedy wszystkie ich starania poszłyby na marne. Jeżeli mieli odbić Inej, musieli mieć przewagę zaskoczenia. *Demjin* nie zwykł zostawiać takich detali przypadkowi.

– I co? – zainteresował Matthias, gdy łódź zaczęła ciąć ciemną wodę kanału.

– Powściągnij język, Helvarze. Po wodzie słowa daleko się niosą. Skup się na wiosłowaniu, będzie z ciebie większy pożytek.

Matthias z trudem powstrzymał chęć połamania wiosła. Czy odrobina uprzejmości naprawdę zaszkodziłaby Kazowi? Wydawał rozkazy w taki sposób, jakby spodziewał się, że wszyscy będą je wykonywali bez szemrania, a po tym, jak Van Eck porwał Inej, stał się dwakroć bardziej nieznośny niż zwykle. Ponieważ jednak Matthiasowi śpieszno było do powrotu na Czarny Woal i do Niny, posłusznie zrobił, co mu kazano, i prężąc mięśnie ramion, pchnął łódź pod prąd.

Skoncentrował się na wypatrywaniu znajomych punktów orientacyjnych, odtwarzając z pamięci nazwy ulic i mostów. Co noc ślęczał nad planem Ketterdamu, a mimo to wciąż nie ogarniał płątaniny jego zaułków i kanałów. Zawsze szczylił się tym, że ma intuicyjne wycucie kierunku, ale Ketterdam go pokonał. Nieraz przeklinał w duchu tego, kto najpierw postanowił ulokować miasto na bagnach, a potem zabudował je bez ładu i składu.

Przepłynąwszy pod Havenbridge, z ulgą stwierdził, że znów rozpoznaje okolicę. Kaz złożył wiosła, przeprowadził łódź przez mętne rozszerzenie kanału zwane Zakolem Żebraków i wykierował na płyciznę przy Czarnym Woalu. Zacumowali pod opadającymi gałęziami białej wierzby i wspięli się po skarpie między grobami.

Czarny Woal był miejscem nieco upiornym – miniaturowym miastem mauzoleów z białego marmuru, z których wiele wyrzeźbiono na kształt statków z zapłakanymi galionami tnących fale niewidzialnych mórz. Na niektórych widniał emblemat Monet Łaski Ghezena, na innych – kercheńskie trzy latające ryby, wskazujące, jak utrzymywała Nina, że zmarli pracowali w administracji rządowej. Kilku grobów strzegli ravkańscy święci w powłóczystych marmurowych szatach. Nigdzie zaś nie było widać śladu Djela i jego świętego jesionu. Fjerdanie nie chcieli grzebać zmarłych ponad ziemią, gdzie ci nie mogli się zakorzenić.

Większość grobowców podupadła, z wielu zostały zaledwie sterty kamieni porośnięte

pnąciami i kępami wiosennych kwiatów. Perspektywa wykorzystania cmentarza (choćby nie wiadomo od jak dawna był nieużywany) w charakterze schronienia napawała Matthiasa zgrozą, ale Kaz Brekker – jakżeby inaczej – nie uznawał żadnych świętości.

– Dlaczego cmentarz został porzucony? – zapytał Matthias, kiedy urządzili sobie kryjówkę w ogromnym mauzoleum pośrodku wyspy.

– Zaraza – odparł Kaz. – Kiedy ponad sto lat temu wybuchła pierwsza poważna epidemia, Rada Kupiecka zakazała pochówku w granicach miasta. Dzisiaj ciała się kremuje.

– Chyba że ktoś jest bardzo bogaty – wtrącił Jesper. – Wtedy wywożą go na cmentarz poza miastem, gdzie jego zwłoki mogą się rozkoszować świeżym powietrzem.

Matthias szczerze nie cierpiał Czarnego Woalu, ale musiał przyznać, że wyspa spełnia swoją rolę. Plotki o nawiedzeniach skutecznie wypłaszają bezdomnych, a snująca się wśród kamiennych masztów nagrobnych i powykręcanych wierzb mgła skrywała światło latarni.

Oczywiście wszystko to na nic by się zdało, gdyby ktoś usłyszał Ninę i Jespera wrzeszczących na siebie nawzajem: najwyraźniej wrócili już na wyspę i przycumowali swoją *gondelę* po drugiej stronie. Na dźwięk niosącego się ponad grobami poirytowanego głosu Niny Matthias poczuł przyływ ulgi i przyśpieszył kroku, chcąc ją jak najszybciej zobaczyć.

– Wydaje mi się, że nie doceniasz tego, przez co właśnie przeszedłem – mówił ze złością Jesper, przemierzając z głośnym tupotem cmentarz.

– Przesiedziałeś noc przy stoliku karcianym, przegrywając cudze pieniądze – odparowała Nina. – Dla ciebie to przecież jak wakacje, czyż nie?

Oboje ucichli, gdy Kaz zastukał laską o najbliższy grób, i przyjęli postawę bojową. Nina pierwsza się odprężyła na widok znajomych sylwetek.

– A, to wy.

– Tak, to my. – Kaz skinieniem laski zagonił wszystkich na środek wysepki. – Usłyszelibyście, jak nadchodzimy, gdybyście się tak nie wydzierali. Nie gap się tak, Matthias. Co ty, pierwszy raz widzisz dziewczynę w sukni?

– Wcale się nie gapilem – odparł Matthias z całą godnością, na jaką było go stać.

Ale, na Djela, na cóż innego miał patrzeć, kiedy Nina miała irysy wsunięte za... no właśnie.

– Siedź cicho, Brekker – wtrąciła Nina. – Lubię, kiedy się gapi.

– Jak misja? – spytał Matthias.

Bardzo się starał skupić wzrok na twarzy Niny, co przyszło mu z łatwością, gdy tylko dostrzegł pod warstwą makijażu, jaka jest wyczerpana. Z wdzięcznością przyjęła podsunięte jej ramię i oparła się na nim lekko, gdy razem szli po wyboistym terenie. Noc była męcząca. Nina nie powinna brykać po Baryłce w skąpych jedwabiach, tylko odpoczywać, ale termin ultimatum Van Ecka zbliżał się nieubłaganie i Matthias zdawał sobie sprawę, że Nina nie spocznie, dopóki Inej nie będzie bezpieczna.

– To nie żadna misja, tylko robota do wykonania – poprawiła go. – Udała się

wyśmienicie.

– Aha, wyśmienicie – powtórzył z przekąsem Jesper. – Z wyjątkiem tego, że moje rewolwery kurzą się teraz w sejfie w klubie Cumulus. Smeeta bał się je zabrać do domu, grubas jeden. Jak pomyślę, że moje maleństwa trafią w te jego spocone łapska...

– Nikt ci nie kazał ich zastawiać – zauważył Kaz.

– Swoimi rozdaniem zapędziłeś mnie w kozi róg! Jak inaczej miałem zatrzymać Smeeta przy stole?!

Słyszając ich, Kuwei wystawił głowę z grobowca.

– Co ci powiedziałem? – burknął Kaz i pogroził mu laską.

– Za słabo znam kercheński – pożalił się Kuwei.

– Nie żartuj sobie ze mnie, chłopcze. Znasz go wystarczająco dobrze. Masz się nie wychylać.

Kuwei zwiesił głowę.

– Nie wychylać się – powtórzył smętnie.

Weszli za nim do środka. Matthias nienawidził tego miejsca. Po co budować takie pomniki ku czci śmierci? Grobowiec przypominał stary statek towarowy i jego wnętrze również wyrzeźbiono na podobieństwo wnętrza kadłuba; miał nawet witrażowo przeszklone bulaje, które po południu rzucały tęcze na kamienną podłogę. Wyrzeźbione na ścianach palmy i węże wskazywały – według Niny – że mauzoleum należy do rodu kupców korzennych, który jednak albo mocno podupadł, albo po prostu przeniósł swoich zmarłych gdzie indziej, bo tylko w jednej krypcie znaleźli jakieś zwłoki. Wąskie korytarze po bokach kadłuba również były całkiem puste.

Nina wyjęła z włosów szpilki, ściągnęła blond perukę i rzuciła ją na stojący pośrodku pomieszczenia stół, po czym opadła ciężko na krzesło i zaczęła rozmasowywać skórę głowy.

– O wiele lepiej... – Westchnęła z zadowoleniem.

Matthias nie mógł jednak nie zauważyć zielonkawego odcienia jej skóry. Dzisiaj wyglądała nawet gorzej niż zwykle: albo miała jakieś kłopoty ze Smeetem, albo zwyczajnie była przemęczona – a mimo to, patrząc na nią, czuł przyjemne odprężenie. Przynajmniej znów wyglądała jak Nina: wilgotne od potu kasztanowe loki, półprzymknięte oczy... Czy fascynacja tym, jak ktoś siedzi i się garbi, to na pewno normalne?

– Zgadnijcie, co widzieliśmy w drodze powrotnej z Pokrywki – zaproponowała Nina.

Jesper bobrował w zapasach żywności.

– Dwa okręty wojenne z Shu Hanu – powiedział. – Stoją w porcie.

Nina rzuciła w niego szpilką.

– Chciałam, żeby zgadywali!

– Z Shu Hanu? – powtórzył Kuwei, który tymczasem wrócił do zasłanego notatkami stołu.

Nina pokiwała głową.

– Uzbrojone po zęby, z czerwoną banderą.

– Rozmawiałem ze Spechtem – odezwał się Kaz. – We wszystkich ambasadach roi się od dyplomatów i żołnierzy: nowoziemskiej, karelskiej, ravkańskiej...

– Myślisz, że wiedzą o Kuweiu? – spytał Jesper.

– Myślę, że wiedzą o *parem*. W każdym razie coś tam słyszeli. W Lodowym Dworze nie brakowało ciekawskich łasych na plotki o... wyzwoleniu Kuweia. – Kaz spojrział na Matthiasa. – Fjerdanie też tu są. Przywieźli ze sobą cały oddział *drüskelle*.

Kuweii westchnął żałościwie. Jesper przykucnął obok niego i szturchnął go ramieniem.

– Szukają cię – powiedział. – To chyba fajne uczucie?

Matthias milczał. Nie podobała mu się myśl o tym, że jego dawni towarzysze broni, może nawet dawny dowódca, znajdują się w odległości dosłownie paru mil. Nie żałował swoich postępów w Lodowym Dworze, ale to jeszcze nie oznaczało, że do końca się z nimi pogodził.

Wylan sięgnął po krakersa z zapasów wysypanych na stół przez Jespera. Matthias ciągle nie mógł się przyzwyczaić do widoku Wylana i Kuweia w jednym pokoju, obok siebie. Nina w roli formatorki tak świetnie wywiązała się ze swojego zadania, że dopóki któryś z nich się nie odezwał, Matthias miał kłopot z ich odróżnieniem. Byłoby miło, gdyby jeden zaczął nosić kapelusz.

– A wam jak poszło w biurze Smeeta? – zaciekawiała się Nina. – Wiecie już, gdzie Van Eck ją trzyma?

– Mam pewien pomysł – przyznał Kaz. – Uderzymy jutro o północy.

– Zdamy się przygotować? – zaniepokoił się Wylan.

– Nie mamy wyjścia. Nie będziemy czekać na wykaligrafowane zaproszenie. Co z wołkiem? Jakies postępy?

Jesper uniósł brwi.

– Z jakim wołkiem?

Wylan wyjął zza pazuchy buteleczkę i postawił ją na stole.

Matthias pochylił się nad nią. W środku było coś, co wyglądało jak drobne kamyki.

– To jest wołek?

Zawsze mu się wydawało, że wołki to szkodniki lęgące się w spichrzach z ziarnem.

– Nie taki prawdziwy – przyznał Wylan. – Chemiczny. Właściwie to jeszcze nie ma nazwy.

– No to trzeba mu ją nadać – powiedział Jesper. – Inaczej jak go zawołasz na kolację?

– Mniejsza o nazwę – uciał Kaz. – Najważniejsze jest w tej chwili to, że zje wszystkie rachunki bankowe Van Ecka, a wraz z nimi jego reputację.

Wylan odkaszlnął.

– Być może – powiedział. – To skomplikowane, z tą chemią... Miałem nadzieję, że może Kuweii by mi pomógł.

Nina powiedziała coś w języku shu do Kuweia, który w odpowiedzi wzruszył ramionami, zrobił smętną minę i odwrócił wzrok. Czy to z powodu niedawnej śmierci ojca, czy też na skutek uwięzienia na cmentarzu w towarzystwie bandy złodziei, bardzo ostatnio pomarkotniał.

– To jak będzie? – ponaglił go Jesper.

– Mam inne sprawy na głowie.

Czarne spojrzenie Kaza przyszpiliło Kuweia jak czubek sztyletu.

– Lepiej jeszcze raz przemyśl swoje priorytety.

Jesper znów szturchnął Kuweia.

– W ten sposób Kaz daje ci do zrozumienia, że albo pomożesz Wylanowi, albo zamknę cię w jednym z tutejszych grobowców i zobaczymy, jakie wtedy będziesz miał sprawy na głowie.

Matthias nie wiedział, ile Kuwei rozumie z ich rozmów, ale ogólna idea wypowiedzi Kaza z pewnością do niego dotarła, bo przełknął z wysiłkiem ślinę i niechętnie skinął głową.

– To się nazywa siła przekonywania... – zachwycił się Jesper i zjadł krakersa.

– Wylan z Kuweiem uruchomią wołka – mówił tymczasem Kaz. – Po odbiciu Inej zaatakujemy silosy Van Ecka.

Nina przewróciła oczami.

– No tak, najważniejsze są pieniądze, a nie ocalenie Inej.

– Skoro nie chodzi ci o pieniądze, Nino, nazwij to, jak chcesz.

– *Kruga*? Szmal? Jedyna prawdziwa miłość Kaza?

– Wolność, bezpieczeństwo, zemsta.

– Te sprawy nie mają ceny.

– Czyżby? Założę się, że Jesper umiałby je wycenić. Dla niego to cena wykupu zastawionej ojcowskiej farmy.

Snajper wbił wzrok w czubki swoich butów.

– A ty, Wylanie? – ciągnął Kaz. – Umiałbyś wycenić możliwość porzucenia Ketterdamu i życia na własny rachunek? Przypuszczam zresztą, że i ty, Nino, potrzebujesz z Fjerdaninem do życia czegoś bardziej konkretnego niż patriotyzm i tęskne spojrzenia. Inej również mogłaby podać jakąś sumę. To cena naszej przyszłości. Van Eck ją zapłaci.

Matthias nie dał się zwieść: Kaz zawsze mówił z sensem, ale to wcale nie znaczyło, że mówi prawdę.

– Życie Zjawy jest warte więcej – zauważył. – Dla nas wszystkich.

– Odbijemy Inej i dostaniemy nasze pieniądze. To proste.

– Proste – powtórzyła Nina. – A wiedzieliście o tym, że jestem następną w kolejce do fjerdańskiego tronu? Nazywają mnie księżniczką Ilsą z Engelsbergu.

– W Engelsbergu nie mają księżniczki – wytknął jej Matthias. – To rybacka miłośnica.

Nina wzruszyła ramionami.

– Skoro już mamy się okłamywać, to róbmy to z rozmachem.

Udając, że jej nie słyszy, Kaz rozpostarł na stole plan miasta. Matthias usłyszał, jak Wylan zwraca się półgłosem do Jespera: – Dlaczego po prostu nie powie, że chce ją odzyskać?

– Znasz Kaza, prawda?

– Ale ona jest jedną z nas!

Jesper po raz kolejny uniósł brwi.

– Jedną z nas? To znaczy, że zna nasze sekretne powitanie? Albo że ty jesteś gotowy zrobić sobie tatuaż?

Przesunął palcem po przedramieniu Wylana, który intensywnie się zarumienił. Matthias nie mógł nie współczuć chłopakowi; dobrze znał to uczucie zagubienia. Czasami miał wrażenie, że mogliby darować sobie te wszystkie plany Kaza i po prostu poczekać, aż Jesper i Nina flirtem obłaskawią cały Ketterdam.

Wylan starannie obciągnął rękaw.

– Inej należy do ekipy.

– Po prostu nie naciskaj, to tylko chciałem powiedzieć.

– Dlaczego?

– Dlatego że z praktycznego punktu widzenia Kaz powinien sprzedać Kuweia temu, kto da najwięcej, i zapomnieć o Inej.

– Nie zrobiliby... – Wylan zawiesił głos. Nagle ogarnęły go wątpliwości.

Żadne z nich tak naprawdę nie wiedziało, co Kaz by zrobił, a czego nie. Czasem Matthias podejrzewał, że sam Kaz tego nie wie.

– W porządku, Kaz – powiedziała Nina. Zzuła buty, żeby rozruszać palce u nóg. – Skoro zatem uknułeś jakiś wielki i sprytny plan, to może przestałbyś dumać nad mapą i powiedział nam, co nas czeka?

– Na razie chcę, żebyście się skupili na tym, co mamy do zrobienia jutro w nocy. Potem udzielę wam wszystkich informacji, jakie się wam zamarzą.

– Serio? – spytała Nina, obciągając stanik sukni.

Pyłek z irysa osypał jej się na odsłonięte ramię; Matthias poczuł nieprzepartą chęć scałowania go z jej skóry.

Pewnie jest trujący, upomniał się surowo. Może powinienem iść na spacer.

– Van Eck obiecał nam trzydzieści milionów *kruge* – mówił Kaz – i dokładnie tyle sobie weźmiemy. Plus milion na rozliczenie kosztów i odsetki oraz dlatego, że po prostu możemy.

Wylan przełamał krakersa.

– Ojciec nie ma trzydziestu milionów na podorędziu. Nawet gdyby zebrał wszystkie swoje aktywa w jednym miejscu.

– W takim razie powinieneś stąd wyjść – odparł Jesper. – Bo my zadajemy się wyłącznie z popadłymi w niełaskę dziedzicami największych fortun.

Kaz przeciągnął kaleką nogę i poruszył stopą, żeby rozluźnić mięśnie.

– Przede wszystkim, gdyby Van Eck trzymał taki szmal w domu, to byśmy go po prostu okradli, zamiast robić wjazd do Lodowego Dworu. Mógł zaproponować tak wysoką nagrodę tylko dzięki temu, że – jak utrzymuje – ma poparcie Rady Kupieckiej i obiecaną pomoc finansową z kasy miasta.

– A ta skrzynia pełna banknotów, którą przywiózł na Vellgeluk? – spytał Jesper.

– Podpucha – odparł z niesmakiem Kaz. – Prawdopodobnie dobrze zrobione fałszywki.

– To jak wobec tego zgarniemy pieniądze? Obrobimy skarbiec miejski? Okradniemy

Radę? – Jesper wyprostował się i podekscytowany zabębnił palcami w stół. – Obskoczmy dwanaście banków w jedną noc?

Wylan poruszył się niespokojnie na krześle. Matthias wyraźnie widział malujący się na jego twarzy niepokój. No, przynajmniej jeden w tej bandzie szubrawców miał jakieś opory przed kolejnymi przestępstwami.

– Nie. Zachowamy się jak kupcy i zdamy się na niewidzialną rękę rynku. – Kaz rozparł się wygodnie i położył dłoń na główce laski. – Najpierw odbierzemy Van Eckowi pieniądze, a potem reputację. Zadbamy o to, żeby nigdy już nie robił interesów ani w Ketterdamie, ani nigdzie indziej w Kerchu.

– A co z Kuweiem? – spytała Nina.

– Po skończonej robocie Kuwei, podobnie jak inni skazańcy, griszowie i wydziedziczeni młodzieńcy, za których głowę wyznaczono nagrodę albo nie, będzie mógł się zadekować w Południowych Koloniach.

Jesper zmarszczył brwi.

– A ty gdzie będziesz?

– Tutaj. Jest mnóstwo spraw, które wymagają mojej uwagi.

W pozornie swobodnym tonie głosu Kaza zabrzmiała mroczna, wyczekująca nuta. Matthias często się zastanawiał, jak ludziom udaje się przeżyć spotkanie z Ketterdamem. Tym razem wcale nie było pewne, czy Ketterdam przeżyje spotkanie z Kazem Brekkerem.

– Zaraz, chwileczkę... – wtrąciła Nina. – Myślałam, że Kuwei ma płynąć do Ravki.

– Skąd ten pomysł?

– Kiedy sprzedawałeś Rollinsowi swoje udziały w Klubie Wron, poprosiłeś go o przekazanie wiadomości do stolicy Ravki. Wszyscy to słyszeliśmy.

– Ja osobiście myślałem, że to prośba o pomoc – przyznał Matthias – a nie zaproszenie do targów.

Nigdy nie rozmawiali o odesłaniu Kuweia do Ravki.

Kaz obrzucił ich oboje rozbawionym spojrzeniem.

– Ani jedno, ani drugie – powiedział. – Oby Pekka Rollins okazał się równie łatwowierny jak wy.

– To była zmyłka – jęknęła Nina. – Po prostu chciałeś go czymś zająć.

– Chciałem, żeby Pekka Rollins miał zajęcie. Mam nadzieję, że w tej chwili jego ludzie usiłują wytropić naszych łączników w Ravce. A tych trudno będzie znaleźć, zważywszy na fakt, że nie istnieją.

Kuweii odchrząknął i powiedział:

– Chciałbym popłynąć do Ravki.

– A ja chciałbym dostać kąpielówki podbite sobolowym futerkiem – mruknął Jesper. – Niestety nie zawsze dostajemy to, czego chcemy.

Kuweii zmarszczył brwi. Wyglądało na to, że Jesper osiągnął – i przekroczył – granice jego znajomości kercheńskiego.

– Chciałbym popłynąć do Ravki – powtórzył bardziej stanowczo.

Kaz zmierzył go czarnym, beznamiętnym spojrzeniem. Kuwei zaczął się nerwowo wiercić.

– Dlaczego on tak na mnie patrzy?

– Zastanawia się, czy powinien zachować cię przy życiu – wyjaśnił Jesper. – Coś takiego potrafi rozwalić człowieka. Zalecam głębokie oddechy. I może łyceczek czegoś mocniejszego na pokrzepienie.

– Jesper, przestań – złażał go Wylan.

– Obaj wyluzujcie. – Jesper poklepał Kuweia po ręce. – Nie damy mu cię pogrzebać.

Kaz uniósł brew.

– Nie zapędzajmy się w naszych obietnicach zbyt daleko.

– Daj spokój, Kaz, nie po to włożyliśmy tyle trudu w uwolnienie go, żeby teraz zeżarło go robactwo.

– Po co chcesz płynąć do Ravki? – spytała Nina z nieskrywaną ciekawością.

– To nie zostało uzgodnione – upomniał ją Matthias.

Nie chciał się o to kłócić, a już na pewno nie z Niną. Mieli uwolnić Kuweia, który rozpocznie nowy, anonimowy żywot w Nowoziemiu, a nie oddawać go w ręce największego wroga Fjerdy.

Nina wzruszyła ramionami.

– Może powinniśmy przemyśleć różne warianty.

– Tam jest bezpieczniej. – Kuwei mówił powoli, starannie dobierając słowa. – Dla griszów. Dla mnie. Nie chcę się ukrywać. Chcę się szkolić. – Dotknął leżących przed nim notatek. – Prace mojego ojca mogą być pomocne w znalezieniu... – Zawiesił głos, zamienił parę słów z Niną. – Antidotum na *parem*.

Rozpromieniona Nina splotła z zachwytem dłoń.

Jesper jeszcze bardziej odchylił się na krześle.

– Nina wygląda, jakby zaraz miała nam się tu rozśpiewać.

Antidotum. Czy to o tym gryzmolił Kuwei w swoich notatnikach? Perspektywa odkrycia substancji, która zneutralizowałaby moc *parem*, była kusząca, lecz Matthias nie potrafił wyzbyć się ostrożności.

– Złożenie takiej wiedzy w ręce jednego kraju... – zaczął.

– Mój ojciec sprowadził ten narkotyk na świat – przerwał mu Kuwei. – Nawet beze mnie i bez mojej wiedzy ktoś inny znów go wyprodukuje.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś inny rozwiąże zagadkę *parem*? – spytał Matthias.

Czy naprawdę nie było żadnej nadziei na pozbycie się tego plugastwa?

– Tak to bywa z odkryciami naukowymi – zauważył Wylan. – Od chwili gdy ludzie odkrywają, że coś jest możliwe, nowe odkrycia następują coraz szybciej i szybciej. A potem równie dobrze mógłbyś próbować zagnać rój szerszeni z powrotem do gniazda.

– Naprawdę sądzisz, że można wynaleźć antidotum? – zapytała Nina.

– Nie wiem – odparł Kuwei. – Mój ojciec był fabrykatorem. Ja jestem tylko piekielnikiem.

– Ty jesteś naszym chemikiem, Wylanie – przypomniała z nadzieją Nina. – Co o tym

myślisz?

– Może... – Wylan wzruszył ramionami. – Ale nie na wszystkie trucizny jest antidotum.

– To dlatego przezywamy go Wylan Słoneczko! – prychnął Jesper.

– W Ravce jest więcej utalentowanych fabrykatorów – ciągnął Kuwei. – Mogliby pomóc.

Nina z zapalem pokiwała głową.

– To prawda. Genya Safin zna się na truciznach jak nikt inny, a David Kostyk zrobił mnóstwo nowej broni dla króla Nikolaia. – Zerknęła na Matthiasa. – Nie tylko broń tworzył, inne rzeczy też. Miłe. Pokojowe.

Matthias pokręcił głową.

– Takiej decyzji nie można podjąć na chybcika.

Kuwei zacisnął zęby.

– Chciałbym popłynąć do Ravki.

– Widzisz? – powiedziała Nina.

– Nie, nie widzę – odburknął Matthias. – Nie możemy tak po prostu oddać Ravce takiego skarbu.

– Kuwei jest człowiekiem, nie skarbem, i chce się tam udać.

– To teraz jednak wszyscy dostają to, czego chcą? – zapytał Jesper. – Bo jeśli tak, to ja mam tu spis...

Brzemienna napięciem cisza przedłużała się w nieskończoność, aż w końcu Kaz powiódł palcem w rękawicze wzdłuż kantu spodni i się odezwał: – Nino, najdroższa, zechcesz dla mnie tłumaczyć? Chciałbym mieć pewność, że rozumiemy się z Kuweiem.

– Kaz... – zaczęła ostrzegawczym tonem Nina.

Kaz zsunął się na skraj krzesła i oparł dłonie na kolanach. Wyglądał jak łagodny starszy brat, który zaraz udzieli młodszemu przyjacielskiej rady.

– Powinieneś zrozumieć, jak zmieniła się twoja sytuacja. To ważne. Van Eck wie, że pierwszym miejscem, w którym zechcesz szukać schronienia, będzie Ravka. Dlatego każdy statek, który do niej wyruszy, zostanie przeszukany od zęby po topy masztów. Jedyjni formatorzy, którzy mogliby upodobnić cię do kogoś innego, są w Ravce. Chyba żeby Nina znów przyjęła działkę *parem*.

Matthias warknął groźnie.

– To mało prawdopodobne – przyznał pojednawczo Kaz. – Domyślam się, że nie chcesz, żebym odstawił cię do Fjerdy albo Shu Hanu?

Można było łatwo poznać, kiedy Nina skończyła przekładać jego słowa, bo Kuwei zaskomlał: – Nie!

– W takim razie do wyboru masz jeszcze Nowoziemie i Południowe Kolonie. W Koloniach wpływy Kerchu są znacznie mniejsze. Poza tym klimat jest tam lepszy, o ile interesuje cię ten aspekt sprawy. Jesteś jak kradziony obraz, Kuweiu: zbyt rozpoznawalny, żeby go otwarcie sprzedać, i zbyt cenny, żeby poniewierał się bez opieki. Dla mnie jesteś bezwartościowy.

– Tego nie przełożę! – zaperzyła się Nina.

– To przełoż to: moim jedynym zmartwieniem jest niedopuszczenie do tego, żebyś

wpadł w ręce Jana Van Ecka. Jeżeli chcesz, żebym zaczął rozważać inne rozwiązania tego problemu, to kula w łeb będzie znacznie tańsza niż wsadzenie cię na statek do Południowych Kolonii.

Tym razem Nina przetłumaczyła słowa Kaza, chociaż nie bez oporów. Kiedy Kuwei odpowiedział coś w języku shu, zawahała się.

– Mówi, że jesteś okrutny – powiedziała w końcu.

– Jestem pragmatyczny. Gdybym był okrutny, wygłosiłbym mowę pogrzebową nad jego grobem, zamiast wdawać się w tę rozmowę. Dlatego, Kuweiu, popłyniesz do Południowych Kolonii, a gdy sytuacja się uspokoi, popłyniesz sobie do Ravki, do domu babki Matthiasa albo gdziekolwiek zechcesz.

– Mojej babki w to nie mieszaj – odezwał się Matthias.

Nina przetłumaczyła wypowiedź Kaza i Kuwei w końcu skinął sztywno głową. Matthias postawił na swoim, ale na widok przygnębienia na twarzy Niny czuł pustkę w piersi.

Kaz spojrzał na zegarek.

– Skoro wszystko sobie wyjaśniliśmy, każdy wie, co ma robić. W czasie pomiędzy tą chwilą i jutrzejszą nocą wiele rzeczy może pójść nie tak, jak trzeba, dlatego teraz omówimy plan ze szczegółami, a potem omówimy go raz jeszcze. Drugiej szansy nikt nam nie da.

– Van Eck wystawi strażników – zauważył Matthias. – Na pewno będą jej dobrze pilnowali.

– Zgadza się. Ma więcej broni, ludzi i innych środków. My mamy tylko zaskoczenie. Nie zmarnujemy go.

Z zewnątrz dał się słyszeć cichy zgrzyt. W ułamku sekundy wszyscy, nawet Kuwei, zerwali się na nogi gotowi do walki.

Chwilę później do mauzoleum wśliznęli się Rotty i Specht.

– Jak idą interesy? – spytał Kaz.

– Shu Han wzmocnił obsadę ambasady – odparł Specht. – Cała Pokrywka o tym mówi.

– Ilu?

– Będzie ze czterdziestu – powiedział Rotty, otrząsając błoto z butów. – Uzbrojeni po zęby, chociaż cały czas zgrywają dyplomatów. Nikt dokładnie nie wie, czego chcą.

– My wiemy – wtrącił Jesper.

– Nie udało mi się zbliżyć do Listewki – ciągnął Rotty, zwracając się do Kaza – ale Per Haskell jest podenerwowany i wcale się z tym nie kryje. Nawet pod twoją nieobecność staruszek miał huk roboty, a teraz jeszcze rozeszły się pogłoski, że wróciłeś i już poprzytykałeś się z jakimś kupcem. Aha, parę dni temu ktoś zaatakował jedną z przystani: zginęło kilku marynarzy, kapitanat legł w gruzach, ale nikt nie zna szczegółów.

Kaz spochmurniał. Brakowało mu informacji. Matthias zdawał sobie sprawę, że *demjin* ma swoje powody, żeby szukać Inej, ale prawda była taka, że bez niej potencjał wywiadowczy ekipy dramatycznie się skurczył.

– W porządku – mruknął Kaz. – Nikt nas na razie nie łączy z wjazdem do Lodowego

Dworu i sprawą *parem*?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Rotty.

– Czyli Pekka Rollins się nie wygadał – zauważył Wylan, nie kryjąc zdumienia.

– Kwestia czasu – rzekł Kaz. – Wie, że ukrywamy Kuweia. Na razie jest zajęty listem do Ravki, ale to nie będzie trwało wiecznie.

Jesper zabębnił niespokojnie palcami o uda.

– Zapomnieliście już, że całe miasto szuka nas, wścieka się na nas albo chce nas zabić?

– Co z tego?

– To, że zwykle mamy taki kłopot tylko z połową miasta.

Jesper mógł sobie żartować, ale Matthias naprawdę miał wątpliwości, czy ktokolwiek zdaje sobie sprawę z ogromu sił, jakim się przeciwstawili: Fjerda, Shu Han, Nowoziemie, Kaelczycy, Kerch – to nie były konkurencyjne gangi ani wykiwani wspólnicy, tylko całe państwa, zdecydowane chronić swoich obywateli i dbać o swoją przyszłość.

– To nie koniec – odezwał się Specht. – Matthias, ty nie żyjesz.

– Słucham? – Matthias całkiem dobrze znał kercheński, ale najwidoczniej nadal miał jakieś braki.

– Zostałeś zadźgany w lazarecie we Wrotach Piekieł.

Zapadła cisza.

Jesper ciężko osunął się na krzesło.

– Muzzen nie żyje?

– Muzzen? – powtórzył Matthias. Nie kojarzył gościa.

– Zajął twoje miejsce we Wrotach Piekieł – wyjaśnił Jesper. – Żebyś ty mógł się udać do Lodowego Dworu.

Matthias przypomniał sobie walkę z wilkami, pojawienie się Niny w jego celi, ucieczkę z więzienia... Nina obsypała jakiegoś chłopaka z Szumowin fałszywymi pęcherzami i przyprawiła go o gorączkę, żeby trafił na kwarantannę zamiast prosto do więzienia. Muzzen. Czegoś takiego nie powinien zapomnieć.

– Mówiłeś, zdaje się, że masz kogoś w lazarecie – przypomniała Kazowi Nina.

– Miał pilnować, żeby Muzzen był chory, a nie dbać o jego bezpieczeństwo – odparł z zawziętą miną Kaz. – To była robota na zlecenie.

– Fjerdanie – powiedziała Nina.

Matthias skrzyżował ręce na piersi.

– To wykluczone – orzekł.

– Niby dlaczego? – spytała Nina. – Wiemy, że *drüskelle* są w mieście. Jeżeli przybyli cię szukać i narobili szumu w Ratuszu, to na pewno dowiedzieli się, że jesteś przetrzymywany we Wrotach Piekieł.

– Nie – odparł stanowczo Matthias. – Nie posunęliby się do czegoś tak haniebnego. Wynajęcie zabójcy? Zamordowanie chorego?

A jednak już kiedy wypowiadał te słowa, tracił w nie wiarę. Jarl Brum i jego ludzie bez mrugnęcia okiem robili gorsze rzeczy.

– Duży, jasnowłosy i ślepy – powiedział Jesper. – Typowy Fjerdanin.

Zginął zamiast mnie, pomyślał Matthias. A ja nawet nie zapamiętałem jego imienia.

– Miał rodzinę? – zapytał w końcu.

– Tylko Szumowiny – odparł Kaz.

– Żadnych żałobników – mruknęła Nina.

– Żadnych pogrzebów – dopowiedział półgłosem Matthias.

– Jakie to uczucie, być martwym? – spytał Jesper. Wesole ogniki w jego oczach zniknęły bez śladu.

Matthias nie wiedział, co odpowiedzieć. Nóż, który zabił Muzzena, był przeznaczony dla niego, w dodatku było całkiem możliwe, że za zabójstwem stali Fjerdanie. *Drüskelle*. Jego bracia. Chcieli, by zginął niehonorową śmiercią, w szpitalnym łóżku. Stosowna śmierć dla zdrajcy. Zasłużona. Zaciągnął u Muzzena dług krwi, ale jak ma go spłacić?

– Co się stanie z ciałem? – zapytał.

– Najprawdopodobniej zmieniło się już w popiół na Krypie Kostuchy – odparł Kaz.

– Jest coś jeszcze – odezwał się znów Rotty. – Ktoś szuka Jespera.

– Jego wierzyciele będą musieli poczekać – powiedział Kaz. Jesper się wzdrygnął.

– Nie w tym rzecz. – Rotty pokręcił głową. – Jakiś gość rozpytuje o ciebie na uniwersytecie, Jesper. Twierdzi, że jest twoim ojcem.

waramyr



Inej leżała na brzuchu z wyciągniętymi do przodu rękami i pełzła jak robak w ciemności. Mimo że od paru dni się głodziła, przewód wentylacyjny wciąż był dla niej za wąski. W dodatku nie widziała, dokąd zmierza: po prostu parła przed siebie, podciągając się na czubkach palców.

Ocknęła się jakiś czas po walce na Vellgeluku; nie wiedziała ani jak długo była nieprzytomna, ani gdzie się znajduje. Pamiętała upadek z dużej wysokości po tym, jak jeden ze szkwalników Van Ecka ją upuścił – tylko po to, by drugi chwilę później złapał ją w locie: ręce zaciśnięte wokół niej jak stalowe obręcze, wiatr smagający ją po twarzy, szare niebo dookoła... i nagle ból eksplodujący pod czaszką. Kiedy znów doszła do siebie, leżała w ciemnościach, w głowie jej łomotało, miała związane ręce (w nadgarstkach, za plecami) i nogi (na wysokości kostek) oraz ciasną opaskę na oczach. Przez chwilę znów miała czternaście lat i przerażona i samotna została wrzucona do ładowni statku niewolniczego. Siłą woli zmusiła się do zaczerpnięcia tchu. Nie czuła kołysania, nie słyszała trzeszczenia wydętych żagli, leżała na stałym lądzie.

Dokąd Van Eck ją zabrał? Mogła znajdować się w jakimś magazynie, w czyimś domu, może nawet została wywieziona z Kerchu – nie miało to znaczenia. Była Inej Ghafą i nie zamierzała trząść się jak królik w sidłach.

Gdziekolwiek jestem, po prostu muszę się stąd wydostać.

Trąc twarzą o ścianę, zdołała zsunąć opaskę. W pokoju było ciemno choć oko wykol, a w ciemności słyszała tylko własny przyspieszony oddech, gdy znów zaczęła ją ogarniać panika. Zwalczyła ją, narzuciwszy sobie spokojny rytm oddechu, wdech przez nos, wydech przez usta, koncentrując się na modlitwie i czując bliską obecność świętych. Oczami wyobraźni widziała, jak oglądają jej więzy, rozcierają jej odrętwiałe dłonie. Nie próbowała sobie wmawiać, że się nie boi; dawno temu, po wyjątkowo nieszczęśliwym upadku, ojciec powiedział jej, że tylko głupcy nie znają strachu.

„My wychodzimy strachowi na spotkanie” – mówił. – „Witamy niespodziewanego gościa i słuchamy, co ma nam do powiedzenia. Bo kiedy pojawia się strach, to wiadomo, że za

chwilę coś się wydarzy”.

Zamierzała doprowadzić do tego, żeby coś się wydarzyło. Nie bacząc na ból rozsadzający jej czaszkę, cal po calu okrążyła pomieszczenie, by oszacować jego rozmiary. Następnie, wsparłszy się o mur, wstała i podskakując i szurając skrępowanymi stopami, obmacała ściany w poszukiwaniu drzwi i okien. Na dźwięk zbliżających się kroków osunęła się na ziemię, nie zdążyła jednak naciągnąć opaski na miejsce; strażnicy zawiązali ją ciasniej – ale to już nie miało znaczenia, bo wcześniej Inej zdążyła znaleźć wylot przewodu wentylacyjnego i teraz musiała tylko wyswobodzić się z więzów. Kaz zrobiłby to nie tylko w całkowitej ciemności, ale zapewne także pod wodą.

Pokój mogła jako tako obejrzeć tylko w tych krótkich chwilach, gdy przynoszono jej posiłki, a wraz z nimi lampę. Słyszała zgrzyt kluczy w kolejnych zamkach, skrzypienie otwieranych drzwi, szcęk tacy stawianej na stole. Chwilę później delikatnie zdejmowano jej przepaskę z oczu – Bajan nie bywał brutalny ani gwałtowny, to nie leżało w jego naturze. Prawdę mówiąc, Inej podejrzewała, że jego wypiełgnowane dłonie muzyka były zupełnie niezdolne do gwałtowności i brutalności.

Oczywiście na tacy nie było żadnych sztuców – Van Eck miał dość rozumu, żeby nie podsunąć jej choćby łyżki. Inej wykorzystywała jednak każdą chwilę bez opaski na oczach, by rozejrzeć się po pozbawionej sprzętów celi w poszukiwaniu wskazówek, które pomogłyby jej ustalić, gdzie się znajduje, i zaplanować ucieczkę. Niewiele tego było: goła betonowa posadzka, na niej sterta koców, które dano Inej, żeby nocą miała się w co zakutać, puste regały pod ścianami, do tego krzesło i stół, przy którym jadła. Nie było okien, a jedyną wskazówką, że znajduje się niedaleko Ketterdamu, był lekko słonawy aromat w wilgotnym powietrzu.

Bajan rozwiązywał jej ręce i krępował je ponownie z przodu, żeby mogła jeść. Odkąd jednak odkryła przewód wentylacyjny, nie przejadała się – ot, jadła akurat tyle, żeby nie stracić sił. Kiedy tego wieczoru Bajan ze strażnikami przynieśli jej kolację, zapach kiełbasek i owsianki przyprawił ją o głośnie burczenie w brzuchu. Z głodu kręciło jej się w głowie i kiedy próbowała usiąść przy stole, straciła z niego tacę, tłukąc kubek i miskę. Posiłek z plaśnięciem spadł na posadzkę w postaci smakowitej brei przetykanej odłamkami ceramiki, a Inej niezgrabnie grzmotnęła obok niego, omal nie lądując twarzą w owsiance.

Bajan pokręcił głową okrytą ciemną jedwabistą czupryną.

– Jesteś słaba, bo nic nie jesz. Pan Van Eck kazał mi w razie potrzeby nakarmić cię siłą.

– Tylko spróbuj – odcięła się Inej, patrząc na niego z podłogi i szczerząc zęby. – Ciekawe, jak bez palców będziesz dawał lekcje gry na fortepianie.

Bajan parsknął śmiechem i błysnął białymi zębami. Wraz z jednym ze strażników dźwignął ją na krzesło i kazał przynieść nową porcję jedzenia.

Van Eck nie mógł wybrać dla Inej lepszego strażnika. Sulijczyk imieniem Bajan był zaledwie kilka lat starszy od niej. Gęste czarne loki wywijały mu się na kołnierzyku, a czarne jak smoła oczy były obwiedzione rzęsami tak długimi, że mógłby nimi zabijać

muchy. Twierdził, że jest nauczycielem muzyki zatrudnionym przez Van Ecka. Inej nie mogła zrozumieć, po co Van Eck sprowadził takiego przystojniaka do domu, gdy jego żona była od niego ponad dwukrotnie młodsza: musiał być albo bardzo pewny siebie, albo bardzo głupi.

Wykiwał Kaza, upomniała się w duchu. To zdecydowanie przemawia za głupotą.

Po sprzątnięciu pokoju (zajął się tym strażnik; Bajan nie zniżał się do takich zajęć) i przyniesieniu nowej porcji Bajan oparty o ścianę patrzył, jak Inej je. Palcami nagarnęła owsianki, ale tylko niezdarnie skubnęła odrobinę.

– Musisz jeść więcej – zbeształ ją Bajan. – Jeżeli będziesz posłuszna i zechcesz odpowiedzieć na pytania Van Ecka, przekonasz się, że jest całkiem rozsądnym człowiekiem.

– Rozsądnym kłamcą, oszustem i porywaczem – odparła Inej i zaraz skłęła się w duchu, że dała się sprowokować do odpowiedzi.

Bajan nie potrafił ukryć zadowolenia. Każdy posiłek wyglądał tak samo: Inej dziobała jedzenie, a on zagadywał ją od niechcienia, od czasu do czasu wtrącając pytania o Kaza i Szumowiny. Każdą jej odpowiedź traktował jak zwycięstwo. Niestety, im mniej jadła, tym bardziej była osłabiona i tym trudniej było jej się pilnować.

– Zważywszy na towarzystwo, w jakim się obracasz, spodziewałbym się, że kłamstwo i oszustwo poczytasz panu Van Eckowi za zalety.

– *Shevrati* – odparła bardzo wyraźnie. „Ignorant”.

Nieraz tak właśnie nazywała Kaza.

Przypomniała sobie Jespera bawiącego się rewolwerami; Ninę, która ruchem nadgarstka potrafiła wydusić z człowieka życie; Kaza w czarnych rękawiczkach otwierającego zamek wytrychem. Opryszki. Złodzieje. Mordercy. A każde z nich warte tysiąca takich Van Ecków.

Na pewno? Gdzie się w takim razie podzieli? To pytanie rozdarło jakąś pośpiesznie pozszywaną ranę w jej wnętrzu. Gdzie podziwiał się Kaz?

Nie chciała zbyt dokładnie analizować tego pytania. Kaz był nade wszystko pragmatykiem. Po co miałby ją ratować, jeśli mógł po prostu zatrzymać najcenniejszego zakładnika na świecie i zniknąć Van Eckowi z oczu?

Bajan skrzywił się i zmarszczył nos.

– Nie mówmy po sulijsku, bo robię się sentymentalny.

Miał na sobie jedwabne spodnie ze zwężanymi nogawkami i elegancko skrojony płaszcz. Wpięta w klapę płaszcz złota lira z wieńcem laurowym i małym rubinem symbolizowała profesję Bajana i zarazem wskazywała dom, z którym wiązał go kontrakt.

Inej zdawała sobie sprawę, że nie powinna z nim rozmawiać, ale w głębi duszy wciąż była przecież zbieraczką sekretów.

– Jakich instrumentów uczysz? Harfy? Fortepianu?

– Także fletu. Daję również lekcje śpiewu, ale tylko paniom.

– I jak śpiewa Alys Van Eck?

Bajan posłał jej rozleniwiony uśmiech.

– Przy mnie? Prześlicznie. Ciebie też mógłbym nauczyć wydawać różne przyjemne dźwięki.

Inej przewróciła oczami. Był taki sam jak chłopcy, wśród których dorastała: głowa pełna bzdur i gęba czarusia.

– Jestem związana i czekają mnie tortury lub inny, jeszcze gorszy los. Naprawdę chcesz ze mną flirtować?

Bajan zacmokał z dezaprobatą.

– Pan Van Eck i wasz pan Brekker dojdą do porozumienia. Van Eck to biznesmen; o ile dobrze rozumiem, po prostu dba o swoje interesy. Nie wyobrażam sobie, że mógłby się posunąć do torturowania kogokolwiek.

– Gdybyś co noc spał związany i z przepaską na oczach, może wyobraźnia aż tak by cię nie zawodziła – odparowała Inej.

A gdybyś choć trochę znał Kaza, nie byłbyś taki pewien, że dojdzie do wymiany, dodała w duchu.

W długich godzinach samotności próbowała odpoczywać i koncentrować się na ucieczce, jej myśli jednak nieuchronnie zwracały się ku Kazowi i pozostałym. Van Eck chciał ją wymienić na Kuweia Yul-Bo, chłopca z Shu Hanu, którego wykradli z najlepiej strzeżonej twierdzy na świecie. Tylko Kuwei miał szansę podjąć dzieło ojca i odtworzyć wyprodukowany przez niego narkotyk zwany *jurda parem*. Okup uzyskany za Kuweia dałby Kazowi wszystko, czego kiedykolwiek pragnął – pieniądze i prestiż niezbędne do zajęcia należnego mu miejsca wśród przywódców gangów z Baryłki, a także możliwość zemśczenia się na Pekce Rollinsie za śmierć brata. Fakty składały się w logiczny ciąg, w armię wątpliwości burzących nadzieję, której płomyk Inej starała się w sobie podtrzymać.

Zamiary Kaza były oczywiste: wystawić Kuweia na sprzedaż, zgarnąć za niego okup i znaleźć sobie nowego pająka, który wspinałby się na mury domów w Baryłce i wykradał dla niego sekrety. A ona przecież sama mu powiedziała, że zamierza wyjechać z Ketterdamu, gdy tylko dostaną pieniądze. „Zostań ze mną”, powiedział. Mówił poważnie? Jaką wartość miało jej życie wobec potencjalnej nagrody za Kuweia?

Nina by jej nie porzuciła; walczyłyby ze wszystkich sił o jej uwolnienie, nawet tkwiąc w szponach *parem*. Matthias – wielkoduszny i honorowy – trwałby przy niej. A Jesper... No, Jesper na pewno by Inej nie skrzywdził, ale pilnie potrzebował pieniędzy, jeśli nie chciał pozbawić ojca środków do życia. Zrobi, co w jego mocy – tyle że to akurat nie musi być najlepsze z jej punktu widzenia. Poza tym, czy któreś z nich mogło bez Kaza stawić czoło Van Eckowi, z jego okrucieństwem i majątkiem?

Ja mogę, odpowiedziała sobie w duchu. Może nie mam sprytu Kaza, ale niebezpieczna ze mnie dziewczyna.

Van Eck codziennie przysyłał Bajana, który – nieodmiennie uprzejmy i sympatyczny – próbował ją wypytywać o położenie kryjówek Kaza. Inej przypuszczała, że Van Eck nie przychodzi do niej osobiście, bo wie, że Kaz może go obserwować. A może po prostu spodziewał się, że Inej prędzej ulegnie sulijskiemu przystojniakowi niż szcwanemu kupcowi.

Tego wieczoru coś się jednak zmieniło.

Zazwyczaj Bajan wychodził, gdy Inej dała jasno do zrozumienia, że nie zamierza więcej jeść: pożegnalny uśmiech, lekki ukłon i zniknął, by wrócić następnego dnia rano. Tym razem zwlekał z odejściem.

Zamiast wyjść, kiedy Inej związanymi dłońmi odepchnęła miskę, zapytał:

– Kiedy ostatni raz widziałaś swoich bliskich?

Próbuje nowego podejścia, pomyślała.

– Czy Van Eck zaproponował ci jakąś nagrodę, jeśli wydobędziesz ze mnie informacje?

– Tylko pytam.

– A ja jestem tylko więźniem. Zagroził, że cię ukarze?

Bajan zerknął na strażników.

– Van Eck mógłby pozwolić ci wrócić do rodziny – powiedział, zniżając głos. – Mógłby wykupić twój kontrakt od Pera Haskella. Stać go na to.

– To twój pomysł czy twojego pana?

– A jakie to ma znaczenie?

Natarczywość w głosie Bajana utrudniała Inej skuteczną obronę. „Kiedy pojawia się strach, to wiadomo, że za chwilę coś się wydarzy”. Ale czy Bajan obawiał się Van Ecka, czy bał się o nią?

– Możesz odejść od Szumowin, Pera Haskella i tego potwora, Kaza Brekkera, wolna od wszelkich zobowiązań. Van Eck załatwiłby ci przejazd do Ravki i dał pieniądze na podróż.

Propozycja czy groźba? Czy to możliwe, że Van Eck znalazł jej matkę i ojca? Sulijczyków niełatwo było wytropić; na pewno mieliby się na baczności przed obcymi zadającymi pytania. A gdyby Van Eck rozesłał ludzi z wiadomością, że ma informacje o zaginionej dziewczynie, która w pewien zimny poranek zniknęła bez śladu, jakby fala przyływu zabrała ją z plaży?

– Co Van Eck wie o mojej rodzinie? – spytała, czując narastający gniew.

– Wie, że znalazłaś się daleko od domu. Zna warunki kontraktu łączącego cię z Menażerią.

– W takim razie wie, że byłam niewolnicą. Kaze aresztować Tante Heleen?

– Ehm... Nie wydaje mi się...

– Oczywiście, że nie. Nie interesuje go, że zostałam sprzedana i kupiona jak bela bawełny. Po prostu próbuje wyrzucić na mnie nacisk.

A jednak następne pytanie Bajana zupełnie ją zaskoczyło.

– Czy twoja matka piekła podpłomyki na patelni?

Inej zmarszczyła brwi.

– Naturalnie.

Podpłomyk z patelni stanowił podstawę sulijskiej kuchni. Inej upiekłaby go z zamkniętymi oczami.

– Z rozmarynem?

– Albo z koprem, jeśli był.

Wiedziała, co próbuje osiągnąć Bajan, każąc jej myśleć o domu, była jednak tak głodna,

a wspomnienie było na tyle żywe, że i tak zaburczało jej w brzuchu. Oczami wyobraźni widziała, jak matka przygasza ogień i szybkimi ruchami palców obraca placki, poczuła zapach pieczonego w żarze ciasta.

– Twoi przyjaciele nie przyjdą – powiedział Bajan. – Czas pomyśleć o własnym przetrwaniu. Przed końcem lata mogłabyś być w domu, z rodziną. Van Eck ci pomoże, jeśli tylko mu na to pozwolisz.

W głowie Inej rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Podstęp był aż nadto czytelny. Bajan był przemyły, miał piękne ciemne oczy i szastał obietnicami, ale pod tym wszystkim krył się strach – a mimo to wśród jazgotu podejrzeń słyszała ciche brzęczenie innego dzwoneczka, dźwięczącego: „A gdyby tak...”. A gdyby tak zadbała o własny komfort psychiczny i przestała udawać, że jest ponad to wszystko, co straciła? Gdyby pozwoliła Van Eckowi wsadzić się na statek i odstawić do domu? Mogłaby znów skosztować świeżutkiego podpłomyka, zobaczyć ciemny warkocz matki z wplecionymi wstążkami jedwabiu o barwie dojrzałej persymony...

Nie, nie była aż tak naiwna. Uczyła się od najlepszych.

Lepsza straszna prawda niż miłe kłamstwa.

Kaz nigdy nie proponował, że da jej szczęście – i teraz też nie wierzyła mężczyznom, którzy je jej obiecywali. Jej cierpienie nie poszło na marne. Święci sprowadzili ją do Ketterdamu w określonym celu: statek tropiący handlarzy niewolników, misja, która nada sens wszystkiemu, przez co przeszła. Nie zdradzi tego celu ani swoich przyjaciół w imię jakichś snów o przeszłości.

Syknęła na Bajana, który aż odskoczył, słysząc ten zwierzęcy odgłos.

– Powiedz swojemu panu, żeby najpierw zaczął dotrzymywać starych obietnic, nim zacznie składać nowe. A teraz zostaw mnie w spokoju.

Bajan czmychnął jak na wystrojonego szczura przystało, ale Inej wiedziała już, że czas się zmywać. Jego nalegania nie mogły znaczyć nic dobrego.

Muszę się wydostać z tego potrzasku, pomyślała, zanim ten potwór uwiedzie mnie wspomnieniami i współczuciem.

Może Kaz i inni po nią przyjdą, a może nie – w każdym razie nie zamierzała biernie czekać.

Po wyjściu Bajana i strażników wyłuskała odłamek rozbitej miski, ukryty w więzach krępujących jej stopy, i wzięła się do pracy. Owszem, kiedy Bajan przyniósł miskę bosko pachnącej papki, naprawdę czuła się słabo, ale tylko udała omdlenie, żeby zrzucić tacę ze stołu. Gdyby Van Eck należycie odrobił pracę domową, ostrzegłby Bajana, że Zjawa nigdy nie upada – a już na pewno nie w taki bezwładny sposób, i to w miejscu, w którym z łatwością mogła podkraść i schować ostry odłamek porcelany.

Piłowanie sznura ściszanym w rozkrwawionych palcach odłamkiem trwało całą wieczność, ale w końcu zdołała oswobodzić ręce, rozplątać więzy na nogach i po omacku podejść do wylotu kanału wentylacyjnego. Bajan ze strażnikami wrócą dopiero rano; miała więc całą noc na ucieczkę z więzienia i oddalenie się od niego najbardziej, jak tylko się da.

Kanał okazał się żałośnie wąski, zalegające w nim powietrze było zatęchłe i gęste od zapachów, które nie do końca rozpoznawała, a ciemność była tak absolutna, że na dobrą sprawę mogła nie zdejmować przepaski z oczu. Nie miała pojęcia, dokąd ją doprowadzi; równie dobrze mógł się ciągnąć przez kilka stóp, jak i pół mili. Wiedziała tylko, że jeżeli do rana nie ucieknie, to gdy znajdą obluzowaną na zawiasach pokrywę kanału, będą wiedzieli dokładnie, gdzie jej szukać.

I niech wtedy spróbują mnie stąd wyciągnąć, pomyślała smętnie. Wydawało jej się wątpliwe, żeby którykolwiek ze strażników zdołał się wcisnąć do otworu. Będą musieli znaleźć jakiegoś chłopca kuchennego i solidnie nasmarować go słoniną.

Posunęła się o kolejny cal. Jak bardzo oddaliła się od celi? Przy każdym głębszym wdechu miała wrażenie, że ściany zaciskają się jej wokół żeber. Może znajdowała się gdzieś wysoko w jakimś budynku? Kiedy przewód wentylacyjny się skończy, ona wytknie głowę na zewnątrz i daleko w dole zobaczy jedną z ketterdamskich ulic. Z tym by sobie poradziła – ale co będzie, jeśli przewód po prostu skończy się ślepo? Jeżeli jest zamurowany? Musiałaby wycofać się rakiem i mieć nadzieję, że zdąży sama się powiązać sznurem, zanim jej prześladowcy zorientują się, co zrobiła. Nie, to niemożliwe. Dziś wieczorem nie może sobie pozwolić na żadne ślepe zaułki.

Szybciej, ponagliła się w myślach. Pot wystąpił jej na czoło. Trudno było nie wyobrazić sobie, że budynek kurczy się wokół niej, a zaciskające się ściany wyduszają jej powietrze z płuc. Dopóki nie dotrze do końca tunelu i nie stwierdzi, jak bardzo oddaliła się od ludzi Van Ecka, nie będzie w stanie ułożyć żadnego sensownego planu ucieczki.

Nagle coś poczuła: ledwo wyczuwalny powiew na spoconym czole. Odmówiła pośpieszną modlitwę dziękczynną. Gdzieś z przodu, niedaleko, musiał znajdować się wylot kanału. Pociągnęła nosem, spodziewając się zwęszyć dym z komina albo zapach wilgotnych zielonych pól pod miastem. Ostrożnie czołgała się dalej, aż pod palcami wyczuła poziome listewki przegradzające otwór. Z drugiej strony nie padało światło, co chyba należało wziąć za dobry znak: pomieszczenie, w którym się za chwilę znajdzie, najwidoczniej jest puste. Na wszystkich świętych, a jeśli okaże się, że jest w posiadłości Van Ecka? Jeśli wyląduje na nim samym pogrążonym we śnie? Przez chwilę nasłuchiwała odgłosów, jakie mógłby wydawać człowiek: chrapania, głębokiego oddechu...

Nic.

Żałowała, że nie ma swoich noży; ich ciężar w dłoniach dodałby jej pewności siebie. Czy Van Eck nadal trzymał je u siebie? A może je sprzedał? Albo wyrzucił do morza? Mniejsza z tym. Wypowiedziała szeptem wszystkie ich imiona: Petyr, Marya, Anastasia, Lizabeta, Sankt Vladimir i Sankta Alina, w każdym kolejnym odnajdując nową porcję odwagi.

Poruszyła pokrywę kanału wentylacyjnego, a potem pchnęła ją z całej siły. Pokrywa się otworzyła, ale zamiast zawisnąć na zawiasach, po prostu odpadła. Inej próbowała ją jeszcze złapać w locie, ale pokrywa prześliznęła jej się przez palce i z łoskotem spadła na podłogę.

Czekała z bijącym sercem. Minuta upłynęła w całkowitej ciszy. Po niej druga. Nikt nie przyszedł. Pokój był pusty. Może cały budynek był pusty. Van Eck nie zostawiłby jej bez

obstawy, więc najpewniej rozstawił strażę na zewnątrz – a w takiej sytuacji przemknięcie się pomiędzy nimi nie będzie stanowiło problemu.

Poza tym teraz wiedziała już z grubsza, jak daleko ma do podłogi.

Tego, co zrobiła w następnej chwili, nie dało się zrobić z wdziękiem. Wysunęła się z kanału wentylacyjnego głową naprzód, uczepiwszy się jego krawędzi, po czym – gdy znalazła się w połowie poza otworem i tułów zaczął ją przeważać – po prostu spadła, zwinąwszy się po drodze w kulkę i osłoniwszy głowę rękami.

Upadek okazał się stosunkowo mało bolesny. Podłoga była wprawdzie betonowa, podobnie jak w jej celi, ale Inej przeturlała się w momencie zderzenia i oparła o jakiś przedmiot. Wstała i zaczęła obmacywać niespodziewaną przeszkodę, która okazała się obita aksamitem. Inej przesunęła się w bok... i namacała drugi taki sam obiekt.

Fotele, zdała sobie sprawę. Jestem w teatrze.

W Baryłce było mnóstwo teatrów i scen rewiowych. Czyżby znajdowała się aż tak blisko domu? A może to któraś z szacownych sal operowych w Przykrywce?

Powoli ruszyła przed siebie z wyciągniętymi do przodu rękami, aż dotarła do ściany, którą wzięła za tylną ścianę sali. Po omacku szła dalej wzdłuż niej, szukając drzwi, okna lub choćby następnego otworu wentylacyjnego. W końcu jej palce natrafiły na framugę drzwi, zsunęły się niżej i spoczęły na okrągłej klamce – która jednak ani drgnęła. Zamknięte na klucz.

Ostrożnie szarpnęła klamką.

Powódź światła zalała salę. Inej skuliła się przy drzwiach, mrużąc oślepienie oczy.

– Jeżeli chciała się pani wybrać na wycieczkę, panno Ghafa, wystarczyło poprosić – powiedział Jan Van Eck.

Stał na scenie podupadłego teatru, ubrany w surowy czarny garnitur kupca. Pokrywający fotele zielony aksamit był przeżarty przez mole, widoczna z boku sceny kurtyna zwisała w strzępach. Nikomu nie chciało się zdemontować scenografii po ostatnim spektaklu, która przywodziła na myśl chirurgiczną salę operacyjną widzianą oczami przerażonego dziecka, z zawieszonymi na ścianach przerośniętymi piłami i młotkami. Inej rozpoznała scenografię do *Szaleńca i medyka*, jednego z krótkich spektakli z Dzikiej Komedii.

Na obwodzie sali rozstawiono strażników, a na scenie obok Van Ecka stał Bajan, nerwowo wykręcający szczupłe dłonie. Czyżby specjalnie zostawili otwarty przewód wentylacyjny, żeby ją sprowokować? Czy Van Eck od początku bawił się jej kosztem?

– Dajcie ją tutaj – polecił teraz strażnikom.

Inej nie wahała się ani chwili. Wskoczyła na wąskie oparcie najbliższego rzędu siedzeń i puściła się biegiem w stronę sceny, przeskakując z fotela na fotel, podczas gdy strażnicy gramolili się nieporadnie przez kolejne rzędy. Wykręciwszy salto w powietrzu, wylądowała na scenie, wyminęła zaskoczonego Van Ecka, zwinnie wymknęła się jeszcze dwóm strażnikom i doskoczywszy do jednego ze zwieszających się z góry sznurów, zaczęła się po nim wspinać; modliła się w duchu, żeby utrzymał jej ciężar, dopóki nie znajdzie się na górze. Tam mogłaby skryć się wśród dźwigarów i znaleźć drogę na dach.

– Odetnijcie ją! – zawołał ze spokojem Van Eck.

Inej przyspieszyła, lecz sekundę później dostrzegła nad sobą twarz mężczyzny: jeden ze strażników Van Ecka, z nożem w dłoni, przeciął sznur.

Spadła na scenę. Wylądowała na ugiętych kolanach, ale zanim zdążyła się otrząsnąć, trzech ochroniarzy dopadło ją i unieruchomiło.

– Doprawdy, panno Ghafa... – odezwał się drwiącym tonem Van Eck. – Wszyscy zdajemy sobie sprawę z pani talentów. Naprawdę sądziła pani, że nie podejmę odpowiednich środków ostrożności? – Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Nie wyjdzie pani stąd bez pomocy mojej lub pana Brekкера. Ponieważ zaś pan Brekker jakoś nie przybywa z odsieczą, może powinna pani przemyśleć zmianę sojusznika?

Inej nie odpowiedziała.

Van Eck splótł dłonie za plecami. Inej dziwnie się czuła, patrząc na niego i widząc w jego twarzy ducha Wylana.

– W mieście aż huczy od plotek na temat *parem* – ciągnął. – W dzielnicy dyplomatycznej pojawiła się delegacja fjerdańskich *drüskelle*. Dwa okręty wojenne z Shu Hanu wpłynęły dzisiaj do Trzeciej Przystani. Dałem Brekkerowi siedem dni na dobiecie targu, jeśli chce panią odzyskać, ale oni wszyscy szukają Kuweia Yul-Bo. Muszę wywieźć go z miasta, zanim go znajdą.

Dwa okręty z Shu Hanu.

To była ta zmiana. Van Eckowi zaczynało brakować czasu. Ciekawe, czy Bajan o tym wiedział, czy po prostu wyczuł zmianę nastroju szefa?

– Miałem nadzieję, że Bajan przyda się do czegoś więcej niż szlifowanie talentów muzycznych mojej żony, ale wygląda na to, że to my dwoje musimy teraz dojść do porozumienia. Gdzie Kaz Brekker mógłby trzymać chłopaka?

– Skąd miałabym to wiedzieć?

– Na pewno wie pani, gdzie Szumowiny mogą się bezpiecznie schronić. Brekker nigdy nie działa bez przygotowania, dlatego przypuszczam, że ma kryjówki rozsiane po całym mieście.

– Skoro tak dobrze go znasz, to wiesz również, że nie trzymałby Kuweia w miejscu, do którego mogłabym cię zaprowadzić.

– W to akurat nie wierzę.

– Nie mam wpływu na to, w co wierzysz, a w co nie. Ten twój naukowiec z Shu Hanu pewnie dawno już opuścił Ketterdam.

– Usłyszałbym o tym. Wszędzie mam szpiegów.

– Najwyraźniej jednak nie wszędzie.

Van Eck ze znużeniem pokręcił głową.

– Na stół z nią.

Inej wiedziała, że nie ma sensu walczyć, lecz mimo to walczyła. Mogła albo stawić opór, albo poddać się zgrozie, która przeszła ją do szpiku kości, gdy strażnicy położyli ją na stole i unieruchomili jej ręce i nogi. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że instrumenty leżące na jednym ze stołów w niczym nie przypominają ogromniastych młotków i pił na ścianie;

to były najprawdziwsze przybory chirurgiczne: skalpele, piły i zaciski lśniły złowieszczo i nieubłaganie.

– Jest pani Zjawą, panno Ghafa. Legendą Baryłki. Wykrada pani sekrety sędziów, radnych, złodziei i zabójców. Wątpię, żeby było w tym mieście coś, o czym pani nie wie. Dlatego teraz zdradzi mi pani położenie kryjówek pana Brekkera.

– Nie mogę zdradzić tajemnicy, której nie znam.

Van Eck westchnął ciężko.

– Proszę pamiętać, że próbowałem potraktować panią uprzejmie. – Odwrócił się do jednego ze strażników, krępego mężczyzny z nosem jak kosa. – Nie chciałbym tracić zbyt wiele czasu. Rób, co uznasz za konieczne.

Strażnik znieruchomiał z dłonią zawieszoną nad stołem, jakby zastanawiał się, jaka tortura okaże się najbardziej skuteczna. Inej poczuła, że odwaga ją opuszcza. Oddychała płytko, szybko, w panice. „Kiedy pojawia się strach, to wiadomo, że za chwilę coś się wydarzy”.

Bajan pochylił się nad nią z pobladłą twarzą i troską w oczach.

– Powiedz mu, proszę cię. Brekker nie jest chyba wart twojego lęku i kalectwa, co? Powiedz, co wiesz.

– Wiem, że tacy jak ty nie zasługują nawet na powietrze, którym oddychają.

Bajan zrobił urażoną minę.

– Zawsze byłem dla ciebie miły. Nie jestem jakimś potworem.

– Nie. Jesteś człowiekiem, który biernie się przygląda i napawa się swoją przyzwoitością, gdy tuż obok potwór żre do syta. Ale potwór przynajmniej ma zęby i kręgosłup.

– To nieuczciwe!

Inej nie mogła wręcz uwierzyć, że Bajan jest aż takim mięczakiem; że nawet w takiej chwili będzie zabiegał o jej aprobatę.

– Jeżeli wciąż jeszcze wierzysz w uczciwość, to musisz wieść niezwykle szczęśliwy żywot. Zejdź potworowi z drogi, Bajanie. Skończmy z tym.

Kosonosy strażnik podszedł do stołu. W ręce trzymał coś błyszczącego. Inej sięgnęła w głąb siebie w poszukiwaniu kojącego, spokojnego miejsca, tego samego, które pozwoliło jej wytrzymać rok w Menażerii – rok, w którym noce wypełniały ból i upokorzenie, a dni odliczane były w rytmie bicia i jeszcze gorszych rzeczy.

– No, dalej – ponagliła oprawcę. W jej głosie dźwięczała stal.

– Czekał – wtrącił się Van Eck. Przyjrzał się Inej badawczo, jakby studiował księgę rachunkową, w której próbuje zsumować kolumnę liczb. Przekrzywił głowę. – Połam jej nogi – polecił.

Odwaga Inej rozpadła się na kawałki, a ona sama zaczęła się miotać i szarpać, próbując wyrwać się z uścisku strażników.

– Aha – powiedział z satysfakcją Van Eck. – Tak właśnie myślałem.

Kosonosy wziął do ręki kawał metalowej rurki.

– Nie – zaoponował Van Eck. – Nie chcę, żeby to było czyste złamanie. Weź młot.

Zmiażdż kość. – Jego twarz zawisła nad twarzą Inej. Jego oczy były jasnobłękitne jak oczy Wylana, lecz zupełnie pozbawione typowej dla Wylana łagodności. – Nikt nie będzie w stanie poskładać pani w całość, panno Ghafa. Być może uda się pani zarobić na wykupienie kontraktu żebranią nad Wschodnią Klepką. A na noc będzie się pani czołgać do Listewki. Oczywiście pod warunkiem, że Brekker nadal trzyma tam dla pani pokój.

– Nie rób tego.

Inej nie była pewna, czy próbuje przebłagać samą siebie, czy Van Ecka. Nie wiedziała, kogo w tej chwili bardziej nienawidzi.

Kat wziął do ręki stalowy młot.

Inej wiła się na stole zлана potem. Czuła odór własnego strachu.

– Nie – wykrztusiła. – Nie!

Kosonosy zważył młot w dłoniach. Van Eck skinął głową. Strażnik płynnie wziął zamach.

Inej patrzyła, jak młot się wznosi i osiąga szczyt łuku; słońce zalśniło na szerokim obuchu jak na płaskiej powierzchni martwego księżycy. Usłyszała trzask płomieni ogniska, przypomniawszy sobie włosy matki przetykane persymonowym jedwabiem.

– On nie pójdzie na wymianę, jeśli mnie połamiesz! – wrzasnęła. Słowa wyrwały się same z głębi jej istoty, głos zabrzmiał chrapliwie i bezbronne. – Będę dla niego bezużyteczna!

Van Eck uniósł rękę.

Młot spadł.

Inej poczuła, jak muska jej spodnie. Impet uderzenia strzaskał blat o włos od jej łydki i odłamał cały narożnik stołu.

Moja noga, pomyślała, dygocząc gwałtownie. To miała być moja noga.

Poczuła w ustach metaliczny posmak. Przygryzła sobie język.

Niech mnie święci mają w opiece. Niech mnie święci mają w opiece.

– Przedstawiła pani ciekawy argument – przyznał Van Eck i w zadumie przytknął palec wskazujący do ust. – Proszę przemyśleć swoje priorytety, panno Ghafa. Jutro mogę nie być taki łaskawy.

Nie była w stanie zapanować nad drżeniem całego ciała.

Pokroję cię na kawałki, poprzysięgła w duchu. Wyrwę ci z piersi tę żalną namiastkę serca.

To były złe myśli, plugawe, potworne, ale nic nie mogła na to poradzić. Czy święci by ją zrozumieli? Czy mogłaby liczyć na przebaczenie, gdyby zabiła nie w walce o przetrwanie, lecz kierując się zapiekłą, rozpaloną nienawiścią?

Nic mnie to nie obchodzi, pomyślała, gdy strażnicy zdejmowali jej wstrząsane spazmami ciało ze stołu. Mogę potem pokutować do końca swoich dni, jeśli tylko będę mogła go zabić.

Przez teatralny westybul i wąski korytarz zawlekli ją z powrotem do celi, która – jak już Inej się zorientowała – pewnie była dawną rekwizytornią. Tam ponownie związali jej ręce i nogi.

Bajan podszedł z opaską w rękach.

– Przepraszam – wyszeptał. – Nie wiedziałem, że chce... Ja...

– *Kadema mehim.*

Bajan się wzdrygnął.

– Nie mów tak.

Sulijczycy byli z natury zżyci i lojalni wobec siebie nawzajem – musieli tacy być w świecie, w którym nie mieli własnego kraju i byli tak nieliczni.

– Bądź potępiony – wycedziła z trudem Inej, szcękając zębami. – Tak jak ty odwróciłeś się ode mnie, tak oni odwrócą się od ciebie.

To była najgorsza sulijska klątwa, odbierała duchowi prawo spotkania z przodkami w przyszłym świecie i skazywała go na wieczną bezdomność i tułaczkę.

Bajan pobladł.

– Nie wierzę w takie rzeczy.

– Uwierzysz.

Zawiązał jej przepaskę na oczach.

Usłyszała, jak drzwi się zamykają. Leżała na boku, wparta biodrem i barkiem w twardą posadzkę, i czekała, aż dreszcze ustąpią.

Na początku swojego pobytu w Menażerii wierzyła, że ktoś po nią przyjdzie. Odszuka ją rodzina. Upomni się o nią przedstawiciel prawa. Wyzwoli ją bohater którejś z matczynych opowieści. Mężczyźni przychodzili, lecz bynajmniej nie po to, żeby ją uwolnić, i w końcu jej nadzieja zwiędła jak liście w zbyt ostrym słońcu, zastąpiona gorzkim pączkiem rezygnacji.

Kaz wyzwolił ją z tej beznadziei – i od tamtej pory ich życie było jednym wielkim ciągiem ocalań, serią długów wdzięczności, których nie mieli nawet czasu porozliczać, bo co rusz na nowo ratowali się nawzajem. Leżąc w ciemności, zdała sobie sprawę, że mimo wszystkich targających nią wątpliwości do niedawna wciąż wierzyła, że Kaz znowu ją uratuje; że odsunie na bok swoją chciwość i swoje demony i po nią przyjdzie.

Teraz nie była już tego taka pewna. Van Ecka powstrzymał nie tylko sam sens jej słów, lecz także przebijająca z jej głosu prawda.

„Nie pójdzie na wymianę, jeśli mnie połamiesz”.

Nie mogła udawać, że słowa te podsunęły jej zmyślna strategia czy zwierzęcy spryt. Ich czar, ich zły urok zrodził się z przeświadczenia o ich prawdziwości.

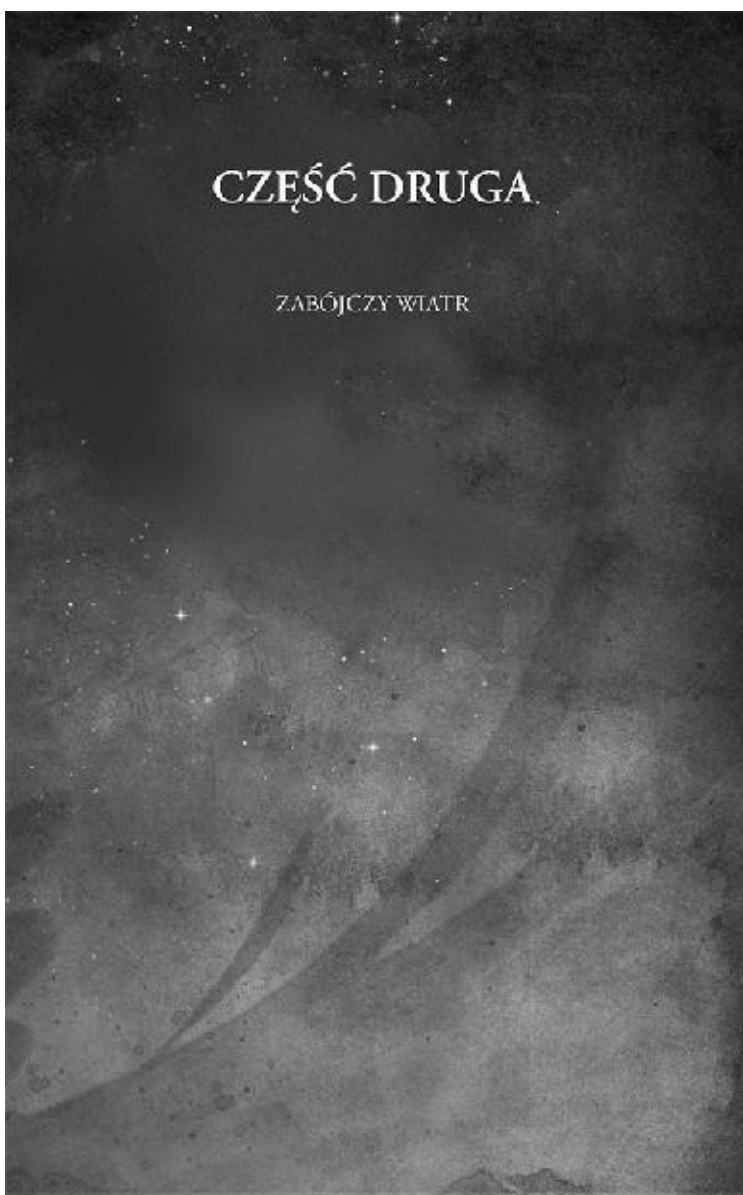
„Jutro mogę nie być taki łaskawy”.

Czy dzisiejsze przedstawienie miało ją tylko przerazić? Czy Van Eck jednak wróci, by spełnić swoją groźbę? A jeśli Kaz faktycznie po nią przyjdzie – to ile jeszcze z niej wtedy zostanie?

waramyr

CZEŚĆ DRUGA.

ZABÓJCZY WIATR





Jesper miał wrażenie, że oblaży go pchły. Za każdym razem, gdy przepływali z Czarnego Woalu do miasta, przebierali się w kostiumy z Dzikiej Komedy: peleryny, zasłony na twarz, maski, czasem nawet rogi. Zarówno turyści, jak i miejscowi w podobny sposób ukrywali swoją tożsamość podczas zabaw w Baryłce.

Jednakże tutaj, wśród dostojnych alei i kanałów dzielnicy uniwersyteckiej, Pan Szkarłat i Szary Diablik przyciągaliby mnóstwo spojrzeń – dlatego, oddaliwszy się od Klepek, Jesper z Wylanem natychmiast pozbyli się kostiumów. Zresztą, prawdę mówiąc, Jesper wcale nie miał ochoty spotykać się z ojcem po latach niewidzenia ubrany w maskę z wyłupiastymi ślepiami, pomarańczową pelerynę ani nawet swoje efekciarskie ciuchy, jakie na co dzień nosił w Baryłce. Ubrał się więc konserwatywnie i elegancko – na ile było to możliwe. Wylan pożyczył mu parę *kruge* na używaną tweedową marynarkę i smętną szarą kamizelkę. Nadal trudno byłoby nazwać Jespera szacownym obywatelem, ale też nikt nie oczekiwał od studenta, że wyda majątek na ubranie.

Kolejny raz złapał się na tym, że odruchowo sięga po broń. Brakowało mu znajomego chłodnego dotyku perłowej okładziny na kolbach rewolwerów. Ta prawnicza gnida kazała kierownikowi sali schować broń do sejfu w Cumulusie. Kaz obiecał, że odzyskają je w dogodnym momencie, ale Jesper mocno wątpił w to, czy Kaz byłby równie spokojny i opanowany, gdyby ktoś zwędził mu tę jego laskę.

Sam położyłeś je na stole jak skończony frajer, upomniał się w duchu.

Zrobił to dla Inej – oraz, prawdę mówiąc, dla Kaza. Chciał pokazać, że jest gotowy zrobić wszystko, co będzie konieczne, żeby odkupić swoją winę. Co oczywiście niewiele zmieniło.

Z drugiej strony i tak nie mógłby tu i teraz obnosić się z rewolwerami. Studenci i wykładowcy nie przychodzili na wykłady uzbrojeni po zęby. Chociaż gdyby przychodzili, może zajęcia byłyby ciekawsze.

Tak czy inaczej, Jesper schował pod płaszczem marną namiastkę pistoletu. Jakkolwiek na to spojrzeć, znajdowali się w Ketterdamie i nie mogli wykluczyć, że pakują się prosto w

pułapkę. Z tego też powodu Kaz z Matthiasem śledzili każdy ich krok. Jesper nigdzie ich nie widział, co chyba było dobrym znakiem, ale i tak cieszył się, że Wylan zaproponował mu swoje towarzystwo. Kaz zresztą nie chciał się na to zgodzić, dopóki Wylan nie powiedział, że potrzebuje dodatkowych materiałów do pracy nad wołkiem.

Mijali studenckie kawiarnie i księgarnie, sklepowe witryny były wypełnione podręcznikami, butlami atramentu i ryzami papieru. Niespełna dwie mile dzieliły ich od hałasu i zgiełku Baryłki, a mimo to mieli wrażenie, jakby po przejściu przez most znaleźli się w innym kraju. Zamiast gromad żeglarzy, którzy po zejściu na ląd szukają zaczepki, i napierających ze wszystkich stron hord turystów, tutaj spotykali ludzi, którzy ustępowali sobie nawzajem z drogi i rozmawiali przyciszonymi głosami. Zamiast kramów, sklepików i handlarzy nawołujących klientów w krętych zaułkach roilo się od zakładów introligatorskich i aptek, a na rogach ulic nie widziało się dziewcząt i chłopców, którzy z braku znajomości w domach publicznych nad Zachodnią Klepką muszą się sprzedawać na ulicy.

Jesper przystanął pod markizą i wziął głęboki wdech przez nos.

– Co się stało? – spytał Wylan.

– Jak tu pięknie pachnie...

Drogi tytoń, bruk wciąż wilgotny po porannym deszczu, błękitne obłoki hiacyntów w naokiennych skrzynkach. Ani śladu odoru moczu, wymiocin, tanich perfum i gnijących odpadków. Nawet gryząca woń węglowego dymu wydawała się nieco słabsza niż zwykle.

– Grasz na zwłokę?

– Wcale nie. – Jesper wydmuchnął powietrze z płuc i trochę oklapł. – No, może trochę.

Do hotelu, w którym zatrzymał się mężczyzna podający się za ojca Jespera, Rotty zaniósł wiadomość z propozycją terminu i miejsca spotkania. Jesper chciał to zrobić sam, ale jeżeli jego ojciec faktycznie zjawił się w Ketterdamie, nie można było wykluczyć, że ktoś próbuje go użyć jako przynęty. Dlatego lepiej było się spotkać w biały dzień i na neutralnym terenie. Uniwersytet – z dala od niebezpieczeństw Baryłki i tradycyjnych rewirów Jespera – zapowiadał się najbezpieczniej.

Jesper nie był pewien, czy chciałby, żeby ojciec rzeczywiście na niego czekał, czy nie. Znacznie przyjemniejsza wydawała mu się perspektywa walki niż stawienia czoła świadomości, że straszliwie pokpił sprawę – ale dyskusja na ten temat przypominałaby wspinaczkę na rusztowanie ze spróchniałych desek.

– Zawsze mi się tu podobało – powiedział więc tylko.

– Mojemu ojcu też. Wysoko ceni naukę.

– Wyżej od pieniędzy?

Wylan wzruszył ramionami, zerkając na wystawę zapełnioną ręcznie malowanymi globusami.

– Wiedza nie jest oznaką bożej łaski, a dobrobyt owszem.

Jesper zerknął na niego. Ciągłe nie mógł się przyzwyczaić, że głos Wylana dobiega z ust Kuweia. Zawsze wytrącało go to trochę z równowagi, jakby brał do ręki kieliszek wina, a potem pił z niego wodę.

– Czy twój tato naprawdę jest aż tak pobożny, czy też religią usprawiedliwia tylko swoje draństwo w interesach?

– Nie tylko w interesach, prawdę mówiąc.

– W kontaktach ze zbirami i szumowinami z Baryłki również?

Wylan poprawił przewieszoną przez ramię torbę.

– Jego zdaniem Baryłka odciąga ludzi od pracy, tłamsi ich przedsiębiorczość i prowadzi do degeneracji.

– Może ma trochę racji...

Jesper zastanawiał się czasem, co by było, gdyby tamtej nocy nie wyszedł napić się z przyjaciółmi, nie trafił do tamtego kasyna i nie zakręcił Kołem Makkera. To miała być nieszkodliwa zabawa – i była, dla wszystkich oprócz niego, bo jego życie rozszczepiło się wtedy niczym pieńek drewna na dwie nierówne części: czas przed Kołem Makkera oraz wszystkie te dni, które nastąpiły później.

– Baryłka pożera ludzi – dodał.

– Być może – przyznał z namysłem Wylan – ale interes to interes. Kasyna i burdele tylko odpowiadają podażą na popyt. Dają zatrudnienie. Płacą podatki.

– Ale się z ciebie zrobił grzeczny obywatel Baryłki... Przecież to tekst żywcem wyjęty z podręcznika szefa gangu.

Co parę lat trafiał się jakiś postępowiec, którego nachodziła potrzeba oczyszczenia Baryłki i naprawienia kiepskiej reputacji Ketterdamu. Pojawiały się wtedy pamflety i wybuchała wojna propagandowa między właścicielami salonów gier i domów uciech z jednej strony a odzianymi w surową czerń kupieckimi reformatorami z drugiej. Ostatecznie wszystko i tak sprowadzało się do pieniędzy. Przybytki przy Wschodniej i Zachodniej Klepce przynosiły niebagatelne dochody, a mieszkańcy Baryłki wrzucali konkretny pieniądz do miejskiej kiesy.

Wylan znów obciągnął pasek torby, który skręcił mu się na ramieniu.

– Moim zdaniem niewiele się to różni od zainwestowania całego majątku w jakiś jeden transport jedwabiu albo *jurdy*. Tyle że kiedy grasz według rynkowych reguł, masz znacznie większe szanse na wygraną.

– Zamieniam się w słuch, kupczyku. – Większe szanse zawsze interesowały Jespera. – Jaką największą jednorazową stratę poniósł twój ojciec?

– Nie wiem, naprawdę. Dawno przestał ze mną rozmawiać o takich sprawach.

Jesper się zawahał. Jan Van Eck był skończonym idiotą, skoro w ten sposób traktował syna, ale Jesper musiał przyznać, że intryguje go natura „przypadłości” Wylana. Co widział, kiedy próbował czytać litery? Dlaczego nieźle sobie radził z rozwiązywaniem równań i odczytywaniem cen w karcie w restauracji, a z odczytywaniem tekstu w książkach i na tabliczkach już nie?

– Zastanawiam się, czy przez bliskość Baryłki kupcy nie robią się bardziej skryci, poważni i zamknięci w sobie. Te czarne ubrania, wieczny umiar we wszystkim, mięso tylko dwa razy w tygodniu, piwo zamiast brandy... Może ich życie ma być przeciwieństwem naszego, znacznie zabawniejszego?

– Masz na myśli zachowanie równowagi?

– Właśnie. Pomyśl tylko, jak rozpustne życie byśmy wiedli, gdyby nikt nie trzymał miasta w garści. Szampan na śniadanie. Orgie w gmachu Giełdy.

Wylan wydał odgłos świadczący o zakłopotaniu i przywodzący na myśl ptaka cierpiącego na kaszel i odwrócił wzrok, żeby za żadne skarby nie patrzeć na Jespera. Ach, jak cudownie łatwo było go zawstydzić...

Chociaż nawet Jesper musiał przyznać, że dzielnica uniwersytecka nie potrzebuje deprawacji. Lubił ją taką, jaka była – czystą, cichą, pachnącą książkami i kwiatami.

– Wiesz o tym, że wcale nie musisz ze mną iść – powiedział, bo czuł, że tak wypada. – Kupiłeś wszystko, czego potrzebujesz. Możesz na mnie poczekać w jakiejś ciepłej przytulnej kawiarence.

– Tego właśnie chcesz?

Nie, pomyślał Jesper. Sam nie dam rady.

Wzruszył ramionami. Nie był pewien, czy chce, żeby Wylan był świadkiem spotkania na uniwersytecie. Ojciec rzadko się gniewał, ale tym razem na pewno będzie wściekły, prawda? A co on, Jesper, miał na swoje wytłumaczenie? Okłamał ojca i wystawił na szwank dorobek jego życia. A co dostał w zamian? Wielkie nic.

Nie mógł jednak znieść myśli o tym, że miałby stawić ojcu czoło w pojedynkę. Inej by go zrozumiała. Może nie zasługiwał na jej współczucie, ale miała w sobie jakąś stałość, spokój; na pewno zrozumiałaby i ukoila jego lęki. Wcześniej miał nadzieję, że może Kaz osobiście zechce mu towarzyszyć. Kiedy jednak zbliżyli się do uniwersytetu, Kaz posłał mu tylko mroczne spojrzenie. Przekaz był jasny: sam wykopałeś ten grób, sam się do niego połóż. Kaz wciąż miał do niego pretensje o pułapkę, przez którą robota w Lodowym Dworze omal się nie skończyła, zanim na dobre się zaczęła, i Jesper będzie musiał poświęcić coś więcej niż rewolwery, jeśli chce się ponownie wkraść w jego łaski.

Tylko czy Kaz w ogóle bywa łaskawy?

Serce biło mu coraz szybciej, gdy pod szerokim kamiennym łukiem wyszli na dziedziniec Boeksplein. Na uniwersytet składał się cały kompleks gmachów pobudowanych przy równoległych odcinkach Boekcanal i połączonych Mostem Mówcy, na którym ludzie spotykali się, żeby – w zależności od dnia tygodnia – porozmawiać albo w sympatycznej atmosferze wypić piwo. Przy Boeksplein biło serce uczelni: cztery biblioteki zbudowane wokół placu i zajmującej jego środek Fontanny Mędrca.

Minęły niemal dwa lata, odkąd Jesper ostatni raz odwiedził uniwersytet. Nigdy oficjalnie nie przerwał nauki, właściwie nawet nie podjął świadomej decyzji o zaprzestaniu uczęszczania na zajęcia. Po prostu zaczął stopniowo spędzać coraz więcej czasu nad Wschodnią Klepką, aż pewnego dnia rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że Baryłka stała się jego domem.

Jednakże nawet ten krótki studencki epizod wystarczył, żeby na zabój zakochał się w Boeksplein. Nigdy nie przepadał za czytaniem. Uwielbiał poznawać różne opowieści, ale nie lubił siedzieć nieruchomo, a obowiązkowe lektury jakby specjalnie tak dobrano, by prowokowały do błędzenia myślami. Przy Boeksplein gdziekolwiek zbłądził wzrokiem,

zawsze natrafiał na coś ciekawego: witrażowe okna z szybkami w łożnianych ramkach, żelazne furtki kute na kształt księżek i statków, fontannę na środku placu przedstawiającą brodatego naukowca i – najlepsze z tego wszystkiego – groteskowe gargulce w biletach i z nietoperzowymi skrzydłami oraz przysypiające nad księgami kamienne smoki. Lubił sobie wyobrażać, że budowniczowie tego miejsca mieli świadomość, że życie studenta nie ogranicza się do milczącej kontemplacji.

Kiedy jednak tym razem weszli na plac, nie rozglądał się w poszukiwaniu godnej podziwu kamieniarskiej roboty ani nie nadstawiał ucha na szmer fontanny. Jego uwagę bez reszty przykuł mężczyzna stojący po wschodniej stronie Boeksplein, który miał w dłoniach kapelusz i wpatrywał się w witrażowe okna. Z ukłuciem niepokoju Jesper zdał sobie sprawę, że ojciec włożył najlepszy garnitur. W schludnie zaczesanych do tyłu rudych (jak na Kaelczyka przystało) włosach pojawiły się siwe pasemka, których nie było, kiedy Jesper opuszczał dom rodzinny. Colm Fahey wyglądał jak wiejski gospodarz w drodze do kościoła. Zupełnie nie na miejscu. Kaz... Zresztą mniejsza o Kaza, praktycznie każdy w Baryłce jednym rzutem oka oceniłby go jako potencjalną ofiarę.

– Tatku... – wychrypiął Jesper. Gardło wyszło mu na wiór.

Ojciec odwrócił się gwałtownie w jego kierunku i Jesper przygotował się w duchu na to, co za chwilę nastąpi: wybuch gniewu, potok obelg – wszystko byłoby całkowicie zasłużone. Nic jednak nie przygotowało go na uśmiech ulgi, w którym rozplynęła się grubo ciosana ojcowska twarz. Jakby ktoś strzelił Jesperowi prosto w serce.

– Jes! – zawołał ojciec.

Jesper już szedł przez plac, a potem ojcowskie ramiona objęły go z taką siłą, że chyba naprawdę zebra mu się ugięły.

– Na wszystkich świętych, myślałem, że nie żyjesz! Powiedzieli mi, że już tu nie studiujesz, że przepadłeś bez śladu... Byłem przekonany, że zadźgali cię jacyś bandyci w tym przeklętym przez świętych mieście.

– Żyję, tatku – stęknął Jesper – ale jeżeli nie przestaniesz mnie tak ścisnąć, to długo nie pociągnę.

Ojciec roześmiał się, wypuścił go z objęć i odsunął na odległość wyciągniętej ręki. Położył mu dłonie na ramionach.

– Słowo daję, urosłeś jeszcze o stopę.

– Pół. – Jesper się przygarbił. – Ehm, to jest Wylan – dodał.

Przeszedł przy tym z nowoziemskiego na kercheński. W domu mówiło się w obu: jeden był ojczystym językiem matki, drugi – językiem handlu. Ojczysty kaelski ojca był zarezerwowany na te rzadkie okazje, kiedy Colm śpiewał.

– Miło poznać. Mówisz po kercheńsku?

Ojciec podniósł głos, prawie krzyczał, i Jesper nagle zdał sobie sprawę, że to dlatego, że Wylan nadal wygląda jak przybysz z Shu Hanu.

– Tatku... – Skrzywił się zakłopotany. – Wylan świetnie zna kercheński.

– Miło mi pana poznać, panie Fahey – powiedział Wylan.

Chwała niech będzie świętym za jego dobre kupieckie maniery.

– Mnie ciebie również, chłopcze. Też tu studiujesz?

– Ehm... można tak powiedzieć – przytaknął nieco skrzepowany Wylan.

Jesper nie miał pojęcia, jak wypełnić ciszę, która zapadła po tych słowach. Nie potrafiłby powiedzieć, czego właściwie spodziewał się po tym spotkaniu, ale na pewno nie wymiany uprzejmości.

Wylan odkaszlnął.

– Jest pan głodny, panie Fahey?

– Jak wilk – przyznał z wdzięcznością ojciec Jespera.

Wylan szturchnął Jespera pod żebro.

– Może zabierzemy twojego ojca na obiad?

– Obiad – powtórzył Jesper takim tonem, jakby dopiero co nauczył się tego słowa. – Tak, obiad. Kto nie lubi obiadu?

Obiad. Prawdziwy cud z nieba. Zjedzą coś. Porozmawiają. Może się napiją. O tak, napiją się.

– Poczekaj, Jesper, co się właściwie dzieje? Dostałem list z Gemensbanku. Niedługo upływa termin spłaty kredytu. To miała być krótkoterminowa pożyczka. Twoje studia...

– Tatku, ja... Rzecz w tym...

Rozległ się huk wystrzału. Jesper zasłonił ojca, gdy pocisk zrykoszetował o bruk pod ich stopami, wzbijając obłoczek pyłu. Nagle po całym placu poniosły się odgłosy kanonady. Echo utrudniało określenie, skąd padają strzały.

– Na wszystko, co święte, co się...

Jesper złapał ojca za rękaw i pociągnął w stronę zagłębionego w murze wejścia do budynku. Odwrócił się w lewo gotowy porwać także Wylana, ale kupczyk sam dotrzymywał mu kroku. Zgięty w pół i na ugiętych nogach poruszał się całkiem żwawo.

Nic tak nie przyśpiesza nauki, jak znalezienie się pod ostrzałem, pomyślał Jesper, gdy dotarli pod osłonę kamiennego łuku nad wejściem. Wyciągnąwszy szyję, popatrzył po dachach... i natychmiast się cofnął, gdy rozległy się kolejne strzały. Odpowiedzią była palba gdzieś z góry, z lewej strony. Pozostawało mieć nadzieję, że to Matthias z Kazem odgryzają się przeciwnikom.

– Na wszystkich świętych! – wysapał ojciec Jespera. – To miasto jest jeszcze gorsze, niż piszą w przewodnikach!

– To nie miasto, tatku. – Jesper wyciągnął broń z za pazuchy. – Im chodzi o mnie. Albo o nas. Trudno powiedzieć.

– Komu?!

Jesper i Wylan wymienili pytające spojrzenia. Jan Van Eck? Konkurencyjny gang dążący do wyrównania rachunków? Pekka Rollins? Jakiś inny wierzyciel Jespera?

– Lista potencjalnych zalotników jest dość długa – przyznał Jesper – ale musimy się stąd zmyć, zanim przyjdą się nam przedstawić.

– Bandydzi?

Wiedząc, że w każdej chwili może zostać podziurawiony kulami jak sito, Jesper z trudem powstrzymał uśmiech od ucha do ucha.

– Można tak powiedzieć.

Wyrzwał za załom muru, strzelił dwa razy i schował się, zanim odpowiedziały mu kolejne wystrzały.

– Wylan, powiedz mi, proszę, że masz w tej torbie coś więcej niż pióra, atrament i surowce do produkcji wołków.

– Mam dwie bomby oślepiające i taką jedną nowinkę własnej konstrukcji, z większym... wykopem.

– Bomby? – powtórzył ojciec Jespera, mrugając zapamiętałe, jakby usiłował obudzić się z koszmaru.

Jesper odpowiedział bezradnym wzruszeniem ramion.

– To taki... eksperyment naukowy – powiedział.

– Ilu mamy przeciwników? – zainteresował się Wylan.

– Proszę, proszę, wreszcie zadajesz właściwe pytania... Trudno powiedzieć. Są gdzieś na dachu, a jedyne wyjście z uniwersytetu wiedzie z powrotem pod łukiem. Mamy do pokonania kawał odsłoniętego terenu, który jest ostrzeliwany z wysokości. A nawet gdyby nam się udało, to przypuszczam, że dalej czeka na nas jeszcze większa artyleria. Chyba że Matthias z Kazem zdołają oczyścić nam przejście.

– Znam inne wyjście – odparł Wylan – ale trzeba by się najpierw dostać na drugą stronę placu.

Wskazał drzwi w kamiennym obramowaniu przedstawiającym jakiegoś rogatego potwora ogryzającego ołówek.

– Czytelnia? – Jesper zmierzył wzrokiem odległość. – Dobrze. Na „trzy” biegnijcie; będę was osłaniał. Wciągnij ojca do środka.

– Jesper...

– Tatku, przysięgam, że wszystko ci wytłumaczę, ale na razie musi ci wystarczyć, że znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, a ja specjalizuję się w trudnych sytuacjach.

To była szczerza prawda. Teraz naprawdę czuł, że żyje. Niepokój, który towarzyszył mu nieustannie, odkąd dowiedział się o przybyciu ojca do miasta, szybko się ulatniał. Czuł się wolny i niebezpieczny, jak grom przetaczający się nad prerią.

– Zaufaj mi, tatku.

– Dobrze, synku. Zaufam ci.

Jesper nie mógł się oprzeć wrażeniu, że usłyszał niewypowiedziane na głos „na razie”.

Wylan spał się do skoku. Dla niego to wszystko wciąż było taką nowością... Oby tylko obaj z ojcem nie zginęli przez Jespera.

– Raz, dwa...

Na „trzy” zaczął strzelać. Wyskoczył na plac, przeturlał się i schronił za fontanną. Zaczął działać na oślep, ale teraz szybko wypatrzył sylwetki na dachu; celował instynktownie, przewidywał ich ruchy i strzelał bez przesadnego namaszczenia. Nie musiał nikogo zabić, musiał tylko postraszyć tamtych i dać ojcu i Wylanowi trochę czasu.

Kula trafiła w posąg w fontannie i książka w dłoni mędrca eksplodowała deszczem kamiennych odłamków. Jesper nie wiedział, jakiej amunicji używają jego przeciwnicy, ale

na pewno nie żartowali.

Przeładował, wychylił się zza osłony i znów zaczął strzelać.

– Na wszystkich świętych! – zawył. Ból przeszył mu ramię.

Nie cierpiał tych chwil, kiedy dawał się trafić. Skulił się pod wywiniętym brzegiem fontanny i poruszył palcami, próbując ocenić zakres uszkodzeń. Tylko draśnięcie, ale nie dość, że bolało wściekle, to jeszcze zakrwawił sobie nową tweedową marynarkę.

– I właśnie dlatego nie warto się silić na porządny strój – mruknął.

Sylwetki na dachu cały czas się poruszały. Jeszcze trochę, a okrążą fontannę, zajdą go od tyłu i będzie zgubiony.

– Jesper!

Głos Wylana. Do licha, miał przecież uciekać!

– Jesper, na drugiej!

Jesper zadarł głowę. Coś leciało w powietrzu, kreśląc łuk na tle nieba. Bez namysłu wycelował i strzelił. Powietrze eksplodowało.

– Skacz do wody! – wrzasnął Wylan.

Jesper zanurkował do fontanny, a sekundę później powietrze aż zaskwierczało od oślepiającego światła. Kiedy wystawił głowę z wody, stwierdził, że wszystkie odsłonięte powierzchnie zostały gęsto podziurawione, a z maleńkich kraterów unoszą się smużki dymu. Ktokolwiek znajdował się na dachu, wył teraz potępieńczo. Co to za bombę rzucił Wylan?

Miał nadzieję, że Matthias i Kaz zdążyli się ukryć, ale nie było na razie czasu, żeby się tym martwić. Pędem dopadł do drzwi pod ogryzającym ołówkiem demonem. Ojciec i Wylan czekali już w środku. We trójkę zamknęli drzwi za sobą.

– Pomóżcie mi – polecił Jesper. – Musimy zabarykadować przejście.

Mężczyzna za biurkiem miał na sobie szary strój naukowca. Jego rozdęte z urazy nozdrza urosły do takich rozmiarów, że Jesper bał się, że za chwilę ich wciągną.

– Młody człowieku...

Jesper wymierzył mu z pistoletu w pierś.

– Odsuń się.

– Jesper! – zawołał ojciec.

– Nie martw się, tatku. W Ketterdamie stale ktoś do kogoś celuje. To prawie jak podanie ręki.

– Naprawdę? – spytał z niedowierzaniem ojciec, gdy pracownik uniwersytetu niechętnie usunął się na bok.

Przesunęli ciężkie biurko pod drzwi.

– Absolutnie – przytaknął Wylan.

– Absolutnie nie – zaproponował uczony.

– Zależy od dzielnicy. – Jesper skinął na nich ręką. – Idziemy.

Przebiegli przez środek sali pomiędzy długimi stołami oświetlonymi lampkami na wygiętych nóżkach. Studenci kulili się przy ścianach i pod krzesłami; pewnie spodziewali się, że zaraz wszyscy umrą.

– Nic się nie bójcie! – zawołał Jesper. – To tylko mały trening strzelecki na dziedzińcu.

– Tędy. – Wylan wskazał im ozdobione misternymi zawijaszami drzwi.

– Tam nie wolno! – Naukowiec pędził za nimi, aż furkotała mu szata. – To sala zbiorów rzadkich!

– Mam ci znowu uścisnąć rękę? – spytał Jesper. – Obiecuję, że nie ostrzelamy niczego, czego nie będziemy musieli – dodał, poszturchując lekko ojca. – Po schodach na górę.

– Jesper? – dobiegł głos z okolic najbliższego stołu. Skulona na podłodze ładna blondynka podniosła wzrok.

– Madeleine? – zdumiał się Jesper. – Madeleine Michaud?

– Mieliśmy zjeść razem śniadanie!

– Musiałem popłynąć do Fjerdy.

– Do Fjerdy?

Jesper wbiegł za Wylanem na schody, ale na odchodnym wetknął jeszcze głowę za drzwi czytelnicy.

– Jeżeli przeżyję, kupię ci gofra! – rzucił.

– Nie stać cię na gofry – zauważył Wylan.

– Ciszej. Jesteśmy w bibliotece.

Na studiach Jesper nie miał powodu bywać w sali zbiorów rzadkich, gdzie panowała tak absolutna cisza, jakby znaleźli się pod wodą. W szklanych gablotach wystawiano iluminowane rękopisy oświetlone złotym blaskiem lamp. Na ścianach wisiały stare mapy.

Stojący w kącie szkwalnik w niebieskiej *kefcie* podniósł ręce, ale na widok intruzów cofnął się i skulił.

– Shu! – zakrzyknął na widok Wylana. – Nie pójdę z wami! Wolę się zabić!

Ojciec Jespera podniósł ręce w kojącym geście, jakby próbował uspokoić spłoszonego konia.

– Spokojnie, chłopcze.

– My tylko tędy przechodzimy – dodał Jesper i znów lekko szturchnął ojca.

– Za mną! – polecił Wylan.

– Co robi szkwalnik w sali zbiorów rzadkich? – spytał Jesper, gdy biegli przez labirynt regałów i skrzyń, od czasu do czasu wymijając przerażonych studentów i naukowców.

– Dbaj o niską wilgotność powietrza: musi być suche, żeby rękopisy nie niszczały.

– Fajna robótka. Jak można ją sobie załatwić?

Wylan przystanął przed zawieszoną na zachodniej ścianie mapą Ravki. Upewnił się, że nikt nie patrzy, po czym nacisnął symbol, którym oznaczono na mapie stolicę państwa, Os Altę. Cały kraj rozpękł się wzdłuż Niemorza, odsłaniając ciemną szczelinę, w której ledwo, ledwo zmieściłby się człowiek.

– Przejście prowadzi na piętro drukarni – wyjaśnił Wylan, wciskając się w szparę w ścianie. – Pomyślano je jako drogę ucieczki z biblioteki dla wykładowców chcących uniknąć spotkania z rozeźlonymi studentami.

– Rozeźlonymi? – powtórzył ojciec Jespera. – Czy wszyscy studenci noszą broń?

– Nie, ale rozruchy wywołane niezadowolającymi ocenami mają długoletnią tradycję.

Mapa zamknęła się za nimi i zaczęli przemieszczać się bokiem w ciasnej, mrocznej przestrzeni.

– Nie chcę się czepiać – mruknął Jesper do Wylana – ale nie spodziewałem się po tobie tak dobrej znajomości sali zbiorów rzadkich w bibliotece.

– Spotykałem się w niej z jednym z moich nauczycieli, dawno temu, kiedy jeszcze ojciec myślał, że... Ten nauczyciel znał mnóstwo ciekawych historii, a ja zawsze lubiłem mapy. Wodzenie palcem po literach czasem ułatwiało mi... No i tak właśnie odkryłem to przejście.

– Powiem ci jedno, Wylanie: jeszcze trochę i naprawdę przestanę cię lekceważyć.

Na chwilę zapadła cisza, a potem gdzieś z przodu dobiegła odpowiedź Wylana:

– Wtedy znacznie trudniej będzie cię zaskoczyć.

Jesper wyszczerzył zęby w uśmiechu, chociaż bez wielkiego przekonania. Za plecami, w sali dzieł rzadkich, słyszał pokrzykiwania. Udało się, choć niewiele brakowało. Strzelanina, draśnięcie, ucieczka w wielkim stylu – to dla takich chwil warto żyć. Podniecenie walką powinno uderzyć mu do głowy. Ale choć wciąż odczuwał dreszczyk emocji, krew burzyła mu się w żyłach, to jednak oprócz tego było coś jeszcze, jakieś zimne, obce uczucie, które wysysało zeń całą radość życia.

Tatko mógł zostać ranny, pomyślał. Mógł zginąć.

On sam już się przyzwyczał, że różni ludzie do niego strzelają. Ba, czułby się chyba nieco urażony, gdyby przestano do niego strzelać. Ale to było co innego. Ojciec nie chciał tej walki. Jego jedyną winą było zaufanie synowi.

Na tym właśnie polega problem z Ketterdamem, pomyślał, brnąc po omacku przez ciemność. Jeśli zaufasz tu niewłaściwemu człowiekowi, możesz zginąć.



Nina nie mogła oderwać wzroku od Colma Faheya. Był trochę niższy od syna i nieco szerszy w barach; urodę miał typowo kaelską – ogniste ciemnorude włosy i biała jak sól skóra gęsto obsypana piegami od nowoziemskiego słońca. Jego oczy, choć tak samo jasnoszare jak oczy syna, miały w sobie powagę, pewność i ciepło, jakże inne od rozsadzającej wszystko żywiołowej energii Jespera.

Nie tylko przyjemność z odszukiwania w ojcu śladów syna kazała Ninie na niego patrzeć. Widok człowieka w tak oczywisty sposób porządnego, stojącego w udającym kadłub statku kamiennym mauzoleum w otoczeniu najgorszych ketterdamskich mętów (jej samej nie wyłączając), był po prostu niesamowity.

Wzdrygnęła się i ciaśniej otuliła starą końską derką. Niedawno zaczęła dzielić swoje życie na dobre i złe dni i ten dzisiejszy – za sprawą przewału z Cornelisem Smeetem – wypadł nadzwyczaj nędznie. Nie mogła dać mu się pogięć, nie teraz, kiedy tak niewiele brakowało im do ocalenia Inej.

Trzymaj się, pomyślała.

Miała nadzieję, że jej wola poszybuje w powietrzu, prześliznie się nad wodami ketterdamskich przystani i dotrze do przyjaciółki.

Uważaj na siebie i czekaj na nas.

Nie było jej na Vellgeluku, kiedy Van Eck wziął Inej na zakładniczkę. Walczyła wtedy z *parem* w swoim ciele, próbowała oczyścić organizm i cierpiała katusze, które rozpoczęły się wraz z rejssem powrotnym z Djerholmu. Powtarzała sobie, że powinna być wdzięczna za wspomnienie tej udręki, za każdą chwilę dreszczy, bólu i wymiotów. I za wstydliwą świadomość, że Matthias wszystko widział, przytrzymał jej opadające włosy, ocierał pot z czoła, powstrzymywał ją najdelikatniej, jak się dało, gdy kłóciła się z nim, błagała i wrzaskiem dopominała o *parem*. Zmusiła się do pamiętania wszystkich okropieństw, które wtedy padły z jej ust, wszystkich obiecanych mu dzikich rozkoszy, wszystkich miotanych przeciw niemu obelg i oskarżeń.

– Lubisz patrzeć, jak cierpię – mówiła. – Chcesz, żebym cię błagała, prawda? Od jak

dawna chciałeś mnie taką zobaczyć? Nie karz mnie dłużej, Matthiasie. Pomóż mi. Bądź dla mnie dobry, to i ja będę dla ciebie dobra.

Przyjmował to wszystko w stoickim milczeniu, a ona teraz kurczowo czepiała się tych wspomnień. Potrzebowała ich – żywych, wyrazistych i jak najboleśniejszych, żeby zwalczyć narkotykowy głód. Nigdy więcej nie chciała się znaleźć w takiej sytuacji.

Spojrzała na Matthiasa, którego gęste złote włosy osiągnęły już taką długość, że zaczynały mu się wywijać na uszach. Uwielbiała na niego patrzeć – i zarazem nie znosiła jego widoku. Dlatego że nie dał jej tego, o co prosiła. Dlatego że wiedział, jak bardzo tego potrzebowała.

Po tym, jak Kaz ulokował ich na Czarnym Woalu, wytrzymała dwa dni, zanim złamała się i poszła prosić Kuweia o świeżą działkę *parem*. Malutką. Odrobinę. Tylko na spróbowanie, na złagodzenie bezlitosnego głodu. Poty ustąpiły, fale gorąca również. Była już w stanie normalnie chodzić, rozmawiać, słuchać, jak Kaz i pozostali snują nowe plany, ale nawet kiedy zajmowała się codziennymi sprawami, pijąc przynoszony przez Matthiasa rosół i potwornie słodką herbatę, głód cały czas się w niej tlił, nieustępliwie piłował jej nerwy, w tę i z powrotem, minuta po minucie. Kiedy przysiadła się do Kuweia, wcale nie podjęła jeszcze świadomej decyzji, że poprosi go o *parem*. Rozmawiali półgłosem w języku shu, słuchała jego skarg na panującą w grobowcu wilgoć... a potem słowa same popłynęły z jej ust: – Masz jeszcze?

Nawet nie pytał, co ma na myśli.

– Oddałem wszystko Matthiasowi.

– Rozumiem. To chyba dobry pomysł.

Uśmiechnęła się. On też się uśmiechnął.

Miała ochotę rozdrapać mu twarz na strzępy.

Bo do Matthiasa pójść nie mogła. Nigdy. Zresztą, jak go знаła, to pewnie wyrzucił do morza wszystko, co dostał od Kuweia. Na tę myśl ogarnęła ją taka panika, że musiała wybiec na dwór i z wymiotować skromną zawartość żołądka przed jednym ze zrujnowanych mauzoleów. Przysypała plamę ziemią, a potem znalazła sobie ustronne miejsce pod rozpiętym na treliazu bluszczem i usiadła targana spazmami płaczu.

– Wy bezużyteczne gnidy – rzekła do milczących grobów.

Zupełnie się tym nie przejęły.

Panująca na Czarnym Woalu cisza działała na nią uspokajająco, przynosiła ukojenie. Nie umiałyby powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Nigdy przedtem nie znajdowała pociechy na cmentarzach.

Od poczęła chwilę, otarła łzy i kiedy była już pewna, że zaczerwieniona skóra i błyszczące oczy jej nie zdradzą, wróciła do pozostałych.

Najgorsze już za tobą, powiedziała sobie. Nie masz dojścia do *parem*, więc po prostu przestań o niej myśleć.

I przez chwilę nawet jej się udało.

Poprzedniego wieczoru, szykując się do spotkania z Cornelisem Smeetem, popełniła ten błąd, że wsparła się swoją mocą. Mimo peruki, kwiatów, kostiumu i gorsetu nie mogła się

do końca wczuć w rolę uwodzicielki, znalazła więc w klubowej łazience lustro i korzystając ze swoich formatorskich umiejętności, spróbowała usunąć ciemne kręgi spod oczu. Cała się przy tym spociła, a w dodatku ledwie udało jej się usunąć zasinienie, głód *parem* uderzył ze zdwojoną mocą: szybki, solidny kopniak w pierś. Zgięła się wpół nad umywalką targana gonitwą myśli: jak wymknąć się z Cumulusa, kto może mieć towar, co mogłaby ofiarować w zamian? Próbowała myśleć o tym, jakiego wstydu najadła się na statku, o przyszłości, jaką – być może – uda jej się stworzyć z Matthiasem, ale ostatecznie otrzeźwiło ją dopiero wspomnienie Inej. Zawdzięczała Inej życie i nie mogła jej teraz porzucić, nie mogła zostawić jej w rękach Van Ecka. Nie była taka. Nie chciała taka być.

Jakoś zdołała wziąć się w garść. Ochlapała twarz wodą, poszczypała się w policzki, żeby poróżnowiały. Wciąż wyglądała mizernie, ale z determinacją podciągnęła gorset i błysnęła zębami w najlepszym uśmiechu, na jaki potrafiła się zdobyć.

Jeśli zrobisz to, jak należy, upomniała się w duchu, Smeeta nawet nie spojrzysz na twoją twarz.

I wypłynęła przez drzwi łazienki gotowa zapolować na frajera.

Jednakże po zakończonej robocie i zdobyciu niezbędnych informacji, kiedy wszyscy posnęli, z narastającą frustracją przekopała się przez skromny bagaż Matthiasa i przeszukała jego wierzchnie ubranie. Nienawidziła go. Nienawidziła Kuweia. Nienawidziła tego głupiego miasta.

Zdegustowana swoim zachowaniem wśliznęła się do Matthiasa pod koc. Zawsze spał plecami do ściany, to był nawyk wyniesiony z Wrót Piekieł. Zapuściła dłonie w jego kieszenie, powiodła palcami po szwach spodni.

– Nina? – zamamrotał sennie.

– Zimno mi – odparła, nie przestając szukać.

Cmoknęła go w szyję, potem w szczękę poniżej ucha. Nigdy przedtem go tak nie całowała, nie miała okazji. Najpierw byli zbyt zajęci rozplątywaniem pętającego ich supła podejrzliwości, żądź i lojalności, a potem, kiedy wzięła *parem*, nie była już w stanie myśleć o niczym innym. Teraz czuła to samo: targające nią pożądanie było nakierowane na narkotyki, nie na ciało, którego dotykała. Nie pocałowała go jednak w usta. Nie chciała, żeby *parem* odebrała jej także to.

Matthias jęknął cicho.

– Ale tamci...

– Wszyscy śpią.

Złapał ją za rękę.

– Przestań.

– Matthias...

– Nie mam jej.

Wyrwała mu się. Wstyd rozlał się po jej skórze jak ogień po ściółce leśnej.

– A kto ma? – wysyczała.

– Kaz.

Stężała w bezruchu.

– Jemu też wczółgasz się do łóżka?

Sapnęła z niedowierzaniem.

– Poderznąłby mi gardło – odparła.

Miała ochotę wykrzyzczyć swoją bezradność wniebogłosy. Z Kazem nie byłoby targowania się. Nie zastraszyłaby go jak Wylana, nie ubłagała jak Jespera.

Zmęczenie zalało ją wzburzoną falą, opadło jak jarzmo na jej kark, potworne wyczerpanie, które jednak przynajmniej osłabiło rozpaczliwy głód. Oparła głowę na piersi Matthiasa.

– Nienawidzę tego – mruknęła. – Ciebie też trochę nienawidzę, *drüskelle*.

– Przywykłem. Chodź tutaj.

Objął ją i wciągnął w rozmowę o Ravce i Inej. Sam też opowiadał jej różne historie, mówił, jak nazywają się wiatry wiejące nad Fjerdą, wspominał pierwszy posiłek we wspólnej jadalni *drüskelle*. W którymś momencie musiała zasnąć, bo następne, co pamiętała, to łoskot otwieranych wrót grobowca i otępiełe, powolne otrząsanie się z ciężkiego snu bez marzeń.

Matthias z Kazem wrócili z uniwersytetu w ubraniach podziurawionych odłamkami bomby Wylana. Jesper z Wylanem deptali im po piętach – toczący dzikim wzrokiem, przemoczeni wiosennym deszczem i ciągnący za sobą barczystego kaelskiego farmera. To było jak cudowny prezent od świętych: cała scena była tak niezwykła i zdumiewająca, że zaintrygowana Nina zapomniała chwilowo o głodzie, który wprawdzie osłabł po nocnym szaleństwie, ale bynajmniej nie zniknął. Nie miała pojęcia, jak poradzi sobie z wieczornym zadaniem.

Wczorajsze uwiedzenie Smeeta stanowiło ledwie pierwszą część ich planu. Kaz na nią liczył. Inej na nią liczyła. Miała być somatyczką, a nie roztrzęsioną ćpunką, którą rozwala byle formowanie. Nie mogła jednak skupić się na zadaniu, kiedy stał przed nią miętoszący w garści kapelusz Colm Fahey; Jesper, który wyglądał, jakby, zamiast stawić czoła ojcu, wolał zjeść górę gofrów posypanych tłuczonym szkłem; Kaz... Nie miała pojęcia, czego spodziewać się po Kazie. Gniewu? Może czegoś gorszego? Nie lubił niespodzianek ani potencjalnych słabych punktów, a ojciec Jespera był jednym wielkim, krępy, ogorzałym słabym punktem.

Kiedy jednak Kaz wysłuchał pośpiesznej (i, jak domyślała się Nina, mocno skróconej) relacji Jespera z ucieczki z uniwersytetu, wsparł się tylko na lasce i spytał: – Nikt was nie śledził?

– Nie. – Jesper zdecydowanym gestem pokręcił głową.

– Wylanie?

– Nie ufasz mojemu synowi? – zjeżył się Colm.

– Nie bierz tego do siebie, tatku – wtrącił Jesper. – On nikomu nie ufa.

Twarz Kaza nawet nie drgnęła, a jego głos pozostał niewzruszony, spokojny i tak przyjemny, że Nina poczuła gęsią skórę na rękach.

– Proszę o wybaczenie, panie Fahey. Życie w Baryłce mnie tego nauczyło: ufaj, ale sprawdzaj.

– Albo nie ufaj w ogóle – mruknął Matthias.

– Wylanie? – powtórzył Kaz.

Wylan położył torbę na stole.

– Gdyby wiedzieli o tajnym przejściu, to albo poszliby za nami, albo ktoś by na nas czekał w drukarni. Zgubiliśmy ich.

– Na dachu naliczyłem około dziesięciu – powiedział Kaz.

Matthias skinął głową.

– To by się zgadzało – przyznał Jesper – chociaż pewności nie mam. Widziałem ich pod słońce.

Kaz usiadł i wbił spojrzenie czarnych oczu w ojca Jespera.

– Był pan przynętą.

– Co powiedziałeś, chłopcze?

– Bank wezwał pana do spłaty pożyczki?

– Ehm... Prawdę mówiąc... Tak, właściwie to tak. Przysłali mi dość stanowczo sformułowany list, w którym nazwali mój kredyt niestabilnym i ryzykownym. Zapowiedzieli, że jeżeli natychmiast nie spłacę go w całości, będą zmuszeni wkroczyć na drogę prawną. – Ojciec spojrzał na Jespera. – Pisałem do ciebie w tej sprawie, Jes – dodał zmieszanym, bynajmniej nie oskarżycielskim tonem.

– Ja... ostatnio nie odbierałem poczty.

Czyżby Jesper już po tym, jak przestał uczęszczać na zajęcia, odbierał jeszcze jakieś listy na uniwersytecie? Nina zastanawiała się, jak długo udawało mu się utrzymać takie pozory. Oczywiście sprawę ułatwiało oddalenie – od ojca dzielił go cały ocean – a także fakt, że ojciec po prostu chciał mu wierzyć.

Łatwa ofiara, pomyślała ze smutkiem Nina. Nawet jeśli Jesper miał dobry powód, to zwyczajnie oszukiwał własnego ojca.

– Jesper... – odezwał się znów Colm.

– Próbowałem zebrać pieniądze, tatku.

– Grożą, że zabiorą mi gospodarstwo.

Jesper wbił wzrok w podłogę grobowca.

– Niewiele mi zabrakło. Dalej niewiele mi brakuje.

– Żeby zdobyć pieniądze? – Teraz już z głosu Colma przebijała frustracja. – Siedzimy w grobowcu, strzelają do nas na ulicach...

– Co zmusiło pana do przyplłynięcia tutaj? – zainteresował się Kaz.

– Bank skrócił mi okres spłaty – odparł urażony Colm. – Termin się zbliżał. Próbowałem skontaktować się z Jesperem, ale nie odpowiadał, więc pomyślałem...

– Pomyślał pan, że sprawdzi, w co wdał się pański genialny syn na mrocznych ulicach Ketterdamu.

– Obawiałem się najgorszego. To miasto ma określoną reputację.

– Całkowicie zasłużoną, zapewniam. Co pan zrobił po przybyciu do Ketterdamu?

– Zacząłem się rozpytywać na uniwersytecie. Kiedy mi powiedzieli, że Jespera nie ma na liście studentów, poszedłem z tym do *stadwachty*.

– Rety, tatku... – Jesper skrzywił się z niesmakiem. – Do *stadwachty*?

Colm jeszcze mocniej ścisnął kapelusz w garści.

– A dokąd miałem pójść, Jes? Wiesz, jakie to niebezpieczne dla... dla kogoś takiego jak ty.

– Tatku! – Jesper w końcu spojrział ojcu w oczy. – Nie powiedziałaś im chyba, że jestem...

– Oczywiście, że nie!

Griszą, dopowiedziała w myślach Nina. Dlaczego żaden nie powie tego głośno?

Colm odrzucił kluchę filcu, w którą tymczasem zmienił się jego kapelusz.

– Nic z tego nie rozumiem. Po co mnie tu ściągnąłeś? To paskudne miejsce. Dlaczego do nas strzelano? Co z twoimi studiami? Co się z tobą stało?!

Jesper otworzył usta. Zamknął je.

– Tatku, ja... jakby to...

– To przeze mnie – wypalił Wylan. Wszyscy popatrzyli w jego stronę. – Jesper... ehm... tak się zamartwiał tym kredytem, że przerwał studia i zatrudnił się u... u...

– U miejscowego rusznikarza – podsunęła Nina.

– Nino... – burknął ostrzegawczo Matthias.

– Musimy pomóc Jesperowi – odparła szeptem.

– W okłamywaniu ojca?

– To niewinne bzdurki, nie kłamstwa. Nie myl pojęć.

Nina nie miała pojęcia, do czego zmierza Wylan, ale ewidentnie potrzebował pomocy.

– Otóż to! – podchwycił z zapalem Wylan. – U rusznikarza! I wtedy ja... ja mu powiedziałem, że można zrobić interes...

– I dali się wykiwać – wtrącił się Kaz. Mówił tak samo spokojnie i beznamiętnie jak zawsze, ale stał wyjątkowo sztywno, jakby znalazł się na niepewnym gruncie. – Otrzymali propozycję biznesową zbyt piękną, żeby mogła być prawdziwa.

Colm osunął się ciężko na krzesło.

– Skoro coś tak wygląda...

– To najprawdopodobniej takie właśnie jest – potwierdził Kaz.

Nina odniosła niezwykle wrażenie, że choć raz Kaz mówi prawdę.

– Ty i twój brat straciliście wszystko? – spytał Colm, zwracając się do Wylana.

– Mój brat? – powtórzył tępo Wylan.

– Brat bliźniak – podpowiedział Kaz, patrząc znacząco na Kuweia, który siedział z boku i bez słowa śledził rozwój wydarzeń. – Tak, wszystko stracili. Od tamtej pory brat Wylana nie przemówił ani słowem.

– Od początku wyglądał mi na milczka – przyznał Colm. – Wszyscy jesteście... studentami?

– Poniekąd – przytaknął Kaz.

– Studentami, którzy wolny czas spędzają na cmentarzu. Nie można by pójść z tą sprawą do *stadwachty*? Opowiedzieć im o wszystkim? Oszuści mogli okraść więcej ludzi.

– Hmm... – zaczął Wylan, ale Kaz uciszył go spojrzeniem.

W grobowcu zapadła dziwna cisza. Kaz usiadł przy stole.

– *Stadwachta* nam nie pomoże – powiedział. – Nie w tym mieście.

– Dlaczego?

– Bo tu rządzi prawo zysku. Jesper i Wylan chcieli się za szybko dorobić, próbowali pójść na skróty. *Stadwachta* nad nimi nie zapłaci. Czasem trzeba samemu wywalczyć sobie sprawiedliwość.

– I to właśnie jest wasza rola.

Kaz pokiwał głową.

– Odzyskamy pańskie pieniądze. Nie straci pan farmy.

– Ale w tym celu będziecie musieli działać poza prawem. – Colm ze znużeniem pokręcił głową. – Młody jeszcze jesteś, ledwie wyglądasz na takiego, który mógłby skończyć studia.

– Ketterdam był moim uniwersytetem. A poza tym powiem panu coś jeszcze: Jesper nie przyszedłby prosić mnie o pomoc, gdyby miał jakieś inne wyjście.

– Nie możesz być aż tak zły, chłopcze – odparł szorstko ojciec Jespera. – Za krótko żyjesz, żeby dużo nagrzeszyć.

– Szybko się uczę.

– Mogę ci zaufać?

– Nie.

Colm podniósł zmięty kapelusz.

– A mogę ci zaufać, że pomożesz Jesperowi załatwić tę sprawę?

– Tak.

Stary Fahey westchnął ciężko i powiódł wzrokiem dookoła. Nina poczuła, jak pod jego spojrzeniem mimowolnie prostuje grzbiet.

– Przy was czuję się bardzo stary.

– Proszę pomieszkać jeszcze trochę w Ketterdamie – odparł Kaz. – Dopiero wtedy poczuje się pan naprawdę staro. – Przekrzywił głowę i Nina rozpoznała u niego znajomy, zadumany wyraz twarzy. – Uczciwie panu z oczu patrzy, panie Fahey.

Colm spojrzał pytająco na Jespera.

– No... mam nadzieję. Miło, że to zauważyłeś.

– To nie był komplement – wyjaśnił Jesper. – A ja znam tę minę, Kaz. Nawet nie próbuj rozkręcić tych swoich trybików w głowie.

W odpowiedzi Kaz tylko leniwie zamrugał. Bez względu na to, jaki plan został puszczony w ruch w jego diabolicznym umyśle, było już za późno, żeby go zatrzymać.

– Gdzie się pan zatrzymał?

– W Strusiu.

– Bezpieczniej będzie tam nie wracać. Przeniesiemy pana do Geldrennera i zameldujemy pod zmienionym nazwiskiem.

– Ale dlaczego? – wykrztusił Colm.

– Ludzie, którym zależy na zgładzeniu Jespera, już raz wykorzystali pana do wywabienia go z ukrycia. Jestem przekonany, że nie zawahają się wziąć pana na zakładnika, a my i bez tego mamy w tej chwili dość kłopotów. – Kaz wypisał krótkie

instrukcje dla Rotty'ego i wręczył mu kartkę razem z bardzo grubym plikiem banknotów.
– Może pan bez przeszkód stołować się w hotelowej restauracji, panie Fahey, prosiłbym jednak, żeby darował pan sobie zwiedzanie i nie wychodził z hotelu, dopóki się z panem nie skontaktujemy. Gdyby kogoś interesował cel pańskiej wizyty, proszę powiedzieć, że przyjechał pan się zabawić i odpocząć.

Colm zmierzył przeciągłym spojrzeniem najpierw Rotty'ego, a potem Kaza, zanim odetchnął głęboko i odparł z determinacją: – Nie. Dziękuję wam, ale to byłby błąd. – Spojrzał na Jespera. – Znajdziemy inny sposób, żeby spłacić dług. Albo zaczniemy od nowa gdzie indziej.

– Nie możesz oddać im farmy – powiedział Jesper. – Ona tam jest – dodał, zniżając głos. – Nie możemy jej zostawić.

– Jes...

– Proszę cię, tatku. Daj mi to naprawić. Wiem... – Jesper z wysiłkiem przełknął ślinę i zgarbił kościste ramiona. – Wiem, że cię zawiodłem. Proszę tylko o jeszcze jedną szansę.

Nina podejrzewała, że słowa te nie są skierowane tylko do Colma.

– Nie pasujemy tutaj, Jes. Nie pasujemy do tutejszego zgiełku i bezprawia. Tu nic nie ma sensu.

– Panie Fahey – wtrącił cicho Kaz – zna pan powiedzenie o tym, jak należy się zachować na pastwisku wśród krów?

Jesper uniósł brwi, a Nina z trudem zdławiła nerwowe parsknięcie śmiechem. Co bękart z Baryłki może wiedzieć o wypasaniu krów?

– Nie wychylaj się i patrz, gdzie idziesz – odparł Colm.

Kaz pokiwał głową.

– Proszę sobie wyobrazić, że Ketterdam to takie bardzo, bardzo duże pastwisko.

Usta Colma drgnęły leciutko w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

– Proszę dać nam trzy dni na odzyskanie waszych pieniędzy i bezpieczne wyprawienie was obu w drogę – dodał Kaz.

– To możliwe?

– W tym mieście wszystko jest możliwe.

– To stwierdzenie nie napawa mnie optymizmem.

Colm wstał. Jesper zerwał się na równe nogi.

– Tatku?

– Trzy dni, Jesper. Potem wracamy do domu, z pieniędzmi albo bez. – Ojciec położył rękę na ramieniu syna. – Na wszystkich świętych, uważaj na siebie. Wszyscy uważajcie.

Ninę ścisnęło w gardle. Matthias stracił bliskich na wojnie. Ją samą zabrano od rodziny i skierowano na szkolenie, kiedy była dzieckiem. Wylan został wyeksmitowany z rodzinnego domu. Kuwei stracił ojca i ojczyznę. A Kaz? Wolą nie wiedzieć, z jakiego ciemnego zaułka wypęzł. Ale Jesper miał dokąd iść i miał kogoś, kto się nim opiekuje; kogoś, kto powie: „Wszystko będzie dobrze”. Oczami wyobraźni ujrzała złociste pola pod bezchmurnym niebem, szalowany deskami dom osłonięty od wiatru rzędem czerwonych dębów... Bezpieczne miejsce. Chciałaby, żeby Colm Fahey mógł po prostu wmaszerować

do gabinetu Jana Van Ecka i kazać mu oddać Inej, bo jak nie, to da mu w zęby. Chciałaby, żeby ktoś w tym mieście im pomógł; żeby nie byli tacy osamotnieni. Najlepiej by było, gdyby ojciec Jespera mógł ich wszystkich przyjąć do siebie. Nigdy nie była w Nowoziemiu, ale tęsknota za tymi złocistymi polami do złudzenia przypominała jej tęsknotę za domem.

To niemądre, zbesztła się w duchu. Dziecinada.

Kaz miał rację; jeśli chcą sprawiedliwości, sami muszą ją sobie wywalczyć. Tyle że to wcale nie łagodziło bolesnej tęsknoty w sercu.

Colm pożegnał się tymczasem z Jesperem, po czym w towarzystwie Rotty'ego i Spechta wszedł pomiędzy groby, jeszcze raz odwrócił się, pomachał i zniknął.

– Powiniennem pójść z nim – mruknął stojący w drzwiach Jesper.

– Już raz omal go nie zabiłeś – wytknął mu Kaz.

– Wiemy, kto zastawił pułapkę na uniwersytecie? – zaciekawiał się Wylan.

– Ojciec Jespera poszedł do *stadwacht* – przypomniał Matthias. – Jestem pewny, że w straży nie brakuje przekupnych oficerów.

– To prawda – przyznała Nina – ale to nie przypadek, że bank akurat teraz upomniał się o dług.

Wylan usiadł przy stole.

– Jeżeli w sprawę zamieszane są banki, mój ojciec mógł maczać w tym palce.

– Pekka Rollins też ma w nich wpływy – zauważył Kaz.

Nina zwróciła uwagę, że zacisnął palce na główce laski.

– Myślicie, że współpracują? – spytała.

Jesper przetarł twarz dłońmi.

– Módlmy się do wszystkich świętych i Ciotki Evy, żeby tak nie było.

– Niczego nie można wykluczyć – zgodził się Kaz – lecz to w niczym nie zmienia naszych planów na dzisiejszy wieczór. – Sięgnął w głąb jednej z nisz w ścianie. – Proszę.

– Moje rewolwery! – wykrzyknął Jesper. – Witajcie, moje cudeńka! – Jego uśmiech był olśniewający. – Odzyskałeś je!

– Do sejfu w Cumulusie łatwo się włamać.

– Dziękuję, Kaz. Dziękuję ci.

Życzliwość, jaką Kaz okazywał ojcu Jespera, ulotniła się bez śladu jak sen Niny o złocistych polach.

– Na co komu strzelec bez broni? – spytał zgoła nieświadomy tego, jak swoimi słowami zgasił entuzjazm Jespera. – Za długo byłeś pod kreską. Tak jak i my wszyscy. Od dziś zaczynamy spłacać swoje długi.



Zapadła noc, chwila spłaty długów była coraz bliżej. Zmierzający do pełni księżyc łypał na nich z nieba jak czujne białe oko. Fala zimowych chłódów przeminęła i zapanowała prawdziwa późna wiosna – a przynajmniej jej kercheńska namiastka: wilgotna, dławiąca i

ciepła jak wnętrze zwierzęcego pyska, od czasu do czasu łagodzona nieprzewidzianymi burzami. Matthias z Jesperem wcześniej wyprawili się po *gondelę*, a potem wszyscy udali się na nabrzeże, zostawiwszy Kuweia na Czarnym Woalu pod opieką Rotty'ego i Spechta.

Łódź bezszelestnie ciąła wodę. Prowadziła ich łuna świateł miasta.

Jesper przypasał rewolwery i – podobnie jak Matthias – przewiesił karabin przez plecy. Kaz miał pistolet za pazuchą i tę swoją demoniczną laskę. Wylan trzymał rękę na torbie wyładowanej ładunkami wybuchowymi, bombami oślepiającymi i święci wiedzą, czym jeszcze.

– Obyśmy mieli rację – powiedział. – Mój ojciec będzie przygotowany.

– Na to właśnie liczę – odparł Kaz.

Nina musnęła palcami rękojeść pistoletu spoczywającego w kieszeni jej lekkiego wiosennego płaszczyka. Nigdy przedtem nie potrzebowała broni; nigdy nie chciała jej nosić.

Sama była bronią.

Tyle że teraz nie mogła sobie ufać. Nie panowała w pełni nad swoją mocą; czuła się tak, jakby bezskutecznie próbowała pochwycić coś, co znajduje się tuż poza jej zasięgiem. A dzisiaj wieczorem musi mieć pewność, że moc będzie na wyciągnięcie ręki. Nie może popełnić błędu, nie teraz, gdy zależy od niej życie Inej. Miała świadomość, że gdyby była wtedy na Vellgeluku, walka wyglądałaby inaczej; Inej nie dostałaby się do niewoli, gdyby ona, Nina, miała dość siły, by stawić czoło bandziorom Van Ecka.

A gdyby jeszcze miała wtedy *parem*? Nikt by się nie oparł jej mocy.

Pokręciła stanowczo głową.

Gdybyś miała *parem*, pomyślała, byłabyś całkowicie od niej uzależniona i zmierzałabyś prostą drogą na Krypę Kostuchy.

Nikt się nie odzywał. Przybiwszy do brzegu, zeszli na ląd najszybciej i najciszej jak się dało. Kaz gestem nakazał im zajęcie pozycji: on sam miał udać się na północ, Matthias z Wylanem na wschód, a Nina i Jesper mieli zająć się strażnikami po stronie zachodniej.

Nina wyłamała palce. Uciszyć czterech wartowników. To powinno być łatwe – i kilka tygodni temu właśnie takie by było: spowolniłaby im puls i bezgłośnie pozbawiła ich przytomności, zanim zdążyliby wszcząć alarm. Teraz jednak zastanawiała się, czy to przez tę wilgoć w powietrzu, czy raczej z powodu nerwowych potów ubranie nieprzyjemnie klei jej się do skóry.

Sylwetki pierwszych dwóch dostrzegła aż nazbyt szybko; stali oparci o kamienny murek i odstawiwszy na bok karabiny, rozmawiali cicho. Ich głosy wznosiły się i opadały w leniwej melodii. Łatwizna.

– Uśpij ich – mruknął Jesper.

Nina skoncentrowała się na strażnikach i dostroiła swoje ciało do rytmu ich ciał, próbując uchwycić bicie serc i szum płynącej w żyłach krwi.

Jakby szła po omacku ciemności. Niczego nie znalazła. Ledwo, ledwo zdawała sobie sprawę z ich obecności, ale był to jedynie cień świadomości, nic więcej. Widziała ich oczami, słyszała ich uszami, lecz w jej umyśle panowała absolutna cisza. Jej wewnętrzny

zmysł, dar, który posiadała, odkąd sięgała pamięcią, zniknął; źródło mocy, które towarzyszyło jej nieustannie od dzieciństwa, najzwyczajniej w świecie przestało bić. Nie była w stanie myśleć o niczym innym niż *parem* i towarzyszącym jej uniesieniu i spokojowi, jakby cały wszechświat nagle znajdował się na wyciągnięcie ręki.

– Na co czekasz? – niecierpliwił się Jesper.

Jeden ze strażników musiał chyba coś usłyszeć albo po prostu wyczuć ich obecność, bo spojrzał w ich stronę, usiłując przeniknąć wzrokiem mrok. Wziął do ręki karabin i skinął na swojego towarzysza.

– Idą tutaj – powiedział Jesper, sięgając po broń.

Na wszystkich świętych! Strzały zaalarmują wszystkich innych wartowników, podniesie się rwetes i szlag trafi całą akcję.

Nina skoncentrowała się ze wszystkich sił. Głód *parem* chwycił ją, wstrząsał całym ciałem, z determinacją wbijał szpony w jej czaszkę. Zignorowała go.

Jeden ze strażników potknął się i osunął na kolana.

– Gillis! – odezwał się drugi. – Co się dzieje?

Nie był jednak na tyle głupi, by odłożyć broń. Spojrzał w mrok.

– Stój! – zawołał, wciąż jeszcze próbując podtrzymać towarzysza. – Kto idzie?

– Nino... – szepnął z naciskiem Jesper. – Zrób coś!

Nina zacisnęła pięść, usiłując zgnieść krtań strażnika i uniemożliwić mu wezwanie pomocy.

– Kto idzie?!

Jesper wyciągnął rewolwer.

Nie, nie, nie! Nie będzie tą, przez którą cały plan się zawali. *Parem* miała ją albo zabić, albo zostawić w spokoju, a nie uwięzić w tym pożałowania godnym czyścicu bezradności. Ogarnął ją gniew – czysty, doskonały, umożliwiający koncentrację. Sięgnęła umysłem w przód – i nagle coś pochwyciła, nie ciało, ale coś z pewnością... Kątem oka dostrzegła ruch, wyłaniający się z cienia mroczny kształt, skłębiony obłok kurzu, który wystrzelił na spotkanie stojącego strażnika. Strażnik próbował się od niego opędzić jak od chmury komarów, lecz wtedy obłok zaczął wirować jeszcze szybciej, aż stał się prawie niewidzialny. Strażnik otworzył usta, żeby krzyknąć, chmura zniknęła, a on stęknął i runął na wznak.

Jego kompan z patrolu wciąż chwiał się na klęczkach, dopóki Jesper nie grzmotnął go kolbą rewolweru w potylicę. Strażnik opadł nieprzytomny na ziemię, a Jesper z Niną ostrożnie obejrżeli tego, który upadł wcześniej i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo. Usta i nozdrza miał zatkaane drobnymi białym pyłem.

– Ty to zrobiłaś? – spytał Jesper.

Czy to ona zrobiła? Nina czuła w ustach posmak kurzu. Coś takiego nie powinno być możliwe; somatyk mógł manipulować ciałem ludzkim, ale nie materią nieorganiczną. To było dzieło fabrykatora, i to mocnego.

– A nie ty?

– Doceniam pokładane we mnie zaufanie, ale to wszystko twoja robota, śliczna.

– Nie chciałam go zabić.

Co w takim razie chciała zrobić? Uciszyć go, nic więcej.

Pył osypywał się wąską strużką z kącika rozchylonych ust strażnika.

– Jest jeszcze dwóch – przypomniał Jesper – a my już złapaliśmy opóźnienie.

– Co ty na to, żeby po prostu wyróżnić ich czymś w łeb?

– Wyrafinowane... Podoba mi się.

Nina czuła dziwne mrowienie w całym ciele, za to rozpaczliwy głód *jurdy parem* nagle przestał jej doskwierać.

Nie chciałam go zabić.

To nie miało żadnego znaczenia. Nie mogło mieć. Strażnicy zostali unieszkodliwieni, realizacja planu przebiegała bez przeszkód.

– Chodź – ponagliła Jespera. – Idziemy po naszą dziewczynę.



Spędziła bezsenną noc w ciemnościach. Gdy zaczęło jej burczeć w brzuchu, domyśliła się, że nastał poranek, ale nikt nie przyszedł, żeby zdjąć jej opaskę z oczu albo podsunąć tacę z jedzeniem. Najwyraźniej Van Eck nie zamierzał się z nią dłużej cackać. Od teraz będzie próbował wykorzystać jej strach, a nie powłóczyście sulijskie spojrzenia i uprzejmość Bajana.

Kiedy dreszcze ustąpiły, wstała i chwiejnie podeszła do wylotu kanału wentylacyjnego – tylko po to, by stwierdzić, że tym razem pokrywa została solidnie przyśrubowana, zapewne w tym czasie, gdy ona przebywała w teatrze. Nie zdziwiło jej to; domyślała się, że Van Eck celowo zostawił jej wcześniej drogę ucieczki, żeby najpierw dać jej nadzieję – a potem ją odebrać.

W końcu Inej zaczęło się przejaśniać w głowie i leżąc w ciemnościach, ułożyła nowy plan. Będzie mówić. Istniało mnóstwo kryjówek, z których nie korzystali, ponieważ ich lokalizacja przestała być tajemnicą albo po prostu z różnych względów im nie odpowiadała. Te pójdą na pierwszy ogień. Następne będą kryjówki należące do innych gangów z Baryłki. Wiedziała na przykład o kontenerze w Trzeciej Przystani, z którego czasem korzystali Pokrywkarze. A Brzytwomewy lubiły się zaszyć w zapuszczonym hoteliku parę przecznic od Listewki; nazywano go „Plackiem z dżemem” ze względu na wyblakły malinowy kolor ścian i białe markizy przywodzące na myśl lukier. Przeszukanie wszystkich pokoi Placka zajęłoby Van Eckowi dobre pół nocy. A ona będzie grać na zwłokę. W pogoni za Kazem przeciągnie Van Ecka i jego ludzi po całym Ketterdamie. Nigdy nie była jakąś wybitną aktorką, ale w Menażerii musiała czasem kłamać, a poza tym spędziła dość czasu w towarzystwie Niny, żeby to i owo od niej podłapać.

Kiedy w końcu Bajan przyszedł jej zdjąć przepaskę, towarzyszyło mu sześciu uzbrojonych strażników. Inej straciła poczucie czasu, przypuszczała jednak, że upłynął cały dzień. Bajan miał bladą, ziemistą cerę i nie patrzył jej w oczy; miała nadzieję, że przez całą noc nie spał dręczony brzemieniem jej słów.

Rozciął jej więzy na nogach, lecz w ich miejsce od razu założył kajdany. Łańcuch

dźwięczał ciężko, gdy strażnicy prowadzili ją korytarzem. Weszli do teatru tylnymi drzwiami, przeszli wśród plansz ze starą scenografią i zakurzonych rekwizytów i dotarli na scenę. Zjedzona przez mole zielona kurtyna została opuszczona, przez co nie było widać obszernego parteru i balkonów. Odcięta od reszty teatru i nagrzana od świateł rampy scena emanowała niezwykłą atmosferą intymności; bardziej niż teatralną scenę przypominała teraz prawdziwą salę operacyjną. Spojrzenie Inej prześliznęło się po zdruzgotanym narożniku stołu, na którym leżała poprzedniej nocy. Szybko odwróciła wzrok.

Van Eck czekał na nią w towarzystwie kosonosego strażnika. Obiecała sobie w duchu, że nawet jeśli jej plan zawiedzie, jeśli zmiążdżą jej nogi i nigdy więcej nie będzie już chodzić, znajdzie sposób na to, by odplącić Van Eckowi pięknym za nadobne. Nie wiedziała jeszcze, jak to robi, ale robi. Zbyt wiele przetrwała, żeby dać mu się zniszczyć.

– Boi się pani, panno Ghafa? – zapytał.

– Tak.

– Co za szczerłość... Jest pani gotowa podzielić się ze mną swoją wiedzą?

Inej wzięła głęboki wdech i zwiesiła głowę z udawaną niechęcią.

– Tak – odparła szeptem.

– Słucham.

– Skąd mam wiedzieć, że potem i tak nie zrobisz mi krzywdy?

– Jeżeli pani informacje okażą się prawdziwe, panno Ghafa, nie będzie się pani miała czego obawiać z mojej strony. Nie jestem zwierzęciem. Zastosowałem metody, z którymi jest pani najlepiej obeznana: groźby, przemoc... Baryłka nauczyła panią oczekiwać takiego traktowania.

Van Eck brzmiał jak Tante Heleen. „Dlaczego zmuszasz mnie, żebym to robiła? Sama siebie karzesz, dziewczyno”.

– Mam twoje słowo? – spytała.

Absurdalne pytanie. Van Eck wyraźnie dał do zrozumienia, ile warte jest jego słowo, kiedy na Vellgeluku złamał warunki umowy i próbował ich wszystkich zabić.

Teraz jednak uroczyście skinął głową.

– Masz moje słowo. Umowa to umowa.

– Kaz nie może się dowiedzieć...

– Ależ oczywiście, oczywiście – przytaknął z lekkim zniecierpliwieniem Van Eck.

Inej odchrząknęła.

– Błękitny Raj, klub niedaleko Listewki. W lokalu nad klubem Kaz przechowywał czasem kradzione fanty.

To była prawda, a lokal powinien być pusty. Kaz przestał z niego korzystać, kiedy odkrył, że jeden z barmanów jest dłużnikiem Lwów za Dychę. Nie chciał, by ktoś donosił Lwom o jego ruchach.

– Doskonale. Co jeszcze?

Inej przygryzła wargę.

– Mieszkanie przy Kolstraat, nie pamiętam numeru, z widokiem na tylne wejścia do

kasyn przy Wschodniej Klepce. Dobry punkt obserwacyjny.

– Ach tak? Słucham, słucham dalej.

– Kontener w porcie...

– Wie pani co, panno Ghafa? – Van Eck podszedł bliżej. Na jego twarzy zamiast gniewu malowało się coś na kształt triumfu. – Nie sądzę, żeby to były prawdziwe namiary.

– Nie odważyłabym się...

– Próbuje mnie pani wykiwać. Mam gonić za własnym ogonem, by pani mogła doczekać ocalenia albo wypróbować następny nedorzeczny plan ucieczki. Nie będzie pani długo czekać: pan Brekker jest już w drodze. – Van Eck skinął na jednego ze strażników. – Kurtyna w górę.

Skrzypnął sznur i obszarpana kurtyna powoli się rozchyliła. Co najmniej trzydziestu strażników, uzbrojonych w karabiny i pałki, stało w przejściach między fotelami. Obezwładniający pokaz siły.

Nie, jęknęła Inej w duchu, gdy dotarło do niej znaczenie słów Van Ecka.

– Tak, tak, panno Ghafa, pani bohater przybywa pani na ratunek. Pan Brekker lubi się uważać za największego cwaniaka w Ketterdamie, pomyślałem więc, że pójdę mu na rękę i pozwolę, żeby przechytrzył sam siebie. Dotarło do mnie, że zamiast panią ukrywać, powinienem po prostu pozwolić mu panią odnaleźć.

Inej zmarszczyła brwi. To było niemożliwe. Po prostu niemożliwe. Czyżby ten kupiec naprawdę przechytrzył Kaza? I jeszcze ją do tego wykorzystał?

– Codziennie wysyłałem Bajana na Eil Komedie. Pomyślałem, że Sulijczyk będzie się rzucał w oczy i ktoś w końcu zwróci uwagę, że dzień w dzień wyprawia się na opuszczonej wysepce. Do dzisiejszego dnia nie miałem pewności, czy Brekker połknie przynętę. Prawdę mówiąc, zaczynałem się już trochę denerwować... Ale w końcu połknął. Wczesnym wieczorem dwóch jego ludzi – fjerdański dryblas i ten chłopak z Nowoziemia – przygotowało na przystani *gondelę*. Nie kazałem ich pojmać; to pionki, podobnie jak pani. Główną nagrodą jest Kuwei. Pan Brekker da mi w końcu to, co mi się należy.

– Gdybyś nie próbował nas oszukać, już byś miał Kuweia. Ryzykowaliśmy życie, żeby wyciągnąć go z Lodowego Dworu. Powinieneś być dotrzymać słowa.

– Patriota oddałby mi Kuweia, nie domagając się zapłaty.

– Patriota? Jeżeli zrealizujesz swój plan związany z *jurdą parem*, w Kerchu zapanuje chaos.

– Rynek jest odporny. Kerch przetrwa, ba, może nawet wzmocni się na skutek zmian, które nastąpią. Co innego pani i pani towarzysze: wasz los może być nie do pozazdroszczenia. Jak pani myśli, co czeka pasożytów z Baryłki, kiedy wybuchnie wojna? Kiedy uczciwi ludzie przestaną szastać pieniędzmi i zamiast tarzać się w rozpuście, zajmą się uczciwą pracą?

Inej wykrzywiła wargi w pogardliwym uśmiechu.

– My, męty, mamy swoje sposoby na przetrwanie, choćbyś nie wiadomo jak bardzo chciał się nas pozbyć.

Van Eck też się uśmiechnął.

– Większość pani przyjaciół nie dożyje jutra.

Inej pomyślała o Jesperze, Ninie i Matthiasie i o przemiłym Wylanie, który zasługiwał na coś o wiele lepszego niż to ścierwo w roli ojca. Van Eck nie chciał ich po prostu pokonać. Dla niego to była sprawa osobista.

– Ty nas nienawidzisz.

– Prawdę mówiąc, pani akurat niespecjalnie mnie interesuje: akrobatka, tancerka czy kimkolwiek była pani, zanim stała się zakałą tego miasta... Co innego Kaz Brekker: jego istnienie mnie obraża. To człowiek nikczemny, okrutny, amoralny. Zepsucie potęguje zepsuciem. Ma niezwykle umysł, mógłby go wykorzystać w cudowny sposób: rządzić tym miastem, zbudować coś, wytworzyć nową wartość, z której wszyscy skorzystają. A on pasożytuje na pracy lepszych od siebie.

– Lepszych? Takich jak ty?

– Pewnie przykro to pani słyszeć, ale takie są fakty. Kiedy zabraknie mnie na świecie, pozostanie po mnie największe morskie imperium handlowe, fabryka bogactwa, hołd dla Ghezena i oznaka jego łask. A któż zapamięta taką dziewczynę jak pani, panno Ghafa? Co zostanie po pani i Kazie Brekkerze oprócz trupów do spalenia na Krypie Kostuchy?

Gdzieś z zewnątrz dobiegł krzyk i w teatrze zapadła cisza. Strażnicy zwrócili się ku wejściu.

Van Eck spojrzał na zegarek.

– Północ, co do minuty. Brekker wie, co to dramaturgia.

Rozległ się kolejny okrzyk, wybuchła krótka strzelanina.

Sześciu strażników za plecami, kajdany na nogach. Inej poczuła dławiącą falę bezradności. Kaz i pozostali zaraz wpadną w pułapkę, a ona nie ma jak ich ostrzec.

– Wolałem nie wycofywać wszystkich strażników z okolicy – wyjaśnił Van Eck. – Nie chciałbym, żeby poszło im za łatwo, bo mogliby zacząć coś podejrzewać.

– Kaz ci nie powie, gdzie jest Kuwei. Nigdy.

Van Eck uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Zastanawiam się, co okaże się skuteczniejsze: torturowanie pana Brekkera czy zmuszenie go, by patrzył, jak torturuję panią? – Nachylił się ku Inej i dodał konspiracyjnym szeptem: – Powiem pani w zaufaniu, że pierwszą rzeczą, jaką zamierzam zrobić, będzie ściągnięcie mu rękawiczek i połamanie tych złodziejskich palców jeden po drugim.

Inej wyobraziła sobie białe, zręczne palce Kaza i błyszczący węzeł blizn na knykciach prawej dłoni. Van Eck mógł mu połamać wszystkie palce, a potem także obie nogi, a Kaz i tak nie powiedziałby mu ani słowa – ale co będzie, kiedy strażnicy zedrą mu rękawiczki? Nie rozumiała, do czego ich potrzebuje ani dlaczego zemdłał w więźniarce w drodze do Lodowego Dworu, ale wiedziała, że nie znosi dotyku drugiego człowieka. Jak dobrze zdoła się z tym kryć? Jak szybko Van Eck znajdzie jego słaby punkt i spróbuje go wykorzystać? Jak długo Kaz wytrzyma?

Nie mogła znieść tych myśli. Cieszyła się, że nie wie, gdzie jest Kuwei, bo na pewno pękłaby wcześniej od Kaza.

W teatralnym holu rozległ się tupot, grzmot obutych stóp. Szarpnęła się w przód i otworzyła usta, żeby krzyknąć ostrzegawczo, ale jeden ze strażników zakrył jej usta dłonią. Miotła się bezsilnie w jego uścisku.

Drzwi otworzył się z impetem. Trzydziestu strażników uniosło trzydzieści karabinów i odwiodło trzydzieści kurków. Chłopak w drzwiach wzdrygnął się i cofnął. Miał twarz białą jak płótno i zmierzwione kasztanowe loki. Był ubrany w czerwono-złotą liberię domu Van Ecka.

– Panie... panie Van Eck! – wydyszał, unosząc ręce w obronnym geście.

– Opuśćcie broń – nakazał Van Eck strażnikom. – O co chodzi?

Chłopak z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Domek nad jeziorem, proszę pana. Przyszli od strony wody.

Van Eck zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło.

– Alys...

– Porwali ją. Przed godziną.

Alys. Śliczna żona Van Ecka. Jest w ciąży.

Inej poczuła iskierkę nadziei, ale czym prędzej ją zgasiła. Bała się uwierzyć.

– Jednego strażnika zabili, pozostałych związali i zamknęli w spiżarni – dyszał goniec.

– Zostawili list na stole.

– Daj mi go tu! – warknął Van Eck.

Chłopak przebiegł przejściem między fotelami. Van Eck wyrwał mu liścik z ręki.

– Co tam... co tam jest napisane? – zainteresował się Bajan.

Głos mu drżał. Może Inej miała rację w kwestii Alys i jej nauczyciela muzyki?

Van Eck uderzył go na odlew w twarz.

– Jeżeli się dowiem, że o tym wiedziałeś...

– Nie wiedziałem! – zajęczał Bajan. – O niczym nie wiedziałem. Wypełniłem pańskie rozkazy co do joty!

Van Eck zmiął liścik w dłoni, ale wcześniej Inej mignęły słowa skreślone charakterystycznym nierównym pismem Kaza: *Jutro w południe. Goedmedbridge. Razem z jej nożami.*

– List był przyciśnięty tym – dodał goniec i wyjął z kieszeni spinkę do krawata ozdobioną dużym rubinem w otoku ze złotych liści laurowych.

Kaz ukradł ją Van Eckowi na samym początku, kiedy ten wynajął ich do roboty w Lodowym Dworze; Inej nie zdążyła jej sprzedać przed wyjazdem z Ketterdamu. A teraz Kaz jakimś sposobem ją odzyskał.

– Brekker – warknął gniewnie Van Eck.

Inej nie mogła się powstrzymać: wybuchnęła śmiechem.

Van Eck ją spoliczkował, mocno, a potem złapał za przód koszuli i tak nią potrząsnął, że zagrzechotały kości.

– Brekkerowi wciąż się wydaje, że to jakaś gra, prawda? Alys jest moją żoną. Nosi w łonie mojego dziedzica!

Inej zaczęła się śmiać jeszcze głośniej; cała nagromadzona przez ostatni tydzień zgroza wpływała z niej z histerycznym chichotem. Chyba nie mogłaby się w tej chwili powstrzymać, nawet gdyby tego chciała.

– A ty jak ostatni dureń sam mu o tym powiedziałeś na Vellgeluku!

– Mam posłać Frankego po młot i pokazać ci, że nie żartuję?

– Panie Van Eck... – wtrącił błagalnie Bajan.

Ale Inej miała dość bania się tego człowieka. Zanim Van Eck zdążył wziąć kolejny wdech, wyrznęła go z byka i złamała mu nos. Krzyknął i ją wypuścił; krew obficie zboczyła elegancki kupiecki strój. Strażnicy w okamgnieniu dopadli do Inej i zaczęli ją odciągać.

– Ty gnido. – Van Eck przytknął do nosa chusteczkę z wyhaftowanym monogramem. – Ty mała kurwo! Sam wezmę młot i połamię ci kulasy...

– Dalej, Van Eck, wygrażaj mi. Powiedz mi, jaka jestem mała. Tknij mnie palcem, a Kaz Brekker wytnie bachora z brzucha twojej ślicznej żonki i powiesi go na balkonie Giełdy!

Paskudne słowa, słowa, od których zakłuło ją sumienie, ale Van Eck zasługiwał na zaszczepienie takiej wizji w głowie. Powątpiewała, by Kaz zrobił coś takiego, lecz w tej chwili była wdzięczna za każde draństwo i łotrostwo, jakim Brudnoręki zapracował na swoją reputację – bo ta reputacja miała prześladować Van Ecka bez przerwy, dopóki nie odzyska żony.

– Milcz! – zawołał, aż ślina prysnęła mu z ust.

– Myślisz, że tego nie zrobi? – prowokowała go Inej.

Policzek palił ją ogniem po uderzeniu Van Ecka. Patrząc na młot w dłoniach strażnika, cieszyła się, że może odpowiedzieć strachem na strach.

– Nikczemny, okrutny, amoralny – ciągnęła. – Nie dlatego go wynająłeś? Nie dlatego, że robi rzeczy, na które nikt inny się nie poważy? Śmiało, Van Eck, połam mi nogi i przekonaj się, co się stanie. Sprawdź go.

Naprawdę się spodziewała, że jakiś kupczyna przechytrzy Kaza Brekkera? Kaz najpierw ją uwolni, a potem pokaże temu lajdakowi, do czego zdolne są dziwki i męty.

– Pocieszę cię – dodała, gdy Van Eck oparł się o stół, żeby nie upaść. – Nawet lepszych od ciebie też można wykiwać.

waramyr



8

MATTHIAS

Matthias wiedział, że za błędy popełnione w tym życiu będzie bardzo długo pokutował w następnym, ale zawsze mu się wydawało, że mimo wszelkich wad, które miał, i łotrostw, których się dopuścił, tkwi w nim niezłomne jądro dobra i przyzwoitości. Tymczasem teraz nie mógł się wyzbyć wrażenia, że jeżeli spędzi jeszcze choćby godzinę w towarzystwie Alys Van Eck, będzie gotowy ją zamordować, byle tylko mieć odrobinę spokoju.

Oblężenie domku nad jeziorem zostało przeprowadzone z precyzją, której nie mógł nie podziwiać. Już trzeciego dnia po porwaniu Inej Rotty poinformował Kaza o światłach, które pojawiły się na Eil Komedie, a także o łodziach, które przyływały na wyspę lub z niej odpływały o najdziwniejszych porach, często wioząc młodego Sulijczyka. Pasażer szybko został zidentyfikowany jako Adem Bajan, nauczyciel muzyki, od sześciu miesięcy zatrudniony na kontrakcie u Van Ecka. Wyglądało na to, że wprowadził się do Van Ecka wkrótce po odejściu Wylana.

Wylan nie był zaskoczony, że ojciec zatrudnił profesjonalnego pedagoga dla Alys.

– Jest aż tak dobra? – zainteresował się Jesper.

Wylan się zawahał.

– Jest bardzo... entuzjastyczna – odparł.

Przypuszczenie, że Inej jest przetrzymywana na Eil Komedie, samo się narzucało. Nina chciała natychmiast ruszać jej z odsieczą.

– Wcale nie wywiózł jej z miasta – mówiła. Rumieniec wypłynął jej na twarz pierwszy raz od czasu walki z *parem*. – To oczywiste, że tam właśnie ją trzyma.

Ale Kaz – zapatrzony w przestrzeń z tym swoim dziwnym wyrazem twarzy – odparł tylko: – Zbyt oczywiste.

– Ale Kaz...

– Chciałabyś dostać sto *kruge*?

– Gdzie tkwi haczyk?

– Otóż to. Van Eck za bardzo nam to ułatwia. Traktuje nas jak frajerów. Jak cele. Tylko że on nie urodził się w Baryłce, a my nie jesteśmy bandą tępych ćwoków, które

rzucą się na pierwszą podsuniętą przez niego błyskotkę. On chce, żebyśmy myśleli, że tam właśnie trzyma Inej. I może nawet naprawdę tak jest, ale na pewno pilnują jej uzbrojeni po zęby ludzie, może nawet jacyś griszowie naszprycowani *parem*.

– Zawsze uderzaj tam, gdzie cel nie spodziewa się ataku – mruknął Wylan.

– Ghezenie najśłodszy... – jęknął Jesper. – Ależ ty jesteś zdeprawowany, Wylanie.

Kaz zastukał laską w posadzkę grobowca.

– Wiecie, jaki jest główny problem Van Ecka?

– Nie ma ani krzty honoru? – powiedział Matthias.

– Jest beznadziejnym ojcem? – podsunęła Nina.

– Łysieje? – zasugerował Jesper.

– Nie – odparł Kaz. – Ma za dużo do stracenia. I dał nam mapę, co należy mu ukraść w pierwszej kolejności.

Wstał i zaczął im wyklądać plan uprowadzenia Alys. Zamiast próbować odbić Inej, czego Van Eck się po nich spodziewał, zmuszą go do wymiany: Inej za jego żonę będącą w zaawansowanej ciąży. Najpierw jednak trzeba tę żonę znaleźć. Van Eck nie był głupcem i Kaz podejrzewał, że natychmiast po dobieciu targu z Szumowinami wywiózł Alys z miasta. Ich wstępne śledztwo zresztą raczej to potwierdzało. Na pewno nie trzymałby jej w magazynie, fabryce ani innym gmachu przemysłowym; nie było jej też w żadnym z należących do niego hoteli, w jego wiejskiej rezydencji ani na żadnej z dwóch farm nieopodal Elsmeer. Mógł wywieźć ją do posiadłości na drugim brzegu Morza Prawdziwego, Kaz jednak uznał za mało prawdopodobne, żeby Van Eck chciał narażać ciężarną żonę na trudy morskiej podróży.

– Na pewno nie ujawnia wszystkich posiadanych nieruchomości – orzekł Kaz. – Tak jak nie ujawnia całego dochodu.

Jesper zmarszczył brwi.

– Ale unikanie podatków to chyba... świętokradztwo, nie? Przecież taki z niego gorliwy sługa Ghezena...

– Ghezen i Kerch to nie to samo – zauważył Wylan.

Oczywiście odkrycie utajnionego majątku Van Ecka wymagało włamania się do biura Cornelisa Smeeta, a to z kolei dalszych kłamstw i podstępów. Matthias wzdrygał się na myśl o piętrzących się oszustwach, ale wartość zdobytych w ten sposób informacji była niepodważalna. Na podstawie kartoteki Smeeta Kaz namierzył domek nad jeziorem – piękną rezydencję dziesięć mil na południe od miasta: wygodnie urządzoną, łatwą do obrony i zapisaną na nazwisko panny Hendriks.

„Zawsze uderzaj tam, gdzie cel nie spodziewa się ataku”.

Musiał przyznać, że to bardzo rozsądne myślenie. Bardzo wojskowe. Kiedy przeciwnik ma przewagę – liczebną i uzbrojenia – należy szukać słabiej bronionych celów. Van Eck spodziewał się odbicia Inej, dlatego to wokół niej skoncentrował największe siły. Kaz zresztą dodatkowo go do tego zachęcił: kiedy polecił Matthiasowi i Jesperowi przeprowadzić *gondelę* do prywatnego pomostu w Piątej Przystani, przykazał im rzucać się w oczy tak bardzo, jak tylko będzie to możliwe. O jedenastej Rotty i Specht zostawili

Kuweia samego na Czarnym Woalu i – zakutani w grube peleryny, z zasłoniętymi twarzami – wsiedli do *gondeli*, nawołując gromkimi głosami swoich rzekomych kompanów w porcie. W rzeczywistości pokrzykiwali na skonsternowanych przypadkowych turystów, którzy nie mieli zielonego pojęcia, czego mogą chcieć od nich obcy ludzie w łodzi.

Matthias musiał się bardzo hamować, żeby nie sprzeciwić się decyzji Kaza o przydzieleniu Niny do Jespera podczas ataku na rezydencję nad jeziorem, chociaż zdawał sobie sprawę, że takie zestawienie ma sens. Musieli po cichu unieszkodliwić strażników, żeby obeszło się bez paniki i ogłaszania alarmu. Matthias miał za sobą stosowne żołnierskie przeszkolenie, a Nina dysponowała mocą griszy, dlatego musieli zostać rozdzieleni; Jesper i Wylan posiadli inne talenty, mniej dyskretne, dlatego mieli wejść do akcji dopiero w ostateczności. Zresztą miał świadomość, że gdyby przesadnie trząśł się nad Niną i łaził za nią wszędzie jak pies, oparłaby ręce na tych swoich cudownych biodrach i popisała się znajomością przekleństw w kilku różnych językach. Z drugiej strony chyba tylko on i Kuwei mieli świadomość tego, jak wiele wycierpiała od czasu powrotu z Lodowego Dworu. Trudno było mu się z nią rozstać.

Przeżyli przez jezioro i szybko rozprawili się z nielicznymi strażnikami na obrzeżach posiadłości. Większość domów przy brzegu świeciła pustkami, o tej porze roku było jeszcze zbyt chłodno, ale okna domu Van Ecka – czy raczej domu Hendriksów – płonęły światłem lamp. Rezydencja od pokoleń należała do rodziny matki Wylana, zanim jeszcze Van Eck pierwszy raz przekroczył jej próg.

Właściwie ich najście nie przypominało nawet włamania. Jeden z wartowników drzemał spokojnie w ogrodowej altanie, a Matthias nie miał pojęcia, że są jakieś ofiary śmiertelne, dopóki nie okazało się, że nie mogą się doliczyć kompletu straży. Nie było jednak czasu, żeby przepytawać Ninę i Jespera, co poszło nie tak.

Związali pozostałych strażników, zamknęli ich razem ze służbą w spiżarni i w maskach postaci z Dzikiej Komedyi wparowali po schodach na piętro. Przystanęli przed drzwiami salonu muzycznego, gdzie Alys siedziała przy fortepianie. Spodziewali się, że będzie spała, ona jednak mozolnie ćwiczyła jakiś nowy utwór.

– Na wszystkich świętych, co to za kakofonia? – spytała szeptem Nina.

– To by mogło być „Śpij spokojnie, bączku mały” – odparł Wylan w rogatej masce Szarego Diablika – ale prawdę mówiąc, trudno mieć pewność.

Kiedy weszli do pokoju, leżący u stóp Alys terierek o jedwabistej sierści miał dość rozumu, żeby zawarczeć ostrzegawczo, ona sama jednak – nieszczęsna, śliczna, ciężarna Alys – tylko podniosła wzrok znad nut i zapytała: – To jakieś przedstawienie?

– Tak, moja droga – przytaknął kojącem głosem Jesper. – A ty jesteś w nim gwiazdą.

Okryli ją ciepłym płaszczem i wyprowadzili z domu do łodzi. Zachowywała się tak potulnie, że Nina zaczęła się niepokoić.

– Może ma niedokrwienie mózgu? – mruknęła pytająco do Matthiasa.

Matthias nie wiedział, co myśleć o zachowaniu Alys. Jego matka też miewała humory, kiedy była w ciąży z jego młodszą siostrą. Z domku na uboczu, w którym mieszkali, potrafiła zawędrować aż do wioski, zanim zdała sobie sprawę, że włożyła prawy but na

lewą nogę, a lewy na prawą.

Jednakże w pół drogi do miasta, po tym, jak Nina związała jej ręce i założyła przepaskę na oczy, mocując ją solidnie do zwiniętego w kok grubego warkocza, zgroza sytuacji powoli chyba przebiła się do świadomości Alys, która zaczęła pociągać nosem i wycierać go w aksamitny rękaw. Pociąganie nosem przeszło w urywany szloch, a gdy ulokowali ją wygodnie w mauzoleum i nawet podsunęli jej poduszkę pod stopy, z piersi Alys dobył się przeciągły lament.

– Ja chcę do dooomuuu! – zawodziła. – Oddajcie mi mojego pieeeskaaa!

Od tamtej pory lamentowała bez przerwy. W końcu sfrustrowany Kaz machnął na nią ręką i wszyscy wyszli z grobowca, żeby zaznać chwili spokoju.

– Wszystkie kobiety w ciąży są takie? – jęknęła Nina.

Matthias zajrzał do wnętrza kamiennego kadłuba.

– Tylko te uprowadzone – odparł.

– Nie słyszę własnych myśli!

– Może zdjąć jej opaskę z oczu? – zaproponował Wylan. – Moglibyśmy chodzić przy niej w maskach z Dzikiej Komedii.

Kaz pokręcił głową.

– Nie możemy ryzykować, że sprowadzi tu Van Ecka.

– W końcu zrobi sobie krzywdę – zauważył Matthias.

– Mamy zadanie do wykonania – przypomniał Kaz – i mnóstwo roboty przed jutrzejszą wymianą. Więc albo ktoś z was coś wymyśli, żeby się zamknęła, albo sam się tym zajmę.

– To przestraszona dziewczyna... – próbował oponować Wylan.

– Nie prosiłem o charakterystykę.

– Kaz – upierał się niezrażony Wylan – obiecaj mi, że nie...

– Zanim dokończysz to zdanie, pomyśl, z łaski swojej, ile kosztują moje obietnice, i zastanów się, czy na pewno jesteś gotowy zapłacić tę cenę.

– To nie jej wina, że rodzice popchnęli ją do małżeństwa z moim ojcem.

– Nie dlatego się tu znalazła, że zrobiła coś złego. Jest tutaj dlatego, że możemy jej użyć przeciw Van Eckowi.

– Jest w ciąży...

– Zajście w ciążę nie wymaga szczególnych umiejętności, powie ci to każda pechowa dziewczyna z Baryłki.

– Inej nie chciałyby...

Wylan nie zdążył dobrze nabrać tchu, gdy Kaz przedramieniem przyparł go do muru grobowca, a trzymaną w drugiej ręce laskę z wronią główką przytknął mu od dołu do brody.

– Nie ucz mnie mojego fachu – powiedział.

Wylan z trudem przełknął ślinę. Otworzył usta.

– Śmiało – mówił dalej Kaz. – Zrób to, a wyrznię ci język i nakarmię nim pierwszego bezdomnego kota, jakiego napotkam.

– Kaz... – wtrącił ostrzegawczo Jesper, ale Kaz go nie słuchał.

Wylan z uporem zacisnął wargi. Ten chłopak naprawdę nie rozumiał, jak bardzo może sobie zaszkodzić. Matthias już, już miał interweniować, gdy Kaz nagle puścił Wylana.

– Niech ją ktoś zakorkuje, zanim wrócę – mruknął i odszedł w głąb cmentarza.

Matthias przewrócił oczami. Tym obłąkańcom dobrze by zrobiło pół roku w obozie dla rekrutów. Plus solidne bęcki.

– Wiesz co, lepiej nie wspominać o Inej – poradził Jesper otrzępującemu się z kurzu Wylanowi. – O ile chcesz żyć, naturalnie.

Wylan pokręcił głową.

– Ale przecież od początku chodziło o Inej, prawda?

– Wcale nie – prychnęła Nina. – Chodzi o wielki plan, zapomniałeś już? Odbicie Inej z rąk Van Ecka to tylko pierwszy etap.

Wrócili do grobowca. W świetle latarni Matthias stwierdził, że Nina odzyskała rumieńce. Może najazd na domek nad jeziorem jej posłużył, pozwolił zapomnieć o *parem* – chociaż trudno było zbyć milczeniem zabicie strażnika podczas misji, która miała się obejść bez ofiar.

Alys uspokoiła się i siedziała smętnie z rękami splecionymi na brzuchu, wstrząsana lekką czkawką. Próbowwała zdjąć sobie opaskę z oczu, ale zabrała się do tego bez większego przekonania, a Nina dobrze zawiązała węzły. Matthias zerknął na Kuweia, który siedział naprzeciwko niej, po drugiej stronie stołu. Chłopak z Shu Hanu bez słowa wzruszył ramionami.

Nina przysiadła się do Alys.

– Może... napijesz się herbaty?

– Z miodem? – spytała Alys.

– Ehm... Mamy cukier, zdaje się.

– Pijam herbatę wyłącznie z miodem i cytryną.

Nina miała chyba ochotę powiedzieć Alys bez ogródek, gdzie może sobie wsadzić miód z cytryną, więc Matthias pośpiesznie się wtrącił: – A może ciasteczko czekoladowe?

– Ojej, uwielbiam czekoladę!

Nina zmrużyła oczy.

– Nie przypominam sobie, żebym pozwoliła ci rozdawać moje ciastka.

– To w dobrej sprawie. – Matthias wyciągnął puszkę. Sam kupił te herbatniki w nadziei, że Nina zacznie więcej jeść. – Poza tym i tak prawie ich nie tknęłaś.

– Oszczędzam je na później. – Nina pociągnęła nosem. – Radzę ci, nie wkurzaj mnie w kwestiach słodczy.

– Fakt. – Jesper pokiwał głową. – Jest jak smok, który gromadzi słodkie skarby.

Alys kręciła głową.

– Macie takie młode głosy... Gdzie są wasi rodzice?

Wylan i Jesper wybuchnęli śmiechem.

– Co was tak bawi?

– Nic szczególnego – uspokoiła ją Nina. – Są po prostu głupi.

– Ej, chwileczkę – zaperzył się Jesper. – To nie my ci podjadamy ciastka.

– Nie dopuszczam byle kogo do moich skarbów – odparła Nina i mrugnęła porozumiewawczo.

– Co prawda, to prawda – mruknął Matthias, zachwycony, że Nina dochodzi do siebie, i jednocześnie zazdrosny, że to dzięki Jesperowi w końcu się uśmiechnęła.

Powiniennem wsadzić łeb do kubła z zimną wodą, pomyślał. Zachowuję się jak zadurzony szczeniak.

– No dobrze. – Jesper objął Alys. – A teraz opowiedz nam o swoim pasierbie.

– Po co? Jego też chcecie porwać?

– Nie, raczej nie – odparł drwiącym tonem Jesper. – Słyszałem, że ciężko z nim wytrzymać.

Wylan skrzyżował ramiona na piersi.

– A ja słyszałem, że to bardzo utalentowany chłopak, tylko nikt go nie rozumie – odparował.

Alys zmarszczyła brwi.

– Ja go doskonale rozumiem, mówi wyraźnie, nie mamrocze... Właściwie to macie bardzo podobne głosy.

Wylan się wzdrygnął, a Jesper zgiął się wpół ze śmiechu.

– Poza tym owszem, jest utalentowany. Uczy się muzyki, w Belendt.

– Ale jaki właściwie jest? – dopytywał się Jesper. – Zwierza ci się ze swoich lęków? Wstydliwych nawyków? Chybionych miłości?

Wylan podsunął Alys puszkę z ciastkami.

– Proszę, częstuj się.

– Zjadła już trzy! – zaprotestowała Nina.

– Wylan zawsze był miły dla moich ptaków. Tęsknię za nimi. I za Rufusem. Chcę do dooomuuu! – I Alys znów się rozplakała.

Zrozpaczona Nina walnęła czołem o blat stołu.

– Pięknie. Już myślałam, że może naprawdę będziemy mieli chwilę spokoju, ale nic z tego. Moje ciastka poszły na marne.

– Czy wyście nigdy przedtem nie mieli do czynienia z kobietą w ciąży? – burknął Matthias.

Świetnie pamiętał udrękę i humory matki, chociaż przypuszczał, że zachowanie Alys może nie mieć wiele wspólnego z obecnością dziecka w jej łonie. Oddarł kawałek leżącego w kącie koca.

– Masz. – Podał go Jesperowi. – Zmocz w wodzie, nada się na zimny okład. – Przykucnął obok Alys. – Zdejmę ci teraz buty – powiedział.

– Ale po co?

– Stopy ci spuchły. Masaż przyniesie ulgę.

– Oho – mruknęła Nina – robi się ciekawie.

– Tylko bez głupich pomysłów – powiedział Matthias.

– Za późno – odparła Nina, poruszając palcami u stóp.

Matthias zdjął Alys buty.

– Nie zostałam porwana, tylko tymczasowo zatrzymana – wyjaśnił. – Jutro przed wieczorem będziesz z powrotem w domu, ze swoim psem i ptaszkami. Wiesz chyba, że nikt nie chce cię skrzywdzić?

– Nie jestem przekonana...

– No dobrze. Wiem, że mnie nie widzisz, ale jestem tu największy i obiecuję ci, że nikt nie zrobi ci krzywdy.

Nie mógł wykluczyć, że właśnie ją okłamuje. Alys – mimo zimnego okładu na czole i masażu stóp – znajdowała się przecież w kryjówce najbardziej jadowitych zmij zamieszkujących to nienormalne miasto.

– Na razie postaraj się zachować spokój – mówił dalej. – To bardzo ważne. Niepotrzebne nerwy mogą ci zaszkodzić. Co zwykle poprawia ci humor?

– Ja... lubię spacerować nad jeziorem.

– Dobrze, może później wybierzemy się na jakiś spacer. Co jeszcze?

– Lubię się czesać.

Matthias posłał Ninie znaczące spojrzenie. Nina zmarszczyła brwi.

– Skąd pomysł, że znam się na układaniu włosów?

– Stąd, że twoje włosy zawsze ładnie wyglądają.

– Zaraz – odezwał się Jesper – co on się nagle taki czarujący zrobił? – Spojrzał podejrzliwie na Matthiasa. – Może ktoś się pod niego podszywa?

– No dobrze – mruknęła niechętnie Nina. – Może znajdzie się ktoś, kto ją uczesze.

– Coś jeszcze? – pytał dalej Matthias.

– Lubię śpiewać.

Wylan gwałtownie pokręcił głową, składając usta w bezgłośnie „nie, nie, nie!”.

– Mam coś zaśpiewać? – zapytała Alys z nadzieją w głosie. – Bajan mówi, że jestem naprawdę dobra i mogłabym śpiewać w teatrze.

– Może zostawmy to sobie na później... – zasugerował Jesper.

Dolna warga Alys zadygotała jak talerz, który zaraz roztrzaska się na kawałki.

– Śpiewaj! – wypalił Matthias. – Tak, zdecydowanie tak: zaśpiewaj nam coś.

I wtedy zaczął się prawdziwy koszmar.

Alys nie śpiewała nawet bardzo źle – śpiewała za to bez przerwy. Śpiewała pomiędzy kolejnymi kęsami jedzenia, śpiewała, spacerując wśród grobów, śpiewała zza krzaka, kiedy poszła za potrzebą... A kiedy wreszcie usnęła, nuciła przez sen.

– Może Van Eck od początku miał taki plan – mruknął niewesoło Kaz, kiedy znów wszyscy wyszli przed grobowiec.

– Doprowadzić nas oblędu? – spytała Nina. – Bo jeśli tak, to jest na dobrej drodze.

– Diaboliczne... – jęknął Jesper, przymknąwszy oczy.

Kaz spojrział na zegarek kieszonkowy.

– Nina i Matthias powinni już ruszać. Jeżeli dotrzecie na miejsce przed czasem, będziecie mogli zdrzemnąć się parę godzin.

Musieli zachować ostrożność przy odpływaniu z wyspy, nie mogli więc czekać z zajęciem wyznaczonych stanowisk do świtu.

– Maski i peleryny znajdziecie u kuśnierza – ciągnął Kaz. – Wypatrujcie złotego borsuka na szyldzie. Podejdźcie jak najbliżej Pokrywki, nim zaczniecie je rozdawać, a potem skierujcie się na południe. Nie zatrzymujcie się nigdzie zbyt długo; nie chcę, żebyście zwrócili na siebie uwagę gangów. – Spojrzał im po kolei w oczy. – Przed południem wszyscy muszą być na stanowiskach. Wylan na ziemi. Matthias na dachu Emporium Komedie. Jesper naprzeciwko, na dachu hotelu Ammbers. Nino, ty w hotelu na drugim piętrze; jest tam balkon z widokiem na Goedmedbridge. Ustawcie się tak, żeby dobrze widzieć most: chcę, żebyście od samego początku mieli Van Ecka na oku. Na pewno coś knuje; musimy być przygotowani.

Matthias zauważył, że Nina spogląda ukradkiem na Jespera, ale powiedziała tylko: – Żadnych żałobników.

– Żadnych pogrzebów – odpowiedzieli chórem.

Nina ruszyła w stronę miejsca, gdzie przycumowali łódź. Kaz z Wylanem wrócili do mauzoleum; kiedy Jesper chciał pójść za nimi, Matthias zastąpił mu drogę.

– Co się wydarzyło nad jeziorem?

– To znaczy?

– Widziałem, jak na ciebie spojrzała.

Jesper nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Dlaczego jej o to nie zapytasz?

– Będzie się upierała, że wszystko jest w porządku, dopóki nie zacznie cierpieć tak bardzo, że nie będzie w stanie artykułować.

Jesper musnął palcami rewolwery.

– Powiem tylko tyle: uważaj. Nina... nie jest do końca sobą.

– A co to ma znaczyć? Co się stało w domu Hendriksów?

– Mieliliśmy kłopoty – przyznał Jesper.

– Ktoś zginął.

– W Ketterdamie stale giną ludzie. Po prostu bądź czujny. Nina może potrzebować wsparcia.

Jesper wśliznął się za drzwi, a Matthias tylko sapnął z frustracji i pośpiesznie podążył za Niną. Obracał w głowie słowa Jespera, ale milczał. Wsiadli do łodzi i zaczął wiosłować.

Najmądrzejszą rzeczą, jaką zrobił od powrotu z Lodowego Dworu, było oddanie Kazowi reszty *parem*. Nie przyszło mu to łatwo. Nie wiedział dokładnie, jak głęboka otchłań zieleje w sercu Kaza; nie miał pojęcia, gdzie leżą granicę tego, co Kaz robi, a czego nie. Wiedział jednak, że Nina nie ma na Kaza żadnego wpływu, a gdy przyszła do niego do łóżka w noc po robocie u Smeeta, wiedział już, że dokonał właściwego wyboru – bo, na Djela, dałby jej wszystko, o co by prosiła, byle tylko nie przestała go całować.

Obudziła go wtedy ze snu, który prześladował go od Lodowego Dworu. W jednej chwili błąkał się po lodowym pustkowiu, oślepiiony śniegiem i wsłuchany w odległe wycie wilków, a w następnej już nie spał, a Nina tuliła się do niego, ciepła i miękka. Przypomniawszy sobie, co powiedziała mu na statku, w szponach *parem*: „Czy ty w ogóle potrafisz samodzielnie myśleć? Jestem dla ciebie tylko kolejną sprawą, której możesz służyć. Wcześniej był nią

Jarl Brum, dzisiaj jestem ja. Nie chcę twojej przeklętej przysięgi”.

Pewnie nawet nie mówiła poważnie, ale jej słowa wciąż go prześladowały. Rozumiał już teraz, że w szeregach *drüskelle* służył złej sprawie, ale przynajmniej miał swój kraj i swoją drogę życiową; wiedział, kim jest i czego świat od niego oczekuje. Teraz została mu tylko wiara w Djela i przysięga złożona Ninie.

„Zobowiązałem się cię chronić. Tylko śmierć powstrzyma mnie od wypełnienia tej przysięgi”.

Czy naprawdę zamienił po prostu jedną sprawę na inną? Czy uczucie, jakim darzył Ninę, stało się dla niego zaciszną przystanią, w której schronił się, żeby nie musieć decydować o swojej przyszłości?

Skupił się na wiosłowaniu. Ich losy nie rozstrzygną się tej nocy, a do świtu mają jeszcze huk roboty. Poza tym lubił rytm nocnego życia na kanałach: odbijające się w wodzie latarnie, cisza, poczucie dyskretnego przemykania przez pogrążony we śnie świat, czasem jakieś światło w oknie, bo ktoś – nie mogąc zasnąć – wstał, żeby zaciągnąć zasłony albo wyjrzeć na miasto. Starali się jak najrzadziej pływać na Czarny Woal i z powrotem za dnia, dlatego poznawał Ketterdam głównie nocą. Za którymś razem mignęła mu w oknie kobieta w przybranej klejnotami wieczorowej sukni, siedząca przy stole i rozplatająca upięte włosy. Kiedy jakiś mężczyzna – zapewne jej mąż – stanął za jej plecami i zaczął jej pomagać, odwróciła się do niego z uśmiechem. Matthias nie umiał nazwać bólu, jaki odczuł w tym momencie. Był żołnierzem, tak jak Nina, nie dla nich były takie domowe scenki, ale zwyczajnie zazdrościł tamtym dwojgu ich swobody, wygodnego domu, pociechy, jaką znajdowali w sobie nawzajem.

Zdawał sobie sprawę, że nazbyt często zadaje to pytanie, ale kiedy zeszli na ląd nieopodal Wschodniej Klepki, nie mógł się powstrzymać.

– Jak się czujesz?

– Całkiem nieźle – zbyła go Nina, poprawiając woalkę. Była przebrana w roziskrzone błękity Zaginionej Oblubienicy; ten sam kostium miała na sobie, gdy wraz z innymi Szumowinami przyszła do jego celi. – Powiedz mi, *drüskelle*, byłeś kiedyś w tej części Baryłki?

– Siedząc we Wrotach Piekieł, niewiele miałem okazji do zwiedzania miasta – odparł. – Zresztą i tak bym tu nie przyszedł.

– Naturalnie. Tylu bawiących się ludzi w jednym miejscu... Twój wewnętrzny Fjerdanin mógłby tego nie wytrzymać.

– Nino... – odezwał się półgłosem, gdy ruszyli na poszukiwanie pracowni kuśnierskiej. Nie chciał nalegać, ale musiał wiedzieć. – Na spotkanie ze Smeetem włożyłaś perukę i zrobiłaś makijaż. Dlaczego nie próbowałaś się przeformować?

Wzruszyła ramionami.

– Tak było szybciej i łatwiej.

Matthias milczał. Nie był pewny, czy powinien dalej naciskać.

Minęli sklep z serami. Nina westchnęła.

– Jak to możliwe, żebym przeszła obok witryny zastawionej wielkimi kręgami serów i

niczego nie poczuła? Sama już nie wiem, kim jestem... – Zawiesiła głos. – Próbowałam się przeformować, ale... Coś jest nie tak. Coś się zmieniło. Ledwie udało mi się zlikwidować sińce pod oczami, a i tak kosztowało mnie to masę wysiłku.

– Nigdy nie byłaś wybitną formatorką.

– Licz się ze słowami, Fjerdaninie.

– Nino...

– To co innego. Formowanie nie było trudne, za to okazało się bolesne. Trudno mi to wytłumaczyć.

– A co z przymuszaniem innych do swojej woli? – dopytywał się Matthias. – Robiłaś to w Lodowym Dworze, pod wpływem *parem*.

– To już chyba nie wchodzi w grę.

– Próbowałaś?

– W pewnym sensie...

– Spróbuj na mnie.

– Matthiasie, mamy zadanie do wykonania.

– Spróbuj.

– Nie zamierzam mieszać ci w głowie, kiedy nie mam pewności, co z tego wyniknie.

– Nino...

– No dobrze – burknęła w końcu z irytacją. – Chodź tutaj.

Doszli już prawie nad Wschodnią Klepkę i tłum hulaków zgęstniał. Nina wciągnęła Matthiasa w zaułek pomiędzy dwoma domami. Odgarnęła woalkę, zdjęła mu maskę z twarzy i powoli, z namaszczeniem położyła mu dłonie na policzkach. Wsunęła palce w jego włosy... i diabli wzięli koncentrację Matthiasa. Miał wrażenie, że Nina dotyka go wszędzie naraz.

Spojrzała mu w oczy.

– I co?

– Nic nie czuję – odparł zenująco ochrypłym głosem.

Nina uniosła brwi.

– Nic?

– A co kazałaś mi zrobić?

– Próbowałam cię zmusić, żebyś mnie pocałował.

– To głupie.

– Dlaczego?

– Bo ja stale chcę cię całować.

– To dlaczego nigdy tego nie robisz?

– Nino, wiele ostatnio przeszłaś...

– Przeszłam, fakt. I wiesz, co by pomogło? Pocałunki. Mnóstwo pocałunków. Nie byliśmy sami od czasu rejsu *Ferolindem*.

– Kiedy to omal nie umarłaś – przypomniał Matthias. Nie można było lekceważyć powagi tamtej sytuacji.

– Wolę miłe wspomnienia. Na przykład jak przytrzymałaś mi włosy, kiedy rzygałam

do wiadra.

– Przestań mnie rozśmieszać.

– Ale ja lubię, kiedy się śmiejesz.

– Nino, to naprawdę nie jest najlepsza pora na flirt.

– Muszę cię brać przez zaskoczenie, bo inaczej jesteś za bardzo zaaferowany chronieniem mnie i dopytywaniem się, czy dobrze się czuję.

– To źle, że się martwię?

– Nie, ale to źle, że traktujesz mnie w taki sposób, jakbym w każdej chwili mogła się rozpaść na kawałki. Nie jestem ani taka delikatna, ani taka krucha.

Niezbym delikatnym gestem zsunęła mu maskę na twarz, zasłoniła się woalką i wyminąwszy go, wyszła na główną ulicę. Przeszła na jej drugą stronę – wprost do pracowni ze złotym borsukiem nad drzwiami.

Poszedł za nią. Wiedział, że powiedział coś niewłaściwego, ale nie miał zielonego pojęcia, co należało powiedzieć.

Kiedy weszli, zadzwieczał mały dzwoneczek.

– Jakim cudem mają otwarte o tej porze? – mruknął Matthias. – Kto kupuje futra w środku nocy?

– Turyści.

I rzeczywiście, kilka osób bobrowało w stosach futer i skórzanych płaszczy. Matthias z Niną podeszli do lady.

– Mamy odebrać zamówienie – powiedziała Nina do subiekta w okularach.

– Na nazwisko?

– Judit Coenen.

– Ach tak. – Sprzedawca zajrzał do księgi. – Złoty ryś, czarny niedźwiedź, opłacone z góry. Proszę chwileczkę poczekać. – Zniknął na zapleczu, skąd wrócił po minucie, uginając się pod ciężarem dwóch okazałych pakunków owiniętych w szary papier i przewiązanych szpagatem. – Pomóc państwu przenieść je do...

– Damy sobie radę. – Matthias bez wysiłku dźwignął obie paczki. Mieszkańcom tego miasta naprawdę przydałoby się więcej ruchu na świeżym powietrzu.

– Ale może padać! Pozwólcie państwo przynajmniej...

– Damy sobie radę – wycedził przez zęby Matthias.

Subiekt cofnął się o krok.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi – wtrąciła Nina. – Jest niewyspany. Dziękuję za pomoc.

Sprzedawca uśmiechnął się słabo i Nina z Matthiasem wyszli.

– Wiesz, że zupełnie ci to nie wychodzi? – spytała Nina, gdy znaleźli się na ulicy.

– Kłamanie i oszukiwanie ludzi?

– Bycie uprzejmym.

Matthias przetrwał jej słowa.

– Nie chciałem być niegrzeczny.

– Po prostu pozwól, że to ja będę mówić.

– Nino...

– Od tej pory żadnych imion.

Po głosie poznawał, że jest na niego zła, ale chyba nie z powodu tego, jak potraktował sprzedawcę. Przystanęli tylko na chwilę, żeby mógł się przebrać: porzucił strój Szaleńca na rzecz jednego z wielu kostiumów Pana Szkarłata znajdujących się w odebranych od kuśnierza paczkach. Zastanawiał się, czy subiekt znał zawartość pakunków; czy kostiumy zostały uszyte w tej pracowni, czy też „Złoty Borsuk” był tylko punktem odbioru? Kaz miał przeróżne kontakty i znajomości w całym Ketterdamie i tylko on znał prawdę.

Gdy Matthias znalazł sobie odpowiednio obszerną czerwoną pelerynę i nasunął na twarz czerwono-białą maskę, Nina wręczyła mu sakiewkę pełną srebrnych monet. Zważył ją w dłoni. Srebro zadźwięczało wesoło.

– Nie są chyba prawdziwe, co?

– Oczywiście, że nie. Ale nikt nie ma pewności, czy są, czy nie. To element zabawy. Chodź, poćwiczmy.

– Poćwiczmy?

– Mamo, tato, zapłać czynsz! – zaśpiewała Nina.

Matthias wybałuszył oczy.

– Masz gorączkę?

Nina odgarnęła woalkę, żeby porazić go pełną mocą swojego spojrzenia.

– To z Dzikiej Komedyi: kiedy Pan Szkarłat wychodzi na scenę, publika woła...

– „Mamo, tato, zapłać czynsz” – dokończył Matthias.

– Właśnie. Wtedy ty odpowiadasz: „Nie da rady, nie mam czym” i rzucasz garść monet w tłum.

– Ale dlaczego?

– Z tego samego powodu, dla którego wszyscy syczą na Szaleńca i obrzucają kwiatami Królową Skarabeuszy. Taka tradycja. Turyści czasem tego nie łapią, ale miejscowi, z Kerchu, owszem. Dlatego, jeśli dzisiaj ktoś zawoła do ciebie: „Mamo, tato, zapłać czynsz”...

– Nie da rady, nie mam czym – zanucił smętnie Matthias, podrzucając garść monet w powietrze.

– Więcej entuzjazmu! – złajęła go Nina. – To ma być zabawa.

– Czuję się jak głupek.

– Czasem dobrze jest zrobić z siebie głupka, Fjerdaninie.

– Łatwo ci tak mówić, bo nie wiesz, co to wstyd.

Ku zdumieniu Matthiasa Nina darowała sobie ciętą ripostę i nie odezwała się ani słowem, dopóki nie zajęli stanowiska naprzeciwko jednego z kasyn w Pokrywce, wśród muzykantów i ulicznych artystów, zaledwie kilkoro drzwi w bok od Cumulusa. Wtedy nagle jakby ktoś przestawił w niej jakiś przełącznik.

– Chodźcie wszyscy, chodźcie do Szkarłatnego Kordelasa! – zawołała. – Pan, proszę pana. Ależ pan chudy! To niezdrowe. Co pan powie na darmową wyżerkę i dzban wina? A pani, panienko? Wygląda mi pani na osóbkę, która umie się zabawić...

Nina wabiła turystów jednego po drugim, jakby miała do tego wrodzony talent, oferując darmowe jedzenie i picie, rozdając kostiumy i ulotki. Wykidajło z kasyna zainteresował się w końcu zbiegowiskiem, przesunęli się więc dalej na południowy wschód, cały czas rozdając kolejne z przygotowanych przez Kaza dwustu kostiumów i masek. Kiedy ludzie dopytywali się, o co w tym wszystkim chodzi, Nina wyjaśniała, że w ten sposób promuje się nowe kasyno pod nazwą Szkarłatny Kordelas.

Zgodnie z przewidywaniami Niny zdarzało się, że ktoś na widok przebrania Matthiasa wołał: – Mamo, tato, zapłać czynsz!

Matthias posłusznie udzielał oczekiwanej odpowiedzi, ze wszystkich sił starając się udawać wesołka. Jeżeli nawet turyści i miejscowi imprezowicze nie byli zachwyceni jego grą aktorską, to i tak nikt nie dał tego po sobie poznać; być może deszcz srebrnych monet skutecznie ich rozpraszał.

Zanim dotarli nad Zachodnią Klepkę, nastał wschód słońca, a oni pozbyli się wszystkich kostiumów. Matthias pochwycił błysk światła na dachu hotelu Ammbers: to Jesper dawał im znać lusterkiem.

Odprowadził Ninę do pokoju na drugim piętrze zarezerwowanego na nazwisko Judit Coenen. Zgodnie z zapowiedzią Kaza z balkonu rozpościerał się doskonały widok na Goedmedbridge i wody Zachodniej Klepki, z obu stron zabudowanej hotelami i domami uciech.

– Co to znaczy Goedmedbridge? – zainteresował się Matthias.

– Most Dobrej Dziewicy.

– Skąd taka nazwa?

– Jest taka legenda. – Nina oparła się o framugę drzwi. – Kobieta dowiedziała się, że jej mąż zakochał się w dziewczynie znad Zachodniej Klepki i zamierza od niej odejść. Przyszła wtedy na most i zamiast żyć bez męża, rzuciła się do kanału.

– Zabiła się? Z powodu mężczyzny pozbawionego honoru?

– Ty byś się nie skusił? Wszystko, co najlepsze w Zachodniej Klepce, na wyciągnięcie ręki...

– Rzuciłabyś się z mostu dla mężczyzny, który uległby takiej pokusie?

– Ja bym tego nie zrobiła nawet dla króla Ravki.

– Okropna historia.

– Wątpię, żeby była prawdziwa. Ale tak to jest, kiedy się pozwala mężczyznom nadawać nazwy mostom.

– Powinnaś odpocząć. Obudzę cię, kiedy przyjdzie pora.

– Nie jestem zmęczona i nie życzę sobie, żeby ktoś mi dyktował, jak mam wykonywać swoją pracę.

– Jesteś zła.

– Albo mi mówił, jak się czuję. Zajmij stanowisko, Matthiasie; też nie wyglądasz na wypoczętego.

Miała lodowaty głos i wyprężoną jak struna sylwetkę. Wspomnienie snu uderzyło Matthiasa z takim impetem, że niemal poczuł przenikliwy wiatr pod ubraniem i bolesne

smagnięcia śnieżnej zamieci na policzkach. Gardło paliło go jak ogniem, zdarte do żywego od nawoływania Niny. Chciał, żeby zachowała ostrożność. Chciał zapytać, co się stało.

– Żadnych żałobników – mruknął tylko.

– Żadnych pogrzebów – odparła, nie odrywając wzroku od mostu.

Oddalił się po cichu. Zszedł po schodach i szerokim Goedmedbridge przeszedł na drugą stronę kanału. Kiedy odwrócił się i spojrział na balkon hotelu Ammbers, nie dostrzegł na nim Niny. To był dobry znak: skoro on nie widział jej z mostu, Van Eck również jej nie zobaczy.

Po kamiennych stopniach zszedł na przystań, gdzie sprzedawca kwiatów przybijał właśnie do brzegu barką pełną tulipanów i żonkili. Matthias zamienił z nim dwa słowa, popatrując na zrobione przez Wylana znaki kredą po obu stronach kanału. Byli gotowi.

Wszedł po schodach do Emporium Komedie, gdzie zewsząd otoczyły go maski, woalki i mieniące się peleryny. Sklep oferował najróżniejsze fantastyczne przebrania, a każda kondygnacja miała inny motyw przewodni; Matthias ze zgrozą dostrzegł nawet wieszak z gotowymi strojami *drüskelle*. Było to doskonałe miejsce dla kogoś, kto chciał pozostać niezauważony.

Przemknął na dach i lusterkiem dał sygnał Jesperowi. Wszyscy zajęli już swoje pozycje. Tuż przed południem Wylan miał się udać do kawiarenki nad kanałem, która przyciągała zgiełkliwą gromadkę ulicznych artystów: muzykantów, mimów i żonglerów żyjących z pieniędzy turystów. Na razie jednak leżał na boku, wtulony w murek na skraju dachu, i drzemał. Obok leżał zawinięty w naoliwione szmaty karabin Matthiasa wraz z całym rzędkiem fajerwerków zakończonych lontami pokręconymi jak ogonki myszy.

Matthias oparł się plecami o murek i z przymkniętymi powiekami na przemian to przysypiał, to się budził. W okresie służby w *drüskelle* przywykł do długich okresów bezsenności i wiedział, że obudzi się, kiedy będzie to konieczne – na razie jednak maszerował po lodzie, a wiatr zawodził mu w uszach. Nawet Ravkańczycy mieli swoją nazwę dla tej wichury: *gruzeburia*, „dzikus”, zabójczy wiatr. Dął z północy i przypominał sztorm, który zagarnia wszystko na swojej drodze. Żołnierze umierali dosłownie kilka kroków od namiotów, zagubieni w bezkresnej bieli, gdy bezpostaciowy ziąb pochłaniał ich wołanie o pomoc. Gdzieś tam była Nina. Matthias o tym wiedział, lecz nie potrafił do niej dotrzeć. Nawoływał ją raz po raz, tracąc czucie w stopach i walcząc z wciskającym się pod ubranie mrozem. Wyteżał słuch, ale uszy wypełniał mu huk wichury i dobiegające z oddali wycie wilków. Nina umrze na tym lodowym pustkowiu. Umrze samotna i to będzie jego wina.

Obudził się, dysząc ciężko. Słońce wspięło się wysoko na niebo, a nad Matthiasem stał Wylan i delikatnie potrząsał go za ramię.

– Już prawie pora.

Matthias skinął głową i wstał. Rozluźnił ramiona i zaciągnął się ciepłym wiosennym powietrzem Ketterdamu; wydało mu się zupełnie obce.

– Wszystko w porządku? – spytał ostrożnie Wylan.

Matthias spojrział na niego spode łba, co najwyraźniej wystarczyło za odpowiedź.

– Widzę, że tak – dodał Wylan i czmychnął po schodach na dół.

Matthias spojrział na tani zegarek w mosiężnej kopercie, który dostał od Kaza: dochodziła dwunasta. Miał nadzieję, że Nina lepiej wypoczęła przez ten czas. Mignął lusterkiem w stronę jej balkonu i z ulgą przyjął błysk światła w odpowiedzi. Dał też znać Jesperowi, po czym oparł się o murek i czekał.

Wiedział, że Kaz wybrał okolice Zachodniej Kleпки ze względu na zapewniające anonimowość tłumy. Mieszkańcy okolicy właśnie zaczynali się z wolna budzić po nocnych hulankach, a służący udawali się na zakupy, by zgromadzić zapas wina i owoców na kolejny wieczór. Niedawno przybyli do miasta turyści spacerowali po obu brzegach kanału i podziwiali ozdobne szyldy na domach – te słynne i te niesławne. Matthias rozpoznał przyozdobioną srebrem białą różę z kutego żelaza: Dom Białej Róży. Nina pracowała w nim prawie rok. Nigdy nie wypytywał jej o ten okres. Nie miał prawa. Została w mieście, żeby mu pomóc, i mogła robić, co chciała. Mimo to nie mógł przestać o niej myśleć, o jej obnażonych krągłościach, półprzymkniętych zielonych oczach, kremowych płatkach kwiatów zaplątanych w ciemne pukle... Bywały takie noce, kiedy wyobrażał sobie, jak przywołuje go skinieniem dłoni, ale zdarzały się i takie, w które przywoływała kogoś innego, a on, Matthias, leżał z otwartymi oczami i zastanawiał się, co prędzej wpędzi go w obłęd: zazdrość czy pożądanie.

Oderwał wzrok od szyldu, wyjął z kieszeni lunetę i zaczął obserwować okolice Kleпки.

Kilka minut przed południem wypatrzył Kaza: nadchodził od zachodu, jego ciemna sylwetka odcinała się plamą w barwnej ciżbie, laska poruszała się w rytm nierównych kroków, a tłum niemal rozstępował się wokół niego, jakby wyczuwając jego determinację. Widok przywodził skojarzenia z wieśniakami kreślącymi w powietrzu znaki dla odpędzenia złych duchów. Obok Kaza dreptała Alys Van Eck, już bez przepaski na oczach. Przez lunetę Matthias dostrzegł, że jej wargi się poruszają.

Djelu najśłodszy, czy ona nadal śpiewa?!

Widząc skwaszoną minę Kaza, nie można było tego wykluczyć.

Z drugiej strony do mostu zbliżał się Van Eck: sztywno wyprostowany, z rękami przyciśniętymi do boków, jakby się bał, że przesiąknięte grzechem powietrze Baryłki zaplami mu marynarkę.

Instrukcje Kaza nie pozostawiały wątpliwości: likwidacja Van Ecka była rozwiązaniem ostatecznym. Nie chcieli zabijać członka Rady Kupieckiej – na pewno nie w biały dzień, na oczach świadków.

– Może jakaś schludniejsza metoda? – nie ustępował Jesper. – Zawał, zapalenie opon mózgowych...

Matthias wolałby zadać śmierć w ucziwej walce, ale w Ketterdamie inaczej załatwiała się takie sprawy.

– Po śmierci nie będzie mógł cierpieć – odparł Kaz.

Na tym dyskusja się skończyła. *Demjin* nie przyjmował żadnych argumentów.

Kupiec szedł w obstawie strażników odzianych w liberię Van Ecków. Rozglądali się na wszystkie strony, obserwowali otoczenie, wypatrywali zagrożeń. Po sposobie, w jaki

układały się ich peleryny, Matthias poznawał, że są uzbrojeni. W otoczeniu trzech wysokich mężczyzn szła niska zakapturzona postać. Inej.

Matthias był zaskoczony gwałtownym przyływem ulgi. Niezbyt długo znał drobną Sulijkę, ale od początku podziwiał jej odwagę, ona zaś potem wielokrotnie ratowała ich z opresji, ryzykując przy tym życie. Czasem się z nią nie zgadzał, ale nigdy nie miał cienia wątpliwości, że należy ją wyrwać z łap Van Ecka. Wolałby tylko, żeby umiała się rozstać z Kazem Brekkerem, bo zasługiwała na kogoś lepszego. Z drugiej strony może Nina zasługiwała na kogoś lepszego niż on?

Obie strony umowy dotarły nad kanał. Kaz i Alys weszli na most. Van Eck dał znak strażnikom pilnującym Inej.

Matthias podniósł wzrok: siedzący na sąsiednim dachu Jesper rozpaczliwie sygnalizował lusterkiem. Matthias przepatrzył okolicę mostu, ale wciąż nie rozumiał, dlaczego Jesper tak panikuje. Z lunetą przy oku wodził wzrokiem po labiryncie uliczek rozprzestrzeniającym się w obie strony od Klepki. Droga odwrotu Kaza nie była zagrożona. Kiedy jednak spojrział za plecy Van Ecka, na wschód, ogarnęła go zgroza: grupki fioletowo ubranych ludzi tłoczyły się w zaułkach i przesuwwały w kierunku Klepki. *Stadwachta*. Zbieg okoliczności czy element planu Van Ecka? Nie chciałby chyba, żeby władze miasta odkryły jego machloje? Czy Fjerdanie mieli z tym coś wspólnego? A może *stadwachta* zamierzał aresztować i Kaza, i Van Ecka?

Mignął dwa razy lusterkiem w stronę Niny, która z niżej położonego punktu obserwacyjnego nie miała szans wypatrzeć strażników miejskich, dopóki nie będzie za późno. Znowu poczuł na skórze smagnięcie lodowatego wiatru i usłyszał własny głos nawołujący Ninę po imieniu; ogarnęła go panika, gdy nie doczekał się odpowiedzi.

Nic jej nie będzie, uspokajał się. Jest wojowniczką.

Ale ostrzegawcze słowa Jespera nie dawały mu spokoju:

– Nina nie jest do końca sobą.

Oby Kaz był przygotowany. Oby Nina była silniejsza, niż na to wygląda. Oby ich plan okazał się wystarczający, strzały Jespera niechybne, a wyliczenia Wylana bezbłędne.

Bo za chwilę czeka ich ciężka przeprawa.

Sięgnął po karabin.



Ten człowiek nie powinien grać w karty.

To była pierwsza myśl Kaza, gdy zobaczył zbliżającego się do mostu Van Ecka. Druga była taka, że ktoś złamał mu nos, który był opuchnięty, przekrzywiony i przybrany sińcem rozlewającym się pod jednym okiem. Uniwersytecki medykus zrobił zapewne, co mógł, ale tylko grisza-uzdrowiciel mógłby całkowicie naprawić i zamaskować takie złamanie.

Van Eck starał się zachować neutralny wyraz twarzy – starał się jednak tak usilnie, że pot wystąpił mu na czoło. Trzymał się nienaturalnie prosto i prężył pierś, jakby ktoś ciągnął go ku górze za sznureczek przywiązany do mostka. Dostojnym krokiem wszedł na Goedmedbridge, otoczony przez strażników w złocie i czerwieni...

To było zaskakujące. Kaz spodziewałby się raczej, że Van Eck będzie wolał jak najdyskretniej przemknąć do Baryłki.

Zastanawiał się, co zrobić z tą nową informacją. Niebezpiecznie byłoby pomijać takie detale. Nikt nie lubi wychodzić na frajera i chociaż Van Eck nosił się dumnie i silił na spokój, jego próżność musiała zostać urażona. Kupiec, który chlubi się wyczuciem rynku, talentem strategicznym i umiejętnością manipulowania ludźmi, nagle dał się wykiwać zwyczajnemu bandziorowi z Baryłki.

Kaz prześliznął się wzrokiem po towarzyszących Van Eckowi strażnikach, wypatrując Inej. Ledwie ją dostrzegł wśród dryblasów Van Ecka, drobną, w kapturze – ale tę zabójczą jak ostrze noża sylwetkę wszędzie by rozpoznał. A że odczuwał pokusę, by wyciągnąć szyję, wyteńczyć wzrok, upewnić się, że jest cała i zdrowa? Owszem, odczuwał, ale był w stanie nad nią zapanować i odsunąć ją na bok, żeby go nie rozpraszała.

Przez jedną krótką chwilę mierzyli się z Van Eckiem wzrokiem, stojąc po przeciwnych stronach mostu. Kaz doskonale pamiętał podobną konfrontację, tę sprzed siedmiu dni. Dużo o niej rozmyślał. Za dużo. Późną nocą, po całodziennej robocie, leżał i rozbierał na części składowe każdą chwilę tamtego spotkania; raz po raz wracał pamięcią do tych kluczowych kilku sekund, kiedy pozwolił sobie przenieść wzrok na Inej, zamiast pilnować

Van Ecka. Drugi raz nie mógł sobie pozwolić na taki błąd. Tamten Kaz jednym spojrzeniem zdradził swoją słabość, dla jednej wygranej bitwy przegrał wojnę i naraził Inej – a wraz z nią ich wszystkich – na śmiertelne niebezpieczeństwo; był jak ranne zwierzę, które trzeba dobić.

I nowy Kaz, ten, który przetrwał, dobił go z przyjemnością. Bez cienia żalu wydusił z niego resztki życia. Dla nowego Kaza istniało tylko jedno zadanie: uwolnić Inej i ukarać Van Ecka. Reszta była nieistotnym zgiełkiem w tle.

Rozmyślał także o tym, jakie błędy na Vellgeluku popełnił Van Eck. Okazał się na tyle głupi, by pochwalić się przyszłym dziedzicem spoczywającym w łonie nowej żony, młodej Alys Van Eck, o włosach białych jak mleko i pulchnych dłoniach. Powodowała nim nie tylko pycha, lecz także nienawiść do Wylana i pragnienie wykreślenia syna z ksiąg, jak czyni się z nieudanym przedsięwzięciem handlowym.

Ledwo zauważalnie skinęli sobie głowami na powitanie. Kaz trzymał odzianą w rękawiczkę dłoń na ramieniu Alys; nie spodziewał się, że spróbuje uciec, ale któż mógł wiedzieć, co naprawdę chodzi jej po głowie?

Van Eck dał znak swoim ludziom, żeby podeszli z Inej bliżej. Kaz i Alys weszli na most. Kaz natychmiast zwrócił uwagę, że Inej jakoś dziwnie się porusza i trzyma ręce za plecami. Miała związane ręce i skute nogi.

Rozsądne zabezpieczenie, przyznał w duchu. Sam też bym tak zrobił.

Równocześnie jednak poczuł, jak tkwiące w jego wnętrzu krzesiwo zgrzyta w wypełniającej go pustce, gotowe rozpaść ogień gniewu. Znowu przyszło mu do głowy, że mógłby po prostu zabić Van Ecka.

Nie śpiesz się, upomniał się w myślach.

Cnotę cierpliwości ćwiczył od małego, i to bardzo często. To cierpliwość w końcu powali wszystkich jego wrogów na kolana – cierpliwość i pieniądze, które zamierzał odebrać temu kupieckiemu ścierwu.

– Czy twoim zdaniem Jan jest przystojny? – zapytała Alys.

– Co?!

Kaz nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Alys podśpiewywała i nuciała przez całą drogę z targu, gdzie zdjął jej opaskę z oczu. On przez ten czas ze wszystkich sił starał się jej nie słuchać.

– Coś mu się stało w nos – zauważyła Alys.

– Zjawa mu się stała, ot co.

Alys zmarszczyła w zadumie nos.

– Moim zdaniem byłby całkiem przystojny, gdyby tylko nie był taki stary – orzekła.

– Masz szczęście, że żyjemy w świecie, w którym mężczyzna może brak urody nadrobić majątkiem.

– Byłoby miło, gdybyśmy oboje byli młodzi i bogaci.

– Nie za mało? Nie lepiej być młodym, bogatym i do tego szlachetnie urodzonym? Po co zadowalać się kupcem, kiedy mogłabyś mieć księcia?

– Masz trochę racji – przyznała Alys – ale to pieniądze są ważne. Nigdy nie

rozumiałam, po co komu książęta.

Prawdziwa z niej Kerchenka, pomyślał Kaz.

– Nie posiadam się ze zdumienia, Alys, że jest coś, w czym się zgadzamy.

Zbliżając się do środka Goedmedbridge, Kaz bacznie obserwował jego skraj: miał na oku strażników Van Ecka, otwarte drzwi balkonu na drugim piętrze hotelu Ammbers, barękę z kwiatami zacumowaną – jak co rano – po zachodniej stronie mostu. Spodziewał się, że Van Eck również rozlokował swoich ludzi w okolicznych budynkach, lecz nie pozwoliłby im oddać zabójczego strzału. Na pewno miły byłby mu widok zwłok Kaza unoszących się na wodzie w kanale, ale to żywy Kaz mógł go doprowadzić do Kuweia. Ten fakt powinien stanowić dla Kaza gwarancję bezpieczeństwa.

Zatrzymali się w odległości dziesięciu kroków od siebie. Alys próbowała podejść jeszcze bliżej, ale Kaz stanowczo osadził ją w miejscu.

– Mówiłeś, że zaprowadzisz mnie do Jana – poskarżyła się.

– I przyprowadziłem. A teraz się nie ruszaj.

– Janie! – zawołała rozdzierająco Alys. – To ja!

– Wiem, najdroższa – odparł spokojnie Van Eck, nie odrywając wzroku od Kaza. Zniżył głos i mówił dalej: – To nie koniec, Brekker. Chcę Kuweia Yul-Bo.

– Przyszliśmy tu po to, żeby się powtarzać? Ty chcesz poznać tajemnicę *jurdy parem*, a ja chcę dostać swoje pieniądze. Umowa to umowa.

– Nie mam trzydziestu milionów *kruge* na zbyciu.

– Wielka szkoda. Bo jestem pewien, że znajdzie się ktoś, kto ma.

– Udało ci się znaleźć nowego kupca?

– To nie twoje zmartwienie. Rynek załatwi sprawę. Chcesz odzyskać małżonkę czy niepotrzebnie wlokłem tu nieszczęsną Alys?

– Jedną chwileczkę. Alys? Jak nazwiemy nasze dziecko?

– Doskonale – przyznał Kaz. Na Vellgeluku jego ekipa podstawiała Wylana za Kuweia Yul-Bo i Van Eck dał się nabrać. Teraz chciał potwierdzenia, że naprawdę odzyska żonę, a nie przypadkową dziewczynę z przeformowaną twarzą i fałszywym brzuchem. – Wygląda na to, że i starego psa można nauczyć nowych sztuczek. Innych niż przewracanie się na boczek do drapania.

Van Eck udał, że go nie słyszy.

– Alys – powtórzył – jakie imię nadamy naszemu dziecku?

– Naszemu maleństwu? – powiedziała zdezorientowana Alys. – Jeśli to będzie chłopiec, to Jan. A jeśli dziewczynka, Plumje.

– Umówiliśmy się, że Plumje to imię dla twojej nowej papużki.

Alys wygięła usta w podkówkę.

– Ja się tak nie umawiałam.

– Osobiście uważam, że Plumje to śliczne imię dla dziewczynki – wtrącił Kaz. – Zadowolony?

– Chodź do mnie. – Van Eck skinął na Alys i dał znak strażnikowi, żeby wypuścił Inej.

Mijając Van Ecka, Inej odwróciła się do niego i coś szepnęła. Kupiec zacisnął wargi.

Szła, powłócząc nogami, lecz mimo oków na kostkach i związanych rąk udało jej się zachować wrodzony wdzięk.

Dzieliło ją od Kaza dziesięć stóp. Pięć stóp. Van Eck przytulił Alys i zaczął ją zagadywać. Trzy stopy. Inej patrzyła prosto przed siebie. Schudła, miała spierzchnięte usta, ale mimo długich dni spędzonych w niewoli jej wymykające się spod kaptura włosy nadal lśniły w blasku słońca. Dwie stopy. A potem stanęła tuż przed nim.

Musieli jeszcze zejść z mostu, a było wiadomo, że Van Eck łatwo nie odpuści.

– Noże? – spytał Kaz.

– Za pazuchą.

Van Eck wypuścił Alys z objęć i oddał ją pod opiekę strażników, którzy już sprowadzali ją z mostu. Ich krzykliwe czerwono-złote liberie nie dawały Kazowi spokoju. Coś tu było nie tak...

– Spadajmy stąd – powiedział i wyciągnął mały nożyk, żeby przeciąć więzy Inej.

– Panie Brekker? – odezwał się Van Eck.

Słyszając ekscytację w jego głosie, Kaz zamarł w bezruchu. Może jednak Van Eck lepiej blefował, niż się to wydawało.

– Dał mi pan słowo, panie Brekker! – wykrzyknął z teatralną emfazą Van Eck.

Wszyscy w zasięgu głosu popatrzyli na most. – Obiecał mi pan oddać żonę i syna! Gdzie przetrzymuje pan Wylana?

I wtedy Kaz ich zobaczył: fioletowa fala parła w stronę mostu. *Stadwachta* masowo wylała się na brzeg Klepki uzbrojona w pałki i karabiny.

Kaz uniósł brwi. Nareszcie robiło się ciekawie.

– Zablokować most! – zawołał któryś.

Obejrząwszy się przez ramię, Kaz stwierdził, że kolejni funkcjonariusze odcięli im odwrót.

Van Eck wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zagramy na poważnie, panie Brekker? Siła mojego miasta przeciwko pańskiej bandzie zbirów?

Nie tracąc czasu na odpowiedź, Kaz szturchnął Inej w ramię. Okręciła się w miejscu, podstawiając mu spętane ręce do uwolnienia. Podrzucił w powietrze nóż do ostryg, licząc na to, że Inej złapie go w locie, a sam przyklęknął – już z wytrychem w ręce – żeby otworzyć kajdany na jej nogach. Słyszał zbliżający się tupot buciorów, poczuł, że Inej pochyła się nad nim, usłyszał cichy świst... i zaraz potem łoskot upadającego ciała. Zamek puścił, okowy spadły, a Kaz wstał, okręcił się w miejscu i zobaczył leżącego strażnika ze *stadwachty* ze sterczącą spomiędzy oczu rękojeścią nożyka do ostryg. Fioletowe mundury pędziły ku nim ze wszystkich stron.

Kaz podniósł laskę, dając znak Jesperowi.

– Barka z kwiatami, zachodnia strona mostu – powiedział do Inej.

To wystarczyło: w następnej chwili Inej bez zastanowienia przeskoczyła przez barierkę i zniknęła mu z oczu. Nad głową eksplodowała mu pierwsza seria fajerwerków, bardzo bladych w świetle dnia. Realizacja planu się rozpoczęła.

Wyciągnął z za pazuchy zwój liny wspinaczkowej i zahaczył jeden jej koniec o balustradę. Zaczepił laską o poręcz, wybił się w powietrze, jednym susem przesadził barierkę i zawisł nad kanałem, a wtedy lina napięła się i pociągnęła go z powrotem w stronę mostu jak wahadło. Wylądował na pokładzie barki obok Inej.

Dwie łodzie *stadwachty* już płynęły im na spotkanie, coraz więcej funkcjonariuszy zbiegało po pochylniach nad wodę. Kaz nie wiedział, czego spodziewać się po Van Ecku – na pewno nie spodziewał się wciągnięcia w sprawę *stadwachty* – ale był pewien, że kupiec postara się odciąć mu wszystkie drogi ucieczki. Rozległa się kolejna seria wybuchów; nad kanałem eksplodowały różowe i zielone gwiazdy. Zachwyceni turyści wiwatowali. Nikt chyba nie zauważył, że dwa wybuchy rozległy się tuż nad powierzchnią kanału i wyrwały dwa otwory w dziobie łodzi *stadwachty*, która natychmiast zaczęła tonąć; załoga salwowała się ucieczką do wody.

Dobra robota, Wylanie, pomyślał Kaz.

Właśnie zyskali trochę czasu, a przy tym obeszło się bez paniki wśród gapiów. Kazowi bardzo zależało na tym, żeby tłum zachował jak najlepszy humor.

Mimo protestów sprzedawcy wyrzucił do wody całą paletę dzikich pelargonii i wyciągnął spod spodu ubranie, które Matthias ukrył tam z samego rana. Zarzucił czerwoną pelerynę na ramiona Inej, obsypując ją przy okazji deszczem płatków. Zajęta przypinaniem noży była nie mniej zaskoczona od sprzedawcy kwiatów.

– No co? – spytał, rzuciwszy jej maskę Pana Szkarłata, taką samą jak jego własna.

– To ulubione kwiaty mojej matki.

– Miło wiedzieć, że Van Eck nie wyleczył cię z sentymentalizmu.

– Cieszę się, że wróciłam, Kaz.

– Ja też się cieszę, Zjawo.

– Gotowy?

– Czekać.

Kaz nadstawił ucha. Fajerwerki ucichły i chwilę później wyłowił dźwięk, na który czekał: melodyjny brzęk monet na bruku i towarzyszące mu piski publiki.

– Teraz.

Chwycili linę i szarpnęli nią mocno. Rozległ się piskliwy warkot i lina z wielką szybkością pociągnęła ich do góry. W następnej chwili znaleźli się z powrotem na moście, gdzie powitał ich widok zupełnie inny od tego, jaki porzucili przed zaledwie dwiema minutami.

Nad Zachodnią Klepką zapanował chaos. Wszędzie roiło się od Panów Szkarłatów – było ich pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, siedemdziesięciu w czerwonych maskach i pelerynach; wszyscy garściami rzucali monety w powietrze, a turyści i miejscowi przepychali się wśród śmiechów i pokrzykiwań i na czworakach zbierali drobniaki, zupełnie obojętni na przeciskających się wśród nich funkcjonariuszy *stadwachty*.

– Mamo, tato, zapłać czynsz! – nawoływał tłum dziewcząt stojących w drzwiach Niebieskiego Irysa.

– Nie da rady, nie mam czym! – wyskandował w odpowiedzi chór Panów Szkarłatów i

wyrzucił w powietrze fontannę monet.

Tłum odpowiedział kolejnym wybuchem okrzyków zachwytu.

– Z drogi! – krzyczał kapitan *stadwachty*.

Jeden z jego ludzi spróbował zedrzeć maskę stojącemu pod latarnią Panu Szkarłatowi. Tłum zareagował okrzykami dezaprobaty. Kaz i Inej zanurkowali w wir czerwonych peleryn i ludzi walczących o monety. Kaz słyszał, jak Inej śmieje się pod maską. Nigdy przedtem się tak nie śmiała – dziko, histerycznie.

Nagle okolicą wstrząsnął basowy łoskot gromu. Przechodnie przewracali się na ziemię albo łapali się nawzajem, żeby utrzymać się na nogach, czepiali się ścian i wszelkich innych podpór. Kaz też omal nie upadł; w ostatniej chwili podparł się laską. Kiedy podniósł wzrok, miał wrażenie, że ogląda świat przez grubą woal. Powietrze zgęstniało od dymu. Dzwoniło mu w uszach. Jakby z wielkiej odległości dochodziły do niego okrzyki przerażenia i zgrozy. Tuż obok przebiegła jakaś kobieta: z twarzą i włosami obsypanymi pyłem przypominała ducha z pantomimy, dłonie przyciskała do uszu, spomiędzy palców ciekła jej krew. W fasadzie Domu Białej Róży ziała ogromna dziura.

Inej próbowała zdjąć maskę, ale Kaz naciągnął ją jej z powrotem na twarz i pokręcił głową. Coś było nie w porządku. Planował wesołe zamieszanie, nie masową katastrofę, a Wylan nie należał do ludzi, którzy aż tak myliliby się w swoich rachubach. Ktoś inny mieszał przy Zachodniej Klepce, ktoś, kto nie miał nic przeciwko wyrządzeniu poważnych szkód.

Kaz wiedział tylko tyle, że zainwestował dużo czasu i pieniędzy w odzyskanie Zjawy i na pewno nie zamierzał znów jej stracić. Lekko dotknął jej ramienia i puścił się biegiem w głąb najbliższego zaułka.

Inej nie potrzebowała innego sygnału, a Kaz nie musiał się oglądać za siebie, żeby wiedzieć, że biegnie tuż obok, pewna i cicha. Z łatwością mogłaby go wyprzedzić, ale biegli równo, ramię w ramię, krok w krok, w duecie.



10

JESPER

To był ten rodzaj chaosu, w którym Jesper czuł się jak ryba w wodzie.

Kaz przewidział dla niego dwa zadania do wykonania – jedno przed wymianą zakładniczek, drugie po. Dopóki Inej była w rękach Van Ecka, Nina stanowiła pierwszą linię obrony, na wypadek gdyby strażnicy próbowali zabrać ją z mostu albo coś zagroziłoby jej życiu. Jesper miał tymczasem trzymać kupca na muszce – nie chodziło o to, by go zabić, ale gdyby zaczął wymachiwać bronią, Jesper miał go ranić w jedną rękę. Albo w obie.

– Van Eck na pewno coś wymyśli – tłumaczył Kaz na Czarnym Woalu – i będzie to coś paskudnego, bo ma niecałe dwanaście godzin na planowanie.

– To dobrze – odparł Jesper.

– To źle – zaproponował Kaz. – Im bardziej skomplikowany plan, tym więcej ludzi wymaga jego realizacja, tym więcej ludzi może się wygadać i tym większa szansa, że coś się posypie.

– Tak działają złożone układy – mruknął Wylan. – Wbudowujesz w plan kolejne mechanizmy zabezpieczające, z których jeden w końcu owocuje nieprzewidzianą wpadką.

– Podstęp Van Ecka nie będzie elegancki, będzie natomiast nieprzewidywalny. Dlatego musimy się przygotować.

– Jak się przygotowujemy na coś nieprzewidywalnego? – zdziwił się Wylan.

– Poszerzymy sobie możliwości działania. Zabezpieczymy wszelkie możliwe drogi ucieczki: dachy, zaułki, kanały. Nie ma mowy, żeby Van Eck pozwolił nam ot tak sobie zejść z mostu.

Jesper przewidział kłopoty, gdy z daleka dostrzegł zmierzające w stronę mostu oddziały *stadwachty*. Może szykowała się rozprawa z półświatkiem – raz, dwa razy do roku Rada Kupiecka pokazywała w ten sposób hazardzistom, ulicznym artystom i stręczycielom, że bez względu na to, ile pieniędzy wpłacają do miejskiej kasy, to *stadwachta* naprawdę rządzi w mieście.

Dał znać Matthiasowi i czekał. Zapowiedź Kaza brzmiała jednoznacznie:

– Van Eck nic nie robi, dopóki nie odzyska Alys i nie usunie jej w bezpieczne miejsce. Wtedy będziemy musieli się mieć na baczności.

I rzeczywiście, ledwie Inej z Alys zamieniły się miejscami, na moście wybuchło jakieś zamieszanie. Palec na spuście świerzył Jespera, ale drugie zadanie, jakie mu wyznaczono, też było proste: czekać na sygnał od Kaza.

Chwilę później Kaz machnął laską i oboje z Inej przesadzili balustradę mostu. Jesper zapalił zapalną i jedna, dwie, trzy, cztery, pięć z przygotowanych przez Wylana rac pomknęło z wyciem pod niebo, gdzie z hukiem zakończyły żywot w eksplozji kolorów. Ostatnia miała odcień różowy.

– Chlorek strontu – wyjaśnił mu wcześniej Wylan, prezentując swoją kolekcję fajerwerków, materiałów wybuchowych, bomb hukowych i innych niezbędnych rekwizytów. – W ciemności daje czerwony płomień.

– W ciemności wszystko staje się bardziej interesujące – odparł wówczas Jesper.

Nie mógł się powstrzymać. Ba, jeśli kupczyk sam mu podsuwał takie okazje, wykorzystywanie ich było wręcz jego obowiązkiem.

Pierwsza partia fajerwerków była sygnałem dla Panów Szkarłatów zwerbowanych przez Ninę i Matthiasa w nocy (lub nad ranem) obietnicą darmowej wyzerki i wypitki dla tych, którzy w południe przyjdą obejrzeć fajerwerki nad Goedmedbridge – wszystko w ramach głośnej promocji nieistniejącego Szkarłatego Kordelasa. Wiedząc, że na most przyjdzie zaledwie ułamek wszystkich zwerbowanych, rozdali ponad dwieście kostiumów i sakiewek z fałszywymi srebrnikami.

– Nawet jeśli przyjdzie ich tylko pięćdziesięciu – mówił Kaz – to wystarczy.

Nigdy nie lekceważcie pragnienia tłumu dostania czegoś za darmo.

Jesper oceniał, że na moście i brzegach Klepki zebrało się co najmniej stu przebierańców, wyśpiewujących powitalną frazę Pana Szkarłata z Dzikiej Komedyi i garściami rozrzucających monety. Niektóre monety były prawdziwe – to dlatego Pan Szkarłat był ulubieńcem publiki. Ludzie śmiali się, przepychali, zbierali drobniaki i uganiaли się za Panami Szkarłatami, a *stadwachta* bez powodzenia próbowała zaprowadzić porządek. Wyglądało to fantastycznie. Jesper wiedział, że pieniądze są fałszywe, a mimo to żałował, że nie może znaleźć się w tym tłumie i zbierać srebra razem ze wszystkimi.

Na razie musiał wczekać jeszcze chwilę. Gdyby podłożone przez Wylana w kanale bomby nie wybuchły zgodnie z planem, Kaz i Inej będą potrzebowali solidnego wsparcia, żeby uciec z barki kwiaciarskiej.

Pod niebem doszło do kolejnych eksplozji – to Matthias wypuścił drugą serię fajerwerków. Te już nie były sygnałem. Były kamuflażem.

Dwie potężne fontanny wody w kanale oznajmiły detonację zainstalowanych przez Wylana podwodnych min.

W samą porę, kupczyku, pomyślał Jesper.

Ukrył karabin pod połą peleryny Pana Szkarłata i zbiegł po schodach; zatrzymał się po drodze tylko na moment, żeby Nina mogła do niego dołączyć, i razem wybiegli z hotelu. Każde z nich opatrzyło swoją czerwono-białą maskę dużą czarną łzą, żeby odnaleźć się w

rozbawionym tłumie, ale kiedy znaleźli się w samym sercu zamieszania, Jesper zaczął się zastanawiać, czy nie należało wybrać jakiegoś bardziej rzucającego się w oczy znaku.

Kiedy przebiegali przez most, wydało mu się, że w dwóch Panach Szkarłatach rozpoznaje Matthiasa i Wylana: spokojnie oddalali się od kanału, regularnie sypiąc monetami w tłum. Gdyby zaczęli biec, zwróciliby na siebie uwagę *stadwachty*.

Z najwyższym trudem powstrzymał się od wybuchnięcia śmiechem. Tak, to musieli być ci dwaj: Matthias ciskał monetami z przesadną siłą, a Wylan z nadmiernym entuzjazmem. Chłopak powinien popracować nad techniką rzutu, bo na razie prosił się o kontuzję barku.

Dalej mieli się ewakuować osobno: przeniknąć w głąb miasta różnymi kanałami lub ulicami, porzucić peleryny Panów Szkarłatów na rzecz strojów innych postaci z Dzikiej Komedyi, odczekać do zachodu słońca i dopiero wtedy wrócić na Czarny Woal.

Mieli mnóstwo czasu, żeby wpakować się w kłopoty.

Jesper wyraźnie czuł przyciąganie Wschodniej Klepki. Mógłby tam dyskretnie przemknąć, znaleźć jakieś kasyno, pograć parę godzin w trójkolca... Kazowi by się to nie spodobało. Jesper był zbyt rozpoznawalny. Partyjka kart w prywatnej sali w Cumulusie w ramach obowiązków służbowych – to było zupełnie co innego.

Kaz przepadł bez śladu, razem z obietnicą ogromnych pieniędzy i kilkoma cennymi członkami Szumowin. Ludzie snuli najdziwsze domysły co do miejsca jego pobytu; Rotty twierdził, że Per Haskell szuka ich wszystkich. *Stadwachta* zrobi zapewne wieczorny najazd na Listewkę i zacznie zadawać mnóstwo niewygodnych pytań. Poza tym jest jeszcze Pekka Rollins.

Tylko dwa rozdania, obiecał sobie w duchu Jesper. Żeby przestało swędzieć. Potem zajrzą do tatki.

Na tę myśl żołądek fiknął mu koziółka. Nie był jeszcze gotowy na spotkanie z ojcem w cztery oczy, na przedstawienie mu całej prawdy o szaleństwie, w którym uczestniczy. Nagle pragnienie znalezienia się przy zielonym stoliku stało się wręcz nieprzeparate. I do diabła z uciekaniem. Kaz nie dał mu postrzelać, więc Jesper potrzebował teraz paru rzutów kośćmi w obliczu małej szansy na wygraną, żeby rozjaśnić sobie w głowie.

Nagle cały świat pobielał. Dźwięk łączył w sobie trzask blisko uderzającego pioruna i przewalającego się w oddali grzmotu. Podmuch uniósł Jespera w powietrze i cisnął nim o ziemię. Ogłuszający szum wypełnił mu uszy. Stracił orientację w kłębach białego dymu i pyłu, które wciskały mu się do ust. Zakaszłał. Cokolwiek wciągnął do płuc, drapało go w gardle jak drobno tłuczone szkło. Wolał nie trzeć oczu i tylko mrugał zaciekle, usiłując strząsnąć zalegające na nich drobinki pyłu.

Dyszząc ciężko, dźwignął się i stanął na czworakach. W głowie mu huczało. Tuż obok leżał inny Pan Szkarłat, z czarną łzą na polakierowanym na czerwono policzku. Jesper zdjął mu maskę. Nina miała zamknięte oczy, krew spływała jej po skroni.

Potrząsnął ją za ramię.

– Nina! – zawołał, przekrzykując dobiegające ze wszystkich stron wrzaski i lamenty.

Powieki Niny zatrzepotały, wzięła głęboki wdech, usiadła i rozkaszała się.

– Co to było? Co się stało?

– Nie wiem – przyznał Jesper – ale ktoś jeszcze oprócz Wylana odpala tu bomby. Zobacz.

We frontowej ścianie Domu Białej Róży ziała ogromna czarna wyrwa. W uszkodzonym pomieszczeniu na piętrze chwiejnie zawisło łóżko, gotowe w każdej chwili runąć do westybulu na parterze. Pnące się po froncie róże stały w ogniu, emanując mocnym aromatem. Gdzieś z wnętrza dobiegały krzyki.

– Na wszystkich świętych, muszę im pomóc! – powiedziała Nina i do zmaćconej świadomości Jespera przebił się fakt, że przecież prawie przez rok pracowała w Białej Róży. – Gdzie Matthias? – spytała, patrząc na kłębiący się tłum. – Gdzie Wylan? Jeśli to jakaś kolejna niespodzianka Kaza...

– Nie wydaje mi się... – zaczął Jesper, ale wtedy drugi huk wstrząsnął okolicą i oboje przypadli do ziemi, zakrywając głowy rękami.

– Co tu się dzieje, na wszystkich cierpiących świętych?! – zawołała Nina, zirytowana i przerażona jednocześnie.

Wszędzie dookoła ludzie krzyczeli i miotali się w poszukiwaniu schronienia. Nina zerwała się na nogi i spojrzała wzdłuż kanału na południe, gdzie nad innym domem uciech wznosiły się kłęby dymu.

– To Wierzbowa Witka? – spytał Jesper.

– Nie – odparła ze zgrozą Nina, uświadomiwszy sobie coś, czego Jesper jeszcze nie ogarniał. – To Kuźnia.

W tej samej chwili z otworu w bocznej ścianie szczątków Kuźni wystrzeliła w powietrze jakaś sylwetka i śmignęła prosto w ich stronę.

– Grisza – powiedział Jesper. – Muszą mieć *parem*.

Postać przeleciała górą, ale kiedy zadarli głowy i wykręcili szyje, śledząc jej lot, Jesper zdał sobie sprawę, że albo wzrok płała mu figła, albo całkiem postradał rozum. To nie szkwalnik nad nimi przelatywał, tylko mężczyzna ze skrzydłami – olbrzymimi metalicznymi skrzydłami furkoczącymi jak skrzydła kolibra. Trzymał kogoś w ramionach: chłopca krzyczącego w języku, który mógł być ravkańskim.

– Widziałaś to? – wykrztusił Jesper. – Powiedz, że to widziałaś!

– To był Markov – odparła Nina. Na jej twarzy malował się strach przemieszany z gniewem. – Dlatego zaatakowali Kuźnię.

– Nina!

Matthias szedł ku nim przez most, a Wylan deptał mu po piętach. Obaj odsunęli maski na czubki głów; *stadwachta* i tak miała w tej chwili inne zmartwienia.

– Musimy uciekać – dodał Matthias. – Jeśli Van Eck...

Nina złapała go za rękę.

– To był Danil Markov. Pracował w Kuźni.

– Ten ze skrzydłami? – zdziwił się Jesper.

– Nie! – Nina gwałtownie pokręciła głową. – Ten porwany. Markov jest piekielnikiem. – Wskazała na kanał. – Zaatakowali Kuźnię, Dom Białej Róży... Polują na griszów. Szukają

mnie.

W tej samej chwili z Białej Róży wytrysnęła druga skrzydlata postać. Rozległ się kolejny łoskot, runęła część ściany i ze środka wyszły dwie bardzo wysokie postaci: mężczyzna i kobieta. Mieli brunatną skórę i ciemne włosy, tak jak człowiek ze skrzydłami.

– Shu – mruknął Jesper. – Co oni tu robią? I od kiedy umieją latać?

– Włóżcie maski – polecił Matthias. – Musimy się ukryć.

Nasunęli maski na twarze. Jesper bardzo się cieszył z ogólnego zamieszania, ale ledwie zdążył o tym pomyśleć, jeden z ludzi z Shu Hanu zaczął węszyć i wciągnął powietrze głęboko do płuc. Jesper ze zgrozą patrzył, jak powoli odwraca się w ich stronę. Warknął coś do swoich kompanów... i nagle wszyscy Shu ruszyli prosto na nich.

– Za późno – powiedział Jesper. Ściągnął maskę, odrzucił pelerynę i podniósł karabin do ramienia. – Skoro przyszli się zabawić, nie zawiedzmy ich. Ja biorę lotnika.

Na pewno nie zamierzał dać się porwać jakiemuś ptako-ludzikowi z Shu Hanu. Nie miał pojęcia, gdzie się podział drugi lotnik; pozostało tylko mieć nadzieję, że chwilowo jest zajęty porwanym z Kuźni piekielnikiem.

Skrzydlaty Shu robił zwody w lewo, w prawo, na przemian nurkował i wzbijał się jak pijana pszczoła.

– Nie wierć się tak, ty przerośnięty robalu – mruknął Jesper, zanim oddał trzy strzały, które trafiły lotnika prosto w pierś i odrzuciły go w tył.

Lotnik wykreślił zgrabne salto w powietrzu i rzucił się na Jespera.

Matthias ostrzeliwał tymczasem dwójkę olbrzymów: trafiał raz za razem, ale tamci, choć potykali się po każdym trafieniu, wciąż napierali.

– Wylan?! Nina?! – zawołał Jesper. – Gdybyście chcieli się przyłączyć, to się nie krępujcie.

– Staram się – odwarknęła Nina. Stała obok niego z uniesionymi rękami i zaciśniętymi pięściami. – Nie reagują.

– Padnij! – zawołał Wylan.

Przypadli do bruku. Jesper usłyszał metaliczny szczęk i zobaczył czarną smugę: coś pofrunęło w stronę lotnika, który zrobił unik w lewo, ale czarna smuga rozdzieliła się i wybuchła dwiema kulami fioletowego ognia. Jedna z sykiem wylądowała w wodzie, nie czyniąc żadnych szkód, za to druga trafiła lotnika, który z krzykiem zaczął się oganiać od płomieni rozlewających się po jego ciele i skrzydłach. W końcu zoczył z kursu i uderzył w ścianę. Ogień nadal płonął, jego żar był wyraźnie wyczuwalny z dużej odległości.

– Biegiem! – zawołał Matthias.

Rzucili się w stronę wylotu najbliższego zaułka – Jesper z Wylanem na przedzie, Nina i Matthias tuż za nimi. Wylan cisnął przez ramię bombę oślepiającą: rozbiła okno i eksplodowała kulą bezużytecznej światłości.

– Właśnie śmiertelnie przestraszyłeś jakąś nieszczęsną pracującą dziewczynę – wytknął mu Jesper. – Daj mi to. – Zabrał Wylanowi drugą bombę i wysokim łukiem posłał ją dokładnie pod nogi prześladowców. Dłonią osłonił oczy. – Widzisz? Tak to się robi.

– Następnym razem nie będę ci ratował życia – wysapał Wylan.

– Tęskniłbyś za mną. Wszyscy tęsknią.

Nina krzyknęła. Jesper się odwrócił. Nina miotana się bezradnie spętana srebrzystą siecią i przytrzymywana przez kobietę z Shu Hanu stojącą w lekkim rozkroku na środku uliczki. Matthias strzelał do napastniczki, ale ta ani drgnęła.

– Pociski nie działają! – wyjaśnił Wylan. – Oni chyba mają metal pod skórą!

I rzeczywiście, kiedy to powiedział, Jesperowi wydało się, że dostrzega metaliczny połysk w krwawych ranach po kulach. Co to oznaczało? Że to jakiś mechanizm? Jak to możliwe?

– Sieć! – ryknął Matthias.

Wszyscy razem złapali metalową siatkę, żeby zawlec Ninę w bezpieczne miejsce, ale napastniczka przyciągała ją do siebie, z niewiarygodną siłą przekładając ręce na sznurze.

– Trzeba przeciąć sznur! – zawołał Jesper.

– Do diabła ze sznurem! – wycedziła Nina przez zęby i wyszarpnęła mu rewolwer z kabury. – Puszczajcie!

– Nino... – próbował protestować Matthias.

– Puszczajcie, powiedziałam.

Puścili. Spętana siecią Nina śmignęła w głąb uliczki. Kobieta z Shu Hanu cofnęła się niezręcznie o krok, złapała skraj sieci i postawiła Ninę na nogi.

Nina odczekała do ostatniej chwili.

– Ciekawe – powiedziała w końcu – czy cała jesteś z metalu.

Wcisnęła lufę rewolweru w oczodół przeciwniczki i pociągnęła za spust.

Pocisk nie tylko zmasakrował oko, ale przy okazji odłupał górną połowę czaszki. Jeszcze przez chwilę kobieta stała na nogach – ziejąca dziura w czaszce, odłamki kości, miękka różowa materia mózgu, sterczące ze szczątków twarzy kawałki metalu – i przytrzymywała Ninę, po czym w końcu osunęła się na ziemię.

Dławiąc się, Nina szarpnęła sieć.

– Wyplązcie mnie z tego, nim jej kumpel zacznie nas szukać.

Matthias zdarł z niej sieć i wszyscy rzucili się do ucieczki. Ich ciężkie buty zadudniły na bruku.

Jesperowi dźwięczały w uszach słowa zatroskanego ojca, przynaglały go do szybszego biegu, jak niosący ostrzeżenie wiatr:

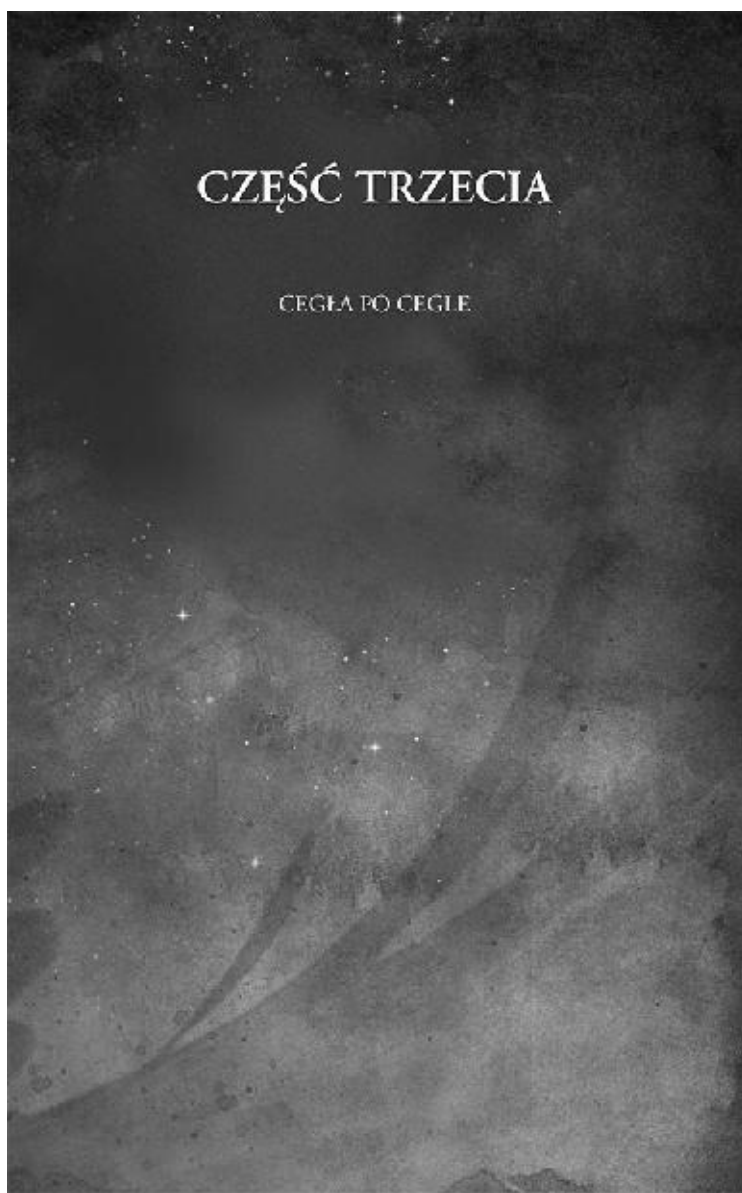
„Boj się o siebie. Świat potrafi być okrutny dla takich jak ty”.

Czego Shu Han mógł chcieć od Niny? Od innych griszów w mieście? Od niego?

Całe jego życie było jednym długim ciągiem unikniętych cudem wpadek i katastrof, ale nigdy przedtem nie był tak absolutnie przeświadczony, że w tej chwili walczy o życie.

CZEŚĆ TRZECIA

CEGLA PO CEGLE





11

INEJ

W miarę jak Inej i Kaz oddalali się od Zachodniej Klepki, milczenie rozlewało się między nimi coraz większą plamą. Peleryny i maski wyrzucili na stertę śmieci na tyłach podupadłego burdeliku zwanego Aksamitnym Pokoikiem, gdzie Kaz zawczasu przygotował dla nich nowe przebrania. Można by pomyśleć, że całe miasto stało się ich garderobą. Inej przyszli na myśl kuglarze, którzy potrafili wyciągać z rękawów całe mile kolorowych chustek albo doprowadzać do zniknięcia dziewczyn ze skrzyń, które zawsze nieprzyjemnie przypominały jej trumny.

Włożyli obszerne płaszcze i grubo tkane spodnie robotników portowych, nasunęli kapelusze na twarze, nie bacząc na ładną pogodę, postawili kołnierze – i tak dotarli do dzielnicy magazynowej. Jej wschodni skraj stanowił praktycznie odrębne miasto w mieście: zamieszkały głównie przez imigrantów zapełniających tanie hoteliki, pensjonaty i biedadomki ze sklejki i blachy falistej i podzielony na mniejsze sektory ze względu na narodowość i język mieszkańców. O tej porze większość ludzi pracowała w porcie i fabrykach, ale na niektórych skrzyżowaniach wystawiali pozbawieni zajęcia mężczyźni i kobiety, licząc na pojawienie się jakiegoś majstra, który kilkorgu szczęśliwcom da zajęcia na resztę dnia.

Kiedy po odejściu z Menażerii Inej włóczyła się po ulicach Ketterdamu, próbowała jakoś oswoić się z tym miastem. Oszołomiona hałasem i obecnością tłumów obawiała się, że Tante Heleen albo któryś z jej podwładnych w każdej chwili może ją porwać i zaciągnąć z powrotem do Egzotycznego Domu. Zdawała sobie jednak sprawę, że jeśli ma być użyteczna dla Szumowin i zapracować na wykupienie swojego nowego kontraktu, nie może się poddać w obliczu niezwykłości, ciżby i zgiełku zapraszających niezapowiedzianego gościa. Musiała nauczyć się tego miasta.

Zawsze wolała przemieszczać się po dachach, niepostrzeżenie, z dala od ciżby ludzkiej. Wtedy najbardziej czuła się sobą, dziewczyną, którą była w przeszłości; która nie miała dość rozumu, żeby się bać, bo nie wiedziała, jak okrutny bywa świat. Poznała wysokie szczyty domów i mansardowe okna przy Zilverstraat, a także ogrody i szerokie bulwary

dzielnicy dyplomatycznej. Docierała daleko na południe, gdzie fabryki ustępowały miejsca cuchnącym rzeźniom i solniskom, z których odpady spływały wprost do okalających Ketterdam bagnisk; lokowano je na obrzeżach miasta, żeby niesiony wiatrem smród nie docierał do dzielnic mieszkalnych. Ketterdam odsłaniał przed nią swoje tajemnice niemal wstydliwie, na przemian kusząc ją wspaniałością i odpychając okropieństwami.

Zostawiwszy za sobą pensjonaty i wozy zaprzęgowe, zagłębili się z Kazem w ruchliwą dzielnicę magazynów i rejon zwany Wątkiem. Ulice i kanały były tu równe i szerokie, co umożliwiało swobodny transport towarów. Mijali ogrodzone place pełne surowego drewna i budulca z kamieniołomów, pilnie strzeżone zbrojownie, olbrzymie magazyny pękające w szwach od bawełny, jedwabiu, płótna i futer, składy pełne precyzyjnie poważonych zwojów suszonych liści *jurdy* z Nowoziemia, które miały zostać przetworzone i popakowane do puszek z kolorowymi etykietkami, a następnie rozesłane na inne rynki.

Nadal pamiętała wstrząs, jakim był dla niej widok reklamy sklepu *Przyprawy rzadkie* wymalowanej na ścianie jednego z magazynów. Po bokach napisu na szyldzie wymalowano dwie Sulijki – odsłonięte brązowe ręce i nogi, haft na skąpych jedwabnych sukienkach ledwie zaznaczony maźnięciami złotej farby. Stała wtedy jak wryta, ze wzrokiem utkwionym w reklamę umieszczoną niespełna dwie mile od miejsca, w którym ludzie kupowali, sprzedawali i targowali się o prawo do posiadania jej ciała. Serce waliło jej w piersi jak spłoszonemu królikowi, zgroza sparaliżowała mięśnie i Inej nie była w stanie oderwać wzroku od sulijskich dziewcząt z bransoletkami na przegubach dłoni i dzwoneczkami wokół kostek nóg. Kiedy wreszcie zdołała ruszyć się z miejsca, pędziła jak wiatr, szybciej niż kiedykolwiek przedtem, jakby przełamała jakieś zaklęcie; mknęła po dachach w stronę Listewki, a miasto przemykało szarą smugą daleko w dole, pod jej nierozważnymi stopami. Później tej nocy śniło jej się, że dziewczęta z szyldu ożyły i – uwięzione w ceglany murze magazynu – błagały o uwolnienie, a ona w żaden sposób nie mogła im pomóc.

Przyprawy rzadkie.

Szyld był na swoim dawnym miejscu, nieco wyblakły od słońca, i nadal miał nad nią władzę: odruchowo napięła wszystkie mięśnie i przez chwilę nie mogła złapać tchu. Może kiedy będzie miała własny statek, kiedy pokona pierwszego łowcę niewolników, może wtedy farba zejdzie płatami z cegieł, rozpaczliwe krzyki przerodzą się w śmiech, a dziewczęta w sukienkach koloru mięty będą tańczyły już tylko dla siebie.

Przed sobą ujrzała kolumnę zwieńczoną Dłonią Ghezena, rzucającą długi cień na serce kercheńskiego bogactwa. Oczami wyobraźni widziała, jak jej święci zarzucają na nią liny i obalają ją na ziemię.

Ani ona, ani Kaz nie zwracali na siebie uwagi, odziani w bezkształtne płaszcze – ot, dwóch chłopaków szukających pracy albo udających się na swoją zmianę do fabryki – a mimo to Inej miała ściśnięte gardło. *Stadwachta* regularnie patrolowała okolicę, zaś na wypadek gdyby taka opieka miała się okazać niewystarczająca, towarzystwa żeglugowe dodatkowo zatrudniały prywatnych strażników, którzy pilnowali, żeby drzwi magazynów pozostały zamknięte, a robotnicy zatrudnieni przy składowaniu, przenoszeniu i załadunku

towarów nie pozwalali sobie na zbyt wiele. Dzielnica magazynowa należała do najbezpieczniejszych miejsc w Ketterdamie – i właśnie z tego powodu Van Eck nie powinien ich tu szukać.

Zbliżyli się do opuszczonego składu płócien. Okna na dolnych kondygnacjach były powybijane, ich ceglane oprawy osmolone. Do pożaru musiało dojść całkiem niedawno – taki magazyn na pewno nie stałby długo pusty: wkrótce zostanie albo wyremontowany, albo wyburzony, żeby w jego miejsce postawić coś nowego. W Ketterdamie wolna przestrzeń miała wysoką cenę.

Kłódka na tylnych drzwiach nie stanowiła poważnej przeszkody dla Kaza i chwilę później znaleźli się na strawionym przez pożogę parterze budynku. Schody przy frontowej ścianie wyglądały na prawie nieuszkodzone. Weszli po nich na górę – Inej lekkim krokiem, Kaz wspomagany rytmicznym *stuk, stuk* laski.

Na drugim piętrze Kaz skręcił do pomieszczenia magazynowego, w którym wciąż piętrzyły się ogromne piramidy bel płótna – nieuszkodzone, co najwyżej ubrudzone sadzą, zwłaszcza te w dolnej warstwie, i nieprzyjemnie zalatujące spalenizną. Były za to całkiem wygodne. Inej znalazła sobie miejsce przy oknie, gdzie na jednej beli mogła oprzeć plecy, na drugiej zaś stopy. Miło było tak po prostu siedzieć i gapić się przez okno, nawet jeśli niewiele było widać: głównie gołe ceglane ściany innych magazynów i las wysokich silosów cukrowych piętrzących się nad portem, skąpanych w bladym świetle popołudniowego słońca.

Kaz podał jej puszkę wyjętą spod jednej ze starych maszyn do szycia. Znalazła w niej orzechy laskowe, krakersy zawinięte w woskowany papier i butelkę zatkaną korkiem. A więc znaleźli się w jednej z kryjówek, których lokalizację koniecznie chciał poznać Van Eck.

Otworzyła butelkę i powąchała.

– Woda – powiedział Kaz.

Inej pociągnęła solidny łyk i zagryzła paroma czerstwymi krakersami. Umierała z głodu, a nie zanosilo się na to, by w najbliższym czasie mogła liczyć na ciepły posiłek. Kaz ostrzegał, że przed nocą nie wróca na Czarny Woal; zresztą nawet wtedy nie spodziewała się jakiegoś wielkiego kucharzenia.

Przez chwilę patrzyła, jak wspina się na stertę bel naprzeciwko i odkłada laskę na bok, zanim zmusiła się do wyjrzenia znów przez okno, żeby nie śledzić precyzji jego ruchów i linii zaciśniętych szczęk. Przyglądanie mu się wydało jej się nagle groźne w sposób, jakiego wcześniej nie doświadczyła. Przypomniał jej się wzniesiony do ciosu młot, lśniący w światłach rampy na Eil Komedie.

„On nie pójdzie na wymianę, jeśli mnie połamiesz”.

Znajomy ciężar noży przynosił ukojenie. Musnęła je palcami, jakby witała starych przyjaciół, i od razu zaczęła się rozluźniać.

– Co powiedziałaś Van Eckowi na moście? – spytał w końcu Kaz. – Podczas wymiany?

– Jeszcze się spotkamy. Ale tylko raz.

– Kolejne sulijskie przysłowie?

– Obietnica złożona jemu i sobie.

– Uważaj, Zjawo. Nie nadajesz się do zabawy w zemstę. Nie jestem też pewien, czy twoi sulijscy święci by ci przyklasnęli.

– Moi święci nie lubią tyranów. – Inej przetarła brudne okno rękawem. – Te wybuchy... Myślisz, że pozostałym nic się nie stało?

– Ich stanowiska znajdowały się daleko od miejsc eksplozji, przynajmniej tych, które widzieliśmy. Po dotarciu na Czarny Woal będziemy mądrzejsi.

Ta odpowiedź jej się nie spodobała. A jeśli ktoś został ranny? Jeśli nie wszyscy wrócą na wyspę? Ostatnio spędziła tyle czasu na siedzeniu i czekaniu, że przymusowa bezczynność, kiedy jej przyjaciółom mogło grozić niebezpieczeństwo, otwierała przed nią zupełnie nowy wymiar frustracji.

Zdała sobie sprawę, że Kaz się jej przygląda, i spojrzała w jego stronę. We wpadających przez okna skośnych promieniach słońca jego oczy miały kolor mocnej herbaty.

„On nie pójdzie na wymianę, jeśli mnie połamiesz”.

Wspomnienie tych słów dokuczało jej tak, jakby wypaliły się na trwałe w jej krtani, kiedy je wypowiedziała.

Kaz nie odwrócił wzroku.

– Skrzywdził cię? – zapytał.

Objęła kolana ramionami.

Dlaczego pytasz? – pomyślała. Chcesz mieć pewność, że będę w stanie zmierzyć się z jakimś nowym zagrożeniem? Czy dopisać kolejną pozycję do listy złych uczynków, za które Van Eck będzie musiał zapłacić?

Kaz od początku jasno przedstawiał łączący ich układ. Była inwestycją, atutem wartym ochrony. Chciała wierzyć, że z czasem stali się dla siebie nawzajem czymś więcej, ale Van Eck odarł ją z tego złudzenia. Była cała i zdrowa, trudne chwile na Eil Komiedie nie zostawiły na jej ciele i duszy żadnych śladów, których sen i jedzenie nie mogłyby zatrzeć – a mimo to Van Eck coś jej odebrał.

„Będę dla niego bezużyteczna”.

Słowa wyrwane z jakiegoś ukrytego miejsca w głębi jej istoty, wiedza, której nie mogła się wyzbyć. Powinna się z niej cieszyć. Lepsza straszna prawda niż miłe kłamstwa.

Przesunęła palcami do miejsca, w którym młot musnął jej nogę, ale widząc, jak Kaz śledzi jej ruchy, zamarła w pół gestu. Złożyła dłonie na podołku i pokręciła głową.

– Nie. Nic mi nie zrobił.

Kaz oparł się o belę płótna, mierząc Inej badawczym spojrzeniem. Nie wierzył jej, a ona nie miała siły, żeby wziąć się w garść i przekonać go, że się myli.

Oparł się na lasce i zsunął ze sterty materiału.

– Odpoczywaj – powiedział.

– Dokąd idziesz?

– Mam sprawę do załatwienia niedaleko silosów. Przy okazji zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

Oparł laskę o belę płótna.

– Nie bierzesz jej?

– Za bardzo by się rzucała w oczy, zwłaszcza odkąd Van Eck wciągnął w to wszystko *stadwachę*. Odpoczywaj – powtórzył. – Tu będziesz bezpieczna.

Zamknęła oczy. Na tyle mogła mu zaufać.



Kiedy ją obudził, zachodzące słońce złościło odległą Wieżę Ghezena. Wyszli z magazynu, zamknęli go na kłódkę i dołączyli do tłumu wracających do domów robotników. Przemieszczali się na południowy wschód, unikając najruchliwszych rejonów Baryłki, gdzie z całą pewnością należało się spodziewać patroli *stadwachty*, i kierując się w stronę dzielnic mieszkalnych. Na jednym z wąskich kanałów wsiedli na łódkę, którą wypłynęli na Grafcanal i dotarli na omglony Czarny Woal.

Inej z narastającym podnieceniem kluczyła wśród grobowców, zmierzając ku środkowi wyspy.

Niech wszyscy będą cali i zdrowi, modliła się w duchu. Niech będą cali.

Dostrzegłszy w oddali przyćmione światelko i usłyszawszy stłumiony pomruk rozmów, puściła się biegiem; nawet nie zauważyła, kiedy kapelusz spadł jej z głowy na pokrytą płożącym się zielskiem ziemię. Z impetem otworzyła wrota mauzoleum.

Pięcioro ludzi w środku zerwało się na równe nogi, unosząc pięści i gotową do strzału broń. Inej wyhamowała z poślizgiem.

– Inej! – wrzasnęła Nina.

Pierwsza rzuciła się przez pokój i zmiażdżyła przyjaciółkę w uścisku, a potem już wszyscy otoczyli Inej, próbowali ją objąć albo chociaż poklepać po plecach. Nina nie chciała jej wypuścić, więc Jesper objął je obie.

– Powrót Zjawy! – obwieścił triumfalnie.

Matthias trzymał się z boku, jak zwykle sztywny i oficjalny, lecz uśmiechnięty. Inej spojrzała najpierw na jednego chłopaka z Shu Hanu, który siedział przy stole na środku pomieszczenia, a potem na drugiego, takiego samego, stojącego tuż przed nią.

– Wylan? – zwróciła się do tego, który znajdował się bliżej.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, który jednak zbladł, gdy się odezwał:

– Przepraszam za mojego ojca.

Inej zagarnęła go w objęcia i odparła szeptem:

– Nie jesteśmy naszymi ojcami.

Kaz zastukał kilka razy laską o posadzkę. Stał w progu grobowca.

– Jeśli już wszyscy czują się dopieszczeni, to przypominam, że mamy robotę do wykonania.

– Chwila – odezwał się Jesper, nadal jedną ręką obejmując Inej. – O robocie pogadamy później. Najpierw musimy się dowiedzieć, co to było, co widzieliśmy przy Klepce.

– A co widzieliście? – zainteresowała się Inej.

– Przegapiłaś ten moment, kiedy pół okolicy wyleciało w powietrze?

– Najpierw wybuchła bomba w Białej Róży – odparła Inej – a później usłyszeliśmy drugą eksplozję.

– To była Kuźnia – wyjaśniła Nina.

– Potem uciekliśmy – dokończyła Inej.

Jesper pokiwał w zadumie głową.

– I to był wasz największy błąd. Bo gdybyście zostali, moglibyście się zmierzyć z facetem ze skrzydłami.

– Dwoma – dodał Wylan.

Inej zmarszczyła brwi.

– Dwoma skrzydłami?

– Dwoma facetami – odparł Jesper.

– Ale ze skrzydłami? – upewniła się Inej. – Takimi... ptasimi?

Nina pociągnęła ją w stronę zawalonego rupieciami stołu, na którym rozłożono również plan Ketterdamu.

– Nie – odparła. – Bardziej przypominały skrzydła ćmy. Zabójczej mechanicznej ćmy. Jesteś głodna? Mamy ciasteczka czekoladowe.

– No pięknie – jęknął Jesper. – To ona teraz dostanie cały czekoladowy skarb.

Nina podsunęła Inej krzesło i postawiła przed nią puszkę z ciastkami.

– Jedz. Było dwóch skrzydlatych Shu, a do tego mężczyzna i kobieta, którzy nie byli... normalni.

– Moc Niny na nich nie działała – dopowiedział Wylan.

– Hmm... – mruknęła niezobowiązująco Nina, z gracją skubiąc ciasteczko.

Inej nigdy przedtem nie widziała, żeby Nina cokolwiek skubała z gracją. Najwyraźniej nie odzyskała apetytu, ale sprawa mogła być bardziej złożona.

Matthias się do nich przysiadł.

– Kobieta z Shu Hanu, którą spotkaliśmy, była silniejsza ode mnie, Jespera i Wylana razem wziętych – powiedział.

– Tak, tak, nie przesłyszałaś się – dodał Jesper. – Silniejsza od Wylana.

– Ja swoje zrobiłem – bronił się Wylan.

– Bez dwóch zdań, kupczyku. Co to było to fioletowe?

– Taka nowinka, nad którą pracuję od jakiegoś czasu. Opiera się na ravkańskim wynalazku, tak zwanej *lumii*. Jej płomień jest prawie niemożliwy do ugaszenia, a ja dodatkowo zmieniłem recepturę w taki sposób, żeby miał wyższą temperaturę.

– Możemy mówić o szczęściu, że byłeś tam z nami – przyznał Matthias z leciutkim ukłonem, który wywołał u Wylana odrobinę satysfakcji i ogrom zakłopotania. – Te istoty były niemal zupełnie niewrażliwe na kule!

– Niemal – powtórzyła Nina z zaciętą miną. – I miały sieci. Polowały na griszów, chciały chwycić ich żywcem.

Kaz oparł się plecami o ścianę.

– Używały *parem*? – zapytał.

Nina pokręciła głową.

– Nie. Wydaje mi się, że to nie byli griszowie: ich rany się nie goiły, a oni sami nie demonstrowali żadnych niezwykłych mocy. Wyglądało raczej na to, że mają metalowe płyty wstawione pod skórę.

Powiedziała coś szybko do Kuweia w języku shu.

Kuwej jęknął.

– Kherguud – powiedział. Odpowiedziały mu pytające spojrzenia. – Kiedy mój ojciec produkował *parem* – ciągnął z westchnieniem – rząd przeprowadzał próby na fabrykatorach.

Jesper przekrzywił głowę.

– Czy tylko ja mam takie wrażenie, czy z twoim kercheńskim naprawdę jest coraz lepiej?

– Mój kercheński jest w porządku. To wy wszyscy mówicie za szybko.

– No dobrze – zgodził się Jesper, przeciągając zgłoski. – Dlaczego twoi kochani koledzy z Shu Hanu testowali *parem* na fabrykatorach?

Siedział rozwalony na krześle, z rękami na kolbach rewolwerów, ale Nina nie do końca wierzyła tej jego swobodnej pozie.

– Bo mają ich najwięcej w niewoli – odparł Kuwei.

– Najłatwiej ich złapać – dodał Matthias, nie bacząc na niechętne spojrzenie Niny. – Do niedawna praktycznie nie przechodzili szkoleń bojowych, a bez *parem* ich moc na niewiele zda się w walce.

– Nasi przywódcy chcą kontynuować eksperymenty – ciągnął Kuwei – ale nie wiedzą, ilu griszów uda im się znaleźć...

– Może nie powinni ich tylu zabijać? – zasugerowała Nina.

Kuwej pokiwał głową. Albo sarkazm w głosie Niny uszedł jego uwagi, albo został przez niego celowo zignorowany.

– Otóż to. Mają mało griszów, a podanie *parem* skraca życie griszów. Dlatego sprowadzają lekarzy do fabrykatorów chorych po zażyciu *parem*. Chcą stworzyć nowy rodzaj żołnierza, kherguuda. Może nawet już im się to udało, nie wiem.

– Coś mi się wydaje, że odpowiedź na to pytanie to wielkie, stanowcze „tak” – odparł Jesper.

– Podrasowani żołnierze... – rozmyślała na głos Nina. – Przed wojną chodziły słuchy, że Ravka też prowadzi takie próby: wzmocniony szkielet, zwiększona gęstość kości, metalowe implanty... Eksperymentowali na ochotnikach z Pierwszej Armii. Nie krzyw się tak, Matthiasie, wasi fjerdańscy przywódcy też by się pewnie do tego posunęli, gdyby tylko dać im więcej czasu.

– Fabrykatorzy specjalizują się w manipulowaniu litymi substancjami – przypomniał Jesper. – Metalem, szkłem, tkaniną... To mi bardziej wygląda na robotę somatyków.

Cały czas mówi w taki sposób, jakby wcale nie był jednym z nich, zauważyła Inej.

Wszyscy wiedzieli, że Jesper jest fabrykatorem, nawet Kuwei odkrył ten fakt w zamieszaniu po ucieczce z Lodowego Dworu, a mimo to Jesper bardzo rzadko przyznawał

się do posiadania mocy. Cóż, to była jego tajemnica i mógł z nią robić, co zechce.

– Umiejętności formatorów zacierają granicę pomiędzy fabrykatorem i somatykiem – zauważyła Nina. – Miałam w Ravce nauczycielkę, nazywała się Genya Safin. Gdyby chciała, mogłaby zostać ciałobójczynią albo fabrykatorem, ale zamiast tego wybrała profesję formatorki i była w tym świetna. To, o czym mówicie, to w gruncie rzeczy przykład skomplikowanego formowania.

Inej nadal nie wszystko rozumiała.

– Mówiliście, że ten człowiek miał na plecach wszczepione skrzydła...?

– Niezupełnie. To był mechanizm: metalowy szkielet, na nim coś jakby rozpięte płótno... Chociaż to nie jest prosta sprawa, nie wystarczy przyczepienie komuś skrzydełek pomiędzy łopatkami; trzeba połączyć je z mięśniami, wydrążyć kości, żeby zmniejszyć masę ciała, a potem w jakiś sposób skompensować ubytki szpiku, może nawet wstawić sztuczny kościec. Złożoność tego projektu...

– *Parem* – wtrącił Matthias, marszcząc jasne brwi. – Fabrykator wspomagany *parem* potrafiłby dokonać takiego przeformowania.

Nina odepchnęła się od stołu.

– Co Rada Kupiecka zamierza zrobić w sprawie tych napaści? – spytała Kaza. – Agresorzy z Shu Hanu mogą tak po prostu wmaszerować do Kerchu, zacząć wysadzać domy w powietrze i porywać ludzi?

– Nie spodziewam się reakcji Rady – przyznał Kaz. – Jeżeli Shu, którzy was zaatakowali, nie mieli mundurów, rząd Shu Hanu wyprze się wszelkich związków z napastnikami.

– Czyli co, ujdzie im to na sucho?

– Niekoniecznie. Pokręciłem się dziś trochę po przystaniach, posłuchałem tu i ówdzie... Kojarzycie te dwa okręty wojenne z Shu Hanu? Rada Pływów osadziła je na mieliźnie.

Buty Jespera zsunęły się ze stołu i z głuchym łoskotem grzmotnęły o posadzkę.

– Że co?!

– Cofnęli morze. Całe. Stworzyli nową piaszczystą wyspę, na której osiadły okręty. Można je oglądać w porcie: leżą na boku z nurzającymi się w błocku żaglami.

– Pokaz siły – powiedział Matthias.

– Ze strony griszów czy miasta? – spytał Jesper.

– Kto to wie? – Kaz wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej, powinno to dać do myślenia gościom z Shu Hanu, nim znów zaczną polować na ulicach.

– Czy Rada Pływów nie mogłaby nam pomóc? – zasugerował Wylan. – Jeżeli wiedzą o *parem*, to na pewno martwi ich perspektywa dostania się jej w niewłaściwe ręce.

– Tylko jak do nich dotrzeć? – spytała rozgoryczona Nina. – Nikt nie zna ich tożsamości, nikt nigdy nie widział, jak przybywają do tych swoich wież albo z nich wychodzą.

Ciekawe, pomyślała Inej, czy Nina szukała pomocy u Rady Pływów, kiedy pierwszy raz przybyła do Ketterdamu: szesnastoletnia grisza, z dala od ojczyzny, pozbawiona przyjaciół i nieznająca miasta.

– Poza tym nie uda im się wiecznie szachować Shu Hanu – dodała Nina. – Nie na darmo Shu tworzą tych swoich nowych żołnierzy.

– Jak się nad tym zastanowić, to jest to bardzo sprytny ruch z ich strony – przyznał Kaz. – Próbowali wyzyskać swoje atuty do maksimum. Griszowie uzależnieni od *parem* nie żyją długo, więc w Shu znaleziono inny sposób na wykorzystanie ich mocy.

Matthias z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Niezniszczalni żołnierze, którzy przeżyją swoich twórców.

– I którzy mogą łowić kolejnych griszów – dodał Jesper, otarłszy dłonią usta. – Klnę się na świętych, że jeden z nich namierzył nas po zapachu!

– To w ogóle możliwe?! – spytała ze zgrozą Inej.

– Nigdy nie słyszałam o tym, żeby griszowie emanowali jakąś charakterystyczną woń – odparła Nina – ale chyba nie można tego wykluczyć. Gdyby ci żołnierze mieli podkreśnione receptory węchowe... Może zwykły człowiek po prostu nie czuje tego zapachu?

– Wydaje mi się, że to nie był pierwszy atak – powiedział Jesper. – Pamiętasz, Wylanie, tego przerażonego szkwalnika w sali zbiorów rzadkich w bibliotece? A jeszcze Rotty mówił coś o jakimś statku handlowym...

Kaz pokiwał głową.

– Statek rozwalony na kawałki, marynarze pozabijani... Z początku wszyscy myśleli, że to zatrudniony na pokładzie szkwalnik się zbuntował i zerwał kontrakt, ale może wcale nie zniknął sam z siebie, może został porwany. Zatrudniał go radny Hoede.

– Emil Retvenko – powiedziała Nina.

– Tak, to on. Znałaś go?

– Słyszałam o nim. Większość griszów w Ketterdamie zna się ze słyszenia: dzielimy się informacjami, staramy się nawzajem pilnować... Shu muszą mieć szpiegów w mieście, jeżeli wiedzą, gdzie dokładnie nas szukać. Inni griszowie...

Nina wstała, ale zaraz chwyciła się ciężko oparcia krzesła, jakby gwałtowny ruch przyprawił ją o zawroty głowy.

Inej i Matthias natychmiast zerwali się na równe nogi.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się Inej.

– Wyśmienicie – odparła Nina z nieprzekonującym uśmiechem. – Ale jeśli griszom w Ketterdamie grozi niebezpieczeństwo...

– To co zrobisz? – spytał Jesper. Szorstkość jego tonu zaskoczyła Inej. – Po tym, co się dzisiaj wydarzyło, możesz mówić o szczęściu, że jeszcze żyjesz. Ci żołnierze mogą nas wywęszyć, Nino. – Odwrócił się do Kuweia. – Dzięki twojemu ojcu.

– Ej! – wtrącił się Wylan. – Opuść mu.

– Opuścić mu? Tak jakby i bez tego griszowie nie mieli dość kłopotów! Co będzie, jeśli wytropią nas tutaj, na Czarnym Woalu? Jest tu nas troje.

Kaz postukał w stół knykciami dłoni.

– Wylan dobrze mówi: opuść, Jesper. Miasto zawsze było niebezpieczne i nadal takie jest. Dlatego musimy zarobić dość, żeby się stąd wyprowadzić.

Nina wzięła się pod boki.

– Naprawdę będziemy rozmawiać o pieniądzach?

– Będziemy rozmawiać o robocie i o tym, jak zmusić Van Ecka do tego, żeby nam zapłacił.

Inej zahaczyła ręką o rękę Niny.

– Chcę się dowiedzieć, jak możemy pomóc innym griszom w Ketterdamie. – Młot zalśnił, zawisnąwszy w najwyższym punkcie łuku. – I chcę się dowiedzieć, co musimy zrobić, żeby Van Eck cierpiał.

– Są ważniejsze sprawy... – próbował wtrącić Matthias.

– Nie dla mnie – uciął Jesper. – Zostały mi dwa dni, żeby wynagrodzić straty ojcu.

Inej nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– Ojcu?

– Tak jest. Rodzinne spotkanie po latach w Ketterdamie. Wszyscy jesteście zaproszeni.

Inej nie dała się zwieść jego udawanej beztrוסce.

– Chodzi o kredyt?

Jesper znów oparł dłonie na rewolwerach.

– Tak. Dlatego bardzo, ale to bardzo, mnie interesuje, w jaki sposób zamierzamy wyrównać ten konkretny rachunek.

Kaz wsparł się na lasce.

– Czy nikt z was nie zastanawiał się nad tym, co zrobiłem z pieniędzmi od Pekki Rollinsa?

Inej ścisnęło w żołądku.

– Zapożyczyłeś się u Pekki Rollinsa?

– Tego bym nigdy nie zrobił. Sprzedałem mu swoje udziały w Piątej Przystani i Klubie Wron.

Nie, pomyślała Inej. Tylko nie to.

Zbudował te miejsca od zera. Były najlepszym dowodem tego, jak wiele zrobił dla Szumowin.

– Kaz...

– Jak myślicie, na co wydałem tę kasę?

– Na broń? – spytał Jesper.

– Statki? – zasugerowała Inej.

– Bomby? – podsunął Wylan.

– Łapówki dla polityków? – strzeliła Nina.

Wszyscy spojrzeli na Matthiasa.

– To jest ta chwila – szepnęła Nina – w której mówisz nam, jacy jesteśmy okropni.

Matthias wzruszył ramionami.

– Kiedy to wszystko są bardzo rozsądne pomysły... – odparł.

– Cukier – powiedział Kaz.

Jesper podsunął mu cukierniczkę.

Kaz przewrócił oczami.

– Nie do kawy, ciołku. Kupiłem za te pieniądze udziały w cukrze i ulokowałem je na

prywatnych kontaktach założonych na wasze nazwiska. Fałszywe, naturalnie.

– Nie jestem zwolennikiem spekulacji – zastrzegł się Matthias.

– To rozumiałe. Wolisz rzeczy, które możesz zobaczyć, takie jak zaspasy śnieżne i dobrodusznicy bogowie drzew.

– Jest! – wykrzyknęła Inej i oparłszy rękę na ramieniu Niny, uśmiechnęła się promiennie do Matthiasa. – Nareszcie! Brakowało mi tego spojrzenia spode łba.

– Poza tym trudno mówić o spekulacji, kiedy z góry znasz wynik transakcji – dodał Kaz.

– Wiesz coś o zbiorach cukru? – spytał Jesper.

– Wiem coś o jego zapasach.

Wylan wyprostował się na krześle.

– Silosy – powiedział. – Silosy na Słodkiej Rafie.

– Brawo, kupczyku.

Matthias pokręcił głową.

– Co to jest Słodka Rafa?

– Obszar na południe od Szóstej Przystani – odparła Inej. Przed oczami stanęły jej potężne silosy górujące nad dzielnicą magazynową. Były wielkie jak góry. – Są tam zbiorniki na melasę, magazyny nieprzetworzonej trzciny cukrowej i cukrownie. Byliśmy dzisiaj w tej okolicy... Nieprzypadkowo, jak się domyślam?

– Nieprzypadkowo – zgodził się Kaz. – Chciałem się rozejrzeć. Większość trzciny pochodzi z Południowych Kolonii i Nowoziemia, ale najbliższa dostawa będzie za trzy miesiące. Bieżące plony zostały już zebrane, przetworzone i zmagazynowane w silosach na Słodkiej Rafie.

– Silosów jest trzydzieści – powiedział Wylan. – Dziesięć z nich należy do mojego ojca.

Jesper zagwizdał przez zęby.

– Van Eck kontroluje trzecią część światowych dostaw cukru?

– Jest właścicielem samych silosów – podkreślił Kaz – ale należy do niego tylko odrobina znajdującego się w nich cukru. Utrzymuje silosy na własny koszt, zatrudnia ochronę i opłaca szkwalników, którzy pilnują wilgotności powietrza we wnętrzu, żeby cukier się nie sklejał. Właściciele cukru płacą mu procent od sprzedaży, niewielki, ale takie drobiazgi szybko się sumują.

– Takie bogactwo w rękach jednego człowieka... – Matthias się zadumał. – Gdyby coś się stało z silosami, cena cukru...

– Wystrzeliłaby jak tani sześciopalcowy – dokończył Jesper. Zerwał się z krzesła i zaczął spacerować po wnętrzu grobowca.

– Cena rosnęła i rosła – przytaknął Kaz. – Tymczasem my od kilku dni jesteśmy właścicielami udziałów w firmach, które nie składują swojego cukru u Van Ecka. Na razie udziały te są warte dokładnie tyle samo, ile za nie zapłaciliśmy, ale kiedy zniszczymy cukier w silosach Van Ecka...

Jesper zakolysał się na palcach stóp.

– Ich wartość wzrośnie pięcio-, może dziesięciokrotnie.

– Dwudziestokrotnie, powiedziałbym.

Jesper był zachwycony.

– Nie miałbym nic przeciwko temu!

– Moglibyśmy sprzedać je z zyskiem – podsumował Wylan – i w ciągu jednej nocy zbić fortunę.

Inej wyobraziła sobie smukły szkuner uzbrojony w ciężkie działa. Mogłaby taki mieć.

– Trzydzieści milionów *kruge*? – spytała.

Taką nagrodę obiecał im Van Eck za akcję w Lodowym Dworze – tyle że nie zamierzał im jej wypłacić.

Na ustach Kaza zagościł ledwie widoczny cień uśmiechu.

– Plus minus milion.

Wylan przygryzł paznokcie kciuka.

– Ojciec to jakoś zniesie – przyznał – ale inni kupcy, ci, którzy trzymają w silosach cukier, oberwą znacznie mocniej.

– To prawda – zgodził się z nim Matthias. – Poza tym, jeżeli zniszczymy silosy, będzie oczywiste, że to Van Eck był celem.

– Można by to tak załatwić, żeby wyglądało na nieszczęśliwy wypadek – zauważyła Nina.

– I tak właśnie będzie wyglądało, przynajmniej początkowo – przyznał Kaz. – Za sprawą wołka. Powiedz im, Wylanie.

Wylan przysunął się do stołu jak uczeń, który nie może się doczekać chwili, gdy popisze się swoją wiedzą. Wyjął z kieszeni buteleczkę.

– Ta wersja działa – oznajmił.

Inej zmierzyła buteleczkę podejrzliwym spojrzeniem.

– To ma być wołek?

– Chemiczny – wyjaśnił Jesper. – Wylan jeszcze nie nadał mu nazwy. Ja proponuję „wylanołek”.

– Fatalny pomysł – powiedział Wylan.

– Genialny! – zaoponował Jesper. – Jak ty!

Wylan pokraśniał jak liliowiec.

– Ja też pomagałem – odezwał się naburmuszony Kuwei.

– To prawda, pomagał – przytaknął Wylan.

– Damy mu tabliczkę pamiątkową – obiecał Kaz. – Opowiedz im, jak to działa.

Wylan odchrząknął.

– Pomysł podsunęła mi zaraza trzciniowa: wystarczy odrobina bakterii, żeby zniszczyć całe zbiory. Po wrzuceniu do silosu wołek będzie się przegryzał przez zebrany w nim rafinowany cukier, zużywając go zarazem jako paliwo, aż z cukru zostanie bezużyteczna breja.

– Reaguje na cukier, tak? – upewnił się Jesper.

– Tak. Na cukier w dowolnej postaci i nawet w śladowej ilości, jeśli tylko będzie miał odrobinę wilgoci. Dlatego trzeba unikać kontaktu wołka z potem, krwią, śliną.

– Nie lizać wylanołka! Ktoś chce to sobie zapisać?

– Te silosy są naprawdę olbrzymie – zauważyła Inej. – Ile potrzebujemy?

– Wystarczy jedna fiolka na silos – odparł Wylan.

Inej zamurowało.

– Serio? – wykrztusiła.

– Mały i zawzięty. – Jesper mrugnął porozumiewawczo. – Jak ty.

Nina wybuchnęła śmiechem, a Inej nie pozostało nic innego, jak odpowiedzieć Jesperowi uśmiechem na uśmiech. Była cała obolała i najchętniej spałaby teraz dwie doby bez przerwy, ale czuła, jak coś się w niej odpręża, jak spływają z niej nagromadzone przez ubiegły tydzień złość i zgroza.

– Dzięki wołkowi zniszczenie cukru będzie wyglądało jak nieszczęśliwy wypadek – dodał Wylan.

– Do czasu – podjął Kaz – gdy inni kupcy dowiedzą się, że Van Eck skupuje cukier, który nie jest przechowywany w jego silosach.

Wylan wybałuszył oczy.

– Jak to?

– Tylko połowę pieniędzy wydałem na nasze udziały. Za drugą kupiłem udziały w imieniu Van Ecka, a ściślej rzecz biorąc, w imieniu pewnego holdingu zarejestrowanego na nazwisko Alys; musiałem zachować dyskrecję. Udziały zostały opłacone gotówką, transakcja jest nie do wytropienia, ale opieczętowane certyfikaty ich zakupu zostaną znalezione w biurze adwokata Van Ecka...

– ...Cornelisa Smeeta – dokończył zdumiony Matthias. – Oszustwo w oszustwie. Kiedy włamałeś się do jego biura, nie chodziło ci tylko o odkrycie miejsca pobytu Alys Van Eck.

– Jeżeli chcesz wygrać, musisz prowadzić więcej niż jedną rozgrywkę jednocześnie – odparł Kaz. – Reputacja Van Ecka ucierpi po zniszczeniu zapasów cukru, ale kiedy ludzie, którzy mu zapłacili za przechowywanie towaru, odkrywają, że zarobił na ich stratach, postanowią baczniej przyjrzeć się silosom.

– I odkryją pozostałości wołka – uzupełnił Wylan.

– Zniszczenie cudzej własności, manipulacja rynkiem... – mruknęła Inej. – Będzie skończony. – Przypomniała sobie Van Ecka, który kazał swojemu podwładnemu wziąć młot do ręki. „Nie chcę, żeby to było czyste złamanie”. – Pójdzie do więzienia?

– Zostanie oskarżony o złamanie umowy i próbę wpłynięcia na rynek – powiedział Kaz.

– W kercheńskim kodeksie to najgorsza możliwa zbrodnia, wyrok jak za morderstwo. Może zawisnąć.

– Naprawdę? – spytał półgłosem Wylan.

Palcem nakreślił na planie miasta linię łączącą Słodką Rafę z Baryłką i dalej z Geldstraat, gdzie mieszkał jego ojciec. Jan Van Eck próbował zabić syna, pozbył się go jak śmiecia, lecz Inej mimo to zastanawiała się, czy Wylan jest gotowy skazać ojca na śmierć.

– Wątpię – przyznał Kaz. – Spodziewam się raczej postawienia zarzutów mniejszego kalibru. Rada Kupiecka nie będzie chciała wlec jednego ze swoich na szubienicę. A czy będzie oglądał więzienną celę od środka? – Wzruszył ramionami. – To zależy, jak dobrego

ma adwokata.

– Dostanie zakaz prowadzenia interesów – zauważył lekko oszołomiony Wylan. – Jego majątek zostanie przejęty i sprzedany, żeby wynagrodzić straty właścicielom cukru.

– To będzie koniec imperium Van Ecka – przyznał Kaz.

– Co z Alys?

Kaz znowu wzruszył ramionami.

– Nikt nie uwierzy, że mogła mieć cokolwiek wspólnego z takim przekrętem finansowym. Prawdopodobnie złoży pozew rozwodowy, wyprowadzi się do rodziców, przez tydzień popłacze, przez następne dwa pośpiewa, a potem jej przejdzie. Może nawet wyjdzie za mąż za jakiegoś księcia.

– Albo za nauczyciela muzyki – wtrąciła Inej, przypomniawszy sobie paniczną reakcję Bajana na wieść o uprowadzeniu Alys.

– Jest tylko jeden mały problem – odezwał się Jesper. – Przy czym, mówiąc „mały”, mam na myśli „wielki, ogromny, lepiej o nim nie myśleć i napić się piwa”. Silosy. Wiem, że mamy wprawę w naruszaniu wszystkiego, co nienaruszalne, ale jak dostaniemy się do środka?

– Kaz może otworzyć zamek wytrychem – odparł Wylan.

– Nie – odparł Kaz. – Nie mogę.

– Chyba pierwszy raz słyszę takie słowa z twoich ust – przyznała Nina. – Powtórz to, proszę, wolno i wyraźnie.

Kaz udał, że jej nie słyszy.

– Tam są poczwórne zabezpieczenia: cztery klucze trzeba przekręcić jednocześnie w czterech zamkach, inaczej zatrzasną się drzwi i włączy się alarm. Mogę otworzyć każdy zamek, ale nie dam rady otworzyć czterech naraz.

– To jak wejdziemy? – powtórzył Jesper.

– Silosy są dostępne od góry.

– I mają prawie dwadzieścia pięter wysokości! Myślisz, że Inej obskoczy dziesięć silosów w jedną noc?

– Wystarczy jeden – odparł Kaz.

– A potem co? – zdziwiła się Nina. Znowu oparła ręce na biodrach, a jej zielone oczy miały błyskawice.

Inej przypominała sobie niebotyczne silosy i przerwy pomiędzy nimi.

– Potem – odparła – przejdę z niego po linie na drugi, trzeci i tak dalej.

Nina rozłożyła ręce.

– I wszystko to pewnie bez siatki zabezpieczającej, co?

– Ghafa nigdy nie używa siatki – odparowała z wyższością Inej.

– A często Ghafa fika na wysokości dwudziestu pięter nad brukiem po tym, jak przez tydzień siedziała w więzieniu?

– Będzie siatka – wtrącił się Kaz. – Już jest przygotowana, leży zwinięta pod stertą worków z piaskiem na tyłach stróżówki.

Inej nie wierzyła własnym uszom.

– Nie potrzebuję siatki – powiedziała w absolutnej ciszy, jaka zapadła po słowach Kaza. Kaz spojrział na zegarek.

– Nie pytałem cię o to. Mamy sześć godzin, żeby się wyspać. Załatwię wszystko, co niezbędne, z Cirkus Zirkoa; obozują na zachodnich obrzeżach miasta. Zrób spis, czego będziesz potrzebowała. Za dwadzieścia cztery godziny wchodzimy do akcji.

– Mowy nie ma – zaprotestowała Nina. – Inej musi odpocząć.

– To prawda – zawtórował jej Jesper. – Jest taka chuda, że mocniejszy wiatr ją zwieje z liny.

– Nic mi nie będzie – powiedziała Inej.

Jesper przewrócił oczami.

– Zawsze to powtarzasz.

– Przecież to za każdym razem wygląda tak samo – zauważył Wylan. – Najpierw mówimy Kazowi, że wszystko jest w porządku, a potem wykręcamy jakiś głupi numer.

– Jesteśmy aż tak przewidywalni? – zdziwiła się Inej.

– Tak – odpowiedzieli jednym głosem Wylan i Matthias.

– Chcesz pokonać Van Ecka? – spytał Kaz Ninę.

Parsknęła z irytacją.

– Oczywiście!

Kaz powiódł wzrokiem po pozostałych.

– A wy? Chcecie dostać swoje pieniądze? Pieniądze, o które walczyliśmy, za które przelewaliśmy krew i przez które omal się nie potopiliśmy? Czy wolicie, żeby Van Eck żył w poczuciu zadowolenia, że gładko wydymał bandę anonimowych frajerów z Baryłki? Bo nikt inny go za nas nie załatwi. Nikt się nie przejmie, że zostaliśmy oszukani i na darmo ryzykowaliśmy życie. Nikt nie naprawi tego zła. Dlatego pytam: czy chcecie pobić Van Ecka?

– Tak – odparła Inej. Chciała sprawiedliwości.

– Jak najboleśniej – powiedziała Nina.

– Fletem Wylana, najlepiej po głowie – powiedział Jesper.

Każde po kolei skinęło głową.

– Stawka wzrosła – mówił dalej Kaz. – Zważywszy na dzisiejszą demonstrację siły z jego strony, należy się spodziewać, że w całym Ketterdamie pojawiły się plakaty z naszymi podobiznami i, jak się domyślam, wypisaną całkiem konkretną nagrodą za nasze głowy. Van Eck położył na szali swoją wiarygodność; im szybciej ją zniszczymy, tym lepiej. W jedną noc odbierzemy mu pieniądze, reputację i wolność, ale jeśli mamy to zrobić, nie wolno nam się zatrzymywać. Może być na nas wściekły, ale dzisiaj jak zwykle zje smaczną kolację i zaśnie niespokojnym snem w swoim miękkim kupieckim łóżu. Trepy ze *stadwachten* mogą sobie przysnąć, czekając na zmianę warty i licząc na ewentualne nadgodziny, ale dla nas nie będzie wytchnienia. Zegar tyka. Odpoczniemy, kiedy będziemy bogaci. Jasne?

Kolejne skinienia głów.

– Nino, teren, na którym stoją silosy, jest obstawiony. Odwrócisz uwagę strażników:

zdesperowana Ravkanka, nowa w mieście, szukająca pracy w dzielnicy magazynowej. Musisz ich zająć do czasu, gdy wszyscy przenikniemy na teren i Inej wespnie się na pierwszy silos. Potem...

– Jeden warunek – przerwała Kazowi Nina, krzyżując ramiona na piersi.

– To nie są negocjacje.

– Z tobą każda rozmowa to negocjacje, Brekker; zaczynam podejrzewać, że nawet kiedy się rodziłeś, wynegocjowałeś swoje przyjsie na świat. Jeżeli mam to zrobić, chcę, żeby wszyscy griszowie z miasta zostali ewakuowani.

– Mowy nie ma. Nie prowadzę działalności dobroczynnej dla uchodźców.

– W takim razie ja odpadam.

– W porządku. Odpadasz. Dostaniesz swoją działkę za robotę w Lodowym Dworze, ale teraz nie potrzebuję cię w ekipie.

– Jej nie potrzebujesz – przyznała półgłosem Inej – ale mnie tak.

Kaz położył sobie laskę w poprzek ud.

– Widzę, że wszyscy tu zawierają jakieś sojusze.

Inej przypomniała sobie, jak zaledwie przed paroma godzinami słońce podkreślało ciepły, brązowy odcień jego oczu; teraz miały kolor kawy, która zanadto zgorzkniała przy parzeniu. Ale ona nie mogła się wycofać.

– To się nazywa przyjaźń, Kaz.

Kaz przeniósł wzrok na Ninę.

– Nie lubię odgrywać roli zakładnika.

– A ja nie lubię przyciasnych butów, ale każdy musi swoje wycierpieć. Pomyśl, jakie to będzie wyzwanie dla twojego monstrualnego umysłu.

– O ilu ludziach mówimy? – spytał Kaz po długiej chwili milczenia.

– Niespełna trzydziestu, o ile mi wiadomo. Nie liczę Rady Pływów.

– Jak chcesz ich zebrać w jednym miejscu? Porozdajesz im ulotki z wyrysowaną drogą na wielką tratwę?

– Niedaleko ravkańskiej ambasady jest tawerna; zostawiamy tam sobie wiadomości, przekazujemy informacje... W ten sposób mogę do nich dotrzeć. Później będziemy już tylko potrzebowali statku. Van Eck nie upilnuje wszystkich przystani.

Inej nie chciała się spierać z przyjaciółką, ale ktoś musiał to powiedzieć:

– Obawiam się, że może upilnować. Ma pełne poparcie władz miasta. Nie widziałaś, jak zareagował, kiedy Kaz zagroził, że zabierze Alys ze sobą.

– Proszę cię, powiedz, że autentycznie toczył pianę z ust – powiedział Jesper.

– Niewiele brakowało.

Kaz przekuśtykał do drzwi i wyjrzał w mrok.

– Wciągnięcie w tę rozgrywkę władz miejskich nie przyszło Van Eckowi łatwo – odezwał się. – Jeżeli już podjął to ryzyko, to po to, żeby do maksimum wykorzystać uzyskaną w ten sposób przewagę. Postawi w stan gotowości wszystkie przystanie i portowe wieże strażnicze, każe sprawdzać każdego, kto chciałby odpłynąć z Ketterdamu... Wystarczy, że powie, że porywacze Wylana mogą chcieć go wywieźć z miasta.

– Ewakuacja wszystkich griszów będzie niezwykle ryzykowna – poparł go Matthias. – A nie chcielibyśmy, żeby wpadli w ręce Van Ecka, dopóki istnieje możliwość, że wciąż ma jakieś zapasy *parem*.

Jesper zabębnił palcami w kolby rewolwerów.

– Potrzebujemy cudu. I może butelki whisky. Whisky zawsze poprawia smarowanie zębatek w mózgu.

– Nie – wycedził z namysłem Kaz. – Potrzebujemy statku. Musi to być statek całkowicie wolny od podejrzeń; statek, którego Van Eck i *stadwachta* nie mieliby powodu zatrzymywać; jego statek.

Nina zsunęła się na sam skraj krzesła.

– Kompania handlowa Van Ecka na pewno ma mnóstwo statków, które kursują do Ravki i z powrotem.

Matthias w zamyśleniu skrzyżował ramiona na piersi.

– Wywieźć griszów z miasta na statku należącym do Van Ecka...?

– Będzie nam potrzebna fałszywa lista pasażerów i dokumenty przewozowe – zauważyła Inej.

– A jak myślicie, za co wyrzucili Spechta z marynarki? – spytał Kaz. – Za podrabianie zamówień i listów przewozowych.

Wylan skubnął w zadumie dolną wargę.

– Tu nie chodzi o kilka papierków. Powiedzmy, że tych griszów jest trzydziestu. Kapitan będzie chciał wiedzieć, dlaczego trzydziestu ludzi...

– Trzydziestu jeden – poprawił go Kuwei.

– Naprawdę rozumiesz, o czym mówimy? – spytał z niedowierzaniem Jesper.

– Statek do Ravki – odparł Kuwei. – To rozumiem doskonale.

Kaz wzruszył ramionami.

– Skoro już mamy ukraść statek, to równie dobrze możemy wsadzić cię na jego pokład.

– Niech będzie trzydzieści jeden – podsumowała z uśmiechem Nina.

Sądząc po nerwowym drzeniu mięśni zaciśniętych szczęk Matthiasa, był chyba mniej entuzjastycznie nastawiony do tego pomysłu.

– No dobrze. – Wylan przyglądał się leżący na stole plan miasta. – Kapitan będzie chciał wiedzieć, dlaczego nagle ktoś mu dopisał trzydzieści jeden osób do listy pasażerów.

– Chyba że będzie myślał, że został dopuszczony do tajemnicy, której musi dochować – odparł Kaz. – Van Eck napisze do niego żarliwy list z prośbą o dyskretne przewiezienie ważnych uchodźców politycznych i ukrycie ich za wszelką cenę przed potencjalnymi płatnymi agentami Shu Hanu oraz trepami ze *stadwachty*. W tymże liście obieca mu też sowitą nagrodę po powrocie, żeby przypadkiem sam kapitan nie wpadł na pomysł sprzedania griszów Shu Hanowi. Mamy już próbkę pisma Van Ecka, potrzebna nam będzie jeszcze tylko jego pieczęć.

– Gdzie ją trzyma? – spytał Jesper Wylana.

– W biurze. Przynajmniej kiedyś tak było.

– Będziemy musieli tam wejść i wyjść tak, żeby się nie zorientował – powiedziała Inej.

– A potem działać szybko. Jak tylko zauważy zniknięcie pieczęci, może się domyślić, co planujemy.

– Przeniknęliśmy do Lodowego Dworu – przypomniał Kaz. – Myślę, że poradzimy sobie z biurem kupca.

– W Lodowym Dworze omal nie zginęliśmy – zauważyła Inej.

– I to więcej niż raz, jeśli mnie pamięć nie myli – potwierdził Jesper.

– Inej i ja zwinęliśmy Van Eckowi DeKappela. Znamy już rozkład domu. Damy radę.

Wylan znów wodził palcem po Geldstraat na planie.

– Nie musieliście wtedy otwierać sejfu ojca – zauważył.

– Van Eck trzyma pieczęć w sejfie?! – Jesper parsknął śmiechem. – Przecież to prawie jakby chciał, żebyśmy mu ją ukradli! Kaz łatwiej się zaprzyjaźnia z zamkami szyfrowymi niż z ludźmi.

– Takiego sejfu jeszcze nie widzieliście – upierał się Wylan. – Ojciec kazał go zainstalować już po kradzieży DeKappela. Siedmiocyfrowy szyfr jest zmieniany codziennie, a zamek ma wbudowane fałszywe zapadki, żeby utrudnić zadanie włamywaczom.

Kaz wzruszył ramionami.

– To się go jakoś obejdzie. Przedkładam szybkość nad subtelność.

Wylan pokręcił głową.

– Sejf jest zrobiony ze specjalnego stopu wzmocnionego stalą griszów.

– To może jakiś wybuch? – podsunął Jesper.

Kaz uniósł z powątpiewaniem brew.

– Van Eck mógłby coś zauważyć, nie sądzisz?

– Bardzo... mały wybuch?

– Ty po prostu koniecznie chcesz coś wysadzić w powietrze – prychnęła Nina.

– Właściwie... – zaczął Wylan i zawiesił głos. Przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał dobiegających z oddali dźwięków piosenki. – Rano i tak nie da się ukryć faktu, że tam byliśmy, ale gdyby udało nam się wywieźć griszów z miasta, zanim ojciec odkryje kradzież... Nie wiem na razie, skąd wziąć materiały, ale to by się mogło udać...

– Inej... – szepnął Jesper.

Inej pochyliła się i z uwagą przyjrzała Wylanowi.

– Mina kombinatora?

– Tak mi to wygląda...

Wylan otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości.

– Wcale nie – powiedział. – Ale chyba mam pewien pomysł...

– Czekamy, kupczyku – ponaglił go Kaz.

– Wołek to w gruncie rzeczy stabilniejsza odmiana kwasu chlorozłotowego.

– Naturalnie – odparł Jesper. – Oczywiście. A ten kwas to...

– Substancja korozyjna. Kiedy zaczyna reagować z materiałem, wytwarza odrobinę ciepła; poza tym jest niewiarygodnie żrący i niesamowicie lotny. Przegryzie się przez stal griszów i dowolny inny materiał z wyjątkiem szkła balsa.

– Co to jest szkło balsa?

– Szkło i żywica balsy neutralizują korozyjne działanie kwasu.

– Skąd wziąć coś takiego?

– Jeden z niezbędnych składników znajdziemy w kuźni: środków korozyjnych używa się do odzierania metali z tlenków. Drugi będzie trudniejszy do zdobycia: musielibyśmy znaleźć kamieniołom, w którym wydobywa się jakiś halogenek albo inny związek złota.

– Najbliższy kamieniołom jest w Olendaalu – powiedział Kaz.

– To może być to. Trzeba będzie zachować ostrożność przy transporcie obu składników.

Najwyższą ostrożność. Po zakończeniu reakcji kwas chlorozłotowy jest praktycznie nieszkodliwy, ale w postaci aktywnej... No, można od niego stracić dłonie.

– Podsumujmy – odezwał się Jesper. – Jeżeli uda nam się zdobyć składniki, osobno je przetransportować, uzyskać kwas chlorozłotowy i przy okazji nie stracić żadnej kończyny... Co wtedy?

Wylan skubnął kosmyk włosów.

– Kwas w parę minut przepali drzwi sejfów na wylot.

– Nie niszcząc zawartości? – upewniła się Nina.

– Taką mam nadzieję.

– Masz nadzieję – powtórzył Kaz. – Ha, bywało gorzej. Musimy sprawdzić, które statki wypływają jutro wieczorem do Ravki, i zagonić Spechta do pracy nad listą pasażerów i resztą dokumentów. Czy kiedy już wybierzemy statek, Nino, twoja wesoła gromadka uciekinierów sama trafi do portu, czy też trzeba ich będzie prowadzić za rączkę?

– Nie wiem, jak dobrze znają miasto – przyznała Nina.

Kaz zabębnił palcami w główkę laski.

– Wylan i ja zajmiemy się sejfem. Jesper może eskortować griszów. Zaplanujemy też trasę dla Matthiasa, który odstawi Kuweia na przystań. Tyle że wtedy Nina będzie musiała sama najpierw odwrócić uwagę strażników przy silosach, a potem rozpiąć siatkę dla Inej. Kłopot w tym, że sensowne użycie siatki wymaga współpracy co najmniej trzech osób.

Inej przeciągnęła się i ostrożnie rozluźniła ramiona. Dobrze było znów znaleźć się wśród tych ludzi. Nie było jej zaledwie kilka dni, na dodatek siedzieli teraz w wilgotnym grobie, a ona i tak miała wrażenie, jakby wróciła do domu.

– Mówiłam już – odezwała się. – Nie używam siatki.



12

KAZ

Planowanie przeciągnęło się do późnej nocy. Kaz równie niechętnie przyjmował zmiany w swoich rachubach, jak perspektywę kierowania stadkiem griszów Niny – a mimo to, chociaż przed nikim się z tym nie zdradził, niektóre elementy nowego planu wydały mu się atrakcyjne. Nie można było wykluczyć, że Van Eck domyśli się, co robią przybysze z Shu Hanu, i sam zacznie wylapywać ketterdamskich griszów. A takiej broni jak griszowie nie należało oddawać w ręce kupców.

Nie mogli jednak dopuścić do tego, żeby operacja ratunkowa opóźniła realizację głównego planu – gdy przeciwko sobie mieli tak liczego wroga, wspomaganego na dodatek siłami *stadwacht*. Shu Han pogodzi się w końcu z chwilową stratą uziemionych okrętów, przestanie się martwić Radą Pływów i znajdzie Czarny Woal. Dlatego Kaz chciał jak najszybciej wywieźć Kuweia z miasta i usunąć go z gry.

Dobrze po północy odłożyli na bok szkice i spisy, uprzątnęli resztki zaimprovizowanego posiłku, żeby nie przywabiły szcurów, i pogasili latarnie.

Pozostali poszli spać, ale Kaz nie mógł zasnąć. Nie żartował, kiedy mówił wcześniej, że nie mogą sobie pozwolić nawet na chwilę wytchnienia. Van Eck miał więcej pieniędzy, więcej sojuszników i poparcie miejskich władz. Nie wystarczy, że będą od niego sprytniejsi – muszą także być nieugięci, a Kaz widział coś, czego inni nie dostrzegali. Dzisiejszą bitwę wygrali, wyruszyli po to, by odbić Inej z rąk Van Ecka, i dopięli swego – ale to kupiec w dalszym ciągu wygrywał wojnę.

Skoro był gotowy wciągnąć do rozgrywki *stadwachtę*, a więc także i Radę Kupiecką, to najwidoczniej naprawdę uważał się za niezwycięzonego. Kaz nadal miał liścik przysłany przez Van Ecka przed spotkaniem na Vellgeluku, był to jednak liche dowód jego niecnych knowań. Przypomniawszy sobie, co powiedział Pekka Rollins w Szmaragdowym Pałacu, kiedy Kaz stwierdził, że Rada Kupiecka nie zaakceptuje nielegalnych działań Van Ecka:

– A kto im o tym powie? Szcur kanałowy z najgorszych slumsów? Nie oszukuj się, Brekker.

Wtedy ledwie był w stanie trzeźwo myśleć, na wpół oślepiiony czerwoną mgiełką

gniewu, zawsze zstępującą na niego na widok Pekki; odbierała mu rozum, którym się kierował, i cierpliwość, na której mógł polegać. Przy Rollinsie tracił świadomość tego, kim jest – a właściwie tego, kim bardzo chciał się stać. Nie był Brudnorękiem, Kazem Brekkerem ani nawet największym twardzielem wśród przybocznych szefa Szumowin; był zwyczajnym chłopakiem, w którego piersi płonął biały ogień gniewu grożący spalaniem na popiół tej odrobiny człowieczeństwa, na którą ciężko zapracował.

Kiedy teraz jednak stał wsparty na lasce wśród grobów na Czarnym Woalu, musiał przyznać rację Rollinsowi. Nie można toczyć wojny z takim prawym i przyzwoitym człowiekiem jak Van Eck – nie wtedy, gdy jest się zbirem z reputacją brudniejszą niż podeszwy butów stajennego. Jeśli chce wygrać, musi sprowadzić Van Ecka na swój poziom. Dlatego pokaże światu to, co już wie: mimo wypielegnowanych dłoni i eleganckich garniturów Van Eck był przestępcą, takim samym jak pierwszy lepszy bandzior z Baryłki – a nawet gorszym, bo jego słowo było nic niewarte.

Nie słyszał, kiedy Inej do niego podeszła, po prostu w pewnym momencie zorientował się, że stoi za nim, obok obłamanych kolumn grobowca z białego marmuru. Udało jej się gdzieś znaleźć kawałek mydła i woń wilgotnych pomieszczeń Eil Komédie, przemieszana z nutą siana i kosmetyków do makijażu, zniknęła bez śladu. Czarne włosy Inej lśniły w blasku księżyca ciasno zwinięte w kok na karku. Stała tak absolutnie nieruchomo, że można by ją wziąć za jednego z kamiennych strażników cmentarza.

– Po co ta siatka, Kaz?

Właśnie, po co ta siatka? Po co komplikować atak na silosy i zwiększać ryzyko wykrycia?

Nie mógłbym patrzeć, jak spadasz.

– Odzyskanie mojego pająka kosztowało mnie wiele zachodu. Nie zrobiłem tego po to, żebyś dzień później rozbiła sobie głowę.

– Dbasz o swoje inwestycje – podsumowała niemal z rezygnacją Inej.

– Otóż to.

– A teraz zamierzasz odpłynąć z wyspy.

Powinien się chyba przejąć tym, że Inej przewidziała jego następny ruch.

– Rotty mówi, że staruszek wykonuje nerwowe ruchy. Muszę go uspokoić.

Per Haskell, który w dalszym ciągu był szefem Szumowin, lubił wynikające z tego stanowiska przywileje, nie przepadał natomiast za związaną z nim ciężką pracą. Przeciągająca się nieobecność Kaza na pewno przyczyniła się do rozluźnienia dyscypliny, a gdy Haskell tracił kontrolę nad sytuacją, lubił zrobić czasem coś głupiego, chociażby po to, żeby przypomnieć ludziom, kto tu rządzi.

– Powinniśmy obserwować dom Van Ecka – zauważyła Inej.

– Zajmę się tym.

– Na pewno wzmocnił ochronę.

Więcej nie trzeba było mówić. Nikt lepiej od Zjawy nie nadawał się do wyprowadzenia w pole straży Van Ecka.

Powinien kazać jej odpocząć i zapewnić, że sam zadba o obserwację domu kupca, ale

zamiast tego skinął głową i skierował się do *gondeli* ukrytej pod opadającymi gałęziami wierzby. Starał się nie zwracać uwagi na ulgę, jaką odczuł, gdy Inej ruszyła za nim.

Po zgiełkliwym popołudniu kanały w nocy wydawały się cichsze niż zazwyczaj, a woda była wręcz nienaturalnie gładka i spokojna.

– Myślisz, że życie nocne przy Zachodniej Klepce jeszcze dziś wróci do normy? – spytała półgłosem Inej. Tak jak każdy szczur kanałowy nauczyła się zachowywać ostrożność podczas pływania po Ketterdamie.

– Wątpię. *Stadwachta* pewnie jeszcze nie skończyła dochodzenia, a poza tym turyści szukają w mieście innej rozrywki niż rozrywka na strzępy.

Wiele firm poniesie straty. Kaz spodziewał się, że od rana na schodach Ratusza będą się tłoczyć żądni wyjaśnień właściciele hoteli i domów rozpusty. Zapowiadała się ciekawa scena. I bardzo dobrze, niech Rada Kupiecka skupi się na innych problemach niż Van Eck i jego zaginiony syn.

– Van Eck na pewno zmodyfikował ochronę po tym, jak podprowadziliśmy mu DeKappela.

– I po tym, jak Wylan do nas przystał. Gdzie się spotkamy ze staruszką?

– W Załomie.

Nie mogli się zobaczyć z Haskellem w Listewce; Van Eck na pewno kazał obserwować siedzibę Szumowin, zresztą i tak roilo się tam pewnie od funkcjonariuszy *stadwachty*. Na myśl o tym, że przeszukują jego pokój i grzebią w nielicznych rzeczach osobistych, Kaz odczuwał wściekłe mrowienie skóry. Listewka nie była żadnym cudem świata, ale to dzięki jego staraniom z przeciekającej rudery stała się miejscem, w którym można było spokojnie odespać popijawę albo ukryć się przed prawem – zimą nie odmrażając sobie tyłka, a w lecie nie dając się wykrwawić pchłom. Listewka należała do Kaza, bez względu na to, co myślał o niej Haskell.

Wprowadził *gondelę* na Zovercanal na wschodnich obrzeżach Baryłki. Per Haskell lubił spędzać jeden wieczór w tygodniu – zawsze ten sam – w Pogodnej Gospodzie, gdzie spotykał się z kumplami, żeby pograć w karty i poplotkować. Nie było mowy, żeby odpuścił sobie to spotkanie w taki dzień jak dzisiaj, kiedy jego ulubiony przyboczny – zaginiony ulubiony przyboczny – zadarł z członkiem Rady Kupieckiej i ściągnął kłopoty na wszystkie Szumowiny. W taki wieczór Per Haskell na pewno będzie brylował w towarzystwie.

Żadne okno nie wychodziło na Załom, kręty zaułek pomiędzy czynszówką i fabryką tanich pamiątek, cichy, spokojny, marnie oświetlony i tak wąski, że ledwie zasługiwał na miano zaułka – idealne miejsce na zasadzkę. Nie była to najbezpieczniejsza droga z Listewki do Pogodnej Gospody, była natomiast najkrótsza, a Per Haskell uwielbiał chadzać na skróty.

Kaz zacumował łódkę niedaleko mostku nad kanałem i oboje z Inej zajęli stanowiska w mroku; zrobili to bez słowa, potrzeba zachowania milczenia była oczywista. Niespełna dwadzieścia minut później w plamie światła u wylotu uliczki zamajaczyła sylwetka mężczyzny z niedorzecznie sterczącym piórem w kapeluszu.

Kaz odczekał, aż postać prawie się z nim zrówna, i wyszedł z cienia.

– Haskell – powiedział.

Per Haskell okręcił się w miejscu, sięgając po broń. Mimo podeszłego wieku poruszał się całkiem żwawo, ale Kaz wiedział, że będzie uzbrojony, i był na to przygotowany. Czubkiem łaski dźgnął Haskella w bark i pozbawił go czucia w ręce.

Haskell stęknął i upuścił rewolwer, który Inej złapała w locie, zanim zdążył uderzyć o bruk, i rzuciła Kazowi.

– Brekker – mruknął rozeźlony Haskell, próbując rozruszać porażoną rękę. – Gdzieś ty się podziewał, do diabła? I co z ciebie za gnida, że napadasz na własnego szefa w ciemnym zaułku?

– Nie próbuję cię ograbić; po prostu nie chciałem, żebyś kogoś postrzelił, zanim zdążymy pogadać.

Kaz podał Haskellowi rewolwer ręką do przodu. Haskell uniósł pokrytą szpakowatym zarostem brodę w gniewnym geście i wyrwał mu broń z ręki.

– Za dużo sobie pozwalasz – mruknął. – Jak zwykle. – Nie mogąc sięgnąć sparalizowaną ręką do kabury, schował rewolwer do kieszeni kraciatej kurtki. – Masz pojęcie, jakie kłopoty ściągnąłeś mi dziś na głowę, chłopcze?

– Mam. Dlatego tu przyszedłem.

– *Stadwacht* łąziła wszędzie, po całej Listewce, po Klubie Wron... Musieliśmy zamknąć interes; nie wiadomo, kiedy znów będziemy mogli otworzyć. Żeby porwać kupieckiego syna... Coś ty sobie wyobrażał? To była ta robota, dla której musiałeś wyjechać z miasta? Ta, po której miałem się stać bogaty ponad wszelkie wyobrażenie?

– Nikogo nie porwałem – odparł Kaz.

Nie była to, ściśle rzecz biorąc, cała prawda, ale liczył na to, że Haskell nie będzie wnikał w szczegóły.

– To co tu się właściwie dzieje, na Ghezena?! – wyszeptał ze złością Haskell, parszkając śliną. – Masz mojego najlepszego pajaka – wskazał na Inej – najlepszego snajpera, ciałobójczynię, największego mięśniaka...

– Muzzen nie żyje.

– Ty sukinsynu... Najpierw Duży Bolliger, teraz Muzzen. Próbujesz wypatroszyć cały mój gang?

– Nie, szefie.

– Teraz to „szefie”... Co ty knujesz, chłopcze?

– Van Eck pogrywa ostro, ale ja cały czas wyprzedzam go o krok.

– Z mojego punktu widzenia wygląda to inaczej.

– To dobrze. Lepiej, żeby nikt się nas nie spodziewał. Straty Muzzena nie przewidziałem, ale daj mi parę dni, a będziesz miał nie tylko spokój ze *stadwachtą*, lecz także sejf tak wypchany, że napełnisz wannę złotem i będziesz się w nim pławić.

Haskell zmrużył oczy.

– O jakich sumach rozmawiamy?

To mi się podoba, pomyślał Kaz, patrząc w łypiące chciwie ślepia Haskella. Tak to

właśnie działa.

– Cztery miliony *kruge*.

Haskell wybałuszył oczy. Życie spędzone w Baryłce na ostrym piciu i uciechach zażółciło mu białka.

– Próbujesz mi się podlizać?

– Mówiłem, że to gruba sprawa.

– Nawet największa na świecie kupa szmalu na nic mi się nie przyda, jeśli pójdę siedzieć. Nie podoba mi się, że *stadwachta* węszy wokół mnie.

– Mnie również, szefie.

Haskell mógł sobie drwić z manier Kaza, ale Kaz doskonale wiedział, jak chciwy jest na wszelkie oznaki szacunku, więc chwilowo schował dumę w kieszeń. Kiedy już zdobędzie swoją działkę majątku Van Ecka, nigdy więcej nie będzie musiał słuchać rozkazów Haskella ani zaspokajać jego próżności.

– Nie wpakowałbym nas w tę historię, gdybym nie miał pewności, że wyjdziemy z niej czyści jak lilie i bogaci jak sami święci. Potrzebuję jeszcze tylko trochę czasu.

Przypomniał mu się Jesper targujący się z ojcem i ta myśl wcale nie przypadła mu do gustu. Per Haskell nigdy nie wybiegał myślami dalej niż czubek własnego nosa i stojący przed nim kufel piwa, ale lubił sobie wyobrażać siebie w roli patriarchy wielkiej przestępczej rodziny. Kaz musiał przyznać, że ma słabość do staruszka; to Haskell umożliwił mu start w zawodzie i dał pierwszy dach nad głową – nawet jeśli Kaz musiał sam zadbać o to, żeby ów dach nie przeciekał.

Haskell zahaczył kciuki o kieszonki kamizelki, udając, że poważnie się zastanawia nad propozycją podwładnego, chociaż na jego chciwość można było polegać bardziej niż na wskazaniach regularnie nakręcanego zegara i Kaz był święcie przekonany, że już rozmyśla o tym, na co wyda pieniądze.

– Dobrze, mój chłopcze – orzekł w końcu – popuszczę ci jeszcze kawałek sznura, żebyś miał się na czym powiesić, ale jeśli się dowiem, że próbujesz mnie orznać, pożałujesz.

Kaz z trudem zachował powagę. Groźby Haskella były równie próżne jak jego przechwałki.

– Ma się rozumieć, szefie.

Haskell parsknął wyniośle.

– Umowa to umowa. Zjawia zostaje ze mną.

Kaz poczuł, jak stojąca tuż obok Inej sztywnieje.

– Jest mi potrzebna.

– Weź Roedera, jest dostatecznie dziarski.

– Nie do tej roboty.

Haskell cały się najeżył i wyprężył pierś, aż sztuczny szafir ozdobiący jego spinę do krawata załśnił w słabym świetle zaułka.

– Słyszałeś, co knuje Pekka Rollins? Właśnie otworzył nowy lokal, dokładnie naprzeciwko Klubu Wron.

Kaz widział to kasyno: nazywało się Kaelski Książę i stanowiło kolejny klejnot w

koronie Rollinsa – ogromny dom gry, kapiący od złota i zieleni w jakimś niedorzecznym hołdzie złożonym ojczyźnie Pekki.

– Rozpycha się na naszym terenie – ciągnął Haskell. – Dlatego potrzebuję pająka. A Zjawa jest najlepsza.

– Ta sprawa może poczekać.

– Ja twierdzę, że nie może. Przejdź się do Gemensbanku: zobaczysz tam moje nazwisko na kontrakcie Zjawy, a to oznacza, że to ja decyduję o tym, co będzie robiła i kiedy.

– Zrozumiałem, szefie. Jak tylko ją zobaczę, to jej powiem.

– Przecież stoi... – Haskell z niedowierzaniem rozdziawił usta. – Dopiero co tu była!

Kaz znów z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Kiedy Haskell miotał próżne groźby, Inej rozplynęła się w półmroku i bezszelestnie wspięła po murze; zanim staruszek zaczął się rozglądać po całym zaułku i zerkać na dachy, jej już dawno nie było w pobliżu.

– Sprowadź ją tu z powrotem – zażądał Haskell od Kaza. – Natychmiast.

Kaz wzruszył ramionami.

– Mam się wspiąć na ten mur?

– To mój gang, Brekker. Ona nie jest twoją własnością.

– Nie jest niczyją własnością. – Kaz poczuł znajome ukłucie białego żaru gniewu. – Ale niedługo wszyscy wrócimy do Listewki.

Prawdę mówiąc, Jesper miał wkrótce wyjechać z miasta razem z ojcem, Nina wybierała się do Ravki, Inej zamierzała odpłynąć z Ketterdamu własnym statkiem, a on, Kaz, szykował się do uniezależnienia od Haskella – ale staruszek będzie miał wtedy dość *kruge*, żeby się pocieszyć.

– Ty bezczelny draniu... – mruknął Haskell.

– Ten bezczelny drań niedługo uczyni cię jednym z najbogatszych szefów gangów w Baryłce.

– Zejdź mi z drogi, chłopcze. Spóźnię się na grę.

– Oby ci karty sprzyjały. Proszę, mogą ci się przydać. – Kaz przesunął się na bok i wyciągnął dłoń, na której leżało sześć naboje do rewolweru. – Na wypadek jakiegoś zamieszania.

Haskell wyłuskał rewolwer z kieszeni i zajrzał do bębena: był pusty.

– Ty mały... – Wybuchnął śmiechem i kręcąc głową, wziął od Kaza naboje. – W twoich żyłach płynie diabelska krew, chłopcze. Idź, zdobądź moje pieniądze.

– Nie tylko twoje – mruknął półgłosem Kaz, uchyliwszy kapelusza, i pokuśtykał w głąb zaułka, w stronę czekającej *gondeli*.



Przez całą drogę pozostawał całkowicie skoncentrowany, rozluźnił się dopiero wtedy, gdy wypłynęli z Baryłki na spokojniejsze wody dzielnicy finansowej. Ulice świeciły pustkami, nawet *stadwachta* rzadziej tu zaglądała. Kiedy *gondela* przepływała pod Ledbridge,

Kazowi mignął cień, który nagle oddzielił się od balustrady mostu. Chwilę później Inej dołączyła do niego w wąskiej łodzi.

Kusiło go, żeby wrócić prosto na Czarny Woal. Od kilku dni prawie nie sypiał, a jego okaleczona noga nie doszła do siebie po przejściach w Lodowym Dworze. W którymś momencie ciało przestanie go słuchać.

– Sama dam sobie radę z obserwacją – odezwała się Inej, jakby czytając mu w myślach.
– Spotkamy się na wyspie.

Jeszcze czego. Tak łatwo się go nie pozbędzie.

– Od której strony chcesz podejść pod dom Van Ecka?

– Zacznijmy od Kościoła Handlu: z dachu będzie widać rezydencję.

Kaz nie był tym pomysłem zachwycony, ale skierował *gondelę* na Beurscanal. Minęli gmach Giełdy i dostojną fasadę hotelu Geldrenner, gdzie ojciec Jespera spał zapewne smacznie w swoim apartamencie.

Przycumowali *gondelę* nieopodal kościoła. Zza drzwi, których nigdy nie zamykano, sączyła się poświata świec witająca wszystkich, którzy przyszedli się pomodlić do Ghezena.

Inej bez wysiłku wspięłaby się po zewnętrznym murze świątyni; Kazowi również mogłoby się to udać, ale nie zamierzał poddawać się takiej próbie, gdy noga rwała go wściekle przy każdym kroku. Dlatego musiał się dostać do którejś z kaplic.

– Nie musisz iść ze mną – powiedziała Inej, gdy przekradłszy się wokół kościoła, stanęli przed zewnętrznymi drzwiami kaplicy.

Udając, że jej nie słyszy, Kaz szybko otworzył zamek i oboje wśliznęli się do pogrążonego w mroku wnętrza. Weszli dwa piętra po schodach – kaplice budowano tu jedną na drugiej, jak kolejne warstwy tortu, fundowane przez różne kercheńskie rody kupieckie. Kolejny zamek otwarty... i kolejne przekłęte schody, tym razem kręcone, które ciasną spiralą zaprowadziły ich do wyjścia na dach.

Kościół Handlu zbudowano na planie dłoni Ghezena: od obszernej nawy głównej rozchodziły się krótkie nawy boczne, przypominające palce zakończone spiętrzonymi zespołami kaplic. Inej z Kazem wspięli się po schodach w opuszcze małego palca, po czym przedostali się na dach nawy głównej, skąd przeszli na palec serdeczny, pokonując śliską kamienną kalenicę i górską grań szpiczastych mansard.

– Dlaczego bogowie lubią być czczeni na wysokościach? – mruknął Kaz.

– To ludzie szukają wspaniałości – odparła Inej, poruszająca się z takim wdziękiem, jakby jej stopy zgłębiły jakieś niepojęte sekrety topografii dachu. – Święci słyszą wszystkie modlitwy, bez względu na to, gdzie zostaną wypowiedziane.

– I odpowiadają wedle swoich kaprysów?

– To, czego ty chcesz, i to, czego świat potrzebuje, niekoniecznie musi iść w parze, Kaz. Modlitwy i pobożne życzenia to nie to samo.

Za to jedno i drugie są tak samo bezużyteczne, chciał odparować Kaz, ale ugryzł się w język. Za bardzo musiał się skupiać na utrzymaniu się na dachu, żeby wdać się w porządną kłótnię.

Zatrzymali się na koniuszku palca serdecznego. Przed nimi rozpościerała się rozległa

panorama miasta. Na południowym zachodzie rozpostarł się widok na niebotyczne iglice kościoła, Giełdę, lśniącą wieżę zegarową hotelu Geldrenner i długą wstążkę Beurscanal przeciągniętą pod Zentzbridge. Kiedy odwrócili się na wschód, z tego akurat skrawka dachu mieli bezpośredni widok na Geldstraat, a w głębi Geldcanal i dostojną rezydencję Van Ecka. Był to doskonały punkt obserwacyjny do zapoznania się z ochroną domu kupca i zabezpieczeniem kanału, ale i tak nie dostarczyłby im wszystkich niezbędnych informacji.

– Będziemy musieli podejść bliżej – zauważył Kaz.

– Wiem. – Inej wyjęła zza pazuchy zwój liny i zarzuciła zrobioną z niej pętlę na jeden z kwiatonów. – Szybciej i bezpieczniej będzie, jeśli sama się tym zajmę. Daj mi pół godziny.

– Nie...

– Zanim ty wrócisz do *gondeli*, ja dowiem się wszystkiego, co niezbędne.

Zamorduję ją.

– Wciągnęłaś mnie tu na próżno.

– Twoja duma cię tu wciągnęła. Jeżeli Van Eck zwęszy dziś jakieś kłopoty, będzie po zawodach. To nie jest robota dla dwojga i ty dobrze o tym wiesz.

– Inej...

– Od tego zależy także moja przyszłość, Kaz. Ja nie próbuję cię uczyć otwierania zamków ani układania planów. Wiem, w czym jestem dobra, więc pozwól mi wykonywać moją pracę. – Inej napięła linę. – Pomyśl tylko, ile będziesz miał czasu na modlitwę i kontemplację, schodząc stąd na dół.

Przesadziła krawędź dachu i zniknęła mu z oczu.

Stał wpatrzony w miejsce, gdzie jeszcze przed sekundą znajdowała się Inej. Wykiwała go. Porządna, uczciwa, pobożna Zjawa go przechytrzyła. Obejrzał się na długi kawał dachu, który musiał przemierzyć, żeby wrócić do łodzi.

– Bądź przekłeta, ty i wszyscy twoi święci – powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego, i nagle uświadomił sobie, że się uśmiecha.



Dotarłszy w końcu do *gondeli*, był już znacznie mniej ubawiony. Nie przeszkadzało mu, że Inej go okpiła; był na nią wściekły dlatego, że miała rację. Doskonale zdawał sobie sprawę, że tej nocy nie nada się do tego, by się wśliznąć na ślepo do domu Van Ecka. To naprawdę nie była robota dla dwojga, poza tym nigdy w ten sposób nie działali. To Inej była Zjawą, najlepszym złodziejem sekretów w całej Baryłce; to ona specjalizowała się w dyskretnym gromadzeniu informacji, nie on. Musiał zresztą przyznać uczciwie, że cieszy się z tej chwili wytchnienia, kiedy może rozprostować obolałą nogę i wsłuchać się w fale chlupoczące cicho o brzegi kanału. Dlaczego w takim razie tak się upierał, żeby jej towarzyszyć? To było niebezpieczne myślenie, dokładnie takie, jakie wcześniej doprowadziło do jej schwytania.

Dam sobie radę, pomyślał.

Jutro o północy Kuweia nie będzie już w Ketterdamie, a za parę dni zgarną swoją wielką nagrodę, Inej pójdzie swoją drogą i zrealizuje marzenie o ściganiu łowców niewolników, a on, kiedy wreszcie nic nie będzie go rozpraszało, założy własny gang, złożony z najmłodszych i najgroźniejszych Szumowin, i z nowym zapalem zajmie się realizacją przysięgi złożonej pamięci Jordiego: mozolnym zadaniem zniszczenia życia Pekki Rollinsa, kawałek po kawałku.

Tymczasem jednak błędził wzrokiem po ścieżce nad kanałem i coraz bardziej się niecierpliwił. Nie powinien tracić cierpliwości. Czekanie było tą częścią przestępczego życia, której wielu ludzi zwyczajnie nie rozumiało: parli do działania, zamiast spokojnie gromadzić informacje; chcieli wiedzieć wszystko od razu, nie musząc się niczego uczyć. A czasem kluczem do sukcesu było właśnie cierpliwe wyczekiwanie. Jeśli pogoda ci nie odpowiada, nie pakujesz się w sam środek burzy, tylko czekasz, aż burza minie. Po co niepotrzebnie moknąć?

Bardzo błyskotliwe, pomyślał. Tylko gdzie jest Inej, u licha?

Upłynęło jeszcze kilka długich minut, zanim w końcu bezszelestnie zsunęła się do *gondeli*.

– Mów – powiedział Kaz, odbijając od brzegu kanału.

– Alys zamieszkuje ten sam pokój co przedtem, na pierwszym piętrze. Przed drzwiami stoi strażnik.

– Biuro?

– W tym samym miejscu, w głębi korytarza. Wszystkie zewnętrzne okna w domu są zaopatrzone w zamki Schuylera.

Kaz sapnął z irytacją.

– To jakiś problem? – spytała Inej.

– Nie. Schuyler nie powstrzyma dobrego włamywacza, ale otwarcie go wymaga czasu.

– Ja nie potrafiłam sobie z nimi poradzić, dlatego musiałam poczekać, aż ktoś z kuchni otworzy tylne drzwi.

Kaz nie spisał się najlepiej, przyuczając Inej do otwierania zamków. Dałaby sobie radę z schuylerem, gdyby tylko się do tego przyłożyła.

– Odbierali dostawę do spiżarni – ciągnęła Inej. – Z tego, co udało mi się podsłuchać, wynika, że jutro szykuje się zebranie Rady Kupieckiej.

– To ma sens – przyznał Kaz. – Van Eck odegra przed nimi rolę roztrzęsionego ojca i wymusi wzmocnienie patroli.

– Posłuchają go?

– Nie mają powodu mu odmawiać. A poza tym zostaną ostrzeżeni, dzięki czemu zdążą w porę poukrywać kochanki i inne skarby, których odkrycia w nalocie *stadwachtu* chcieliby uniknąć.

– Baryłka łatwo się nie podda.

– Nie. – *Gondela* opłynęła wysuniętą w głąb kanału piaszczystą łachę i zagłębiła się w mgły otulające Czarny Woal. – Nikt nie chce, żeby kupcy mieszały mu w interesach. Masz

jakieś pojęcie, o której mają się spotkać?

– Kucharze rozmawiali o szykowaniu kolacji. To może być dobra pora na naszą akcję.

– Otóż to.

W takich właśnie sytuacjach byli najlepsi: łączyła ich tylko robota, nic więcej, współpraca bez żadnych zbędnych komplikacji. I tak powinno zostać, ale Kaz nie mógł się powstrzymać.

– Powiedziałaś, że Van Eck nie zrobił ci krzywdy. A jak było naprawdę?

Wpłynęli pod obwisłe gałęzie wierzb. Inej nie odrywała od nich wzroku.

– Nic mi nie zrobił.

Wysiedli, upewnili się, że *gondela* jest dobrze zamaskowana, i wspięli się na brzeg. Kaz szedł z tyłu; nie naciskał na Inej, czekał, aż zmieni się jej nastrój. Zachodzący księżyc podkreślał kontury grobowców, kreśląc srebrem miniaturowy krajobraz miejski. Rozwinięty z koka warkocz opadał Inej na plecy. Oczami wyobraźni Kaz zobaczył, jak oplata go sobie wokół dłoni i wodzi kciukiem po splotach... A co potem? Odsunął od siebie tę myśl.

Od kamiennego kadłuba dzieliło ich zaledwie kilka jardów, gdy Inej nagle się zatrzymała zapatrzona w mgłę snującą się wśród gałęzi drzew.

– Chciał mi połamać nogi – powiedziała. – Zmiażdżyć kości młotem, żeby nigdy nie zrosły się, jak trzeba.

Myśli o księżycowej poświacie i jedwabistych włosach wyparowały w czarnym kotle gniewu. Inej skubnęła lewy rękaw w miejscu, gdzie dawniej nosiła tatuaż *Menażerii*. Kaz miał raczej mgliste pojęcie o tym, co tam przeszła, ale wiedział, co to znaczy być bezradnym – a Van Eck sprawił, że Inej znowu tak właśnie się poczuła. Będzie trzeba wymyślić zupełnie nowy język cierpienia, żeby dać nauczkę temu zarozumiałemu kupieckiemu ścierwu.

Jesper i Nina mieli rację: Inej powinna odpocząć, jeśli ma dojść do siebie po ostatnich ciężkich dniach. Wiedział, że jest silna, ale wiedział również, jak reaguje na niewolę.

– Jeżeli nie czujesz się na siłach...

– Czuję się – ucięła cały czas zwrócona do niego plecami.

Cisza między nimi była niczym mroczna rzeka. Nie był w stanie jej przekroczyć. Nie mógł podążyć po linii wytyczającej granicę między godnością, na jaką Inej zasługiwała, i okrucieństwem, jakiego ta droga wymagała; gdyby tego spróbował, oboje mogliby zginąć. Mógł być tylko prawdziwym sobą – chłopakiem, który nie potrafi nieść pociechy. Da jej więc tyle, ile może.

– Wypatroszę Van Ecka – zapowiedział półgłosem. – Zadam mu ranę, której nie sposób zaszyć; która nigdy się nie zagoi; po której nigdy nie dojdzie do siebie.

– Taką samą, jaką zadano tobie?

– Tak.

To było potwierdzenie. To była obietnica.

Rozedrgana Inej wzięła głęboki wdech. Następne jej słowa padły jak szybka seria strzałów, jakby żałowała, że w ogóle je wypowiada:

– Nie wiedziałam, czy przyjdiesz.

Trudno było Kazowi mieć o to pretensje do Van Ecka. Sam zasiewał w Inej tę wątpliwość – każdym lodowatym słowem, każdym drobnym okrucieństwem.

– Jesteśmy jedną ekipą, Inej. Nie zostawiamy swoich na pastwę kupieckiego łajna.

Nie takiej odpowiedzi chciał jej udzielić. Nie taką odpowiedź chciała usłyszeć.

Kiedy się do niego odwróciła, jej oczy pałały gniewem.

– On mi chciał połamać nogi, Kaz – powiedziała tylko lekko drżącym głosem, unosząc dumnie głowę. – Wtedy też byś po mnie przyszedł? Gdybym nie mogła już wspinać się po murach ani chodzić po linie? Gdybym nie była już Zjawą?

Brudnoręki by nie przyszedł. Chłopak, który mógł ich przez to wszystko przeprowadzić, zdobyć dla nich pieniądze i utrzymać ich przy życiu, wyświadczyłby jej przysługę: skrócił jej męki, ograniczył straty, wrócił do swoich spraw.

– Przyszedłbym po ciebie – powiedział, po czym, widząc jej podejrzliwe spojrzenie, powtórzył: – Przyszedłbym. A gdybym już nie mógł chodzić, przyczołgałbym się do ciebie i choćbyśmy nie wiem jak bardzo byli połamani, razem wywalczylibyśmy sobie drogę na wolność, z nożem w zębach i pistoletem w garści. Bo tacy właśnie jesteśmy. Zawsze walczymy do końca.

Wiatr powiał mocniej i gałęzie wierzb zaszemrały – ukradkowy, plotkarki szelest. Kaz wytrzymał spojrzenie Inej i dostrzegł odbity w jej oczach księżyc: dwie świetlne kosy. Miała prawo być ostrożna, nie dowierzać nawet jemu. Zwłaszcza jemu. Ostrożność gwarantowała przetrwanie.

W końcu skinęła głową, jej podbródek ledwo zauważalnie drgnął. Bez słowa weszli do grobowca. Wierzby dalej szumiały.



13

NINA

Nina obudziła się na długo przed świtem. Jak zwykle nie miała apetytu – i jak zwykle jej pierwszą myślą była myśl o *parem*. Niewiele brakowało, żeby w nocy głód narkotyku wpędził ją w obłąd. Próba użycia mocy do odparcia ataku kherguudów wywołała u niej silne pragnienie *parem*; długo rzucała się na posłaniu, paznokciami wyrzynając sobie krwawe półksiężyce we wnętrzach dłoni.

Rano czuła się fatalnie, lecz świadomość bliskości celu znacząco ułatwiła jej wstanie z łóżka. Z upływem dni głód *parem* trochę w niej przygasł i zaczynała się obawiać, że już nie obudzi w sobie tej dawnej iskry, ale dzisiaj – chociaż bolały ją wszystkie kości, skórę miała wyschniętą na wiór, a w ustach czuła posmak piekarnika, który dopomina się o wyczyszczenie – odczuła przypływ nadziei. Inej wróciła, mieli robotę do wykonania, a ona zrobi coś dobrego dla swoich pobratymców, choćby miała szantażem zmusić Kaza Brekkera do odrobiny przyzwoitości.

Matthias wstał wcześniej od niej i robił przegląd broni. Przeciągnęła się i ziewnęła, wyginając się w łuk nieco bardziej, niż było to konieczne; podobało jej się to, jak Matthias prześliznął się wzrokiem po jej ciele, zanim z poczuciem winy znów skupił się na przeladowywanym karabinie.

Przyjemne uczucie.

Dzień wcześniej praktycznie się na niego rzuciła; skoro nie zamierzał skorzystać z jej propozycji, już ona się postara, żeby tego pożałował.

Inni też już wstali i kręcili się po mauzoleum – wszyscy poza Jesperem, który ze sterczącymi spod koca nogami wciąż jeszcze smacznie pochrapywał. Inej parzyła herbatę. Kaz z Wylanem siedzieli przy stole i oglądali jakieś szkice; towarzyszący im Kuwei od czasu do czasu coś komentował.

Przyjrzała się dwóm identycznym twarzom z Shu Hanu. Sylwetka i ruchy Wylana były zupełnie inne niż Kuweia, ale kiedy siedzieli nieruchomo, nie sposób było ich odróżnić. To moje dzieło, pomyślała. Przypomniała sobie rozkołysane latarnie w małej kajucie, rude loki Wylana znikające pod jej palcami, spod których wynurzyła się gęsta strzecha

czarnych włosów, jego szeroko otwarte niebieskie oczy – wylęknione, ale uparte i na swój sposób dzielne – zmieniające kształt i kolor... To było jak magia, prawdziwa magia, taka sama jak w opowieściach nauczycieli z Małego Pałacu, kiedy próbowali ułożyć do snu swoich podopiecznych. I to ona władała tą magią.

Inej usiadła obok niej z dwoma kubkami gorącej herbaty w rękach.

– Jak się dziś czujesz? – zagadnęła. – Zjesz coś?

– Raczej nie. – Nina zmusiła się do przełknięcia łyku herbaty. – Dziękuję ci za wczoraj.

Za to, że mnie poparłaś.

– To było dla mnie oczywiste. Nie lubię, kiedy ktoś zniewala innych.

– Mimo wszystko... dziękuję.

– Nie ma za co, Nino Zenik. Odwdzięczysz mi się w tradycyjny sposób.

– Gofry?

– Mnóstwo gofrów.

– Dobrze ci zrobią. Van Eck cię chyba nie karmił, co?

– To raczej ja nie miałam apetytu. Bo on przez pewien czas próbował.

– A potem?

– A potem postanowił mnie torturować.

Nina zacisnęła pięści.

– Wywlekę mu bebechy i porozwieszam jak serpentyny na przyjęciu.

Inej roześmiała się i oparła głowę na jej ramieniu.

– Doceniam tę wizję, naprawdę, ale to ja muszę mu odpłacić, nikt inny. – Zawiesiła głos. – Najgorszy był strach. A po Lodowym Dworze myślałam już, że strach się mnie nie ima.

Nina wsparła podbródek na czubku jej jedwabistej głowy.

– Zoya mawiała, że strach jest jak feniks: choćbyś tysiąc razy widziała, jak spłonął, zawsze wróci.

Podobnie rzecz się miała z głodem *parem*.

Stał przed nimi Matthias.

– Powinniśmy się zbierać – powiedział. – Do wschodu słońca zostało niewiele ponad godzinę.

– Co ty właściwie masz na sobie? – zainteresowała się Nina. Matthias narzucił na ubranie włochatą czerwoną kamizelkę i włożył czapkę z frędzlami.

– Kaz załatwił nam fałszywe dokumenty, na wypadek gdyby ktoś nas zatrzymał w dzielnicy ravkańskiej. Nazywamy się Sven i Catrine Alfsson, jesteśmy uchodźcami z Fjerdy i szukamy schronienia w ravkańskiej ambasadzie.

To brzmiało sensownie; gdyby faktycznie zostali zatrzymani, Matthias nie mógłby udawać Ravkańczyka, za to Nina z łatwością uszłaby za Fjerdanekę.

– Jesteśmy małżeństwem, Matthiasie? – spytała, trzepocząc rzęsami.

Zajrzał do dokumentów i zmarszczył brwi.

– Raczej rodzeństwem, jeśli się nie mylę.

– I nie ma w tym nic obrzydliwego – powiedział Jesper, przecierając zaspane oczy.

– Musiałeś zrobić z nas brata i siostrę, Brekker? – Nina zmarszczyła brwi.

– Spechtowi łatwiej było podrobić właśnie taki papier, Zenik – odparł Kaz, nie podnosząc wzroku znad analizowanego schematu. – Te same nazwiska rodziców, to samo miejsce urodzenia, a czasu na uwzględnienie twojego szlachetnego porywu było wyjątkowo niewiele.

– W ogóle nie jesteście do siebie podobni.

– Oboje jesteście wysocy – zauważyła Inej.

– I oboje nie mamy skrzeli – odparła Nina – ale to jeszcze nie znaczy, że wyglądamy na rodzeństwo.

– To go przeformuj – rzucił oziębło Kaz.

Tym razem wyzwanie w jego spojrzeniu było oczywiste. Wiedział, że Nina zмага się z nałogiem. Oczywiście, że wiedział. Nic nie uchodziło uwagi Brudnorękiego.

– Nie chcę, żeby mnie formowała – zaproponował Matthias.

Na pewno mówił szczerze, ale Nina podejrzewała też, że próbuje pomóc jej wyjść z twarzą z całej sytuacji.

– Nic wam się nie stanie – załagodził sytuację Jesper. – Po prostu nie patrzcie sobie za często w oczy i starajcie się nie obmacywać publicznie.

Ech, żeby tak...

– Proszę. – Matthias wręczył jej ubranie i blond perukę, którą nosiła podczas przekrętu ze Smeetem.

– Oby na mnie pasowały – burknęła.

Kusiło ją, żeby przebrać się tu i teraz, na środku grobowca, ale wystraszyła się, że Matthias mógłby zemdlec do głębi wstrząśnięty niestosownością jej zachowania. Porwała więc stojącą obok lampę i wyszła do katakumb. Nie miała lustra, ale i bez niego wiedziała, że suknia jest wybitnie niechlujna, a na opisanie przyciasnej haftowanej kamizelki wprost brakowało jej słów. Kiedy wynurzyła się z tunelu, Jesper ze śmiechu zgiął się wpół, a Kaz uniósł brwi. Nawet Inej z trudem zachowała powagę.

– Święci w niebie... – mruknęła Nina. – Aż tak źle?

Inej odkaszlnęła.

– Wyglądasz...

– Przeuroczo – zapewnił ją Matthias.

Już miała warknąć, że jego drwiny jej nie bawią, gdy dostrzegła wyraz jego twarzy. Wyglądał jak człowiek, któremu ktoś wręczył właśnie koszyk pełen malutkich szczeniactków.

– Mogłabyś grać dziewicę w pierwszym dniu *Roenningsdjelu*.

– Co to jest *Roenningsdjel*? – zainteresował się Kuwei.

– Jakieś święto – odparła Nina. – Nie pamiętam dokładnie, ale jestem prawie pewna, że wiąże się z jedzeniem mięsa łosia w dużych ilościach. Chodź, matołku, idziemy... I nie patrz tak na mnie: jestem twoją siostrą.

– Jak mam nie patrzeć?

– Jakbym była zrobiona z lodów.

– Ale ja nie lubię lodów.

– Matthiasie... Naprawdę zaczynam wątpić, czy powinniśmy spędzać razem czas.

Nie umiała jednak całkowicie ukryć triumfalnej nuty w głosie. Czy jej się to podoba, czy nie, najwyraźniej będzie się musiała zaopatrzyć w garderobę z paskudnej dzianiny.



Opuściwszy Czarny Woal, popłynęli w kierunku północno-zachodnim i włączyli się w rzekę łodzi zmierzających na poranne bazary nieopodal Ratusza. Ambasada ravkańska mieściła się na skraju dzielnicy dyplomatycznej, przytulona do szerokiego zakola kanału biegnącego wzdłuż szerokiej arterii miejskiej. Arteria była w przeszłości mokradłem, które jednak osuszono, zasypano i wzmocniono, by postawić w tym miejscu hotel i urządzić plac defiladowy. Niestety, inwestorowi zabrakło pieniędzy, zanim budowa zdążyła się rozpocząć, i plac zajęło rojne targowisko: drewniane stragany i wozy pojawiały się codziennie rano, by zniknąć przed wieczorem i pojawieniem się nocnych patroli *stadwacht*. Uciekinierzy, goście, nowi imigranci i starzy ekspatrianci – wszyscy przybywali tutaj w poszukiwaniu znajomych twarzy i swojskich tradycji. W okolicznych kafejkach serwowano *pielmeni* i solone śledzie, a starzy mężczyźni przesiadywali przy wystawionych na ulicę stolikach, popijali kwas chlebowy i czytali stare ravkańskie gazety sprzed wielu tygodni.

Kiedy Nina pierwszy raz ugrzęzła w Ketterdamie, przyszło jej do głowy, że mogłaby poszukać azylu w ambasadzie, bała się jednak, że zostanie odesłana z powrotem do ojczyzny, gdzie powinna wstąpić na służbę do Drugiej Armii. Jak miałyby im wytłumaczyć, że nie może wrócić do Ravki, dopóki nie uwolni fjerdańskiego *drüskelle*, do którego aresztowania (na podstawie fałszywych zarzutów) osobiście się przyczyniła? Od tamtej pory rzadko odwiedzała Małą Ravkę, zbyt wiele bólu sprawiało jej przemierzanie tych ulic, które do złudzenia przypominały jej dom – i zarazem były od niego zupełnie różne.

Mimo to na widok flagi z dwugłowym złotym orłem Lantsovów na bladoniebieskim polu serce podskoczyło jej w piersi jak koń przesadzający przeszkodę. Targowisko przypominało jej Os Kervo, tętniące życiem miasto, które do czasu zjednoczenia było stolicą Zachodniej Ravki: haftowane szale, lśniące samowary, zapach świeżej jagnięciny z różną, wełniane czapki i sfatygowane blaszane ikony błyszczące w porannym świetle. Gdyby udało jej się nie zauważać wąskich kercheńskich kamieniczek z mansardami, prawie, prawie mogłaby udać, że jest w domu.

Groźne złudzenie. Na tych ulicach nie było bezpiecznie.

Mimo rozdzierającej tęsknoty za domem, idąc z Matthiasem wśród kramów, zzymała się w duchu na okrutną staroświeckość otaczających ją scen. Nawet sami kupcy, uparcie obstający przy tradycyjnych ravkańskich strojach, wyglądali jak relikty dawno minionych czasów; jak bohaterowie żywcem wyjęci ze stronicy książki starych baśni. Czyżby ten rok

spędzony w Ketterdamie aż tak ją zmienił? Czy to on sprawił, że zupełnie inaczej postrzegala swoich rodaków i ich obyczaje? Nie chciała w to uwierzyć.

Otrząsnawszy się z zamyślenia, zdała sobie sprawę, że przyciągają z Matthiasem całkiem sporo wrogich spojrzeń. Nie ulegało wątpliwości, że Ravkańczycy są uprzedzeni do Fjerdan, ale tu chodziło o coś więcej. Spojrzała na Matthiasa... i westchnęła ciężko. Miał zatroskaną minę, a zatroskanie na jego twarzy wyglądało przerażająco. Fakt, że był zbudowany jak czołg, którym uciekli z Lodowego Dworu, bynajmniej nie pomagał.

– Matthias... – mruknęła po fjerdańsku, sprzedawszy mu, jak jej się wydawało, dobrodusznie siostrzanego kuksańca. – Musisz na wszystko tak wilkiem patrzeć?

– Wcale nie patrzę wilkiem.

– Jesteśmy Fjerdanami w ravkańskiej dzielnicy, wyróżniamy się już na starcie. Nie dawaj im powodów do przypuszczeń, że zastanawiasz się, jak zorganizować oblężenie targowiska. Mamy robotę i musimy ją wykonać bez niepotrzebnego zwracania na siebie uwagi. Wyobraź sobie, że jesteś szpiegiem.

Mars na czole Matthiasa jeszcze się pogłębił.

– To zadanie niegodne uczciwego żołnierza.

– W takim razie pomyśl, że jesteś aktorem.

Matthias prychnął z niesmakiem.

– Byłeś kiedyś w teatrze?

– W Djerholmie odbywają się regularne przedstawienia.

– Niech zgadnę: śmiertelnie poważne widowiska, które trwają po kilka godzin i opowiadają o epickich czynach bohaterów sprzed wieków.

– Są nadzwyczaj interesujące. Chociaż nie widziałem jeszcze aktora, który by umiał trzymać miecz.

Nina parsknęła śmiechem.

– No co? – zdziwił się Matthias.

– Nic. Naprawdę nic. – Kiedy indziej zrobi mu wykład o nieprzyzwoitych aluzjach. A może i nie. Z tą swoją kompletną nieświadomością był o wiele zabawniejszy.

– Co to jest? – spytał Matthias, wskazując rozpostarty przez jednego z handlarzy koc, na którym w schludnych rzędach poukładano jakieś patyczki i kawałki kamienia.

– Kości – wyjaśniła Nina. – Paliczki, stawy, kręgi, potrzaskane kości nadgarstków... Kości świętych. Dla ochrony.

Matthias wzdrygnął się z odrazą.

– Ravkańczycy noszą przy sobie ludzkie kości?

– A wy rozmawiacie z drzewami. To przesąd i to przesąd.

– I to naprawdę są kości świętych?

Nina wzruszyła ramionami.

– Zostały odsianie z ziemi i piasku na cmentarzach i polach bitew, których w Ravce nie brakuje. Jeżeli ktoś chce wierzyć, że ma przy sobie łokieć Sankta Egmonda czy mały palec u nogi Sankty Aliny...

– A właściwie to kto zdecydował, że Alina Starkov ma być świętą? – zaperzył się

Matthias. – Była potężną griszą, ale to jednak nie to samo.

– Jesteś pewien? – spytała Nina. Dopóki sama dostrzegła zacofanie ravkańskich obyczajów, nie przeszkadzało jej to, ale kiedy to Matthias zwrócił na nie uwagę, nie była zachwycona. – Widziałam Lodowy Dwór na własne oczy, Matthiasie. Powiedz mi, łatwiej uwierzyć, że stworzył go jakiś bóg czy że zbudowali go griszowie obdarzeni talentami, których twój lud nie pojmuje?

– To zupełnie co innego.

– Alina Starkov była mniej więcej w naszym wieku, kiedy zginęła męczeńską śmiercią. Jako młoda dziewczyna poświęciła życie, żeby ocalić Ravkę i zniszczyć Fałdę Cienia. Nawet w waszym kraju jest przez niektórych czczona jako święta.

Matthias zmarszczył brwi.

– To wbrew...

– Jeżeli powiesz „wbrew naturze”, zrobię ci siekacze jak u konia.

– Mogłabyś?

– Na pewno mogę spróbować.

Nie była fair wobec Matthiasa. Dla niej Ravka była domem, dla niego – terytorium wroga. Nawet jeśli nauczył się akceptować ją, Ninę, przekonanie go do zaakceptowania całego kraju i jego kultury będzie wymagało znacznie większego wysiłku.

– Może powinnam pójść sama. Ty byś wrócił i zaczekał na mnie przy łodzi.

Matthias zeszywniał.

– Mowy nie ma. Nie masz pojęcia, co cię tam może czekać. Może ci z Shu Hanu już dopadli twoich przyjaciół.

O tym akurat wołała nie myśleć.

– W takim razie spróbuj się uspokoić i zrobić przyjazną minę.

Matthias strzepnął rękami i rozluźnił mięśnie twarzy.

– Przyjazną, nie senną. Wyobraź sobie, że... że ci wszyscy ludzie to małe kocięta, których nie chcesz przestraszyć.

– Zwierzęta mnie uwielbiają – zachnął się urażony Matthias.

– W porządku. W takim razie wyobraź sobie, że to małe dzieci, berbecie, które posikają się w majtki, jeśli nie będziesz dla nich miły.

– Dobrze. Postaram się.

Podeszli do następnego kramu. Jego właścicielka zmierzyła Matthiasa podejrzliwym spojrzeniem.

Nina skinęła zachęcająco głową.

Matthias rozpromienił się i ryknął melodyjnie:

– Witaj, moja mała przyjaciółko!

Nieufność handlarki przeobraziła się w konsternację. Nina postanowiła to uznać za poprawę.

– Jak się dzisiaj miewasz? – zadudnił tymczasem Matthias.

– Że co? – zdziwiła się kobieta.

– Nic ważnego – wtrąciła Nina po ravkańsku. – Mówi, że Ravkanki pięknie się starzeją.

Handlarzka posłała jej szczerbaty uśmiech i z podziwem zmierzyła Matthiasa wzrokiem od stóp do głów.

– Zawsze miałam słabość do Fjerdan – przyznała. – Zapytaj go, czy nie zabawiłby się w księżniczkę i barbarzyńcę. – I zaniósła się śmiechem.

– Co powiedziała? – zainteresował się Matthias.

Nina zakaszlała, wzięła go za rękę i odciągnęła od straganu.

– Że bardzo miły z ciebie gość i wystawiasz doskonale świadectwo całej fjerdańskiej rasie. Rety, patrz: bliny! Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz jadłam prawdziwe bliny!

– Powiedziała *babink*. Ty też czasem mnie tak nazywasz. Co to znaczy?

– Cukiereczek – odparła Nina bez reszty skupiona na stosiku cienkich jak papier placków.

– Nino...

– Barbarzyńca!

– Ja tylko pytam! To jeszcze nie powód, żeby od razu mnie wyzywać.

– Nie, nie o to chodzi. *Babink* znaczy „barbarzyńca”.

Matthias obrzucił handlarzkę najmroczniejszym ze swoich spojrzeń. Nina złapała go za rękę, ale równie dobrze mogłaby próbować wczepić się w głaz.

– Nie próbowała cię obrazić, naprawdę. Daję słowo!

– „Barbarzyńca” to niby nie obelga?! – obruszył się Matthias, podnosząc głos.

– Nie. To znaczy tak, ale nie w tym kontekście. Pytała, czy nie zechciałbyś się zabawić w księżniczkę i barbarzyńcę.

– To jakaś gra?

– Niezupełnie...

– To co w takim razie?

Nina nie mogła uwierzyć, że naprawdę będzie próbowała mu to wytłumaczyć.

– W ravkańskiej tradycji istnieje popularny cykl opowieści o... ehm... dzielnym fjerdańskim wojowniku...

– Poważnie? Fjerdanin jest w nich bohaterem?

– Poniekąd. Porywa ravkańską księżniczkę...

– To wykluczone. Coś takiego nie mogłoby się wydarzyć.

– Ale w tej historii się wydarzyło. Potem... – Nina odchrząknęła. – Potem oboje coraz lepiej się poznają. W jaskini tego Fjerdanina.

– To on mieszka w jaskini?!

– To bardzo przyjemna jaskinia: futra, góry skarbów, miód pitny...

– No, to rozumiem. – Matthias z aprobatą pokiwał głową. – Jest strażnikiem skarbu, jak Ansgar Potężny. I co, zostają sojusznikami?

Nina wzięła do ręki wyszywane rękawiczki leżące na ladzie następnego kramu.

– Podobają ci się? Może udałoby się przekonać Kaza, żeby nosił rękawiczki w kwiatki? Ożywił swój wizerunek?

– Jak się kończy tamta historia? Fjerdanin i księżniczka walczą ramię w ramię?

Nina odrzuciła rękawiczki, przyznając się do porażki.

– Zbliżają się do siebie. W intymnym znaczeniu tego słowa.

Matthiasowi opadła szczęka.

– Ale... W jaskini?!

– Widzisz, on jest bardzo posepny z natury i taki bardzo... męski – pośpieszyła z dalszym ciągiem Nina. – Ale zakochuje się w tej ravkańskiej księżniczce i pozwala jej się ucywilizować...

– Ona cywilizuje jego?!

– No tak. Ale to dopiero w trzeciej księdze.

– To są aż trzy?

– Nie chciałbyś na chwilę usiąść, Matthiasie?

– Obrzydliwa jest ta wasza kultura. Pomysł, że Ravkanka mogłaby ucywilizować Fjerdanina...

– Spokojnie, Matthiasie.

– A może ja powinienem napisać opowieść o niewyżytych Ravkankach, które uwielbiają się upijać, rozbierać do naga i czynić niestosowne propozycje bezradnym Fjerdanom?

– Hmm, to brzmi obiecująco.

Matthias pokręcił głową, Nina zauważyła jednak, że uśmiecha się kącikiem ust, i postanowiła wykorzystać chwilową przewagę.

– My też moglibyśmy się tak zabawić – dodała.

– Absolutnie nie.

– W jednej ze scen barbarzyńca kąpie księżniczkę.

Matthias się potknął.

– Dlaczego miałby ją...

– Nie ma innego wyjścia. Jest związana.

– Milcz.

– O proszę, już zaczynasz mi rozkazywać. Jakie to barbarzyńskie... Albo wiesz co? Moglibyśmy się zamienić rolami: ja będę barbarzyńcą, a ty księżniczką. Tylko musiałbyś więcej wzdychać, drżeć i przygryzać wargę.

– Może tobie przygryzę wargę?

– No, Helvar, widzę, że zaczynasz chwytać, o co w tym chodzi.

– Próbujesz odwrócić moją uwagę.

– I robię to bardzo skutecznie. Przeszliśmy prawie dwie przecznice, odkąd ostatnio spojrzales na kogoś spode łba... i proszę, jesteśmy na miejscu.

– Co teraz? – spytał Matthias, rozglądając się po tłumie.

Stanęli przed nieco podupadłą gospodą. Wędrowny handlarz postawił przed nią swój wóz, z którego sprzedawał ikony i figurki Sankty Aliny przedstawionej w nowym stylu: święta ze wzniesioną pięścią i karabinem w ręce miażdżyła pod stopami skrzydlate volcry. Podpis na podstawie figurki głosił: *Rebe dva Volkshiya*, Córa Ludu.

– W czym mogę pomóc? – spytał po ravkańsku sprzedawca.

– Chwała młodemu królowi Nikolaiowi – odparła w tym samym języku Nina. – Oby władał jak najdłużej.

– Z lekkim sercem – powiedział handlarz.

– I ciężką pięścią – podała drugi odzew Nina.

Mężczyzna skinął głową w stronę drzwi tawerny.

– Usiądźcie przy drugim stoliku na lewo od wejścia. Jeśli chcecie, możecie coś zamówić.

Za chwilę ktoś do was przyjdzie.

Przez kontrast z zalanym słońcem placem wewnątrz gospody było chłodne i mroczne i musieli chwilę odczekać, żeby ich wzrok oswoił się z ciemnością. Podłoga była posypana trocinami. Przy kilku niewielkich stolikach klienci raczyli się kwasem chlebowym i śledziami.

Usiedli przy pustym stoliku.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi z impetem... i w tej samej chwili wszyscy goście zerwali się od stolików, przewracając z łoskotem krzesła i mierząc z pistoletów do Niny i Matthiasa.

Pułapka!

Bez chwili namysłu Nina z Matthiasem poderwali się na nogi i stanęli plecami do siebie gotowi do walki: Matthias z rewolwerem w dłoni, Nina z uniesionymi rękami.

Z głębi lokalu wynurzyła się dziewczyna w płaszczu, z twarzą osłoniętą kołnierzem i kapturem.

– Spokojnie – powiedziała. Złote oczy błysnęły w przyćmionym świetle. – Nie musimy walczyć.

– To po co wam tyle broni? – spytała Nina, próbując zyskać na czasie.

Dziewczyna podniosła rękę. Nina poczuła, jak jej serce zwalnia bieg.

– To ciałobójczynie! – zawołała.

Matthias wyszarpnął coś z kieszeni. Nina usłyszała cichy huk, potem szum i nagle w powietrzu rozsunęła się ciemnoczerwona mgła. Czyżby Wylan zrobił dla niego zmierzchówkę? *Drüskelle* używali zmierzchówek do ukrywania się przed ciałobójcami.

Pod osłoną mgły Nina rozluźniła palce. Miała nadzieję, że tym razem moc jej nie zawiedzie.

Od strony otaczających ją ludzi nie dochodziły żadne wrażenia, nie wyczuwała iskry życia ani śladów ruchu. Za to na obrzeżach swojej jaźni wyczuła coś innego, obecność innego rodzaju świadomości, jakby wpadła w obszar lodowatej wody w głębokim jeziorze i wywołany zimnem wstrząs rozbudził wszystkie komórki jej ciała. Uczucie było znajome, coś podobnego poczuła tamtej nocy, gdy podczas próby uprowadzenia Alys zabiła strażnika, tym razem jednak wrażenie było znacznie silniejsze. Miało kształt i fakturę.

Zanurzyła się w lodowatej głębi i zachłannie, po omacku, zaczerpnęła z tej otchłani pobudzenia. Wyciągnęła przed siebie ręce w geście zrodzonym pospołu z instynktu i umiejętności.

Okna gospody eksplodowały do środka deszczem szkła. W powietrzu śmignęły odłamki kości, siekąc uzbrojonych gości tawerny jak kartacze.

To relikwie z wozu handlarza dewocjonaliów, uświadomiła sobie Nina w przebłysku geniuszu. W jakiś sposób mogła kontrolować kości.

– Mają wsparcie! – zawołał któryś z mężczyzn.

– Ognia!

Nina przygotowała się na uderzenia kul, lecz ułamek sekundy później coś poderwało ją w powietrze: w jednej chwili stała na ziemi, a w następnej grzmotnęła plecami o belki stropowe, patrząc z góry na dziwnie odległą podłogę gospody. Otaczali ją – tak samo przyszpileni do sufitu – ludzie, którzy przed chwilą zaatakowali ją i Matthiasa.

W drzwiach kuchennych stała młoda dziewczyna o włosach tak czarnych, że w słabym świetle przybierały granatowy odcień.

– Zoya? – stęknęła Nina, z trudem łapiąc oddech.

Zoya wyszła z kuchni i zatrzymała się w plamie światła, odziana w szafirowe jedwabie, z mankietami i rąbkiem sukni wyszywanymi w gęste, poskręcane srebrne wzory.

Szeroko otworzyła opatrzone długimi rzęsami oczy.

– Nina?

Zdekoncentrowała się na moment i podtrzymywani przez nią ludzie opadli w powietrzu o stopę, zanim znów podniosła rękę i rozpląszczyła ich na sklepieniu. Długo przyglądała się z niedowierzaniem Ninie.

– Ty żyjesz – powiedziała w końcu i przeniosła spojrzenie na Matthiasa, który miotał się w jej uścisku niczym największy i najbardziej rozjuszony motyl, jakiego kiedykolwiek udało się nabić na szpilkę. – I masz nowego przyjaciela.

waramyr



14

WYLAN

Wylan od pół roku nie płynął tak dużym promem, od dnia, gdy miał opuścić miasto, i trudno było mu się teraz otrząsnąć ze wspomnień tamtego koszmarnego rejsu, zwłaszcza dzisiaj, kiedy miał świeżo w pamięci obraz ojca. Ten prom jednak znacząco różnił się od tego, którym płynął wtedy. Dwa razy dziennie kursował na trasie spod miasta na targowisko i z powrotem. Do Ketterdamu płynął wyładowany warzywami, żywym inwentarzem i innymi produktami dostarczonymi na targ przez farmerów z rozsianych pod miastem gospodarstw. W dzieciństwie Wylan myślał, że wszystkie dobra pochodzą z Ketterdamu, szybko się jednak nauczył, że chociaż prawie wszystko można w mieście kupić, to bardzo niewiele z tych rzeczy jest tu wytwarzanych. Towary egzotyczne – owoce mango, pitaje czy małe, aromatyczne ananasy – dostarczano z Południowych Kolonii; inne, zwyczajniejsze jedzenie pochodziło z okolicznych farm.

Złapali z Jesperem prom płynący za miasto, wypełniony tłumem imigrantów przybyłych wprost z portu i robotników szukających zajęcia na farmach zamiast w ketterdamskich fabrykach. Niestety wsiedli na pokład dość późno, daleko na południe od pierwszego przystanku, i wszystkie miejsca siedzące były już zajęte. Jesper był niepokieszony.

– Nie moglibyśmy popłynąć promem do Belendt? – marudził zaledwie kilka godzin wcześniej. – Przepływa koło Olendaalu. A promy na linii targowej są brudne i nigdy nie ma gdzie usiąść.

– Na trasie do Belendt rzucalibyście się w oczy. Tutaj, w mieście, nikt nie zwróci na was uwagi, przynajmniej dopóki Jesper nie włoży któregoś ze swoich wdzianek w jaskrawą kratę. A spróbuj podać mi choć jeden dobry powód, dla którego Nowoziemiec i chłopak z Shu Hanu mieliby się włóczyć po wsiach w okolicy Ketterdamu.

Wylan nie pomyślał o tym, jak bardzo ze swoją nową twarzą będzie się rzucał w oczy poza miastem, ale w duchu cieszył się, że Kaz nie chce ich wsadzić na prom do Belendt. Może i byłoby im wygodniej, ale natłok wspomnień mógłby okazać się szczególnie trudny do zniesienia w dniu, w którym miał wreszcie zobaczyć miejsce ostatniego spoczynku

matki.

– Jesper? – zwrócił się Kaz do snajpera. – Schowaj dobrze broń i miej oczy szeroko otwarte. Ludzie Van Ecka na pewno obserwują wszystkie węzły komunikacyjne, a mamy za mało czasu, żeby załatwić Wylanowi fałszywe papiery. Ja zdobędę środek korozyjny ze stoczni na Imperjum. Wy musicie przede wszystkim znaleźć kamieniołom i surowiec do wyprodukowania kwasu chlorozłotowego. Do Świętej Hildy możecie iść wyłącznie wtedy, kiedy zostanie wam trochę wolnego czasu.

Wylan uniósł podbródek. Buzujący w nim po cichu upór znów dawał znać o sobie.

– Ja muszę tam pójść. Nigdy nie byłem na grobie matki. Nie wyjadę z Kerchu, dopóki się z nią nie pożegnam.

– Zaufaj mi, jej naprawdę mniej na tym zależy niż tobie.

– Jak możesz tak mówić? Pamiętasz w ogóle swoich rodziców?

– Moją matką jest Ketterdam, urodziłem się w tutejszym porcie. A moim ojcem jest zarobek; codziennie oddaję mu cześć. Jeśli nie wrócicie przed wieczorem, możecie nie wracać w ogóle. To dotyczy was obu. Potrzebuję ekipy z prawdziwego zdarzenia, a nie jakichś sentymentalnych leszczy. – Kaz wręczył Wylanowi pieniądze na podróż. – Ty masz kupić bilety; nie chcę, żeby Jesper gdzieś się zawieruszył i poszedł grać w Koło Makkera.

– Stara śpiewka – mruknął Jesper. – Stara i nudna.

– To się naucz nowego refrenu.

Jesper tylko pokręcił głową, ale Wylan widział, że kąśliwe uwagi Kaza wciąż sprawiają mu przykrość.

Patrzył teraz na niego, jak oparty plecami o reling, z przymkniętymi oczami podstawia profil pod słabiutkie promienie wiosennego słońca.

– Nie uważasz, że powinniśmy być ostrożniejsi? – spytał Wylan, kryjąc twarz za postawionym kołnierzem płaszcza.

Przy wejściu na pokład ledwo, ledwo uniknęli spotkania z dwoma funkcjonariuszami *stadwachty*.

– Jesteśmy już poza granicami miasta, wyluzuj.

Wylan obejrzał się przez ramię.

– Myślałem, że będą chcieli przeszukać prom.

Jesper otworzył jedno oko.

– I co, zastopować ruch na kanale? Van Eck już i tak narobił dość zamieszania w porcie; gdyby zaczął zatrzymywać promy, wybuchłyby zamieszki.

– Dlaczego?

– Rozejrzyj się. Farmy potrzebują ludzi do pracy. Fabryki potrzebują robotników. Są granice niedogodności, na jakie zgodzi się Kerch dla dobra syna bogatego kupca, zwłaszcza gdyby te niedogodności miały prowadzić do utraty zarobków.

Wylan spróbował się odprężyć i rozpiął otrzymany od Kaza płaszcz z grubego samodziału.

– Skąd on bierze te wszystkie ubrania i mundury? – zapytał. – Ma gdzieś ukrytą

wielgachną szafę czy co?

– Chodź no tutaj.

Wylan ostrożnie, bokiem, przysunął się do Jespera, który złapał za kołnierz jego płaszcza i wywinął go na lewą stronę. Wykręciwszy szyję, Wylan dostrzegł przypiętą od wewnątrz niebieską wstążkę.

– W ten sposób aktorzy oznaczają swoje kostiumy – wyjaśnił Jesper. – Ten był własnością... niech spojrzę... Josepa Kikkerta. Niezły jest, widziałem go w *Ożenku Szaleńca*.

– Kostiumy teatralne?

Jesper postawił kołnierz, jak należy, musnąwszy przy tej okazji kark Wylana.

– Tak jest. Dawno temu Kaz wyrąbał sobie tajne wejście do garderoby opery Stadlied; stamtąd bierze teraz większość potrzebnych rekwizytów i tam też ukrywa te, które chwilowo są zbędne. Chodzi o to, żeby podczas nalotu *stadwachty* nie dać się przyłapać fałszywym mundurem albo liberią któregoś z domów kupieckich w garści.

To brzmiało sensownie. Wylan wbił wzrok w skrzącą się w słońcu wodę.

– Dzięki, że zgodziłeś się pójść ze mną – odezwał się po chwili.

– Kaz nie puściłby cię samego. Poza tym mam u ciebie dług: poszedłeś ze mną, kiedy miałem się spotkać z tatą na uniwersytecie, i zagadałeś go, kiedy zrobił się za dużo dociekliwy.

– Nie lubię kłamać.

Jesper się odwrócił, oparł łokcie na poręczy i zapatrzył się na opadające w stronę kanału trawiaste zbocza.

– To dlaczego to zrobiłeś?

Wylan nie bardzo wiedział, skąd przyszła mu do głowy nedorzeczna opowiadka o wciągnięciu Jespera w niekorzystną inwestycję. Prawdę mówiąc, kiedy otwierał usta, nie wiedział jeszcze, co dokładnie powie, po prostu nie mógł znieść widoku Jespera, zawsze pewnego siebie i uśmiechniętego, a teraz nagle beznadziejnie zagubionego – tak jak nie mógł znieść mieszaniny nadziei i lęku widocznej w spojrzeniu Colma Faheya, który czekał na odpowiedź syna; za bardzo przypominał mu własnego ojca z czasów, kiedy ten jeszcze wierzył, że Wylana da się wyleczyć albo jakoś nareperować. Nie chciał, żeby zatroskanie w oczach Colma przerodziło się w irytację i gniew.

Wzruszył ramionami.

– Dla wprawy. Przyzwyczajam się do ratowania ci skóry.

Jesper zarechotał tak głośno, że zdenerwowany Wylan obejrzał się przez ramię pełen obaw, że zaraz ściągną na siebie czyjąś uwagę. Jednakże wesołość Jespera nie trwała długo. Wiercił się przy relingu, drapał po karku, skubał rondo kapelusza – stale był w ruchu, jak chuderlawy element mechanizmu zegara napędzanego niewidzialną energią.

Tyle że zegary były proste w obsłudze, a o zasadach funkcjonowania Jespera Wylan nie miał zielonego pojęcia.

– Powinienem być się z nim dzisiaj zobaczyć – wypalił w końcu Jesper.

Wylan domyślił się, że ma na myśli ojca.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?
- Nie wiem, co mu powiedzieć.
- Może prawdę? Czy to nie wchodzi w grę?
- Powiedzmy, że akurat prawdy wolałbym uniknąć.

Wylan znów zagapił się na wodę. Nauczył się myśleć o Jesperze jako nieustraszonym rewolwerowcu, ale najwidoczniej odwaga i nieodczuwanie strachu to nie było to samo.

- Nie możesz przed nią wiecznie uciekać.
- Przekonamy się.

Minęli kolejną farmę – ledwie widoczny biały zarys budynku w porannej mgle i poszatkowane konstelacje lilii i tulipanów porastających rozciągające się przed nim pola. Może faktycznie Jesper zdoła uciekać w nieskończoność; dopóki Kaz będzie wymyślał coraz to nowe cudowne przekręty, Jesper będzie zawsze o ten jeden krok do przodu.

- Żałuję, że nie wziąłem dla niej kwiatów – powiedział Wylan. – Albo czegoś innego.
- Znajdziemy coś po drodze – zapewnił go Jesper, kurczowo czepiając się tej okazji do zmiany tematu. – Dobrze ją pamiętasz?

Wylan pokręcił głową.

- Pamiętam jej włosy, kręcone i takie przepięknie rudozłote.
- Jak twoje – zauważył Jesper. – Przedtem.

Wylan poczuł, że rumieni się bez powodu. Przecież Jesper tylko stwierdził fakt. Odkasznął.

– Lubiła sztukę i muzykę. Wydaje mi się, że pamiętam, jak siedziałem z nią przy fortepianie... Chociaż to mogła być niania. – Zgarbił się. – Pewnego dnia zachorowała na zapalenie płuc i wyjechała na wieś dla podreperowania zdrowia. Już nie wróciła.

– A co z pogrzebem?

– Ojciec powiedział mi, że pochowali ją przy szpitalu, i tyle. Po prostu przestaliśmy o niej rozmawiać. Mówił, że nie opłaca się rozpamiętywać przeszłości. Sam nie wiem... Wydaje mi się, że naprawdę ją kochał. Stale się kłócili, czasem z mojego powodu, ale pamiętam też, że często się razem śmiali.

– Trudno mi sobie wyobrazić, jak twój ojciec się śmieje czy choćby uśmiecha. Chyba żeby zacierał z zadowoleniem ręce i rechotał nad górą złota.

– Nie jest z natury zły.

– Próbował cię zabić.

– Wcale nie, on tylko zniszczył nasz statek. Zabicie mnie byłoby po prostu ekstra premią.

To nie była do końca prawda, naturalnie. Jesper nie był jedynym, którego ścigają demony przeszłości.

– W takim razie masz całkowitą rację, nie zrobił nic złego. Jestem przekonany, że miał też dobre powody, żeby nie pozwolić ci oplakiwać matki.

Wylan skubnął nitkę wysnuwającą się z rękawa płaszcza.

– To nie była wyłącznie jego wina. Często chodził smutny. I taki... odległy. Mniej więcej w tym samym czasie zdał sobie sprawę, że nie jestem... taki, jak by chciał.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Czy ja wiem, z osiem...? Nauczyłem się kryć z tym, jaki jestem.

– W jaki sposób?

Wąły uśmiech musnął wargi Wylana.

– Kiedy ktoś mi coś czytał, on sam albo któraś z nianiek, uczyłem się wszystkiego na pamięć, włącznie z przerwami na odwracanie kartek.

– Ile byłeś w stanie spamiętać?

– Dużo. W głowie dopasowywałem słowa do muzyki, jakbym pisał piosenkę. Dalej czasem tak robię: mówię, że nie potrafię odczytać czyjegoś charakteru pisma, proszę, żeby ktoś mi przeczytał tekst, i łączę go z melodią. Potem trzymam go w pamięci tak długo, aż będzie mi potrzebny.

– Nie dałoby się tego jakoś przełożyć na liczenie kart?

– Być może. Ale nie mam takiego zamiaru.

– Marnujesz talent.

– I kto to mówi...

Jesper spochmurniał.

– Piękne widoki – powiedział.

Na razie nie było czego podziwiać. Wylan nagle zdał sobie sprawę, że jest wykończony. Nie przywykł do życia w wiecznym strachu, na huśtawce od jednego zagrożenia do drugiego. Miał ochotę opowiedzieć Jesperowi, jak to wszystko się zaczęło. Czy odczuje ulgę, gdy zwierzy się komuś z tej zenującej tajemnicy? Być może. Jednakże jakaś jego część chciała, żeby Jesper i pozostali nadal wierzyli, że porzucił dom ojca, by urządzić się w Baryłce; że z własnej woli wybrał taki los.

W miarę jak dorastał, Jan Van Eck – zwłaszcza po tym, jak wziął sobie Alys za żonę – coraz wyraźniej dawał mu do zrozumienia, że w jego domu nie ma miejsca dla takiego syna, ale zarazem nie bardzo wiedział, co należałoby z nim zrobić. Zaczął od wygłaszania coraz przykrzejszych stwierdzeń: – Nie można cię posłać do seminarium, bo nie umiesz czytać.

Albo:

– Nie mogę oddać cię nigdzie do terminu, bo mogłoby wyjść na jaw, że jesteś upośledzony.

I dalej:

– Jesteś jak jedzenie, które przedwcześnie się psuje. Nie można cię nawet odłożyć gdzieś na półkę, żeby sobie nie narobić smrodu.

W końcu – sześć miesięcy temu – wezwał go do swojego gabinetu.

– Opłaciłem ci naukę w szkole muzycznej w Belendt. Zatrudniłem również osobistego sekretarza, który będzie na ciebie czekał i zajmie się wszelką korespondencją oraz innymi sprawami, które cię przerastają. Z mojej strony będzie to wprost niedorzeczna strata czasu i pieniędzy, ale muszę się pogodzić z tym, co w twoim wypadku jest możliwe, a co nie jest.

– Na jak długo? – spytał Wylan.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Tak długo, jak będzie trzeba, żeby ludzie zapomnieli, że mam syna. Wylanie, nie rób takiej zbolącej miny; jestem po prostu uczciwy, nie okrutny. Tak będzie lepiej dla nas obu. Tobie oszczędzę niewykonalnego zadania, jakim byłoby wejście w rolę syna kupca, a sobie wstydu, jaki bym odczuwał, obserwując cię przy tych próbach.

„Wcale nie traktuję cię okrutniej, niż potraktuje cię świat”. Tak brzmiało motto ojca. Któż inny byłby z nim tak szczery? Kto go tak kochał, żeby wygarnąć mu prawdę prosto w twarz? Wylan miał szczęśliwe wspomnienia z czasów, gdy ojciec czytywał mu bajki na dobranoc, mroczne opowieści o lasach pełnych wiedźm i rzekach mówiących ludzkim głosem. Jan Van Eck opiekował się synem, jak umiał najlepiej – a jeśli mimo to mu się nie udało, wina leżała po stronie Wylana. Może i jego słowa brzmiały nieco okrutnie, lecz w ten sposób nie chronił wcale siebie ani nawet imperium handlowego Van Ecków; chronił przede wszystkim samego Wylana.

Wszystko, co mówił, miało głęboki sens. Nie mógł powierzyć Wylanowi swojej fortuny, bo ten za łatwo dałby się oszukać. Wylan nie mógł iść na studia, bo stałby się pośmiewiskiem na uniwersytecie. „Tak będzie lepiej dla nas obu”. Gniew ojca mógł być nieprzyjemny, ale to logika jego rozumowania prześladowała Wylana po dziś dzień, ten pragmatyczny, nieodparty głos rozsądku, który rozlegał się w jego głowie za każdym razem, gdy usiłował zrobić coś nowego albo znów próbował nauczyć się czytać.

Odesłanie z domu było bolesne, lecz Wylan nie stracił jeszcze nadziei. Życie w Belendt zapowiadało się magicznie. Niewiele wiedział o Belendt, poza tym, że rozpostarte nad brzegiem Droombeld miasto jest niemal równie stare jak Ketterdam – wiedział jednak, że znajdzie się z dala od ojca i jego wspólników w interesach. Jego rodzinne nazwisko było w Kerchu dość popularne, więc poza Ketterdamem będzie po prostu jednym z wielu Van Ecków, a nie tym Van Eckiem.

Ojciec dał mu zapieczętowaną kopertę i nieduży plik *kruge* na wydatki związane z podróżą.

– Tu masz dokumenty do szkoły i pieniądze, które wystarczą ci do Belendt. Na miejscu każ sekretarzowi spotkać się ze szkolnym kwestorem. Otworzyłem konto na twoje nazwisko. Załatwiłem ci też opiekunów na promie.

Wylan poczerwieniał z upokorzenia.

– Trafię sam do Belendt.

– Nigdy nie wyjeżdżałeś sam z Ketterdamu, a to nie jest najlepszy moment na pierwszy samodzielny wypad. Miggsen i Prior mają coś dla mnie załatwić w Belendt; przy okazji odwiozą cię i dopilnują, żebyś się rozgościł. Rozumiesz?

Rozumiał. Nie można mu było zaufać nawet na tyle, żeby samego wyprawić go poza miasto. Ale w Belendt wszystko się zmieni.

Do niewielkiej torby spakował zapasowy komplet ubrań i trochę drobiazgów osobistych, które miały mu być potrzebne, zanim kufry z jego rzeczami dotrą do internatu, w tym także ulubione nuty. Gdyby czytał litery równie sprawnie jak nuty, nie miałby żadnych problemów w życiu. Odkąd ojciec przestał mu czytać książki, muzyka stała się dla niego

źródłem nowych opowieści, historii, które wypływały mu spod palców i które sam wpisywał w każdą zagraną nutę. Spakował również flet, na wypadek gdyby w czasie podróży zachciało mu się poćwiczyć.

Pożegnanie z Alys było krótkie i niezręczne. Była miłą dziewczyną, ale na tym właśnie polegał problem: dzieliło ich zaledwie kilka lat różnicy. Prawdę mówiąc, Wylan nie wiedział, jak ojciec może się z nią pokazywać na ulicy i nie odczuwać zażenowania. Sama Alys nie miała jednak nic przeciwko temu – może dlatego, że przy niej ojciec znów stawał się takim człowiekiem, jakiego Wylan zapamiętał z dzieciństwa: uprzejmym, łaskawym, cierpliwym.

Nawet teraz nie umiałby precyzyjnie wskazać momentu, w którym ojciec ostatecznie go odrzucił. Zmiana postępowała stopniowo, cierpliwość Jana Van Ecka ścierała się pomału jak pozłota na pospolitym metalu, a kiedy zniknęła całkowicie, było tak, jakby ojciec stał się zupełnie innym człowiekiem, pozbawionym dawnego blasku.

– Chciałem się pożegnać i życzyć ci wszystkiego najlepszego – powiedział Wylan do Alys.

Siedziała w swoim buduarze, terierek drzemał obok niej na podłodze. Podniosła wzrok znad robótki i zauważyła bagaż Wylana.

– Wyjeżdżasz?

Obszywała zasłony. Kercheńskie kobiety, nawet te zamożne, nie zajmowały się tak niepoważnymi rozrywkami jak haft czy szydełkowanie. Ghezenowi najlepiej służyło się poprzez zajęcia przysparzające korzyści domowi.

– Tak. Do szkoły muzycznej w Belendt.

– Ach, to cudownie! Jak ja tęsknię za wsią... Pooddychasz świeżym powietrzem, poznasz nowych przyjaciół... – Odłożyła robótkę i ucałowała Wylana w oba policzki. – Wrócisz na wakacje, prawda?

– Być może – przytaknął Wylan, chociaż wiedział, że to nieprawda. Ojciec chciał, żeby zniknął, więc zniknie.

– Upieczemy piernik – powiedziała Alys. – Opowiesz mi o wszystkich swoich przygodach, a niedługo potem będziemy mieli nowego przyjaciela do wspólnych zabaw. – I uszczęśliwiona poklepała się po brzuchu.

Wylan dłuższą chwilę analizował jej słowa, a kiedy wreszcie ich sens do niego dotarł, mógł tylko stać bezradnie, kiwać głową, ścisnąć torbę w ramionach i uśmiechać się machinalnie, gdy Alys snuła ich wspólne plany wakacyjne.

Była w ciąży. To dlatego ojciec postanowił go odesłać. Jan Van Eck spodziewał się potomka, prawowitego dziedzica. Wylan stał się zbędny. Zniknie z miasta, znajdzie jakieś zajęcie gdzie indziej, a z upływem czasu ludzie przestaną się dziwić, że to dziecko Alys jest szykowane do przejęcia imperium handlowego Van Ecka. „Tak długo, jak będzie trzeba, żeby ludzie zapomnieli, że mam syna”. To nie była tylko próżna obelga.

O ósmej wieczorem przyszli Miggs i Prior, żeby odprowadzić go na prom. Nikt nie wyszedł się z nim pożegnać. Kiedy przechodził obok gabinetu ojca, drzwi pozostały zamknięte, on zaś nie zamierzał pukać i dopominać się o ochłap uwagi, jak piesek Alys o

smakołyki.

Po drodze do portu ludzie ojca, ubrani w tak lubiane przez kupców ciemne garnitury, rzadko się odzywali. Kupili bilety do Belendt, po czym, znalazłszy się na promie, Migggson schował głowę w gazecie, a Prior rozsiadł się wygodnie, zsunął kapelusz na czoło i zastygł nieruchomo z półprzymkniętymi powiekami; Wylan nie był pewien, czy śpi, czy obserwuje go jak jakaś rozleniwiona jaszczurka.

O tej godzinie na promie było niewielu pasażerów. Ludzie drzemali w dusznej kabynie albo jedli przyszykowany na drogę prowiant, balansując postawionymi na kolanach termosami z kawą i kanapkami z szynką.

Nie mogąc zasnąć, Wylan wyszedł z kabiny i udał się na dziób łodzi. Rześkie zimowe powietrze niesło odór rzeźni na obrzeżach miasta. Żołądek podszedł mu gardła, ale wkrótce minęli nieprzyjemną okolicę i dookoła roztoczyły się sielskie widoki. Żałował, że nie płyną za dnia; chętnie zobaczyłby stróżujące nad polami wiatraki, owce pasące się na pastwiskach... Westchnął, zadrżał z zimna i skrócił pasek od torby. Powinien się zdrzemnąć; może uda mu się wstać z samego rana i zobaczyć wschód słońca.

Kiedy się odwrócił, Prior i Migggson stali tuż za nim.

– Przepraszam – powiedział Wylan. – Nie...

Prior złapał go za gardło i zacisnął dłonie.

Wylan jęknął – a właściwie tylko próbował jęknąć, bo z jego gardła dobyło się ledwie słyszalne chrypienie. Drapał i szarpał nadgarstki dłoni Priora, ale uścisk tamtego był jak uchwyt żelaznego imadła. Prior był od niego wyższy i przyparty do relingu Wylan uniósł się nad pokład.

Twarz mężczyzny pozostała niewzruszona, niemal znudzona, i właśnie wtedy Wylan zrozumiał, że nie dotrze do szkoły w Belendt. Od początku wcale nie miał do niej dotrzeć. Nie było żadnego sekretarza. Nikt na niego nie czekał. Dokumenty, które miał w kieszeni, rzekomo potwierdzające jego przyjęcie do szkoły, mogły stwierdzać cokolwiek; przecież nawet nie próbował ich przeczytać. Miał zniknąć bez śladu, tak jak od dawna chciał tego ojciec, który wynajął tych ludzi, żeby wykonali brudną robotę. Ojciec, który czytał mu przed snem, a kiedy Wylan miał gorączkę płucną, przynosił mu słodką herbatkę ślazową z miodem.

„Tak długo, jak będzie trzeba, żeby ludzie zapomnieli, że mam syna”.

Ojciec zamierzał wymazać go z ksiąg jak chybiony rachunek, jak wydatek do wykreślenia. Grunt, żeby ostateczna suma się zgadzała.

Czarne plamy zaczęły mu latać przed oczami. Wydało mu się, że słyszy muzykę.

– Ej, wy tam! Co się dzieje?

Głos dobiegał jakby z ogromnego oddalenia. Uścisk dłoni Priora zelżał, choć ledwo zauważalnie. Czubki palców Wylana dotknęły pokładu.

– Nic. – Migggson odwrócił się do intruza. – Przyłapaliśmy go na grzebaniu w cudzym bagażu.

Wylan wydał z siebie zdławiony odgłos.

– Czy... Może sprowadzić *stadwachtę*? W kabynie jest dwóch funkcjonariuszy.

– Kapitan już wie – odparł Miggson. – A tego obwiesia wysadzimy na ląd przy następnym posterunku.

– W takim razie cieszę się, że zachowaliście panowie czujność – odparł nieznajomy i się odwrócił.

W tym samym momencie promem lekko szarpnęło. Wylan nie zamierzał czekać na dalszy rozwój wypadków: z całej siły odepchnął Priora, po czym błyskawicznie, nim zabrakło mu odwagi, przeskoczył przez reling i przepadł w mętnej wodzie.

Kręciło mu się jeszcze trochę w głowie, gardło miał obolałe, ale płynął najszybciej, jak umiał, kiedy ze zgrozą usłyszał głośny plusk za plecami: to jeden z ludzi ojca skoczył za nim do wody. Gdyby Wylan pojawił się gdzieś w mieście cały i zdrowy, Miggson i Prior musieliby się pewnie pożegnać z zapłatą.

Zmienił styl, starając się płynąć jak najciszej, i zmusił się do intensywnego myślenia. Zamiast skierować się wprost do brzegu kanału, jak podpowiadało mu przemarznięte ciało, zanurkował pod przepływającą obok barką targową, wynurzył się po jej drugiej stronie i zaczął płynąć obok niej, chroniąc się w jej cieniu. Torba ciążyła mu okrutnie, ale nie potrafił się zmusić do jej odrzucenia. Tam są moje rzeczy, pomyślał niedorzecznie. Mój flet.

Płynął uparcie, nawet kiedy zaczęło mu brakować tchu i powoli tracił czucie w rękach i nogach. Zmuszał się do maksymalnego wysiłku, żeby jak najbardziej oddalić się od wynajętych przez ojca zbirów. W końcu jednak siły go opuściły i w którymś momencie zdał sobie sprawę, że raczej miota się w wodzie, niż posuwa do przodu, i jeśli szybko nie wyjdzie na ląd, to utonie. Pieskiem przepłynął w cień mostu, wygramolił się na brzeg i skulił przemoczony do suchej nitki i trzęsący się z zimna. Gardło bolało go przy przelicykaniu. Każdy chłopot wody wydawał mu się zapowiedzią przybycia Priora gotowego dokończyć robotę.

Wiedział, że powinien ułożyć jakiś plan, ale na razie trudność sprawiało mu uformowanie choćby jednej spójnej myśli. Przeszukał kieszenie spodni. Nadal miał przy sobie *kruge*, które ojciec dał mu na podróż; banknoty wprawdzie przemokły, ale wciąż były zdatne do użytku. Dokąd jednak miał się udać? Miał za mało pieniędzy, żeby wydostać się z miasta, a zresztą ludzie ojca z łatwością by go wytropili. Musiał znaleźć jakieś bezpieczne schronienie, w którym ojcu nie przyjdzie do głowy go szukać.

Ręce i nogi miał jak z ołowiu, zmęczenie upominało się o swoje prawa i zaczynało brać górę nad przemarznięciem. Bał się, że jeśli pozwoli sobie zamknąć oczy, nigdy już ich nie otworzy. W końcu ruszył przed siebie, na północ, oddalając się od rzeźni. Przemierzył spokojną dzielnicę zamieszkaną przez drobniejszych kupców, ulice stawały się stopniowo coraz węższe i coraz bardziej kręte, aż w końcu znalazł się w okolicy, w której domy niemal zewsząd zaczęły na niego napierać. Mimo późniejsz pory we wszystkich oknach i witrynach sklepowych paliły się światła, z nędznych knajpek sączyła się muzyka, a w ciemnych zaułkach migały mu obściskujące się pary.

– Cóż to, chłopcze, ktoś cię wykapał?! – zawołał siedzący na werandzie szczerbaty mężczyzna.

– Dajcie go tu, już ja mu zrobię kąpiel – wychrypiała stojąca na schodach kobieta.

Był w Baryłce. Przeżył całe życie w Ketterdamie, ale nigdy przedtem się tu nie zapuszczał. Nigdy mu na to nie pozwalano. I nigdy tego nie chciał. Ojciec nazywał Baryłkę „gniazdem rozpusty i bluźnierstwa”, a także „wstydem dla miasta”. Wylan wiedział, że to prawdziwy labirynt ciemnych zaułków i ukrytych przejść, gdzie ludzkie masy przewalają się jak przyływy i odpływy morza, miejscowi przebierają się w kostiumy i dopuszczają najróżniejszych niegodziwości, a na głównych ulicach cudzoziemcy szukają plugawych rozrywek. Idealne miejsce, żeby zniknąć bez śladu.

I tak właśnie było, dopóki nie przyszedł pierwszy list od ojca.



Wylan otrząsnął się z zamyślenia. Jesper szarpał go za rękaw.

– Wysiadamy, kupczyku. Ruszaj się.

Wylan pośpieszył za nim po trapie. Zeszli na ląd na pustej przystani w Olendaalu i po skarpie wspięli się na senną wiejską drogę. Jesper rozejrzał się dookoła.

– To miejsce przypomina mi rodzinne strony: świeże powietrze, pola po horyzont, cisza, słysząc tylko bzyczenie pszczoł... – Wzdrygnął się. – Obrzydliwość.

Idąc, razem zbierali przydrożne dzikie kwiaty i kiedy dotarli do głównej drogi w miasteczku, Wylan niósł już całkiem przyzwoity bukiet.

– Powinniśmy chyba poszukać kamieniołomu? – zasugerował Jesper.

Wylan odkaslnął.

– Właściwie to nie. Wystarczy nam zwykły sklep.

– Przecież powiedziałeś Kazowi, że ten minerał...

– Wchodzi w skład najróżniejszych farb i emalii. Ja tylko chciałem mieć pretekst, żeby popłynąć do Olendaalu.

– Wylanie Van Eck, wykiwałeś Kaza Brekkera. – Jesper przycisnął dłoń do piersi. – I uszło ci to płazem! Udzielasz może lekcji?

Wylan odczuwał wręcz nedorzeczną satysfakcję – przynajmniej do momentu, kiedy pomyślał o tym, co będzie, gdy Kaz odkryje prawdę, bo w tej chwili poczuł się tak jak wtedy, gdy pierwszy raz w życiu spróbował brandy i wyrzygał sobie całą kolację na buty.

W połowie długości głównej ulicy znaleźli odpowiedni sklep, w którym kupili wszystko, co niezbędne. Przy wyjściu zagadnął ich człowiek zajęty załadunkiem stojącego obok wozu: – Szukacie zajęcia, chłopcy? Nie wyglądacie mi na takich, którzy daliby radę przepracować cały dzień w polu.

– Zdziwiłby się pan – odparł Jesper. – Zatrudniliśmy się do roboty przy Świętej Hildzie.

Wylan nerwowo przestąpił z nogi na nogę, ale mężczyzna tylko skinął głową.

– Przy remoncie szpitala?

– Właśnie – przytaknął swobodnie Jesper.

– Twój kumpel jakiś taki małowówny jest...

– Jest z Shu Hanu – odparł Jesper i wzruszył ramionami.

Jego rozmówca chrząknął.

– Wskakujcie – powiedział. – Jadę do kamieniołomu, podrzucę was pod bramę. Po co wam te kwiatki?

– Dla jego ukochanej. Mieszka niedaleko Świętej Hildy.

– To ci dopiero ukochana...

– Mnie to pan mówi? Chłopak ma fatalny gust, jeśli chodzi o kobiety.

Wylan zaczął się zastanawiać, czy nie zepchnąć Jespera z wozu.

Po obu stronach bitej drogi rozciągały się pola obsiane najprawdopodobniej jęczmieniem i pszenicą; ponad rozległą równinę z rzadka wyrastały stodoły i wiatraki. Woźnica utrzymywał całkiem dziarskie tempo.

Może nawet nieco zbyt dziarskie, pomyślał Wylan, gdy podskoczyli na głębokich koleinach, i syknął przez zęby.

– To po deszczach – wyjaśnił gospodarz. – Nie było jeszcze czasu, żeby wyrównać.

– Nic nie szkodzi – uspokoił go Jesper, krzywiąc się niemiłosiernie, gdy koła natrafiły na kolejną bruzdę, od której zagrzechotały mu wszystkie kości. – Po co komu cała śledziona, jak można mieć dwie połówki?

Farmer parsknął śmiechem.

– To dobre dla zdrowia! Ożywia wątrobę!

Wylan trzymał się za bok. Żałował, że wcześniej nie zepchnął Jespera z wozu i nie wyskoczył zaraz za nim. Na szczęście zaledwie milę dalej wóz zwolnił przy dwóch kamiennych słupach wyznaczających początek odchodzącej w bok długiej żwirowej drogi.

– Dalej nie jadę – wyjaśnił farmer. – Wolę się nie zbliżać do tego miejsca, zbyt wiele tam cierpienia. Czasem, jak wiatr mocniej powieje, słychać ich krzyki i śmiechy.

Jesper z Wylanem spojrzeli po sobie.

– Chce pan powiedzieć, że to miejsce jest... nawiedzone?

– Tak przypuszczam.

Podziękowali farmerowi i z ulgą ześliznęli się na ziemię.

– Kiedy skończycie tutaj, pójdźcie drogą dwie mile w tę stronę. Mam jeszcze dwa akry ziemi, których nie ma komu obrobić. Pięć *kruge* dziennie plus nocleg w stodole zamiast pod gołym niebem.

– Brzmi obiecująco. – Jesper pomachał mu na pożegnanie. – Wracamy piechotą – zapowiedział półgłosem, kiedy skręcili z Wylanem na drogę prowadzącą do kościoła. – Mam posiniaczone zębra.

Straciwszy z oczu woźnicę, zrzucili płaszcze i kapelusze, odsłaniając noszone pod spodem ciemne garnitury, które włożyli za radą Kaza. Wierzchnie okrycia schowali za przydrożnym pniakiem.

– Powiedzcie, że przysyła was Cornelis Smeet – polecił im Kaz. – Kazał wam sprawdzić w imieniu pana Van Ecka, czy grób jest otoczony należyłą opieką.

– Ale dlaczego? – zdziwił się Wylan.

– Dlatego że jeśli powiesz, że jesteś synem Van Ecka, nikt ci nie uwierzy.

Wysadzana topolami droga zaprowadziła ich na szczyt wzgórza, skąd zobaczyli gmach zbudowany z białego kamienia, dwupiętrowy, z niskimi, wdzięcznymi schodami prowadzącymi do łukowato sklepionego głównego wejścia. Podjazd był wysypany równo zagrabionym żwirem i z obu stron obsadzony cisowym żywopłotem.

– Nie przypomina kościoła – zauważył Jesper.

– Może to dawny klasztor? – zasugerował Wylan, wsłuchując się w chrzęst żwiru pod stopami. – Albo szkoła? Posłuchaj, Jesper... Dobrze pamiętasz swoją matkę?

Widział już wcześniej różne uśmiechy Jespera, ale ten, który teraz pojawił się na jego twarzy, był zupełnie nowy: nieśpieszny i ostrożny, jakby Jesper trzymał w ręce wygrywającą kartę.

– O tak... – przytaknął. – Nauczyła mnie strzelać.

Sto pytań cisnęło się Wylanowi na usta, im bardziej jednak zbliżali się do kościoła, tym trudniej było mu dłużej skupić się na jakiejś konkretnej myśli. Na lewo od budynku dostrzegł porośniętą glicynią altanę; wiosenne powietrze było ciężkie od słodkiej woni fioletowych kwiatów. Nieco z prawej, obok trawnika, kuty żelazny płot z furką okalał cmentarz, na którego środku stała wysoka kamienna postać – zapewne Święta Hilda, jak domyślał się Wylan.

– To musi być ten cmentarz – powiedział i mocniej ścisnął bukiet w dłoni.

Co ja tutaj robię?

Nie pierwszy raz zadawał sobie to pytanie, ale pierwszy raz nie znał na nie odpowiedzi. Kaz miał rację. To był głupi pomysł, głupi i sentymentalny. Co komu przyjdzie z oglądania nagrobka z nazwiskiem matki? Zwłaszcza jemu, który nawet nie odczyta wyrytych na nim napisów?

Ale skoro już przebyli taki szmat drogi...

– Jesper... – odezwał się.

W tej samej chwili zza rogu budynku wyszła kobieta w szarym roboczym ubraniu pchająca wypełnione ziemią taczki.

– *Goed morgen!* – zawołała do nich. – W czym mogę pomóc?

– Piękny mamy dzień – odparł bez zająknienia Jesper. – Przyszyła nas pan Cornelis Smeet.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– W imieniu szacownego radnego, pana Jana Van Ecka – dodał pośpiesznie Wylan.

Nie wychwyciła chyba drżenia w jego głosie, bo rozpogodziła się nagle i uśmiechnęła. Miała krągłe, zaróżowione policzki.

– Ależ naturalnie. Chociaż nie ukrywam, że jestem zaskoczona. Pan Van Eck jest dla nas bardzo hojny, ale rzadko się z nami kontaktuje. Chyba nie stało się nic złego?

– Nie, skądże! – wypalił Wylan. – Wszystko jest w porządku.

– To taka... nowa polityka – dodał Jesper. – Żeby wszystkim dodać roboty.

– To się zawsze tak kończy, prawda? – Kobieta znów się uśmiechnęła. – Widzę, że przynieśliście panowie kwiaty.

Wylan spojrzał na trzymany w ręce bukiet, który nagle wydał mu się mały i żałośnie

potargany.

– No... tak.

Kobieta wytarła ręce w bezkształtny fartuch i powiedziała:

– Zaprowadzę panów do niej.

Zamiast jednak skrócić w stronę cmentarza, ruszyła do wejścia do budynku. Jesper wzruszył ramionami i obaj z Wylanem poszli za nią.

Znaleźli się na schodach, kiedy Wylana nagle zmroziło.

– Jesper... – szepnął. – W oknach są kraty.

– Porywczy mnisi? – odmruknął Jesper. Nie uśmiechał się.

Podłogę zajmującego dwie kondygnacje salonu wyłożono białymi płytkami z delikatnym deseniem z niebieskich tulipanów. Wnętrze zupełnie nie przypominało żadnego z kościołów, jakie Wylan w życiu widział. Panująca w nim cisza była tak absolutna, że niemal dławiąca. W kącie stało duże biurko, a na nim wazon z bukietem glicynii, które widzieli na zewnątrz. Wylan zaciągnął się ich kojącym zapachem.

Kobieta otworzyła okazałych rozmiarów szafę, chwilę czegoś w niej szukała, w końcu wyjęła grubą teczkę.

– Proszę bardzo: Marya Hendriks. Jak panowie widzicie, niczego nie brakuje. Możecie panowie przejrzeć dokumenty; my ją przez ten czas doprowadzimy do porządku. Następnym razem proszę się zapowiedzieć wcześniej, unikniecie panowie zbędnej zwłoki.

Zlany zimnym potem Wylan z najwyższym trudem zmusił się do skinienia głową.

Kobieta wyjęła z szafy grube i ciężkie kółko z kluczami i otworzyła jedno z jasnoniebieskich drzwi w ścianach salonu; kiedy je za sobą zamykała, dało się słyszeć zgrzyt klucza w zamku z drugiej strony. Wylan położył bukiet na biurku. Kwiaty miały połamane łodyżki. Za mocno je ścisnął.

– Co to za miejsce? – zdziwił się. – I co miała na myśli, mówiąc, że „doprowadzą ją do porządku”?

Serce waliło mu jak oszalałe niczym metronom, który zgubił rytm.

Jesper kartkował dokumenty w teczce, prześlizgując się wzrokiem po stronicach. Zajrzawszy mu przez ramię, Wylan poczuł dławiący w gardle przyływ paniki. Słowa na papierze zlewały się w pozbawione znaczenia gryzmoły jak czarna płatanina owadzych odnóży. Nie mógł złapać tchu.

– Proszę cię, Jesper... – jęknął piskliwie. – Przeczytaj mi to.

– Przepraszam – odparł pośpiesznie Jesper. – Zapomniałem, że...

Wylan nie wiedział, jakie właściwie uczucia malują się na twarzy przyjaciela: smutek, konsternacja...

– Wylanie... Wygląda na to, że twoja matka żyje.

– To niemożliwe.

– Twój ojciec ją tutaj umieścił.

Wylan pokręcił głową. To było niemożliwe.

– Mama zachorowała. Infekcja płuc...

– Z dokumentów wynika, że według ojca cierpi na histerię, paranoję i manię

prześladowniczą.

– Ale to niemożliwe, żeby żyła. Ojciec... ożenił się powtórnie. Co z Alys?

– Wydaje mi się, że uzyskawszy orzeczenie o niepoczytalności twojej matki, wykorzystał je jako prawną podstawę rozwodu. To nie kościół, Wylan. To przytułek dla obłąkanych.

Święta Hilda. Ojciec co roku przysyłał im pieniądze.

To nie były datki charytatywne, uświadomił sobie Wylan, lecz opłata za jej utrzymanie. I za ich milczenie.

Pokój zawirował wokół niego.

Jesper posadził go na krześle przy biurku i szturchnął w plecy, zmuszając do pochylenia się.

– Głowa między kolana – poradził. – Patrz na podłogę. Oddychaj.

Wylan wbił wzrok w urocze niebieskie tulipany w białych skrzynkach kafelków i siłą woli narzucił sobie rytm: wdech, wydech, wdech, wydech...

– Powiedz mi wszystko – polecił.

– Najpierw się uspokój. Inaczej zorientują się, że coś jest nie w porządku.

– Powiedz mi wszystko – powtórzył z naciskiem Wylan.

Jesper westchnął i wrócił do przeglądania dokumentacji.

– Niech mnie kule biją... – mruknął chwilę później. – Jest tu kopia cesji praw i majątku.

– Co? – Wylan nadal siedział zgarbiony, ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Co to takiego?

Jesper przeczytał na głos:

– „Niniejszy dokument, sporządzony przed obliczem Ghezena w zgodzie z praktykami uczciwych ludzi i uprawomocniony postanowieniami kercheńskich sądów i Rady Kupieckiej, przenosi wszelką własność materialną i tytuły prawne Maryi Hendriks na Jana Van Ecka, który będzie nimi zarządzał w jej imieniu do czasu, aż Marya Hendriks odzyska pełnię władz umysłowych i zdolność prowadzenia swoich spraw”.

– Przenosi wszelką własność... – powtórzył Wylan.

Co ja tutaj robię? Co ja tutaj robię? Co ona tutaj robi?

Klucz znów zgrzytnął w zamku, drzwi się otworzyły i kobieta – pielęgniarzka, uświadomił sobie Wylan – wróciła do nich, przyglądając fałdy fartucha.

– Jesteśmy gotowi na przyjęcie panów. Dzisiaj jest wyjątkowo spokojna... Czy coś się stało?

– Mój przyjaciel słabo się poczuł, pewnie zaszkodził mu nadmiar słońca po długich godzinach spędzanych w biurze pana Smeeta... Moglibyśmy prosić o szklanę wody?

– Naturalnie. Rzeczywiście nie wygląda pan najlepiej.

Pielęgniarzka znów zniknęła za drzwiami, ponownie ściśle przestrzegając procedury ich otwierania i zamykania.

Żeby pacjenci nie puciekali, domyślił się Wylan.

Jesper przykucnął przed nim i położył mu dłonie na ramionach.

– Posłuchaj mnie, Wylan. Musisz wziąć się w garść. Dasz radę? Możemy wyjść, jeśli chcesz. Powiem jej, że naprawdę źle się czujesz. Albo mogę wejść sam. Spróbujemy wrócić, kiedy...

Roztrzęsiony Wylan odetchnął głęboko przez nos. Nie rozumiał, co się dzieje, cała ta sytuacja go przerastała.

Po kolei, powiedział sobie w duchu. Nie wszystko naraz.

Jeden z nauczycieli doradził mu taką technikę, żeby ogrom nagromadzonych na stronie znaków go nie przytłoczył. Przy nauce czytania zdało mu się to na nic, zwłaszcza kiedy ojciec stał nad nim, ale nauczył się ją stosować z powodzeniem w innych dziedzinach.

Po kolei.

Pierwsza sprawa: wstań.

Wstał.

Czujesz się dobrze.

– Czuję się dobrze – powiedział na głos. – Nigdzie nie wychodzimy.

To jedno nie ulegało wątpliwości.

Przyjął ofiarowaną mu szklankę wody, podziękował, napił się, a potem obaj z Jesperem weszli w ślad za pielęgniarką za jasnoniebieskie drzwi. Wylan nie potrafił zmusić się do tego, żeby zabrać ze sobą przywiewdłe kwiatki.

Nie wszystko naraz.

Minęli kilkoro zamkniętych drzwi, potem coś w rodzaju sali gimnastycznej. Nie wiadomo skąd dobiegało czyjeś pojękiwanie. W przestronnym salonie dwie kobiety grały w grę do złudzenia przypominającą *ridderspel*.

Moja matka nie żyje, powtarzał w myślach Wylan. Moja matka nie żyje.

Tyle że żadna częśćka jego istoty nie chciała w to wierzyć. Już nie.

Pielęgniarka doprowadziła ich w końcu do oszklonej werandy umieszczonej po zachodniej stronie budynku, żeby łapała jak najwięcej ciepła zachodzącego słońca. Cała jedna ściana była przeszklona. Za nią rozpościerał się zielony szpitalny trawnik, przechodzący w oddali w cmentarz. Sala była bardzo przyjemna, wyłożona kafelkami podłoga nieskazitelnie czysta, przy oknie stały sztalugi z rozpoczętym pejzażem. Wróciły wspomnienia: ogród za domem przy Geldstraat, zapach oleju lnianego, czyste pędzle w pustej szklance i matka – stojąca przy sztalugach i w zadumie taksująca wzrokiem szope na łodzie i ciągnący się za nią kanał.

– Ona maluje – stwierdził beznamiętnie Wylan.

– Nieustannie – przytaknęła pogodnie pielęgniarka. – Prawdziwa artystka z tej naszej Maryi.

Siedząca na wózku inwalidzkim kobieta zwiesiła głowę, jakby walczyła z sennością. Kilka warstw koców otulało jej wąskie ramiona. Miała pobrużdżoną twarz i przetykane siwizną włosy koloru wyblakłego bursztynu.

Taki sam kolor miałyby moje włosy, uświadomił sobie Wylan, gdyby wyblakły na słońcu.

Poczuł przyływ ulgi: ta kobieta była stanowczo za stara, żeby być jego matką.

Wtedy jednak kobieta uniosła głowę i otworzyła oczy: błyszczące, orzechowej barwy, niezmięte.

– Ma pani gości, panno Hendriks.

Usta matki drgnęły, ale Wylan nie dosłyszał słów.

Spojrzała na nich bystrym wzrokiem... a potem na jej twarzy odmalowały się niepewność i zwątpienie.

– Czy my... czy my się znamy?

Wylana ścisnęło boleśnie w gardle.

Czy rozpoznałabyś mnie, gdybym nadal wyglądał jak twój syn? – pomyślał.

Pokręcił głową.

– Poznaliśmy się... dawno temu – wykrztusił. – Byłem jeszcze dzieckiem.

Odmruknęła coś melodyjnie, odwróciła głowę i zapatrzyła się na trawnik.

Wylan posłał Jesperowi bezradne spojrzenie. Nie był przygotowany na coś takiego. Jego matka była dawno pochowanym ciałem, prochem pogrzebanym pod ziemią.

Jesper łagodnym gestem wykierował go na krzesło naprzeciw Maryi.

– Mamy godzinę do powrotu – powiedział cicho. – Porozmawiaj z nią.

– O czym?

– Pamiętasz, co powiedziałaś Kazowi? Nigdy nie wiemy, co wydarzy się za chwilę. Mamy tylko to, co jest tu i teraz. – Jesper wstał i podszedł do pielęgniarki zajętej uprzątnięciem warsztatu malarskiego. – Proszę mi powiedzieć, panno... przykro mi, nie pamiętam pani imienia...

– Betje – odparła z uśmiechem pielęgniarka. Policzki miała okrągłe i czerwone jak kandyzowane jabłuszka.

– Uroczę imię dla uroczej dziewczyny. Pan Smeet prosił, żebym przy okazji wizyty tutaj zapoznał się z wyposażeniem szpitala. Nie oprowadziłaby mnie pani?

Betje obejrzała się z wahaniem na Wylana.

– Dam sobie radę – zapewnił Wylan głosem, który jemu samemu wydał się przesadnie głośny i jowialny. – Muszę zadać pacjentce kilka rutynowych pytań; to także część tej nowej polityki.

Pielęgniarka z błyskiem w oku odwróciła się do Jespera.

– W takim razie chyba możemy się trochę rozejrzeć.

Wylan przyglądał się matce. Przewalające mu się przez głowę myśli tworzyły kakofonię niezgranych akordów. Ostrzygli ją krótko. Próbował wyobrazić ją sobie młodszą, w eleganckiej sukni z czarnej wełny, jaką nosiłaby żona kupca, obszytej białą koronką przy kołnierzyku, i z burzą intensywnie rudych włosów zaplecionych w warkocze i ułożonych przez służącą w muszlowaty kok.

– Dzień dobry – powiedział z trudem.

– Przyszliście po pieniądze? Nie mam żadnych pieniędzy.

– Ja też nie – odparł słabym głosem.

Nie poznawał jej, ale było coś znajomego w tym, jak przekrzywiła głowę, a nawet w tym, jak siedziała z wyprostowanymi plecami. Jakby siedziała przy fortepianie.

– Lubisz muzykę? – zapytał.

– Lubię. – Skinęła głową. – Ale niewiele mamy tu muzyki.

Wyjął zza pazuchy flet. Instrument był nagrzanym od ciepła jego ciała. Przez cały dzień nosił go przy piersi niczym jakąś tajemnicę; zamierzał zagrać na nim nad grobem matki, jak skończony idiota. Ależ Kaz by go wyśmiał...

Pierwsze nuty wyszły mu niepewne, rozedrgane, ale szybko zapanował nad oddechem i znalazł melodię, prostą piosenkę, jedną z pierwszych, jakich się nauczył. Przez chwilę miał wrażenie, że matka próbuje sobie przypomnieć, gdzie ją wcześniej słyszała, a potem po prostu zamknęła oczy i się w nią wsłuchiwała.

– Zagraj coś wesołego – poprosiła, kiedy skończył.

Zagrał więc żywą kaelską gigę, potem kercheńską szantę, która lepiej zabrzmiałaby na blaszanej fujarce, a później grał po kolei wszystkie piosenki, jakie przychodziły mu do głowy, unikając tylko tych smutnych i ponurych. Matka nic nie mówiła, widział jednak, że chwilami przytupuje do taktu i porusza ustami, jakby znała słowa.

W końcu położył flet na kolanach.

– Od jak dawna tu jesteś?

Nie odpowiedziała.

Nachylił się ku niej, szukając odpowiedzi w niepewnych orzechowych oczach.

– Co oni ci zrobili?

Delikatnie dotknęła jego policzka. Dłoń miała chłodną i suchą.

– Co oni ci zrobili? – powtórzyła.

Nie umiałby powiedzieć, czy się z nim droczy, czy tylko powtarza mechanicznie. Poczul bolesny ucisk w gardle i przełknął łzy.

Drzwi otworzyły się z impetem.

– Zadowoleni panowie z wizyty? – zapytała Betje.

Wylan pośpiesznie schował flet.

– Jak najbardziej – przytaknął. – Wszystko jest w najlepszym porządku.

– Bardzo młodzi panowie jesteście, jak na tę profesję – dodała pielęgniarka, uśmiechając się do Jespera.

– To samo mógłbym powiedzieć o pani – odparł. – Wie pani, jak to jest: nowym trafiają się te najgorsze zadania.

– Kiedy możemy się panów znów spodziewać?

– Nigdy nic nie wiadomo. – Jesper mrugnął porozumiewawczo do Betje i skinął na Wylana. – Chodźmy, prom nie będzie czekał.

– Proszę się pożegnać, panno Hendriks – ponagliła pacjentkę pielęgniarka.

Wargi Maryi znów się poruszyły, lecz tym razem Wylan znajdował się dostatecznie blisko, żeby wychwycić słowa: – Van Eck.



Wpatrzona w Jespera pielęgniarzka trajkotała jak najęta. Wylan szedł za nimi. Cierpiał. Co ojciec zrobił mamie? Naprawdę była obłąkana? Czy po prostu zapłacił odpowiednim ludziom, żeby tak właśnie powiedzieli? Żeby otępił ją lekami?

Jesper obejrzał się na niego z troską w oczach. Dochodzili do jasnoniebieskich drzwi, gdy Betje zapytała: – Może chcielibyście panowie obejrzeć jej obrazy?

Wylan stanął jak wryty i skinał głową.

– To może być bardzo interesujące – przyznał Jesper.

Zawrócili i Betje otworzyła drzwi prowadzące do schowka.

Nogi ugięły się pod Wylanem i musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. Pielęgniarzka niczego nie zauważyła, gadała jak nakręcona: – Farby kosztują, rzecz jasna, ale widać, że malowanie sprawia jej ogromną przyjemność. To najnowsza partia jej dzieł; mniej więcej co pół roku musimy wyrzucać te starsze na śmietnik, po prostu brakuje nam miejsca.

Wylan miał ochotę krzyczeć. Schowek pękał w szwach od obrazów: pejzaży, wizerunków szpitala, widoku jakiegoś jeziora w słońcu i cieniach... i powtarzającej się raz po raz twarzy chłopca o rudych kręconych włosach i niebieskich oczach.

Chyba musiał wydać jakiś dźwięk, bo pielęgniarzka odwróciła się do niego.

– O rety – zwróciła się do Jespera – pański przyjaciel jest okropnie blady. Może coś na pobudzenie?

– Nie, nie trzeba. – Jesper objął Wylana ramieniem. – Ale naprawdę na nas już czas. To były nadzwyczaj pouczające odwiedziny.

Wylan nie pamiętał później, jak zeszli na obsadzony cisami podjazd ani jak wyciągnęli przebrania z kryjówki za pniakiem przy głównej drodze.

– Ona wie, co ojciec jej zrobił – odezwał się, gdy byli w pół drogi do przystani. – Wie, że nie miał prawa odebrać jej pieniędzy i całego życia. – Van Eck, powiedziała. Nie była Maryą Hendriks, tylko Maryą Van Eck, żoną i matką pozbawioną nazwiska i majątku. – Pamiętasz, jak powiedziałem, że ojciec wcale nie jest zły z natury?

Nogi się pod nim ugięły i klapnął na ziemię tak, jak stał, na środku traktu, i absolutnie nic go to nie obchodziło, bo łzy cisnęły mu się do oczu, a on nie był w stanie ich powstrzymać. Paskudny, szarpany szloch wyrwał mu się z piersi. Był wściekły, że Jesper ogląda go płaczącego, ale nic nie mógł na to poradzić, nic nie mógł poradzić na łzy, na wszystko. Ukrył twarz w dłoniach i osłonił głowę ramionami, tak jakby mógł całkiem zniknąć, gdyby tylko odpowiednio mocno tego chciał.

Jesper ścisnął go za ramię.

– Już dobrze.

– Wcale nie.

– Masz rację, wcale nie. Jest bardzo źle, a ja najchętniej przywiązałbym twojego ojca do ziemi na rżysku i czekał, aż sępy się z nim rozprawią.

Wylan pokręcił głową.

– Ty nic nie rozumiesz. To wszystko przeze mnie. To moja wina, że ojciec zapragnął nowej żony. Chciał mieć potomka z prawdziwego zdarzenia, a nie kretyna, który z trudem literuje własne imię.

Miał osiem lat, kiedy matka zniknęła z domu. Dłużej nie musiał już łamać sobie nad tym głowy: dokładnie w tym samym czasie ojciec go skreślił.

– Ej! – Jesper nim potrząsnął. – Ej, mówię do ciebie. Twój ojciec mógł zrobić wiele różnych rzeczy, kiedy odkrył, że nie umiesz czytać. Kurczę, mógł powiedzieć, że jesteś niewidomy, że masz problemy ze wzrokiem... Mógł też po prostu zachwycić się, że ma genialnego syna.

– Nie jestem genialny.

– Bywasz niemądry w wielu sprawach, Wylanie, ale nie jesteś głupi. A jeśli jeszcze raz usłyszę, jak nazywasz siebie kretynem, powiem Matthiasowi, że próbowałeś pocałować Ninę. Z języczkiem.

Wylan wytarł nos w rękaw.

– Nie uwierzy ci.

– To powiem Ninie, że próbowałeś pocałować Matthiasa. Z języczkiem. – Jesper westchnął ciężko. – Zrozum, Wylanie, normalni ludzie nie zamykają żon w przytułkach dla obłąkanych; nie wydziedziczają synów tylko dlatego, że ci nie są dokładnie tacy, jak by chcieli. Myślisz, że mój ojciec chciał mieć takiego nicponia za syna jak ja? To nie była twoja wina. Stało się, co się stało, bo twój ojciec jest szaleńcem w eleganckim garniturze.

Wylan nasadami dłoni zasłonił opuchnięte oczy.

– To wszystko prawda – przyznał – ale jakoś wcale nie pomaga.

Jesper znów lekko nim potrząsnął.

– A co powiesz na to, że Kaz zamierza zniszczyć twojego ojca? Rozszarpać jego życie na strzępy?

Wylan już miał odpowiedzieć, że to również niczego nie zmienia, gdy nagle ogarnęły go wątpliwości. Kaz Brekker – najbardziej brutalna i mściwa istota, jaką w życiu spotkał – poprzysiągł, że zniszczy Van Ecka. Ta myśl była jak zimny wodosпад oblewający palące, wstydlive uczucie bezradności, które od lat w sobie nosił. Tej krzywdy nic nie naprawi, ale Kaz zamierzał poważnie uprzykrzyć życie ojcu Wylana, a sam Wylan miał się stać bardzo bogaty. Wtedy mógłby zabrać matkę ze szpitala. Wyjechaliby razem do ciepłych krajów. Zabrałby ją do miejsca pełnego jasnych kolorów i pięknych dźwięków, posadził przy fortepianie, ona znów zaczęłaby grać... Mogliby popłynąć do Nowoziemia. Mogliby popłynąć, dokąd tylko zechcą.

Podniósł głowę i otarł łzy.

– A wiesz, że to pomogło? Nawet bardzo.

– Tak myślałem. – Jesper uśmiechnął się od ucha do ucha. – Ale jeśli nie załapiemy się na prom powrotny do Ketterdamu, nie odpłacimy Van Eckowi pięknym za nadobne.

Wylan wstał. Nagle śpieszno mu było wrócić do miasta i przyczynić się do realizacji planu Kaza. Do Lodowego Dworu udawał się bez entuzjazmu i niechętnie wspierał Kaza, bo przez cały ten czas uważał, że zasługuje na ojcowską wzgardę, a jakaś głęboko ukryta część jego jestestwa (dopiero teraz to dostrzegał) żywiła nadzieję, że jeszcze uda mu się na nowo wkraść w łaski ojca.

A teraz ojciec mógł zachować te łaski dla siebie. Nie na wiele mu się zdadzą, kiedy Kaz

Brekker z nim skończy.

– Chodź – powiedział do Jespera – idziemy okraść mojego ojca.

– Przecież to twoje pieniądze...

– W takim razie idziemy je odzyskać.

Puścili się biegiem.

– Nie ma to jak odplacić komuś pięknym za nadobne! – przyznał Jesper. – Nic tak nie ożywia wątroby.



15

MATTHIAS

Przed tawerną zebrał się tłum zwabiony brzękiem tłuczonego szkła i odgłosami awantury. Zoya bez szczególnej delikatności opuściła Ninę i Matthiasa na podłogę, skąd wszyscy troje pośpiesznie przemknęli na zaplecze i tylnym wyjściem ewakuowali się z lokalu. Dysponowali skromną uzbrojoną eskortą; reszta zbrojnych została w gospodzie, żeby wytłumaczyć – na ile to możliwe – jak to się stało, że fura kości przeleciała znienacka w powietrzu i wytlukła wszystkie okna. Matthias też nie bardzo wiedział, co się właściwie stało. Czy to Nina w jakiś sposób zawładnęła relikwiami świętych? A może wydarzyło się coś zupełnie innego? I dlaczego właściwie zostali zaatakowani?

Spodziewał się, że znajdą się w zaułku na tyłach tawerny, tymczasem po wiekowych stopniach zeszli w głąb zimnego i wilgotnego tunelu.

To stary kanał, uświadomił sobie, gdy wsiedli do łodzi i bezszelestnie popłynęli przez mrok. Kanał został od góry przykryty, ale bynajmniej nie wysechł, i w tej chwili płynęli pod szeroką ulicą przy ambasadzie.

Niedługo potem wspięli się w ślad za Zoyą po wąskiej metalowej drabince i znaleźli w pustym pomieszczeniu tak nisko sklepionym, że Matthias musiał zgiąć się wpół, żeby nie zawadzać o sufit.

Nina powiedziała coś do Zoi po ravkańsku, po czym przetłumaczyła jej odpowiedź na użytek Matthiasa: – To tak zwany półpokój. Kiedy budowano ambasadę, położono fałszywą podłogę na wysokości czterech stóp ponad prawdziwą. Półpokój jest wbudowany w fundamenty i przez to praktycznie niemożliwy do wykrycia.

– Przecież tu się ledwie można czołgać!

– Owszem, ale ponieważ domy w Ketterdamie nie mają piwnic, nikomu nie przychodzi do głowy szukać tu podziemnych pomieszczeń.

Był to niezwykle środek ostrożności w mieście chcącym uchodzić za neutralne, ale może Ravkańczycy musieli się uciekać do ekstremalnych rozwiązań, żeby chronić swoich obywateli.

Przez takich ludzi jak ja, pomyślał Matthias.

W przeszłości był przecież łowcą i zabójcą. I był z tego dumny.

Chwilę później natknęli się na grupę ludzi skulonych pod ścianą, którą Matthias byłby skłonny uznać za wschodnią, gdyby nie fakt, że kierunki zupełnie mu się pomieszały.

– Jesteśmy w tej chwili pod ogrodem na terenie ambasady – wyjaśniła Nina.

Z aprobatą pokiwał głową. To była najbezpieczniejsza kryjówka dla grupy ludzi, którzy nie musieli się obawiać, że ich głosy poniosą się przez podłogę i będą słyszalne w budynku. Było ich około piętnaścioro: przedstawiciele różnych ras, w różnym wieku, których nie łączyło właściwie nic poza ostrożnym wyrazem twarzy, ale wszyscy musieli być griszami. Nie potrzebowali ostrzeżenia Niny, żeby szukać schronienia.

– Tylko tyłu? – spytał Matthias.

Nina szacowała liczbę griszów w mieście na bliską trzydziestu.

– Może inni wydostali się z miasta na własną rękę? Albo się ukrywają?

Albo już zostali schwytani. Ale jeżeli Nina nie chciała tego mówić głośno, to on tym bardziej nie miał takiego zamiaru.

Zoya przeprowadziła ich łukowatym przejściem do pomieszczenia, w którym Matthias wreszcie mógł się wyprostować. Zważywszy na okrągły kształt wnętrza, przypuszczał że znajdują się pod fałszywą cysterną albo pawilonem ogrodowym.

Ulga, z jaką wymknął się z tawerny, ulotniła się błyskawicznie, gdy jeden z uzbrojonych ludzi wyjął kajdany, a Zoya wskazała na niego, Matthiasa.

Nina zastąpiła drogę strażnikowi i obie z Zoyą poczęły się spierać gniewnym szeptem.

Matthias doskonale wiedział, z kim ma do czynienia. Zoya Nazyalensky była jedną z najpotężniejszych ravkańskich wiedźm, legendarną szkwalniczką, żołnierką służącą najpierw Zmroczeni, a potem Przywoływaczce Słońca, a także dzierżącą wielką moc i władzę członkinią Triumwiratu Griszów króla Nikolaja. Odkąd na własnej skórze doświadczył jej siły, przestał się dziwić jej błyskawicznemu awansowi w hierarchii państwowej.

Kłóciły się po ravkańsku, więc Matthias nie rozumiał ani słowa, ale pogarda w głosie Zoi była oczywista, podobnie jak jej gniewne gesty wskazujące na niego i kajdany. Już, już miał burknąć, że jeśli burzowa wiedźma zamierza go skuć, niech spróbuje sama to zrobić i przekonać się, czy jej się uda, gdy Nina rozłożyła ręce.

– Dość – powiedziała po kercheńsku. – Matthias pozostanie wolny, a rozmowa będzie się dalej toczyć w języku, który wszyscy rozumiemy. On też ma prawo wiedzieć, co się dzieje.

Zoya zmrużyła gniewnie oczy, przenosząc wzrok z Matthiasa na Ninę.

– Nadal jesteś żołnierzem Drugiej Armii, Nino Zenik – powiedziała po kercheńsku z silnym obcym akcentem – a ja jestem twoją przełożoną. Sprzeciwiasz się mojemu rozkazowi.

– W takim razie mnie również będziesz musiała skuć.

– Nie myśl, że się nad tym nie zastanawiam.

– Nina! – zawołała rudowłosa dziewczyna, która w tej właśnie chwili weszła do pomieszczenia.

– Genya! – wykrzyknęła Nina.

Ale nawet bez jej okrzyku Matthias rozpoznałby nowo przybyłą. Twarz pokryta bliznami, jedno oko zasłonięte przepaską z czerwonego jedwabiu z wyhaftowanym złotym słońcem – to była Genya Safin, słynna formatorka, dawna nauczycielka Niny i druga członkini Triumwiratu. Patrząc, jak obejmują się z Niną, Matthias odczuł przypływ mdłości. Spodziewał się zastać tu grupę anonimowych griszów, którzy najpierw schronili się w Ketterdamie, a potem odkryli, że znaleźli się w niebezpieczeństwie, otoczeni przez wrogów – ludzi takich jak Nina, a nie najwyższych rangą griszów z Ravki. Instynkt kazał mu albo walczyć, albo jak najszybciej wynosić się z tego miejsca; z całą pewnością nie powinien po prostu stać przed nimi jak zalotnik, którego dziewczyna przedstawia rodzicom. A mimo to... To były jej przyjaciółki i mentorki.

Wrogowie, usłyszał w myślach Matthias. Nie był pewien, czy słowo to wypowiedział głos Bruma, czy jego własny.

Genya cofnęła się o krok i odgarnęła opadające na twarz Niny blond loki, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

– Jak to możliwe, Nino? Kiedy Zoya widziała cię po raz ostatni...

– Wściekłaś się – przypomniała Ninie Zoya. – Porzuciłaś obóz i oddaliłaś się gniewnym krokiem, tupiąc jak rozjuszony łoś.

Matthias ze zdumieniem stwierdził, że Nina wzdrygnęła się na te słowa jak skarczone dziecko. Chyba nigdy przedtem nie widział jej zawstydzonej.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – dodała Genya.

– Wygląda jak półżywa.

– Świetnie wygląda.

– Zniknęłaś bez śladu! – warknęła Zoya. – Kiedy się dowiedzieliśmy, że w okolicy są Fjerdanie, obawialiśmy się najgorszego!

– I najgorsze się wydarzyło – przyznała Nina. – Co więcej, to wcale nie był koniec. – Wzięła Matthiasa za rękę. – Ale najważniejsze, że teraz jesteśmy tutaj.

Zoya spojrzała spode łba na ich splecione dłonie.

– Ach tak...

Genya uniosła kasztanową brew.

– No, jeżeli to on jest tym najgorszym, co mogło ci się przytrafić...

– Co wy tu w ogóle robicie? – przerwała jej Zoya. – Chcesz się wydostać z Ketterdamu razem ze swoim fjerdańskim... współnikiem?

– A jeśli tak? Dlaczego wciągnęłaś nas w zasadzkę?

– W całym mieście dochodzi do ataków na griszów. Podałaś handlarzowi właściwe hasła, ale nie wiedzieliśmy ani kim jesteś, ani czy nie pracujesz dla Shu Hanu. W ostatnim czasie nasi żołnierze stale stacjonują w gospodzie. Każdy, kto szuka griszów, jest potencjalnym zagrożeniem.

Biorąc pod uwagę doświadczenia Matthiasa ze spotkania z nowymi żołnierzami Shu Hanu, griszowie mieli powody się ich obawiać.

– Przyszliśmy zaproponować naszą pomoc – powiedziała Nina.

– Niby jaką? Nie masz pojęcia, jaka jest stawka w tej grze, Nino. Shu Han opracował recepturę...

– *Jurdy parem.*

– Co wiesz o *parem*?

Nina ścisnęła dłoń Matthiasa i odetchnęła głęboko.

– Widziałam, jak działa. Sama również... doświadczyłam jej wpływu.

Jedynie bursztynowe oko Genyi stało się wyraźnie większe.

– Nie, Nino, tylko nie to. Nie zrobiłaś tego.

– Oczywiście, że zrobiła – odparła Zoya. – Nic się nie zmieniłaś! Nurzasz się w kłopotach jak w gorącej kąpieli! Czy to dlatego wyglądasz jak wczorajsza mamałyga? Jak możesz tak ryzykować, Nino?

– Wcale nie wyglądam jak mamałyga – zaoponowała Nina z tym samym zakłopotanym wyrazem twarzy co przed chwilą. Matthias nie mógł go znieść.

– Zrobiła to, żeby ocalić nam życie – wtrącił. – Zrobiła to, wiedząc, że skazuje się na cierpienie, a nawet, być może, śmierć.

– Cóż za nierozwaga – orzekła Zoya.

– Zoyu – skarciła ją Genya – nie znamy wszystkich okoliczności...

– Wiemy, że zniknęła prawie rok temu. – Zoya oskarżycielskim gestem wycelowała w Ninę palec wskazujący. – A teraz zjawia się nie wiadomo skąd, ciągnąc ze sobą jakiegoś Fjerdanina, który wygląda jak żołnierz i zna techniki bojowe *drüskelle*. – Wyjęła z kieszeni garść drobnych kości. – Tym zaatakowała naszych żołnierzy, Genyu. Odłamkami kości. Słyszałaś, żeby coś takiego było możliwe?

Genya z niedowierzaniem spojrzała najpierw na kości, a potem na Ninę.

– To prawda?

Nina zacisnęła wargi.

– Być może.

– Być może – powtórzyła Zoya. – I co, według ciebie mamy jej zaufać?

– Według mnie powinniśmy jej wysłuchać – odparła Genya, choć już z mniejszą pewnością siebie.

– Dobrze. Zamieniam się w słuch i otwieram serce. Mów, Nino Zenik.

Matthias wiedział, jakie to uczucie stanąć oko w oko z ubóstwianym nauczycielem, poczuć się znowu jak podenerwowany uczeń, który za wszelką cenę chce się przypodobać mistrzowi.

– Nie daj im się zastraszyć – powiedział do Niny po fjerdańsku. – Nie jesteś już małą dziewczynką. Tak jak nie jesteś tylko żołnierzką, która musi słuchać rozkazów.

– To dlaczego mam ochotę skulić się cicho w kącie i rozpłakać?

– Pokój jest okrągły. Nie ma kątów.

– Matthiasie...

– Pamiętaj, przez co przeszliśmy. Pamiętaj, po co tu przybyliśmy.

– Wydawało mi się, że rozmawiamy po kercheńsku – zauważyła Zoya.

Nina jeszcze raz uścisnęła dłoń Matthiasa, podniosła dumnie głowę i zaczęła: –

Zostałam pojmana przez *drüskelle*. Matthias pomógł mi uciec. Matthias został pojmany w Kerchu. Pomogłam mu uciec. Zostałam pojmana przez Jarla Bruma. Matthias pomógł mi uciec.

Matthias nie był zachwycony tym, jak doskonale wychodzi im trafianie do niewoli.

– Przez Jarla Bruma?! – powtórzyła ze zgrozą Zoya.

– To był ciężki rok – przyznała z westchnieniem Nina. – Przyrzekam, że wszystko wam wytłumaczę i że jeśli wtedy uznacie, że trzeba mnie wsadzić do worka i wrzucić do Sokola, poddam się waszemu wyrokowi i prawie nie będę biadolić, ale dzisiaj przyszliśmy tu dlatego, że na własne oczy widziałam atak kherguudów przy Zachodniej Klepce. Chcę pomóc griszom w ucieczce z miasta, zanim żołnierze Shu Hanu ich znajdą.

Zoya, dobre kilka cali niższa od Niny, jakimś cudem zdołała spojrzeć na nią z góry.

– Niby jak możecie nam pomóc?

– Mamy statek.

Nie była to jeszcze prawda w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale Matthias nie zamierzał wdawać się w szczegóły.

Zoya machnęła lekceważąco ręką.

– My też mamy statek, stoi na kotwicy daleko od wybrzeża. Port jest zablokowany przez Kerch i Radę Pływów. Żadna obca jednostka nie może do niego wejść ani wypłynąć na morze bez pozwolenia Rady Kupieckiej.

Czyli Kaz miał rację: Van Eck próbował użyć swoich wpływów w rządzie, żeby uniemożliwić wywiezienie Kuweia z Ketterdamu.

– To zrozumiałe – odparła Nina. – Rzecz w tym, że nasz statek jest własnością Kercheńskiej Rady Kupieckiej.

Zoya z Genyą spojrzały po sobie.

– W porządku, Zenik – powiedziała pierwsza z nich. – Teraz naprawdę mnie zaintrygowałaś.



Nina wprowadziła Zoyę i Genyę w wybrane szczegóły planu; Matthias zwrócił uwagę, że nie wspomniała o Kuweiu i całkowicie pominęła awanturę w Lodowym Dworze. Potem Zoya i Genya poszły na górę, żeby przedyskutować propozycję, a Ninę z Matthiasem zostawiły w okrągłym pokoju, wystawiwszy dwóch strażników przy wyjściu.

– Jeżeli ravkańscy szpiedzy są cokolwiek warci – szepnął po fjerdańsku Matthias – to twoje przyjaciółki domyślą się, że to my wyciągnęliśmy Kuweia z Lodowego Dworu.

– Nie szepcz – odparła Nina w tym samym języku, lecz normalnym tonem – bo strażnicy nabiorą podejrzeń. Ostatecznie zamierzam powiedzieć prawdę Zoi i Genyi, ale nie zapominaj, że zamierzaliśmy zabić Kuweia. Wcale nie jestem pewna, czy Zoya byłaby go skłonna oszczędzić, zwłaszcza zanim bezpiecznie dotrze do Ravki. Lepiej, żeby nie wiedziała, kto jest na pokładzie, dopóki statek nie przybije do brzegu w Os Kervo.

„Zanim bezpiecznie dotrze do Ravki”.

Te słowa ciążyły Matthiasowi. Za wszelką cenę chciał wydostać Ninę z miasta, ale eskapada do Ravki nie zapowiadała się dla niego bezpiecznie.

Nina musiała chyba wyczuć jego niepokój, bo dodała:

– Ravka to dla Kuweia najbezpieczniejsze miejsce. Chłopak potrzebuje naszej ochrony.

– A jak dokładnie wygląda ochrona w wykonaniu Zoi Nazyalensky?

– Zoya wcale nie jest taka zła – odparła Nina.

Matthias zmierzył ją sceptycznym spojrzeniem.

– No nie, prawdę mówiąc, jest okropna – zgodziła się Nina. – Ale obie z Genią dość napatrzyły się na śmierć w czasie wojny domowej i wątpię, żeby zależało im na dalszym rozlewie krwi.

Matthias miał szczerą nadzieję, że tak właśnie jest, wątpił jednak, by w ostatecznym rozrachunku miało to jakiegokolwiek znaczenie.

– Pamiętasz, co mi powiedziałaś, Nino? Że chciałaś, aby król Nikolai pomaszerował na północ i zrównał z ziemią wszystko, co napotka po drodze?

– Byłam zła...

– Miałaś prawo być zła. Każdy ma do tego prawo i na tym właśnie polega problem. Bo Brum nie zrezygnuje – mówił Matthias. – *Drüskelle* nie odpuszczą. Dla nich zniszczenie takich jak wy to święta misja.

Kiedyś była to też jego misja. Do dziś nie wyzbył się nieufności, załóżka nienawiści tkwiącego głęboko w sercu. Nienawidził się za to.

– Wymyślimy coś, żeby ich przekonać. Wszystkich. – Nina zmierzyła Matthiasa zamyślonym spojrzeniem. – Widziałam dzisiaj, jak rzuciłeś zmierzchówkę. Poprosiłeś Wylana, żeby ci ją zrobił?

– Tak.

– Po co?

Wiedział, że to jej się nie spodoba.

– Nie byłem pewny, jak *parem* wpłynie na twoją moc. Potrzebowałem jakiejś sztuczki, gdyby przyszło mi z tobą walczyć. Nie chciałem ci zrobić krzywdy, a nie mogłem pozwolić, żebyś znów zaczęła brać.

– A dzisiaj wzięłaś ją ze sobą na wypadek ewentualnych kłopotów z griszami?

– Tak.

Spuścił głowę, oczekując połajanki, Nina jednak tylko patrzyła na niego bez słowa z zamyślonym wyrazem twarzy. W końcu podeszła do niego. Matthias obejrzał się niepewnie na strażników na korytarzu.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedziała Nina. – Dlaczego mnie nie pocałowałeś?

– To nie jest najlepszy moment...

– Przeszkadza ci to, kim jestem? Nadal się mnie boisz?

– Nie – odparł stanowczo.

Zawiesiła głos. Matthias widział, że walczy ze sobą.

– Chodzi o to, jak zachowałam się na statku? Albo tamtej nocy... kiedy próbowałam cię

zmusić, żebyś mi oddał resztę *parem*?

– Jak możesz tak myśleć?!

– Powtarzasz, że jestem bezwstydną, a teraz... teraz chyba jest mi wstyd. –

Wzdrygnęła się. – Czuję się tak, jakbym włożyła płaszcz, który na mnie nie pasuje.

– Złożyłem ci przysięgę, Nino.

– Ale...

– Twoi nieprzyjaciele są moimi nieprzyjaciółmi i stanę z tobą do walki przeciw każdemu wrogowi, nawet jeśli wrogiem ma być ten przeklęty narkotyk.

Pokręciła głową, jakby mówił od rzeczy.

– Nie chcę, żebyś był ze mną przez wzgląd na swoją przysięgę. Tak jak nie chcę, żebyś ze mną był dlatego, że twoim zdaniem potrzebuję ochrony ani że zaciągnąłeś u mnie jakiś durny dług krwi.

– Nino... – Urwał w pół zdania. – Jestem z tobą, ponieważ mi na to pozwalasz. Nie wyobrażam sobie większego zaszczytu.

– Zaszczyt, honor, obowiązek... Rozumiem.

Mógł znieść jej złość, ale nie jej rozczarowanie. Znał tylko język wojny. Nie miał właściwych słów na takie okazje jak ta.

– Poznanie cię było dla mnie katastrofą.

Uniosła brwi.

– No dziękuję ci pięknie...

Na Djela, ależ był w tym beznadziejny! Brnął dalej, próbując jej wytłumaczyć: – Codziennie jestem wdzięczny za tę katastrofę. Potrzebowałem kataklizmu, który wyrwałby mnie z życia, jakie znałem wcześniej. Ty byłaś takim właśnie trzęsieniem ziemi. Lawiną.

– Ja, mój drogi – odparła Nina, kładąc dłoń na biodrze – jestem delikatnym kwiatem.

– Nie jesteś po prostu kwiatem, jesteś wszystkimi kwiatami w lesie kwitnącymi jednocześnie! Jesteś jak fala przyływu. Jesteś jak stado dzikich zwierząt w galopie. Jesteś obezwładniająca.

– A ty co byś wolał? – spytała z błyskiem w oku i ledwo, ledwo słyszalnym drzeniem w głosie. – Grzeczną fjerdańską dziewczynę, która chodzi zapięta pod szyję i nurkuje w zimnej wodzie, ilekroć przyjdzie jej do głowy, że mogłaby zrobić coś ekscytującego?

– Nie o to mi chodziło!

Przysunęła się jeszcze bliżej. Matthias znów zerknął na strażników: byli odwrócony tyłem, ale na pewno ich słyszeli, bez względu na to, w jakim języku rozmawiali.

– Czego się boisz? – spytała wyzywającym tonem Nina. – Nie patrz na nich, Matthiasie. Patrz na mnie.

Spojrzał. Trudno było nie spojrzeć. Świetnie wyglądała we fjerdańskim stroju: skąpa wełniana kamizelka, obszerna spódnica... Miała błyszczące zielone oczy, zaróżowione policzki, leciutko rozchylone wargi. Aż nazbyt łatwo przyszło mu wyobrazić sobie, jak kłęczy przed nią niczym skruszony pielgrzym, przesuwa dłońmi po białych krzywiznach łydek, zadziera jej spódnicę, nad kolana, dotyka cieplej skóry ud. Najgorsze było to, że

dobrze wiedział, jak cudowne byłoby to uczucie. Każdą komórką ciała pamiętał dotyk jej nagiego ciała w tamtą pierwszą noc w obozowisku wielorybników.

– Nikogo nie pragnę tak jak ciebie. O niczym nie marzę tak jak o tym, żeby dać ci się oszołomić.

– Ale pocałować mnie nie chcesz?

Wziął głęboki wdech na uspokojenie myśli. To zupełnie nie tak.

– We Fjerdzie... – zaczął.

– Nie jesteśmy we Fjerdzie.

Musiał ją przekonać. Musiała zrozumieć.

– We Fjerdzie poprosiłbym twoich rodziców, żeby pozwolili mi się z tobą spotykać.

– Nie widziałam swoich rodziców, odkąd byłam dzieckiem.

– Dostalibyśmy przyzwoitkę. Musiałbym co najmniej trzy razy zjeść kolację z twoją rodziną, zanim zostawiliby nas samych.

– Teraz jesteśmy sami, Matthiasie.

– Obsypywałbym cię prezentami.

Nina z zaciekawieniem przekrzywiła głowę.

– Mów dalej.

– Przynosiłbym ci zimowe róże, jeśli byłoby mnie na nie stać. Srebrny grzebień.

– Nie potrzebuję ich.

– Ciasteczka jabłkowe ze śmietanką.

– Podobno *drüskelle* nie jedzą słodczy?

– Byłyby tylko dla ciebie.

– Słucham uważnie.

– Pierwszy raz pocałowalibyśmy się w rozświetlonych słońcem lasach albo pod gwiaździstym niebem po wioskowej potańcówce, a nie w grobowcu czy zawilgoconym tunelu, gdzie przy drzwiach sterczą strażnicy.

– Wyjašnjmy sobie coś: nie chcesz mnie pocałować, bo sceneria jest nie dość romantyczna?

– Nie chodzi o romantyczność scenerii, tylko o porządną pocałunek. Porządne zaloty. Takie rzeczy powinno się robić w określony sposób.

– Porządne zaloty dla porządných złodziejasków?

Kąciki pięknie wykrojonych ust Niny uniosły się leciutko i przez moment Matthias obawiał się, że go wyśmiej, ale tylko pokręciła głową, jeszcze bardziej się przysunęła i znalazła dosłownie o włos od niego. Pragnienie skrócenia tak minimalnego dystansu doprowadzało Matthiasa do oblędu.

– Pierwszego dnia, kiedy pojawiłbyś się u mnie w domu, żeby wdać się w te porządne zaloty, dopadłabym cię sam na sam w spiżarni. Ale proszę, opowiedz mi jeszcze o fjerdańskich dziewczynach.

– Mówią cicho. Nie flirtują z każdym samotnym mężczyzną, którego spotkają.

– Ja flirtuję także z kobietami.

– Mam wrażenie, że byłabyś skłonna flirtować z palmą daktylową, gdyby tylko

zechciała zwrócić na ciebie uwagę.

– Założę się, że gdybym postanowiła flirtować z rośliną, zauważyłaby to. Jesteś zazdrosny?

– Nieustannie.

– Cieszę się. Na co tak patrzysz? – Niski, wibrujący tembr jej głosu przeszył go na wskroś.

– Na nic – odparł szeptem, wbijając wzrok w sufit.

– Co ty, Matthiasie, modlisz się?

– To możliwe.

– O umiarkowanie? – spytała słodziutkim głosem.

– Ty naprawdę jesteś wiedźmą.

– I nie jestem porządna.

– Wiem.

O tak, wiedział: był tego wyraziście, żałośnie, pożądliwie świadomy.

– Z przykrością muszę ci donieść, że ty również nie jesteś porządny.

Teraz na nią spojrzał.

– Ja...

– Ile reguł złamałeś, odkąd się poznaliśmy? Ile przepisów? I nie koniec na tym. W naszej znajomości nic nigdy nie było i nie będzie porządne. – Podniosła głowę. Ich twarze znalazły się tak blisko, jakby już się dotykali. – Ani to, jak się poznaliśmy, ani to, jak żyjemy. Ani to, jak się całujemy.

Wspięła się na palce... i nagle, ot tak, jej usta musnęły jego usta. Z trudem można by to nazwać pocałunkiem: przelotne, zaskakujące zetknięcie warg. Zanim zdążyła choćby pomyśleć o odsunięciu się, Matthias ją objął. Wiedział, że prawdopodobnie wszystko robi źle, ale jakoś nie mógł się zmusić do tego, żeby się tym przejąć, bo trzymał ją w ramionach, ich usta się rozchyłały, jej dłonie oplatały jego szyję i... Na Djela! Jej język znalazł się w jego ustach! Nic dziwnego, że Fjerdanie podchodzili do zalotów z taką ostrożnością. Gdyby mógł tak całować Ninę, czuć, jak jej zmyślne ząbki skubią jego wargę, jej ciało przywiera do jego ciała, i słyszeć ten jej cichy, gardłowy jęk, dlaczego miałby kiedykolwiek chcieć robić coś innego? On albo ktokolwiek inny?

– Matthiasie... – wysapała zdyszana Nina i znów zaczęli się całować.

Była słodka jak pierwszy deszcz, bujna jak świeża łąka. Wodził dłońmi po jej plecach, kreślił jej kształty, linię kręgosłupa, zmysłowo zaokrąglone biodra...

– Matthiasie – powtórzyła z naciskiem, odsuwając się od niego.

Otworzył oczy przeświadczony, że popełnił jakiś straszliwy błąd. Nina przygryzła dolną wargę, zaróżowioną i opuchniętą, ale uśmiechała się, a oczy błyszczały jej zawadiacko.

– Zrobiłem coś nie tak?

– Absolutnie nie, cudowny z ciebie *babink*, ale...

Zoya odkaszlnęła.

– Cieszę się, że znaleźliście sposób na zabicie czasu.

Jej twarz wyrażała czysty niesmak, za to stojąca tuż obok Genya mało nie pękła z

uciechy.

– Może postaw mnie na ziemi? – zasugerowała Nina.

Rzeczywistość zwała się Matthiasowi na głowę: znaczące spojrzenia strażników, Zoya i Genya stojące przy wejściu, oraz fakt, że całując Ninę Zenik z zapalem nagromadzonych przez rok żądź, podniósł ją z podłogi.

Zalała go fala zażenowania. Jaki Fjerdanin tak się zachowuje?

Ostrożnie rozluźnił uchwyt na cudownych udach Niny, która zsunęła się na ziemię.

– Bezwstydna – wyszeptała.

Poczuł, że cały się rumieni.

Zoya przewróciła oczami.

– Targujemy się z dwojgiem zadurzonych nastolatków.

Matthias poczuł na twarzy kolejną falę gorąca, za to Nina tylko poprawiła perukę i zapytała: – Czyli przyjmiecie naszą pomoc?

Szybko i sprawnie zaplanowali resztę nocy pod kątem logistycznym. Powrót do tawerny mógłby być dla Niny niebezpieczny, dlatego po zdobyciu informacji o miejscu cumowania statku i czasie jego wyjścia w morze miała ją przekazać do ambasady, najprawdopodobniej za pośrednictwem Inej, która mogła niepostrzeżenie pojawić się i zniknąć. Uciekinierzy mieli jak najdłużej pozostać w ukryciu; Genya i Zoya zamierzały przeprowadzić ich do portu dosłownie w ostatniej chwili.

– Bądźcie gotowi do walki – przestrzegł Matthias. – Shu na pewno obserwują ten rejon miasta. Na razie nie ośmielili się zaatakować ambasady ani targowiska, ale to tylko kwestia czasu.

– Będziemy gotowi, Fjerdaninie – odparła Zoya, a on dostrzegł w jej oczach niezłomny błysk cechujący urodzonych dowódców.

Zanim wyszli z ambasady, Nina odszukała jeszcze złotooką ciałobójczynię, która uczestniczyła w zasadzce w gospodzie: pochodziła z Shu Hanu, miała krótkie czarne włosy, a u pasa nosiła dwa smukłe toporki ze srebrnymi obuchami. Wcześniej Nina utrzymywała, że jest jedyną ciałobójczynią wśród griszów-uciekinierów i dyplomatów.

– Tamar? – zagaiła ostrożnie Nina. – Jeżeli przyjdą po was kherguudowie, nie daj się wziąć do niewoli. Ciałobójca pod wpływem *parem* po stronie Shu Hanu mógłby nieodwracalnie przechylić szalę zwycięstwa na ich korzyść. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mocny jest ten narkotyk.

– Żywcem mnie nie wezmą – zapowiedziała dziewczyna. Sięgnęła do kieszeni i pokazała trzymaną w dwóch palcach malutką jasnożółtą tabletkę.

– Trucizna?

– Osobisty wynalazek Genyi. Zabija natychmiast. Wszyscy takie dostaliśmy. – Tamar podała tabletkę Ninie. – Weź. Na wszelki wypadek. Ja mam drugą.

– Nino... – próbował się wtrącić Matthias.

Ona jednak nie wahała się ani chwili: schowała tabletkę do kieszeni spódnicy, zanim zdążył powiedzieć cokolwiek więcej.

Opuścili dzielnicę dyplomatyczną, przeszli z dala od straganów i szerokim łukiem

ominęli tawernę, w której zebrała się *stadwachta*. Matthias upominał się w duchu, że powinien zachować czujność i skoncentrować się na zapewnieniu im obojgu bezpiecznego powrotu na Czarny Woal, ale nie mógł przestać myśleć o małej żółtej tabletkę. Na jej widok wspomnienie tamtego snu wróciło wyraziste jak nigdy przedtem: lody północy, Nina zagubiona i on niezdolny ją ocalić. W okamgnieniu wypaliło bezbrzeżną radość z pierwszego pocałunku.

Sen zaczynał się na statku. Nina znajdowała się w najcięższej fazie walki z *parem*: tej akurat nocy była wściekła, roztrzęsiona i spocona.

– Nie jesteś dobrym człowiekiem! – krzyczała. – Jesteś tylko dobrym żołnierzem, a najsmutniejsze jest to, że nie odróżniasz jednego od drugiego!

Później była w opłakanym stanie: zalana łzami, chora z głodu, chora z żalu.

– Przepraszam – mówiła. – Wcale tak nie myślę. Przecież wiesz.

I chwilę później:

– Pomóż mi. – Jej piękne oczy szklily się od łez, w słabym świetle lamp jej skóra była jak posrebrzona szronem. – Proszę, Matthiasie. Tak strasznie cierpię... Pomóż mi.

Zrobiłby wszystko, oddałby wszystko, żeby złagodzić jej ból, ale obiecał, że nie da jej więcej *parem*. Przysiągł, że nie pozwoli, by stała się niewolnicą narkotyku, i musiał tej przysięgi dotrzymać bez względu na ponoszone koszty.

– Nie mogę, najdroższa – odparł szeptem, kładąc jej zimny ręcznik na czoło. – Nie mogę przynieść ci *parem*. Kazałem im zamknąć drzwi od zewnątrz.

Wyraz jej twarzy nagle się zmienił, zmrużyła gniewnie oczy.

– To wyłam te zasrane drzwi, tępaku.

– Nie.

Splunęła mu w twarz.

Minęło kilka godzin. Uspokoila się, była wyczerpana i smutna, lecz mówiła do rzeczy. Leżała na boku, dyszała szybko i płytko, a jej powieki miały siną barwę.

– Mów do mnie – powiedziała.

– O czym?

– O czymkolwiek. Opowiedz mi o *isenulfach*.

Nie powinien się dziwić, że wie o *isenulfach*, białych wilkach szkolonych do walki w jednym szeregu z *drüskelle*. Były większe od zwyczajnych wilków i wytresowane w taki sposób, by słuchały swoich panów, ale nigdy nie błądziły w nieznanym terenie – i tą właśnie niemożliwą do zatarcia cechą najbardziej różniły się od udomowionych krewniaków.

Myślenie o Fjerdzie i życiu, które na zawsze porzucił, przychodziło mu z trudem, ale zmusił się do mówienia. Każdy sposób był dobry, by zająć czymś jej myśli.

– Czasem wilków jest więcej niż *drüskelle*, czasem to *drüskelle* są liczniejsi. Wilki same decydują, kiedy będą się parzyć; ich opiekun ma na to niewielki wpływ. Są zbyt uparte.

Nina najpierw się uśmiechnęła, a zaraz potem skrzywiła z bólu.

– Mów dalej – wyszeptała.

– Jeden i ten sam ród hoduje *isenulfy* od pokoleń. Mieszkają na dalekiej północy,

nieopodal Stenrinku, Kamiennego Kręgu. Kiedy pojawi się nowy miot, udajemy się tam pieszo i na saniach i każdy *drüskelle* wybiera sobie jedno szczenię i od tej pory jesteśmy odpowiedzialni za siebie nawzajem: walczymy ramię w ramię, śpimy na tych samych futrach, dzielimy się pożywieniem. Wilk nie jest zwykłym zwierzakiem-zabawką. Jest wojownikiem, jak my. Jesteśmy braćmi.

Nina się wzdrygnęła, a Matthias nagle poczuł się zakłopotany. W walce z griszami dobrze wyszkolony *isenulf* nieraz przychodził *drüskelle* z pomocą: rzucał się na przeciwnika i rozszarpywał mu gardło. Zwierzęta były niewrażliwe na moce ciałobójców. Ktoś taki jak Nina byłby zupełnie bezbronny w obliczu *isenulfa*.

– Co się dzieje, kiedy wilkowi przydarzy się jakieś nieszczęście? – spytała.

– *Drüskelle* może wytresować następnego, ale to okrutna strata.

– A co się dzieje z wilkiem, którego *drüskelle* zostanie zabity?

Matthias nie od razu odpowiedział. Nie chciał o tym myśleć. Trass był mu ogromnie bliski.

– Wraca do naturalnego środowiska, ale żadna sfora nie chce go przyjąć.

A czym jest wilk bez sfory? *Isenulfy* nie były stworzone do samotnego życia.

Kiedy *drüskelle* uznali, że Matthias nie żyje? Czy Brum osobiście wyprowadził Trassa na północ, na lód? Wizja jego wilka, który osamotniony przyzywa go bezsilnym wyciem i prosi, żeby go zabrał do domu, rozsadzała mu pierś. Ból był taki, jakby coś w nim pękło i pozostawiło po sobie echo, niosący się w pustce trzask gałęzi pękającej pod ciężarem nagromadzonego śniegu.

Jakby wyczuwając jego smutek, Nina otworzyła oczy, bladozielone jak pączek, z którego lada chwila rozwinię się liść. Ten kolor ściągnął go z lodu z powrotem do niej.

– Jak miał na imię?

– Trassel.

Kąciki ust Niny drgnęły.

– Awanturnik.

– Nikt inny go nie chciał.

– Ostatni z miotu?

– Nie. Wprost przeciwnie.

Tygodniowa wędrówka do Kamiennego Kręgu nie należała do łatwych. Matthias nie bawił się najlepiej. Miał dwanaście lat, był nowy wśród *drüskelle* i codziennie myślał o tym, żeby od nich uciec. Nie miał nic przeciwko szkoleniu; długie godziny spędzone na bieganiu i pozorowanych walkach pomagały mu zapomnieć o tęsknocie za rodziną. Chciał zostać oficerem. Chciał walczyć z griszami. Chciał uczcić pamięć rodziców i siostry. *Drüskelle* nadali jego życiu sens. Ale cała reszta? Żarty w stołówce? Niekończące się przechwałki? Bzdurna gadka szmatka? To go nie interesowało. Miał rodzinę, która została pochowana w czarnej ziemi. Ich dusze poszły do Djela. Dla niego *drüskelle* byli tylko środkiem do osiągnięcia celu.

Brum go przestrzegął, że nie stanie się prawdziwym *drüskelle*, dopóki nie nauczy się postrzegać innych chłopców jako braci, ale Matthias mu nie wierzył. Był z nich

wszystkich najwyższy, najsilniejszy, najszybszy. Nie musiał być lubiany, żeby przetrwać.

Całą podróż spędził na saniach zakutany w futra. Z nikim nie rozmawiał, a kiedy w końcu dotarli na miejsce, trzymał się z tyłu, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, gdy pozostali *drüskelle* wpadli z impetem do obszernej szopy, przekrzykując się i przepychając w wyścigu do puchatego zlepka białych wilczych szczeniąt o ślepiach jak odłamki lodu.

Prawda była taka, że rozpaczliwie chciał dostać własnego szczeniaka, ale wiedział, że *isenulfów* może nie wystarczyć dla wszystkich. To opiekunka wilków decydowała o tym, kto dostanie którego zwierzaka, a kto wróci do domu z pustymi rękami. Większość chłopców już próbowała zagadnąć i przekonać starą kobietę.

– Widzisz? Ten już mnie polubił!

– Zobacz! Zobacz! Powiedziałem „siad” i usiadła!

Wiedział, że powinien się postarać, wysilić, pokazać z dobrej strony. Zamiast tego podszedł jednak do zagrody w głębi szopy, gdzie w kącie, w plecionej z drutu klatce, coś mignęło mu złotem: odbłask światła w parze czujnych ślepi. Podszedł bliżej i zobaczył wilka, już nie szczeniaka, ale jeszcze nie całkiem dorosłego. Na widok Matthiasa wilk się zjeżył, spuścił łeb i obnażył zęby. Długa szrama przecinała mu pysk aż po prawe oko, którego źrenica częściowo zmieniła kolor z niebieskiego na cętkowany brązowy.

– Z tym lepiej się nie zadawać – ostrzegła go opiekunka.

Matthias nie zorientował się, kiedy zaszła go od tyłu.

– Nie ma kłopotów ze wzrokiem?

– Nie. Ale nie lubi ludzi.

– Dlaczego?

– Kiedy był szczeniakiem, wyrwał się stąd i pokonał dwie mile po lodzie, zanim jakiś dzieciak znalazł go i pociął ubitą butelką. Od tamtej pory nikomu nie pozwala się do siebie zbliżyć, a pomału robi się za stary na tresurę. Niedługo trzeba go będzie uśpić.

– Wezmę go.

– Prędzej rozszarpie cię na strzępy, niż da ci się nakarmić, chłopcze. Następnym razem znajdziemy coś dla ciebie.

Kobieta się oddaliła.

Matthias otworzył klatkę.

Wilk natychmiast się na niego rzucił.

Matthias omal nie krzyknął, gdy zwierzę zatopiło kły w jego przedramieniu. Przewrócił się. Wilk stał nad nim i szarpał, ból był nie do zniesienia, lecz Matthias nawet nie jęknął. Patrzył zwierzęciu prosto w oczy, gdy zęby coraz bardziej zagłębiały się w jego ciele. Wilk powarkiwał basowo. Nacisk jego szczęk mógłby chyba zdruzgotać człowiekowi kości, ale Matthias nie stawiał oporu. Nie krzyczał. I nie odwracał wzroku.

Nie skrzywdzę cię, obiecał w duchu. Nawet jeśli ty skrzywdzisz mnie.

Minęła jedna długa chwila, potem druga. Krew wsiąkała w rękaw. Matthias zaczynał się obawiać, że zaraz straci przytomność.

Wilk powoli rozwarł szczęki i usiadł. Przekrzywił łeb. Biały pysk miał cały umazany krwią Matthiasa. Sapnął.

– Mnie też miło cię poznać – powiedział Matthias.

Ostrożnie usiadł, oddartym rąbkiem koszuli zabandażował ranę i zalani krwią wrócili z wilkiem do miejsca, w którym młodzi *drüskelle* i wilcze szczenięta tworzyli rozbrykaną biało-szarą masę.

– Ten jest mój – powiedział, gdy wszyscy spojrzeli na niego szeroko otwartymi oczami.

Stara opiekunka pokręciła głową.

Matthias zemdlał.

Tamtej nocy na statku opowiedział Ninie o Trasselu, o jego nieprzejednanej naturze i poszarpanej bliźnie na pysku. W końcu zasnęła i on również pozwolił sobie zamknąć oczy. Łód czekał. Zabójczy wiatr szczyrzył białe zębiska, w oddali wyły wilki, Nina krzyczała, a on nie mógł po nią pójść.

Od tamtej pory co noc śnił ten sam sen. Trudno było postrzegać go inaczej niż jako złowieszczy omen, dlatego gdy Nina niedbałym gestem wrzuciła do kieszeni żółtą tabletkę, Matthias miał wrażenie, że na jego oczach rozpętuje się burza: skowyt wichury w uszach, ziąb wgryzający się w kości i przejmujące wrażenie, że na pewno straci Ninę.

– Może *parem* już by na ciebie nie podziałała – powiedział, gdy dotarli w końcu do pustawego kanału, gdzie porzucili *gondelę*.

– Słucham?

– Twoja moc się zmieniła, prawda?

Nina zwolniła kroku.

– Tak.

– Pod wpływem *parem*?

Nina się zatrzymała.

– Dlaczego o to pytasz?

Nie chciał jej o nic pytać, chciał ją tylko znów pocałować. Mimo to odparł: – Gdyby Shu cię pojмали, mogliby nie dać rady zniewolić cię narkotykiem.

– Albo mogłoby się okazać, że reaguję na niego równie źle jak przedtem.

– Ta pigułka, którą dała ci Tamar, ta z trucizną...

Dotknęła jego ręki.

– Nie dam się złapać, Matthiasie.

– Ale gdyby...

– Nie wiem, co zrobiła ze mną *jurda parem*. Muszę wierzyć w to, że skutki jej działania z czasem osłabną.

– A jeśli nie?

– Muszą – powiedziała z marsową miną Nina. – Nie mogę tak żyć, jakbym... była tylko połową siebie. Chociaż...

– Chociaż? – zainteresował się Matthias.

– Głód stał się mniej dokuczliwy – odparła Nina takim tonem, jakby dopiero przed chwilą uświadomiła sobie ten fakt. – Prawdę mówiąc, od czasu tej rozróby w tawernie prawie nie myślałam o *parem*.

– Czyżby użycie nowej mocy ci pomogło?

– Być może – przytaknęła z rezerwą. – Poza tym...

Zmarszczyła brwi. Rozległ się basowy, przeciągły pomruk.

– Burczy ci w brzuchu?!

– Tak. – Nina rozpromieniła się w olśniewającym uśmiechu. – Umieram z głodu.

Czyżby naprawdę dochodziła do siebie? A może to, co zrobiła w tawernie, przywróciło jej apetyt? Matthiasowi było to obojętne; w tej chwili cieszył się jak wariat, że tak się do niego uśmiecha.

Porwał ją w ramiona i zakręcił nią w powietrzu.

– Uważaj, bo sobie coś naderwiesz – ostrzegła go z uśmiechem.

– Jesteś lekka jak piórko.

– Wolałabym nie oglądać ptaka, z którego to piórko miałoby pochodzić. A teraz chodź, kupimy dla mnie stos gofrów dwa razy wyższy od ciebie. Muszę... – Nina urwała w pół słowa i pobladła jak płótno. – Na wszystkich świętych...

Matthias obejrzał się przez ramię i stwierdził, że patrzy w oczy samemu sobie. Na ścianie domu wisiał plakat przyozdobiony jego przerażająco wierną podobizną. Ponad rysunkiem i po bokach w kilku językach wypisano jedno słowo: POSZUKIWANY.

Nina zerwała plakat.

– Miałeś być martwy.

– Najwidoczniej ktoś zażyczył sobie okazania zwłok Muzzena, zanim zostały spalone.

Może Fjerdanie. A może ktoś z personelu więzienia.

Pod rysunkiem widniało znacznie więcej kercheńskich słów; Matthias nie potrafił wszystkich przeczytać, ale własne nazwisko i cyfry odczytał bez problemu.

– Pięćdziesiąt tysięcy *kruge*. Wyznaczyli nagrodę za schwytanie mnie.

– Nie. – Nina wskazała tekst poniżej sumy pieniędzy i przetłumaczyła: – „Poszukiwany Matthias Helvar. Żywy lub martwy”. Wyznaczyli cenę za twoją głowę.



16

JESPER

Kiedy Nina z Matthiasem wparowali do grobowca, Jesper miał ochotę zerwać się od stołu i zatańczyć z nimi obojgiem. Od godziny tłumaczył Kuweiovi, w jaki sposób przedostaną się do ambasady, i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że chłopak celowo zgrywa głupiego. A może po prostu podobała mu się niedorzeczna gestykulacja Jespera.

– Mógłbyś jeszcze raz powtórzyć tę końcówkę? – poprosił Kuwei, nachylając się nieco zbyt blisko.

– Nino?! – zawołał Jesper. – Możesz nam pomóc?

– Świętym niech będą dzięki! – ucieszyła się Inej.

Wyprostowała się nad stołem, gdzie wraz z Kazem i Wylanem montowali sprzęt wykradzony przez tego pierwszego z Cirkus Zirkoa. Wylan od dwóch godzin wprowadzał przeróżne modyfikacje, żeby zagwarantować jej bezpieczeństwo podczas wspinaczki na silosy. W tej chwili mocował magnetyczne przyłgi, które miały się czepiać metalowych ścian zbiorników.

– Dlaczego tak się na niego gapisz? – spytał Kuwei Jespera. – Wyglądam tak samo jak on, mógłbyś patrzeć na mnie.

– Wcale się na niego nie gapię – zaoponował Jesper. – Po prostu... nadzoruję ich pracę.

Im prędzej wsadzą Kuweia na ten statek, tym lepiej. W grobowcu robiło się tłoczno.

– Udało się wam skontaktować z uciekinierami? – Inej przywołała Ninę gestem i zrobiła jej miejsce do siedzenia przy stole.

– Poszło jak po maśle – odparła Nina. – Jeśli pominąć wybite okna i strzelaninę.

Kaz podniósł wzrok. Jej słowa przykuły jego uwagę.

– Wielka draka w ravkańskiej dzielnicy? – spytał Jesper.

– Nic takiego, z czym byśmy sobie nie poradzili. A teraz powiedzcie mi, proszę, że macie coś do jedzenia.

– Jesteś głodna? – zdziwiła się Inej.

Wszyscy wybałuszyli oczy.

Nina dygnęła z wdziękiem.

– Tak, tak, Nina Zenik jest głodna. Dacie mi coś zjeść czy mam sobie ugotować któreś z was?

– Wolne żarty! – zachnął się Jesper. – Przecież ty nie masz pojęcia o gotowaniu.

Inej już bobrowała w zapasach pożywienia i po chwili podsunęła Ninie skromne resztki: solonego dorsza, trochę suszonego mięsa i czerstwe krakersy.

– Co się wydarzyło w tawernie? – zainteresował się Kaz.

– Uciekinierzy ukrywają się na terenie ambasady – odparł Matthias. – Spotkaliśmy się z...

– Z ich przywódcą – przejęła inicjatywę Nina. – Będą czekać na nasz sygnał. – Wepchnęła do ust dwa krakersy naraz. – Fuj, ależ paskudne!

– Nie tak łapczywie – odpowiedział Matthias. – Udławisz się.

– Będzie warto – wykrztusiła, przełknąwszy z wysiłkiem.

– Umrzeć dla krakersa?

– Udaję, że to paszteciki. Kiedy odpływa statek?

– Znaleźliśmy transport melasy do Os Kervo, o jedenastej – odparła Inej. – Specht już przygotowuje dokumenty.

– Świetnie. – Nina wyjęła z kieszeni zmięty arkusz papieru, rozprostowała go i położyła na stole. Z rysunku spojrzła na wszystkich twarz Matthiasa. – Musimy ulotnić się z miasta najszybciej, jak się da.

– A niech mnie! – mruknął Jesper. – Kaz i Wylan nadal na prowadzeniu.

Wskazał na ścianę, gdzie powiesili inne podobizny poszukiwanych: Jespera, Kaza i Inej. Van Eck nie odważył się jeszcze oblepić wszystkich wolnych powierzchni w Ketterdamie podobizną Kuweia Yul-Bo, musiał jednak udawać, że szuka zaginionego syna, wydrukował więc plakat z ofertą nagrody za bezpieczne odstawienie Wylana Van Ecka do domu: przedstawiał dawną twarz Wylana, zdaniem Jespera niezbyt podobną do prawdziwej. W tej chwili w galerii brakowało już tylko Niny: nigdy nie spotkała się z Van Ekiem i mimo jej związków z Szumowinami było prawdopodobne, że kupiec nie wie o jej zaangażowaniu w całą sprawę.

Matthias obejrzał wszystkie podobizny.

– Sto tysięcy *kruge*! – Z niedowierzaniem spojrzął spode łba na Kaza. – Nie jesteś tyle wart.

Po twarzy Kaza przemknął cień uśmiechu.

– Tak wycenia mnie rynek.

– A ja co mam powiedzieć? – mruknął Jesper. – Za mnie dają tylko trzydzieści tysięcy.

– Tu chodzi o wasze życie! – Wylan był zdumiony. – Jak możecie się tak licytować?

– Siedzimy w grobie, z którego nie możemy na razie wyjść, kupczyku. Trzeba szukać rozrywki tam, gdzie jest dostępna.

– Może wszyscy powinniśmy popłynąć do Ravki? – zasugerowała Nina. Postukała palcem w portret Inej. – Tutaj nie jesteście bezpieczni.

– To nie jest taki zły pomysł – przyznał Kaz.

Inej posłała mu szybkie spojrzenie.

– Popłynąbyś do Ravki?

– Nigdy w życiu. Przyczaję się tutaj i poczekam: chcę zobaczyć, jak życie Van Ecka rozpada się na kawałki.

– Ale ty byś mogła płynąć z nami – powiedziała Nina do Inej. – Jesper, a ty? Colma też możemy zabrać.

Jesper pomyślał o ojcu, który – zamknięty w luksusowym apartamencie w Geldrennerze – pewnie już wydeptał ścieżkę w dywanie, przechadzając się nerwowo w tę i z powrotem. Minęły zaledwie dwa dni, odkąd ojciec z odprowadzającym go Rottym zniknęli wśród grobowców, Jesper miał jednak wrażenie, że upłynęło znacznie więcej czasu. On od tamtej pory mało nie zginął z ręki łowców griszów, a potem doczekał się wyznaczenia nagrody za swoją głowę. Gdyby jednak dzisiaj doprowadzili robotę do końca, ojciec nie musiałby o niczym wiedzieć.

– Nie – odparł. – Chcę, żeby tatko jak najszybciej odzyskał pieniądze i wrócił do Nowoziemia. Nie będę spał spokojnie, dopóki nie znajdzie się bezpiecznie na farmie. Przesiedzimy w hotelu do czasu, aż Van Eck zostanie zdyskredytowany i rynek cukru zwariuje.

– Inej? – spytała Nina.

Wszyscy spojrzeli na Zjawę – wszyscy poza Jesperem, który obserwował Kaza, ciekaw, jak ten zareaguje na możliwość wyjazdu Inej z miasta. Kaz jednak zachował tak beznamiętny wyraz twarzy, jakby czekał na informację, o której godzinie zostanie podany obiad.

Inej pokręciła głową.

– Kiedy udam się do Ravki, zrobię to na swoim statku, ze swoją załogą.

Jesper uniósł w zdumieniu brwi.

– A odkąd to z ciebie taki wilk morski? I w ogóle kto przy zdrowych zmysłach chciałby spędzać na statku jeszcze więcej czasu?

– To miasto podobno wpędza ludzi w obłąd – przyznała z uśmiechem Inej. – Tak słyszałam.

Kaz wyjął zegarek z kieszonki kamizelki.

– Wychodzimy o ósmej. Van Eck organizuje dziś u siebie zebranie Rady Kupieckiej.

– Myślisz, że zaczną jakoś intensywniej szukać Wylana? – spytała Nina.

– To możliwe, ale dla nas już nieistotne. Tłum gości i ogólny rozgardiasz zaprzątną uwagę gospodarzy, co pozwoli mnie i Wylanowi wykraść pieczęć z sejfu. W tym samym czasie Inej i Nina przypuszczają atak na Słodką Rafę. Straż regularnie patroluje okolice silosów; obojście całego terenu dookoła zajmuje wartownikom około dwunastu minut. Ktoś zawsze pilnuje bramy, więc uważajcie przy podejściu. – Kaz postawił na stole malutką buteleczkę z korkiem. – Wyciąg z kawy. Kuwei, Nina, Jesper, miejcie go na sobie jak najwięcej. Jeżeli ci żołnierze z Shu Hanu naprawdę są w stanie zwęszyć griszów, coś takiego może ich zmylić.

– Z kawy? – powtórzył Kuwei. Odkorkował buteleczkę i ostrożnie powąchał.

– Cwane – przyznał Jesper. – Kiedyś ukrywaliśmy nielegalne transporty *jurdy* i

przypraw w workach z ziarnami kawy, żeby psy *stadwachty* ich nie zwęszyły.

Nina wzięła buteleczkę do ręki i obficie posmarowała się ekstraktem na nadgarstkach i za uszami.

– Miejmy nadzieję, że kherguudowie są pod tym względem podobni do psów.

– I że ci wasi uciekinierzy będą gotowi – dodał Kaz. – Ilu ich jest?

– Mniej, niż się spodziewaliśmy: piętnaścioro, do tego dochodzą... ehm... dwie osoby z ambasady. Razem siedemnaścioro.

– Plus ty, Matthias, Wylan i Kuwei. Łącznie dwadzieścia jeden. Specht sprokuruje odpowiednie dokumenty.

– Ja nie płynę – oznajmił Wylan.

Jesper złożył dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie.

– Nie?

– Nie dam się ojcu drugi raz wygnać z miasta.

– Dlaczego wszystkim tak zależy na pozostaniu w tej nędznej dziurze? – zdziwiła się Nina.

Jesper odchylił się w tył na krześle i obserwował Kaza, który przyjął decyzję Wylana bez śladu zaskoczenia.

– Wiedziałeś – powiedział Jesper. Elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsca.

– Wiedziałeś, że matka Wylana żyje.

– Matka Wylana żyje? – powtórzyła Nina.

– A myślałeś, że dlaczego wysłałem właśnie was dwóch do Olendaalu?

– Wiedziałeś, że skłamałem w sprawie kamieniołomu – wykrztusił zdumiony Wylan.

Jesper się wściekł. Kaz mógł sobie do woli igrać z jego uczuciami, ale Wylan był inny. Mimo że los przydzielił mu fatalnego ojca, nie dopuścił do tego, żeby Ketterdam i niesprzyjające okoliczności pozbawiły go przyrodzonej dobroci. Nadal wierzył w to, że ludzie mogą postępować słusznie.

Jesper wycelował w Kaza palec wskazujący w oskarżycielskim geście.

– Nie powinieneś był wysyłać go do Świętej Hildy tak w ciemno. To było okrutne.

– To było konieczne.

Wylan zacisnął pięści.

– Dlaczego?

– Dlatego że wciąż jeszcze nie rozumiałeś, kim naprawdę jest twój ojciec.

– Mogłeś mi powiedzieć.

– Byłeś zły, a złość męczy. Ja potrzebowałem twojego słusznego gniewu.

– Proszę bardzo. – Wylan skrzyżował ramiona na piersi. – Masz, czego chciałeś.

Kaz splótł dłonie na główce laski.

– Robi się późno. Proponuję, żebyście pochowali chusteczki z haftem *Biedny Wylan* i skoncentrowali się na czekającym was zadaniu. Pół do dziesiątej Matthias, Jesper i Kuwei wyruszą w drogę do ambasady. Podejdziecie od strony kanału. Jesper? Jesteś wysoki, ciemnoskóry, wyróżniasz się w tłumie...

– Wszystko to synonimy „wspaniałego”.

– ...a to oznacza, że musisz być dwakroć ostrożniejszy od innych.

– Za wybitność się płaci.

– Wysił się na odrobinę powagi – zrugął go Kaz głosem jak zardzewiała klinga.

Czyżby pobrzmiwała w nim autentyczna troska? Jeśli tak, to Jesper wolał się nie zastanawiać, czy odnosiła się do niego, czy do zadania.

– Działajcie szybko – mówił dalej Kaz – ale przed dziesiątą nie sprowadzajcie ludzi do portu; nie chcę, żeby ktoś zwrócił na was uwagę. Spotkamy się w Trzeciej Przystani, stanowisko numer piętnaście. Statek nazywa się *Verrhader*. Kilka razy w roku pływa z Kerchu do Ravki i z powrotem. – Wstał od stołu. – Bądźcie czujni i nie róbcie hałasu. Jeśli Van Eck coś zwęszy, szlag trafi cały plan.

– I uważajcie na siebie – dodała Inej. – Chcę świętować razem z wami wszystkimi, kiedy statek wyjdzie w morze.

Jesper też tego chciał – żeby wszyscy bezpiecznie dopłynęli na drugi brzeg tej nocy. Podniósł rękę.

– A będzie szampan?

Nina dojadła resztkę krakersów i oblizwała palce.

– Ja będę, a potrafię być niezwykle musująca.

Potem nie pozostało im już nic innego jak tylko dokończyć pakowanie ekwipunku. Nie będzie wielkich pożegnań.

Szurając nogami, Jesper podszedł do stołu, przy którym Wylan, zajęty pakowaniem swojej torby, udawał, że szuka czegoś w stosie map i dokumentów.

– Mógłbyś zostać ze mną i z tatkiem – zaproponował Jesper po chwili wahania. – Gdybyś chciał. W hotelu. Jeśli szukasz miejsca, w którym można by to wszystko przeczekać.

– Serio?

– No pewnie. – Jesper wzruszył ramionami. Ten gest dziwnie mu nie leżał. – Kaz, Inej? Wy też. I tak nie możemy się rozbiec na wszystkie strony, zanim sprawiedliwość zostanie wymierzona.

– Co potem? Kiedy już spłacisz ojca, wrócisz do Nowoziemia?

– Powinienem.

Wylan czekał. Jesper nie miał dla niego innej odpowiedzi. Wracając na farmę, byłby wolny od pokus Ketterdamu i Baryłki, ale mógł się wpakować w inne kłopoty. W dodatku będzie miał sporo pieniędzy: nawet po spłaceniu pożyczki zostaną mu ponad trzy miliony *kruge*. Znowu wzruszył ramionami.

– Od planowania jest Kaz.

– Oczywiście – przytaknęła Wylan, ale nie ukrył przed Jesperem malującego mu się na twarzy rozczarowania.

– Za to ty pewnie już rozписаłeś sobie całą przyszłość?

– Nie. Wiem tylko, że zamierzam wyciągnąć matkę z tego szpitala i stworzyć dla nas jakieś nowe życie. – Wylan ruchem głowy wskazał plakaty na ścianie. – Na pewno tego właśnie chcesz? Życ jak przestępca? Bujać się od przewału do przewału, od rozróby do

rozmowy?

– Szczerze? – spytał Jesper. Wiedział, że to, co za chwilę powie, raczej się Wylanowi nie spodoba.

– Już czas! – zawołał od drzwi Kaz.

– Tak – przytaknął Jesper. – Tego właśnie chcę.

Wylan zarzucił torbę na ramię. Jesper bez namysłu złapał za pasek od niej i nie puszczał.

– Ale to nie jest wszystko, czego chcę – dodał.

– Idziemy! – ponaglił Wylana Kaz.

Połamie mu na głowie tę jego laskę! – pomyślał Jesper i puścił torbę.

– Żadnych żałobników – powiedział.

– Żadnych pogrzebów – odparł półgłosem Wylan i obaj z Kazem wyszli.

Następne były Inej i Nina. Nina zniknęła w jednym z bocznych korytarzy, żeby zrzucić nedorzeczne fjerdańskie przebranie i włożyć bardziej praktyczne spodnie, koszulę i płaszcz, wszystkie uszyte w Ravce na ravkańską modłę. Zabrała ze sobą Matthiasa.

– Koncentrujecie się na zadaniu? – upewnił się Jesper, gdy po kilku długich minutach wrócili rozchełstani, rozczochrani i zaczerwienieni.

– Uczę Matthiasa, na czym polega dobra zabawa. Jest świetnym uczniem. Bardzo pilnym.

– Nino... – burknął ostrzegawczo Matthias.

– Chwilami ma jeszcze niewłaściwe nastawienie, ale dobrze rokuje.

Inej podsunęła Jesperowi buteleczkę z kawą.

– Uważaj na siebie, Jes.

– Ostrożność przychodzi mi równie naturalnie jak Matthiasowi dobra zabawa.

– Umiem się perfekcyjnie bawić – nasrożył się Matthias.

– Perfekcyjnie – zgodził się z nim Jesper. – Dobre słowo.

Miał do powiedzenia znacznie więcej im wszystkim, a zwłaszcza Inej, ale nie chciał tego robić przy świadkach. Może nigdy tego nie robi. Był jej winien przeprosiny. To przez jego nieostrożność dali się zaskoczyć w Piątej Przystani przed wyruszeniem do Lodowego Dworu; to był błąd, którego Zjawa omal nie przypłaciła życiem. Ale jak za coś takiego przeprosić, do diabła?

Przepraszam, że przeze mnie prawie zadźgano cię na śmierć. Ktoś chce gofra?

Zanim wdał się w dalsze rozważania tej kwestii, Inej cmoknęła go w policzek, Nina pokazała środkowy palec galerii portretów na ścianie i pozostało mu już tylko czekać na godzinę pół do dziesiątej. Został w grobowcu z przygnębionym Kuweiem i krążącym w kółko Matthiasem.

Kuwei zaczął przekładać notatniki w plecaku.

Jesper usiadł przy stole.

– Naprawdę wszystkie są ci potrzebne?

– Tak – przytaknął Kuwei. – Byłeś kiedyś w Ravce?

Boi się, pomyślał Jesper. Biedny dzieciak.

– Nie – odparł – ale Nina i Matthias będą z tobą.

Kuwei zerknął na Matthiasa i szepnął:

– On jest okropnie surowy.

Jesper nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Może kiepski z niego kompan do wypitki, ale ma swoje zalety.

– Słyszałem, Fahey – burknął Matthias.

– To dobrze. Nie lubię krzyczeć bez potrzeby.

– Czy ty w ogóle nie myślisz o innych?

– Ależ myślę, oczywiście, że myślę, tylko że wszyscy dawno wyrosliśmy z becików i czas zamartwiania się minął. Teraz możemy się zabawić. – Jesper poklepał rewolwery u pasa.

– Możemy działać.

– Albo umrzeć – mruknął Matthias. – Obaj doskonale wiemy, że Nina nie jest w najlepszej formie.

– Nie musi być, bo choć nad tym ubolewam, dzisiaj chodzi o to, żeby nie wdać się w żadną awanturę.

Matthias przestał spacerować i usiadł naprzeciwko Jespera.

– Co się wydarzyło w domku nad jeziorem?

Jesper przyglądał zagnieciony rożek jednej z map.

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że udusiła gościa chmurą pyłu.

– Nie rozumiem – przyznał Matthias. – Jak to chmurą pyłu? Dzisiaj udało jej się pokierować odłamkami kości... Przed *parem* czegoś takiego nie potrafiła. Uważa, że to tylko tymczasowa zmiana, pozostałość po działaniu narkotyku, ale... – Spojrzał na Kuweia. – Czy *parem* może zmienić moc grizy? Albo ją zniszczyć?

– Chyba nie można tego wykluczyć – przyznał Kuwei, bawiąc się zapięciem plecaka. – Nina przeżyła odstawienie, to się rzadko zdarza. A my w dodatku tak samo mało wiemy o *parem*, jak i o naturze mocy griszów.

– Za mało ich pokroiliście, żeby rozwikłać tę zagadkę?

Słowa same popłynęły z ust Jespera, zanim zdążył je przemyśleć. Wiedział, że jest niesprawiedliwy: nie dość, że Kuwei i jego ojciec sami byli griszami, to jeszcze nie mieli żadnego wpływu na swoich rodaków, kiedy ci eksperymentowali na innych griszach.

– Jesteś na mnie zły? – spytał Kuwei.

– Ja się nie złościę – odparł z uśmiechem Jesper. – To nie w moim stylu.

– Właśnie, że się złościś – zaprotestował Matthias. – Złościś się i boisz.

Jesper zmierzył go wzrokiem.

– Że co, proszę?

– Jesper jest bardzo odważny – wstawił się za nim Kuwei.

– Dzięki, że zauważyłeś. – Jesper wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach. – Chcesz mi coś powiedzieć, Matthiasie?

– Dlaczego nie chcesz płynąć do Ravki?

– Mój ojciec...

– Twój ojciec mógłby dzisiaj popłynąć z nami. A jeśli tak się o niego martwisz, to

dlaczego nie odwiedziłeś go dzisiaj w hotelu?

– Nie rozumiem, dlaczego miałoby cię to interesować.

– Wiem, jakie to uczucie, kiedy wstydzisz się tego, co zrobiłeś; tego, kim jesteś.

– Naprawdę chcesz o tym dyskutować, łowco czarownic? Ja się nie wstydzę; jestem po prostu ostrożny. Przez takich ludzi jak ty i twoi kumple *drüskelle* świat jest niebezpiecznym miejscem dla takich jak ja. Zawsze taki był i nie zanoszę na poprawę.

Kuwei z błagalną miną dotknął ręki Jespera.

– Zrozum, proszę, to, co zrobiliśmy... co zrobił mój ojciec... Chcieliśmy poprawić los griszów, dać im możliwość...

Wykonał taki gest, jakby coś tłamsił ręką.

– Ograniczania swojej mocy? – odpowiedział Matthias.

– Tak. Właśnie tak. Żeby łatwiej mogli się z nią kryć. Griszowie, którzy nie korzystają ze swoich mocy, chorują: szybciej się starzeją, łatwo się męczą, tracą apetyt. Po tym także w Shu Hanie rozpoznaje się ukrywających się griszów.

– Ja nie korzystam z moich mocy – zauważył Jesper – a mimo to... – Podniósł dłoń z rozczapierzonymi palcami, żeby odliczać na nich kolejne kwestie. – Po pierwsze, założyłem się kiedyś, że zjem koryto gofrów z syropem jabłkowym, i niewiele brakowało, żebym poprosił o dokładkę. Po drugie, nigdy nie skarżyłem się na brak energii. Po trzecie, nigdy nie byłem chory, nawet przez jeden dzień.

– Naprawdę? – zdziwił się Matthias. – Bo wiesz, są różne choroby.

Jesper oparł dłonie na rękojeściach rewolwerów. Było widać, że Fjerdanin ma dziś wyjątkową gonitwę myśli.

Kuwei wyjął z plecaka puszkę zwykłej *jurdy*, jaką można było kupić w każdym *ketterdamskim* sklepie.

– *Jurda* jest środkiem pobudzającym, pomaga na zmęczenie. Ojciec uważa... uważał, że *jurda* będzie odpowiedzią na potrzeby takich jak my. Gdybyśmy opracowali odpowiednią recepturę, wszyscy griszowie mogliby ukrywać swoją moc, nie podupadając przy tym na zdrowiu.

– Trochę wam nie wyszło, co? – wytknął mu Jesper. No dobrze, może troszeczkę się złościł.

– Próby nie poszły po naszej myśli. Ktoś z laboratorium się wygadał, nasi przywódcy się dowiedzieli i znaleźli inne zastosowanie dla *parem*. – Kuwei pokręcił głową, wskazując swój plecak. – Próbuję odtworzyć doświadczenia, które przeprowadzał ojciec.

– I to właśnie gryzmolisz w tych wszystkich notesikach?

– Prowadzę też dziennik.

– Fascynujący, bez wątpienia. Dzień pierwszy: siedzę w grobowcu. Dzień drugi: nadal siedzę w grobowcu.

– Udało ci się do czegoś dojść? – spytał Matthias, udając, że nie słyszy Jespera.

– Tak jakby. – Kuwei zmarszczył brwi. – Tak mi się w każdym razie wydaje. W prawdziwym laboratorium, z prawdziwymi specjalistami, może byłoby lepiej. Nie jestem taki jak ojciec: on był fabrykatorem, ja jestem piekielnikiem. To nie moja specjalność.

– A jaka jest twoja specjalność? – zainteresował się Jesper.

Kuwei posłał mu zadumane spojrzenie.

– Nigdy nie miałem okazji się przekonać – odparł. – W Shu Hanie żyliśmy w ciągłym strachu. To nie był dom.

Tę kwestię Jesper rozumiał doskonale.

Wziął do ręki puszkę z *jurdką* i podważył wieczko. To był dobry towar, słodko pachnący, suszone kwiaty były prawie niepołamane i miały intensywnie pomarańczowy kolor.

– Twierdzisz, że gdybyś miał do dyspozycji laboratorium i paru fabrykatorów, mógłbyś powtórzyć eksperymenty ojca i opracować recepturę antidotum?

– Mam nadzieję.

– Jak miałyby działać?

– Oczyszczałyby ciało z *parem*? – zaciekawił się Matthias.

– Tak – powiedział Kuwei. – Wyrzucałyby *parem* na zewnątrz. Ale nawet gdyby nam się udało, to jak podać antidotum griszy?

– Trzeba by się do niego zbliżyć na tyle, żeby mu je wstrzyknąć – podsunął Matthias. – Albo go zmusić, żeby je połknął.

– Sęk w tym, że gdy tylko znajdziesz się w zasięgu jego mocy, będzie po tobie – zauważył Jesper.

Ścisnął w palcach kwiat *jurdy*. Ktoś kiedyś z pewnością opracuje recepturę swojej wersji *jurdy parem*, a wtedy taki kwiatek będzie wart fortunę.

Gdyby trochę bardziej skupił się na jego płatkach, tylko trochę, mógłby poczuć, jak rozpadają się na mniejsze cząstki składowe. Nie był to wzmocniony wzrok, raczej instynktowne postrzeganie zróżnicowanych drobin materii składających się na większą całość.

Odłożył kwiat do puszek. W dzieciństwie, wylegując się na ojcowskich łąkach, odkrył, że potrafi odbarwiać kwiaty *jurdy*, płatek po płatku. Któregoś popołudnia, nudząc się śmiertelnie, wypisał w ten sposób (wielkimi literami) brzydkie słowo na całym zachodnim pastwisku. Ojciec był wściekły – i zarazem przerażony; skrzyczał go tak, że aż ochryplł, a potem po prostu siedział i patrzył na syna, kurczowo zaciskając dłonie na kubku z herbatą, żeby ukryć ich drżenie. Z początku Jesper był przekonany, że ojciec złości się o przekleństwo, ale Colmowi wcale nie o to chodziło.

– Jes – odezwał się w końcu – nigdy więcej tego nie rób. Obiecuj mi. Mama też ma taki dar, dlatego wiem, że przyniesie ci nieszczęście.

– Obiecuję – wypalił pośpiesznie Jes, chcąc ugłaskać ojca.

Wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po wstrząsie, jakim był widok spokojnego i łagodnego na co dzień Colma ogarniętego takim gniewem, ale w głowie miał tylko jedną myśl: mama wcale nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej.

Prawdę powiedziawszy, matka Jespera – Nowoziemka, o skórze ciemnobrązowej ze śliwkowym odcieniem, wyższa od męża, który musiał zadzierać głowę, żeby spojrzeć jej w oczy – ze wszystkiego czerpała radość. Zanim Jesper dorósł na tyle, żeby u boku ojca pracować w polu, siedział z matką w domu: zawsze było jakieś pranie do zrobienia,

jedzenie do przygotowania, drewno do porąbania, a Jesper uwielbiał pomagać matce.

– Jak się miewa moja ziemia? – pytała codziennie pod wieczór, gdy ojciec wracał z pola.

Dopiero później Jesper odkrył, że gospodarstwo było zapisane na jej nazwisko jako prezent ślubny od ojca, który przez blisko rok zabiegał o względy Aditi Hilli, zanim łaskawie raczyła go zauważyć.

– Kwitnąco – odpowiadała, całując ją w policzek. – Tak jak ty, najdroższa.

Tatko zawsze obiecywał Jesperowi, że wieczorem się z nim pobawi i nauczy go rzeźbić w drewnie, ale po kolacji za każdym razem zasypiał przy kominku, nie zdjawszy nawet butów, których podeszwy *jurda* barwiła na pomarańczowo. Jesper z matką ściągali mu je z nóg, chichocząc przy tym, po czym przykrywali go kocem i wracali do wieczornych obowiązków. Sprząтали ze stołu, zdejmowali pranie ze sznura, po czym matka kładła Jespera spać. Bez względu na to, jak bardzo było zapracowana, ile zwierząt musiała oskórować i ile koszyków naprawić, zawsze miała niespożyta energię, tak jak Jesper, i zawsze miała czas, żeby opowiedzieć mu bajkę na dobranoc albo zanucić kołysankę.

To ona nauczyła go jeździć konno, łowić i oprawiać ryby, oskubywać ptaki z piór, rozpalać ogień za pomocą dwóch patyczków, parzyć herbatę. Nauczyła go też strzelać – najpierw z dziecięcej śrutówki, właściwie jeszcze zabawki, później z rewolwerów i karabinu.

– Każdy może strzelać – mówiła mu – ale nie każdy umie celować.

Nauczyła go oceniania odległości, tropienia zwierzyny w gąszczu, uwzględniania siły wiatru i strzelania najpierw w biegu, a potem także z grzbietu galopującego konia. Przestrzegła go przed figlami, jakie światło potrafi spletać ludzkiemu oku. Nie było takiej rzeczy, której by nie umiała.

Prowadziła też inne, potajemne lekcje. Zdarzało się czasem, kiedy późno wrócili do domu, że musiała szybko przyrządzić kolację: potrafiła wtedy zagotować wodę bez rozpalania w piecu albo upiec chleb, tylko na niego patrząc. Muśnięciem palców wywabiała płamy z ubrań. Sama wyrabiała proch strzelniczy, pozyskując saletrę z dna dawno wyschniętego jeziora nieopodal domu.

– Po co płacić za coś, co sama zrobię lepiej? – powtarzała. – Tylko nie mów nic tacie, dobrze?

A kiedy Jesper pytał dlaczego, odpowiadała:

– Bo i bez tego ma dość zmartwień, a ja nie lubię, kiedy martwi się z mojego powodu.

Tatko jednak i tak się martwił, zwłaszcza kiedy któreś z nowoziemskich przyjaciół przychodziło do nich z prośbą o pomoc lub uzdrowienie.

– Myślisz, że łowcy niewolników cię tu nie znajdą? – spytał pewnego wieczoru ojciec, spacerując po domku w tę i z powrotem. Jesper skulił się pod kocem i udawał, że śpi, a w rzeczywistości słuchał uważnie. – Jeżeli się rozniesie, że mieszka tu grisza...

– To obce słowo. – Aditi z wdziękiem machnęła ręką. – Nie nasze. Mogę być tylko sobą, nikim innym; jeśli mój dar może być przydatny dla ludzi, to moim obowiązkiem jest im pomagać.

– A co z naszym synem? Jemu nic nie jesteś winna? Twoim najważniejszym

obowiązkiem jest dbać o swoje bezpieczeństwo. Nie możemy cię stracić.

Mama ujęła twarz ojca w dłonie, delikatnie, łagodnie. Jej oczy pały miłością.

– Co to za matka, która ukrywa swój talent przed synem? Co to za matka, która pozwala, żeby strach prowadził ją przez życie? Wiedziałeś, kim jestem, Colm, kiedy prosiłeś, żebym cię wybrała. Nie każ mi teraz być kimś mniej, niż byłam wtedy.

Cała złość ojca wyparowała w mgnieniu oka.

– Ja to rozumiem – powiedział. – Po prostu nie mogę znieść myśli o tym, że mógłbym cię stracić.

Roześmiała się i pocałowała go.

– W takim razie musisz mnie trzymać blisko siebie.

Mrugnęła porozumiewawczo i na tym ich spór się zakończył. Aż do następnego razu.

Ostatecznie okazało się, że ojciec nie miał racji. To nie z winy łowców niewolników stracili Aditi.

Którejś nocy Jespera obudził gwar głosów. Wygramolił się spod przykrycia i stwierdził, że matka właśnie narzuca ciepły płaszcz na koszulę nocną, zakłada kapelusz i buty. Miał wtedy siedem lat i był dość drobny jak na swój wiek, ale zarazem dostatecznie duży, żeby wiedzieć, że najciekawsze są te rozmowy, które dorośli prowadzą, kiedy on już śpi.

W drzwiach stał Nowoziemiec w zakurzonym stroju podróznym.

– Jest środek nocy – próbował oponować ojciec Jespera. – To naprawdę nie może poczekać do rana?

– Powiedziałbyś tak, gdyby to Jes cierpiał? – spytała matka.

– Aditi...

Cmoknęła go w policzek i zagarnęła Jespera w ramiona.

– A cóż to, mój króliczek się obudził?

– Nie – odparł Jesper.

– W takim razie to musi być sen. – Ułożyła go z powrotem w łóżku, otuliła kocem, ucałowała w oba policzki i w czoło. – Śpij, króliczku. Wrócę jutro.

Ale następnego dnia nie wróciła, a kolejnego ranka zamiast niej zapukał do drzwi ten sam Nowoziemiec w podróznym stroju.

Colm porwał syna na ręce i błyskawicznie wypadł przed dom. Wcisnął sobie kapelusz na głowę, posadził Jespera na siodle przed sobą i kopniakiem pchnął konia w galop.

Zakurzony mężczyzna dosiadł jeszcze bardziej zakurzonego konia i razem ruszyli przez całe mile uprawnych ziem, aż do białego domu na skraju plantacji *jurdy*, o wiele ładniejszego niż mały domek rodziców Jespera, piętrowego, z oszklonymi oknami.

Kobieta, która czekała na nich przy wejściu, była bardziej krzepka od matki Jespera, ale prawie równie wysoka. Gęste włosy splotała w warkocze, które następnie upinała w gruby węzeł.

Gestem zaprosiła ich do środka.

– Jest na górze – powiedziała.

Kiedy po latach Jesper próbował złożyć w całość wspomnienia z tamtych strasznych dni, stwierdzał, że pamięta bardzo niewiele: błyszczącą drewnianą podłogę, która pod

palcami miała niemal jedwabistą fakturę; oczy krzepkiej kobiety zaczerwienione od płaczu; dziewczynkę, kilka lat starszą od niego, z włosami odziedziczonymi po matce. Dziewczynka napiła się wody ze studni wykopanej zbyt blisko jednej z kopalń. Studnia powinna zostać przykryta pokrywą i zabita na głucho, ale zamiast tego ktoś po prostu zabrał z niej wiadro. Został jednak kołowrót ze starym sznurem, więc dziewczynka z przyjaciółmi użyli kubelka na zupę, żeby zaczerpnąć wody, zimnej jak poranek i dwakroć bardziej przejrzystej. Wieczorem cała trójka zachorowała, a do rana dwoje z nich zmarło. Matka Jespera ocaliła córkę krzepkiej kobiety.

Aditi stanęła przy łóżku chorej, obwąchała metalowy kubek i przyłożyła dłonie do rozgorączkowanej skóry dziecka. W południe następnego dnia nastąpiło przesilenie, gorączka zaczęła spadać, oczy dziewczynki straciły żółtawy odcień; wieczorem usiadła na łóżku i oznajmiła matce, że jest głodna. Aditi uśmiechnęła się do niej i nieprzytomna osunęła się na ziemię.

– Była nieostrożna – wyjaśnił zakurzony mężczyzna. – Nie uważała przy odsączaniu trucizny i za dużo sama jej wchłonęła. Widziałem, jak innym *zowom* się to zdarzało.

Zowa. „Błogosławiony”. Tego właśnie słowa używała matka Jespera zamiast „griszy”.

– Oboje jesteśmy *zowami* – mówiła i pstryknięciem palców sprawiała, że kwiat rozkwitał. – Ty i ja.

Nie było nikogo, kto mógłby ją uratować. Jesper nie potrafił jej pomóc. Gdyby zachowała więcej sił i nie straciła przytomności, może sama zdołałaby się uzdrowić, a tak tylko zapadła się w głęboką otchłań snu i oddychała z coraz większym wysiłkiem.

Jesper zasnął z policzkiem wtulonym w jej dłoń, przeświadczony, że matka zaraz się przebudzi, pogłodzi go po twarzy i zapyta: „Co ty tu robisz, króliczku?”.

Zamiast jej głosu obudził go płacz ojca.

Zabrali ją z powrotem na farmę i pochowali pod wiśnią, która właśnie zaczynała kwitnąć. Jesperowi kwitnące drzewo wydawało się zbyt śliczne jak na taki smutny dzień. Do tej pory widok tych blad różowych kwiatów wystawionych w sklepowej witrynie albo wyhaftowanych na jedwabnej sukni wprawiał go w melancholijny nastrój. Przynosił wspomnienie zapachu świeżo wżruszonej ziemi, szeptu wiatru ponad polami, drżącego barytonu ojca śpiewającego smutną pieśń o samotności, kaelski lament, którego słów Jesper nie rozumiał.

Colm skończył, ale ostatnie nuty pieśni jeszcze niosły się wśród gałęzi wiśni, gdy Jesper zapytał: – Czy mama była wiedźmą?

Colm położył piegowatą dłoń na ramieniu syna i przyciągnął go do siebie.

– Była królową, Jes. Była naszą królową.

Na przygotowaną wieczorem przez Jespera kolację złożyły się przypalone ciasteczka i wodnista zupa, ale ojciec wymiół talerz do czysta, a potem czytał synowi z księgi żywotów kaelskich świętych, aż ogień przygasł w palenisku i ból w sercu chłopca zelżał na tyle, żeby mógł zasnąć. Od tamtej pory tak właśnie wyglądało ich życie: opiekowali się sobą nawzajem, pracowali w polu, przez całe lato zbierali i suszyli *jurde*, próbowali wyżyć z uprawy roli. Dlaczego to nie wystarczyło?

Ledwie ta myśl przemknęła mu przez głowę, zdał sobie sprawę, że to nie mogło wystarczyć. Nie było dla niego powrotu do tamtego życia. Nie został do niego stworzony. Może gdyby matka żyła, nauczyłaby go z pożytkiem wykorzystywać wrodzoną pobudliwość. Może pokazałaby mu, jak używać mocy, zamiast się z nią kryć. Może popłynąłby do Ravki, został żołnierzem korony. A może i tak wylądowałby w Ketterdamie.

Starł z palców ślad *jurdy* i zamknął puszkę.

– Nowoziemcy wykorzystują nie tylko kwiaty *jurdy* – powiedział. – Pamiętam, że matka moczyła łodyżki w kozim mleku, które później dawała mi do picia, kiedy szedłem pracować na polach.

– Po co? – zainteresował się Matthias.

– Żeby zapobiec skutkom wdychania przez cały dzień pyłku *jurdy*. Ma bardzo mocny wpływ na organizm dziecka, a ja i bez niego byłem wystarczająco pobudzony.

– Łodyżki? – powtórzył Kuwei. – Większość ludzi po prostu je wyrzuca.

– Zawierają olejek balsamiczny. Nowoziemcy wykorzystują go do produkcji maści, którą wciera się w dziąsła i nosy dzieci, kiedy palą *jurdę*.

Jesper zabębnił palcami w wieczko puszek. Coś przyszło mu do głowy: czy to możliwe, żeby kluczem do tajemnicy antidotum na *jurdę parem* była sama *jurda*? Nie był chemikiem, nie potrafił myśleć tak jak Wylan i nie miał za sobą takiego szkolenia, jakie przechodzą fabrykatorzy, ale był nieodrodnym synem swojej matki.

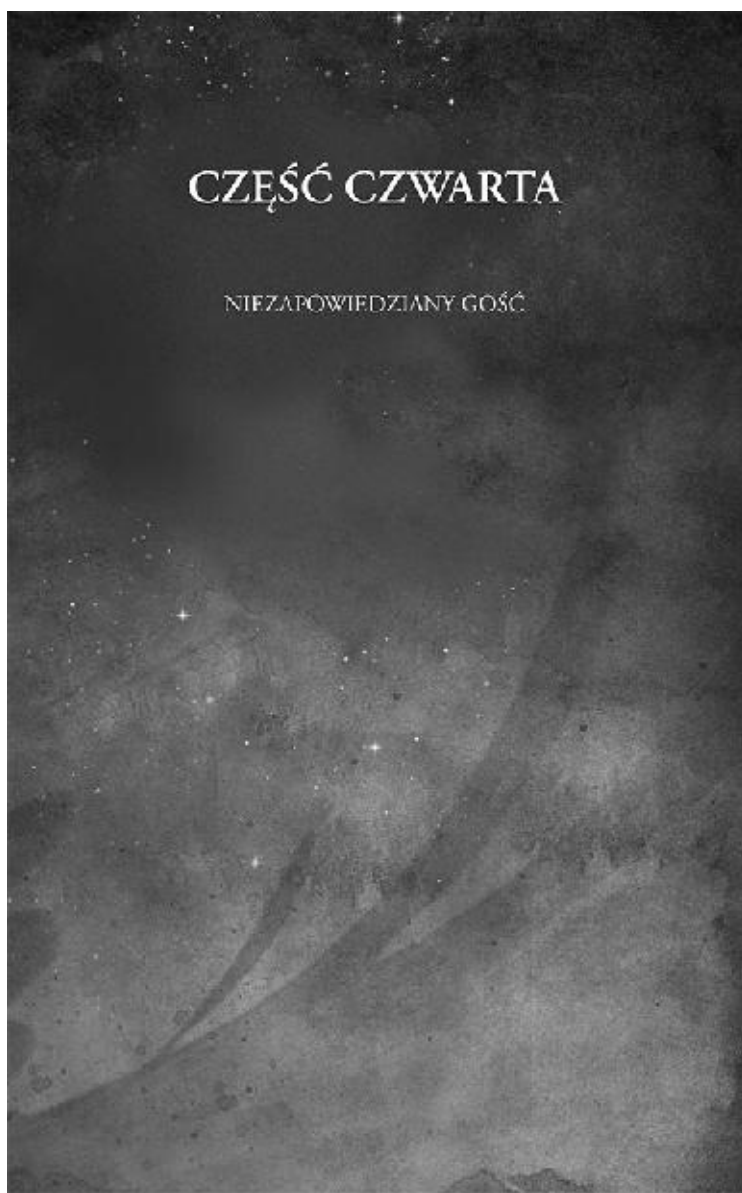
– Może dałoby się stworzyć taką maść, która łagodziłaby skutki działania *jurdy parem*? To nie wyjaśnia jeszcze, jak ją podać...

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła: ktoś wybił okno. Jesper w okamgnieniu dobył broni, Matthias pchnął Kuweia na podłogę i uniósł karabin do ramienia. Ostrożnie przesunęli się pod ścianę. Jesper wyjrzał na zewnątrz przez resztki witrażowych szybek. W zalegającym na cmentarzu mroku połyskiwały latarnie i poruszały się sylwetki, które musiały należeć do ludzi. Mnóstwa ludzi.

– Albo duchy nam się znienacka ożywiły – mruknął – albo mamy towarzystwo.

CZEŚĆ CZWARTA

NIEZAPOWIEDZIANY GOŚĆ





17

INEJ

Nocą można było odnieść wrażenie, że dzielnica magazynowa zrzuca dzienną skórę i przybiera zupełnie nową formę. Slumsy na jej wschodnich obrzeżach tętniły życiem, a główne ulice stawały się ziemią niczyją zaludnioną wyłącznie przez wartowników na posterunkach i trepów ze *stadwachten* patrolujących swoje rewiry.

Inej i Nina przycumowały łódkę na brzegu szerokiego kanału przecinającego dzielnicę na pół i przemknęły po wymarłym pomoście, w cieniu magazynów, jak najdalej od latarni na skraju wody. Mijały łodzie wyładowane drewnem i szerokie płaskodenne barki, w których piętrzyły się kopce węgla; czasem mignęli im robotnicy, którzy przy świetle lamp dźwigali beczki z rumem albo bele bawełny – tak cennego ładunku nie można było zostawiać na noc bez opieki. Tuż przed Słodką Rafą dostrzegły dwóch ludzi wyładowujących coś ze stojącego na brzegu kanału ogromnego wozu. Jedyna oświetlająca go lampa emanowała niebieskawą poświatą.

– Trupiblask – szepnęła Inej.

Nina się wzdrygnęła. Kościlampy, wytwarzane z pokruszonych szkieletów ryb głębinowych, świeciły na zielono. Trupiblaski wykorzystywały inne paliwo – ich niebieski odcień ostrzegał przypadkowych podróżnych, że mają przed sobą barkę trupiarzy, ludzi trudniących się przewożeniem zwłok.

– Co robią trupiarze w dzielnicy magazynowej?

– Ludzie nie lubią oglądać zwłok na ulicach i w kanałach. W nocy dzielnica magazynowa świeci pustkami, dlatego tutaj właśnie zwozi się ciała po zachodzie słońca. Trupiarze przeczesują po kolei wszystkie dzielnice. O świcie już ich nie będzie, znikną razem ze swoim ładunkiem.

Który przewiozą na Krypę Kostuchy, gdzie zostanie spalony.

– Nie można by po prostu zbudować normalnego cmentarza? – zdziwiła się Nina.

– Nie ma gdzie. Dawno temu mówiło się jeszcze o możliwości ponownego otwarcia Czarnego Woalu, ale projekt został wstrzymany, gdy przyszła Zaraza Dwórki. Ludzie boją się zarażenia. Jeśli kogoś na to stać, grzebie swoich zmarłych na cmentarzu za miastem;

jeśli nie...

– Żadnych żałobników – powiedziała Nina z zaciętą miną.

Żadnych żałobników, żadnych pogrzebów. Inny sposób na to, by powiedzieć „Powodzenia” – ale nie tylko. Także przejaw wisielczego humoru: dla takich jak oni nie będzie drogiego pochówku, marmurowych pomników z wyrytym nazwiskiem, wieńców z mirtu i róż.

Blżej Słodkiej Rafy Inej wysforowała się naprzód. Silosy prezentowały się imponująco: pomniki przedsiębiorczości ozdobione czerwonym wawrzynem Van Ecków, wielkie jak groźni bogowie. Wkrótce wszyscy nauczą się kojarzyć ten herb z tchórzostwem i oszustwem.

Krąg silosów Van Ecka okalało wysokie ogrodzenie.

– Drut kolczasty – zauważyła Nina.

– To żaden kłopot.

Drut kolczasty wymyślono po to, żeby żywy inwentarz nie pętał się poza zagrodami, nie po to, by zatrzymać Zjawę.

Zajęły stanowisko pod ceglany murem magazynu i odczekały dłuższą chwilę, żeby się upewnić, że strażnicy nie zmienili procedury obchodu. Kaz miał rację: patrol potrzebował niemal dokładnie dwunastu minut, żeby okrążyć teren – czyli kiedy strażnicy znajdą się po wschodniej stronie ogrodzenia, Inej będzie miała mniej więcej sześć minut, żeby przedostać się za druty. Kiedy po dalszych sześciu minutach patrol znów znajdzie się po stronie zachodniej, strażnicy mogliby z łatwością wypatrzyć Inej wśród silosów, ale za żadne skarby świata nie dostrzegą jej na dachu któregoś z nich. Przez ten czas będzie musiała wrzucić wołka do silosu i przepiąć linę; gdyby miało jej to zająć więcej niż sześć minut, po prostu poczeka na kolejny obchód. Nie będzie wprawdzie widziała strażników, ale Nina, zaopatrzona w silną kościlampę, miała jej błyskiem zielonego światła dać znać, że droga wolna.

– Dziesięć silosów – powiedziała Inej. – Dziewięć przejść po linie.

– Z bliska wydają się o wiele wyższe. Jesteś na to przygotowana?

Inej nie mogła zaprzeczyć, że z bliska silosy budzą postrach.

– Wspinaczka zawsze wygląda tak samo – odparła – obojętne, jak wysoka jest góra.

– Ściśle rzecz biorąc, to wcale nie jest prawda: potrzebna jest lina, czekan...

– Nie zamieniaj się w Matthiasa.

Nina ze zgrozą zakryła usta dłonią.

– Za karę zjem dwa razy więcej ciastek niż zwykle.

Inej z powagą pokiwała głową.

– Rozważna strategia.

Patrol wyszedł z wartowni.

– Inej... – Nina zawiesiła głos. – Powinnaś coś wiedzieć: od czasu *parem* moja moc już nie jest taka sama. Jeżeli wdamy się w przepychankę...

– Dzisiaj nie będzie żadnych przepychanek. Przemkniemy jak duchy. – Inej objęła i uścisnęła Ninę. – A poza tym nie znam drugiego tak zajadłego wojownika jak ty, z mocą

czy bez.

– Ale...

– Nino? Strażnicy.

Patrol zniknął im z oczu. Jeżeli nie zaczną działać natychmiast, będą musiały poczekać do następnego obchodu. Realizacja planu może się wtedy opóźnić.

– Się robi – odparła Nina i ruszyła w stronę wartowni.

Przez te kilkanaście kroków, jakie dzieliły ich kryjówkę od plamy światła wokół wartowni, w zachowaniu Niny zaszła niesamowita zmiana. Inej nie potrafiłaby wskazać, co konkretnie się zmieniło: krok Niny stał się niepewny, a ona sama przygarbiła się lekko, jakby skurczyła w sobie. Nagle nie była już świetnie wyszkoloną griszą, lecz młodą, zaleknioną imigrantką złąknioną odrobiny ludzkiej dobroci.

– Proszę przepraszam? – zagadnęła z nedorzecznie przerysowanym ravkańskim akcentem.

Strażnik nie opuścił broni, ale też chyba zbyt się nie przejął widokiem nieznanym.

– Nie powinna pani tu chodzić po nocy.

Nina zamamrotała coś w odpowiedzi, mierząc go spojrzeniem wielkich zielonych oczu. Inej nie zdawała sobie sprawy, że Nina może wyglądać tak zdrowo i dorodnie.

– Słucham? – Strażnik podszedł bliżej.

Inej zaczęła działać. Zapaliła długi lont małej bomby oślepiającej, którą dał im Wylan, i skoczyła w stronę płotu, trzymając się poza zasięgiem światła z wartowni. Bezszelestnie wspięła się na ogrodzenie. Najpierw znalazła się dokładnie za strażnikiem i Niną, a potem ponad nimi; prześlizgując się pomiędzy splotami drutu kolczastego, wyraźnie słyszała ich głosy.

– Przyjechałam pracę mieć, tak? – mówiła Nina. – Przy produkcji cukru.

– Tu się go nie produkuje, tylko przechowuje. Powinnaś iść do fabryki.

– Ale ja potrzebuję pracy. Ja... ja...

– Hej, hej... Nie płacz, nie płacz, już dobrze.

Inej powstrzymała się od parsknięcia śmiechem i zeskoczyła na ziemię po drugiej stronie ogrodzenia. Widziała teraz worki z piaskiem, o których wspomniał Kaz, ułożone w stos pod ścianą wartowni, i wystający spod nich rąbek siatki, której miała – według niego – użyć.

– Twój... ehm... twój gach też szuka roboty?

– Nie mam żadnego... jak to powiedziałeś? Gacha?

Zatrzaśnięta furtka na tyłach wartowni otwierała się na zewnątrz: Inej pchnęła ją i zostawiła leciutko uchyloną dla Niny, po czym skoczyła w mrok zalegający u stóp najbliższego silosu.

Usłyszała jeszcze, jak Nina żegna się ze strażnikiem i oddala w kierunku ich punktu obserwacyjnego, a potem pozostało jej tylko czekać. Minuty upływały i kiedy już zaczynała nabierać przekonania, że bomba okazała się wadliwa, rozległ się głośny huk i rozbłysło białe światło.

Strażnik wyszedł przed wartownię z karabinem gotowym do strzału i zrobił kilka

kroków w stronę magazynu.

– Jest tam kto?! – zawołał.

Nina wysliznęła się z cienia za jego plecami i chwilę później znalazła się po drugiej stronie furtki. Zatrzasnąwszy ją, pobiegła w stronę drugiego silosu i również przepadła w ciemności. Ze swojego nowego stanowiska mogła sygnalizować Inej zbliżanie się wartowników na obchodzie.

Strażnik się wycofał. Szedł tyłem, na wypadek gdyby wśród magazynów czaiło się jednak jakieś zagrożenie. W końcu odwrócił się, szarpnął furtkę, żeby upewnić się, że jest zamknięta, i wrócił do wartowni.

Inej poczekała na sygnał od Niny, a następnie błyskawicznie wspięła się po drabince z przyspawanych do ściany silosu żelaznych klamer: pierwsze piętro, drugie, dziesiąte.

Kiedy dawali karnawałowe przedstawienia, stryj zabawiał widzów podczas jej występu:

– Nikt przedtem nie próbował dokonać takiej sztuki, a już z całą pewnością nie w tak młodym wieku! Spójrzcie w górę, zobaczcie, jak przerażająco wysoko rozpięta jest lina.

W tym momencie włączył się reflektor. W jego świetle lina przypominała ledwie lichą namiastkę pajęczej nici łączącą przeciwległe ściany namiotu.

– Panowie, weźcie swoje damy za ręce – ciągnął tymczasem stryj. – Zwróćcie uwagę, jak smukłe mają palce... i wyobraźcie sobie, że próbujecie przejść po czymś, co ma właśnie taką średnicę i jest podobnie delikatne. Odważylibyście się? Kto by się odważył? Kto śmie spojrzeć śmierci w oczy?

Inej stawała wtedy wyprostowana na czubku słupa, brała się pod boki i odpowiadała gromko:

– Ja!

Wszystkim widzom zapierało dech w piersi.

– Ależ nie! – mówił wtedy stryj. – To niemożliwe! Mała dziewczynka?

Tłum dostawał amoku: kobiety mdlały, niektórzy mężczyźni próbowali zatrzymać przedstawienie.

Dzisiaj nie było widzów, tylko wiatr, zimny metal pod palcami i jasna tarcza księżyca.

Z wierzchołka silosu spojrzała na rozpościerające się w dole miasto. Ketterdam skrzył się złotym blaskiem: latarnie sunęły wolno po kanałach, świece płonęły w oknach, rozświetlone sklepy i gospody obsługiwały wieczorną klientelę. Rozpoznała mieniącą się niczym cekin Pokrywkę, a także kolorowe lampiony i pretensjonalne kaskady światel wzdłuż Klepek. Za kilka dni handlowe imperium Van Ecka legnie w gruzach, a ona wyzwoli się od kontraktu wiążącego ją z Perem Haskellem. Wolność. Będzie mogła żyć, jak chce. Szukać przebaczenia za grzechy i dążyć do celu, który sobie wyznaczyła. Czy zatęskni za tym miejscem, za tym zgiełkliwym, chaotycznym miastem, które poznała na wylot i które w jakiś sposób stało się jej domem? Na pewno tak. Dlatego dzisiejszy występ zamierzała zadedykować właśnie jemu, miastu, Ketterdamowi i jego mieszkańcom, nawet jeśli ci nie mieli pojęcia, że mogliby ją oklaskiwać.

Wymagało to użycia znacznej siły, ale w końcu udało jej się otworzyć właz. Wyjęła z kieszeni zakorkowaną fiolkę z chemicznym wołkiem. Zgodnie z zaleceniem Wylana

potrząsnęła nią mocno i wlała zawartość do wnętrza silosu. Dał się słyszeć cichy syk i na jej oczach cukier się poruszył, jakby tuż pod jego powierzchnią coś żyło. Wzdrygnęła się. Słyszała o robotnikach, którzy ginęli w silosach: ziarno albo cukier usuwały im się spod nóg, a oni zapadali się coraz głębiej i w końcu dusili.

Zamknęła solidnie właz.

Sięgnęła do pierwszego szczebla drabinki i przytwierdziła do niego otrzymany od Wylana magnetyczny zaczep. Trzymał mocno. Wyjęła z plecaka kuszę i ciężki zwój stalowej linki, przewlokła koniec linki przez zacisk i umocowała go solidnie. Z drugiej strony linka była zakończona podobnym magnetycznym zaczepem, który teraz Inej załadowała do kuszy. Pociągnęła za spust. Za pierwszym razem chybiła i musiała zwinąć linkę z powrotem, za drugim zaczep zahaczył o niewłaściwy szczebel na sąsiednim silosie, za to trzeci strzał był idealny: zaczep mocno przywarł do ściany silosu. Pokręciła śrubą mocującą linkę do zaczepu, żeby odpowiednio ją naprężyć. Używała już w przeszłości podobnego sprzętu, nigdy jednak linka nie była tak długa ani rozpięta tak wysoko. Nie miało to znaczenia. Kiedy wejdzie na linę, wszystko się zmieni: odległość, zagrożenie, także ona sama. Na linie nikomu nie podlegała, stawała się zawieszoną pomiędzy niebem i ziemią istotą bez przeszłości i terażniejszości.

To była ta chwila. Trapezu można się nauczyć. Do liny trzeba się urodzić.

Matka powiedziała jej kiedyś, że utalentowani linoskoczkowie wywodzą się od Powietrznego Ludu i mieli kiedyś skrzydła, które nadal można – w odpowiednim świetle – dostrzec u ludzi cieszących się jego łaską. Od tamtej pory Inej regularnie wyginała się i wykręcała przed lustrami na wszystkie możliwe strony i obserwowała swój cień, nie bacząc na śmiechy kuzynostwa. Wypatrywała swoich skrzydeł.

Kiedy ojciec miał dość jej codziennego naprzykrzania mu się, zgodził się, by rozpoczęła naukę na nisko rozpiętych linach, bosy, żeby nabrała wyczucia w poruszaniu się do przodu i do tyłu i wyrobiła sobie zmysł równowagi. Nudziła się jak mops, ale codziennie sumiennie wykonywała wszystkie ćwiczenia, badała, na co ją stać, wypróbowywała skórzane buty do chodzenia po sztywniejszych, mniej przyjaznych linach. Kiedy ojciec nie patrzył, stawała na linie na rękach. W końcu zgodził się zawiesić linę wyżej i zamienić ją na taką stalową, z prawdziwego zdarzenia. A Inej na każdym kolejnym etapie rozwijała swój repertuar: gwiazda, salto, balansowanie dzbankiem wody na głowie. Zaznajomiła się też z cienkim, elastycznym balansem, który pomagał jej zachować równowagę na linie na większej wysokości.

Pewnego popołudnia jej stryj z kuzynami przygotowywał nowy numer: Hanzi miał przewieźć Ashę po linie na taczkach. Dzień był upalny, więc zrobili sobie przerwę na późny obiad i poszli popływać w rzece. Inej, pozostawiona sama w pustym obozowisku, wspięła się na jedną z postawionych przez nich platform, tyłem do słońca, żeby dobrze widzieć linę.

Z tej wysokości świat wydawał się zdeformowanym odbiciem samego siebie: przedmioty były pomniejszone, cienie dłuższe, wszystko niby znajome, a zarazem niegodne zaufania, i kiedy podniosła obutą w skórzany bucik stopę, nagle nabrała wątpliwości. Mimo że od

tygodni ćwiczyła na takiej samej linie bez cienia lęku, teraz nagle lina wydała jej znacznie cieńsza, jakby w tym lustrzanym świecie podlegała innym prawom.

„Kiedy pojawia się strach, to wiadomo, że za chwilę coś się wydarzy”.

Wzięła głęboki wdech, naprężyła mięśnie brzucha i zrobiła pierwszy krok w powietrzu. W dole falowało morze trawy. Poczowała, jak jej środek ciężkości przesuwają się, przechyliła w lewo, usłyszała zew ziemi, napór grawitacji gotowej zjednoczyć ją z jej odległym cieniem.

Rozluźniła się, ugięła kolana i chwila zwątpienia minęła. Została sam na sam z liną.

Była w połowie drogi, kiedy zdała sobie sprawę, że ktoś patrzy. Spojrzała nieco szerzej, nie tracąc jednak koncentracji. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy ojca, kiedy wrócił z nad rzeki z jej stryjem i kuzynostwem, zadarł głowę i ze zdumieniem rozdziawił usta w czarne O. Matka wybiegła z wozu i złapała się za serce. Milczeli, bojąc się ją zdekoncentrować – jej pierwsza publiczność podczas spaceru po linie zamarła ze zgrozy, którą Inej wzięła za niemy podziw.

Kiedy zeszła na ziemię, matka przez blisko godzinę na przemian to ją przytulała, to na nią krzyczała. Ojciec jak zawsze był dla niej surowy, ale uwagi Inej nie uszła ani duma w jego spojrzeniu, ani niechętny podziw w oczach kuzynów.

Któreś z nich wzięło ją później na bok i zapytało:

– Jak możesz tak po prostu iść po linie, bez cienia strachu?

Wzruszyła ramionami.

– To zwykły spacer – odparła.

Ale to nie była prawda. To było coś znacznie lepszego niż „zwykły spacer”. Kiedy inni wchodzili na linę, musieli z nią walczyć, zmagać się z wiatrem, wysokością, dystansem do przebycia. Dla Inej lina stawała się całym światem, z wyraźnie wyczuwalną krzywizną i naprężeniem. Lina była planetą, a Inej – jej księżycem. Takiej prostoty brakowało jej na trapezie, kiedy niosła ją siła rozpędu. Uwielbiała spokój i bezruch, jakich doświadczała na linie. Nikt inny tego nie rozumiał.

Spadła tylko raz – i po dziś dzień winiła o to siatkę. Rozpięli siatkę, bo Hanzi ćwiczył nowy numer: przejazd po linie na jednym kole. W jednej chwili szła po linie, w następnej spadała; ledwie zdążyła zarejestrować ten fakt, gdy wylądowała na siatce, odbiła się od niej i spadła na ziemię. Z niejakim zdumieniem odnotowała twardość gruntu, który nijak nie chciał zmięknąć ani ugiąć się pod jej ciężarem.

Złamała dwa żebra i nabiła sobie guza wielkiego jak dorodne gęsie jajo.

– To dobrze, że jest taki duży – mruknął ojciec, obejrzawszy guza. – Przynajmniej krew nie zbiera się w mózgu.

Ledwie zdjęli jej bandaż, wróciła na linę. Nigdy więcej nie pracowała z siatką; to przez siatkę pozwoliła sobie na moment nierozwagi. Kiedy jednak teraz patrzyła w dół, musiała w duchu przyznać, że jakieś małe zabezpieczenie byłoby jednak nie od rzeczy. Daleko pod jej stopami światło księżyca upodabniało obłe kostki bruku do czarnych pestek jakiegoś egzotycznego owocu. Kłopot w tym, że ukryta na tyłach wartowni siatka byłaby bezużyteczna, gdyby Nina miała ją trzymać w pojedynkę. Zresztą bez względu na to, jaki był pierwotny plan Kaza, przytrzymywanie rozpiętej sieci przez stojących na widoku ludzi

nie wchodziło w grę. Dlatego Inej przejdzie po linie tak jak zawsze, bez zabezpieczeń, niesiona na swoich niewidzialnych skrzydłach.

Z przyszytej do kamizelki pętli wyłuskała teleskopowy balans i szybkim strzepnięciem nadgarstka rozłożyła go na pełną długość. Zważyła go w dłoniach. Rozruszała palce w skórzanych pantofelkach, które Kaz na jej specjalne życzenie wykradł z Cirkus Zirkoa. Miały gładkie podeszwy i mniejszą przyczepność niż jej ukochane gumowe pantofle, ale w tej chwili dokładnie czegoś takiego potrzebowała.

Doczekała się w końcu sygnału od Niny: krótkiego błysku zielonego światła.

Weszła na linę. Natychmiast szarpnął nią wiatr. Wypuściła powietrze z płuc, oszacowała siłę jego naporu i opuściła balans, obniżając w ten sposób swój środek ciężkości.

Przygięła i wyprostowała kolana. Naprężona lina prawie się nie ugiwała. Inej ruszyła naprzód, czując jej dotyk na podeszwach stóp. Przy każdym kroku lina prężyła się lekko, jakby chciała się wysliznąć spod zakrzywionych palców.

Ciepłe powietrze pachniało cukrem i melasą. Inej odrzuciła kaptur na plecy i teraz wymykające się z warkocza włosy łaskotały ją po twarzy. Skupiła się na linie, na znajomym z dzieciństwa uczuciu bliskości z nią, tak jakby obie wczepiały się w siebie nawzajem, i znalazła się w lustrzanym świecie, tajemnym miejscu zamieszkanym tylko przez nią.

Chwilę później dotarła do drugiego silosu.

Staneła na jego szczycie, złożyła balans i odwiesiła go na miejsce. Napiła się wody z manierki, przez chwilę się porozciągała, po czym otworzyła pokrywę i wrzuciła wołka. Usłyszała znajomy skwierczący syk i jej nozdrza wypełniła woń palonego cukru. Tym razem zapach był silniejszy, jak gęsta chmura słodkich perfum.

Nagle przeniosła się z powrotem do Menażerii. Czyjaś ciężka, nieznosząca sprzeciwu dłoń ścisnęła jej nadgarstek. Inej nauczyła się przewidywać takie momenty, w których wspomnienia mogą ją zawładnąć, tym razem jednak dała się zaskoczyć. Wspomnienie uderzyło w nią z większą mocą niż wcześniej wiatr na linie i zamieszało jej w głowie.

Pachniał wanilią, spod której przebijała nuta czosnku. Miała wrażenie, że jedwab prześlizguje się i pełza wokół niej, jakby łóżko było żywą istotą.

Nie pamiętała ich wszystkich. Noce w Menażerii połączyły się w jej pamięci w nieprzerwany ciąg, a ona z biegiem czasu nabrała takiej wprawy w samoznieczulaniu się, że odpływała, znikając tak kompletnie, że było jej prawie obojętne, co tamci robią z ciałem, które zostawiała za sobą. Nauczyła się, że klienci nie przyglądają się zbyt blisko i nie zadają zbyt wielu pytań; szukali złudzenia i byli gotowi zignorować dosłownie wszystko, byle tylko to złudzenie podtrzymać. Łzy były oczywiście zabronione. Pierwszej nocy się popłakała. Tante Heleen pobiła ją najpierw szpicrutą, potem laską, a potem tak długo ją dusiła, aż Inej straciła przytomność. Za drugim razem strach przed biciem wygrał ze smutkiem.

Nauczyła się uśmiechać, szeptać, wyginać plecy w łuk i wydawać dźwięki, jakich oczekiwali klienci Tante Heleen. Nadal płakała, jednak jej łez nikt nie widział: wypełniały

puszkę w jej wnętrzu, studnię smutku, w którą co noc wpadała jak kamień. Menażeria należała do najdroższych domów uciech w Baryłce, ale jej goście wcale nie byli lepsi od bywalców tanich burdeli i klientów ulicznych cichodajek. Ba, jak przekonała się Inej, pod pewnymi względami byli od tamtych nawet gorsi.

– Kiedy mężczyzna wyklada taką kasę – powiedziała kiedyś Kaelka imieniem Caera – wydaje mu się, że ma prawo zrobić wszystko, na co ma ochotę.

Przychodzili młodzi i starzy, przystojni i brzydki. Jeden z nich płakał i bił Inej, kiedy mu nie wychodziło; inny domagał się, żeby odgrywała rolę świeżo upieczonej żonki w noc poślubną i mówiła mu, że go kocha; jeszcze inny, o zębach ostrych jak mały kociak, tak ją pokąsał po piersiach, że krwawiła (Tante Heleen potrąciła jej z zarobku cenę zniszczonej pościeli i zapłatę za dni wolne, kiedy Inej nie była w stanie pracować). Ale ci nie byli wcale najgorsi. Najgorszy był pewien Ravkańczyk, któremu wpadła w oko już w salonie. Pachniał wanilią, a kiedy znaleźli się w jej pokoju, wśród fioletowych jedwabi i kadzidlanego dymu, powiedział:

– Ja cię znam.

Roześmiała się. Uznała, że to element gry, w którą klient chce się zabawić, i naląła mu wina ze złotej karafki.

– Niemożliwe – odparła.

– Widziałem cię dawno temu podczas karnawału, pod Caryevą.

Wino chlupnęło ponad krawędzią kieliszka.

– Musiał mnie pan z kimś pomylić.

– Ależ nie! – zaprzeczył z chłopcym zapałem. – Na pewno nie. Występowaliście całą rodziną. Byłem wtedy na urlopie z wojska. Miałaś najwyżej dziesięć lat, byłaś chudziutka, drobniutka i bez odrobiny lęku chodziłaś po linie. W pewnym momencie powinęła ci się noga, zachwiałaś się i płatki kwiatków z wianka na twojej głowie osypały się chmurą. – Poruszył palcami w powietrzu w taki sposób, jakby naśladował padający śnieg. – Wszystkim na moment zaparło dech w piersi, mnie też. Następnego dnia przyszedłem znowu i chociaż wiedziałem już, że to część występu, znów serce na moment przestało mi bić, kiedy straciłaś i odzyskałaś równowagę.

Inej próbowała ukryć drżenie rąk. Wianek z róż to był pomysł matki.

– Kiedy tak śmigasz jak wiewiórka po gałęzi, *meja*, wydaje się to takie łatwe – tłumaczyła jej. – Oni muszą wierzyć, że grozi ci niebezpieczeństwo, nawet jeśli to nieprawda.

To była jej najgorsza noc w Menażerii, bo kiedy pachnący wanilią mężczyzna zaczął całować ją po szyi i odzierać z jedwabi, nie potrafiła tym razem porzucić swojej cielesnej powłoki i zniknąć. Jego wspomnienie w jakiś sposób nierozzerwalnie splotło przeszłość z terażniejszością i uwięziło jej ciało pod jego ciałem. Płakała, ale jemu to nie przeszkadzało.

Cukier syczał: wólek robił, co do niego należało. Skoncentrowała się na tym dźwięku i starała się miarowo oddychać mimo ściśniętego gardła.

– Chcę cię mieć bez twojego pancerza.

Tak powiedziała Kazowi na pokładzie *Ferolinda*, rozpaczliwie wyczekując z jego strony

jakiegoś znaku, że jednak mógłby się przed nią otworzyć; że mogliby być czymś więcej niż dwojgiem ostrożnych istot, które połączyła nieufność wobec świata. Co by się mogło stać, gdyby wtedy jej odpowiedział? Gdyby z własnej woli ofiarował jej część swojego serca? Gdyby do niej przyszedł, zdjął rękawiczki, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta? Czy odwzajemniłaby jego uścisk? Jego pocałunek? Czy zdołałaby w takiej chwili być sobą? Czy raczej rozpękałaby się i zniknęła, lalka w jego rękach, dziewczyna, która nie potrafi być całością?

Nie miało to żadnego znaczenia, bo Kaz się nie odezwał. Może zresztą tak było lepiej dla nich obojga. Mogą żyć dalej, każde nietknięte w swoim pancerzu. Ona będzie miała swój statek, a on swoje miasto.

Wyciągnęła rękę, żeby zamknąć pokrywę silosu. Wciągnęła do płuc zalatujące spalenizną powietrze, wykaszała z płuc słodycz zniszczonego cukru.

Czyjaś dłoń złapała ją za kark i popchnęła do przodu. Inej potknęła się, straciła równowagę i poleciała wprost w ziejącą pod nią otwartą paszczę silosu.



Przedostanie się do rezydencji okazało się o wiele łatwiejsze, niż powinno. Kaz zrobił się czujny. Czyżby nie docenił Van Ecka?

On wciąż myśli jak typowy kupiec, tłumaczył sobie, kiedy włożywszy łaskę pod ramię, zsuwał się po rynnie. Nadal mu się wydaje, że pieniądze gwarantują bezpieczeństwo.

Najłatwiej było wejść do środka przez okna na najwyższym piętrze, dostępne wyłącznie z dachu. Wylan nie wspiałby się na dach ani z niego nie opuścił, dlatego Kaz musiał pójść pierwszy i potem wpuścić go przez któreś z okien na niższych kondygnacjach.

– Dwie zdrowe nogi, a mimo to potrzebuje drabiny – mruknął i udał, że nie czuje ukłucia bólu, którym uszkodzona noga przytaknęła jego słowom.

Nie był zachwycony, że los znów połączył go z Wylanem przy robocie, ale wiedza chłopaka na temat domu i zwyczajów ojca mogła okazać się bezcenna w wypadku ewentualnych niespodzianek, a poza tym Wylan najlepiej poradzi sobie z kwasem chlorozłotowym. Kaz przypomniał sobie Inej przycupniętą na dachu Kościoła Handlu i rozpościerające się w dole światła miasta.

– Wiem, w czym jestem dobra, więc pozwól mi wykonywać moją pracę – powiedziała.

W porządku. Niech każdy robi, co do niego należy. Nina wykona swoje zadanie, a Inej – pewna swoich umiejętności – przejdzie po linie bez odpoczynku i zabezpieczenia.

Miałaby się przyznać przed tobą, że się boi? – zapytał się w duchu. Odkąd to jesteś taki wyrozumiały dla lęków innych ludzi?

Otrząsnął się z tych myśli. Skoro Inej nie wątpiła w swoje umiejętności, on też nie powinien. Poza tym, jeśli chcieli zdobyć pieczęć dla ukochanych zbiegów Niny, chwilowo miał na głowie dość własnych problemów. Na szczęście system zabezpieczeń domu Van Ecka się do nich nie zaliczał.

Z przeprowadzonego przez Inej zwiadu wynikało, że w domu użyto zamków Schuylera. To były małe, skomplikowane skurczybyki, ale wystarczyło otworzyć jeden z nich, żeby później otwierać wszystkie. Kaz zaprzyjaźnił się blisko z pewnym ślusarzem z Klokstraat, któremu przedstawił się jako syn zamożnego kupca zatroskanego o bezpieczeństwo

bezcennej kolekcji tabakierek. Dzięki temu zawsze pierwszy wiedział o wszystkich zabezpieczeniach stosowanych przez ketterdamskich bogaczy.

Kiedyś w Klubie Wron słyszał na własne uszy, jak Hubrecht Mohren, Król Złodziei z Pijlu, podchmielony piwem rozwodził się nad pięknem wyrafinowanego zamka.

– Zamek jest jak kobieta – mówił. – Musisz go uwieść, żeby zdradził ci swoje tajemnice.

Należał do starych kumpli Pera Haskella, z którym chętnie rozmawiali o dawnych dobrych czasach i wielkich przekrętach, zwłaszcza że gadanie nie wymagało wielkiego zachodu. Takimi właśnie złotymi myślami uwielbiał się dzielić ze słuchaczami, stary darmozjad. Pewnie, zamek był jak kobieta – a poza tym był także jak mężczyzna i dowolny inny obiekt: chcąc go zrozumieć, należało rozebrać go na kawałki i przekonać się, jak funkcjonuje. Chcąc go pokonać, trzeba było poznać go tak dobrze, żeby później bezbłędnie złożyć go w całość.

Zamek z przyjemnym szcęknięciem poddał się jego zabiegom. Kaz przesunął połówkę okna do góry i wszedł do środka. Malutkie pokoje na samej górze były przeznaczone dla służby, która to służba była w tej chwili w całości zaabsorbowana przyjmowaniem gości Van Ecka. Najzamożniejsi członkowie Kercheńskiej Rady Kupieckiej napychali sobie właśnie brzuchy w jadalni na parterze, najprawdopodobniej słuchając smutnych bająn Van Ecka o uprowadzeniu syna i skarg na panoszące się w Baryłce gangi. Sądząc po rozchodzących się w powietrzu woniach, podano szynkę.

Otworzył drzwi i przemknął na schody, którymi ostrożnie zszedł na pierwsze piętro. Pamiętał rozkład domu z czasów, gdy wraz z Inej ukradli z niego płótno DeKappela, a zawsze lubił wracać do znajomych miejsc, i to nie tylko ze względu na swobodę poruszania się. W pewnym sensie poprzez powrót obejmował takie miejsce w posiadanie. Znany się na wylot, mówił do niego dom. Witaj znowu.

W głębi wyłożonego dywanem korytarza stał strażnik: wyprężony w pozycji na baczność pilnował (o czym Kaz doskonale wiedział) pokoju Alys. Kaz spojrział na zegarek. Rozległ się cichy huk i za oknem na końcu korytarza coś błysnęło. No, Wylan był przynajmniej punktualny. Strażnik poszedł sprawdzić, co się dzieje, a wtedy Kaz przebiegł korytarzem w przeciwnym kierunku.

Wśliznął się do dawnego pokoju Wylana, który najwyraźniej przeznaczono już na pokój dla noworodka. W padającym przez okno świetle ulicznych latarni rozeznał pokrywające ściany złożone malowidło marynistyczne. Kosz dla dziecka przypominał malutki statek żaglowy zaopatrzony w banderę i koło sterowe. Van Eck naprawdę cieszył się z potomka.

Kaz pomajstrował chwilę przy zamku okna i otworzył je na oścież, po czym spuścił drabinkę sznurową i czekał. Skrzywił się, słysząc głuchy łomot: to Wylan sforsował mur okalający ogród; oby tylko nie potłukł buteleczek z kwasem chlorozłotowym, bo wypaliłby dziurę w sobie i okolicznych krzakach róż. Chwilę później dało się słyszeć głośnie dyszenie i Wylan wypadł zza węgła, drepcąc ciężko jak udęczona gęś. Znalazłszy się pod oknem, mocniej przytoczył torbę i wspinał się po drabince bujającej się przy tym wściekle na boki. Kaz pomógł mu wejść, wciągnął drabinkę i zamknął okno. Zamierzali wrócić tą właśnie drogą.

Wylan szeroko otwartymi oczami rozejrzał się po pokoju dzieciennym i pokręcił głową. Kaz wyrzwał na korytarz: strażnik wrócił na posterunek pod drzwiami pokoju Alys.

– No i co? – szepnął Kaz do Wylana.

– To lont wolnopalny – odparł Wylan. – Nie można precyzyjnie określić momentu zapłonu.

Mijały sekundy, w końcu rozległ się kolejny huk. Strażnik wyrzwał przez okno, a Kaz skinął na Wylana, żeby ten szedł za nim, po czym szybko rozprawił się z zamkiem w drzwiach gabinetu Van Ecka i chwilę później obaj znaleźli się w środku.

Kiedy Kaz włamywał się po DeKappela, zaskoczyło go luksusowe wyposażenie gabinetu. Do kupca pasowałby raczej prosty, surowy wystrój wnętrza, tymczasem powitały go ornamenty z laurowych liści na większości drewnianych powierzchni, obity karmazynowym aksamitem fotel wielki jak królewski tron oraz olbrzymie biurko wykończone na wysoki połysk.

– Za obrazem – szepnął Wylan i wskazał portret jednego z przodków Jana Van Ecka.

– Który to z członków waszego świetnego rodu?

– Martin Van Eck, mój prapradziadek. Był kapitanem statku, pierwszy przybił do brzegów Eames i pożegłował w górę rzeki. Przywiózł z powrotem ładunek przypraw korzennych i z zysków z ich sprzedaży sfinansował zakup drugiego statku... Tak w każdym razie opowiadał mi ojciec. Taki był początek rodowej fortuny Van Ecków.

– I taki będzie jej koniec. – Kaz potrząsnął kościlampą i zielona poświata zalała pokój. – Nawet podobny – dodał na widok pociągłej twarzy, wysoko sklepionego czoła i surowych niebieskich oczu.

Wylan wzruszył ramionami.

– Nie licząc rudych włosów, wygląd odziedziczyłem po ojcu, dziadku i reszcie Van Ecków. Dopiero teraz wyglądam inaczej.

Ujęli portret z obu boków i zdjęli go ze ściany.

– Proszę, proszę... – mruknął śpiewnym tonem Kaz.

Odstłonił sejf, chociaż słowo „sejf” nie do końca oddawało istotę rzeczy, bo wbudowany w ścianę twór bardziej przypominał bankowy skarbiec: stalowe drzwi osadzone we wzmocnionej stałej ścianie. Zamek był kercheńskiej roboty, ale Kaz pierwszy raz widział takie cudo: blok pokręteł szyfrowych z codziennie zmienianą kombinacją przypadkowych cyfr. Włamanie się do sejfu z pewnością zajęłoby ponad godzinę.

Cóż, jeśli nie można otworzyć jakichś drzwi, trzeba sobie zrobić drugie.

Z dołu dobiegał gwar podniesionych głosów: kupcy się o coś spierali. Kaz chętnie podsłuchałby tę rozmowę.

– No, dalej – ponaglił Wylana. – Czas ucieka.

Wylan wyjął z torby dwa słoiki wypełnione dwiema różnymi cieczami, które same z siebie nie były niczym niezwykłym, za to po zmieszaniu – jeśli Wylan miał rację – mogły przeżreć dosłownie każdą substancję poza szkłem balsa.

Wylan odetchnął głęboko, trzymając słoiki w wyprostowanych rękach.

– Nie podchodź – ostrzegł i przelał zawartość jednego słoika do drugiego.

Nic się nie stało.

– I co? – spytał Kaz.

– Przesuń się, proszę.

Wylan wziął do ręki pipetę ze szkła balsa, nabrał nią odrobinę płynu i kapnął nim na drzwi sejfu. Metal natychmiast zaczął się rozpuszczać, wydając przy tym trzaski, które w małym i cichym pomieszczeniu rozbrzmiewały nieprzyjemnie głośno. Powietrze wypełnił gryzący metaliczny odór. Kaz i Wylan osłonili twarze rękawami.

– Wredota w butelce... – mruknął z podziwem Kaz.

Wylan pracował systematycznie, ostrożnie przenosząc kwas ze słoika na drzwi sejfu, a dziura w metalu równie systematycznie się powiększała.

– Pośpiesz się. – Kaz spojrział na zegarek.

– Jeżeli choć kropla spadnie na podłogę, przeżre się przez nią na wylot i skapnie na siedzących przy stole gości ojca.

– Nie śpiesz się.

Kwas pożerał metal gwałtownymi haustami, szybko, intensywnie; pozostało im tylko mieć nadzieję, że po ich wyjściu nie rozpuści zbyt dużego kawałka ściany. Kaz nie miałby nic przeciwko temu, żeby gabinet zwałił się na głowy Van Eckowi i reszcie kupców, ale wolałby, żeby stało się to dopiero po zakończeniu przewidzianych na tę noc atrakcji.

Trwało to całą wieczność, lecz w końcu otwór stał się dostatecznie duży, żeby dało się przezeń sięgnąć do wnętrza sejfu. Poświeciwszy do środka, Kaz dostrzegł księgę rachunkową, pliki *kruge* i mały woreczek z aksamitu. Wyjął ten ostatni, krzywiąc się przez chwilę, gdy otarł się o krawędź otworu: stal była tak gorąca, że parzyła.

Wytrząsnął zawartość woreczka na obleczoną w rękawiczkę dłoń: gruby złoty pierścień ozdobiony liśćmi wawrzynu i inicjałami Van Ecka.

Schował pierścień do kieszeni, po czym zgarnął dwa pliki banknotów, oddał jeden Wylanowi iomal nie parsknął śmiechem na widok jego miny.

– To ci przeszkadza, kupczyku?

– Nie lubię czuć się jak złodziej.

– Nawet po tym wszystkim, co ci zrobił?

– Nawet.

– Co za prawość... Zdajesz sobie sprawę, że kradniemy twoje pieniądze?

– Jesper też tak mówi, ale ja jestem przekonany, że ojciec wykreślił mnie z testamentu, gdy tylko Alys zaszła w ciążę.

– To nie znaczy, że nie masz do nich prawa.

– Ale ja ich nie potrzebuję. Po prostu nie chcę, żeby on je miał.

– Odrzucenie luksusu samo w sobie jest luksusem. – Kaz schował do kieszeni oba pliki banknotów.

– Jak miałbym kierować imperium handlowym? – Wylan wrzucił dymiącą pipetę do sejfu. – Nie potrafię przeczytać księgi rachunkowej ani konosamentu. Nie umiem wypisać zamówienia. Mój ojciec myli się w wielu sprawach, ale w tej ma rację. Byłbym pośmiewiskiem.

– Mógłbyś płacić komuś, żeby robił te rzeczy za ciebie.

– Ty byś tak zrobił? – Wylan upartym gestem zadarł podbródek. – Powierzył komuś innemu taką wiedzę? Tajemnicę, która może cię zniszczyć?

Tak, odparł w myślach Kaz bez chwili namysłu. Jest jedna osoba, której bym tak zaufał. Jedna osoba, o której wiem, że nigdy nie wykorzystałaby mojej słabości przeciwko mnie.

Przekartkował księgę rachunkową.

– Co czują ludzie, kiedy widzą na ulicy kuternogę idącego o lasce? – zapytał.

Wylan odwrócił wzrok. Ludzie zawsze tak reagowali, kiedy Kaz napomynał o swoim kalectwie, tak jakby nie wiedział, kim jest ani jak świat go postrzega.

– Czują litość – odpowiedział samemu sobie Kaz. – A jak ci się wydaje, co czują na mój widok?

Kącik ust Wylana drgnął minimalnie.

– Myślą o tym, żeby jak najprędzej przejść na drugą stronę ulicy – odparł chłopak.

Kaz wrzucił księgę do sejfu.

– Twoją słabością nie jest nieumiejętność czytania, tylko lęk przed tym, że ludzie się o niej dowiedzą. Wstyd określa to, kim jesteś, a ty mu na to pozwalasz. Pomóż mi z tym portretem.

Odwiesili obraz na miejsce, zasłaniając dziurę w drzwiach sejfu. Martin Van Eck spiorunował ich gniewnym spojrzeniem.

– Pomyśl o tym, Wylanie. – Kaz poprawił przekrzywiony portret. – To wstyd napełnia moje kieszenie; to wstyd sprawia, że w Baryłce wprost roi się od durniów gotowych włożyć maski, żeby w ten sposób spełnić swoje zachcianki, a zarazem nikomu ich nie zdradzić. Człowiek zniesie każdy rodzaj bólu, ale wstyd... Wstyd potrafi pożreć go w całości.

– Mądre słowa – dobiegło z kąta.

Kaz i Wylan okręcili się w miejscu. Zapłonęły lampy, pokój utonął w powodzi światła i z niszy w przeciwległej ścianie wynurzyła się postać, której jeszcze przed chwilą tam nie było: Pekka Rollins z zartowatym uśmiechem na rumianej twarzy. Towarzyszyła mu gromada Lwów za Dychę uzbrojonych w pistolety, pałki i trzonki od siekier.

– Kaz Brekker – powiedział Rollins drwiąco. – Złodziej-filozof.

waramyr



– Padnij! – krzyknął Matthias do Kuweia.

Kuweia przypadł do ziemi i rozpląszczył się na niej. Znow zagrzmiała seria wystrzałów i kule zdruzgotały kolejny witrażowy bulaj.

– Albo ktoś tu lubi szastać amunicją – powiedział Jesper – albo to są strzały ostrzegawcze.

Przykucnięty Matthias przekradł się na drugi kraniec grobowca i wyjrzał przez szparę w ścianie.

– Jesteśmy otoczeni – stwierdził.

Ludzie rozstawieni wśród grobów na Czarnym Woalu w niczym nie przypominali funkcjonariuszy *stadwachty*, których spodziewał się ujrzeć. W migotliwym blasku latarni i pochodni dostrzegł kraciaste i egzotyczne wzory na ubraniach, pasiaste kamizelki, płaszcze w drobną kratkę. Mundury Baryłki. Uzbrojeni byli równie przypadkowo: broń palna, noże długie jak przedramię dorosłego mężczyzny, drewniane pałki.

– Nie widzę tatuaży – odezwał się Jesper – ale jestem prawie pewien, że ten z przodu to Dzielny.

Dzielny? Matthias sięgnął do pamięci i przypomniał sobie człowieka, który zaprowadził ich do Pekki Rollinsa, kiedy Kaz szedł prosić o pożyczkę.

– Lwy za Dychę.

– Dużo ich.

– Czego chcą? – zapytał drżącym głosem Kuweia.

Matthias słyszał pokrzykiwania i śmiechy tamtych, a także ściszone, podekscytowany szmer rozmów, jaki zawsze towarzyszył żołnierzom, którzy wiedzieli, że mają przewagę, i wietrzyli bliski rozlew krwi.

Jeden z Lwów wziął rozbieg i rzucił czymś w stronę grobowca. Rozległy się wiwaty. Przedmiot wleciał do środka przez jedno z wybitych okien, z metalicznym szczękiem spadł na posadzkę i trysnął zielonym gazem.

Matthias porwał leżącą na ziemi derkę, zgarnął w nią granat i odrzucił go z powrotem

na zewnątrz. W tej samej chwili Lwy za Dychę wznowiły ostrzał. Oczy zapiekły Matthiasa, łzy strumieniami ciekły mu po policzkach.

Narastający szmer osiągnął kulminację. Lwy za Dychę ruszyły do ataku.

Jesper strzelił. Jeden z napastników padł, niesiona przez niego pochodnia zgasła w zetknięciu z wilgotnym gruntem. Jesper strzelał raz za razem, bezbłędnie, kosząc kolejne Lwy, aż w końcu ich szyk się złamał, poszli w rozsypkę i każdy szukał schronienia na własną rękę.

– No dalej, ustawcie mi się – mruknął Jesper z zawziętą miną.

– Wychodźcie! – zawołał Dzielny ukryty za jednym z grobów. – Wszystkich nas nie zastrzelicie.

– Nie słyszę, co mówisz! – odkrzyknął Jesper. – Podejdź trochę!

– Zniszczyliśmy wasze łodzie; nie odpłyniecie stąd inaczej niż pod naszą eskortą. Więc albo pójdziecie z nami po dobroci, albo zaniesiemy do Baryłki wasze głowy.

– Uważajcie! – wykrzyknął Matthias. Dzielny próbował odwrócić ich uwagę, tymczasem przez rozbite okno wpadły kolejne dwa granaty z gazem. – Do katakumb!

Rzucili się w przeciwny kraniec wnętrza, wtłoczyli w korytarz i zamknęli kamienne drzwi za sobą. Jesper ściągnął koszulę i uszczelnił nią szparę przy podłodze.

W niemal całkowitych ciemnościach przez chwilę było słycać tylko sapanie i pokasywanie całej trójki usiłującej pozbyć się gazu z płuc. W końcu Jesper potrząsnął kościlampą i upiorna zielona poświata wyłowiła z mroku ich twarze.

– Jak oni nas znaleźli, do diabła?

– To bez znaczenia – odparł Matthias.

Nie było czasu na rozmyślanie o tym, w jaki sposób Lwy rozgryzły tajemnicę Czarnego Woalu: w tej chwili najważniejsze było to, że skoro Pekka Rollins napuścił na nich swój gang, to Nina również mogła znaleźć się w niebezpieczeństwie.

– Co mamy? – zapytał.

– Wylan zostawił nam trochę tych fioletowych bombek na wypadek spotkania z żołnierzami Shu Hanu. Ja mam dwie oślepiające. Kuwei?

– Ja nic nie mam.

– Do licha, taszczysz przecież ten swój przeklęty plecak. Naprawdę nie ma tam niczego, co by się nam mogło przydać?

Kuwei przycisnął pakunek do piersi.

– Moje notatki – odparł i pociągnął nosem.

– Może po robocie Wylana coś zostało? – zasugerował Matthias. Nikomu nie chciało się sprzątać.

– Resztki surowców do fajerwerków na Goedmedbridge – odparł Jesper.

Z zewnątrz dobiegły głośne pokrzykiwania.

– Zaraz wysadzą drzwi grobowca – powiedział Matthias.

On sam tak właśnie by zrobił, gdyby chciał dostać więźniów zamiast trupów, chociaż był przekonany, że Kuwei jest jedynym z ich trójki, na którego pojmaniu żywcem zależy Lwom za Dychę.

– Co najmniej trzydziestu mięśniaków tylko czeka, żeby nas żywcem obedrzeć ze skóry – podsumował Jesper. – Z mauzoleum jest tylko jedno wyjście, w dodatku jesteśmy na wyspie. Mamy przechlapane.

– Może nie tak zupełnie... – mruknął Matthias, zapatrzony w zielonkawą poświatę kościlampy. Nie miał takiego talentu do planowania jak Kaz, ale wychowano go na żołnierza. Może jeszcze nie wszystko było stracone.

– Zwariowałeś? Lwy dobrze wiedzą, jaką mają przewagę liczebną.

– To prawda – przytaknął Matthias – ale nie wiedzą, że jest wśród nas dwóch griszów. Lwy miały prawo przypuszczać, że tropią naukowca, nie piekielnika, a Jesper od dawna utrzymywał w tajemnicy swój talent fabrykatora.

– No jasne, dwóch griszów bez żadnego przeszkolenia – zauważył zgryźliwie Jesper.

Rozległ się głośny łoskot. Ściany grobowca zadrżały, Matthias stracił równowagę i zatoczył się na kompanów.

– Idą tu! – krzyknął Kuwei.

Jednak zamiast tupotu stóp dobiegły ich tylko kolejne pokrzykiwania.

– Podłożyli za słaby ładunek – domyślił się Matthias. – Chcą cię wziąć żywcem, dlatego wolą zachować ostrożność. Wciąż jeszcze mamy szansę. Kuwei, jak dużo ciepła potrafisz uzyskać z płomienia?

– Umie zmusić ogień, żeby zapłonął gorzej, ale trudno coś takiego podtrzymać przez dłuższy czas.

Matthias przypomniał sobie niemożliwe do ugaszenia fioletowe płomienie liżące ciało latającego żołnierza Shu Hanu. Wylan twierdził, że były gorętsze niż zwykły ogień.

– Daj mi jedną z tych bomb – zwrócił się do Jespera. – Zdetonuję ją w głębi tunelu.

– Po co?

– Niech pomyślą, że próbujemy się przebić na zewnątrz – odparł Matthias i podłożył bombę przy ścianie zamykającej korytarz.

– Jesteś pewien, że przy okazji sami nie wylecimy w powietrze?

– Nie jestem, więc jeśli masz jakiś inny pomysł...

– Mógłbym...

– Zastrzelenie jak największej liczby Lwów, zanim nas dopadną i zabiją, nie jest żadnym rozwiązaniem.

Jesper wzruszył ramionami.

– W takim razie działaj.

– Kuwei? Jak tylko bomba wybuchnie, biegnij do wyjścia. Gaz powinien się już trochę rozwiać, ale, tak czy inaczej, pędź ile sił w nogach. Będę biegł za tobą i cię osłaniał. Kojarzysz grobowiec z wysokim obłamanym masztem?

– Na prawo od wyjścia?

– Tak, ten. Tam się kieruj. Ty, Jesper, zgarnij wszystko, co Wylan zostawił, i też tam biegnij.

– Ale po co?

Matthias zapalił lont.

– Możesz albo słuchać teraz moich rozkazów, albo za chwilę zadawać pytania Lwom za Dychę. A na razie... gleba!

Pchnął Kuweia i Jespera pod ścianę i osłonił ich własnym ciałem, gdy z końca tunelu dobiegł ogłuszający łoskot.

– Teraz! Biegnijcie!

Wpadli do głównej komory grobowca.

Matthias trzymał dłoń na ramieniu Kuweia, ponagając go do szybszego biegu w rzednącej zielonej chmurze.

– Pamiętaj: biegnij prosto pod złamany maszt.

Kopniakiem otworzył drzwi grobowca i rzucił bombę oślepiającą wysoko w powietrze. Ekspłodowała odłamkami diamentowobiałego blasku. Matthias skoczył między groby, kierując się w stronę drzew i ostrzeliwując się z karabinu.

Lwy za Dychę odpowiedziały ogniem. Matthias przypadł do ziemi za stertą omszałych kamieni. Patrzył, jak Jesper wypada z grobowca, siejąc ogniem z obu luf, i biegnie w stronę złamanego kamiennego masztu. Matthias cisnął ostatnią bombę oślepiającą. Jesper przeturlał się po ziemi w prawo pod gradem kul. Wszelka dyscyplina poszła w zapomnienie, niepomne obietnicy nagrody Lwy za Dychę waliły ze wszystkiego, co miały w rękach. Nawet jeśli dostały rozkaz, żeby wziąć Kuweia żywcem, były zwykłymi zbirami z Baryłki, a nie wyszkolonymi żołnierzami.

Matthias przeczołgał się bliżej grobu ze złamanym masztem.

– Wszyscy cali? – zapytał.

– Bez tchu, ale wciąż dycham – odezwał się Jesper. Kuwei pokiwał głową, chociaż cały się trząsał. – Nawiasem mówiąc, rewelacyjny plan. Powiedz mi tylko, czym różni się bycie przyszpilonym tutaj od bycia przyszpilonym w grobowcu?

– Masz te wszystkie proszki Wylana?

– Resztki. – Jesper wytrząsał z kieszeni trzy paczuszki.

Matthias na chybił trafił wybrał jedną z nich.

– Potrafisz nimi manipulować? – spytał.

Jesper poruszył się niepewnie.

– Tak. Chyba tak. W Lodowym Dworze mi się udało. Dlaczego pytasz?

Dlaczego, dlaczego, dlaczego... Gdyby Jesper był *drüskelle*, dostałby trzy dni paki za niesubordynację.

– Mówi się, że Czarny Woal jest nawiedzony, prawda? Zrobimy duchy. – Matthias się rozejrzał. – Zbliżają się. Chcę, żebyście wykonywali moje rozkazy i przestali zadawać pytania. Obaj.

– Już się nie dziwię, że nie dogadujecie się z Kazem – mruknął Jesper.

Matthias wyłuszczył im swój plan najkrócej, jak się dało, zarówno pierwszą jego fazę, jak i drugą, do której przejdą po dotarciu na brzegu kanału, o ile faza pierwsza pójdzie po jego myśli.

– Nigdy przedtem tego nie robiłem – przyznał Kuwei.

Jesper mrugnął do niego porozumiewawczo.

– I dlatego jest to takie ekscytujące.

– Gotowi? – spytał Matthias.

Otworzył paczuszkę. Jesper rozłożył ręce, proszek z torebki z cichym *puff!* wzbił się chmurą w powietrze i zawisł nieruchomo, jakby czas stanął w miejscu. Pot perlił się na czole Jespera, gdy ten po chwili koncentracji gwałtownym gestem wyprostował ręce przed sobą. Chmura pyłu rozrzedziła się, przepłynęła nad głowami Lwów za Dychę, po czym, zahaczywszy o płomień niesionej przez jednego z nich pochodni, w nagłym rozbłysku przebarwiła go na zielono.

Lwy zaniemówiły z wrażenia.

– Kuwei? – odezwał się Matthias.

Kuwei podniósł ręce. Płomień pochodni spelzł w dół po trzonku i węzowymi splotami wspiał się na trzymającą go rękę. Mężczyzna odrzucił z wrzaskiem pochodnię, padł na ziemię i zaczął się po niej tarzać, usiłując zgaasić ogień.

– Tak trzymaj – pochwalił Matthias Kuweia.

Kuwei rozprostował palce. Płomień zgasł.

– Przepraszam!

– Jeszcze raz! – polecił Matthias. Nie było czasu na pieszczenie się z chłopakiem.

Kuwei znów wyrzucił przed siebie ręce i tym razem jedna z latarni Lwów eksplodowała wirem żółtego ognia. Chłopak aż się skulił, tak jakby przesadził z użyciem mocy.

– Nie rozpraszaaj się! – upomniął go Matthias.

Kuwei zakrzywił dłonie. Płomień łukiem wzbił się pod niebo.

– No, no... – mruknął z podziwem Jesper. – Nieźle.

Otworzył drugie opakowanie proszku, rzucił go w powietrze i gestem rozpostartych rąk pchnął na spotkanie ognia Kuweia. Skręcony snop płomieni przybrał migotliwy karmazynowy odcień.

– Chlorek strontu – mruknął Jesper. – Mój ulubiony.

Kuwei obrócił zaciśniętą pięść i do pierwszej strugi ognia z latarni dołączyła najpierw druga, a chwilę później także trzecia. Razem utworzyły wijącego się nad Czarnym Woalem grubego ognistego węża, gotowego w każdej chwili zaatakować.

– Duchy! – wykrzyknął któryś z Lwów za Dychę.

– Nie wygłupiaj się – złajał go inny.

Na widok węża prężącego czerwone ogniste sploty w Matthiasie na nowo wezbrał dawny lęk. Zdążył się już oswoić z obecnością Kuweia, ale przecież to ogień piekielników strawił jego rodzinną wioskę podczas jednej z przygranicznych utarczek. Nie wiadomo dlaczego zapomniał, jak wielka moc drzemie w tym chłopaku.

Wtedy to była wojna, upomniął się w duchu.

Teraz też jest, dodał pośpiesznie.

Lwy za Dychę były skonsternowane, ale ten stan nie mógł się długo utrzymać.

– Obejmij ogniem drzewa – polecił Matthias Kuweiovi, na co ten z cichym stęknieniem rozpostarł ramiona.

Zielone liście przez chwilę opierały się ognistej nawale, by w końcu jej ulec i zapłonąć.

– Mają griszę! – zawołał Dzielny. – Otoczyć ich!

– Nad kanał! – skomenderował Matthias. – Ruchy!

Puścili się biegiem wśród nagrobków i potrzaskanych kamiennych świętych.

– Kuwei, bądź gotowy – polecił Matthias. – Potrzebujemy całej twojej mocy.

Ześliznęli się po brzegu kanału i sturlali na płyciznę. Matthias roztrzaskał fioletowe bomby o burty podziurawionych łodzi i po drewnie rozpełzły się liliowe płomienie o upiornej, jakby kremowej konsystencji. Dostatecznie dużo razy pływał na Czarny Woal i z powrotem, żeby wiedzieć, że znajdują się przy najpłytszym odcinku kanału: na piaszczystej łasze łodzi często osiadały na mieliźnie, a drugi brzeg wydawał się w tym miejscu niewiarygodnie odległy.

– Kuwei? – odezwał się znów Matthias, modląc się w duchu, żeby chłopakowi wystarczyło sił na realizację przedstawionego chwilę wcześniej planu. – Zrób nam przejście.

Kuwei wyciągnął przed siebie ręce. Płomienie przelały się z łodzi w głąb wody, buchnęła olbrzymia chmura pary i przez chwilę Matthias miał przed oczami tylko skłębioną, litą ścianę bieli, ale kiedy para poczęła się rozwiewać, dostrzegł ryby rzucające się w błocie i kraby śmigające po odsłoniętym dnie kanału. Fioletowy płomień lizał skraje rozepchniętej na boki wody.

– Na wszystkich świętych i ich osiołki... – Jesper sapnął z podziwem. – Kuwei, udało ci się!

Matthias spojrział w głąb łądu i zaczął strzelać w stronę drzew.

– Pośpieszcie się! – krzyknął.

Wbiegli na drogę, której przed chwilą jeszcze nie było, kierując się na drugi brzeg kanału, ku ulicom i zaułkom, wśród których mogliby się ukryć.

To wbrew naturze, rozległ się głos w głowie Matthiasa.

Wcale nie, pomyślał w odpowiedzi. To cud.

– Ale wiesz, Matthias, że dowodzisz własną małą armią griszów? – zapytał go Jesper, gdy wygramolili się z mułu i mrocznymi uliczkami pobiegli w stronę Słodkiej Rafy.

Istotnie, zdawał sobie z tego sprawę. I źle się czuł z tą świadomością. Za pośrednictwem Jespera i Kuweia posłużył się mocą griszów, lecz wcale nie czuł się przez nią skażony ani napiętnowany. Przypomniawszy sobie, co Nina powiedziała o Lodowym Dworze: że z pewnością jest dziełem griszów, a nie Djela. A jeśli oba te stwierdzenia były prawdziwe? Jeśli Djel działał poprzez griszów?

To wbrew naturze.

Te słowa przychodziły mu z ogromną łatwością, pozwalały odsunąć od siebie wszystko, czego nie rozumiał, czyniły z Niny i jej pobratymców kogoś gorszego niż istoty ludzkie. Czy to możliwe, że prawość, na którą tak chętnie powoływali się *drüskelle*, w rzeczywistości skrywała coś znacznie mniej czystego, mniej szlachetnego? I że tym czymś nie były nawet strach czy gniew, tylko zwykła zawiść? Jakie to uczucie, służyć Djelowi z całego serca, a zarazem dostrzegać jego moc w darach, którymi obdziela innych ludzi, i wiedzieć, że samemu nigdy się tych darów nie posiadzie?

Drüskelle ślubowali wierność nie tylko Fjerdzie, lecz także swojemu bogu. Gdyby udało się ich przekonać, by nauczyli się postrzegać cuda tam, gdzie wcześniej widzieli tylko plugastwo, co jeszcze można by zmienić?

„Zobowiązałem się cię chronić”.

Obowiązek wobec boga. Obowiązek wobec Niny. Może to jedno i to samo? Może to Djel wzburzył morze w tamtą sztormową noc, czym doprowadził do rozbicia statku *drüskelle* i zejścia się dróg Matthiasa i Niny?

Biegł ulicami zagranicznego miasta wprost na spotkanie nieznanymi niebezpieczeństw, ale pierwszy raz, odkąd, spojrzawszy Ninie w oczy, dostrzegł w nich odbicie swojego człowieczeństwa, targająca nim wewnętrzna wojna przycichła.

– Wymyślimy coś, żeby ich przekonać – powiedziała. – Wszystkich.

Odszuka ją. Przeżyją tę noc, wyrwą się z tego niewydarzonego, zawilgoconego miasta, a potem... No cóż, potem zmienią świat.



20

INEJ

Inej wykręciła się w miejscu, wyrwała z uchwytu zaciśniętej jak imadło dłoni na karku i zaparła się nogami, żeby nie upaść. Odepchnęła się od wjazdu, złapała równowagę i wyszarpnęła noże – zabójcze brzemie w jej rękach.

Nie do końca rozumiała jednak, co właściwie widzi. Stojąca przed nią na dachu silosu dziewczyna lśniła jak posąg z bursztynu i kości słoniowej. Jej kurtka i spodnie, przesywane pasami jasnej skóry i haftowane złotą nicią, miały śmietankową barwę. W zaplecionych w gruby warkocz kasztanowych włosach połyskiwały drobne klejnoty. Dziewczyna była wysoka, szczupła i o rok albo dwa starsza od Inej.

W pierwszej chwili Inej pomyślała o kherguudach, których Nina i inni widzieli w okolicach Zachodniej Klepki, ale dziewczyna nie wyglądała na pochodzącą z Shu Hanu.

– Cześć, Zjawo – odezwała się nieznajoma.

– My się znamy?

– Jestem Dunyasha, Biała Klinga szkolona przez Mędrców z Ahmrat Jen. Najlepsza zabójczyni tej epoki.

– Nie przypominam sobie.

– Jestem nowa w mieście, za to ty, jak słyszałam, jesteś żywą legendą tutejszych brudnych, zapuszczonych ulic. Nie ukrywam, myślałam, że będziesz... wyższa.

– Jak idą interesy? – odpowiedziała pytaniem Inej, chociaż tradycyjne kercheńskie powitanie stosowne na każdą okazję brzmiało cokolwiek absurdalnie w tym kontekście, dwadzieścia pięter ponad ziemią.

Dunyasha odpowiedziała uśmiechem, który wydał się Inej równie fałszywy i wytrenowany jak uśmiechy, którymi dziewczęta obdarzały klientów w wyłączonej salonie Menażerii.

– Toporne miasto, toporne powitanie – skwitowała słowa Inej i niedbale skinęła ręką, jakby tym jednym gestem zarazem uznawała istnienie Ketterdamu i zbywała go lekceważąco. – To przeznaczenie mnie tu sprowadziło.

– I to przeznaczenie ci płaci? – spytała Inej.

Zmierzyła intruzkę wzrokiem. Było raczej mało prawdopodobne, żeby bursztynowo-kościana dziewczyna wspięła się na szczyt silosu tylko po to, żeby zawrzeć nową znajomość. Ponieważ była wyższa, w razie walki miałyby dłuższy zasięg ramion, ale także potencjalnie większe kłopoty z utrzymaniem równowagi. Czy to Van Eck ją przysłał? A jeśli tak, to czy nasłał kogoś także na Ninę? Inej zerknęła w dół, ale dostrzegła tylko gęste cienie silosów.

– Dla kogo pracujesz? – zapytała.

W dłoniach Dunyashy również zabłyśły noże.

– Śmierć to nasza profesja. Nasze święte dzieło.

Jej oczy rozbłyśły triumfalnie i była to pierwsza prawdziwa oznaka życia, jaką Inej w niej dostrzegła.

Dunyasha zaatakowała.

Zaskoczyła Inej swoją szybkością: poruszała się jak plama światła, jakby sama była ostrzem broni; rozdarła mrok równoczesnym cięciem obu noży – lewy, prawy. Inej zareagowała instynktownie: unik, odskok, wszystko w bezpiecznej odległości od skraju silosu. Zrobiła zwód w lewo, wyminęła obronę Dunyashy i sama wyprowadziła pchnięcie.

Dunyasha wykręciła piruet i z łatwością uniknęła trafienia, nieważka jak słońce ślizgające się po powierzchni jeziora. Inej nigdy przedtem nie widziała, żeby ktoś walczył w taki sposób: jakby poruszała się w rytm muzyki rozbrzmiewającej tylko w jej uszach.

– Boisz się, Zjawo?

Nóż Dunyashy rozpruł rękaw Inej. Ukłucie było jak smagnięcie rozpalonym biczem.

To tylko draśnięcie, pomyślała Inej. Nic wielkiego.

Chyba że ostrze było zatrute, naturalnie.

– Bo mnie się wydaje, że się boisz. Nie można jednocześnie bać się śmierci i być jej prawdziwym wysłannikiem.

Czy ta dziewczyna jest obłąkana? Czy po prostu gadatliwa? Inej odskoczyła w tył i zatoczyła łuk po krawędzi silosu.

– Ja urodziłam się bez lęku – ciągnęła Dunyasha, chichocząc wesoło. – Rodzice się bali, że utonę, kiedy z uśmiechem na buzi raczkowałam prosto do morza.

– A nie bali się, że zagadasz się na śmierć?

Dunyasha natarła ze zdwojoną intensywnością, a Inej przyszło do głowy, że wcześniej tylko się z nią bawiła, próbowała wyczuć jej silne i słabe punkty, żeby następnie stworzyć sobie przewagę. Wymieniły kilka pchnięć, cios za cios, ale Dunyasha była wypoczęta, a Inej dawały się we znaki wszystkie trudy i urazy z całego miesiąca: niemal śmiertelne pchnięcie nożem, wspinaczka kominem spalarni, dni spędzone w niewoli.

– Przyznam, że jestem rozczarowana – podjęła znów Dunyasha, zwinnie przemykając po górnej powierzchni silosu. – Liczyłam na jakieś poważne wyzwanie, a co zastałam? Ciebie sulijskiej akrobatki, która walczy jak zwykły uliczny zakapior.

Miała rację. Inej uczyła się techniki walki w krętych ketterdamskich zaułkach, od chłopaków takich jak Kaz i Jesper, a Dunyasha miała nadzwyczaj obszerny repertuar cięć i pchnięć. W razie potrzeby gięła się jak wierzbowy witek, skradała jak polujący kot,

rozpływała jak dym. Nie miała wyraźnego stylu, który Inej potrafiłaby określić i przewidzieć.

Jest ode mnie lepsza, pomyślała.

Ta świadomość miała dziwnie zgniły posmak, jakby Inej odgryzła kęs kuszącego owocu i nacięła się na coś nieświeżego. Nie chodziło tylko o różnicę w poziomie wykształcenia. Inej musiała nauczyć się walczyć, jeśli chciała przeżyć; po swoim pierwszym zabójstwie przepłakała całą noc. A Dunyasha najwyraźniej doskonale się bawiła.

Ale Ketterdam był dobrym nauczycielem. Jeśli nie możesz wygrać, zmień zasady gry.

Inej poczekała na kolejny wypadek Dunyashy, zanurkowała obok niej, brawurowo zeskokczyła na rozpiętą między silosami linę i zaczęła się po niej przesuwac. Wiatr wyczuł swoją szansę i znów wyciągnął po nią łapy. Przyszło jej do głowy, żeby wyjąć balans, ale wolała mieć wolne ręce.

Lina zadygotała pod jej stopami.

To niemożliwe.

Obejrzawszy się przez ramię, stwierdziła, że Dunyasha weszła za nią na linę. Szczyrzyła zęby w uśmiechu, a jej białe ciało pałało takim blaskiem, jakby połknęła księżyc.

Dłoń Dunyashy wystrzeliła w przód i Inej aż stęknęła, gdy coś ostrego dźgnęło ją w łydkę. Wygięła plecy w łuk, złapała linę rękami i odwróciła się przodem do przeciwniczki, kiedy ta znów wykonała gwałtowny gest dłonią. Inej poczuła kolejne bolesne ukłucie: spuściwszy wzrok, dostrzegła sterczącą z uda metalową gwiazdkę o zaostrzonych, opatrzonych zadziórach krawędziach.

Gdzieś z dołu dobiegły krzyki i odgłosy walki.

Nina. Kogo – lub co – Van Eck na nią napuścił?

Na razie Inej nie mogła sobie pozwolić na dekoncentrację – nie na linie, nie w obliczu tej istoty.

– Podobno kurwiłaś się dla Pawia – odezwała się Dunyasha.

Rzuciła następną gwiazdkę, a zaraz potem jeszcze dwiema. Pierwszych dwóch udało się Inej uniknąć, trzecia utkwiała w mięśniu prawego ramienia. Inej zaczynała mocno krwawić.

– Prędeż zabiłabym wszystkich pod tym dachem, a na końcu samą siebie, niż pozwoliłabym się wykorzystać w taki sposób – dodała Dunyasha.

– W tej właśnie chwili dajesz się wykorzystywać – odparowała Inej. – Van Eck nie jest wart twoich umiejętności.

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to Pekka Rollins mi płaci.

Rollins. Niewiele brakowało, żeby Inej się potknęła.

– Opłacił mi podróż i hotel. Nie żądam zapłaty za życia, które odbieram; są dla mnie jak klejnoty, którymi się obwieszam. W tym życiu przynoszą mi chwałę, w przyszłym przyniosą honor.

Pekka Rollins. Czy namierzył także Kaza i pozostałych? Może Nina już nie żyje? Inej musiała jak najszybciej pozbyć się tej dziewczyny.

Uchyliła się przed następną srebrną gwiazdką, która śmignęła w powietrzu, i omal nie straciła równowagi. Tanecznym krokiem cofnęła się po linie, kątem oka wychwyciła kolejny metaliczny błysk... i aż syknęła, gdy ból przeszył jej rękę.

„Śmierć to nasza profesja. Nasze święte dzieło”.

Jakiemuż to mrocznemu bogu służyła ta najemniczka? Oczami wyobraźni Inej ujrzała górujące nad miastem olbrzymie bóstwo, pozbawione twarzy, ze skórą ciasno opiętą na obrzmiałych członkach, karmiące się krwią ofiar swoich akolitów. Czuła jego obecność, chłód jego cienia.

Następna gwiazdka trafiła ją w łydkę od przodu, kolejna – w rękę poniżej łokcia. Obejrzała się przez ramię: jeszcze dziesięć stóp i wróci na dach pierwszego silosu. Dunyasha mogła przerastać ją o głowę w kwestii techniki walki, ale nie знаła Ketterdamu. Inej zsunie się na ziemię, odszuka Ninę i we dwie zgubią tego potwora w plątaninie kanałów i uliczek, którą Inej znała na wylot.

Jeszcze raz oszacowała dystans do silosu: zostało dosłownie kilka stóp. Zanim jednak znów spojrzała przed siebie, Dunyasha zdążyła zejść z liny i właśnie sięgała ręką do magnetycznego zaczepu.

Tylko nie to.

– Chronicie mnie – wyszeptała Inej do swoich świętych.

Lina zwiotczała. Inej spadła, wykręcając się w locie jak mała dziewczynka przed lustrem, która bezskutecznie wypatruje swoich skrzydeł.



21

KAZ

Ogłuszający szum wypełnił uszy Kaza. Jak zwykle, na widok Rollinsa doświadczał dziwnego rozdwojenia wzroku, jakby poprzedniego dnia za dużo wypił i za późno położył się spać: widział przed sobą Pekkę Rollinsa, króla Baryłki i szefa gangu i swojego przełożonego – i jednocześnie Jakoba Hertzoona, rzekomo porządnego kupca, który zwiódł Kaza i Jordiego, obiecał im złote góry, a potem zabrał im wszystkie pieniądze i porzucił ich w mieście, w którym nie ceni się litości.

Dzisiaj po powszechnie szanowanym Jakobie Hertzoonie nie było śladu. Rollins miał na sobie kamizelkę w zielone prążki opiętą na zarysowującym się brzuszku i połyskliwe szmaragdowe spodnie. Najwyraźniej znalazł już sobie nowy zegarek w miejsce tego ukradzonego przez Kaza, bo wyjął go teraz z kieszeni kamizelki i spojrzął na cyferblat.

– Nie chodzi najlepiej – powiedział, potrząsając zegarkiem, i westchnął z irytacją, aż zatrzęśły mu się bokobrody – ale muszę przyznać, że lubię takie błyskotki. Nie masz pewnie przy sobie tego, który mi zwinąłś?

Kaz nie odpowiedział.

– Trudno. – Rollins wzruszył ramionami, zamknął kopertę i schował zegarek do kieszeni. – Moi przybocznicy właśnie zgarniają z Czarnego Woalu twoją ekipę i pewnego bezcennego zakładnika.

Wylan jęknął z niepokojem.

– Dla Zjawy też przygotowałem niespodziankę – ciągnął Rollins. – Ta dziewczyna jest absolutnie wyjątkowa. Jedyna w swoim rodzaju. Ponieważ nie podobała mi się myśl, że mógłbyś mieć w swoim kołczanie taką strzałę, znalazłem kogoś jeszcze bardziej niezwykłego, kto sobie z nią poradzi.

Jego słowa przyprawiły Kaza o mdłości. Przypomniała mu się Inej, jak przeciągała się przed akcją, emanując pewnością siebie.

„Nie potrzebuję siatki”.

– Naprawdę myślałeś, że tak trudno będzie cię znaleźć, Brekker? Od dawna jestem w grze; wystarczyło sobie wyobrazić, co bym zrobił, gdybym był młodszy i bardziej narwany.

Szum w uszach Kaza jeszcze się wzmógł.

– Pracujesz dla Van Ecka.

Brał pod uwagę taką możliwość, ale ostatecznie ją odrzucił. Doszedł do wniosku, że jeśli będzie działał dostatecznie szybko, Rollins i Van Eck nie zdążą się porozumieć.

– Współpracuję z nim – poprawił go Rollins. – Kiedy przyszedłeś do mnie w poszukiwaniu pieniędzy, pomyślałem, że Van Eck wkrótce może potrzebować moich usług. Z początku się wahał, nie miał najlepszych doświadczeń z kontaktów z chłopakami z Baryłki, ale ten numer z żoną, który mu wykreśliłeś, pchnął go prosto w moje kochające, szeroko otwarte ramiona. Wytłumaczyłem mu, że zawsze będziesz o krok przed nim, bo nie umie przestać myśleć jak biznesmen.

Niewiele brakowało, żeby Kaz odruchowo się wzdrygnął. Przecież dopiero co sam tak właśnie pomyślał.

– Łebski z niego gość, bez dwóch zdań – ciągnął Rollins – ale ma ograniczoną wyobraźnię. Za to ty, Brekker, myślisz jak typowy bandzior. Jesteś taki sam jak ja, masz po prostu więcej włosów i mniej klasy. Van Eckowi wydawało się, że przy Zachodniej Klepce złapie was wszystkich w pułapkę. Dlatego nie zawahał się wezwać na pomoc *stadwacht*. Ale ja wiedziałem, że ty się nie dasz tak łatwo zapędzić w kozi róg.

– I wiedziałeś, że tu przyjdę?

Rollins parsknął śmiechem.

– Wiedziałem, że nie oprzesz się pokusie. Nie znałem dokładnie twoich planów, ale byłem pewien, że cokolwiek wykombinujesz, prędzej czy później trafisz tutaj. Nie przegapiłbyś takiej okazji do upokorzenia Van Ecka; do odebrania mu tego, co twoim zdaniem jest ci winien.

– Umowa to umowa.

Rollins pokręcił głową, gdacząc z uciechy jak wielka kwoka.

– Zbyt osobiście traktujesz takie sprawy, Brekker. Powinieneś się skupić na robocie, a ty koncentrujesz się na żywieniu urazy.

– I tu się mylisz, ja nie żywię uraz. Ja na nie chucham i dmucham. Ja je hołubię. Karmię je najsmakowitszymi kąskami i posyłam do najlepszych szkół. Ja swoje urazy pielęgnuję.

– Cieszę się, że nie tracisz poczucia humoru, chłopcze. Kiedy już odsiedzisz swoje, o ile, oczywiście, Van Eck daruje ci życie, może pozwolę ci znów dla mnie pracować. Szkoda, żeby taki talent się marnował.

– Wolałbym już, żeby Van Eck upiekł mnie na wolnym ogniu.

Rollins odpowiedział wielkodusznym uśmiechem.

– Myślę, że i to dałoby się załatwić. Chętnie pójde ci na rękę.

Mów dalej, zachęcił go w myślach Kaz, wsuwając dłoń do torby Wylana.

– Skąd pomysł, że Van Eck dotrzyma umowy z tobą, skoro nie dotrzymał tej zawartej z nami?

– Stąd, że miałem dość oleju w głowie, żeby zażądać zapłaty z góry. A poza tym mam znacznie bardziej umiarkowane żądania. Kilka milionów *kruge* za wykurzenie z Baryłki

szkodnika, którego i tak chciałbym się pozbyć? Nadzwyczaj rozsądna propozycja. – Rollins zahaczył kciuki o kieszonki kamizelki. – Prawda jest taka, że dobrze się z Van Eckiem rozumiemy. Ja się rozwijam, poszerzam swoje terytorium, myślę z rozmachem. Kaelski Książę to najbardziej luksusowy lokal, jaki kiedykolwiek działał przy Wschodniej Klepce, a to dopiero początek. Van Eck i ja jesteśmy budowniczymi; chcemy stworzyć coś, co nas przeżyje. Do tego się dorasta, chłopcze. A teraz oddaj mi tę pieczęć i chodź grzecznie z nami, hmm?

Kaz wyjął pieczęć z kieszeni i podniósł ją do światła, czym przyciągnął wzrok Pekki. Znieruchomiał.

– No, Brekker, śmiało. Twardy jesteś, przyznaję, ale mam więcej ludzi, a stąd nie ma ucieczki. Jeżeli wyskoczysz przez okno, zrobisz sobie krzywdę, zresztą *stadwachta* obstawiła całą ulicę. Jesteś ugotowany. Załatwiony. Udupiony. Nie rób głupstw.

Jeśli nie można otworzyć drzwi, trzeba sobie zrobić drugie. Rollinsa łatwo było zagadać; prawdę mówiąc, Kaz wątpił, żeby zdołał uciszyć Pekkę, nawet gdyby mu na tym zależało. A potem wystarczyło tylko pilnować, żeby nie oderwał wzroku od błyszczącej złotej pieczęci: trzymając ją w prawej ręce, Kaz lewą odkręcił słoik z kwasem.

– Przygotuj się – mruknął.

– Ale Kaz... – próbował protestować Wylan.

Kaz rzucił pieczęć Rollinsowi i w tej samej chwili chlusnął resztką kwasu na podłogę. W pokoju nagle zrobiło się gorąco, dywan zasyczał i wszystko utonęło w obłoku gryzącego dymu.

– Zatrzymać ich! – krzyknął Rollins.

– Do zobaczenia po drugiej stronie – odparł Kaz.

Uderzył laską w drewnianą podłogę. Deski puściły z jękiem.

W chmurze pyłu i tynku spadli wprost na rozstawiony na parterze stół jadalny, który załamał się pod ich ciężarem.

Zastawa i świeczniki rozbryznęły się na wszystkie strony. Kaz natychmiast poderwał się na nogi i – z laską w rękę i w płaszczu ociekającym sosem – pomógł wstać Wylanowi.

Zdażył jeszcze w mgnieniu oka zarejestrować zdumione miny zgromadzonych przy stole kupców, ich szeroko rozdziawione usta, serwetki na kolanach... A potem Van Eck wrzasnął:

– Brać ich!

Kaz i Wylan jednym susem przesadzili walającą się po ziemi szynkę i pognali w głąb wyłożonego biało-czarnymi płytkami korytarza.

Dwaj strażnicy w liberii zastąpili im drogę do oszklonych drzwi prowadzących do ogrodu na tyłach rezydencji. Unieśli gotowe do strzału karabiny.

Kaz jeszcze przyśpieszył, padł na ziemię i zaczął sunąć po posadzce niesiony siłą rozpędu. Trzymając laskę w poprzek piersi, wpadł między strażników, podciął ich obu i przewrócił.

Pędzący za nim Wylan sturlał się po schodach do ogrodu. Przebiegli do szopy na łodzie, skokiem przesadzili barierkę i znaleźli się w podstawionej przez Rotty'ego *gondeli*.

Kula zrykoszetowała z wizgiem o burzę, grad pocisków siekł wodę dookoła. Kaz z Rottym chwycili za wiosła.

– Ognia ze wszystkiego – polecił Kaz.

Wylan jednocześnie odpalił wszystkie race, bomby oślepiające i ładunki wybuchowe, jakie udało się pomieścić w łodzi. Niebo nad posiadłością Van Ecka eksplodowało światłem, dymem i zgiełkliwą kakofonią. Strażnicy rzucili się szukać kryjówek.

Kaz mocno pociągnął wiosłami, *gondela* wpłynęła w główny nurt i włączyła się w roziskrzony tłum łodzi na Geldcanal.

– Wejść i wyjść tak, żeby się nie zorientował? – zacytował Rotty.

– W połowie miałem rację – burknął Kaz.

– Musimy ostrzec pozostałych – wysapał Wylan. – Rollins powiedział...

– Spotkaliście tam Pekkę Rollinsa? – wszedł mu w słowo Rotty.

W jego głosie zabrzmiała nuta lęku. Szczur z kanałów był gotów stawić czoło tysiącowi zbirów i złodziei, kupców i najemników, ale Pekka Rollins napawał go zgrozą.

Kaz przekrzywił wiosło, skierował *gondelę* lekko w prawo i ledwie uniknęli zderzenia z pełnym turystów promem.

– Musimy wrócić na Czarny Woal! Tamci...

– Zamknij się, Wylan. Muszę pomyśleć.

Jesper i Matthias umieli walczyć; jeżeli ktokolwiek miał wyciągnąć Kuweia z wyspy, to oni mieli na to największe szanse. Ale jak Pekka ich namierzył? Kogoś musiał śledzić. Tego dnia wszyscy sporo ryzykowali, odpływając z Czarnego Woalu; każde z nich mogło zwrócić na siebie uwagę i dać się śledzić: Nina z Matthiasem? Wylan i Jesper? Sam Kaz? Znalazłszy ich kryjówkę, Pekka kazał ich obserwować non stop i czekał, aż się rozdziela i przez to staną bardziej bezbronni.

Napiął ramiona i przyśpieszył ruchy. Trzymali z Rottym równe tempo, *gondela* sunęła wyraźnie szybciej niż niosący ją nurt. Musieli jak najprędzej oddalić się od domu Van Ecka i dotrzeć na Słodką Rafę. Ludzie Rollinsa na pewno śledzili Inej i Ninę. Dlaczego Kaz wysłał je do silosów same, bez opieki?

Nina i jej uciekinierzy... Nie będzie widowiskowego ocalenia griszów. Wszelkie szanse na to diabli wzięli.

„Dla Zjawy też przygotowałem niespodziankę” – powiedział Rollins.

Do diabła z zemstą, do diabła z planowaniem. Jeżeli Rollins skrzywdził Inej, Kaz obwiesi jego bebechami całą Wschodnią Klepkę.

Myśl! – zrugął się w duchu. Kiedy jeden plan bierze w łeb, wymyślasz nowy; kiedy zapędzają cię w kozi róg, wybijasz dziurę w dachu. Sęk w tym, że nie był w stanie naprawić czegoś, czego nie mógł pochwycić – a jego plan zrobił się tymczasem śliski.

Zawiódł ją. Zawiódł ich wszystkich. Wszystko przez to, że jak zwykle nie dostrzegł zagrożenia ze strony Pekki Rollinsa. A teraz Jesper mógł nie żyć, a Inej – wykrwawiać się na ulicach Słodkiej Rafy.

Wprowadził *gondelę* w skręt.

– Płyniemy do dzielnicy magazynowej.

– A co z innymi?

– Jesper i Matthias to wojownicy, a Pekka nie zaryzykuje zranienia Kuweia. Dlatego my popłyniemy na Słodką Rafę.

– Mówiłeś, że na Czarnym Woalu będziemy bezpieczni – przypomniał mu Wylan. – Mówiłeś...

– Żadne miejsce nie jest dla nas bezpieczne – odwarknął Kaz. – Ani w Baryłce, ani nigdzie indziej.

Skupił się na wiosłowaniu. Nie mieli pieczęci. Nie mieli statku. Stracili pieniądze.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Wylan. Jego głos ledwie wzniósł się ponad chłopot wody i gwar na kanale.

– Znajdź sobie jakieś wiosła i przydad się na coś. Bo jak nie, to wrzucę twój rozpieszczony tyłek do kanału i poczekam, aż ojciec cię wyłowi.



22

NINA

Usłyszała ich wcześniej, niż zobaczyła. Zająła pozycję między drugim i trzecim silosem, skąd mogła równocześnie śledzić postępy Inej i mieć oko na wartownię.

Inej wspięła się na silos niczym malutki zwinny pajęczek z taką prędkością, że Ninę zmęczyło samo patrzenie na nią. W dodatku widziała ją pod tak ostrym kątem, że kiedy Inej znalazła się na szczycie, zniknęła jej z oczu i nie dało się dłużej obserwować poczynań dziewczyny przy władze. Ponieważ jednak po pierwszym sygnale nie zaczęła się od razu przemieszczać na następny silos, należało się domyślać, że ma kłopot z wołkiem albo ze sprzętem. Dopiero po drugim błysku światła Nina dostrzegła ją na linie nad przepaścią.

Z miejsca, w którym się znajdowała, lina była całkowicie niewidoczna na tle ciemnego nieba i zdawało się, że Inej lewituje. Każdy jej krok był precyzyjny i rozważny. Nagle zachwiała się leciuteńko... i natychmiast skorygowała równowagę. Serce Niny biło zrywami; odnosiła absurdalne wrażenie, że jeżeli zdekoncentruje się choć na ułamek sekundy, Inej spadnie, tak jakby to jej skupienie i wiara utrzymywały przyjaciółkę w powietrzu.

Kiedy wreszcie przeszła na szczyt drugiego silosu, Nina miała ochotę wiwatować, ale zadowolona się krótkim, bezgłośnym triumfalnym tańcem, a potem znów musiała czekać, aż strażnicy pojawią się po zachodniej stronie ogrodu. Zatrzymali się na chwilę w wartowni, po czym ruszyli na kolejny obchód i Nina już, już miała dać znak Inej, gdy usłyszała chóralny wybuch śmiechu. Strażnicy również zwrócili na niego uwagę i nabrali czujności; jeden z nich zapalił umieszczoną na dachu wartowni latarnię sygnałową, żeby wezwać posiłki, na wszelki wypadek, gdyby miały się szykować jakieś kłopoty. W przeszłości dochodziło już w mieście do zamieszek, a zważywszy na niedawne zamieszanie nad Zachodnią Klepką, Nina wcale nie dziwiła się strażnikom, że od razu wołają o pomoc.

Tym bardziej że naprawdę mogli jej potrzebować. Nina od razu rozpoznała drani z Baryłki, wyjątkowo wrednych, wielgachnych, muskularnych i uzbrojonych po zęby. Większość miała broń palną, co niedwuznacznie sugerowało, że nie przyszli szukać zwykłej przepychanki. Dowódca – w opiętej na szerokim torsie kraciatej kamizelce –

wymachiwał trzymanym oburącz grubym łańcuchem. Na jego przedramieniu Nina dostrzegła okrągły tatuaż: z tej odległości nie potrafiła rozeznaczyć szczegółów, ale byłaby skłonna założyć się o sporą sumę, że przedstawia lwa zwiniętego w kłębek wokół korony. Lwy za Dychę. Ekipa Pekki Rollinsa. Po co tu przyszli, do licha?

Zadarła głowę. Inej powinna właśnie wrzucać wołka do drugiego silosu; Ninie pozostało mieć nadzieję, że jej przyjaciółka jest niewidoczna dla Lwów. Ale czego chcieli ludzie Rollinsa?

Na odpowiedź nie musiała długo czekać.

– Słyszeliśmy, że gdzieś na Słodkiej Rafie ukrywa się ciałobójczyni – powiedział głośno ten w kraciastej kamizelce, kręcąc młynka łańcuchem.

Na wszystkich świętych, pomyślała Nina, nie jest dobrze. Czyżby śledzili ją i Inej od Czarnego Woalu? Czy reszta ekipy też miała kłopoty? Czy Pekka Rollins i jego gang wiedzieli o griszach w ambasadzie? Dla niektórych ucieczka z miasta wiązałaby się z zerwaniem ważnego kontraktu; można by ich było szantażować albo, co gorsza, po prostu wydać na pastwę łowców z Shu Hanu.

Chwilowo masz dość własnych problemów, Zenik, zabrzmiał głos w jej głowie. Przestań myśleć o tym, jak ocalić świat, i skup się na ratowaniu własnego tyłka.

Jeden ze strażników wystąpił naprzód – nadzwyczaj brawurowo zdaniem Niny, jeśli wziąć pod uwagę demonstrację siły Lwów za Dychę. Nie słyszała, co mówią, ale jakiś dokument opatrzony jaskrawoczerwoną pieczęcią przeszedł z rąk do rąk i strażnik oddał go do przeczytania swojemu towarzyszowi, a po chwili wzruszył ramionami i – ku zgrozie Niny – otworzył furtkę prowadzącą na teren wokół silosów. Latarnia na dachu wartowni rozbłysła po raz drugi: prośba o posiłki została odwołana.

Czerwona pieczęć. Kolor Van Ecka. Silosy należały do niego, strażnicy nie dopuściliby do nich nikogo, kto nie miałby upoważnienia właściciela. Implikacje tego faktu przyprawiały Ninę o zawroty głowy. Czy to możliwe, żeby Jan Van Eck i Pekka Rollins pracowali ręką w rękę? Bo jeśli tak, to szanse Szumowin na ujście z życiem z Ketterdamu właśnie zmieniły się w garść okruchów na tacy z ciastem.

– Pokaż się, słodziutka Nino. Pekka ma dla ciebie robótkę.

Na końcu łańcucha, którym wywijał dowódca, wisiały kajdany. Krótco po tym, jak przybyła do Ketterdamu, Pekka Rollins zaproponował jej pracę w zamian za wątpliwą ochronę. Odmówiła, wybrała zamiast tego Szumowiny. Wyglądało na to, że Pekka miał dość przestrzegania kontraktów i praw gangów: zamierzał ją złapać, skuć i albo sprzedać do Shu Hanu, albo oddać Van Eckowi, żeby ten naszprycował ją *parem*.

Na razie pozostawała niewidoczna w cieniu drugiego silosu, nie mogła jednak ruszyć się dalej niż o parę kroków, żeby nie wyjść z ukrycia. Przypomniała sobie o trzymanej w kieszeni tabletki z trucizną.

Dowódca dał znak swoim ludziom, żeby się rozproszyli.

– Nie zmuszaj nas, żebyśmy wzięli cię siłą, dziewczyno.

W całej tej sytuacji dostrzegła dwie sprzyjające okoliczności. Po pierwsze, kajdany na końcu łańcucha sugerowały, że Pekka chce ją pojmać żywcem; byłoby mu żal stracić

ciałobójczynię, więc jego ludzie raczej nie będą strzelać. Po drugie, ta banda geniuszy nie miała pojęcia, że *parem* odmieniła jej moc. Może uda jej się zyskać trochę czasu dla samej siebie i dla Inej.

Rozpuściła włosy, zebrała się na odwagę i wyszła na odkryty teren. Odpowiedział jej szcęk odwodzonych kurków broni.

– Spokojnie. – Oparła rękę na biodrze. – Podziurawiona jak wieko solniczki do niczego się Rollinsowi nie przydam.

– Witaj, grisz. Chcesz, żebyśmy się z tobą zabawili?

To zależy, co rozumiesz przez zabawę, odparła w myślach Nina.

– Jak ci na imię, przystojniaczku? – spytała.

Chłopak uśmiechnął się w odpowiedzi, połyskując złotym zębem. W policzkach zrobiły mu się urocze dołeczki.

– Eamon.

– Ładne kaelskie imię. *Ken ye hom?*

– Mama była Kaelką, ale ja nie znam tego bełkotu.

– Powiedz kolegom, żeby wyluzowali i opuścili broń, to nauczę cię paru nowych słówek.

– Lepiej nie. Wiem, jak działa moc ciałobójców. Nie dam ci się złapać za bebechy.

– Szkoda. Posłuchaj, Eamon, nie musimy się wdawać w żadną awanturę. Chciałabym tylko poznać warunki Pekki. Jeżeli mam wykiwać Kaza, muszę wiedzieć, czy związany z tym ból będzie wart swojej ceny...

– Kaz Brekker jest już trupem, kochaniutka. A Pekka nie zamierza ci przedstawiać żadnych warunków. Idziesz z nami, w łańcuchach albo bez.

Nina podniosła rękę. Otaczający ją ludzie zeszywnieli, gotowi w każdej chwili otworzyć ogień bez względu na rozkazy Rollinsa, ale ona tylko przeciągnęła się leniwie.

– Zdajesz sobie sprawę, Eamon, że zanim zdołasz mnie zakuć w to żelastwo, połowa tych dżentelmenów będzie miała w brzuchu marmoladę zamiast wnętrzości?

– Nie jesteś aż tak szybka.

– Jestem wystarczająco szybka, żeby sprawić, że już nigdy nie postawisz namiotu przy Zachodniej Klepce. – Przy tych słowach wzrok Niny znacząco zsunął się poniżej pasa Eamona.

Eamon zbladł.

– Nie dasz rady.

Nina wyłamała palce.

– Czyżby?

Gdzieś spod nieba dobiegł metaliczny szcęk. Wszystkie Lwy skierowały broń w górę.

Do licha, Inej, siedźże cicho!

Kiedy jednak Nina zadarła głowę, wszystkie jej myśli zamarły ze zgrozy. Inej znów szła po linie, ale nie była na niej sama.

W pierwszej chwili Nina pomyślała, że ma zwidy, kiedy odziana w biel postać weszła na linę w ślad za Inej. Wyglądała jak unoszący się w powietrzu duch.

A potem czymś rzuciła. Błysnął metal. Nina nie zauważyła, czy rzucony przedmiot w

coś trafił, ale było widać, jak Inej zachwiała się, nim rozłożyła ręce i złapała równowagę.

Na pewno można jej było jakoś pomóc. Nina sięgnęła zmysłami w stronę dziewczyny w bieli, szukając jej pulsu, włókien mięśni, czegokolwiek, czym mogłaby zawładnąć, ale znalazła tylko przerażającą pustkę, jakby nagle oślepla.

– Nie pomożesz przyjaciółce? – spytał Eamon.

– Da sobie radę.

Eamon uśmiechnął się.

– Wcale nie jesteś taka twarda, jak mówią. Mocna w gębie i tyle. – Odwrócił się do swoich ludzi. – Pierwszy, który ją złapie, do rana pije na mój koszt.

Nie rzucili się na nią tłumnie, nie byli aż tak głupi. Powoli zaciskali krąg, z bronią gotową do strzału. Kiedy Nina gwałtownym gestem wyrzuciła przed siebie wyprostowane ręce, przystanęli niepewnie, ale kiedy nic się nie stało, spojrzeli po sobie, uśmiechnęli się i naparli nieco szybciej, już bez lęku, gotowi zgarnąć nagrodę.

Nina zaryzykowała zerknięcie w górę. Inej utrzymała się na linie i chyba próbowała cofnąć się na pierwszy silos, było jednak widać, że jest poraniona i ma kłopot z utrzymaniem równowagi.

Siatka!

Tyle że sama nie obsłuży siatki. Gdyby miała chociaż trochę *parem*, dosłownie szczyptę, mogłaby zmusić tych durniów, żeby jej pomogli. Posłuchaliby jej bez namysłu.

Sięgnęła przed siebie umysłem w poszukiwaniu jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Nie mogła tak biernie stać, czekać, aż ją złapią, i patrzeć, jak Inej umiera. Czowała jednak, że zapuszcza się w czarną otchłań; w pobliżu nie było odłamków kości, którymi mogłaby się posłużyć, nie było nawet okruchów pyłu. Świat, który jeszcze niedawno był wypełniony życiem, biciem serc, rytmem oddechów i tętnieniem krwi, został odarty ze wszystkiego. Pozostała czarna pustynia, bezgwiazdne niebo, jałowa ziemia.

Jeden z Lwów skoczył w jej stronę, a potem rzucili się na nią wszyscy naraz, złapali ją za ręce i powlekli w stronę Eamona, którego szeroki uśmiech przypominał półksiężyc.

Zawyła ze złości, miotając się jak dzikie zwierzę. Wcale nie była bezbronna. Nie godziła się na bezradność.

„Nie znam drugiego tak zajadłego wojownika jak ty, z mocą czy bez”.

I wtedy to poczuła, tam, pośrodku czarnej pustyni, obszar zimna tak potwornego, że aż parzyło – z tyłu, za silosami, w załomie kanału, po drodze do portu: trupia barka i spiętrzony na niej stos ciał. Przeszyło ją znajome uczucie rozpoznania. Nie umiała już wyczuć bicia serc ani przepływu krwi, wyczuwała za to coś zupełnie innego. Przypomniła sobie odłamki kości przed tawerną. Przypomniła sobie spokój, jaki ogarniał ją na Czarnym Woalu, wśród grobów.

Eamon spróbował zatrzasnąć jej kajdanki na nadgarstku.

– Jeszcze obrozę jej założymy! – zawołał inny z Lwów za Dychę.

Ktoś złapał ją za włosy, szarpnął głowę do tyłu, odsłonił jej szyję. Nina miała świadomość, że pomysł, który przyszedł jej do głowy, zakrawa na obłąd, ale chwilowo zabrakło jej rozsądnych rozwiązań. Zebrawszy resztki sił, kopnęła Eamona, wyrwała mu

się i obiema rękami zatoczyła zamaszysty łuk, koncentrując się na swoich nowych, nieznanym dotąd wrażeniach. Poczowała, jak zwłoki na barce drgnęły. Zacisnęła pięści.

Chodźcie do mnie.

Lwy złapały ją za nadgarstki. Eamon uderzył ją na odlew w usta, ale jego cios jej nie zdekoncentrował ani nie zmusił do rozluźnienia pięści. To było zupełnie inne uczucie od upojenia, jakie rozpierało ją po przyjęciu *parem*. Wtedy czuła żar, ogień, światło – teraz płonął w niej zimny płomień, spokojny, sinoniebieski. Trupy powstawały z martwych, by jeden po drugim odpowiedzieć na jej zew. Czuła dotyk przytrzymujących ją cudzych rąk i oplatających ją łańcuchów, ale tamten chłód pogłębiał się z każdą chwilą, nasilał się jak ziąb nurtu wartkiej zimowej rzeki, jak zimno czarnych bystrzy zjeżonych potrzaskanymi bryłami lodu.

Usłyszała krzyk, serię strzałów, zgrzyt metalu. Uścisk obcych dłoni zelżał, łańcuch osunął się na bruk z niemal melodyjnym brzęknięciem. Przyciągnęła ręce do ciała i jeszcze głębiej zanurzyła się w lodowatej wodzie.

– Co jest, do diabła... – Eamon obejrzał się w stronę wartowni. – Co się dzieje?!

Zdjęte zgrozą Lwy za Dychę cofały się pośpiesznie, zapomniawszy o zadaniu. Nina wcale im się nie dziwiła. Tłum ludzi napierał na ogrodzenie, którego słupki zaczynały się chwiać. Niektórzy byli młodzi, inni starzy, ale wszyscy byli piękni: zaczerwienione policzki, różowe usta, lśniące włosy okalające twarze i falujące leniwie jak wodorosty. Wyglądali przepięknie, lecz zarazem przerażająco; większość nie miała żadnych widocznych ran, ale na sukni jednej z kobiet widniały brunatne plamy krwi i wymiocin, inna miała ranę kłutą, która zdążyła zgnić i poczernieć ze starości, a z dwóch kolejnych, całkiem nagich, jedna miała brzuch rozplątany głębokim cięciem i zwisający z niego różowy płat skóry. Ich oczy miały czarny, szklisty odcień zimowej wody.

Nina poczuła mdłości i ogarnęło ją dziwne uczucie, coś na kształt wstydu, tak jakby zajrzała do cudzego domu przez okno, przez które nie miała prawa patrzeć. Nie miała jednak innego wyjścia. Poza tym prawda była taka, że wcale nie chciała przestać. Rozprostowała palce.

Płot runął przy wtórze przejmującego zgrzytu dartego metalu. Lwy za Dychę zaczęły strzelać, ale trupy parły naprzód beznamietnie i bez cienia lęku.

– To jej sprawka! – wrzasnął Eamon, cofając się. Potknął się, przewrócił, podniósł na kolana. Jego ludzie uciekali w noc. – Przyszli po tę griszową zdirę!

– Teraz pewnie żałujesz, że nie pogadaliśmy, co? – warknęła Nina.

Ale w gruncie rzeczy los Lwów za Dychę był jej obojętny.

Podniosła wzrok. Inej wciąż szła po linie, za to dziewczyna w bieli wycofała się na dach drugiego silosu i właśnie sięgała do magnetycznego zaczepu.

Siatka, poleciała w myślach Nina. Ale już!

Trupy przyśpieszyły gwałtownie, runęły naprzód... i nagle znieruchomiały, jakby oczekując rozkazów. Skoncentrowała się, nakazując im posłuszeństwo i przelewając w ich ciała całą swoją siłę i energię życiową. W kilka sekund wyciągnęły siatkę z ukrycia, rozpostarły ją i puściły się biegiem, tak szybko, że nie była w stanie za nimi nadążyć.

Lina zwiotczała. Inej spadła. Nina krzyknęła.

Ciało Inej spadło na siatkę, odbiło się od niej, spadło drugi raz.

Nina podbiegła do przyjaciółki.

– Inej!

Ciało Inej spoczywało na samym środku siatki, naszpikowane srebrnymi gwiazdkami i ociekające krwią.

Połóżcie ją, poleciała Nina.

Trupy posłusznie opuściły siatkę na bruk. Nina niepewnie zbliżyła się i uklękła.

– Inej?

Inej objęła ją.

– Nigdy więcej tego nie rób – wyszłochała Nina. – Nigdy.

– Siatka? – zabrzmiał wesoły głos. – To nieuczciwe.

Inej zeszywniała. Dziewczyna w bieli zeszła z drugiego silosu i szła w ich stronę. Nina wyprostowała ręce. Trupy zastąpiły drogę intruzce.

– Na pewno chcesz się bić, śnieżynko?

Dziewczyna zmrużyła śliczne oczy.

– Pokonałam cię – powiedziała, zwracając się do Inej. – I ty o tym wiesz.

– Miałaś dobry dzień – odparła Inej, lecz głos miała słabiutki jak na wpół przetarta nitka.

Dunyasha zmierzyła wzrokiem zgromadzoną przed nią armię gnijących ciał, jakby próbowała ocenić swoje szanse. Skłoniła się lekko.

– Jeszcze się spotkamy, Zjawo.

Odwróciła się w stronę miejsca, w którym zniknęli Eamon i reszta Lwów za Dychę, saltem przesadziła ogrodzenie i również zniknęła.

– Ktoś tu lubi teatrzyk – mruknęła Nina. – Nie, no serio, kto się ubiera na białe do walki na noże?

– Dunyasha, Biała Klinga czegoś tam. Bardzo chce mnie zabić. I chyba nie tylko mnie.

– Dasz radę iść?

Inej skinęła głową, chociaż twarz miała szarą jak popiół.

– Nino, czy ci ludzie... Czy oni nie żyją?

– Kiedy tak stawiasz sprawę, brzmi to jakoś upiornie.

– Ale nie użyłaś chyba...

– Nie. Nie brałam *parem*. Nie wiem, jak to działa.

– Czy griszowie w ogóle mogą...

– Nie wiem.

Strach wywołany zasadzką i upadkiem Inej z wolna się rozplywał i Nina czuła się dziwnie zde gustowana. Co ona najlepszego zrobiła? Z czym zadarła?

Zapytała kiedyś jednego ze swoich nauczycieli w Małym Pałacu, skąd pochodzi moc griszów. Była jeszcze dzieckiem, któremu imponowali starsi griszowie przybywający do pałacu w ważnych sprawach.

– Nasza moc łączy nas z życiem w sposób, jakiego zwykli ludzie nigdy nie zrozumieją –

odpowiedział nauczyciel. – Dlatego też korzystanie z naszego daru wzmacnia nas, zamiast wyczerpywać. Jesteśmy powiązani z energią tworzenia, która doprowadziła do powstania świata. W naszym wypadku, somatyków, ta więź jest jeszcze ściślejsza, ponieważ na co dzień zajmujemy się życiem i jego odbieraniem.

Rozłożył ręce i wtedy Nina poczuła, jak jej serce lekko zwolniło bieg.

Inni uczniowie spojrzeli po sobie, wstrzymując oddech: wszyscy doświadczyli tego samego.

– Czujecie to? – spytał nauczyciel. – Wszystkie wasze serca biją w jednym rytmie. To właśnie rytm świata.

Wrażenie było niesamowite, jakby ich ciała się rozplęły i nie byli już grupą uczniów wierzących się niespokojnie na krzesłach w klasie, tylko jedną istotą, obdarzoną jednym sercem i połączoną wspólnym celem. Trwało to zaledwie chwilę, ale Nina nigdy nie zapomniała tego poczucia wspólnoty i przyływu świadomości, że dzięki swojej mocy nigdy nie będzie całkiem sama.

Ale moc, której użyła przed chwilą? To było coś zupełnie innego, jakaś dziwna pochodna *parem* niemająca nic wspólnego z energią wypływającą z serca świata. To był błąd.

Później będzie się tym martwić.

– Musimy uciekać. – Pomogła Inej wstać i powiodła wzrokiem po otaczających je trupach. – Na wszystkich świętych, ależ oni cuchną...

– Myślisz, że cię słyszą?

– Słyszycie mnie?

Trupy nie zareagowały, a kiedy sięgnęła w ich stronę swoimi zmysłami, nie wykryła ani śladu życia... chociaż coś tam jednak było, coś, co przemawiało do niej w sposób, w jaki żywi już nie mogli się z nią porozumieć. Znów przyszła jej na myśl lodowata rzeka; cały czas czuła jej zimny nurt opływający ją samą i wszystko dookoła, tyle że teraz rzeka znacznie wolniej toczyła swoje wody.

– Co z nimi zrobisz? – zainteresowała się Inej.

Nina bezradnie wzruszyła ramionami.

– Może odeślę ich tam, skąd przyszli?

Podniosła ręce.

Odejdźcie, poleciała trupom w myślach, najwyraźniej, jak umiała. Spoczywajcie w pokoju.

Trupy odpłynęły gwałtowną wezbraną falą, na widok której Inej odruchowo zaczęła się modlić. Nina odprowadziła je wzrokiem. Niewyraźne sylwetki zniknęły w ciemności.

Inej wzdrygnęła się, wyrwała wbitą w ramię gwiazdkę i upuściła ją na ziemię. Metal zadźwięczał głośno na bruku. Krwawiła nieco mniej niż przedtem, ale jej rany z pewnością wymagały opatrzenia.

– Chodźmy stąd – zaproponowała – zanim *stadwachta* się pojawi.

– Ale dokąd? – spytała Nina. Skierowały się nad kanał. – Jeżeli Pekka Rollins znalazł nas...

Inej zwolniła kroku, gdy fakty przebiły się do jej świadomości.

– Czarny Woal pewnie nie jest już bezpieczny. Kaz... Kaz mi powiedział, gdzie mamy się spotkać, gdyby coś poszło nie tak, jak trzeba, ale...

Słowa zawisły w powietrzu pomiędzy nimi. Wejście do gry Pekki Rollinsa oznaczało znacznie więcej niż tylko pokrzyżowanie ich planów.

Czy Czarny Woal był stracony? Co z Matthiasem? Czy Rollins go oszczędzi, czy każe strzelać, a potem po prostu odbierze nagrodę?

Do tego dochodziła sprawa griszów. Jeśli Pekka śledził Jespera i Matthiasa w drodze do ambasady, to mógł potem zastawić na nich wszystkich pułapkę w drodze na przystań. Nina znów pomyślała o żółtej tabletki w kieszeni. Przypomniała sobie drapieżne złote oczy Tamar, władcze spojrzenie Zoi, kpiący śmiech Genyi. Zaufały jej. Jeżeli coś im się stało, nigdy sobie tego nie wybaczy.

Wracając na przystań, do miejsca, gdzie zacumowały łódź, zaryzykowała rzut oka na barcę, na której pokładzie ostatnie trupy właśnie układały się na swoich miejscach. Wyglądały jakoś inaczej: wśród popielatej szarości i plamistej bieli, jakie tradycyjnie kojarzyła ze śmiercią, pojawiły się plamy koloru. Może śmierć była bardziej skomplikowana, niż jej się wydawało.

– Dokąd płyniemy? – spytała.

W tej samej chwili dostrzegły dwie postaci pędzące w ich stronę. Inej dobyła noży, a Nina rozpostarła ramiona gotowa ponownie wezwać swoje niezwykle wojsko. Wiedziała, że za drugim razem będzie łatwiej.

Kaz z Wylanem wpadli w plamę światła ulicznej latarni, w zmiętych ubraniach, z włosami przyprószonymi tynkiem... i gulaszem? Kaz ciężko wspierał się na lasce, ale nieustępliwie parł naprzód. Ostre rysy jego twarzy zastygły w zawziętym grymasie.

– Będziemy walczyć ramię w ramię – wyszeptała Inej.

Przeniósłszy na nią wzrok, Nina stwierdziła, że jej mina do złudzenia przypomina minę Kaza. Dobrze знаła ten wyraz twarzy: tak wyglądali rozbitkowie po katastrofie statku, gdy niebo ciemniało, przychodził pierwszy przyływ, a oni dostrzegali w oddali ląd i poczynali żywić nadzieję na znalezienie schronienia, a nawet, być może, ocalenie.



23

WYLAN

Umrę, a wtedy nikt jej nie pomoże, rozmyślał Wylan. Nie będzie komu pamiętać o Maryi Hendriks.

Chciał być dzielny, na razie jednak był zmarznięty, poobijany i – co najgorsze – otoczony przez najdzielniejszych ludzi, jakich znał, którzy byli wyraźnie wstrząśnięci.

Wolno posuwali się naprzód, przystając pod mostami i w plamach cienia, żeby przepuścić maszerującą górą lub po brzegu oddziały *stadwachty*. Straż miejska w dużej liczbie wyległa na ulice, ich łodzie z jasnymi latarniami na dziobach powoli sunęły po kanałach. W krótkim czasie, jaki upłynął od zamieszania na Goedmedbridge, coś się zmieniło: miasto wyraźnie się ożywiło. I było wściekłe.

– Griszowie... – zaczęła Nina.

– Albo siedzą bezpieczni w ambasadzie – wszedł jej w słowo Kaz – albo są poza naszym zasięgiem. Dadzą sobie radę bez nas. My musimy się ukryć.

I w tym właśnie momencie do Wylana dotarło, jak bardzo poważna musi być ich sytuacja, bo Nina nawet nie próbowała się spierać: po prostu spuściła głowę, wplotła dłonie we włosy i umilkła.

– Nic im nie będzie. – Inej ją objęła. – Jemu też nic się nie stanie.

Poruszała się jednak ostrożnie, z bólem, a Wylan widział krew na jej ubraniu.

Potem już nikt się nie odzywał. Kaz i Rotty z rzadka używali wiosł, żeby pchnąć łódź na węższy, spokojniejszy kanał, a poza tym pozwalali *gondeli* dryfować bezgłośnie aż do zakrętu nieopodal Schoonstraat, kiedy to Kaz powiedział: – Stop.

Obaj z Rottym wciągnęli wiosła i *gondela* wśliznęła się pomiędzy dużą łódź kupiecką i brzeg kanału. Cokolwiek sprzedawano z łodzi, w tej chwili znajdujące się na niej kramy były zamknięte naглуcho, żeby ochronić towar przed kradzieżą.

Przed nimi na moście roiło się od funkcjonariuszy *stadwachty*; dwie łodzie straży miejskiej przegradzały dalszą drogę.

– Stawiają blokady – stwierdził Kaz.

Porzucili *gondelę* i dalej ruszyli pieszo.

Wylan wiedział, że zmierzają do innej kryjówki, ale pamiętał również słowa Kaza: żadne miejsce nie jest bezpieczne. Gdzie w takim razie mieliby się ukryć? Pekka Rollins współpracował z jego ojcem; do spółki trzymali w garści pewnie z pół miasta. Złapią go – i co dalej? Nikt nie uwierzy, że jest synem Jana Van Ecka. Wylan Van Eck mógł być pogardzany przez ojca, ale miał pewne prawa, o jakich przestępca z Shu Hanu nie mógł nawet marzyć. Trafi do Wrót Piekieł? A może ojciec zdoła doprowadzić do jego egzekucji?

W miarę jak oddalali się od Baryłki i dzielnicy fabrycznej, patrole stawały się coraz rzadsze i Wylan zrozumiał, że *stadwachta* koncentruje siły głównie w podlejszych częściach miasta. Oni jednak dalej poruszali się skokami, przemierzając uliczki, o których istnieniu Wylan nie miał pojęcia, a od czasu do czasu wchodząc do wnętrza domów przez puste witryny sklepowe i niezasiedlone mieszkania, by skrócić sobie drogę do sąsiedniego zaułka. Zupełnie jakby Kaz dysponował tajnym planem Ketterdamu, na którym zaznaczono wszystkie zapomniane miejskie przestrzenie.

Czy tam, dokąd zmierzali, będzie na nich czekał Jesper? A może leży ranny i wykrwawia się na posadzce grobowca, nie mogąc liczyć na niczyją pomoc? Wylan nie chciał brać tej możliwości pod uwagę. Im mniejsze szanse miał Jesper, tym zacieklej walczył.

Przypomniał sobie, jak Jesper próbował przebłagać Colma:

– Wiem, że cię zawiodłem. Proszę tylko o jeszcze jedną szansę.

Ileż to razy sam tak się zwracał do ojca? I za każdym razem wierzył, że spełni pokładane w nim nadzieje.

Jesper na pewno przeżyje. Wszyscy przeżyją.

Przypomniał sobie swoje pierwsze spotkanie ze snajperem. Jesper wydał mu się wtedy istotą z innego świata, odziany w limonkową zieleń i cytrynową żółć, długonogi i swobodny w ruchach, jakby każdy jego krok wylewał się z butelki z wąską szyjką.

Pierwszej nocy w Baryłce Wylan włóczył się po ulicach, szcząkał z zimna zębami i czekał, aż ktoś go okradnie. Kiedy w końcu zaczął sinieć na twarzy i tracić czucie w palcach, zebrał się na odwagę i zagadnął mężczyznę, który stał na schodkach domu i palił fajkę.

– Nie wie pan czasem, gdzie mógłbym wynająć pokój?

– Tam jest tabliczka „Noclegi”. – Mężczyzna skinął fajką na drugą stronę ulicy. – Co ty, ślepy jesteś?

– Musiałem nie zauważyć – odparł Wylan.

Pensjonat był brudny, ale cudownie tani. Wylan zapłacił dziesięć *kruge* za pokój i dopłacił ekstra za gorącą kąpiel; zdawał sobie sprawę, że powinien oszczędzać, ale gdyby od razu pierwszej nocy złapał zapalenie płuc, miałby problem znacznie poważniejszy niż niedostatek pieniędzy. Wziął mały ręczniczek, poszedł do łazienki na końcu korytarza i umył się pośpiesznie. Woda była wprawdzie należycie gorąca, ale nie czuł się swobodnie, przykucnąwszy nago w wannie w pomieszczeniu, którego drzwi nie miały zamka. Próbował podsuszyć ubranie, lecz ostatecznie i tak było wilgotne, gdy naciągał je na grzbiet.

Przeleżał noc na cienkim jak papier materacu, gapiąc się w sufit i nasłuchując odgłosów z wnętrza budynku. Przy Geldcanal noce były tak ciche, że człowiek słyszał chlupot wody o ściany szopy na łodzie, ale tu, w pensjonacie, panował zgiełk jak w samo południe. Zza brudnego okna sączyła się muzyka, ludzie rozmawiali, śmiali się, trzaskali drzwiami. Piętro wyżej dwoje ludzi kłóciło się hałaśliwie, piętro niżej jakaś inna para robiła coś zupełnie przeciwnego.

Obmacał siniaki na szyi i rozżalił się, że nie może zadzwonić po służbę i zamówić herbaty. I w tej właśnie chwili ogarnęła go panika. Czy jego życie może się stać jeszcze bardziej beznadziejne? Najpierw omal nie zginął z ręki nasłanych przez ojca zabójców, a teraz został prawie bez pieniędzy i leżał na pryczy cuchnącej środkiem na wszy. Powinien snuć jakieś plany, może nawet szykować zemstę, powinien wziąć się w garść i zrobić przegląd swoich atutów – a on co? Zamartwia się, że nie ma komu podać mu herbaty. Nawet jeśli w domu ojca nie był najszcześliwszy, to nigdy nie musiał pracować na swoje utrzymanie; miał służbę, gorące posiłki, czyste ubrania... Nie miał pojęcia, czego wymaga przetrwanie w Baryłce, ale był święcie przekonany, że on tego nie ma.

Leżąc tak i rozmyślając, szukał też wytłumaczenia dla ostatnich wydarzeń. To wszystko wina Migggsona i Priora, ojciec na pewno o niczym nie wiedział. Co najwyżej Migggson i Prior opacznie zrozumieli jego polecenia i doszło do okrutnej pomyłki. Usiadł na posłaniu, sięgnął do kieszeni i znalazł spoczywające w niej dokumenty do szkoły muzycznej w Belendt.

Wyjawszy grubą kopertę, od razu zorientował się, że ojciec jednak nie jest bez winy. Nasiąknięta koperta śmierdziała wodą z kanałów, ale ani na jotę nie zmieniła koloru; ani odrobina atramentu z rzekomych dokumentów w jej wnętrzu nie przesączyła się na zewnątrz. Otworzył ją i porozdzielał zlepione wodą kartki. Były puste. Ojciec nie wysilił się nawet na wiarygodny podstęp. Wiedział, że łatwowierny Wylan nie będzie próbował czytać dokumentów ani że nie przyjdzie mu do głowy, że ojciec mógłby kłamać. Żałosne.

Był tak przerażony, że przez dwa dni nie wychodził z pensjonatu, zanim jednak nastął trzeci poranek, zgłodniał tak bardzo, że zalatująca przez okno woń smażonych ziemniaków wywabiła go w końcu z pokoju. Kupił sobie ziemniaki w papierowej tutce i pochłonął je tak łapczywie, że poparzył język. A potem zmusił się do wyjścia na miasto.

Pieniądzy wystarczyłoby mu jeszcze na tygodniowy wynajem pokoju – pod warunkiem, że nic by przez ten czas nie jadł. Musiał znaleźć jakąś pracę, problem polegał jednak na tym, że nie miał pojęcia, od czego zacząć poszukiwania. Był za mały i za słaby do pracy w magazynie albo stoczni, a inne, lżejsze zajęcia wymagały umiejętności czytania. Może któreś z kasyn albo jakiś dom uciech chciałoby zatrudnić muzykanta, żeby przygrywał gościom w salonie? Nadal miał przecież flet.

Przewędrował całą Wschodnią Klepkę i większość lepiej oświetlonych ulic. Zaczynało się ściemniać, zanim zniechęcony wrócił do pensjonatu. Mężczyzna z fajką trwał na posterunku; Wylan miał wrażenie, że nigdzie się z niego nie rusza.

– Szukam pracy – przyznał. – Zna pan kogoś, kto mógłby mnie zatrudnić?
Mężczyzna otaksował go wzrokiem przez chmurę dymu.

– Takie ciacho jak ty nie powinno mieć kłopotu z zarobieniem paru *kruge* przy Zachodniej Klepce.

– Mam na myśli uczciwą pracę – podkreślił Wylan.

Mężczyzna z fajką zaniósł się śmiechem, który przeszedł w atak kaszlu, ale w końcu wykierował Wylana na południe, do garbarni.

Dostawał grosze za mieszanie farb i czyszczenie kadzi. Poza nim w garbarni pracowały głównie kobiety i dzieci oraz paru cherlawych wyrostków, takich jak on. Niewiele mówili; wyczerpani i chorzy od chemikaliów ledwie byli w stanie odbębnić swoje i odebrać zapłatę. Nie dostawali rękawic ani masek i Wylan był praktycznie pewien, że czeka go śmiertelne zatrucie, zanim choćby zacznie się zastanawiać nad tym, co zrobić ze skromną sumą zarobionych pieniędzy.

Pewnego popołudnia podsłuchiwał szefa farbiarni, który skarżył się, że tracą całe galony farby tylko przez to, że kotły są zbyt rozgrzane i farba za szybko paruje. Przeklinał fortunę wydaną na naprawę dwóch kotłów, która niewiele w tej kwestii zmieniła.

Wylan przez chwilę wahał się, czy się odezwać, ale w końcu się przełamał i zaproponował, żeby dolać do kotłów słonej wody.

– Po co niby miałbym to robić, u licha? – zachnął się szef.

– Bo to podniesie temperaturę wrzenia – odparł Wylan, chociaż już zaczynał się zastanawiać, po co w ogóle zabierał głos. – Farba będzie się gotowała w wyższej temperaturze, co zmniejszy straty wywołane parowaniem. Tylko trzeba by trochę pokombinować ze składem, bo sól będzie się odkładać, i regularnie czyścić zbiorniki, żeby ich nie przeżerała.

Farbiarz bez słowa splunął *jurda* na ziemię, jakby w ogóle nie słyszał Wylana, ale od następnego tygodnia rzeczywiście spróbowali napełnić jeden z kotłów słoną wodą. Po kilku dniach słona woda chlupotała już we wszystkich zbiornikach, a szef zaczął zasięgać rady Wylana także w innych sprawach. Co zrobić, żeby skóry nie sztywniały od czerwonej farby? Czy dałoby się skrócić czas garbowania i suszenia? Czy Wylan umiałby wyprodukować żywicę, która powstrzymałaby spływanie farby ze skór?

Minął kolejny tydzień. Wylan stał przy kadzi z drewnianym mieszadłem w ręce. Opary przyprawiały go o zawroty głowy, oczy mu łzawiły, a on się zastanawiał, czy udzielenie pomocy szefowi upoważnia go do ubiegania się o podwyżkę, gdy podszedł do niego obcy chłopak: wysoki, smukły, z ciemnobrązową skórą Nowoziemca wyglądał wprost absurdalnie – nie tylko z powodu limonkowej kamizelki w kratkę i żółtych spodni, ale przede wszystkim przez to, że cały emanował zadowoleniem, tak jakby marzył o tym, żeby znaleźć się właśnie tutaj, w cuchnącej farbiarni; jakby wpadł na imprezę, której od dawna nie mógł się doczekać. Był szczupły, wręcz chudy, ale poruszał się z niewymuszoną gracją i swobodą.

Szef nie przepadał za tym, żeby ludzie kręcili się po farbiarni, ale temu chłopakowi z rewolwerami na biodrach nie powiedział złego słowa. Zamiast tego z szacunkiem uchylił kapelusza i pośpiesznie się zmył.

Pierwsza myśl Wylana była taka, że nigdy przedtem nie widział tak idealnie

wykrojonych ust. Druga – że ojciec nasłał na niego kolejnego zabójcę.

Mocniej chwycił mieszadło. Zastrzelą go, ot tak, w biały dzień? To tak można?

– Podobno znasz się na chemii – zagadnął tamten.

– Że co? – wykrztusił Wylan. – A tak... Tak, trochę się znam.

– Tylko trochę?

Wylan instynktownie wyczuł, że odpowiedź na to pytanie może okazać się kluczowa.

– Mam odpowiednie przygotowanie – odparł.

Zainteresował się matematyką i naukami ścisłymi i pilnie je studiował, żeby w ten sposób chociaż częściowo skompensować swoje słabe punkty.

Chłopak podał mu złożoną kartkę.

– W takim razie dziś po robocie przyjdź pod ten adres. Może znajdzie się dla ciebie praca. – Rozejrzał się, jakby dopiero teraz zobaczył kadzie i mozolących się przy nich bladych robotników. – Prawdziwa praca.

Wylan zagapił się na kartkę. Litery zaplątały mu się przed oczami w supeł.

– Ale... ja nie wiem, gdzie to jest.

Chłopak westchnął z irytacją.

– Jesteś nietutejszy, co?

Wylan pokiwał głową.

– Dobra, przyjdę po ciebie. Bo oczywiście nie mam nic lepszego do roboty niż oprowadzanie nowicjuszy po mieście. Jesteś Wylan, prawda?

Wylan skinął głową.

– A nazwisko?

– Wylan... Hendriks.

– Znasz się na ładunkach, Wylanie Hendriks?

– Jakich ładunkach?

– Wybuchowych, a jakich? Bum i bach, huk i błysk.

Wylan nie miał pojęcia, o czym tamten mówi, ale doszedł do wniosku, że lepiej będzie się do tego nie przyznawać.

– Oczywiście – przytaknął z całą pewnością siebie, na jaką było go stać.

Chłopak obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– To się okaże... O szóstej przed garbarnią. Tylko bez broni, jeśli nie chcesz mieć kłopotów.

– Naturalnie.

Nieznajomy przewrócił oczami.

– Kaz chyba całkiem zwariował... – mruknął na odchodnym.

O szóstej Jesper przyszedł po Wylana i zaprowadził go do sklepu wędkarskiego w Baryłce.

Wylan wstydził się swojego wygniecionego ubrania, ale innego nie miał; zresztą paralizujący lęk przed tym, że zaraz wpadnie w zastawioną przez ojca wyrafinowaną pułkę, skutecznie rozpraszał jego zakłopotanie. Na zapleczu czekali na niego Kaz i Inej. Powiedzieli, że potrzebują bomb oślepiających, a także czegoś z większym wykopem.

Wylan odmówił.

Kiedy wrócił do pensjonatu, czekał na niego pierwszy list. Rozpoznał w nim tylko kilka słów: nazwisko nadawcy.

Jan Van Eck.

Całą noc nie spał. W każdej chwili Prior mógł wyłamać drzwi i zacisnąć mięsiste dłonie na jego szyi. Rozmyślał o ucieczce, ale dopóki pieniędzy ledwie wystarczało mu na wynajęcie pokoju, nie miał co marzyć o kupnie biletu na podróż. Zresztą jakie miałyby szanse poza miastem? Na farmie przecież nikt go nie zatrudni.

Następnego dnia poszedł się spotkać z Kazem, a wieczorem zmajstrował pierwszy ładunek wybuchowy dla Szumowin. Zdawał sobie sprawę, że łamie prawo, ale w te kilka godzin zarobił więcej niż w garbarni przez cały tydzień.

Listy od ojca cały czas przychodziły – jeden, czasem dwa w tygodniu. Nie wiedział, co o nich myśleć. Zawierały groźby? Prowokacje? Chował je pod materacem i czasami nocą wyobrażał sobie, że czuje, jak atrament spływa z kartek, przesiąka materac na wylot i sączy mu się prosto w serce niczym mroczna trucizna.

Jednakże im więcej czasu upływało i im dłużej pracował dla Kaza, tym mniej się bał. Zarobi dużo pieniędzy, wyjedzie z miasta i nigdy więcej nie wymówi nazwiska Van Ecka. A jeśli ojciec postanowi go wcześniej załatwić, to on, Wylan, i tak nic na to nie poradzi. Chodził w powycieranych i podartych ciuchach, schudł tak bardzo, że musiał sobie porobić nowe dziurki w pasku, ale prędzej zacznie kupczyć swoim ciałem w domach uciech przy Zachodniej Klepce, niż znów zda się na łaskę ojca.

Wtedy jeszcze nie wiedział o tym, że Kaz od początku znał jego prawdziwą tożsamość. Brudnoręki miał na oku wszystkich nowo przybyłych do Baryłki i postanowił objąć Wylana ochronnym parasolem Szumowin, przekonany, że nadejdzie dzień, w którym syn bogatego kupca jeszcze mu się przyda.

Wylan nie miał złudzeń co do tego, dlaczego Kaz się nim zaopiekował, ale miał też świadomość, że bez tej opieki długo by nie przetrwał. A poza tym Kazowi nie przeszkadzało, że Wylan nie umie czytać. Owszem, drwił czasem z niego, jego ludzie również pozwalali sobie na kpiny, ale dali mu szansę, żeby się wykazał. Doceniali jego umiejętności, zamiast karać go za ich brak.

Teraz jednak doszedł do wniosku, że dzięki Kazowi będzie mógł pomścić matkę; że mimo majątku i ogromnych wpływów ojca ekipa Kaza – a teraz także jego ekipa – może się równać z Janem Van Eckiem. Tymczasem jego ojciec znów próbował sobie z niego zadzwic.

Było dobrze po północy, gdy dotarli do dzielnicy finansowej. Znaleźli się w jednym z najbogatszych rejonów miasta, niedaleko Giełdy i Ratusza. Wylan wyraźniej odczuwał tu obecność ojca i nie mógł się nadziwić, po co Kaz ich ściągnął w tę okolicę.

Kaz przeprowadził ich wąskim zaułkiem na tyły dużego budynku, gdzie czekały uchylone drzwi. Weszli na klatkę schodową, której środek zajmował szyb żelaznej windy. Stłoczyli się w windzie (wszyscy poza Rottym, który został, żeby pilnować wyjścia), szcęknęła zamykająca ją krata i wjechali na najwyższe, piętnaste piętro. Podłogę

korytarza wyłożono lakierowanym wzorzystym parkietem, wysoko zawieszony sufit miał delikatny lawendowy kolor.

Jesteśmy w hotelu, zrozumiał Wylan. Weszliśmy wejściem dla służby i wjechaliśmy na górę służbową windą.

Zastukali do dużych białych dwuskrzydłowych drzwi. Otworzył je Colm Fahey w długiej koszuli nocnej, na którą narzucił płaszcz. Byli w Geldrennerze.

– Pozostali już są – powiedział znużonym tonem ojciec Jespera.

Bez zbędnych pytań wskazał im drogę do łazienki i nalał sobie herbaty, gdy nowi goście wydeptywali smętny, błotnisty ślad na fioletowych dywanach.

Na widok Niny Matthias zerwał się z obszernej ciemnofioletowej sofy i chwycił ją w ramiona.

– Nie mogliśmy się przebić na Słodką Rafę – wyjaśnił. – Przez blokady. Obawiałem się najgorszego.

A potem już wszyscy ściskali się ze wszystkimi i Wylan ze zgrozą stwierdził, że łzy napływają mu do oczu. Zamrugał, żeby je powstrzymać; tego tylko brakowało, żeby Jesper znów zobaczył go płaczącego. Snajper był cały umazany sadzą i śmierdział jak las po pożarze, ale oczy błyszczały mu radośnie, jak zawsze po walce. Wylan o niczym innym tak nie marzył, jak o tym, by stanąć jak najbliżej niego i napawać się poczuciem bezpieczeństwa.

Do tej pory chyba nie do końca zdawał sobie sprawę, jak wiele dla niego znaczą. Ojciec kpiłby sobie z tej bandy złodziei i zabijaków, ze zhańbionego żołnierza, z hazardzisty, który nigdy nie wychodzi z długów, ale Wylan, dla którego byli pierwszymi i jedynymi przyjaciółmi, wiedział, że gdyby mógł przebierać choćby i w tysiącu towarzyszy, to właśnie tych by wybrał.

Tylko Kaz trzymał się z boku i w milczeniu spoglądał przez okno na pogrążone w mroku ulice.

– Kaz?! – zawołała go Nina. – Może ty się nie cieszysz, że żyjemy, ale my się cieszymy, że ty żyjesz. Chodźże tutaj!

– Daj mu spokój – mruknęła Inej.

– Na wszystkich świętych, Zjawo! – wykrzyknął Jesper. – Ty krwawisz!

– Mam wezwać lekarza? – zaniepokoił się jego ojciec.

– Nie! – odpowiedzieli wszyscy jednym głosem.

– Nie, oczywiście, że nie. – Colm westchnął. – To może zamówię kawę?

– Tak, bardzo proszę – odparła Nina.

Colm zamówił kawę, gofry i butelkę brandy. Czekaając na obsługę hotelową, Nina zagoniła wszystkich do poszukiwań: potrzebowała nożyczek do pocięcia hotelowych ręczników na bandaż. Kiedy nożyczki się znalazły, obie z Inej zaszyły się w łazience, żeby opatrzyć rany.

Wszyscy spięli się nerwowo, gdy rozległo się pukanie do drzwi, ale to tylko obsługa dostarczyła zamówiony posiłek. Colm przywitał się z pokojówką i zapewnił ją, że sam poradzi sobie z obsługą wózka; wołał jej nie zapoznawać z przebywającą w apartamencie

zbieraniną niezwykle gości. Ledwie drzwi się zamknęły, Jesper pośpieszył mu z pomocą i razem wtoczyli do pokoju wózek z wyładowaną jedzeniem srebrną tacą oraz stosem porcelany tak delikatnej, że niemal przezroczystej. Wylan nie miał okazji jeść z takich naczyń, odkąd opuścił rodzinny dom. Zauważył, że Jesper ma na sobie chyba jedną z koszul ojca, za luźną w ramionach i z przykrótkimi rękawami.

– Co to w ogóle za miejsce? – spytał, rozglądając się po obszernym wnętrzu urządzonym niemal w całości w odcieniach fioletu.

– Apartament Ketterdamski, zdaje się. – Colm podrapał się po karku. – Znacznie bardziej luksusowy niż mój poprzedni pokój w gospodzie w dzielnicy uniwersyteckiej.

Inej i Nina wróciły z łazienki. Nina nałożyła sobie na talerz górę jedzenia i klapnęła na sofę obok Matthiasa. Złożyła gofra na pół, odgryzła potężny kęs i z błogości aż poruszyła palcami stóp.

– Przepraszam cię, Matthiasie, ale właśnie postanowiłam uciec z ojcem Jespera. Tylko on zapewni mi smakołyki, do jakich przywykłam.

Inej zdjęła koszulę i została w samej pikowanej kamizelce, z odsłoniętymi ramionami. Kawałkami ręcznika miała obwiązany bark, oba przedramiona, prawe udo i lewą łydkę.

– Co dokładnie ci się przydarzyło? – zainteresował się Jesper, podawszy ojcu filiżankę kawy na filigranowym spodeczku.

Inej przycupnęła na fotelu niedaleko siedzącego na podłodze Kuweia.

– Zawarłam nową znajomość.

Jesper wyciągnął się wygodnie na kanapie. Wylan zajął drugi fotel, balansując na kolanie talerzem pełnym gofrów. W jadalni apartamentu znajdował się normalny stół i pod dostatkiem krzeseł, które jednak nikogo nie przywabiły – poza Colmem, który tam właśnie usiadł, postawiwszy na stole kawę i brandy. Kaz został przy oknie; Wylan zastanawiał się zdziwiony, co też mogło przykuć jego uwagę.

– No dobrze. – Jesper posłodził kawę. – Inej ma nową kumpelę, to już wiemy. Ale co tam się poza tym działo, u licha?

– Pomyślmy... – zastanawiała się Nina. – Inej spadła z wysokości dwudziestego piętra.

– Wybiliśmy dziurę w suficie jadalni w domu mojego ojca – powiedział Wylan.

– Nina wskrzesza umarłych – dodała Inej.

Filiżanka Matthiasa zagrzechotała o spodeczek. W jego masywnej dłoni wydawała się wręcz nedorzecznie mała.

– Wcale ich nie wskrzeszam – zaoponowała Nina. – To znaczy wstają z martwych, ale nie ozywają. Tak mi się wydaje. Nie jestem pewna.

– Serio? – spytał Jesper.

Inej pokiwała głową.

– Nie umiem tego wyjaśnić, ale widziałam na własne oczy.

Matthias siedział z pochmurną miną.

– W dzielnicy ravkańskiej udało ci się pokierować odłamkami kości – przypomniał.

Jesper upił łyk kawy.

– A przy domku nad jeziorem? Jak udało ci się sterować tym pyłem?

– Jakim pyłem? – spytała Inej.

– Nina nie ogłuszyła strażnika, tylko udusiła go chmurą pyłu.

– Tuż obok domu Hendriksów jest rodzinny cmentarz – wtrącił Wylan, przypomniawszy sobie ogrodzony skrawek ziemi przylegający do zachodniej części muru.

– Może ten pył to były... no, kości? Ludzkie szczątki?

Nina odstawiła talerz.

– Prawie straciłam apetyt. – Znow wzięła talerz na kolana. – Prawie.

– To dlatego pytałeś, czy *parem* może zmienić moc griszy – powiedział Kuwei do Matthiasa.

– A może? – zainteresowała się Nina.

– Nie wiem. Ty przyjąłeś narkotyk tylko raz, przeżyłeś odstawienie... Jesteś wyjątkiem.

– Szczęściara ze mnie.

– Co w tym złego? – spytał Matthias.

Nina zebrała okruszki z ubrania i zsyłała je na talerz.

– Zacytuję wielką górę mięśni z blond czupryną: to wbrew naturze – odparła. Wszelka wesołość w jej głosie ulotniła się bez śladu. Nina wyglądała po prostu smutno.

– Być może – zgodził się Matthias – ale czy somatyków nie nazywa się czasem Zakonem Żywych i Umarłych?

– Moc griszów nie powinna się przejawiać w taki sposób.

– Nino... – wtrąciła łagodnym tonem Inej. – *Parem* przywiodła cię na skraj śmierci; może kiedy z niego wróciłaś, przyniosłaś coś ze sobą?

– Nędzna ta pamiątka, nie uważasz?

– A może Djel zgasił jedno światełko i zapalił inne? – podsunął Matthias.

Nina spojrzała na niego z ukosa.

– Uderzyłeś się w głowę?

Wziął ją za rękę. Wylan nagle poczuł się jak intruz będący świadkiem bardzo intymnej sceny.

– Cieszę się, że żyjesz – powiedział Matthias. – Cieszę się, że jesteś przy mnie. Cieszę się, że jesz.

Nina oparła mu głowę na ramieniu.

– Jesteś lepszy niż gofry, Matthiasie Helvar.

Lekki uśmiech przemknął po ustach Fjerdanina.

– Nie mówmy o tym, do czego nie mamy przekonania, najdroższa.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi. Wszyscy sięgnęli po broń. Colm zmartwiał. Kaz dał mu znak, żeby nie ruszał się z miejsca, i bezszelestnie podszedł do drzwi. Wyjrzał przez wizjer.

– To Specht – oznajmił.

Wszyscy się rozluźnili. Kaz otworzył drzwi. Chwilę rozmawiali ze Spechtem przyciszonymi głosami, w końcu Specht pokiwał głową i zniknął.

– Czy na tym piętrze jest wejście na wieżę zegarową? – spytał Kaz Colma.

– Na końcu korytarza – potwierdził Colm. – Nie wchodziłem tam, schody są strome.

Kaz bez słowa wymknął się z pokoju. Pozostali spojrzeli po sobie i wyszli gęsiego, wymijając Colma, który odprowadził ich znużonym spojrzeniem.

Znalazłszy się na korytarzu, Wylan zdał sobie sprawę, że luksusowy Apartament Ketterdamski zajmuje całe piętro. Jeśli przyszyłoby mu umrzeć, to chyba nie było najgorsze miejsce na spędzenie ostatniej nocy w życiu.

Po kolei wspięli się po kręconych żelaznych schodach na wieżę i przez klapę w podłodze wyszli na jej szczyt. Pomieszczenie na samej górze było obszerne, zimne i prawie w całości wypełnione mechanizmem olbrzymiego zegara, którego cztery tarcze spoglądały z góry na miasto pod szarym niebem przedświt.

Ponad widocznym na południu Czarnym Woalem wznosił się słup dymu. Na północnym wschodzie Wylan rozpoznał Geldcanal; łodzie straży pożarnej i *stadwachty* otaczały okolice domu Van Ecka. Przypomniawszy sobie wstrząs malujący się na twarzy ojca, gdy spadli z Kazem na sam środek stołu w jadalni; gdyby nie był wtedy śmiertelnie przerażony, pewnie wybuchnąłby śmiechem.

„Wstyd pożera człowieka w całości”.

Szkoda, że nie podpalili domu.

Na majaczących w oddali przystaniach roiło się od łodzi i wozów straży miejskiej. Całe miasto było upstrzone fioletem *stadwachty*, jakby złapało jakąś paskudną chorobę.

– Specht mówi, że zablokowali porty i zawiesili kursowanie promów – powiedział Kaz.

– Zamykają miasto. Nikt się stąd nie wydostanie, nikt nie przyplynie.

– Ketterdam się zbuntuje – zaperzyła się Inej. – Wybuchną zamieszki.

– Ale nikt nie będzie miał pretensji do Van Ecka.

Wylanowi zrobiło się trochę niedobrze.

– Wszyscy będą winić nas.

Jesper pokręcił głową.

– Choćby wypędzili na ulice calusieńką *stadwachcę*, do ostatniego trepa, nie mają dość ludzi, żeby zablokować miasto i jeszcze nas szukać.

– Tak myślisz? – spytał stojący przy zachodnim oknie Kaz. – Przyjrzyj się dobrze.

Jesper podszedł do niego. Widok zaparł mu dech w piersi.

– Na wszystkich świętych i Ciotkę Evę... – mruknął.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Wylan.

Od wschodu, od strony Baryłki, tłum napierał całą szerokością Zilveru.

– Jakaś zadyma? – spytała Inej.

– Raczej pochód – zauważył Kaz.

– Dlaczego *stadwachta* nie próbuje ich zatrzymać? – zapytał Wylan, gdy tłum bez przeszkód pokonywał kolejne mosty i wymijał barykady. – Dlaczego ich przepuszczają?

– Najprawdopodobniej dlatego, że twój ojciec im tak kazał.

Ludzka masa przybliżyła się i wiatr przyniósł na wieżę dźwięk śpiewu i łoskot bębnow. To naprawdę wyglądało jak triumfalna parada. Ciżba przelała się przez Zilverbridge i przeszła obok hotelu, kierując się na plac przed gmachem Giełdy. Wylan rozpoznał idący

na czele pochodu gang Pekki Rollinsa: pierwszy z demonstrantów miał na sobie lwią skórę z przyszytą do łba niby-złotą koroną.

– Brzytwomewy. – Inej wskazała dalsze szeregi. – I Pokrywkarze.

– Psy Harleya – rozpoznał kolejnych Jesper. – Czarne Palce.

– Wszyscy tam są – stwierdził Kaz.

– A co oznaczają te fioletowe opaski? – zainteresował się Kuwei.

Wszyscy ludzie w tłumie mieli fioletowe przepaski na lewym przedramieniu.

– Służba pomocnicza *stadwachty* – wyjaśnił Kaz. – Cała Baryłka o tym mówi. Dobra wiadomość jest taka, że teraz chcą nas wziąć żywcem, wszystkich, nawet Matthiasa. Jest też zła nowina: wyznaczili nagrody za bliźniaków z Shu Hanu, których widziano w naszym towarzystwie. Twarze Kuweia i Wylana również zdobią już mury miejskie.

– I Rada Kupiecka to zatwierdziła? Tak po prostu? – Matthias nie mógł w to uwierzyć.

– Co będzie, jeżeli tłum zacznie szabrować sklepy? Albo jeśli wybuchną zamieszki?

– Nic takiego się nie stanie. Rollins wie, co robi. Gdyby *stadwachta* próbowała zorganizować blokadę Baryłki, wszystkie gangi wystąpiłyby przeciw niej. A tak gangi występują w roli obrońców prawa, a Van Eck ma do dyspozycji dwie armie zamiast jednej. Weźmie nas w kleszcze.

Inej zapało dech w piersi.

– Co się stało? – spytał Wylan.

Kiedy spojrział w dół, wszystko stało się jasne. Na plac właśnie wchodziła straż tylna pochodu dowodzona przez starego mężczyznę w kapeluszu z piórem. Członkowie gangu krakali ile sił w płucach. Jak wrony.

To były Szumowiny, gang Kaza. Nawet oni zwrócili się przeciw niemu.

Jesper grzmotnął pięścią w ścianę.

– Co za niewdzięczne gnidy!

Kaz w milczeniu patrzył na przewalające się pod hotelem tłumy w tradycyjnych barwach gangów, przekrzykujące się nawzajem i przerzucające obelgami, ale wiwatujące przy tym jak w dniu jakiegoś święta. Nawet kiedy już przeszły, ich jazgotliwe pieśni jeszcze niosły się w powietrzu. Może gangi zamierzały przejść aż pod Ratusz?

– Co teraz będzie? – zaniepokoił się Kuwei.

– Wszystkie trepy ze *stadwachty* i zbiry z Baryłki będą nas szukać tak długo, aż znajdą

– odparł Kaz. – Nie wydostaniemy się z Ketterdamu, a już na pewno nie razem z tobą.

– Nie moglibyśmy po prostu posiedzieć tutaj z panem Faheyem i poczekać?

– Na co? Aż ktoś przyjdzie nam z odsieczą?

Jesper oparł się czołem o szybę.

– Mój ojciec... Jego też aresztują. Zostanie oskarżony o ukrywanie zbiegów.

– Nie – wyrwał się Kuwei. – Tak nie można. Oddajcie mnie Van Eckowi.

– Mowy nie ma – usadziła go Nina.

Dłoń Kuweia przecięła powietrze w gwałtownym geście.

– Uwolniliście mnie z rąk Fjerdan, ale jeśli teraz czegoś nie zrobimy, i tak trafię do niewoli!

– Chcesz, żeby cały nasz wysiłek poszedł na marne? – zachnął się Wylan zaskoczony ogarniającym go gniewem. – To po to tyle ryzykowaliśmy? Po to zrobiliśmy rozpierduchę w Lodowym Dworze? Po to Inej z Niną tyle się namęczyły, żeby nas stamtąd wyciągnąć?

– Jeżeli oddam się w ręce Van Ecka, będziecie mogli odejść wolno – zauważył Kuwei.

– To nie takie proste, młody – zaproponował Jesper. – Pekka ma szansę pozbyć się Kaza przy pełnym poparciu reszty gangów; Van Eck też raczej wolałby nie puszczać nas wolno, bo nie wie, co nam znów strzeli do głowy. Tu już nie chodzi tylko o ciebie.

Kuwei jęknął i oparłszy się plecami o ścianę, osunął się na podłogę. Spojrzał spode łba na Ninę.

– Trzeba mnie było zabić w Lodowym Dworze – burknął.

Nina wzruszyła ramionami.

– Wtedy Kaz zabiłby mnie, Matthias Kaza i w ogóle zrobiłby się okropny bałagan.

– Nie mogę uwierzyć, że udało nam się uciec z Lodowego Dworu, a teraz znaleźliśmy się w potrzasku we własnym mieście! – odezwał się Wylan. To naprawdę było nie fair.

– Co prawda, to prawda – mruknął Jesper. – Jesteśmy ugotowani.

Kaz palcem w rękawiczce narysował kółko na szybie.

– Niezupełnie – odparł. – Wiem, co zrobić, żeby *stadwachta* się wycofała.

– Nie – powiedziała Inej.

– Oddam się w ich ręce.

– Ale Kuwei... – próbowała się wtrącić Nina.

– *Stadwachta* nie wie o Kuweiu. Myślą, że szukają Wylana, dlatego powiem im, że Wylan nie żyje. Powiem, że go zabiłem.

– Czyś ty zwariował?! – wykrzyknął Jesper.

– Kaz... – odezwała się Inej. – Trafisz na szubienicę.

– Dopiero po procesie.

– Zanim do niego dojdzie, zgnijesz w więzieniu – zauważył Matthias. – Van Eck nie dopuści do tego, żebyś przemawiał na sali sądowej.

– Naprawdę myślisz, że istnieje taka cela więzienna, która zdoła mnie powstrzymać?

– Van Eck wie, że jesteś mistrzem w otwieraniu zamków – odparła ze złością Inej. –

Dlatego zginiesz, zanim w ogóle dotrzesz do więzienia!

– To jakiś absurd – powiedział Jesper. – Nie będziesz brał na garb odpowiedzialności za nas wszystkich. Nikt nie będzie. Podzielimy się na dwójki, jakoś przemkniemy przez blokadę i ukryjemy się za miastem.

– To moje miasto – zaprotestował Kaz – i nie będę z niego uciekał z podkulonym ogonem.

– Twoje miasto, tak?! – zachnął się sfrustrowany Jesper. – Co ci zostało z tego twojego miasta, hmm? Pozbyłeś się udziałów w Klubie Wron i Piątej Przystani, straciłeś swój gang... Nawet gdyby udało ci się uciec, Van Eck i Rollins znów poszczują na ciebie całą *stadwachtę* i pół Baryłki. Nie dasz rady walczyć z nimi wszystkimi.

– Przekonamy się.

– Do diabła, Kaz, co mi zawsze powtarzasz? Jeżeli karta ci nie idzie, odejdz od stołu!

– Daję wam możliwość ucieczki. Skorzystajcie z niej.

– Dlaczego traktujesz nas jak bandę tchórzliwych gnojków?!

Kaz odwrócił się do Jespera.

– To ty myślisz o ucieczce, Jesper, nie ja; chcesz tylko, żebym uciekł razem z tobą, bo wtedy lepiej byś się z tym czuł. Niby tak kochasz walkę, ale jak przychodzi co do czego, zawsze pierwszy mówisz o szukaniu kryjówki.

– Bo chcę żyć!

– Ale po co? – spytał Kaz z błyskiem w oku. – Żeby jeszcze raz zagrać w karty? Jeszcze raz zawieść ojca i przyjaciół? Powiedziałeś już ojcu, że to przez ciebie straci farmę? Powiedziałeś Inej, że to przez ciebie Oomen omal jej nie zadźgał? Że przez ciebie omal wszyscy nie zginęliśmy?!

Jesper przygarbił się, ale nie ustępował.

– Popełniłem błąd – zgodził się. – Dopuściłem do tego, żeby to, co we mnie najgorsze, wzięło górę nad tym, co dobre, ale na wszystkich świętych, Kaz, jak długo jeszcze każesz mi płacić za wybaczenie?

– Jak ci się wydaje, Jordie, jak wygląda moje wybaczenie?

– Kto to jest Jordie, do diabła ciężkiego?!

Twarz Kaza na moment straciła wszelki wyraz, w jego ciemnych oczach odmalowała się konsternacja przemieszana z odrobiną lęku. Stało się to tak szybko, że Wylan natychmiast zaczął się zastanawiać, czy wyobraźnia nie spletała mu psikusa.

– Czego ode mnie chcesz? – warknął Kaz. Jego twarz była już tak samo okrutna i nieprzenikniona jak zawsze. – Zaufania? Ledwie cię nim obdarzyłem, szlag je trafił, bo nie umiałeś trzymać języka za zębami!

– To się zdarzyło jeden raz. A ile razy walczyłem z tobą ramię w ramię? Ile razy cię nie zawiodłem? To się nie liczy? – Jesper rozłożył ręce. – Nie wygram z tobą. Z tobą nie da się wygrać.

– Otóż to: nie wygrasz. Uważasz się za wielkiego gracza, a jesteś urodzonym nieudacznikiem. Strzelaniny. Karty. Chłopcy. Dziewczyny. Zawsze grasz tak długo, aż przegrasz. Dlatego teraz dam ci radę: ten jeden raz w życiu po prostu odejdz.

Jesper uderzył pierwszy. Kaz się uchylił, a potem wzięli się za bary i zaczęli mocować. Uderzyli w ścianę, zderzyli się głowami i odskoczyli od siebie, chaotycznie wymieniając ciosy.

Wylan spojrzał pytająco na Inej; spodziewał się, że ona zaprotestuje, że Matthias spróbuje ich rozdzielić, że ktoś spróbuje coś zrobić, ale wszyscy po prostu cofnęli się pod ściany, robiąc miejsce walczącym. Tylko Kuwei sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

Jesper z Kazem znów się szczepili, zatoczyli, wpadli na mechanizm zegara i złapali równowagę. To nie była walka, tylko zwyczajna bijatyka, pozbawiona cienia wdzięku młócka na pięści i łokcie.

– Na Ghezena i jego wszystkie dzieła, niech ich ktoś powstrzyma! – zawołał rozpaczliwie Wylan.

– Jesper nie strzelił – zauważyła Nina.

– Kaz nie używa łaski – dodała Inej.

– Myślicie, że nie mogą się pozabijać gołymi rękami?!

Obaj krwawili: Jesper z rozciętej wargi, Kaz z łuku brwiowego. Niewiele brakowało, żeby Jesper zdjął koszulę przez głowę; rękaw koszuli Kaza pękł na szwie.

Otworzyła się kłapa w podłodze i w otworze pojawiła się głowa Colma Faheya. Jego z natury rumiane policzki poczerwieniały jeszcze bardziej.

– Jesperze Llewellynie Fahey, dość tego!

Jesper z Kazem znieruchomieli, po czym – ku wielkiemu zdumieniu Wylana – rozdzielili się i odsunęli z zakłopotanymi minami.

– Co tu się dzieje? – spytał Colm. – Myślałem, że się przyjaźnicie.

Jesper przesunął dłonią po karku. Miał taką minę, jakby chciał się zapaść pod ziemię.

– Trochę się... poprzytkaliśmy. Tak jakby.

– To widzę. Do tej pory zachowywałem anielską cierpliwość, Jesperze, ale mam dość. Albo zejdziesz na dół, zanim doliczę do dziesięciu, albo tak ci wygarbuję skórę, że przez dwa tygodnie nie będziesz w stanie siedzieć.

Colm zniknął. Milczenie się przeciągało.

Nina zachichotała.

– No, Jesper, teraz naprawdę masz problem.

Jesper zmarszczył brwi.

– Matthias? Nina dała się łąpać Smeetowi za tyłek.

Nina natychmiast spoważniała.

– Zaraz ci powywracam wszystkie zęby do góry nogami!

– To fizycznie niewykonalne.

– Dopiero co wskrzeszałam zmarłych. Naprawdę chcesz się ze mną spierać?

Inej przekrzywiła głowę.

– Jesper Llewelyn Fahey?

– Cicho bądź! – zrugął ją Jesper. – Nazwisko rodowe.

– Jak sobie życzysz, Llewellynie – odparła śmiertelnie poważnie Inej.

– Kaz? – zagadnął ostrożnie Jesper.

Kaz stał przed nimi zapatrzony w przestrzeń.

Wylan znał ten jego wyraz twarzy.

– Czy to... – zapytał.

– Mina kombinatora? – podsunął Jesper.

Matthias pokiwał głową.

– Bez dwóch zdań.

– Wiem, jak to zrobić – powiedział Kaz. – Wiem, jak wywieźć z miasta Kuweia, ocalić griszów, odzyskać nasze pieniądze, pokonać Van Ecka i dać temu łajdakowi Rollinsowi wszystko, na co zasłużył.

– Tylko tyle? – Nina z powątpiewaniem uniosła brew.

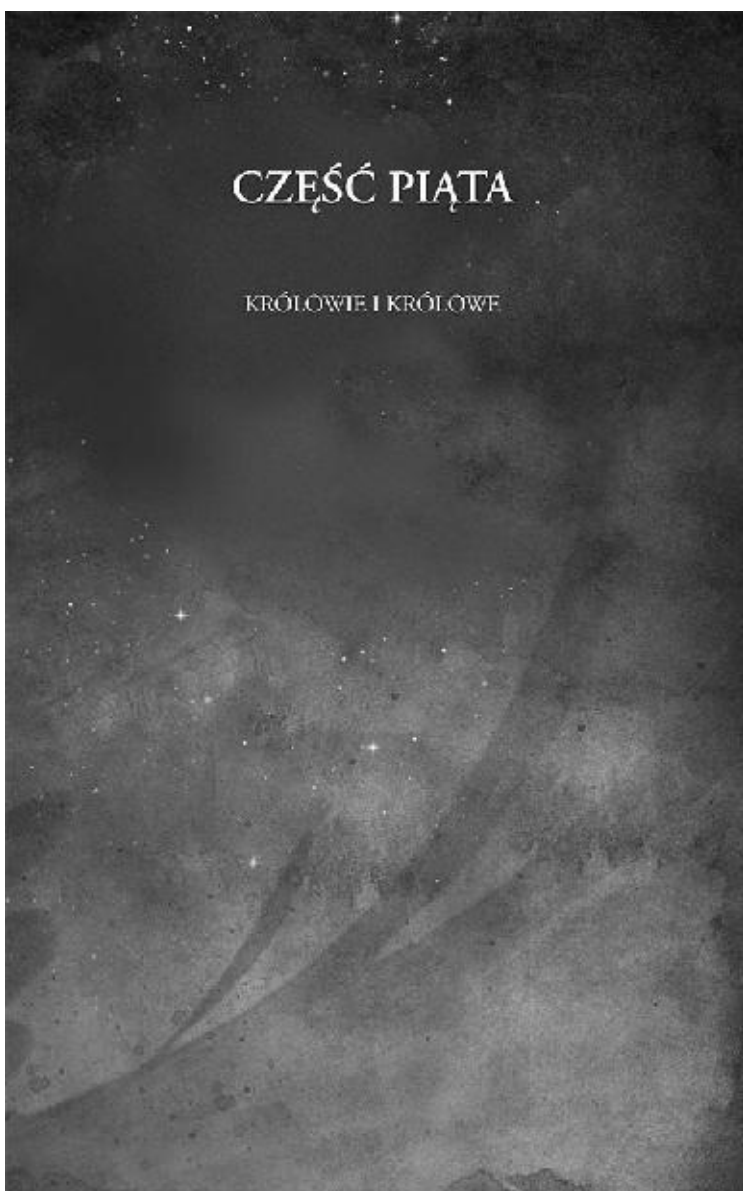
– Jak? – spytała Inej.

– Przez cały czas graliśmy według reguł narzuconych przez Van Ecka. Ukrywaliśmy

się. Czas z tym skończyć. Urządzimy aukcję. Oficjalną, otwartą aukcję. – Kaz powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach. Oczy miał czarne i matowe, jak ślepiec rekina. – A ponieważ Kuwei tak się wyrywa, żeby się poświęcić, to jego właśnie wystawimy na sprzedaż.

CZEŚĆ PIĄTA

KRÓLOWIE I KRÓLOWE





24

JESPER

U stóp żelaznych schodków Jesper obciągnął koszulę i otarł krew z rozciętej wargi, chociaż domyślał się, że w tej chwili nie ma to już żadnego znaczenia; równie dobrze mógł wystąpić w samej bieliźnie. Ojciec nie był głupi i nedorzeczna bajeczka Wylana, mająca zatuszować błędy Jespera, posłużyła im krócej niż tani garnitur. Colm widział ich rany, słyszał o niepowodzeniu ich planu, wiedział, że nie są studentami ani ofiarami oszustwa. Co teraz?

Zamknij oczy i módl się, żeby pluton egzekucyjny nie chybił, pomyślał smętnie.

– Jesper?

Okręcił się na pięcie. Inej stała tuż za nim. Nie słyszał, jak podeszła, ale nie było w tym nic dziwnego.

„Powiedziałeś Inej, że to przez ciebie Oomen omal jej nie zadźgał?”

No, zanosilo się na to, że czeka go poranek wypełniony przeprosinami. Im prędzej się za to weźmie, tym lepiej.

– Inej, posłuchaj, przepraszam cię...

– Nie oczekuję przeprosin, Jesper. Masz słaby punkt. Wszyscy je mamy.

– Jaki jest twój?

– Towarzystwo, w którym się obracam – odparła Inej, uśmiechając się półgębkiem.

– Nawet nie wiesz, co zrobiłem.

– To mi powiedz.

Jesper pochylił głowę. Wbił wzrok w swoje buty. Były paskudnie poobcierane.

– Wisiałem Rollinsowi grubszą kasę. Jego zbiry zaczęły mnie przyciskać, więc... więc powiedziałem, że wyjeżdżam, ale niedługo zamierzam się obłowić. Nie pisałem ani słówka o Lodowym Dworze, przysięgam.

– Ale tyle wystarczyło Rollinsowi, żeby poskładać elementy układanki i przygotować zasadzkę. – Inej westchnęła. – A Kaz od tamtej pory stale cię za to karze.

Jesper wzruszył ramionami.

– Może sobie zasłużyłem.

– Wiesz, że w sulijskim nie ma słowa „przepraszam”?

– To co mówicie, jak nadeptacie komuś na nogę?

– Mnie się to nie zdarza.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nic nie mówimy. Wiemy, że to nie było celowe. Mieszkamy w ciasnocie, razem podróżujemy; nie ma czasu co chwila przepraszać za to, że człowiek żyje. Ale kiedy już coś takiego się przytrafi, ktoś popełni błąd, nie przepraszamy, tylko obiecujemy zadośćuczynienie.

– Wynagrodzę ci to.

– *Mati en sheva yelu*. To działanie nie będzie miało echa. To oznacza, że drugi raz nie popełnimy tego samego błędu. Nie będziemy dalej krzywdzić.

– Nie dopuszczę do tego, żeby znów cię pchnięto nożem.

– Ja dałam się dźgnąć, bo nie uważałam. Ty zdradziłeś swoją ekipę.

– Nie chciałem...

– Byłoby lepiej, gdybyś chciał nas zdradzić. Nie chcę twoich przeprosin, Jesper, jeśli nie będziesz w stanie mi obiecać, że nie powtórzysz tego błędu.

Jesper zakolysał się na palcach stóp.

– Nie wiem, jak to zrobić – przyznał.

– Nosisz w sobie ranę. Stoły do gry, kości, karty... One wszystkie działają jak lekarstwo, przynoszą ukojenie, chwilową ulgę. Ale w rzeczywistości są trucizną, Jesper: za każdym razem, kiedy siadasz do gry, pociągasz kolejny łyk tej trucizny. Musisz znaleźć inny sposób na uleczenie tej rany. – Inej położyła mu dłoń na piersi. – Przestań traktować swój ból jak wytwór wyobraźni. Dopiero kiedy zrozumiesz, że rana jest prawdziwa, będziesz mógł naprawdę ją zaleczyć.

Jaka rana? Jesper już otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale coś go powstrzymało. Mimo kłopotów, jakie prześladowały go zarówno w kasynach, jak i z dala od nich, zawsze uważał się za szczęściarza. Niefrasobliwy, zadowolony, powszechnie lubiany. A jeśli przez cały czas blefował? „Złóścisz się i boisz”, tak się wyraził o nim Fjerdanin. Co takiego Inej i Matthias w nim widzą, czego on sam nie potrafi zrozumieć?

– Ja... ja się postaram.

Nic więcej nie miał w tej chwili do zaoferowania. Wziął Inej za rękę i ucałował jej knykcie.

– To może chwilę potrwać, zanim będę w stanie wypowiedzieć te słowa – dodał. – Nie tylko dlatego, że nie znam sulijskiego. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Wiem – odparła Inej – ale przemyśl to sobie. – Obejrzała się za siebie, w stronę salonu, gdzie siedział ojciec Jespera. – Po prostu powiedz mu prawdę, Jesper. Obu wam dobrze robi, jeśli będziecie wiedzieli, na czym stoicie.

– Za każdym razem, jak o tym pomyślę, mam wrażenie, że chcę skoczyć z okna... – Jesper się zawahał. – Ty byś powiedziała prawdę swoim rodzicom? O wszystkim, co robiłaś? Co się wydarzyło?

– Nie wiem – przyznała Inej – ale wiele dałabym za to, żeby mieć wybór.



Jesper zastał ojca w fioletowym pokoju gościnnym, z filiżanką kawy w masywnych dłoniach. Brudne naczynia zostały złożone na srebrnej tacy.

– Nie musisz po nas sprzątać, tatku.

– Ktoś musi. – Colm napił się kawy. – Usiądź, Jes.

Jesper nie chciał siadać. Całe ciało go świerbiło. Marzył tylko o tym, żeby popędzić do Baryłki najszybciej, jak go nogi poniosą, i dać nura do pierwszego napotkanego kasyna – i gdyby nie świadomość, że po drodze ktoś prawdopodobnie go aresztuje albo zastrzeli, może nawet by się o to pokusił.

Usiadł. Inej zostawiła na stole niewykorzystane fiolki z chemicznym wołkiem Wylana. Wziął jedną do ręki i zaczął się bawić korkiem.

Ojciec rozsiadł się wygodniej, mierząc go surowym spojrzeniem szarych oczu. W jasnym świetle poranka Jesper wyraźnie widział wszystkie zmarszczki i piegi na jego twarzy.

– Nie było żadnego przekrętu, prawda? Ten chłopak z Shu Hanu mnie okłamał, żeby cię chronić. Wszyscy mnie okłamaliście.

Jesper splótł palce, żeby nie kręcić nerwowo młynka. „Obu wam dobrze zrobi, jeśli będziecie wiedzieli, na czym stoicie”, powiedziała Inej. Nie był przekonany, czy się z nią zgadza, ale nie miał innego wyjścia.

– Było wiele przekrętów, ale znacznie częściej byłem ich autorem niż ofiarą. Wiele walk, z których zazwyczaj wychodziłem zwycięsko. I wiele partii kart. – Spuścił wzrok na białe półksiężycy swoich paznokci. – W których najczęściej przegrywałem.

– Co z kredytem na twoje studia?

– Zadałem się z niewłaściwymi ludźmi. Przegrałem w karty i przegrywałem w dalszym ciągu, więc się zapożyczałem. Myślałem, że dam radę się z tego wygrzebać.

– Dlaczego po prostu nie przestałeś?

Jesperowi zachciało się śmiać, ale nawrzeszczał na siebie w duchu i ubłagał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– To nie takie proste – odparł. „Nosisz w sobie ranę”. – Nie dla mnie. Nie wiem dlaczego.

Colm ścisnął palcami nasadę nosa. Potrafił od wschodu do zachodu słońca harować w pocie czoła, a teraz nagle wydał się Jesperowi taki zmęczony...

– Nie powinienem był puszczać cię z domu.

– Tatku...

– Wiedziałem, że farma nie jest dla ciebie. Chciałem dla ciebie czegoś lepszego.

– To dlaczego nie posłałeś mnie do Ravki? – wypalił Jesper, zanim zdążył ugryźć się w język.

Kawa wychlupnęła z filiżanki.

– To nie wchodziło w grę.

– Dlaczego?

– Jak mógłbym posłać syna w świat, do obcych krajów, żeby przelewał krew w cudzych

wojnach?

Wspomnienie było gwałtowne i bezlitosne jak wierzgnięcie muła. Mężczyzna w zakurzonej stroju podróżnym znów stanął w progu domu. Przywiózł ze sobą dziewczynkę, tę samą, która przeżyła dzięki temu, że matka Jespera umarła. Mężczyzna chciał zabrać Jespera ze sobą.

– Leoni jest *zowq* – tłumaczył ojcu Jespera. – Też ma dar. Na zachodzie, za granicą, są nauczyciele. Mogliby wyszkolić ich oboje.

– Jesper nie ma żadnego daru – odparł Colm.

– Ale jego matka...

– On go nie ma. A ty nie masz prawa tu przychodzić.

– Jesteś pewien? Ktoś go sprawdzał?

– Jeśli jeszcze raz twoja noga postanie na tej ziemi, uznam to za zaproszenie do wpakowania ci kulki między oczy. Odejdź i zabierz dziewczynę ze sobą. Nikt tutaj nie ma daru i nikt go nie chce.

Colm zatrzasnął drzwi zakurzonemu mężczyźnie przed nosem i stanął przy nich, dysząc ciężko.

– Czego chcieli, tatku? – zapytał mały Jesper.

– Niczego.

– Jestem *zowq*? Jestem griszą?

– Nigdy więcej nie waż się wymawiać tych słów w tym domu.

– Ale...

– To właśnie zabiło twoją matkę, rozumiesz? To ją nam odebrało – tłumaczył z zacięciem ojciec. Oczy miał twarde jak odłamki kwarcu. – Nie zamierzam stracić także ciebie. – Przygarbił się i mówił dalej z wyraźnym trudem, jakby coś wyrywało mu słowa z piersi: – Chcesz jechać z nimi? To jedź. Jeśli tego właśnie chcesz. Nie będę się złościł.

Jesper miał dziesięć lat. Pomyślał o tym, że ojciec miałby zostać sam na farmie; codziennie wracałby do pustego domu, sam siadał przy stole, nikt by mu nie podał przypalonych ciasteczek.

– Nie – odparł wtedy. – Nie chcę jechać z nimi. Chcę zostać z tobą.

Teraz wstał z krzesła, na którym nie był już w stanie dłużej usiedzieć, i zaczął spacerować po pokoju.

Dusił się. Nie wytrzyma tu dłużej. Bolało go serce, bolała go głowa. Wyrzuty sumienia, miłość i żal złączyły się w nim w niemożliwy do rozplątania supeł; ilekroć próbował go rozplątać, tylko mocniej go zaciskał. Wstydział się bałaganu, którego narobił, i kłopotów, które ściągnął ojcu na głowę, ale był także zły.

Jak mógł się złościć na ojca? Na człowieka, który kochał go jak nikt inny na świecie; który się zaharowywał, żeby dać mu wszystko, co miał; za którego byłby gotów umrzeć w każdej chwili?

„To działanie nie będzie miało echa”.

– Zamierzam... Znajdę sposób, żeby ci to wynagrodzić, tatku. Chcę być lepszym

człowiekiem. Lepszym synem.

– Nie wychowałem cię na hazardzistę, Jes. I z całą pewnością nie wychowałem cię na przestępcę.

Rozgoryczony Jesper parsknął śmiechem.

– Kocham cię, tatku. Kocham cię całym swoim kłamliwym, złodziejskim, nic niewartym sercem, ale nie masz racji.

– Jak to?! – wykrztusił Colm.

– To ty nauczyłeś mnie kłamać.

– Żeby zapewnić ci bezpieczeństwo.

Jesper pokręcił głową.

– Miałem dar. Trzeba było pozwolić mi go używać.

Colm uderzył pięścią w stół.

– To nie jest dar, to przekleństwo! Zabiłoby cię tak samo, jak zabiło twoją matkę.

Tyle, jeśli chodzi o prawdę.

Jesper podszedł do drzwi. Jeśli natychmiast się stąd nie wyrwie, za chwilę wyskoczy ze skóry.

– Ja i tak umieram, tatku. Po prostu umieram powoli.



Wyszedł na korytarz. Nie wiedział, dokąd pójść ani co ze sobą zrobić.

Pójdę do Baryłki, pomyślał. Nie będę się zbliżał do Klepki. Gdzieś na pewno uda się zagrać; grunt to nie rzucać się w oczy.

No jasne, na pewno nikt nie zwróci uwagi na Nowoziemca, który wzrostem dorównuje średnio ambitnemu drzewu i za którego głowę wyznaczona jest nagroda. Przypomniawszy sobie słowa Kuweia o griszach, którzy, zaniedbawszy swoje moce, stawali się chorzy i przemęczeni. Nie czuł się chory, w każdym razie nie w sensie fizycznym, ale może Matthias miał rację i dręczy go choroba zupełnie innego rodzaju? Co wtedy? Co powinien zrobić, jeżeli cała ta spętana w nim moc tylko szuka ujścia?

Minąwszy otwarte drzwi, przystanął i cofnął się do nich. Wylan siedział przy białym fortepianie w kącie pomieszczenia i machinalnie uderzał w jeden i ten sam klawisz.

– Ładne – pochwalił Jesper. – Ma niezły rytm. Można by do tego zatańczyć.

Wylan podniósł wzrok. Jesper nieśpiesznym krokiem przekroczył próg, wymachując nerwowo rękami. Obszedł pokój dookoła, podziwiając wystrój: fioletowa jedwabna tapeta w deseń ze srebrnych rybek, srebrne kandelabry, gablotka pełna szklanych modeli statków.

– Na wszystkich świętych, co za paskudne miejsce...

Wylan wzruszył ramionami i brzdąknął inną nutę. Jesper oparł się o fortepian.

– Nie chciałbyś się stąd wyrwać?

Wylan spojrzał na niego pytająco, ale skinął głową.

Jesper się wyprostował.

– Serio? – zapytał.

Wylan wytrzymał jego spojrzenie. Coś zmieniło się w atmosferze pokoju, jakby powietrze nagle stało się łatwopalne.

Wylan wstał od fortepianu i zrobił krok w stronę Jespera. Oczy lśniły mu złotym blaskiem jak miód prześwietlony słońcem. Jesperowi brakowało błękitnych tęczówek, długich rzęs, kręconych loków, ale jeśli już koniecznie trzeba było przenieść kupczyka w nowe opakowanie, to musiał przyznać, że ta wersja ogromnie mu się podoba. Zresztą czy to miało jakiegokolwiek znaczenie, kiedy Wylan tak na niego patrzył – z lekko przekrzywioną głową i dyskretnym uśmiechem błakającym się na ustach? Wyglądał niemal... odważnie. Co się zmieniło? Czyżby się obawiał, że Jesper nie wykaraska się z tarapatów na Czarnym Woalu? A może zwyczajnie cieszył się, że żyje?

Jesper nie był tym zainteresowany. Szukał czegoś, co zaprzętnie mu myśli, i właśnie to coś znalazł. Wylan uśmiechnął się szerzej, rozpromienił się...

No, jeśli to nie było zaproszenie...

– Niech mnie licho – mruknął Jesper.

Pokonał dzielący ich dystans i ujął twarz Wylana w dłonie. Pocałował go powoli, z rozmysłem, leciutko musnął wargami jego usta, dając mu szansę, żeby się odsunął i wycofał, jeśli tego właśnie chce.

Ale nie chciał. Przysunął się do niego.

Jesper czuł ciepło bijące od ciała Wylana. Przesunął jedną dłoń na jego kark i odchylił mu lekko głowę, prosząc o więcej. Czegoś pragnął. Czegoś mu brakowało.

Miał ochotę pocałować Wylana, odkąd pierwszy raz zobaczył go mieszającego chemikalia w garbarni: rude loki wilgotne od pary wodnej, skóra tak delikatna, jakby mogła się posiniaczyć od mocniejszego dmuchnięcia; wyglądał jak książątko, które przez przypadek wylądowało w niewłaściwej bajce i zostało przemienione w żebraka. Od tamtej pory Jesper miotał się pomiędzy chęcią wywołania u wychuchanego kupczyka kolejnego rumieńca a żądzą znalezienia się z nim sam na sam w jakimś cichym kącie, ot tak, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie. Jednakże podczas wspólnie spędzonych godzin w Lodowym Dworze ta ciekawość ustąpiła miejsca czemuś więcej, co miało związek z nieoczekiwaną odwagą Wylana i sposobem, w jaki patrzył na świat szeroko otwartymi, szczerymi oczyma. Jesper czuł się przy nim jak latawiec na uwięzi, który na przemian wznosi się pod niebo i pikuje ku ziemi. I bardzo mu się to podobało.

Ale gdzie się teraz podziało to uczucie? Jespera ogarnęło rozczarowanie.

To moja wina? – zastanawiał się. Wyszedłem z wprawy?

Naparł na Wylana, pchnął go na fortepian i pogłębił pocałunek w poszukiwaniu tego nierozważnego uczucia spadania i unoszenia się. Słyszał dźwięk kolejnych klawiszy: cichą, fałszywie brzmiącą melodię.

Jakże stosownie, pomyślał. I zaraz przyszła refleksja: no, jeśli w takiej chwili metafory chodzą mi po głowie, to coś jest bardzo nie w porządku.

Cofnął się, opuścił ręce. Czuł się potwornie niezręcznie. Co się mówi po nieudanym

pocałunku? Nigdy przedtem nie musiał się nad tym zastanawiać.

W tej samej chwili zauważył Kuweia, który stał w progu z rozdziawionymi ustami i oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

– No co? – zapytał Jesper. – W Shu Hanie ludzie nie całują się przed południem?

– Skąd miałbym wiedzieć... – odparł skwaszony Kuwei.

Nie, nie Kuwei.

– Wszyscy święci... – jęknął Jesper.

To nie Kuwei stał w drzwiach, tylko Wylan Van Eck, zbłąkany bogaty dzieciak i początkujący specjalista od materiałów wybuchowych. To zaś oznaczało, że Jesper całował się z...

Prawdziwy Kuwei znów brzdąkał na fortepianie: wydobywał z niego tę samą nutę co wcześniej, szczyrzył zęby w uśmiechu i bez cienia wstydu spoglądał na Jespera spod gęstych czarnych rzęs.

Jesper odwrócił się do drzwi.

– Wylan...

– Kaz wzywa wszystkich do salonu.

– Ja...

Ale Wylan już sobie poszedł. Jesper gapił na otwarte drzwi. Jak mógł się tak pomylić? Wylan był wyższy od Kuweia, miał węższą twarz... Gdyby nie był taki nabuzowany po bójkę z Kazem i kłótni z ojcem, nigdy by ich nie pomylił. A tak – wszystko zepsuł.

Oskarżycielskim gestem wycelował w Kuweia palec wskazujący.

– Powinieneś być coś powiedzieć!

Kuwei wzruszył ramionami.

– Na Czarnym Woalu byłeś bardzo dzielny. A skoro i tak wszyscy prawdopodobnie zginieemy...

– Do diabła! – zaklął Jesper i ruszył do wyjścia.

– Świetnie całujesz! – zawołał za nim Kuwei.

Jesper przystanął i odwrócił się do niego.

– Jak dobrze znasz kercheński?

– Nie najgorzej.

– To dobrze, bo mam nadzieję, że dokładnie zrozumiesz, co mam na myśli, kiedy powiem, że nie jesteś wart kłopotów, jakie przez ciebie mamy.

Zadowolony z siebie Kuwei cały się rozpromienił.

– Kaz, zdaje się, uważa, że jestem bardzo cenny.

Jesper przewrócił oczami.

– Obaj jesteście siebie warci.



25

MATTHIAS

Jeszcze raz zebrali się w salonie gościnnym. Colm na prośbę Niny zamówił drugi stos gofrów oraz miskę truskawek ze śmietaną. Większość ściany w głębi pokoju zajmowało olbrzymie lustro, które co rusz przyciągało wzrok Matthiasa. Miał wrażenie, że zagląda w inną rzeczywistość.

Jesper zzuł buty, usiadł na dywanie i przyciągnąwszy kolana do piersi, popatrywał ukradkiem na Wylana, który usadowił się na sofie i najwyraźniej rozmyślnie go ignorował. Inej przycupnęła na parapecie okna z taką swobodą i wyczuciem równowagi, jakby nic nie ważyła; przypominała ptaka, który w każdej chwili może zerwać się do lotu. Kuwei z otwartym notesem na kolanach wcisnął się w kąt kanapy. Kaz zasiadł w wysokim fioletowym fotelu, kaleką nogę położył na niskim stoliku, laskę oparł sobie o udo. Nie wiadomo dlaczego miał rozdarty rękaw koszuli.

Nina, z palcami czerwonymi od soku z truskawek, skuliła się na sofie obok Matthiasa: przysiadła na piętach i oparła mu głowę na ramieniu. Dziwnie się czuł, siedząc obok niej w ten sposób. We Fjerdzie nawet mąż i żona nie okazywali sobie czułości publicznie; mogli potrzymać się za ręce, ewentualnie zatańczyć na balu. Podobało mu się to jednak i chociaż nie potrafił się całkiem odprężyć, myśl o tym, że Nina mogłaby się od niego odsunąć, wydawała mu się nieznośna.

Ale to niewzruszona obecność Colma zupełnie zmieniała charakter obrazu w lustrze. Przy nim wszyscy wydawali się mniej niebezpieczni, jakby wcale nie byli ekipą, która wdarła się do Lodowego Dworu, by tam sprytem i odwagą pokonać fjerdańskie wojsko, tylko gromadą dzieciaków wykończonych wyjątkowo intensywnym przyjęciem urodzinowym.

– No dobrze. – Nina zlizywała sok z palców w sposób, który uniemożliwiał Matthiasowi formułowanie wszelkich racjonalnych myśli. – Kiedy mówisz o aukcji, nie masz chyba na myśli...

– Mówię o wystawieniu Kuweia na sprzedaż.

– Zwariowałaś?

– Byłoby pewnie lepiej, gdybym zwariował – przyznał Kaz, oparłszy jedną dłoń na lasce. – Każdy obywatel Kerchu oraz każdy przybysz z wolnego kraju ma prawo sprzedać swój kontrakt. To coś więcej niż prawo: to handel, a w Kerchu nie ma rzeczy świętszej od handlu. Kuwei Yul-Bo ma pełne, niezbywalne prawo, uświęcone mocą Ghezena, boga handlu i przedsiębiorczości, żeby poddać swoje życie woli rynku. Może sprzedać swoje usługi na aukcji.

– Ma się oddać w ręce tego, kto najwięcej zapłaci? – spytała z niedowierzaniem Inej.

– To my zapłacimy najwięcej. Tak ustawimy aukcję, żeby spełniło się największe marzenie Kuweia: trafi do Ravki, gdzie do końca życia będzie mógł sobie sączyć herbatę z samowara.

– Mój ojciec nigdy się na to nie zgodzi – wtrącił Wylan.

– Będzie bezradny. Licytacja kontraktu jest w tym mieście chroniona przez najwyższe prawa, zarówno świeckie, jak i religijne. Kiedy Kuwei obwieści, że jego kontrakt jest na sprzedaż, nikt nie będzie mógł wstrzymać przebiegu aukcji aż do jej rozstrzygnięcia.

Nina pokręciła głową.

– Po ogłoszeniu aukcji Shu Han będzie dokładnie wiedział, gdzie znaleźć Kuweia.

– To nie Ravka – odparł Kaz. – Jesteśmy w Kerchu. Tu handel jest świętością cieszącą się wszelką dostępną opieką prawną. Rada Kupiecka ma obowiązek dopilnować, żeby licytacja przebiegła bez zakłóceń. Zaangażują do tego nie tylko całą *stadwachtę*, ale także Radę Pływów, którą przepisy aukcyjne zobowiązują do współpracy. Rada Kupiecka, *stadwacht*, Rada Pływów... Wszyscy będą musieli chronić Kuweia.

Kuweia odłożył notatnik.

– Shu Han ma swoich fabrykatorów i zapas *parem* – przypomniał.

– To prawda – zawtórował mu Jesper. – Będą mogli wyprodukować tyle złota, ile tylko zechcą. Nie damy rady ich przelicytować.

– Tylko pod warunkiem, że ci fabrykatorzy są już tutaj, w mieście. Bo Van Eck wyświadczył nam tę uprzejmość, że zablokował port.

– Mimo wszystko...

– Pozwólcie, że ja się będę martwił Shu Hanem. Pokieruję odpowiednio licytacją, ale najpierw trzeba znów nawiązać kontakt z Ravkańczykami; muszą znać nasz plan, przynajmniej częściowo.

– Mogę się przedostać do ambasady – zaproponowała Inej. – Zaniosę list, jeżeli Nina go napisze.

– Na ulicach stoją barykady – przypomniał Wylan.

– Ale na dachach nie – zauważyła Inej.

– Inej... – odezwała się Nina. – Nie wydaje ci się, że powinnaś im powiedzieć o swojej nowej przyjaciółce?

– No właśnie – podchwycił temat Jesper. – Któż to cię tak podziurawił?

Inej wyjrzała za okno.

– Pojawił się nowy gracz – odparła. – Najemniczka wynajęta przez Pekkę Rollinsa.

– Pokonała cię? – zdumiał się Matthias. – W pojedynkę?

Widział, jak Zjawa walczy; pokonanie jej byłoby nie lada wyczynem.

– „Najemniczka” to mało powiedziane – wtrąciła się Nina. – Ta dziewczyna weszła za Inej na linę i zaczęła w nią rzucać nożami.

– Właściwie to nie były noże – zauważyła Inej.

– A co, zaostrzone koronkowe serwetki?

Inej zeszła z parapetu, sięgnęła do kieszeni i na blacie stołu zabrzączał stosik małych srebrnych słońc.

Kaz pochylił się i wziął jedno z nich do ręki.

– Co to za jedna?

– Na imię ma Dunyasha – odparła Inej. – Sama siebie nazywa Białą Klingą i jeszcze paroma innymi imionami. Jest bardzo dobra.

– Jak bardzo?

– Lepsza ode mnie.

– Słyszałem o niej – odezwał się Matthias. – Jej nazwisko wypłynęło w raporcie wywiadowczym *drüskelle* na temat Ravki.

– Ravki? – powtórzyła Inej. – Powiedziała, że szkoliła się w Ahmrat Jen.

– Twierdzi również, że w jej żyłach płynie krew Lantsovów i jest pretendentką do tronu Ravki.

– Żartujesz! – Nina zaniósła się śmiechem.

– Myśleliśmy nawet o tym, żeby ją poprzeć i w ten sposób osłabić reżim Nikolaia Lantsova.

– Cwane – przyznał Kaz.

– Złe – powiedziała Nina.

Matthias odchrząknął.

– Nikolai jest królem nowym i podatnym na ataki, zwłaszcza że istnieją wątpliwości co do jego rodowodu. Z raportu wynikało jednak, że Dunyasha ma chaotyczny charakter i skłonność do urojeń. Ostatecznie uznano, że jest zbyt nieprzewidywalna do naszych celów.

– Mogła nas śledzić po drodze z Czarnego Woalu – zauważyła Inej. – Na rozkaz Pekki.

– Wiemy już, jak Pekka namierzył naszą kryjówkę? – zaciekała się Nina.

– Ktoś z jego ludzi musiał wypatrzyć któreś z nas – odparł Kaz. – Więcej nie trzeba.

Matthiasowi przyszło do głowy, że może to nawet lepiej, że nie wiedzą, kto dokładnie jest odpowiedzialny za tę wpadkę. Nikt nie musiał dźwigać ciężaru winy.

– Dunyasha mnie zaskoczyła – przyznała Inej. – Ale jeżeli nie wiedzą o hotelu, przemknę do ambasady i z powrotem niezauważona przez nikogo.

– Świetnie – powiedział Kaz.

Zwlekał jednak z odpowiedzią ułamek sekundy dłużej, niż można by tego po nim oczekiwać.

Boi się o nią, pomyślał Matthias. I to mu się nie podoba.

Choć raz rozumiał, co czuje *demjin*, i mógł mu współczuć.

– Jest jeszcze jeden problem – odezwała się Nina. – Matthiasie, zakryj uszy.

– Nie.

– Jak chcesz. Później zapewnię sobie twoją lojalność. – Zniżyła głos do szeptu: – W łazience przylegającej do głównej sypialni jest bardzo duża wanna.

– Nino!

– Tak tylko mówię. – Nina skubnęła resztkę gofra z tacy. – Ravka nie wygra aukcji – powiedziała. – Jesteśmy spłukani.

– Fakt – mruknął Matthias. – Wiedziałem o tym.

– Wcale nie wiedziałeś.

– Myślisz, że Fjerda nie wie, jaki jest stan ravkańskiego skarbcza?

Nina zmarszczyła brwi.

– Mógłbyś chociaż udawać zaskoczonego.

– Trudna sytuacja finansowa Ravki nie jest żadną tajemnicą. Skarb państwa świeci pustkami po latach zaniedbań ze strony władców z rodu Lantsovów i długotrwałych walkach z sąsiadami. Wojna domowa też zrobiła swoje, a nowy król zaciągnął okazałe kredyty w kercheńskich bankach. Ravka nie ma co liczyć na zwycięstwo w licytacji.

Kaz poruszył zdrętwiałą nogą.

– Dlatego właśnie wesprze ją Kercheńska Rada Kupiecka.

– Pięknie! – Jesper parsknął śmiechem. – Mogliby przy okazji kupić mi złoty melonik?

– To by było wbrew prawu – wytknął Kazowi Wylan. – Rada odpowiada za przeprowadzenie aukcji, nie może ingerować w jej wynik.

– Oczywiście – zgodził się Kaz. – I doskonale o tym wie. Kiedy Kuwei z ojcem zwrócili się do Rady z prośbą o pomoc finansową, ta odmówiła, bojąc się oskarżenia o złamanie zasady neutralności. Van Eck dostrzegł w tym szansę dla siebie i od tamtej pory prowadzi intensywne zakulisowe działania. – Usadowił się głębiej w fotelu. – Co dokładnie robi? Skupuje farmy, na których uprawia się *jurde*, żeby w chwili, gdy sekret *parem* wyjdzie na jaw, kontrolować rynek dostaw. Wygra bez względu na to, kto przechwyci Kuweia. Dlatego musimy zacząć myśleć tak jak on. Jak kupiec. Kiedy Kuwei Yul-Bo, syn Bo Yul-Bayura, wystawi swój kontrakt na sprzedaż, Rada zorientuje się, że tajemnica *parem* może zostać w każdej chwili ujawniona. Nareszcie będą mogli działać i od razu zaczną szukać okazji do zbitcia fortuny i zabezpieczenia dominującej pozycji Kerchu w gospodarce światowej. Sami nie mogą wziąć udziału w aukcji, mogą natomiast zapewnić sobie niebotyczne zyski bez względu na jej wynik.

– Skupując *jurde* – domyślił się Wylan.

– Otóż to. Założymy konsorcjum zajmujące się skupem plantacji *jurdy* i damy inwestorom szansę wzbogacić się na staczaniu się świata w otchłań piekieł. Przedstawimy Radzie propozycję biznesową. Resztę załatwi za nas chciwość.

Wylan kiwał głową. Było widać, że coraz bardziej zapala się do tego pomysłu.

– A pieniądze nie trafią do żadnego konsorcjum, tylko prosto w ręce Ravkańczyków, co umożliwi im wykupienie kontraktu Kuweia – dokończył.

– Mniej więcej – przytaknął Kaz. – Przy okazji ściągniemy od nich mały procent, tak jak to robią banki.

– Ale kto będzie licytował? – zapytał Jesper. – Van Eck widział nas wszystkich poza

Niną i Spechtem. Nawet gdyby któreś z nas dało się przeformować albo sprowadzilibyśmy jakiegoś słupa, Rada Kupiecka nie odda pieniędzy przybyszowi znikąd, bez żadnych referencji.

– A odda je plantatorowi *jurdy* zamieszkującemu najdroższy apartament w mieście?

Colm Fahey podniósł wzrok znad filiżanki z kawą.

– Mówicie o mnie?

– Mowy nie ma, Kaz – sprzeciwił się Jesper. – To nie wchodzi w grę.

– Zna się na *jurdzie*, mówi po kercheńsku i nowoziemsku i ma pożądaną prezencję do tej roli.

– Ma uczciwą twarz – przyznał rozgoryczony Jesper. – Lokując go w tym hotelu, wcale nie chciałeś zapewnić mu bezpieczeństwa. Od początku go wrabiałeś.

– Stworzyłem dla nas wyjście awaryjne.

– Dodatkowe zabezpieczenie?

– Otóż to.

– Nie pozwolę ci wplątać mojego ojca w tę sprawę.

– On już jest w nią wplątany, Jes. Ty go w nią wciągnąłeś, kiedy kazałeś mu zaciągnąć kredyt pod zastaw gospodarstwa, żeby opłacić swój dyplom z szastania pieniędzmi.

– Nie – zaparł się Jesper. – Van Eck nie jest głupcem, z łatwością skojarzy Colma Faheya z Jesperem Faheyem.

– Tyle że w Geldrennerze nie mieszka żaden Colm Fahey. Colm Fahey wynajął pokój w skromnej gospodzie w dzielnicy uniwersyteckiej, po czym, jeśli wierzyć przechowywanym w kapitanacie portu listom pasażerów, kilka dni temu odpłynął z miasta. Człowiek, który zatrzymał się w hotelu, nazywa się Johannus Rietveld.

– A to kto znowu, u licha? – zdziwiła się Nina.

– Farmer z miasteczka nieopodal Lij. Jego rodzina osiadła tam dawno temu, ma posiadłości w Kerchu i Nowoziemiu.

– Ale kim jest naprawdę? – dopytywał się Jesper.

– To bez znaczenia. Potraktujcie go jak wytwór wyobraźni Rady Kupieckiej, cudowny sen, który ziścił się tylko po to, by dać im zarobić na katastrofie związanej z *parem*.

Colm odstawił filiżankę.

– Zrobię to – powiedział.

– Tatku, nie masz pojęcia, na co się piszesz...

– Już i tak udzielam schronienia zbiegom. Jeżeli mam się do czegoś przydać, to czemu nie pokusić się o pełny współudział w przestępstwie?

– Jeżeli coś pójdzie nie tak...

– A co ja mam do stracenia, Jes? Ty i farma to całe moje życie. Tylko w ten sposób mogę ochronić jedno i drugie.

Jesper zerwał się z podłogi i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem pod oknami.

– To jakiś obłąd – mruknął, rozcierając dłonią kark. – Nigdy się na to nie nabiorą.

– Nie prosimy ich o wiele – zauważył Kaz. – Na tym polega urok tej propozycji. Zadekretujemy niskie wpisowe, powiedzmy... dwa miliony *kruge*. A potem będziemy

czekać. Shu Han jest na miejscu. Są Fjerdanie. Są Ravkańczycy. Rada zacznie panikować. Gdybym miał w tej chwili zgadywać, obstawiałbym, że zgarniemy po pięć milionów od każdego z członków Rady.

– Jest ich trzynastu – przypomniał Jesper – więc łącznie daje to sześćdziesiąt pięć milionów *kruge*.

– Może nawet więcej.

Matthias się nachmurzył.

– *Stadwachta* będzie czuwała nad aukcją, Rada Pływów również... Ale czy na pewno możemy zagwarantować Kuweiovi bezpieczeństwo?

– Jeżeli nie masz na podorędziu jednoroźca, na którym Kuwei mógłby stąd odjechać, żaden scenariusz nie daje mu gwarancji bezpieczeństwa.

– Nie liczyłabym przesadnie na opiekuńczość Rady Wpływów – odezwała się Nina. – Kiedy ktoś widział, żeby ci ludzie wystąpili publicznie?

– Ostatni raz... dwadzieścia pięć lat temu – powiedział Kaz.

– Mimo to zakładasz, że teraz się objawią, żeby chronić Kuweia, tak? Nie możemy go puścić samego na otwartą aukcję.

– Nie będzie sam. Pójdziemy z nim ja i Matthias.

– Wszyscy was znają. Nawet gdybyście się przebrali...

– Nie zamierzamy się przebierać. Rada Kupiecka będzie oficjalnie reprezentować interesy Kuweia, ale on sam ma prawo wybrać własną ochronę na czas licytacji. Wejdziemy na scenę razem z nim.

– Na scenę?!

– Aukcje odbywają się w Kościele Handlu, przed ołtarzem. Czyż można sobie wyobrazić coś świętszego? To miejsce idealne: zamknięta przestrzeń, dużo wejść i wyjść, łatwy dostęp do kanału.

Nina pokręciła głową.

– Posłuchaj, Kaz: gdy tylko Matthias pojawi się na scenie, pół fjerdańskiej delegacji od razu go rozpozna. A ty jesteś najbardziej poszukiwanym człowiekiem w mieście. Obu was aresztują.

– Do czasu zakończenia aukcji nie będą nas mogli tknąć palcem.

– A co potem? – spytała Inej.

– Potem szykuje się niewąskie zamieszanie.

– Musi być inny sposób – upierał się Jesper. – Może powinniśmy się dogadać z Rollinsem?

– Nie mamy mu nic do zaoferowania – zauważył Wylan, składając serwetkę w harmonijkę.

– Koniec z dogadywaniem się – zapowiedział Kaz. – W ogóle nie powinienem był iść do Rollinsa.

– Czyżbyś się właśnie przyznał do popełnienia błędu? – Jesper z niedowierzaniem uniósł brwi.

– Potrzebowaliśmy pieniędzy. – Wzrok Kaza prześliznął się po Inej. – Nie żałuję tego,

co zrobiłem, ale to nie było właściwe posunięcie. Kluczem do pokonania Rollinsa jest niesiadanie z nim do gry. On jest jak kasyno: ma wystarczająco obfite zasoby, żeby ograć cię ze wszystkiego.

– Mimo wszystko... – nie ustępował Jesper. – Będziemy mieli przeciwko sobie kercheńskie władze, wszystkie gangi z Baryłki, Shu Han...

– Poza tym Fjerdan – kontynuował Matthias – Nowoziemców, Kaelczyków i wszystkich innych, którzy się tu zjawiają po ogłoszeniu aukcji. Ambasady pękają w szwach. Nie wiemy, jak daleko rozeszły się plotki o *parem*.

– Będziemy potrzebowali pomocy – stwierdziła Nina.

– Wiem. – Kaz obciągnął rękawy. – Dlatego właśnie wybieram się do Listewki.

Jesper zamarł w bezruchu. Inej pokręciła głową. Wszyscy zgodnie wybałuszyli oczy.

– Co ty wygadujesz? – pierwsza odezwała się Nina. – Wyznaczono nagrodę za twoją głowę, cała Baryłka o tym wie.

– Sam widziałeś w tym pochodzie Pera Haskella i Szumowiny – dodał Jesper. – Myślisz, że namówisz staruszka, żeby udzielił ci poparcia, kiedy lada chwila całe miasto zwali ci się na głowę jak wór cegieł? Haskell ma na to za małe jaja.

– Wiem – powtórzył Kaz – ale potrzebna nam będzie większa ekipa.

– *Demjin*, nie warto tak ryzykować – powiedział Matthias i z niejakim zdumieniem stwierdził, że naprawdę tak właśnie uważa.

– Kiedy już po wszystkim Van Eck zostanie udupiony, Rollins zwieje, a pieniądze trafią we właściwe ręce, to nadal będzie mój Ketterdam. Nie zamierzam żyć w mieście, w którym nie mogę chodzić po ulicach z podniesioną głową.

– Trzeba w ogóle mieć głowę, żeby móc ją podnieść – mruknął Jesper.

– Przyjmowałem pchnięcia nożem, obrywałem z pistoletów i sam nie wiem ile razy dostałem pięścią w obronie kawałka tego miasta. Przelewałem za nie krew. Jeżeli czegoś mnie nauczyło, to z pewnością tego, że zawsze można przelać tej krwi jeszcze trochę więcej.

Nina wzięła Matthiasa za rękę.

– Griszowie utknęli w ambasadzie, Kaz. Wiem, że ich los cię nie interesuje, ale musimy ich wywieźć z miasta. Tak jak musimy wyciągnąć stąd ojca Jespera i sami się wydostać. Obojętne, kto wygra aukcję, Van Eck i Pekka Rollins nie spakują się ot, tak po prostu i nie pójda grzecznie do domu. Goście z Shu Hanu też nie.

Kaz wstał i podparł się laską.

– Jest jedna rzecz, której to miasto obawia się bardziej niż Shu Hanu, Fjerdan i wszystkich gangów z Baryłki łącznie. I ty, Nino, dasz im tę rzecz.



Przesiedział w fotelu – zdawało się – długie godziny, odpowiadając na ich pytania i składając plan w całość. Miał w głowie jego ogólny zarys, ostateczny cel, kolejne etapy, a także nieskończoną liczbę potencjalnych pułapek i zagwozdek. To nie był zwykły plan, lecz naszpikowane niebezpieczeństwami monstrum. Musiał taki być, jeśli miało im się udać.

Johannus Rietveld.

W pewnym sensie powiedział im prawdę. Johannus Rietveld nigdy nie istniał. Już dawno temu Kaz połączył drugie imię Jordiego z ich rodzowym nazwiskiem i stworzył fikcyjną tożsamość ich ojca.

Nie był pewien, po co kupił farmę, na której się wychował, ani dlaczego prowadził interesy i skupował nieruchomości na nazwisko Rietvelda. Czy Johannus Rietveld miał być jego Jakobem Hertzoone, powszechnie szanowaną osobą, taką jak ta, którą stworzył sobie Pekka Rollins, żeby łatwiej oskubywać łatwowiernych frajerów? A może w ten szczególnie sposób próbował wskrzesić utraconą rodzinę? Zresztą, jakie to miało znaczenie? Johannus Rietveld istniał na papierze i w dokumentach bankowych, a Colm Fahey idealnie nadawał się do odegrania jego roli.

Zanim spotkanie dobiegło wreszcie końca, kawa wystygła i nastąpiło prawie południe. Mimo wpadającego przez okna słonecznego światła wszyscy postanowili chwilę się zdrzemnąć – wszyscy poza Kazem. Był cały obolały z wyczerpania, kaleka noga przestała pulsować i teraz po prostu promieniowała bólem.

„Dla nas nie będzie wytchnienia”.

Zdawał sobie sprawę, jak beznadziejnie głupim pomysłem jest wypad do Listewki; jak znikome jest prawdopodobieństwo, że uda mu się wrócić stamtąd bez szwanku. Całe jego życie stanowiło jeden długi ciąg uników i fint. Po co szturmować problem wprost, kiedy można znaleźć inny sposób? Zająć przeciwnika z boku? Zawsze specjalizował się w znajdowaniu tych innych sposobów, a teraz zamierzał zwiesić łeb i ruszyć prosto przed siebie jak wół przykuty do pługa. Liczył się z tym, że pobitego i zakrwawionego powłoką

go przez pół Baryłki i rzuca Rollinsowi pod drzwi. Sęk w tym, że jego ekipa znalazła się w potrzasku i jeśli dla jej uwolnienia miał sobie odgryźć łapę, to tak właśnie robi.

Najpierw musiał porozmawiać z Inej. Znalazł ją w eleganckiej biało-złotej łazience: siedziała przy toaletce i cięła ręczniki na bandażu.

Wyminął ją, zdjął płaszcz i rzucił go obok umywalki.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział – przy planowaniu trasy do Listewki.

– Pójdę z tobą.

– Dobrze wiesz, że muszę stanąć przed nimi sam, Zjawo. Będą szukać moich słabych punktów.

Kaz odkręcił kurki. Rozległ się przeciągły jęk w rurach, ale ostatecznie z kranu popłynęła gorąca woda. Może kiedy już będzie spał na pieniądzech, każe doprowadzić ciepłą wodę do Listewki.

– Ale nie mogę po prostu przespacerować się tam ulicami – dodał.

– W ogóle nie powinieneś tam iść.

Zdjął rękawiczki, zanurzył dłonie w wodzie i ochlapał sobie twarz. Przeczesał palcami włosy.

– Albo mi teraz opiszesz najlepszą drogę po dachach, albo sam jakiejś poszukam.

Wolałby iść, zamiast się wspinać. Ba, najchętniej dałby się tam zawieźć karetą! Gdyby jednak próbował po prostu przejść przez Baryłkę, złapaliby go na długo przed dotarciem do Listewki. Poza tym, jeśli miało mu się udać, liczyła się każda przewaga.

Z kieszeni płaszczu wygrzebał turystyczną mapę Ketterdamu zabraną z pokoju gościnnego w apartamencie. Jak na jego gust była nieco za mało szczegółowa, ale wszystkie prawdziwe mapy miasta zostały na Czarnym Woalu. Rozłożyli mapę obok umywalki i skupili się na zadaniu.

Inej kreśliła linię łączącą dachy domów i wskazywała najlepsze miejsca do przekraczania kanałów. Postukała palcem w mapę.

– Tędy byłoby szybciej, ale bardziej stromo.

– Pójdę dłuższą drogą – odparł Kaz.

Wolał uniknąć wykrycia i skoncentrować się na czekającej go walce, zamiast przez cały czas pilnować się, żeby nie spaść i nie skrócić karku.

Upewniwszy się, że pamięta całą drogę, schował mapę i wyjął inny arkusz papieru, tym razem opatrzony jasnozieloną pieczęcią Gemensbanku. Dał go Inej.

– Co to? – Przebiegła wzrokiem tekst. – Chyba nie... – Przesunęła palcami po wypisanych słowach, jakby spodziewała się, że mogą zniknąć. – Mój kontrakt – wyszeptła.

– Nie chcę, byś była związana z Perem Haskellem. Ani ze mną.

Kolejna półprawda. Jego umysł obmyślił setkę planów, jak ją z nim związać, jak zatrzymać ją w mieście. Żyła jednak dostatecznie długo w niewoli długów i zobowiązań. Dla nich obojga będzie lepiej, jeśli odejdzie.

– Ale jak? – spytała. – Pieniądze...

– Załatwiłem to.

Upłynął wszystkie posiadane aktywa, zużył wszystkie oszczędności, co do ostatniego nieuczciwie zarobionego miedziaka.

Inej przycisnęła kopertę do piersi nad sercem.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

– Sulijczycy na pewno znają ze sto przysłów na taką okazję...

– Na taką okazję nikt nie wymyślił odpowiednich słów.

– Jeżeli mnie powiesz, powiesz coś miłego nad moim grobem. A dzisiaj czekajcie na mnie do szóstej: jeśli nie wrócę, spróbuj wydostać wszystkich z miasta.

– Kaz...

– W murze na tyłach Klubu Wron jest jedna przebarwiona cegła. Za nią znajdziesz dwadzieścia tysięcy *kruge*; niewiele, ale powinno wystarczyć na przekupienie paru trepów ze *stadwacht*. – Kaz zdawał sobie sprawę, że jego ludzie mają niewielkie szanse. I to przez niego. – Samej będzie ci łatwiej. Najlepiej byłoby, gdybyś już teraz zniknęła.

Inej zmrużyła oczy.

– Udam, że tego nie słyszałam. To moi przyjaciele. Nigdzie się nie wybieram.

– Opowiedz mi o Dunyashy.

– Miała wyśmienitą broń. – Inej wzięła z toaletki nożyczki i zaczęła odkrawać świeże kawałki ręcznika. – Myślę, że może być moim cieniem.

– Bardzo... litym cieniem, skoro rzuca nożami.

– Sulijczycy wierzą, że dopuszczając się złych uczynków, ożywiamy nasze cienie. Każdy grzech je wzmacnia, aż w końcu cień staje się silniejszy od ciebie.

– Gdyby to była prawda, mój cień okryłby Ketterdam wieczną nocą.

– Być może. – Inej spojrzała Kazowi w oczy. – A może to ty jesteś czymś cieniem.

– Masz na myśli Pekkę.

– Przypuśćmy, że cały i zdrowy wrócisz z Listewki. Co dalej? Przypuśćmy, że aukcja się powiedzie i cały nasz plan wypali.

– Wtedy dostaniesz swój statek i swoją przyszłość.

– A ty?

– Zamierzam wycisnąć swoje szczęście do ostatniej kropli i wywołać taki zamęt, jakiego jeszcze nie widziano. Zbuduję imperium.

– A potem?

– Kto wie? Może obrócę je w zgliszcza?

– Czy to właśnie ma cię różnić od Rollinsa? Że nic po sobie nie zostawisz?

– Nie jestem cieniem Pekki Rollinsa. Nie sprzedaję dziewczyn do burdeli. Nie ograbiam bezbronnych dzieciaków.

– Pomyśl o Klubie Wron, Kaz.

Głos Inej był spokojny, cierpliwy... Dlaczego na jego dźwięk tak bardzo chciał coś podpalić?

– Przypomnij sobie wszystkie swoje przekręty, kradzieże i ustawione gry. Czy wszyscy ci ludzie zasłużyli sobie na to, co ich spotkało? Na to, co im odebrałeś?

– Życie nie ma nic wspólnego z tym, na co zasługujemy, Inej. Gdyby tak było...

– Czy twój brat dostał to, na co zasłużył?

– Nie – odparł stanowczo Kaz, lecz jego sprzeciw zabrzmiał dziwnie głucho.

Dlaczego nazwał Jespera imieniem Jordiego? Patrząc w przeszłość, oglądał brata oczami małego chłopca, którym wtedy był: dzielny, błyskotliwy, nieomylny Jordie, rycerz pokonany przez smoka w przebraniu kupca. Jak dzisiaj postrzegalby Jordiego? Jak łatwy cel? Jak kolejnego frajera do oskubania?

Oparł się o umywalkę. Już się nie złościł, był po prostu znużony.

– Byliśmy głupi – powiedział.

– Byliście dziećmi. Kto miał was ochronić?

– A ciebie ktoś chronił?

– Ojciec. I matka. Zrobiliby wszystko, żeby nie dopuścić do wykradzenia mnie.

– I zostaliby zarżnięci przez łowców niewolników.

– W takim razie chyba mogę mówić o szczęściu, że nie musiałam na to patrzeć.

Jak ona mogła w dalszym ciągu patrzeć na świat w taki sposób?

– Sprzedano cię do burdelu w wieku czternastu lat, a ty masz się za szczęściarę.

– Oni mnie kochali. Nadal kochają. Wierzę w to.

W lustrze Kaz widział, jak Inej przysuwa się do niego. Jej czarne włosy były jak plama atramentu na tle wyłożonej białymi kafelkami ściany. Przystanęła za jego plecami.

– Ty mnie chroniłeś, Kaz.

– Fakt, że krew przesącza ci się przez bandażę, dowodzi czegoś wręcz przeciwnego.

Zerknęła w dół: krwawy kwiat rozpląwał się po opatrunku na barku. Niezręcznym gestem skubnęła skraj bandaża.

– Poproszę Ninę, żeby go zmieniła.

Nie chciał tego mówić. Chciał pozwolić jej odejść.

– Mogę ci pomóc – powiedział.

Spojrzała mu w oczy w lustrze, z rezerwą, jakby taksowała wzrokiem wroga.

„Mogę ci pomóc”. To były pierwsze słowa, jakie do niego wypowiedziała w salonie w Menażerii, odziana w fioletowe jedwabie, z podkreślonymi na czarno oczami. Pomogła mu, chociaż omal go przy tym nie zniszczyła. Może powinien dać jej dokończyć to, co zaczęła.

Krople kapały do umywalki w nierównym rytmie. Kaz nie był pewien, co chciałby od Inej usłyszeć.

Każ jej uciekać, rozbrzmiewał mu głos w głowie.

Błagaj, żeby została, odpowiadał drugi.

Inej bez słowa zgarnęła z toaletki bandażę i nożyczki i położyła je obok umywalki. Następnie oparła się dłońmi o blat i bez wysiłku na niego wskoczyła. Tym sposobem ich oczy znalazły się na jednej wysokości.

Kaz zrobił krok w przód... i znieruchomiał niezdolny znowu się poruszyć. Nie mógł tego zrobić. Nic ich nie dzieliło.

Dzieliły ich całe mile.

Sięgnęła po nożyczki z typowym dla siebie wdziękiem, jakby poruszała się pod wodą, i podała mu je uchwytami naprzód. Były chłodne w dotyku, metal był twardy, kojący.

Wszedł w przestrzeń ograniczoną jej kolanami.

– Od czego zaczniemy? – spytała. Wilgoć w powietrzu podkręcała loki okalające jej twarz.

Naprawdę to zrobi?

Skinieniem głowy wskazał jej prawe przedramię; wolał się nie odzywać, nie ufał swojemu głosowi. Rękawiczki zostały po drugiej stronie umywalki, czarne na tle złoto żyłkowanego marmuru. Przypominały dwa zdechłe zwierzątka.

Skupił się na nożyczkach, zimny metal nie przypominał w dotyku skóry. Nie będzie mógł tego zrobić trzęsącymi się rękami.

Dam radę, powiedział sobie w duchu. Niczym się to nie różni od użycia broni przeciw drugiemu człowiekowi. Przemoc jest łatwa.

Ostrożnie wsunął ostrze pod bandaż. Opatrunek był grubszy, niż gdyby wykonano go z gazy, ale nożyczki były ostre: jedno cięcie i bandaż opadł, odsłaniając głęboką ranę kłutą.

Kaz odrzucił brudny materiał na bok, wziął świeży kawałek ręcznika i znów znieruchomiał, przygotowując się na to, co miało nastąpić.

Inej podniosła rękę. Ostrożnie przełożył materiał pod jej przedramieniem. Kiedy musnął przy tym knykciami jej skórę, zamarł sparaliżowany, wrośnięty w ziemię, jak rażony piorunem.

Serce nie powinno wydawać takiego dźwięku. Może w ogóle nie pójdzie do Listewki; może to go zabije. Zmusił dłonie do ruchu, zawiązał bandaż w jeden węzeł, drugi. Gotowe.

Odetchnął głęboko. Wiedział, że powinien zająć się teraz bandażem na ramieniu Inej, ale nie był jeszcze na to gotowy, więc ruchem głowy wskazał ten na drugiej ręce. Bandaż na niej był czysty i dobrze się trzymał, ale Inej podsunęła mu ją bez słowa protestu.

Tym razem poszło trochę łatwiej. Działał powoli, metodycznie: nożyczki, bandaż. Medytacja. I załatwione.

Nic nie mówili pochwyceni w wir milczenia. Nie dotykali się, mimo że stał między jej kolanami. Oczy miała ciemne, szeroko otwarte. Dwie zagubione planety. Dwa czarne księżyce.

Bandaż oplatający bark był dwa razy przełożony pod pachą i zawiązany blisko stawu. Kaz pochylił się nad nią, ale pozycja była niewygodna. Nie mógł po prostu wsunąć ostrza pod opatrunek, musiał najpierw unieść palcami jego skraj.

Nie.

W łazience było zbyt jasno. Czuł się tak, jakby czyjaś pięść zaciskała mu się na piersi.

Przestań.

Złożył dwa palce i wsunął je pod bandaż.

Wszystko w nim wzdrygnęło się z odrazy. Zimna woda omywała mu nogi. Całe ciało miał zdrętwiałe, pozbawione czucia, a mimo to wyraźnie czuł pod palcami gnijące ciało brata, wilgotne i miękkie.

„Wstyd pożera człowieka w całości”.

Tonął we wstydzie. Tonął w wodach ketterdamskiego portu. Obraz rozplýwał mu się przed oczami.

– Mnie też nie jest łatwo. – Jej głos, cichy i miarowy, ten sam, który kiedyś sprowadził go z piekła z powrotem na świat. – Nadal tak mam, że kiedy jakiś chłopak uśmiechnie się do mnie na ulicy, albo Jesper złapie mnie wpół, wydaje mi się, że zaraz zniknę.

Wnętrze łazienki się przekrzywiło. Wczepił się w jej głos jak w zbawczą linę.

– Wciąż się boję, że spotkam na ulicy kogoś z jej... kogoś z moich klientów – ciągnęła. – Przez długi czas wydawało mi się, że wszędzie ich widzę... Ale czasem dochodzę do wniosku, że to, co mi zrobili, wcale nie było najgorsze.

Kazowi udało się znów skupić na niej wzrok. Woda zniknęła. Był w hotelowej łazience. Dotykał ramienia Inej, czuł pod palcami wyrobione mięśnie, widział pulsującą wściekle żyłkę na jej szyi w zagłębieniu pod żuchwą. Rzęsy kładły się czarnym cieniem na jej policzkach. Jak gdyby w odpowiedzi na jego drżenie, znieruchomiała zupełnie. Wiedział, że powinien coś powiedzieć, ale nie mógł zmusić ust, żeby uformowały słowa.

– Tante Heleen nie zawsze była okrutna – mówiła dalej. – Potrafiła cię przygarnąć, przytulić, a potem uszczypnąć do krwi. Nigdy nie wiedziałaś, czego się spodziewać: pocałunku czy policzka. Jednego dnia byłaś jej ulubioną dziewczyną, a następnego wzywała cię na dywanik, zapowiadała, że sprzeda cię bandzie spotkanych na ulicy oprychów, i kazała błagać o zlitowanie. – Z jej piersi wydarł się cichy dźwięk, który mógłby ujść za parsknięcie śmiechem. – Kiedy Nina pierwszy raz mnie objęła, wzdrygnęłam się.

Podniosła powieki i spojrzała mu w oczy. Nadal słyszał kapanie wody. Patrzył na opadający na jej ramię niesforny kosmyk włosów, który wysliznął się ze splotów warkocza.

– Śmiało – ponagliła go półgłosem, jakby prosiła, żeby podjął przerwana opowieść.

Nie był pewien, czy da radę, ale jeżeli ona potrafiła mu o tym opowiedzieć, to na pewno powinien przynajmniej spróbować.

Uniósł bandaż, tworząc lukę dla ostrza nożyczek; z żalem i ulgą jednocześnie przerwał kontakt z jej skórą. Rozciął opatrunek. Jej ciepło parzyło go w palce, jakby miała gorączkę.

Brudny bandaż opadł.

Wziął w prawą rękę świeżo przycięty skrawek ręcznika. Musiał przełożyć go od tyłu za jej barkiem. Znalazł się tak blisko... Rejestrował wzrokiem muszelkowaty kształt ucha, odgarnięte za małżowinę pasemko włosów, puls pędzący pod skórą na złamanie karku. Była żywa, żywa, żywa.

„Mnie też nie jest łatwo”.

Przełożył bandaż drugi raz. Najłżejsze z mięśni. Nieuniknione. Bark, obojczyk, jeden raz kolano. Woda sięgała coraz wyżej.

Zawiązał węzeł.

Odsuń się od niej.

Nie odsunął się: stał tam, gdzie przedtem, wsłuchany w swój oddech, jej oddech, w ich wspólny rytm, sam na sam w tym pomieszczeniu.

Odraza nie zniknęła, tak jak nie zniknęło pragnienie ucieczki i czegoś jeszcze.

Wydawało mu się, że biegle zna język bólu, ale te katusze były dla niego czymś nowym. Cierpiał, stojąc przed nią, tak blisko kręgu jej ramion.

„Mnie też nie jest łatwo”.

Po tym wszystkim, co wycierpiała, to on okazał się tym słabym z nich obojga. Ale ona nigdy się nie dowie, co odczuwał, gdy Nina ją przytulała albo Jesper brał ją pod ramię; nie zrozumie, jakie to uczucie, zawsze stać w progu albo pod ścianą i mieć świadomość, że nigdy nie będzie mógł się do niej zbliżyć.

Ale teraz jestem tutaj! – pomyślał ze złością.

Nosił ją na rękach, walczył z nią ramię w ramię, spędzał przy niej całe noce, kiedy, leżąc na brzuchu, obserwowali przez lunetę jakiś magazyn albo dom kupca. W tej chwili czuł się zupełnie inaczej, lęk przyprawiał go o mdłości, ciało spływało mu potem, ale był przy niej. Widział, jak jej serce bije w niespokojnym rytmie jego serca. Widział wilgotną krzywiznę jej szyi, połysk brązowej skóry, chciał... Tak, chciał.

Zanim na dobre zdał sobie sprawę z tego, co zamierza, pochylił się. Inej zaparło dech w piersi, gdy jego usta zawisły tuż ponad ciepłym zagłębieniem u nasady szyi. Czekał.

Każ mi przestać, pomyślał. Odepchnij mnie.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Śmiało – powtórzyła.

Dokończ zaczęłą opowieść.

Ledwie zauważalny ruch... i jego wargi musnęły jej skórę: ciepłą, gładką, uperloną potem. Pożądanie zatętniło mu w żyłach, tysiąc nagromadzonych w głowie obrazów, które ledwie śmiał sobie wyobrazić: jej czarne włosy rozpuszczone z warkocza, jego dłoń oparta na jej smukłej talii, jej rozchyłone usta szepczące jego imię.

Wszystko naraz pojawiło się... i zniknęło. Znów tonął w wodach portu. Jej członki były członkami trupa. Jej martwe oczy patrzyły ślepo w przestrzeń. Obrzydzenie i tęsknota zmieszały mu się w trzewiach.

Szarpnął się w tył, aż ból przeszył mu kaleką nogę. Usta paliły go żywym ogniem. Łazienka zafalowała mu przed oczami. Oparł się o ścianę, z trudem łapiąc oddech.

Inej zeskoczyła z blatu i z zatroskaną miną ruszyła w jego stronę.

– Nie. – Powstrzymał ją gestem wyciągniętej ręki.

Zatrzymała się na środku wykafelkowanej posadzki, obramowana bielą i złotem, jak pozłacana ikona.

– Co ci się przydarzyło, Kaz? Co się stało z twoim bratem?

– To bez znaczenia.

– Powiedz mi. Proszę.

Powiedz jej, naglił głos w głowie. Opowiedz jej wszystko.

Nie wiedział jednak, jak i od czego zacząć. I po co właściwie miałyby to robić? Żeby mogła znaleźć sposób na rozgrzeszenie go z popełnionych przestępstw? Nie chciał jej litości. Nie chciał się przed nią tłumaczyć. Chciał tylko pozwolić jej odejść.

– Chcesz wiedzieć, co mi zrobił Pekka? – Gniewne warknięcie odbiło się echem od ceramicznych płytek. – A może opowiem ci, co zrobiłem, kiedy znalazłem kobietę, która

udawała jego żonę, i dziewczynę, która udawała jego córkę? Albo co się przytrafiło chłopcu, który tamtej pierwszej nocy zwabił nas swoimi mechanicznymi pieskami? O tak, to pyszna historia. Miał na imię Filip. Znalazłem go przy Kolstraat, prowadził grę w trzy karty. Torturowałem go przez dwa dni, zanim wepchnąłem mu do gardła kluczyk do nakręcania mechanicznego psa i porzuciłem wykrwawiającego się w zaułku.

Inej wzdrygnęła się odruchowo.

Kaz zignorował ukłucie w sercu.

– Tak właśnie zrobiłem – ciągnął. – Urzędnicy z banku, którzy nas wydali. Falszywy adwokat. Człowiek, który poczęstował mnie gorącą czekoladą w rzekomym biurze Hertzoona. Zniszczyłem ich wszystkich, jednego po drugim. Cegła po cegle. Rollins będzie ostatni. Takich rzeczy nie da się zmyć modlitwą, Zjawo. Nie będzie dla mnie pokoju, nie będzie przebaczenia, ani w tym życiu, ani w następnym.

Inej pokręciła głową. Jak mogła nadal patrzeć na niego z taką czułością?

– O przebaczenie się nie prosi, Kaz. Trzeba na nie zasłużyć.

– I to właśnie zamierzasz zrobić? Polując na łowców niewolników?

– Polując na łowców niewolników. Niszcząc kupców i szefów gangów z Baryłki, którzy czerpią korzyści ze współpracy z nimi. Będąc kimś więcej niż kolejnym Pekką Rollinsem.

To niemożliwe. Nie ma niczego więcej. On zna prawdę, nawet jeśli ona jej nie dostrzegą.

Była silniejsza, niż on kiedykolwiek będzie. Zachowała wiarę i dobroć, mimo że świat usiłował wyrwać jej jedno i drugie swoimi chciwymi łapskami.

Taksował wzrokiem jej twarz, tak jak zawsze to robił, uważnie, łapczywie, wyłapując szczegóły, jak na złodzieja przystało: symetrycznie rozstawione ciemne brwi, głęboki brąz oczu, zakrzywiona ku górze linia ust. Nie zasługiwał na pokój ani przebaczenie, ale jeżeli miał dzisiaj umrzeć, to może zasłuży chociaż na jej wspomnienie, jaśniejsze od wszystkiego, do czego mógłby sobie rościć prawo, i zabierze je ze sobą na drugą stronę.

Wyminął ją, wziął z blatu rękawiczki i włożył je. Narzucił płaszcz na ramiona, poprawił krawat przed lustrem, wetknął laskę pod pachę. Jeżeli musi stanąć oko w oko ze śmiercią, warto zrobić to z klasą.

Kiedy się do niej odwrócił, był już gotowy.

– Cokolwiek stanie się ze mną, ty przeżyj to miasto. Zdobądź statek, nasyć się zemstą, wyrznij swoje imię w ich kościach. Ale najpierw wyjdź cało z bałaganu, w który nas wpackowałem.

– Nie rób tego – powiedziała.

– Jeżeli tego nie zrobię, wszystko przepadnie. Nie będzie drogi ucieczki, nie będzie nagrody. Nic nie zostanie.

– Nic – powtórzyła.

– Spróbuj znaleźć zwiastun u Dunyashy.

– Słucham?

– Każdy ma jakiś zwiastun: ślad po dawnym urazie, przygarbione ramię tuż przed tym, jak wyprowadzi cios...

– Ja też?

– Na chwilę przed atakiem prostujesz się i wyprężasz pierś, jakbyś szykowała się do występu na scenie i dopominała o uwagę publiki.

Inej zrobiła lekko urażoną minę.

– A ty? – zapytała.

Kaz wrócił pamięcią do tamtej chwili na Vellgeluku, której omal nie przypłacił utratą wszystkiego, co ma.

– Jestem kaleką. To jest mój najbardziej ewidentny zwiastun. Moim przeciwnikom brakuje rozumu, żeby szukać innych.

– Nie idź do Listewki, Kaz. Poszukajmy innego sposobu.

– Odsuń się, Zjawo.

– Kaz...

– Jeżeli kiedykolwiek ci na mnie zależało, nie idź za mną.

Przecisnął się obok niej i zdecydowanym krokiem wyszedł z łazienki. Wolał nie myśleć o tym, co może się wydarzyć, ani o tym, co może stracić. Zresztą w jednej kwestii Inej nie miała racji: dokładnie wiedział, co po sobie zostawi.

Zgliszcza.



I tak za nim poszła.

„Jeżeli kiedykolwiek ci na mnie zależało”.

Aż prychnęła, przesadziwszy susem komin. To było dla niej obraźliwe. Miała wiele okazji, żeby się uwolnić od Kaza, ale z żadnej nie skorzystała.

Nie nadawał się do normalnego życia. Czy to znaczyło, że powinna sobie znaleźć poczciwego męża i urodzić mu dzieci, a kiedy pójdą spać, po cichu ostrzyć noże? Jak miałyby mu wytłumaczyć koszmary, które wciąż dręczyły ją po pobycie w Menażerii? Jak wyjaśnić krew na rękach?

Nadal czuła dotyk jego palców, pamiętała delikatne jak dotyk piórka muśnięcie jego warg na szyi i widok rozszerzonych źrenic. Dwoje najlepszych zabójców z Baryłki, którzy ledwie mogli dotknąć się nawzajem, żeby nie przewrócić się pod tym dotykiem. Ale przynajmniej spróbowali. Kaz spróbował. Może spróbują jeszcze raz. Niemądre marzenie, sentymentalna mrzonka dziewczyny, której nie skradziono młodości; która nie poczuła na skórze różgi Tante Heleen; która nie była poraniona i ścigana. Kaz wyśmiałby ten jej optymizm.

Przypomniała jej się Dunyasha, jej cień. Ciekawe, co jej się marzyło: tron, jak sugerował Matthias? Kolejna ofiara zgładzona na chwałę jej boga? Inej nie miała wątpliwości, że jeszcze spotka na swojej drodze tę kościano-bursztynową dziewczynę. Chciałaby wierzyć, że wyjdzie z tej próby zwycięsko, ale z talentem Dunyashy należy się liczyć. Może naprawdę była księżniczką, dziewczyną z królewskiego rodu wyszkoloną w sztuce zabijania i przeznaczoną do wielkich czynów niczym legendarna bohaterka? Jeśli tak, to kim jest dla niej Inej? Przeszkodą na drodze do celu? Hołdem złożonym na ołtarzu śmierci?

„Cieniem sulijskiej akrobatki, która walczy jak zwykły uliczny zakapior”.

A może to święci sprowadzili Dunyashę na ulice Ketterdamu?

„Któż zapamięta taką dziewczynę jak pani, panno Ghafa?”.

Może to za jej sprawą Inej zostanie pociągnięta do odpowiedzialności za wszystkie

życia, które odebrała?

Może, ale jeszcze nie teraz. Na razie miała pewne długi do spłacenia.

Zsuwając się po rynnie, zerwała bandaż na udzie i syknęła ze złości. Zostawi krwawy ślad na dachach.

Zbliżali się do Listewki. Inej trzymała się cienia i zachowywała bezpieczny dystans od Kaza, który jak nikt inny umiał wyczuć jej obecność. Często przystawał, ale nie zauważył, że jest obserwowany; noga dawała mu się we znaki bardziej, niż chciałby przyznać. Inej nie miała jednak zamiaru wtrącać się do rozgrywki w Listewce. W tej kwestii mogła go posłuchać, ponieważ miał rację: w Baryłce siła była jedyną walutą obiegową. Gdyby nie zmierzył się z tym nowym wyzwaniem w pojedynkę, straciłby wszystko – nie tylko szansę na odzyskanie poparcia Szumowin, ale wszelką nadzieję na to, że jeszcze kiedyś będzie mógł swobodnie chodzić po Baryłce. Bywały takie chwile, w których chętnie obdarłaby go z nadmiaru arogancji, nie mogła jednak znieść myśli o tym, że miałby zostać pozbawiony swojej naturalnej dumy.

Prześlizgiwał się po domach przy Groenstraat, podążając trasą, którą wspólnie wytyczyli, i wkrótce stanął przed widzianą od tyłu Listewką: wąski, koślawy budynek chylił się ku sąsiadom, dachówki mansardowego dachu szerniały od sadzy.

Ileż to razy w przeszłości zakradała się pod Listewkę od tej właśnie strony? Dla niej była to droga do domu. Rozpoznała okno pokoju Kaza na ostatnim piętrze. Przesiedziała na tym parapecie niezliczone godziny, karmiąc wrony i słuchając, jak Kaz snuje plany. Nieco niżej, z lewej strony, dostrzegła maleńkie okienko własnej mikroskopijnej sypialni. Nagle zdała sobie sprawę, że bez względu na wynik aukcji może po raz ostatni oglądać Listewkę; może nigdy więcej nie zobaczyć Kaza za biurkiem, nigdy nie usłyszeć stukotu jego laski na rozchwierutanych schodach, po którego rytmie poznawała, czy ma za sobą dobrą, czy kiepską noc.

Śledziła go wzrokiem, gdy niezgrabnie zsuwał się z dachu i wytrychem otwierał zamek w oknie swojego pokoju. Kiedy zniknął jej z oczu, przemknęła po stromym dachu na drugą stronę budynku; nie mogła wejść do środka tą samą drogą, bo Kaz natychmiast by się zorientował.

Pod okapem od frontu znalazła stary metalowy hak używany do transportu ciężkich ładunków na wyższe kondygnacje. Zawisała na nim, puszczając mimo uszu gruchanie spłoszonych gołębi, stopą uchyliła okno i skrzywiła się, gdy odór ptasich odchodów uderzył ją w nozdrza. Wśliznęła się do wnętrza, przeszła wśród dźwigarów i krokwi i znalazła sobie dogodną kryjówkę w półmroku, po czym znieruchomiła niepewna, co dalej. Gdyby ktoś spojrział w górę, dostrzegłby ją przyczajoną w kącie niczym pająk – ale po co ktoś miałby to robić?

Na dole panowała gorączkowa krzątanina. Uroczysty nastrój porannego pochodu przeniósł się najwyraźniej na resztę dnia, bo ludzie co rusz wchodzili i wychodzili, nawoływali się, śmiali i śpiewali. Kilka Szumowin przysiadło na skrzypiących schodach, podając sobie butelkę whisky. Seeger, jeden z ulubionych mięśniaków Haskella, z całych sił dał w metalową piszczałkę, wydobywając z niej w kółko te same trzy nuty. Gromada

łobuzów wparowała przez drzwi: krakali i wydzierali się jak skończeni durnie, tupali głośno i co chwila wpadali na siebie nawzajem jak stado głodnych rekinów. Byli uzbrojeni w trzonki siekier nabijane zardzewiałymi gwoździami, pałki, noże i pistolety; niektórzy mieli wymalowane na twarzach czarne wronie skrzydła. Za ich plecami Inej dostrzegła kilkoro członków gangu, którzy nie podzielali ogólnego entuzjazmu: Anikę ze strzechą jasnych włosów, żylastego Roedera, którego Haskell polecał Kazowi jako pająka, Keega i Pima – dwóch dużych mięśniaków. Trzymali się na uboczu, pod ścianą, wymieniając smętne spojrzenia, podczas gdy inni wygłupiali się i wiwatowali.

To na ich poparcie najprędzej mógł liczyć Kaz. Najmłodszy z Szumowin, dzieciaki, których ściągnął do gangu i osobiście szkolił. Nowicjusze pracowali najciężej i dostawali najbardziej niewdzięczne zlecenia.

Co dokładnie planował? Wszedł do swojego pokoju z jakimś konkretnym zamiarem czy tylko dlatego, że tam właśnie najłatwiej było wejść z dachu? Czy chciał porozmawiać z Perem Haskelllem na osobności? Całe schody były doskonale widoczne od strony wejścia; gdyby chciał zejść po nich niepostrzeżenie, musiałby się przebrać. Inej nie miała jednak pojęcia, jak miałby zejść po schodach w taki sposób, żeby nikt nie rozpoznał jego charakterystycznego chodu kaleki.

Z dołu dobiegła kolejna fala wiwatów. Haskell wyszedł ze swojego kantorka, jego szpakowata głowa płynęła przez tłum. Był ubrany wyjątkowo krzykliwie i odświętnie: kamizelka w szkarłatno-srebrną kratę, spodnie w pepitkę... Prawdziwy szef Szumowin, gangu, który Kaz stworzył praktycznie od podstaw. W jednej ręce trzymał ulubiony kapelusz z piórem, w drugiej laskę z przyczepioną na czubku karykaturą wrony wykonaną z masy papierowej. Na ten widok Inej ogarnęły mdłości. Kaz był dla Haskell'a jak prawdziwy syn – podstępny, okrutny i śmiertelnie niebezpieczny, ale mimo wszystko syn.

– Myślisz, że dziś go capniemy, staruszkule? – spytał Bastian, postukując się po nodze nieprzyjemnie wyglądającą pałką.

Haskell uniósł laskę niczym berło.

– Jeżeli ktoś ma zgarnąć tę nagrodę, to niech to będzie któryś z moich chłopaków! Dobrze mówię?

Odpowiedział mu chór triumfalnych okrzyków.

– Staruszkule?

Inej gwałtownie odwróciła głowę. Głos Kaza zgrzytnął jak uderzające o siebie kryształły soli. Oczy wszystkich zwróciły się ku górze.

Stojąc na szczycie schodów, miał przed sobą cztery biegi rozchwierutanych drewnianych stopni. Inej zauważyła, że zdążył się przebrać; nowy, doskonale skrojony płaszcz ciasno opinał jego sylwetkę. Stał wsparty na lasce, z włosami zaczesanymi do tyłu znad jasnego czoła: zabójczo kanciasty chłopak z czarnego szkła.

Wyraz zaskoczenia na twarz Haskell'a był niemal komiczny.

– A niech mnie kule biją, Brekker! – zawołał Haskell i roześmiał się. – W życiu nie spotkałem bardziej szurniętego sukinsyna.

– Potraktuję to jako komplement.

– Nie powinieneś być tu przychodzić. Chyba że chcesz się oddać w moje ręce. To byłby mądry ruch, w sam raz dla takiego bystrego chłopaka jak ty.

– Nie zamierzam już wkładać kasy do twojej kieszeni.

Gniew wykrzywił twarz Haskella.

– Ty durny smarkaczu! Wchodzisz sobie tutaj jak gdyby nigdy nic, jak jakiś kupiec do swojej rezydencji!

– Zawsze zachowywałeś się tak, jakbyś był lepszy od nas, Brekker! – zawołał Seeger z piszczałką w ręce.

Kilka Szumowin potaknęło skinieniem głowy. Per Haskell zaklaskał zachęcająco.

To była szczerza prawda. Kaz zawsze trzymał wszystkich na dystans. Inni dopominali się o koleżeństwo, przyjaźń, a on nigdy nie zgadzał się brać udziału w ich grze. Grał sam. Może taka chwila prawdy była nieunikniona; Inej wiedziała przecież, że Kaz nie zamierzał w nieskończoność być tylko prawą ręką Haskella. Triumf w Lodowym Dworze powinien uczynić z niego króla Baryłki, lecz Van Eck odebrał mu ten honor. Szumowiny nie miały pojęcia o ostatnich niezwykłych dokonaniach Kaza, o wydartym Fjerdanom skarbie ani o wielkiej nagrodzie, która wciąż była w jego zasięgu. Stanął naprzeciw nich sam, chłopak bez sprzymierzeńców, mimo okrutnej reputacji – obcy dla większości z nich.

– Tu nie masz przyjaciół! – zawołał Bastian.

Anika i inni pod ścianą obruszyli się na te słowa. Pim pokręcił włochatym łbem i skrzyżował ramiona na piersi.

Kaz ledwo dostrzegalnie wzruszył jednym ramieniem.

– Nie szukam przyjaciół, tak jak nie szukam darmozjadów, tchórzy ani mięczaków, którym się wydaje, że coś im się od Baryłki należy za sam fakt, że żyją. Szukam zabójców. Twardzieli. Ludzi wiecznie nienasyconych. Ludzi takich jak ja. Bo taki właśnie jest mój gang. – Kaz ruszył w dół schodów, wybijając laską rytm kroków. – Nie zamierzam słuchać niczyich rozkazów.

– Nagroda należy do was, chłopaki! – zawołał Haskell.

Przez chwilę nic się nie działo i w sercu Inej zatliła się nadzieja, że nikt go nie posłucha i Szumowiny po prostu się zbuntują.

A potem runęli jak wezbrana fala.

Bastian i Seeger pierwsi wpadli na schody, chcąc jak najszybciej dopaść Brudnorękiego. Seeger, opity whisky, poruszał się wolno i ociężale, i kiedy obaj spotkali się z Kazem na trzecim odcinku schodów, byli całkiem bez tchu. Laska Kaza dwukrotnie zakreśliła ostry łuk w powietrzu i połamała kości w obu rękach Seegera. Zamiast wdawać się w walkę z Bastianem, Kaz prześliznął się obok niego; mimo niesprawnej nogi poruszał się upiornie szybko. Zanim Bastian zdołał się odwrócić, Kaz dźgnął go laską od tyłu w zgięcie kolana. Bastian wydał zdławiony krzyk i osunął się na ziemię.

Następny z pachółków Haskella już wybiegł Kazowi na spotkanie, osiłek zwany Czajnikiem ze względu na charakterystyczne poświstywanie, jakie wydawał nosem przy każdym oddechu. Wymierzony przez niego cios pałką ześliznął się po barku Kaza, który

najpierw zdążył zrobić unik, a potem zamachnął się laską i wronią główką trafił mięśniaka prosto w szczękę. Z ust Czajnika pofrunęły kawałki zębów.

Kaz nadal miał przewagę, ponieważ stał na górze schodów, przeciwników jednak z każdą chwilą przybywało i atakowali go w grupach. Varian i Swann dopadli podestu na półpiętrze, Rudy Felix deptał im po piętach, a Milo i Gorka nie pozostali daleko w tyle.

Inej odruchowo zacisnęła wargi, gdy Kaz oberwał w kaleką nogę, zachwiał się i ledwie zdążył odzyskać równowagę, żeby uniknąć uderzenia utrzymanym przez Variana łańcuchem. Łańcuch zdruzgotał balustradę dosłownie cal od głowy Kaza. Drzazgi zafurkotały w powietrzu, a on złapał łańcuch, pociągnął i wykorzystując rozpęd Variana, przerzucił go przez barierkę. Tłum na dole rozstał się przed spadającym na posadzkę zabijaką.

Swann i Rudy Felix zaszli go z dwóch stron. Felix złapał za poję płaszcz i szarpnął w tył, ale Kaz wyplątał się z ubrania jak magik wyslizgujący się z kaftana bezpieczeństwa podczas przedstawienia przy Wschodniej Klepce.

Swann wziął potężny zamach nabijanym gwoździami trzonkiem siekiery, zanim jednak uderzył, Kaz wyrznął go główką laski z boku w twarz. Nawet z tej odległości Inej wyraźnie widziała, jak strzaskana kość policzkowa zapada się i zamienia w krwawy krater.

Rudy Felix wyciągnął z kieszeni skarpetę z piaskiem i walnął Kaza w rękę. Uderzenie było nieporadne, ale wytrąciło Kazowi z dłoni laskę, która potoczyła się w dół schodów. Żuczek – chudy jak szczur i z twarzy też podobny do szczura – doskoczył do niej pierwszy i rzucił ją Haskellowi; odpowiedziały mu triumfalne okrzyki. Kaz wsparł się rękami o balustrady po bokach schodów i w wyskoku kopnął obiema nogami w pierś Feliksa. Rudy sturlał się ze schodów.

Straciwszy laskę, Kaz rozłożył szeroko ręce. Znów skojarzył się Inej z ulicznym magikiem. Zupełnie jakby ogłaszał: „Spójrzcie, nie mam żadnych asów w rękawach”.

Trzech następnych przeciwników przeskoczyło nad leżącym Feliksem i rzuciło się do ataku: Milo, Gorka i chudy Żuczek z tą swoją dziwnie szczurzą gębą i przetłuszczonymi włosami. Inej pozwoliła sobie na zamruganie. Przez ten czas Milo przyparł Kaza do ściany, tłukąc go niemiłosiernie po twarzy i żebrach. Kaz odchylił głowę do tyłu i wyrznął Milo z byka. Rozległ się obrzydliwy chrzęst, Milo zatoczył się w tył, a Kaz skorzystał z okazji i przeszedł do natarcia.

Było ich jednak zbyt wielu, a jemu zostały już tylko gołe pięści. Krew spływała mu po policzku, miał rozciętą wargę i zapuchnięte lewe oko. Poruszał się coraz wolniej.

Gorka dopadł go od tyłu i trzymał za gardło zgiętą w łokciu ręką. Kaz wyrznął go łokciem brzuch i się wyrwał. Skoczył naprzód, lecz Żuczek tylko na to czekał: złapał go za ramię i grzmotnął pałką w brzuch. Kaz zgiął się w pół, plując krwią, a wtedy Gorka grubym łańcuchem trafił go w skroń. Kaz przewrócił oczami, aż błysnęły białka, zachwiał się i upadł. Tłum na dole nie posiadał się ze szczęścia.

Niewiele myśląc, Inej ruszyła do ataku. Nie mogła się biernie przyglądać, jak Kaz umiera. Nie zamierzała do tego dopuścić. Dopadli go na ziemi, kopali ciężkimi buciorami,

deptali po całym cielem...

Już miała noże w dłoniach. Zabije ich wszystkich. Ułoży z ciał stos wysoki aż po dach i niech ich znajdzie *stadwachta*.

W tej samej chwili w szerokiej przerwie między balaskami poręczy mignęły jej oczy Kaza. Otwarte. Ich spojrzenia się spotkały.

Od początku wiedział, że ona tam jest. Jakżeby inaczej. Zawsze umiał ją znaleźć.

Ledwie dostrzegalnie pokręcił zakrwawioną głową.

Chciało się jej krzyczeć.

Niech diabli wezmą twoją dumę, Szumowiny i całe to przeklęte miasto!

Spróbował wstać, ale Żuczek kopniakiem znów powalił go na ziemię. Teraz wszyscy się śmiali. Gorka uniósł stopę i zawiesił ją nad głową Kaza, popisując się przed gawiedzią. Pim odwrócił wzrok; Anika i Keeg krzyczeli, żeby ktoś tamtych powstrzymał.

Gorka gwałtownym ruchem opuścił nogę... i zawył: to był przeraźliwy, piskliwy skowyt.

Kaz złapał go za but i wykręcił mu stopę w paskudny, nienaturalny sposób. Skacząc na jednej nodze, Gorka walczył o zachowanie równowagi, becząc rozpaczliwie w rytm podskoków. Milo i Żuczek kopali Kaza po żebrach, ale on pozostał niewzruszony. Z siłą, jaką Inej mogła sobie tylko wyobrazić, szarpnął stopę Gorke do góry i w bok. Kolano wyskoczyło ze stawu. Gorka wrzasnął i runął na bok, bełkocząc:

– Moja noga! Moja noga!

– Polecam laskę – odparł Kaz.

Inej widziała jednak tylko nóż w dłoniach Milo, długi i błyszczący, chyba najczystszy element jego stroju i wyposażenia.

– Nie zabijaj go, tępaku! – zagrzemiał Haskell, zapewne wciąż nęcony wizją nagrody.

Ale Milo już nie słuchał: zamachnął się nożem i pchnął, mierząc prosto w pierś Kaza.

Kaz w ostatniej chwili przeturlał się w bok i ostrze z głuchym łoskotem wbiło się w deski. Milo mocniej ujął nóż, żeby wyrwać go z drewna, lecz Kaz był w ciągłym ruchu. Inej mignęły dwa zardzewiałe gwoździe sterczące mu spomiędzy zaciśniętych w pięść palców jak dwa szpony; musiał je w jakiś sposób wyłuskać z którejs z prowizorycznych maczug.

Uderzył z dołu do góry. Trafił gwoździami w szyję Milo, prosto w tchawicę. Milo kwiknął cicho, zakrztusił się i upadł.

Chwyciwszy się barierki, Kaz dźwignął się na nogi. Żuczek zasłonił się obiema rękami, jakby nagle zapomniał, że wciąż ma pałkę, a Kaz jest bez broni. Kaz złapał go garścią za włosy, szarpnął mu głowę w tył i uderzył nią o poręcz. Rozległ się trzask jak huk wystrzału; głowa Żuczka odbiła się od balustrady jak gumowa piłka, zanim osunął się na podłogę.

Kaz przetarł twarz rękawem, rozmazując krew po czole i nosie. Splunął, poprawił rękawiczki i z wysokości drugiego podestu schodów z uśmiechem spojrzął na Pera Haskella. Zęby miał czerwone i wilgotne. Od początku walki tłum widzów wyraźnie zgęstniał. Kaz rozluźnił ramiona.

– Ktoś jeszcze? – zapytał, jakby miał za chwilę umówione spotkanie w innym miejscu. –

Kto do mnie przyjdzie?

Inej nie miała pojęcia, jak udaje mu się mówić tak spokojnie, bez drżenia głosu.

– Bo ja to właśnie robię całymi dniami: walczę – mówił dalej. – A kiedy ostatnio widzieliście, żeby Per Haskell dostał w maskę? Poszedł na robotę? Do licha, kiedy ostatni raz widzieliście, żeby przed południem wstał z wyra?

– Myślisz, że będziemy ci klaskać, bo jesteś odporny na ciosy? – zadrwił Haskell. – To nie naprawi szkód, jakie wyrządziłeś. Sprowadziłeś *stadwachtę* do Baryłki, uprowadziłeś syna kupca...

– Mówiłem ci już, że nie miałem z tym nic wspólnego – przerwał mu Kaz.

– Pekka Rollins mówi co innego.

– Dobrze wiedzieć, że prędzej posłuchasz Lwa za Dychę niż jednego ze swoich.

Niespokojny pomruk przeszedł po tłumie jak szelest liści poruszonych wiatrem. Gang był jak rodzina, a spajające go więzi w niczym nie ustępowały więzom krwi.

– Musisz być nienormalny, Brekker, żeby zadzierać z kupcem.

– Nienormalny, być może – zgodził się Kaz. – Ale na pewno nie głupi.

Szumowiny szeptały nerwowo między sobą, jakby dopiero teraz przyszło im do głowy, że zarzuty Van Ecka mogą być dęte. Bo też tak właśnie było. Van Eck był człowiekiem ze świecznika. Po co powszechnie szanowany kupiec miałby formułować takie oskarżenia pod adresem byle zbira, gdyby nie były prawdziwe? Tym bardziej że Kaz nieraz już udowodnił, że jest zdolny do wszystkiego.

– Widziano cię na Goedmedbridge w towarzystwie żony tego kupca – nie ustępował Haskell.

– Żony, nie syna. Żona wróciła zresztą bezpiecznie do domu i dziś siedzi obok swojego męża-złodzieja cała i zdrowa, robi skarpetki na drutach i gaworzy ze swoimi ptakami. Zastanów się, Haskell: na diabła mi kupiecki bachor?

– Przekupstwo, okup...

– Zadarłem z Van Eckiem, bo on wcześniej zadarł ze mną, a teraz wykorzystuje straż miejską, Pekkę Rollinsa i was wszystkich, żeby wyrównać rachunki. Tak to wygląda.

– Nie prosiłem się o te kłopoty, chłopcze. Nie prosiłem się o nie i ich nie chcę.

– Ale wszystko inne, co przynosiłem ci pod drzwi, podobało ci się. Gdyby nie ja, do dziś robiłbyś te swoje groszowe przekręty i popijał rozwodnioną whisky, a te ściany waliłyby ci się na głowę. Przyjąłeś każde oferowane przeze mnie *kruge* i każdy okruch fartu; zgarniałeś zyski z Piątej Przystani i Klubu Wron, jakby ci się należały, a na mnie zwałałeś walki i brudną robotę. – Kaz prześliznął się nieśpiesznym spojrzeniem po zebranych na dole Szumowinach. – Wszyscy czerpaliście z tego korzyści, zgarnialiście profity, po czym przy pierwszej okazji zaczęliście się łąsić do Pekki Rollinsa, żeby tylko założyć mi stryczek na szyję. – Kolejny niespokojny szmer wśród widzów. – Ale ja się nie złoszczę.

Ze dwadzieścioro Szumowin patrzyło na Kaza, wszyscy uzbrojeni po zęby, a mimo to Inej dałaby sobie głowę uciąć, że w tej chwili odetchnęli z ulgą. I wtedy zrozumiała: walka była zaledwie wstępem do przedstawienia. Wszyscy wiedzieli, że Kaz jest twardy, nie

musiał im tego udowadniać. Chodziło mu o coś innego. Gdyby chciał stanąć na czele buntu przeciw Haskellowi, musiałby spotkać się z członkami gangu po kolei, na osobności, tracąc na to czas i ryzykując aresztowanie na ulicach Baryłki. Teraz zaś miał publiczność, a Per Haskell nie miał nic przeciwko małemu widowisku: odrobina rozrywki, dramatyczny koniec Kaza Brekkera... „Brudnoręki upokorzony”, to byłby tytuł! Tyle że to nie była tania komedyjka, lecz krwawy rytuał, i kiedy Per Haskell zwoływał wiernych, nie zdawał sobie sprawy, że prawdziwy spektakl dopiero się rozpocznie. A teraz Kaz wszedł na ambonę: ranny, poobijany i gotowy wygłosić kazanie.

– Nie złość się – powtórzył. – W każdym razie nie o to. Bo wiecie, co naprawdę mnie wkurza? Co doprowadza mnie do białej gorączki? Widok Wrony, która słucha rozkazów Lwa za Dychę. Widok was, którzy paradujecie ramię w ramię z Pekką Rollinsem, jakby to miał być powód do dumy. Jeden z najgroźniejszych gangów w Baryłce mięknie jak lodyżka świeżo ściętej lilii.

– Rollins ma władzę, chłopcze – odparł Per Haskell. – Ma siły i środki. Pogadamy, kiedy pożyczysz jeszcze trochę. Mam obowiązek dbać o swoich ludzi i to właśnie robię. Chronię ich przed twoją brawurą.

– Myślisz, że jesteś bezpieczny, bo podlizujesz się Rollinsowi? Myślisz, że on będzie przestrzegał rozejmu? Że nie zapragnie wszystkiego, co masz? Tak go postrzegasz?

– Nie, do diabła! – odezwała się Anika.

– Kogo chcielibyście widzieć tu, w tych drzwiach, kiedy lew zgłodnieje? Wronę? Czy wyleniałego koguta, który najpierw głośno pieje i przechadza się dumnym krokiem, a zaraz potem ramię w ramię z Lwem za Dychę i jakimś przeklętym kupcem staje przeciwko swoim?

Z góry Inej dobrze widziała, że ludzie stojący najbliżej Haskella leciutko się od niego odsuwają. Niektórzy mierzyli niechętnym spojrzeniem jego samego, pióro w jego kapeluszu i laski trzymane w dłoniach – tę, którą Kaz posługiwał się z zabójczą precyzją, i jej nędzną podróbkę, za pomocą której Haskell próbował z niego zadrwić.

– W Baryłce nikt nie mówi o bezpieczeństwie – ciągnął Kaz. Jego żarliwy, chropowaty głos niósł się nad głowami tłumu. – Liczą się tylko siła i słabość. O szacunek się nie prosi; trzeba sobie na niego zasłużyć.

„O przebaczenie się nie prosi, Kaz. Trzeba na nie zasłużyć”.

Podkradł jej tekst. Niewiele zabrakło, żeby się uśmiechnęła.

– Nie jestem waszym przyjacielem – mówił tymczasem Kaz. – Nie jestem waszym ojcem. Nie poczęstuję was whisky, nie poklepię po plecach, nie nazwę swoimi synami, ale zapewnię wam pełne kieszenie i dopilnuję, żeby wrogowie się was bali i uciekali na widok tego tatuażu na waszych rękach. Kogo więc chcecie zobaczyć w progu, kiedy Pekka Rollins wpadnie z wizytą?

Cisza nabrzmiewała jak kleszcz karmiący się nadzieją na rozlew krwi.

– No? – wypalił Per Haskell, przęcąc pierś. – Odpowiedzcie mu! Wolicie prawowitego przywódcę, czy jakiegoś napuszonego kalekę, który nie jest nawet w stanie prosto chodzić?

– Może i nie chodzę prosto – przyznał Kaz – ale przynajmniej nie unikam walki.

I zaczął schodzić po schodach.

Varian pozbierał się już po upadku i chociaż ledwie trzymał się na nogach, ruszył w stronę schodów. Inej podziwiała jego lojalność wobec Haskella.

Pim odepchnął się od ściany i zastąpił mu drogę.

– Ty już jesteś skończony – powiedział.

– Zbierz ludzi Rollinsa! – polecił Haskell Varianowi. – Ogłoś alarm!

Anika wyjęła długi nóż i zagroziła drogę do wyjścia.

– Jesteś Lwem za Dychę? – zapytała. – Czy Szumowiną?

Kaz powoli pokonał ostatni odcinek schodów; kulał mocniej niż zwykle, ale trzymał się prosto, mocno wspierając się na poręczy. Kiedy zszedł na sam dół, tłum się przed nim rozstąpił.

Pokryta szpakowatym zarostem twarz Haskella poczerwieniała ze strachu i wzburzenia.

– Nie dasz rady, chłopcze. Za słaby jesteś na Pekkę Rollinsa.

Kaz wyrwał mu swoją laskę z ręki.

– Daję ci dwie minuty na opuszczenie mojego domu, staruszku. To miasto każe sobie płacić krwią, a ja chętnie przeleję twoją.



Jesper pierwszy raz widział Kaza tak pokiereszowanego: złamany nos, rozcięta warga, zapuchnięte oko. W dodatku trzymał się za bok w sposób, który sugerował złamanie co najmniej jednego zębra, a kiedy zakaszłał w chusteczkę, Jesperowi mignęła czerwien na białej tkaninie, zanim Kaz zdążył schować chusteczkę do kieszeni. Kulał gorzej niż kiedykolwiek przedtem, chociaż przynajmniej stał o własnych siłach.

Towarzyszili mu Anika i Pim; zostawili w Listewce skromną, lecz silnie uzbrojoną obsadę, na wypadek gdyby Pekka dowiedział się o urządzonym przez Kaza przewrocie i próbował przejąć teren.

– Na wszystkich świętych! – odezwał się Jesper. – Domyślam się, że wszystko poszło zgodnie z planem?

– Mniej więcej tak, jak się spodziewałem.

Matthias pokręcił głową. Na jego twarzy podziw mieszał się z niedowierzaniem.

– Ile ty masz żyć, *demjin*?

– Mam nadzieję, że jeszcze jedno.

Kaz zrzucił płaszcz i oparłszy się o umywalkę w łazience, z wysiłkiem zdarł z siebie koszulę.

– Na miłość świętych, daj, pomogę ci – zaproponowała Nina.

Kaz chwycił w zęby jeden koniec bandaża i oderwał kawałek.

– Nie potrzebuję twojej pomocy. Wracaj do pracy z Colmem.

– Co go ugryzło? – mruknęła Nina, gdy wrócili do pokoju gościnnego, gdzie przepytawali Colma z jego fałszywej biografii.

– To co zawsze – odparł Jesper. – Jest Kazem Brekkerem.



Nieco ponad godzinę później Inej wśliznęła się dyskretnie do pokoju i wręczyła Kazowi

liścik. Było późne popołudnie, okna apartamentu płonęły miękkim złocistym blaskiem.

– Przyjdą? – spytała Nina.

Inej skinęła głową.

– Przekazałam twój list wartownikowi przy drzwiach. To załatwiło sprawę: od razu zaprowadzili mnie przed oblicze Triumwiratu.

– Z kim się spotkałeś? – zapytał Kaz.

– Z Genyą Safin i Zoyą Nazyalensky.

Wylan prawie poderwał się z krzesła.

– Formatorka jest w ambasadzie?!

Kaz uniósł brwi.

– W swojej relacji pominęłaś ten nadzwyczaj interesujący fakt, Nino.

– Nie był wtedy istotny.

– Ale teraz jest! – rozzłościł się Wylan.

Jesper był zaskoczony. Początkowo Wylan nie miał nic przeciwko noszeniu twarzy Kuweia, ba, poniekąd wręcz cieszył się, że w ten sposób jeszcze wyraźniej odcina się od ojca. Oczywiście to było przed Świętą Hildą. I przed tym, jak Jesper pocałował Kuweia.

Nina wzdrygnęła się lekko.

– Myślałam, że popłyniesz z nami do Ravki, Wylanie. Wtedy spotkałbyś się z Genyą na statku.

– Wszyscy wiemy, co myśleć o lojalności Niny – zauważył Kaz.

– Nie powiedziałam Triumwiratowi o Kuweiu.

– To właśnie miałem na myśli. – Kaz uśmiechnął się półgębkiem i zwrócił do Inej: – Przedstawiłaś nasze warunki?

– Tak. Za godzinę w łaźni hotelowej. Kazałam im dopilnować, żeby nikt ich nie śledził.

– Oby dały sobie z tym radę.

– Rządzą całym krajem – wtrąciła Nina. – Wypełnienie paru prostych poleceń na pewno ich nie przerośnie.

– Będą bezpieczne na ulicach? – zaniepokoił się Wylan.

– Ze wszystkich griszów w Ketterdamie im chyba naprawdę nic nie grozi – odparł Kaz.

– Nawet jeśli Shu Han planuje wznowienie polowań, nie zaczną od namierzania dwóch wysoko postawionych ravkańskich dyplomatek. Nino? Czy Genya potrafiłaby odtworzyć dawną twarz Wylana?

– Nie wiem – przyznała Nina. – Nie bez kozery nazywa się ją Pierwszą Formatorką, z pewnością jest najbardziej utalentowana, ale bez *parem*...

Nie musiała dalej mówić. Tylko dzięki *parem* zdołała doprowadzić do cudownej przemiany Wylana w Kuweia. Z drugiej strony Genya Safin była żywą legendą. Wszystko było możliwe.

– Kaz? – zagadnął Wylan, skubiąc rąbek koszuli. – Gdyby zechciała spróbować...

Kaz skinął głową.

– Do czasu aukcji powinieneś zachować wzmożoną ostrożność. Twój ojciec nie chciałby, żebyś popsuł mu przewał, jaki przyszykował dla Rady Kupieckiej i *stadwachty*. Lepiej

byłoby zaczekać...

– Nie – przerwał mu Wylan. – Mam dość bycia kimś innym.

Kaz wzruszył ramionami, chociaż Jesper nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dostał dokładnie to, na czym mu zależało. Tak się szczęśliwie złożyło, że w tym wypadku Wylanowi chodziło o to samo.

– W łaźni nie będzie innych gości? – zaniepokoił się Jesper.

– Kazałam ją zarezerwować w całości dla pana Rietvelda – wyjaśniła Nina. – Czuje się nadzwyczaj niezręcznie, kiedy musi się rozbierać publicznie.

– Proszę cię, nie mów o moim ojcu bez ubrania – jęknął Jesper.

– Błona pławna między palcami stóp... To musi być krępujące.

– Nina i Matthias zostaną tutaj – zarządził Kaz.

– Powinnam być przy tej rozmowie – zaprotestowała Nina.

– Jesteś Ravkanką czy Wroną?

– Jednym i drugim.

– Otóż to. Rozmowy i tak będą trudne, a wasza obecność dodatkowo by je skomplikowała.

Przepychanki trwały jeszcze jakiś czas, ale ostatecznie Nina zgodziła się ustąpić – pod warunkiem, że Inej pójdzie zamiast niej.

Inej pokręciła głową.

– Wolałabym tego nie robić.

– Dlaczego? – zdumiała się Nina. – Ktoś musi pilnować Kaza.

– I twoim zdaniem ja jestem do tego odpowiednią osobą?

– Powinniśmy przynajmniej spróbować.

– Kocham cię, Nino, ale ravkański rząd źle traktuje Sulijczyków. Nie mam ochoty na wymianę uprzejmości z waszą wierchuszką.

Jesperowi wcześniej nie przyszło to do głowy, ale sądząc po wyrazie twarzy Niny, ona również się do tego nie paliła.

Inej objęła przyjaciółkę.

– Chodź – powiedziała – poprosimy Colma, żeby zamówił nam jakąś dekadenczką przekąskę.

– To twoja uniwersalna odpowiedź na wszystko.

– Nie podoba ci się?

– Przeciwnie. To jeden z powodów, dla których cię ubóstwiam.

Wzięły się pod rękę i poszły porozmawiać z Colmem, chociaż Nina cały czas przygryzała niepewnie dolną wargę. Na pewno przywykła już, że Matthias regularnie krytykuje jej ojczyznę, ale krytyka z ust Inej musiała ją zaboлеć. Jesper chciał jej wytłumaczyć, że można coś kochać i jednocześnie dostrzegać wady tego czegoś. Taką przynajmniej miał nadzieję, bo jeśli się mylił, to miał przerąbane.

Rozdzielili się, szykując się do spotkania z ravkańską delegacją. Jesper wyszedł za Wylanem na korytarz.

– Zaczekaj...

Wylan się nie zatrzymał.

Jesper przyśpieszył kroku, zastąpił mu drogę i zwrócony twarzą do niego szedł tyłem.

– Posłuchaj, to z Kuweiem to nie było nic poważnego – powiedział.

Źle to wyszło. Jeszcze raz.

– To z Kuweiem to w ogóle nic nie było.

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć. To ja wam przeszkodziłem.

– Wcale nam nie przeszkodziłeś! Kuwei siedział przy fortepianie, łatwo było o pomyłkę.

Wylan stanął jak wryty.

– Pomyliłeś go... ze mną?

– No właśnie! – wykrzyknął Jesper. – Teraz rozumiesz? To była jedna wielka pomy...

– Naprawdę nie potrafisz nas rozróżnić? – spytał Wylan z błyskiem w oku.

– To znaczy... zwykle potrafię, ale...

– Wcale nie jesteśmy do siebie podobni – odparł urażony Wylan. – On się w ogóle nie zna na nauce, te jego notesy są pełne jakichś... bazgrołów, głównie przedstawiających ciebie. Ale nawet one są kiepskie.

– Naprawdę? Kuwei mnie rysuje?

– Nieważne. – Wylan przewrócił oczami. – Możesz całować, kogo chcesz.

– To właśnie robię. Przy każdej sposobności.

– No to w czym problem?

– Nie ma problemu. Chciałem ci tylko to dać. – Jesper włożył w dłoń Wylana małą owalny obrazek. – Zabrałem go ze Świętej Hildy. Pomyślałem, że może się przydać, jeśli Genya ma ci zwrócić dawną twarz kupczyka.

Wylan wytrzeszczył oczy.

– Moja matka to namalowała?

– Wziąłem go z tego pokoju pełnego obrazów.

Mały nieoprawiony obrazek bronił się tylko jako miniatura, a przedstawiał Wylana w wieku około ośmiu lat. Wylan zacisnął na nim dłoń.

– Tak mnie zapamiętała. Nie widziała, jak dorastam. – Zmarszczył brwi. – Stara ta podobizna, nie wiem, czy się nada.

– Przecież to cały ty – zaoponował Jesper. – Te same loczki, ta sama stroskana zmarszczka pomiędzy brwiami...

– I zabrałeś go stamtąd, bo pomyślałeś, że może mi się przydać?

– Nie, już ci mówiłem: po prostu podoba mi się twoje niemądra gęba.

Wylan pochylił głowę i schował obrazek do kieszeni.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Jesper zawiesił głos. – Idziesz do łaźni? Bo jeśli tak, to mógłbym pójść z tobą. Jeśli chcesz.

Wylan nerwowo pokiwał głową.

– Byłoby miło – przytaknął.

Nowo nabyty entuzjazm Jespera przetrwał tylko do windy, gdzie spotkali Kaza i razem zjechali na drugie piętro. Potem znów zaczęły się nerwy – było bardzo prawdopodobne, że

pakują się prosto w pułapkę, a Kaz nie był w szczytowej formie.

Jakaś jego cząstka żywiła nadzieję, że Ravkańczycy nie przystaną na ich szalony plan; Kaz znalazłby się w kropce i nawet gdyby wszyscy wylądowali ostatecznie we Wrotach Piekieł albo zadyndali na stryczku, przynajmniej ojciec Jespera miałby szansę uciec. Colm spędził wiele godzin z Niną i Kazem – uczył się swojej roli, analizował różne scenariusze, bez słowa skargi znosił niekończące się pytania i sugestie. Nie był wybitnym aktorem, kłamstwo przychodziło mu równie naturalnie jak Jesperowi taniec w balecie, ale Nina miała mu cały czas towarzyszyć. Lepsze to niż nic.

Drzwi windy się otworzyły i wyszli na kolejny obszerny biało-fioletowy korytarz, skąd, kierując się szumem wody, trafili do sali, której środek zajmował duży okrągły basen otokony kolumnadą. Pomiedzy kolumnami prześwitywały znajdujące się nieco dalej kolejne oczka wodne i wodospady, zatoczki i wnęki. Wszystkie powierzchnie wyłożono lśniącymi płytkami w odcieniu indygo.

No, to było coś, do czego Jesper mógłby się przyzwyczaić: parujące sadzawki, fontanny tańczące i szemrzące jak goście na przyjęciu, stosy puchatych ręczników i słodko pachnących mydełek. Takie miejsce powinno znajdować się w Baryłce, gdzie umiano by je należycie docenić, a nie w centrum dzielnicy finansowej.

Spodziewali się, że w spotkaniu wezmą udział tylko dwie członkinie Triumwiratu, tymczasem przy basenie czekały trzy osoby. Jesper domyślał się, że jednooka dziewczyna w czerwono-niebieskiej *kefcie* to Genya Safin. W takim razie nieziemsko piękna dziewczyna o gęstych kruczoczarnych włosach musiała być Zoyą Nazyalensky. Towarzyszył im dwudziestoparoletni mężczyzna o lisiej twarzy, ubrany w turkusowy surdut i brązowe skórzane rękawiczki, z przypasaną parą imponujących nowoziemskich rewolwerów.

Jeżeli Ravkę zamieszkiwali tacy ludzie, to Jesper powinien chyba poważnie rozważyć wizytę w tym kraju.

– Kazaliśmy griszom przyjść bez obstawy – zaczął Kaz.

– Przykro mi, ale to nie wchodziło w grę – odparł mężczyzna. – Zoya potrafi wprawdzie o siebie zadbać, ale niezwykle talenty Genyi nie predestynują jej do konfrontacji o charakterze siłowym. Co innego ja: świetnie sprawdzam się we wszelkich konfrontacjach, a szczególnie upodobałem sobie właśnie te siłowe.

Kaz zmrużył oczy.

– Sturmhond.

– On mnie zna! – Zachwycony Sturmhond szturchnął Genyę łokciem. – Mówiłem ci, że jestem sławny.

Zoya sapnęła z irytacją.

– Piękne dzięki – mruknęła. – Teraz będzie dwa razy bardziej nieznośny.

– Sturmhond został upoważniony do prowadzenia negocjacji w imieniu ravkańskiej korony – wyjaśniła Genya.

– Pirat? – spytał Jesper z niedowierzaniem.

– Korsarz – poprawił go Sturmhond. – Nie spodziewaliście się chyba, że król osobiście

weźmie udział w takiej aukcji.

– Dlaczego nie?

– Dlatego że mógłby przegrać. A to źle wygląda, kiedy król przegrywa.

Jesper wciąż nie mógł uwierzyć, że oto rozmawia z żywą legendą. Sturmhond w imieniu Ravki przełamał niejedną blokadę, a na dodatek podobno...

– Naprawdę masz latający statek? – wypalił Jesper.

– Nie.

– Aha.

– Mam ich kilka.

– Zabierz mnie ze sobą.

Kaz nie był ubawiony. Ani trochę.

– Ravkański król często upoważnia cię do negocjacji w sprawach wagi państwowej? – spytał z powątpiewaniem.

– Czasami. Zwłaszcza gdy po drugiej stronie stoją osoby wątpliwej konduity. Cieszy się pan specyficzną reputacją, panie Brekker.

– Ty też.

– Fakt. Zgódźmy się więc, że obaj zapracowaliśmy na to, żeby nasze nazwiska przewijały się w najgorszych kręgach. Król nie zamierza na oślep wciągać Ravki w jedną z pańskich intryg. Z listu Niny wynika, że macie Kuweia Yul-Bo. Chcę dostać potwierdzenie tego faktu oraz poznać szczegóły planu.

– Dobrze – zgodził się Kaz. – Wyjdźmy do solarium. Nie lubię się pocić bez potrzeby.

Kiedy wszyscy ruszyli za nimi, przystanął i obejrzał się przez ramię.

– Tylko my dwaj – zastrzegł.

– Należymy do Triumwiratu. – Zoya odrzuciła w tył imponującą grzywę czarnych włosów. – Nie przyjmujemy rozkazów od kercheńskich szczurów kanałowych z kiepską fryzurą.

– Mogę przedstawić mój rozkaz w formie pytającej, jeżeli miałyby cię to ugłaskać.

– Ty bezczelny...

– Zoyu – wtrącił się Sturmhond. – Nie zrażajmy do siebie naszych nowych przyjaciół, dopóki nie mieli nawet szansy nas okantować. Proszę przodem, panie Brekker.

– Kaz? – odezwał się Wylan. – Nie mógłbyś...

– Sam negocjuj w swojej sprawie, kupczyku. Najwyższy czas, żebyś się tego nauczył.

I Kaz ze Sturmhondem zniknęli w labiryncie korytarzy.

Ich kroki ucichły w oddali i w łaźni zapanowała cisza. Kiedy Wylan odchrząknął, dźwięk szalał wśród niebieskich kafelków jak wiosenny żrebak puszczonego wolno w zagrodzie dla koni.

Genya obserwowała go w zadumie.

Zoya skrzyżowała ramiona na piersi.

– O co chodzi?

– Szanowna pani... – zaczął Wylan. – Panno Genyu...

Genya się uśmiechnęła; blizna deformowała jej kącik ust.

– Ależ on jest słodki.

– Zawsze lubiłaś przybłądy – zauważyła Zoya.

– To ty jesteś tym chłopcem, którego Nina przeformowała na podobieństwo Kuweia – domyśliła się Genya. – I teraz chciałabyś, żebyś cofnęła efekty jej pracy?

– Tak. – To jedno słowo Wylana zawierało w sobie wszelką nadzieję świata. – Nie mam jednak niczego, co mógłbym zaproponować w zamian.

Genya wzniosła bursztynowe oko ku niebu.

– Dlaczego ci Kercheni są tacy zafiksowani na pieniądzach?

– Powiedziała kobieta z kraju, który właśnie zbankrutował – mruknął Jesper.

– Że co, proszę? – warknęła Zoya.

– Nie, nic – zmitygował się Jesper. – Powiedziałem tylko, że Kerch to bankrut moralny.

Zoya zmierzyła go od stóp do głów takim spojrzeniem, jakby zastanawiała się nad wrzuceniem go do basenu i ugotowaniem żywcem.

– Jeżeli chcesz tracić czas i talent na tych nędzników, proszę cię bardzo – powiedziała, zwracając się do Genyi. – Bo, jak świętych kocham, niejedno można by w nich poprawić.

– Zoyu...

– Ja znajdę sobie jakiś zaciemniony pokój z głębokim basenem i spróbuję zmyć z siebie chociaż odrobinę tego kraju.

– Tylko się nie utop! – zawołała za nią Genya i dodała, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu: – Może właśnie to zrobi, z czystej przekory. – Otaksowała Wylana wzrokiem. – To będzie trudne – uprzedziła. – Gdybym wiedziała, jak wyglądałeś przed tymi zmianami...

– Proszę – przerwał jej z zapalem Wylan i wyciągnął rękę. – Mam swój portret, stary, ale...

Genya wzięła od niego miniaturę.

– I jeszcze to.

Wylan podał jej plakat ze swoim wizerunkiem, który ojciec kazał opublikować, wyznaczony nagrodę za bezpieczne odstawienie go do domu.

– Hmm... Poszukajmy miejsca z lepszym światłem.

Błądząc po łaźni, zaglądali do pokoi przeznaczonych na kąpiele błotne i mleczne, trafili nawet do ogrzewanej sali w całości wyłożonej jadeitem, w końcu zdecydowali się na chłodny biały pokój, w którym pod jedną ścianą stała wanna wypełniona dziwnie pachnącą gliną, a całą ścianę naprzeciwko zajmowały okna.

– Znajdźcie jakieś krzesło – poleciła Genya – i przynieście mój kuferek. Zostawiłam go przy basenie w głównej sali, przy ręcznikach. Tylko uprzedzam, jest ciężki.

– Zabarałaś swój przyborek? – spytał Wylan.

– Na prośbę tej Sulijki – odparła Genya i ponagliła ich obu do wyjścia.

– Jest tak samo zarozumiała jak Zoya – poskarżył się Jesper, kiedy znaleźli się z Wylanem sami.

– Ale słuch mam lepszy! – dobiegło zza ich pleców.

Jesper zabrał kuferek znad basenu; wyglądał jak przenośna szafka opatrzona dwójgim drzwiami zamykanych ozdobną złotą klamrą. Kiedy wrócili, Genya kazała Wylanowi usiąść

przy oknie, gdzie było najjaśniej, po czym ujęła go dwoma palcami pod brodę i poczęła odwracać jego twarz to w jedną, to w drugą stronę.

Jesper postawił kuferek na ziemi.

– Czego tak wypatrujesz? – zapytał.

– Szwów.

– Szwów?

– Nawet najlepsza formatorska robota zostawia ślady: z bliska można dostrzec miejsca, w których kończy się oryginał i zaczyna modyfikacja. Szukam śladów pierwotnej struktury. Portret mi w tym pomaga.

– Nie wiem, dlaczego tak się denerwuję – przyznał Wylan.

– Pewnie dlatego, że jeśli coś nie wyjdzie, będziesz wyglądał jak łasica z loczkami – odparł Jesper.

Genya uniosła brew koloru ognia.

– Prędzej nornik.

– To nie jest zabawne. – Wylan tak mocno zaciskał spoczywające na kolanach pięści, że knykcie zaczęły przypominać białe gwiazdki.

– No dobrze – powiedziała Genya. – Spróbuję, ale nie mogę niczego obiecać. Robota Niny jest prawie bezbłędna. Na szczęście moja również.

– Nawet jesteś do niej podobna – przyznał z uśmiechem Jesper.

– Chciałeś chyba powiedzieć, że to ona jest podobna do mnie – odparowała Genya.

Zaczęła wypakowywać swoje rekwizyty, znacznie bardziej wyrafinowane od tych używanych przez Ninę. Znajdowały się wśród nich kapsułki z farbą, słoiki z kolorowymi proszkami i całe stojaki szklanych pojemników z czymś, co wyglądało jak bezbarwny żel.

– To komórki – wyjaśniła Genya. – Do takiej roboty muszę użyć ludzkiej tkanki.

– I to zupełnie nie jest obrzydliwe – mruknął Jesper. – Nic a nic.

– Mogło być gorzej. Znałam kiedyś kobietę, która rozsmarowała sobie na twarzy wielorybie łożysko, żeby się odmłodzić. Nie wspomnę już, co robiła z małpią śliną...

– W porównaniu z tym ludzka tkanka brzmi rewelacyjnie – przyznał Jesper.

– Otóż to.

Genya zakasała rękawy i Jesper stwierdził, że blizny szpecące jej twarz obejmują też ramiona i sięgają dłoni. Nawet nie próbował sobie wyobrazić, jaka broń mogła spowodować takie deformacje.

– Nie gap się – upomniała go Genya, wcale na niego nie patrząc.

Jesper aż podskoczył.

– Przepraszam – bąknął czerwony jak burak.

– Nie szkodzi. Ludzie lubią patrzeć... Chociaż nie zawsze. Kiedy pierwszy raz zostałam zaatakowana, nikt nie chciał na mnie spojrzeć.

Jesper słyszał, że torturowano ją podczas wojny domowej w Ravce, ale o takich rzeczach nie da się spokojnie rozmawiać.

– Teraz nie wiem, gdzie oczy podziać – przyznał.

– Gdzie chcesz. Przede wszystkim bądź cicho, żebym z chłopaka nie zrobiła jakiegoś

monstrum. – Na widok zgrozy malującej się na twarzy Wylana Genya parsknęła śmiechem. – Żartowałam. Ale nie ruszaj się, to musi potrwać. Bądź cierpliwy.

Rzeczywiście, praca postępowała tak powoli, że Jesper miał wątpliwości, czy w ogóle cokolwiek się zmienia. Genya przykładła palce pod oczy Wylana albo kładła mu je na powiekach, cofała się o krok i oceniała swoje dzieło, chociaż zdaniem Jespera nie było czego oceniać. Następnie brała do ręki któryś z pojemników albo jakąś buteleczkę, nanosiła odrobinę zawartości na czubki palców, znów dotykała twarzy Wylana i znów się odsuwała. Jesper nie był w stanie się skupić: przeszedł się po pokoju, zanurzył palec w wannie z gliną, pożałował tego pomysłu, poszedł szukać ręcznika... Kiedy jednak spojrzął na Wylana z pewnej odległości, dostrzegł, że coś się zmieniło.

– To działa! – wykrzyknął.

Genya obrzuciła go beznamiętnym spojrzeniem.

– Oczywiście, że działa.

Od czasu do czasu przerywała pracę, żeby rozluźnić mięśnie i podsunąć lusterko Wylanowi, który informował ją wówczas, co wyszło dobrze, a co trochę gorzej. Po godzinie jego oczy zmieniły kształt, a także kolor – ze złotego na niebieski.

– Powinien mieć węższe czoło – powiedział Jesper, zerkając Genyi przez ramię. – Odrobinę. I dłuższe rzęsy.

– Nie wiedziałem, że tak mi się przyglądałeś – mruknął Wylan.

– Jeszcze jak – odparł Jesper, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Zarumienił się – zauważyła Genya. – Świetnie. To poprawia krążenie krwi.

– Szkolicie w Małym Pałacu fabrykatorów? – zainteresował się Wylan.

Jesper się nachmurzył. Po co on o to pyta?

– Naturalnie. Przy pałacu jest szkoła.

– A gdyby uczeń był starszy? – naciskał Wylan. – Za stary do szkoły?

– Griszę można wyszkolić w każdym wieku – odparła Genya. – Alina Starkov odkryła swoją moc dopiero w wieku siedemnastu lat, a była... była jednym z najpotężniejszych griszów w historii. – Ścisnęła lewe nozdrze Wylana. – Młodemu jest łatwiej, ale młodemu ze wszystkim jest łatwiej. Dzieci szybciej uczą się języków, szybciej opanowują matematykę...

– I niczego się nie boją – dodał półgłosem Wylan. – Dopiero dorośli wskazują im ich ograniczenia. – Ponad ramieniem Genyi spojrzął Jesperowi w oczy i rzucił wyzywająco: – Ja nie umiem czytać.

Głos mu nie zadrżał, tylko skórę pokryły szkarłatne plamy.

Genya wzruszyła ramionami.

– Tylko dlatego, że nikt nie poświęcił czasu, żeby cię tego nauczyć. W Ravce wielu chłopów nie umie czytać.

– Wielu ludzi próbowało mnie uczyć, stosowali najróżniejsze metody... Sposobności miałem aż nadto. Po prostu tego nie potrafię.

Na twarzy Wylana malował się niepokój; wypowiedzenie tych słów dużo go kosztowało. Słuchając ich, Jesper czuł się jak tchórz.

– Wcale nie najgorzej sobie bez tego radzisz – zauważyła Genya. – Jeśli pominać bliskie związki z ulicznymi zabijakami i snajperami.

Wylan uniósł brwi. Jesper miał świadomość, że w ten sposób próbuje go sprowokować do zabrania głosu, lecz mimo to milczał.

„To nie jest dar”, powiedział ojciec. „To przekleństwo”.

Jesper wrócił do okna, nagle bez reszty zafascynowany scenami rozgrywającymi się na ulicach.

„To właśnie zabiło twoją matkę, rozumiesz?”.

Genya na przemian pracowała i podstawiała Wylanowi lusterko, żeby pilotował ją podczas kolejnych modyfikacji. Jesper jeszcze chwilę się poprzyglądał, potem zajął się herbatą, a Wylanowi kawę. Kiedy wrócił do pokoju z wanną pełną gliny, omal nie wypuścił kubków z rąk.

W dogasającym świetle dnia siedział Wylan, prawdziwy Wylan, ten sam, którego pierwszy raz zobaczył w garbarni, zagubione książątka, które przez przypadek obudziło się w niewłaściwej bajce.

– I jak? – spytała Genya.

Wylan nerwowo bawił się guzikami koszuli.

– To on – orzekł Jesper. – To nasz zbiegły młodzieńczy kupczyk.

Genya przeciągnęła się i odparła:

– Cieszę się, bo gdyby przyszło mi jeszcze przez chwilę wachać tę glinę, chyba bym dostała szału. – Było widać, że jest zmęczona, ale twarz jej promieniała, a bursztynowe oko błyszczało entuzjastycznie. Tak właśnie wyglądali griszowie, kiedy używali swojej mocy. – Najlepiej byłoby ocenić efekt jeszcze raz jutro rano, ale na razie muszę wrócić do ambasady, a jutro...

Wzruszyła ramionami.

Jutro zostanie ogłoszona aukcja i wszystko się zmieni.

Wylan zaczął dziękować Genyi i dziękował jej tak długo, aż wypchnęła ich obu za drzwi, a sama udała się na poszukiwanie Zoi.

W milczeniu wsiedli do windy i wrócili do apartamentu. Zajrzawszy do sypialni, Jesper stwierdził, że ojciec zasnął na przykrytym kapą łóżku; jego pierś wibrowała w rytm basowego pochrapywania. Obok wały się rozrzucone papiery. Jesper poskładał je w schludny stos: cenniki *jurdy* i spis podmiejskich farm w Nowoziemiu według powierzchni uprawnej.

„Nie musisz po nas sprzątać, tatku”.

„Ktoś musi”.

W salonie Wylan zajął się zapalaniem lamp.

– Głodny?

– Jak wilk – przytaknął Jesper. – Ale tatko śpi, a nie jestem pewien, czy my powinniśmy zamawiać jedzenie do pokoju. – Przekrzywił głowę, przyglądając się Wylanowi. – Poprosiłeś ją, żeby cię upiękusiła?

Wylan pokraśniał.

– Po prostu zapomniałeś, jaki jestem przystojny – odparł.

Jesper uniósł brwi.

– No dobrze, może troszeczkę poprosiłem – przyznał Wylan.

Razem stanęli przy oknie z widokiem na miasto. Zapadał zmierzch i nad kanałami zapalały się równe szeregi ulicznych latarni. Patrole *stadwachty* przemierzały ulice, obie Klepki znów były rozświetlone i rozbrzmiewały zgiełkiem.

Jak długo będą tu bezpieczni? Jesper zastanawiał się, czy kherguudowie znów tropią griszów w mieście i szukają domów, z którymi wiązały ich kontrakty. Może wojsko Shu Hanu już otacza ambasadę? Albo hotel? Zwietrzą griszę piętnaście pięter wyżej?

Nad Klepkami regularnie wybuchały fajerwerki. Jesper nie był zaskoczony. Znał Baryłkę, wiecznie głodną, stale pragnącą czegoś więcej: pieniędzy, przemocy, żądy, krwawych jatek. Była żarłokiem, a Pekka Rollins właśnie podawał jej Kaza i jego ekipę na srebrnej tacy.

– Wiem, co próbowałeś uzyskać – powiedział. – Nie musiałeś się przyznawać, że nie umiesz czytać.

Wylan wyjął z kieszeni swój miniaturowy portret i postawił go na stoliku. Poważne niebieskie oczy młodego Wylana spojrzały na nich obu.

– A wiesz, że to Kazowi pierwszemu powiedziałem o swojej... chorobie?

– Akurat jemu, ze wszystkich ludzi...

– Właśnie. Miałem wrażenie, że udławię się słowami, tak się bałem, że mnie wyśmiej. Że zaczniesz kpić. Ale niczego takiego nie zrobił. Przyznanie się przed Kazem, a potem postawienie się ojcu coś we mnie uwolniło. Za każdym razem, kiedy opowiadam o tym komuś nowemu, czuję się bardziej wolny.

Jesper odprowadził wzrokiem prom znikający pod Zentzbridge. Był prawie pusty.

– Nie wstydzę się tego, że jestem griszą.

Wylan powiódł palcem po brzegu portretu. Nic nie mówił, ale Jesper wyczuwał, że bardzo chce coś powiedzieć.

– No, dawaj – zachęcił go. – Cokolwiek sobie pomyślałeś, powiedz to na głos.

Wylan przeniósł na niego wzrok. Miał błękitne, niczym niezmacone oczy, dokładnie takie, jak Jesper je zapamiętał. Były jak górskie jezioro; jak bezkresne nowoziemskie niebo. Genya wykonała kawał dobrej roboty.

– Nie rozumiem – przyznał w końcu Wylan. – Ja przez całe życie ukrywam się z tym, czego nie potrafię. A ty uciekasz przed cudownościami, które umiesz robić.

Poirytowany Jesper wzruszył ramionami. W przeszłości złościł się na ojca niemal dokładnie za to, o czym teraz mówił Wylan, ale teraz poczuł się niesłusznie zaatakowany. Podjął pewne decyzje i bez względu na to, czy były słuszne, czy nie, wybór dokonał się dawno temu.

– Wiem, kim jestem i w czym jestem dobry; wiem, co mogę, i czego nie mogę. Jestem... kim jestem: świetnym strzelcem i kiepskim hazardzistą. To nie wystarczy?

– Mnie? Czy tobie?

– Nie filozofuj mi tu, kupczyku.

– Myślałem o tym, Jes...

– Myślałeś o mnie? W nocy? Co miałem na sobie?

– Myślałem o twojej mocy. – Wylan jeszcze bardziej się zarumienił. – Nie przyszło ci nigdy do głowy, że talent griszy może mieć coś wspólnego z tym, że taki świetny z ciebie snajper?

– Milusi z ciebie chłopiec, Wylanie, ale dokumentnie szurnięty.

– Być może. Ale widziałem, jak manipulujesz metalem; jak nim kierujesz. Może dlatego nigdy nie chybiasz, że w taki sam sposób kierujesz lotem swoich pocisków?

Jesper pokręcił głową. Cóż za nedorzecznosc! Dobrze strzelał, bo wychował się na pograniczu, znał się na broni, a matka nauczyła go, jak oczyścić umysł, powstrzymać drżenie ręki i wyczuć obecność celu, zamiast tylko go zobaczyć.

Jego matka. Fabrykatorka. Grisza, chociaż sama nigdy tak siebie nie nazywała.

Nie, to tak nie działa.

A jeśli jednak tak?

Pokręcił głową, żeby otrząsnąć się z tej myśli. Musiał się poruszyć, od bezruchu mrowiła go skóra.

– Po co wygadujesz takie rzeczy? – zapytał. – Nie lepiej, kiedy wszystko wydaje się proste?

– Wydaje się, ale nie jest – odparł Wylan po swojemu, szczerze i z zapalem. – Ciagle udajesz, że wszystko jest w porzadku. Z jednej walki rzucasz się w druga, z jednego przyjecia pedzisz na nastepne. Czego sie boisz? Ze co sie stanie, kiedy sie zatrzymasz?

Jesper znów wzruszył ramionami. Poprawił guziki koszuli, kciukami musnął rewolwery. Zawsze kiedy czuł się taki rozdrażniony i skonfundowany, jego ręce zaczynały żyć własnym życiem. Całe ciało go świerzbiało.

Musi wydostać się z tego pokoju.

Wylan położył mu dłoń na ramieniu.

– Przestań.

Jesper nie był pewien, czy chce mu się wyrwać, czy go przytulić.

– Po prostu przestań. Oddychaj.

Spojrzenie Wylana było niewzruszone. Jesper nie potrafił oderwać wzroku od tego błękitu. Siłą woli narzucił sobie spokój: bezruch, wdech, wydech.

– Jeszcze raz – polecił Wylan, a gdy Jesper otworzył usta, żeby nabrać tchu, pochylił się i go pocałował.

Jesper miał kompletną pustkę w głowie. Nie myślał o tym, co się stało wcześniej, ani o tym, co może się wydarzyć w przyszłości. Była tylko ta chwila, usta Wylana, napór jego warg, dotyk delikatnych kości jego karku i jedwabiste muśnięcia jego loków, gdy Jesper położył mu dłoń na potylicy i przyciągnął go do siebie. To na to czekał. Pocałunek był jak wystrzał, jak pożar prerii, jak obrót Koła Makkera. Bicie jego serca – a może nie jego, tylko Wylana? – brzmiało jak tętent stada koni. Jedyną myślą, do jakiej był w tej chwili zdolny, było zaskoczone i szczęśliwe „O rety”.

Powoli, lecz nieuchronnie oderwali się od siebie.

– Wylanie – odezwał się Jesper, zapatrzony w bezbrzeżny błękit nieba w oczach przyjaciela – mam szczerą nadzieję, że nie zginiemy.



29

NINA

Nina nie posiadała się ze złości, że Genya przeformowała nie tylko Wylana, lecz także Kaza, a jej nie było dane tego oglądać.

Kaz pozwolił Genyi nastawić nos, zmniejszyć opuchliznę na oku na tyle, żeby był w stanie coś nim widzieć, i połatać najgorsze obrażenia. Na nic więcej się nie zgodził.

– Ale dlaczego? – zapytała Nina. – Genya mogła...

– Nie wiedziała, kiedy przestać – odparł Kaz.

Nina nabrała podejrzeń, że Genya zaproponowała mu uzdrowienie kalekiej nogi.

– Wyglądasz jak najgorszy zakapior z Baryłki – stwierdziła. – Trzeba było przynajmniej pozwolić, żeby usunęła ci resztę siniaków.

– Ja jestem najgorszym zakapiorem z Baryłki i jeżeli nie będę wyglądał tak, jakbym przed godziną rozprawił się z dziesiątką największych mięśniaków Haskella, to nikt w to nie uwierzy. Bierzmy się do roboty. Nie da się wyprawić przyjęcia, jeśli nikt nie dostanie zaproszenia.

Na tę akurat imprezę Ninie się nie śpieszyło, ale następnego dnia rano ogłoszenie pojawiło się we wszystkich dziennikach i na afiszach, którymi obwieszono kolumny przy obu wejściach gmachu Giełdy, a także frontowe drzwi Ratusza.

Treść była prosta:

Kuwei Yul-Bo, syn Bo Yul-Bayura, Naczelnny Chemik Bhez Ju udostępnia swoje usługi i wystawia swój kontrakt na sprzedaż zgodnie z prawami rynku i przykazaniami Ghezena. Potencjalnych chętnych zaprasza się do udziału w uczciwej i nieograniczonej aukcji, która odbędzie się za cztery dni w południe zgodnie z kercheńskim prawem i przepisami Rady Kupieckiej, pod auspicjami Rady Pływów i Kościoła Handlu. Święty jest Ghezen, którego wola przejawia się w handlu.

W mieście, które już i tak kipiało od emocji na skutek godziny policyjnej, barykad i blokady portu, wieść rozeszła się lotem błyskawicy po kawiarniach i gospodach; pędząc od

salonów przy Geldstraat po slumsy Baryłki, zmieniała się i nabierała mocy. Nowi podwładni Kaza w Szumowinach twierdzili, że ludzie są spragnieni wszelkich informacji o tajemniczym Kuweiu Yul-Bo, a jego aukcję łączy się z niezwykle atakiem przy Zachodniej Klepce, który niemal zrównał z ziemią dwa domy uciech i pozostawił po sobie doniesienia o latających ludziach. Inej, która wzięła na siebie obserwację ambasady Shu Hanu, wróciła z wiadomością, że przez cały ranek przychodzili i wychodzili posłańcy, a sam ambasador gniewnym krokiem przemaszerował na przystań, żeby domagać się od Rady Pływów uwolnienia osadzonych na mieliźnie statków.

– Chce sprowadzić fabrykatora, żeby wyprodukować złoto – domyślił się Jesper.

– W takim razie to wielka szkoda, że port jest zamknięty – zauważył Kaz.

Ratusz był zamknięty dla publiczności. Rada Kupiecka miała się ponoć zebrać w trybie nagłym, żeby zdecydować, czy wyrazi zgodę na licytację. To była próba: czy kupcy zechcą honorować obowiązujące w mieście zasady, czy raczej – zważywszy na ich wiedzę lub przynajmniej domniemania na temat Kuweia – wycofają się i znajdą sposób, by ograniczyć jego prawa?

Nina i inni siedzieli pod szczytem wieży zegarowej, skąd obserwowali wschodnie wejście Giełdy. W samo południe na plac wyszedł mężczyzna w czarnym kupieckim stroju, z grubym plikiem papierów w ręce. Natychmiast otoczyła go gromada ludzi, którzy zaczęli mu wrywać ulotki z rąk.

– Biedny Karl Dryden... – mruknął Kaz. Jako najmłodszemu członkowi Rady przypadło mu w udziale najbardziej niewdzięczne zadanie.

Niedługo potem do apartamentu wparowała Inej z ulotką w dłoni.

Nie do wiary! Nina cały czas miała na oku otaczający Drydena tłum, ale Inej nie zauważyła.

– Zatwierdzili aukcję! – zawołała Inej, podając ulotkę Kazowi.

Kaz puścił dokument w obieg. Ulotka stwierdzała:

W myśl przepisów kercheńskiego prawa Rada Kupiecka Ketterdamu zgadza się reprezentować Kuweia Yul-Bo w oficjalnej licytacji jego kontraktu. Święty jest Ghezen, którego wola przejawia się w handlu.

Jesper odetchnął z ulgą i spojrzał na ojca pilnie studiującego dokumenty transakcyjne i przygotowany przez Ninę i Kaza scenariusz.

– Takie już moje szczęście – powiedział. – Zgodzili się.

Inej położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jeszcze możesz się wycofać.

– Już nie. Już od bardzo dawna nie.

Nina milczała. Polubiła Colma i martwiła się o Jespera, ale aukcja dawała największe szanse powodzenia, jeśli mieli przerzucić Kuweia do Ravki i ocalić griszów.

– Kupcy to idealni frajerzy do oskubania – powiedział Kaz. – Bogaci i sprytni. Dlatego łatwo ich wykiwać.

– Jak to? – zdziwił się Wylan.

– Zamożni ludzie lubią sobie wyobrazać, że zasłużyli na każde posiadane *kruge*, przez co są skłonni lekceważyć wpływ przypadku. A spryciarze zawsze i wszędzie szukają furtek i luk; wyczekują okazji, żeby oszukać system.

– Kogo w takim razie najtrudniej jest okantować? – zainteresowała się Nina.

– Ludzi uczciwych – odparł Kaz. – Których, na szczęście, nie ma zbyt wielu. – Postukał w szkło osłaniające tarczę zegara i wskazał Karla Drydena, który po rozproszeniu się tłumu został sam przed gmachem Giełdy i wachlował się kapeluszem. – Dryden odziedziczył majątek po ojcu. Od tamtej pory inwestuje zbyt asekurancko, żeby pomnożyć fortunę, a zarazem rozpaczliwie szuka szansy wykazania się przed resztą Rady. My mu taką szansę damy.

– Co jeszcze o nim wiemy? – spytała Nina.

Kaz prawie, prawie się uśmiechnął.

– Że jego interesy reprezentuje nasz stary znajomy, miłośnik psów, pan Cornelis Smeet.



Po wcześniejszej obserwacji biura Smeeta wiedzieli, że przez cały dzień panuje w nim ruch: gońcy bez przerwy przynosili (lub odbierali) dokumenty od (lub dla) klientów, zbierali wymagane prawem podpisy i przekazywali istotne informacje. Byli zbyt dobrze opłacani, żeby można poważnie myśleć o ich przekupieniu – zwłaszcza gdyby okazało się, że któryś z nich należy do tego wąskiego, lecz przerażającego grona ludzi uczciwych.

W pewnym sensie powinni podziękować Van Eckowi za łatwość, z jaką Kazowi przyszło zastawienie pułapki. Anika i Pim, przebrani w mundury *stadwachty*, mogli swobodnie zatrzymywać gońców Smeeta, rewidować ich i sprawdzać ich tożsamość. Przenoszone przez gońców dokumenty były tajne i opieczętowane, ale Anice i Pimowi bynajmniej nie o nie chodziło; zamierzali po prostu podrzucić przynętę młodemu Karlowi Drydenowi.

– Czasem dobry złodziej nie kradnie – powiedział Kaz. – Czasem coś po sobie zostawia.

Wylan i Specht opracowali stempel, który po odcisnięciu na zapieczętowanej kopercie sprawiał wrażenie, że koperta wchłonęła odrobinę atramentu z innego dokumentu, tak jakby niedbały urzędnik trzymał je razem w jakimś zawilgoconym miejscu. Po otrzymaniu takich papierów Dryden (jeśli w ogóle by się nimi zainteresował) powinien przynajmniej zahaczyć wzrokiem o słowa, które rzekomo przeciekły z innych dokumentów, a wtedy odkryłby coś niezwykle interesującego: ślad listu od jednego z klientów Smeeta. Nazwiska nadawcy nie dało się odczytać, sam list zaś był prośbą o informacje: czy Smeet słyszał o niejakim Johannusie Rietveldzie, farmerze z Nowoziemia i szefie konsorcjum kercheńskich i nowoziemskich plantatorów *jurdy*? Podobno urządza w hotelu Geldrenner i spotyka się wyłącznie ze starannie wyselekcjonowanymi inwestorami. Czy Smeet mógłby zaaranżować takie spotkanie?

Przed ogłoszeniem aukcji kontraktu Kuweia taka informacja byłaby średnio interesująca, za to później miała się stać jedną z tych dyskretnych wskazówek, na których buduje się fortuny.

Zanim jeszcze podrzucili fałszywy list w charakterze przynęty, Kaz przekonał Colma, by zaczął jadać posiłki w luksusowej hotelowej restauracji w towarzystwie różnych przedstawicieli kercheńskiej społeczności kupiecko-bankierskiej. Colm zawsze siadał z dala od innych klientów restauracji, zamawiał rozrzutnie i rozmawiał z gośćmi półgłosem. Tematyka rozmów była zupełnie niewinna, ot, doniesienia o wysokości plonów i stopach procentowych, ale nikt z postronnych gości o tym nie wiedział. Wszystko odbywało się na oczach personelu hotelowego, toteż kiedy członkowie Rady Kupieckiej przyszli zapytać, jak pan Rietveld spędza czas, otrzymali dokładnie takie odpowiedzi, na jakich zależało Kazowi.

Nina uczestniczyła we wszystkich tych spotkaniach w roli mówiącej kilkoma językami asystentki pana Rietvelda, a zarazem ciałobójczynie szukającej zatrudnienia po zniszczeniu Domu Białej Róży. Mimo ochłapania się wyciągiem z kawy, który miał zmylić zmysły kherguudów, siedząc na widoku w restauracji, czuła się odsłonięta i bezbronna. Szumowiny na polecenie Kaza stale obserwowały otoczenie hotelu, wypatrując żołnierzy Shu Hanu. Nikt nie zapomniał, że Shu Han poluje na griszów, dla których Nina mogłaby stanowić nadzwyczaj atrakcyjny cel, gdyby dowiedzieli się o tych spotkaniach. Urowadzenie ciałobójczynie, której można by podać *parem*, pozwoliłoby w znaczący sposób wpłynąć na przebieg aukcji i byłoby warte narażenia się Radzie Pływów. Nina była jednak pewna, że kupcy, którzy dowiedzą się o obecności Rietvelda w hotelu, zachowają dyskrecję. Pod okiem Kaza wiele się nauczyła o potędze chciwości; ci ludzie będą chcieli zachować cały zysk dla siebie.

Podziwiała również dbałość Kaza o powierzchowność Colma: ojciec Jespera nadal nosił się jak farmer, ale wprowadzone przez Kaza subtelne modyfikacje (lepiej skrojony płaszcz, wyglansowane buty i srebrna spinka do krawata z okruchem nieoszlifowanego ametystu) dowodziły zamożności, którą prawdziwy kupiec musiał dostrzec i docenić. Takie dodatki – stonowane, dyskretne, nieprzesadnie krzykliwe – nie wzbudzały niczyich podejrzeń. Kupcy byli tacy sami jak większość mężczyzn: chcieli wierzyć, że to oni prowadzą zaloty.

Ninie Genya pożyczyła piękną czerwoną *keftę* ze swojej kolekcji; razem zmieniły kolor zdobiącego ją haftu z niebieskiego na czarny. Różniły się znacznie wzrostem i posturą, ale poluzowanie paru szwów i doszycie kilku dodatkowych kawałków materiału załatwiło sprawę. Dziwnie się czuła, włożywszy prawdziwą *keftę* po tak długiej przerwie. Ta, którą nosiła w Domu Białej Róży, była tylko przebraniem, tanim kostiumikiem, który miał robić wrażenie na klientach. Za to ta otrzymana od Genyi była oryginalnym uniformem żołnierzy Drugiej Armii, uszytym z surowego jedwabiu farbowanego czerwonym barwnikiem, który tylko fabrykatorzy potrafili wytworzyć. Czy na pewno miała prawo ją nosić?

Na jej widok Matthias stanął w drzwiach jak wryty. W jego niebieskich oczach malował

się szok. Stali tak długą chwilę w milczeniu, zanim w końcu wykrztusił: – Wyglądasz przepięknie.

– Chciałeś powiedzieć, że wyglądam jak wróg.

– Jedno i drugie zawsze było prawdą – odparł i podał jej ramię.

Niepokoili ją perspektywa odegrania przez Colma głównej roli w ich małej szopce. Był amatorem i podczas pierwszych paru spotkań z bankierami i konsultantami robił się niemal równie zielony jak podana na obiad zupa z groszku. Jednakże z każdą mijającą godziną nabywał coraz większej pewności siebie i w sercu Niny zatlił się pierwszy płomycek nadziei.

Wciąż jednak na spotkanie z Johannusem Rietveldem nie pofatygował się nikt z Rady Kupieckiej. Może Dryden przeoczył rzekomy ślad listu, może postanowił nie reagować... A może Kaz po prostu przeceniał jego chciwość.

Aż w końcu na czterdzieści osiem godzin przed rozpoczęciem aukcji Colm otrzymał list od Karla Drydena, w którym autor zapowiadał, że jeszcze tego dnia odwiedzi pana Rietvelda, by porozmawiać o interesach, które mogą im obu przynieść wymierne korzyści. Jesper próbował ukoić skołatane nerwy ojca, a Kaz wydał tymczasem nowe instrukcje Anice i Pimowi. Jeśli chcą złapać Drydena na haczyk, muszą zadbać o to, żeby także inne, grubsze od niego ryby zainteresowały się przynętą. Nina i Colm jak co dzień odbyli poranną serię spotkań w restauracji; Nina robiła, co mogła, żeby uspokoić ojca Jespera.

O jedenastej dostrzegła dwóch mężczyzn w statecznej kupieckiej czerni: weszli do jadalni i nie pytając szefa sali, gdzie znajdują Johannusa Rietvelda, skierowali się prosto do ich stolika, co dowodziło, że już od jakiegoś czasu obserwowali ich i gromadzili informacje.

– Są tutaj – szepnęła Nina do Colma.

Natychmiast tego pożałowała, bo wyprostował się na krześle i zaczął odwracać w stronę wyjścia. Złapała go za rękę.

– Patrz na mnie – poleciła. – Zapytaj mnie o pogodę.

– Dlaczego o pogodę? – spytał. Pot wystąpił mu na czoło.

– Możesz mnie zapytać o najnowsze trendy w modzie obuwniczej, jeśli wolisz; grunt, żebyś zachowywał się naturalnie.

Próbowała zarazem uspokoić własne rozszalałe serce (czego powinna móc dokonać bez uciekania się do takich bzdur jak głębokie wdechy i wydechy), ponieważ właśnie rozpoznała człowieka towarzyszącego Drydenowi. Był nim Jan Van Eck.

Podeszli do stolika i zdjęli kapelusze.

– Pan Rietveld?

– Tak? – wyskrzecztał Colm.

Taki początek nie wróżył najlepiej. Nina kopnęła go pod stołem najdyskretniej, jak się dało.

Odkaszlnął.

– Jak idą interesy?

Podczas przygotowań Kaz nalegał, żeby Nina nauczyła się na pamięć barw i symboli wszystkich przedstawicieli Rady Kupieckiej. Rozpoznała teraz spinki do krawata: złoty

snop pszenicy przewiązany niebieską emaliowaną wstążką rodu Drydenów oraz czerwony wawrzyn Van Ecków. Zresztą nawet bez spinki rozpoznałaby Van Ecka, tak bardzo był podobny do Wylana. Zmierzyła wzrokiem jego wysokie czoło. Biedny Wylan powinien chyba zainwestować w dobrą odżywkę do włosów.

Dryden odchrząknął i zrobił ważną minę.

– Nazywam się Karl Dryden, a to szanowny Jan Van Eck.

– Pan Dryden! – wykrzyknął Colm z nieco przesadnym zaskoczeniem. – Dostałem pański list. Niestety, kalendarz spotkań mam wypełniony po brzegi.

– Może udałoby się panu wykroić dosłownie parę minut na krótką rozmowę?

– Nie chcemy marnować pańskiego czasu, panie Rietveld – zapewnił Van Eck z zaskakująco czarującym uśmiechem. – Naszego również.

– Doskonale – odparł Colm raczej z niechęcią niż entuzjazmem. – Siadajcie, panowie.

– Dziękuję. – Van Eck znów się uśmiechnął. – O ile nam wiadomo, reprezentuje pan konsorcjum producentów *jurdy*.

Colm rozejrzał się po sali takim wzrokiem, jakby się bał, że ktoś może ich usłyszeć.

– To możliwe... – potwierdził ostrożnie. – Skąd macie panowie te informacje?

– Przykro mi, nie mogę tego wyjawić.

– Coś ukrywa – wtrąciła Nina.

Dryden i Van Eck zgodnie zmarszczyli brwi.

– Dowiedziałem się tego od kapitana statku, którym przyłynął pan do miasta – wyjaśnił Van Eck.

– Kłamie – powiedziała Nina.

– Skąd pani to może wiedzieć? – zirytował się Dryden.

– Jestem griszą – odparła z teatralnym machnięciem ręki. – Żaden sekret się przede mną nie ukryje.

Czemu się trochę nie zabawić, skoro już trafiła się okazja?

Dolna warga Drydena zupełnie zniknęła, gdy przygryzł ją nerwowym gestem.

– Nie jest wykluczone, że pewne poufne informacje mogły do nas dotrzeć za pośrednictwem biura Cornelisa Smeeta – przyznał niechętnie Van Eck.

– Rozumiem – odparł Colm z niezwykle posępną miną.

Nina miała ochotę bić mu brawo. Właśnie zepchnął kupców do obrony.

– Interesuje nas możliwość dołączenia do grupy pańskich inwestorów – wyjaśnił Van Eck.

– Nie potrzebuję dodatkowych inwestorów.

– Naprawdę? – zdziwił się Dryden. – Jest pan w mieście od niespełna tygodnia.

– Klimat się zmienił. Nie do końca to rozumiem, ale obserwuję prawdziwy run na *jurde*.

Van Eck pochylił się nad stołem, mrużąc lekko oczy.

– A to już jest nadzwyczaj interesujące, panie Rietveld. Jak to się stało, że przybył pan do Ketterdamu w tak pomyślnym okresie? I dlaczego właśnie teraz stanął pan na czele konsorcjum plantatorów *jurdy*?

Tyle, jeśli chodzi o zepchnięcie Van Ecka do obrony. Na szczęście Kaz przygotował Colma na taki obrót spraw.

– Jeśli koniecznie musi pan to wiedzieć, to wyjaśnię, że kilka miesięcy temu ktoś zaczął skupować plantacje *jurdy* w okolicy Coftonu. Nikt nie znał tożsamości kupca. Zorientowaliśmy się, że szykuje się jakaś grubsza sprawa, i postanowiliśmy się zorganizować, zamiast wyprzedawać uprawy.

– Nieznany kupiec, tak? – powtórzył zaintrygowany Dryden.

Van Eck był lekko zdegustowany.

– Właśnie – przytaknęła Nina. – Panu Rietveldowi i jego wspólnikom nie udało się ustalić, kto to taki, ale może panowie będziecie mieli więcej szczęścia. Chodzą słuchy, że pochodzi z Kerchu.

Van Eck osunął się na oparcie krzesła. Jego blada skóra błyszczała od potu. Układ sił przy stole znów się zmienił – ostatnią rzeczą, na jakiej zależało Van Eckowi, było dochodzenie w sprawie tajemniczego nabywcy pól *jurdy*.

Nina dyskretnie szturchnęła Colma – im mniej zainteresowania okażą pieniądzom Rady, tym chętniej jej członkowie się z nimi rozstaną.

– Prawdę mówiąc – ciągnął Colm – gdyby udało się go panom rozszyfrować, moglibyście dołączyć do niego zamiast do mnie. Być może on również szuka inwestorów.

– Nie – zaproponował nieco zbyt ostro Van Eck. – Pan przynajmniej jest w tej chwili w Ketterdamie i może reprezentować nasze interesy. Po co więc tracić czas i siły na próżne śledztwa? Każdy ma prawo dążyć do zysku, gdziekolwiek nadarza się ku temu okazja.

– Mimo wszystko... – Dryden nie był przekonany. – Może ten tajemniczy inwestor wiedział coś o tej sprawie z Shu...

Van Eck posłał mu ostrzegawcze spojrzenie: najwyraźniej nie chciał, żeby wieści o poczynaniach Rady tak swobodnie się rozchodziły. Młody kupiec natychmiast zamknął usta.

– Na pewno warto zebrać jak najwięcej informacji – przyznał Van Eck, zetknąwszy dłonie czubkami palców. – Osobiście zajmę się ustaleniem tożsamości tego kupca.

– Wobec tego może nie powinniśmy się na razie angażować? – zasugerował Dryden.

Rzeczywiście asekurant, przyznała w duchu Nina i w tej samej chwili zauważyła sygnał dany przez Anikę z drugiego końca sali.

– Panie Rietveld, następne spotkanie?

Spojrzała znacząco w stronę wejścia: Rotty – cudownie elegancki w kupieckiej czerni – wprowadził do restauracji grupę mężczyzn.

Na widok idącego przez salę Jellena Radmakkera, jednego z najbogatszych inwestorów w Kerchu, Van Eck i Dryden wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Gdy tylko Dryden przysłał swój liścik, ekipa Kaza umówiła kilka spotkań Jespera z inwestorami zainteresowanymi kontraktami na dostawę ropy z Nowoziemia, które nie miały nic wspólnego z fikcyjnym Johannusem Rietveldem. Oczywiście Van Eck i Dryden o niczym nie wiedzieli – najważniejsze było to, żeby uwierzyli, że za chwilę mogą stracić niepowtarzalną okazję do inwestycji.

Nina prawie żałowała, że nie będzie jej dane posłuchać, jak Jesper przez godzinę prowadzi dyskusję na temat rynku surowców.

Jeszcze raz kopnęła Colma pod stołem.

– No dobrze, panowie – powiedział. – Na mnie już czas. Było mi bardzo miło...

– Ile kosztuje jeden udział? – spytał Dryden.

– Przykro mi, w tak późnym terminie naprawdę nie mogę już przyjmować...

– A gdybyśmy wszyscy w to weszli? – przerwał Colmowi Van Eck.

– Jacy wszyscy?

– Rada Kupiecka spodziewa się wzrostu cen *jurdy* w najbliższym czasie. Do niedawna jako urzędnicy służby cywilnej mieliśmy związane ręce, ale zbliżająca się aukcja pozwala nam szukać nowych możliwości inwestowania.

– To zgodne z prawem? – spytał Colm, marszcząc brwi z udawanym zaniepokojeniem.

– Całkowicie. Nie wolno nam wpływać na wynik aukcji, ale inwestycja w pański fundusz mieści się w granicach prawa i może być korzystna dla obu stron.

– Owszem, rozumiem, jakie panowie będziecie mieli korzyści ze współpracy z funduszem, ale...

– Na razie zabiega pan o względy pojedynczych, drobnych inwestorów. A gdyby to Rada Kupiecka stała się waszym głównym inwestorem? Może nawet inwestorem wyłącznym? Reprezentuje trzynaście najstarszych i najbardziej szanowanych kercheńskich rodów, prowadzących rozliczne interesy i dysponujących ogromnym kapitałem. To wymarzeni wspólnicy dla plantatorów z waszego konsorcjum.

– Ja... sam nie wiem – przyznał Colm. – Propozycja jest nadzwyczaj kusząca, ale i ryzykowna. Potrzebowałbym bardzo solidnego zabezpieczenia. Gdyby Rada jednak postanowiła się wycofać, za jednym zamachem stracimy wszystkich inwestorów.

– Żaden członek Rady nie złamałby zawartej umowy – odparował urażony Dryden. – Zatwierdzimy ją odciskami naszych pieczęci, a na świadka weźmiemy wybranego przez pana sędziego.

Oczami wyobraźni Nina widziała zębatki obracające się w głowie Van Ecka. Na pewno byli w Nowoziemiu farmerzy, którzy odmówili sprzedaży pól, a tu oto trafiała mu się okazja do przejęcia nie tylko tych upraw *jurdy*, które udało mu się nabyć, lecz także znacznej części tych, które dotąd wymykały mu się z rąk. Poza tym niewykluczone, że – zważywszy na ponoszony przez miasto koszt poszukiwań Wylana – odczuwał presję, by podsunąć Radzie dobry interes do ubicia.

– Proszę nam dać czterdzieści osiem godzin... – zaczął.

– Przykro mi – wszedł mu w słowo Colm z przepaszającym wyrazem twarzy – ale przed jutrzejszym wieczorem muszę domknąć wszystkie sprawy w mieście. Wykupiłem już bilet powrotny.

– Port jest zamknięty – zauważył Van Eck. – Nigdzie pan nie popłynie.

Na widok lodowatego wzroku, jakim ojciec Jespera zmierzył kupca, ręce Niny pokryły się gęsią skórką.

– Odbieram to jako próbę zastraszenia, panie Van Eck, i wcale mi się to nie podoba.

Van Eck wytrzymał jego spojrzenie, ale ostatecznie chciwość zwyciężyła.

– Dwadzieścia cztery godziny – powiedział.

Colm udał, że się waha.

– Dwadzieścia cztery – odparł w końcu. – Ale niczego nie obiecuję. Muszę dbać o interes konsorcjum.

– Naturalnie – przytaknął Van Eck. Wstali od stołu i uścisnęli sobie dłonie. – Prosimy tylko, by nie podejmował pan ostatecznej decyzji, dopóki nie zapozna się ze szczegółami naszej propozycji przejęcia funduszu. Przekona się pan, że oferta będzie nadzwyczaj szczodra.

Colm spojrział w kierunku, w którym oddalił się Radmakker.

– To powinno dać się załatwić. Miłego dnia, panowie.

Nina ruszyła za nim do wyjścia, gdy powstrzymał ją głos Van Ecka:

– Panno Zenik?

– Tak?

– Podobno pracowała pani w Domu Białej Róży – powiedział kupiec, krzywiąc się przy tym lekko, jakby samo wypowiedzenie nazwy burdelu było przejawem rozpasania.

– Owszem.

– Ludzie mówią, że tamtejsza ciałobójczyni współpracuje czasem z Kazem Brekkerem.

– Zdarzało się – przytaknęła swobodnie Nina. Najlepszą obroną jest atak. Ujęła dłoń Van Ecka w swoją zachwycona dreszczem odrazy, jaki przeszył jego ciało. – Może mi pan jednak wierzyć, że gdybym wiedziała, dokąd zabrał pańskiego syna, nie omieszkałabym poinformować o tym władz.

Van Eck zeszywniał. Najwyraźniej nie przewidział takiego biegu rozmowy.

– Ja... dziękuję pani.

– Nawet sobie nie wyobrażam, jak pan musi teraz cierpieć. Jak w ogóle doszło do tego, że Brekker zdołał uprowadzić chłopca? Przy takiej ochronie jak pańska...

– Nie mieszkał w domu.

– Nie?

– Studiował muzykę w Belendt.

– Co jego nauczyciele mówią o porwaniu?

– Ehm... – Van Eck zerknął z niepokojem na Drydena. – Oni również nie wiedzą, co o tym myśleć.

– Może zadał się z niewłaściwymi ludźmi?

– Być może.

– Oby tylko nie zadarł z Kazem Brekkerem – powiedziała Nina i wzdrygnęła się.

– Wylan? Nie, na pewno nie...

– Ależ oczywiście. – Nina strząsnęła mankiety *kefty*. – Tylko głupiec by to zrobił.



Kaz widział, że Nina jest zmęczona. Wszyscy byli zmęczeni. Nawet on musiał chwilę odsapnąć po walce. Ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Przekroczył jakąś niewidzialną granicę i po prostu się wyłączył. Nie pamiętał, jak zasypiał. Nie śnił. W jednej chwili znajdował się w najmniejszej sypialni apartamentu, leżał na wznak na łóżku i rozmyślał o szczegółach swojego planu, a w następnej obudził się w ciemnościach spanikowany i niepewny, gdzie jest i jak się tam znalazł.

Kiedy sięgnął do lampki, przeszył go okrutny spazm bólu. Cierpiał katusze pod delikatnymi dotknięciami Genyi, kiedy opatrywała jego rany, ale może powinien był się zgodzić na odrobinę mocniejsze formowanie. Wciąż jeszcze czeka go długa noc, a takiego przekrętu jak ten z aukcją nigdy przedtem nie próbował.

Służąc w Szumowinach, naoglądał się i nasłuchał przeróżnych rzeczy, ale rozmowa ze Sturmhondem przebijała wszystko. Omówili szczegóły aukcji, wymagania wobec Genyi, przewidywania Kaza odnośnie do przebiegu licytacji i kolejnych poziomów ceny. Kaz chciał, żeby Sturmhond włączył się do gry przy pięćdziesięciu milionach; spodziewał się, że Shu Han przebije tę ofertę o co najmniej dziesięć milionów, ale przede wszystkim musi mieć pewność, że Ravkańczycy są zdeterminowani. Raz ogłoszona aukcja musiała się odbyć. Nie było od niej odwrotu.

Korsarz zachowywał ostrożność. Chciał wiedzieć, jak doszło do zatrudnienia ekipy Kaza do akcji w Lodowym Dworze, a także, jak udało im się znaleźć i uwolnić Kuweia. Kaz udzielił mu wystarczająco dużo informacji, żeby go przekonać, że Kuwei naprawdę jest synem Bo Yul-Bayura, nie zamierzał jednak zdradzać szczegółów planu ani prawdziwych talentów swoich ludzi. Sturmhond mógł mieć przecież coś, co w przyszłości warto będzie mu ukraść.

W końcu Sturmhond wypiął pierś, przyglądał kłapy surduta i powiedział:
– No, panie Brekker, widzę, że specjalizuje się pan w półprawdach i oczywistych kłamstwach. Nie ulega wątpliwości, że jest pan właściwym człowiekiem do tej roboty.
– Jedna sprawa... – Kaz obrzucił krytycznym spojrzeniem jego złamany nos i rudawe

włosy. – Zanim złapiemy się za ręce i razem skoczymy z urwiska, chcę wiedzieć dokładnie, z kim mam do czynienia.

Sturmhond uniósł brwi.

– Nie wymienialiśmy się ubraniami, nie pojechaliśmy razem na piknik, ale mimo wszystko wydaje mi się, że zostaliśmy sobie należycie przedstawieni.

– Kim naprawdę jesteś, korsarzu?

– To pytanie natury egzystencjalnej?

– Żaden prawdziwy złodziej nie mówi w taki sposób.

– To stwierdzenie dowodzi ciasnoty pańskich poglądów.

– Wiem, jak rozpoznać bogacza. Poza tym wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby król zlecił tak delikatne negocjacje zwykłemu korsarzowi.

– Zwykłemu?! – zachnął się Sturmhond. – To taki z pana dyplomata?

– Niełatwo mnie oszukać. Kim pan jest? Albo powie pan prawdę, albo się rozstaniemy.

– Jest pan pewien, że takie rozwiązanie wchodzi w grę, panie Brekker? Znam wasze plany, towarzyszą mi dwie legendarne grisze, a i ja sam niezgorzej radzę sobie w walce.

– Ja zaś stoję na czele ekipy, która wydostała Kuweia żywcem z Lodowego Dworu. Nadal uważa pan, że ma szansę?

Szczury z kanałów nie mogły równać się z Ravkańczykami pod względem posiadanych tytułów czy przepychu strojów, ale Kaz dobrze wiedział, na kogo postawiłby ostatnie pieniądze. Gdyby jeszcze jakieś mu zostały.

Sturmhond splótł dłonie za plecami. Kaz dostrzegł ledwie zauważalną zmianę w jego zachowaniu i powierzchowności; jego oczy nagle straciły błysk zadumy i przybrały zaskakująco surowy wyraz. O nie, to na pewno nie był zwykły korsarz.

– Przypuśćmy – zaczął Sturmhond, utkwivszy wzrok w widocznej na dole ulicy – czysto hipotetycznie, rzecz jasna, że ravkański król ma głęboko zakonspirowane siatki szpiegowskie w Kerchu, Fjerdzie i Shu Hanie i doskonale zdaje sobie sprawę z potencjalnego znaczenia Kuweia Yul-Bo dla przyszłości jego kraju. Przypuśćmy dalej, że król nie zleciłby negocjacji w tak ważnej sprawie nikomu innemu; że wolałby prowadzić je osobiście, chociaż oczywiście ma świadomość, jak ogromnie ryzykowna byłaby oficjalna podróż zagraniczna w chwili, gdy w kraju panuje zamęt, on nie ma dziedzica, a sukcesja rodu Lantsovów nie jest wcale pewna.

– Czyli hipotetycznie – podjął Kaz – przysługiwałoby panu miano „waszej królewskiej mości”.

– A także rozmaite inne, znacznie barwniejsze tytuły. Wszystko hipotetycznie. – Sturmhond zmierzył go badawczym spojrzeniem. – Niech mi pan powie, panie Brekker, po czym pan poznał, że nie jestem tym, za kogo się podaję?

Kaz wzruszył ramionami.

– Mówi pan po kercheńsku jak tubylec, ale tubylec bardzo zamożny, a nie człowiek, który wychował się wśród żeglarzy i opryszków.

Korsarz odwrócił się do niego. Jego udawana swoboda zniknęła bez śladu. W tej chwili wyglądał jak człowiek, który może dowodzić wielką armią.

– Panie Brekker... A może po prostu Kaz, jeśli pan pozwoli? Moja sytuacja jest delikatna. Jestem królem kraju, którego skarbiec ziele pustką i któremu ze wszystkich stron zagrażają wrogowie. Ba, istnieją także siły wewnętrzne, które mogą wykorzystać moją nieobecność i podjąć próbę przejęcia władzy.

– Sugerujesz, że świetnie nadałbyś się na zakładnika.

– Aczkolwiek spodziewam się, że okup za mnie byłby znacznie skromniejszy od ceny wyznaczonej za głowę Kuweia. Muszę przyznać, że to poważny cios dla mojej samooceny.

– Nie wyglądasz, jakbyś się tym przejął – zauważył Kaz.

– Sturmhond był wytworem mojej młodości, lecz jego reputacja w dalszym ciągu bywa użyteczna. Nie mogę uczestniczyć w licytacji jako król Ravki. Mam nadzieję, że wydarzenia potoczą się zgodnie z twoim planem, ale jeśli stanie się inaczej, utrata takiego skarbu jak Kuwei Yul-Bo byłaby dla mnie upokarzającą porażką, zarówno w kategoriach dyplomatycznych, jak i ze strategicznego punktu widzenia. Dlatego albo wezmę udział w aukcji jako Sturmhond, albo się z niej wycofam. Jeżeli to ma być dla ciebie problemem...

Kaz obiema rękami wsparł się na lasce.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz wystąpić nawet jako królowa elfów z Istamere. Bylebyś nie próbował mnie wykiwać.

– Miło mieć wybór. – Sturmhond znów wyjrzał przez okno. – Czy to się może udać? Czy też składam los Ravki i wszystkich griszów na świecie w ręce wyszczekanego ulicznika, zdając się na jego honor i talent?

– Ten medal ma dwie strony – odparł Kaz. – Ty ryzykujesz przyszłość swojego kraju, my ryzykujemy życie. Uczciwy układ, jak dla mnie.

Król Ravki podał mu rękę.

– Umowa stoi?

– Umowa stoi.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Szkoda, że traktatów międzynarodowych nie da się tak szybko negocjować. – Oblicze korsarza przesłoniło twarz króla jak maska kupiona przy Zachodniej Klepce. – Teraz się napiję i wykapię. Są granice nędzy i brudu, jakie człowiek może znieść. Jak powiedział buntownik do księcia: to szkodliwe dla konstytucji.

I strząsnąwszy niewidoczny pyłek z klapy, Sturmhond nieśpiesznym krokiem opuścił solarium.

Kaz przygładził teraz włosy i narzucił kurtkę. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że oto on, zwykły szczur z kanałów, dobił targu z królem. Przypomniawszy sobie ten złamany nos, nadający Sturmhondowi wygląd człowieka, który brał udział w niejednej bójce – i może nawet naprawdę tak właśnie było, ale nos na pewno został przeformowany, żeby zamaskować prawdziwe rysy króla. Niełatwo się ukryć, kiedy twoja twarz widnieje na każdej monecie. W ostatecznym rozrachunku Sturmhond był po prostu wysoko urodzonym oszustem i teraz liczyło się tylko to, czy on i jego ludzie odegrają przewidzianą dla nich rolę.

Kaz spojrzał na zegarek: minęła północ. Niedobrze. Wyszedł z pokoju, żeby odszukać

Ninę, i ze zdumieniem stwierdził, że Jesper czeka na niego na korytarzu.

– Co się stało? – spytał, gładko przechodząc w tryb domniemywania, co mogło pójść nie tak, kiedy spał.

– Nic – uspokoił go Jesper. – W każdym razie nic niezwykłego.

– To czego ode mnie chcesz?

Jesper z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Matthias oddał ci resztkę *parem*, prawda?

– No i?

– Gdyby coś się stało... Shu Han przyśle kogoś na licytację, może nawet kherguudów.

Zbyt dużo od niej zależy. Nie mogę znowu zawieść ojca. Potrzebuję tej *parem*, na wszelki wypadek.

Kaz zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

– Nie – odparł.

– Dlaczego nie, do diabła?!

Rozsądne pytanie. Oddanie *parem* Jesperowi byłoby dobrym rozwiązaniem.

Pragmatycznym.

– Twojemu ojcu bardziej zależy na tobie niż na jakimś tam kawałku ziemi.

– Ale...

– Nie pozwolę, żebyś robił z siebie męczennika, Jes. Walczymy razem; jeżeli mamy przegrać, to wszyscy.

– To powinna być moja decyzja.

– A jednak ja ją podejmuję.

Kaz ruszył w stronę pokoju gościnnego. Nie zamierzał się sprzeczać z Jesperem, zwłaszcza że nie bardzo wiedział, dlaczego właściwie mu odmówił.

– Kto to jest Jordie?

Kaz znieruchomiał. Spodziewał się tego pytania, lecz mimo to trudno było mu znieść, że ktoś wypowiada głośno imię jego brata.

– Ktoś, komu ufałem. – Obejrzał się przez ramię i spojrzał prosto w szare oczy Jespera.

– Ktoś, kogo nie chciałem stracić.

Nina i Matthias spali na kanapie w fioletowym salonie. Kaz nie pojmował, dlaczego dwoje największych dryblasów w ekipie uparło się, żeby spać na najmniejszym z dostępnych łóżek.

Szturchnął Ninę laską. Próbowwała się od niej opędzić, nie otwierając oczu.

– Pobudka.

– Spadaj – mruknęła, wtulając twarz w pierś Matthiasa.

– Chodź, Zenik. Umarli mogą czekać, ja nie.

W końcu zgramoliła się z kanapy i włożyła buty. Porzuciła czerwoną *keftę* na rzecz spodni i kurtki, które miała na sobie podczas nieudanej akcji na Słodkiej Rafie. Matthias śledził każdy jej ruch, ale nie zaproponował, że będzie im towarzyszył; zdawał sobie sprawę, że jego obecność zwiększałaby ryzyko wpadki.

Inej przyszła po nich i bez słowa ruszyli do windy. Obowiązywał zakaz szwendania się

nocą po ulicach, ale nie mieli wyboru: musieli zawierzyć swojemu szczęściu i umiejętnościom Inej, która miała iść przodem i wypatrywać patroli *stadwachty*.

Wyszli tylnym wyjściem i skierowali się do dzielnicy fabrycznej. Posuwali się powoli, okrężną drogą, omijając poblokowane ulice; co rusz przystawali, żeby poczekać na Inej, która pojawiała się zniecka, dawała im sygnał, żeby się zatrzymali, albo ponaglała ich skinieniem dłoni, po czym znów znikła im z oczu.

W końcu dotarli do kostnicy, nieoznakowanej budowli z szarego kamienia w zaniedbanym ogrodzie na skraju dzielnicy magazynowej. To tu trafiały ciała zamożnych obywateli; to tu przygotowywano je do transportu i pogrzebu poza miastem. Kostnica znacząco różniła się od żalosnego stosu trupów na Krypie Kostuchy, ale Kaz i tak miał wrażenie, że nurza się w sennym koszmarze. Przypomnił sobie głos Inej niosący się echem wśród białych płytek:

– Śmiało.

Kostnica świeciła pustkami, ciężkie żelazne wrota były zamknięte na głucho. Kaz otworzył zamek wytrychem. Tylko raz obejrzał się przez ramię na cienie poruszające się po zachwaszczonym ogrodzie; nie dostrzegł Inej, ale wiedział, że gdzieś tam musi być. Miała pilnować wejścia, kiedy oni zajmą się swoim ponurym zadaniem.

Chłodne wnętrze rozświetlała sina poświata trupiblasku. Z sali preparacyjnej przeszli do rozległej i lodowato zimnej kamiennej komory, w której ściany wbudowano duże szuflady zdolne pomieścić zwłoki. Cuchnęło śmiercią.

Przypomnił sobie puls bijący pod zuchwą Inej, ciepło jej skóry na swoich wargach... Odsunął tę myśl. Dla takich wspomnień nie było miejsca w tym wypełnionym zgnilizną wnętrzu.

Nigdy nie zdołał się otrząsnąć ze zgrozy tamtej nocy w porcie, ze wspomnień, w których ścisnął w ramionach ciało brata i powtarzał sobie, żeby mocniej machać nogami, jeszcze raz zaczerpnąć tchu, utrzymać się na powierzchni, utrzymać się przy życiu. Wtedy dopłynął do brzegu i poświęcił się zemście, na którą obaj z bratem zasłużyli, ale tamten koszmar nie chciał zniknąć. Był przekonany, że z czasem będzie coraz łatwiej; że kiedyś nie będzie się wzdrygał, gdy przyjdzie mu podać komuś rękę albo zewrzeć się z kimś w walce. Tymczasem z czasem było tylko coraz gorzej, do tego stopnia, że ilekroć otarł się o kogoś przypadkiem na ulicy, natychmiast lądował z powrotem w porcie, na Krypie Kostuchy, ze wszystkich stron otoczony przez śmierć: rozpaczliwie młócił wodę wczepioną w oślizłe, obrzmiałe ciało Jordiego, zbyt przerażony perspektywą utonięcia, żeby je wypuścić z rąk.

Sytuacja zrobiła się niebezpieczna. Któregoś razu w Błękitnym Raju Gorcka tak się schlał, że nie mógł ustać na nogach i Kaz z Czajnikiem musieli go zanieść do domu. Wlekli go przez sześć przecznic; bezwładne ciało na przemian to przygniatało Kaza ohydny brzemieniem skóry i smrodu, to przelewało się na Czajnika – wtedy Kaz przez chwilę czuł się wolny, chociaż włochate ramię Gorcki cały czas szorowało mu po karku.

Później Czajnik zastał Kaza w toalecie: spocony, roztrzęsiony i szczękający zębami blokował drzwi stopą i tłumaczył się kłopotami żołądkowymi po zatruciu. Bał się, że jeśli

jeszcze raz da się komuś dotknąć, do reszty postrada zmysły.

Następnego dnia kupił sobie pierwsze rękawiczki: czarne, tanie, farbujące przy byle zawilgoceniu. W Baryłce każda słabość stanowiła śmiertelne zagrożenie; przyciągała złych ludzi, jak krew przyciąga drapieżniki. Jeżeli Kaz zamierzał zniszczyć Pekkę Rollinsa, nie mógł sobie pozwolić na spędzanie kolejnych nocy w dreszczach na posadzce w łazience.

Nigdy nie odpowiadał na pytania o rękawiczki, nie reagował na żadne prowokacje. Po prostu stale je nosił, dzień w dzień, a zdejmował tylko wtedy, gdy był sam. Wmawiał sobie, że to tylko tymczasowe rozwiązanie, ale nie przeszkodziło mu to opanować od nowa wszystkich sztuczek – do tego stopnia, że z czasem nauczył się manipulować kartami lepiej, niż wcześniej robił to bez rękawiczek. Rękawiczki powstrzymywały napór wody, ratowały go przed utonięciem, gdy wspomnienia tamtej nocy groziły wciągnięciem pod powierzchnię. Kiedy je wkładał, czuł się tak, jakby się zbroił, i to w oręż lepszy niż wszelkie noże czy pistolety. Do czasu, gdy poznał Imogen.

Miał czternaście lat i nie był jeszcze przybocznym Pera Haskella, ale z każdą kolejną walką i każdym przewalem wyrabiał sobie coraz lepszą markę. Imogen była o rok starsza i nowa w Baryłce. Należała wcześniej do ekipy z Zierfoortu, drobnych złodziejasków, których towarzystwo, jak utrzymywała, zaczęło ją nudzić. Od przybycia do Ketterdamu kręciła się w okolicy Klepek, miała się dorywczych robótek i próbowała się wkręcić do któregoś z gangów w Baryłce. Kiedy pierwszy raz ją zobaczył, rozbijała akurat butelkę na łbie gościa z Brzytwomew, który za bardzo leciał do niej z łapami. Drugi raz się na nią napatoczył, kiedy Haskell zlecił mu prowadzenie zakładów przy okazji wiosennych walk bokserskich. Miała piegi, przerwę między przednimi zębami i umiała się bić.

Kiedy pewnego wieczoru stali przy pustym ringu, przeliczając utarg, dotknęła rękawa jego płaszcza, a gdy podniósł wzrok, uśmiechnęła się niepewnie, nie otwierając ust, żeby nie pokazywać szczyrby między zębami.

Leżał później na gruzłowatym materacu we wspólnej sali w Listewce, gapił się na przeciekający sufit i rozmyślał o jej uśmiechu i o tym, jak wyglądała w biodrówkach. Miała trochę koślawy chód, jakby do wszystkiego podchodziła lekko bokiem. Podobało mu się to. Ona mu się podobała.

W Baryłce kwestie cielesne nie stanowiły żadnej tajemnicy; miejsca było mało, ludzie szukali przyjemności wszędzie tam, gdzie było to możliwe. Inni chłopcy z Szumowin nieustannie przechwalali się swoimi podbojami. On nic nie mówił. Na szczęście w ogóle rzadko mówił cokolwiek, więc akurat w tym wypadku konsekwencja w zachowaniu działała na jego korzyść, wiedział jednak, co powinien mówić i czego powinien chcieć. I bywały takie chwile, że tego właśnie chciał: na widok przechodzącej przez ulicę dziewczyny w kobaltowej sukience, która zsunęła jej się z ramienia; tancerki poruszającej się jak żywy ogień na przedstawieniu przy Wschodniej Klepce; Imogen śmiejącej się z jego słów, jakby opowiedział najlepszy dowcip na świecie, podczas gdy w rzeczywistości ledwie otworzył usta.

Wysłuchany w chrapanie kompanów poruszał palcami w rękawiczkach. Mogę to przewyciężyć, wmawiał sobie.

Był silniejszy niż dręcząca go choroba, silniejszy niż zalewająca go woda. Kiedy musiał się nauczyć, jak funkcjonuje kasyno, zrobił to; kiedy postanowił się doksztąpić z finansów, również tego dokonał. Wspominając dyskretny uśmiech Imogen, podjął decyzję: pokona swoją słabość w taki sam sposób, w jaki pokonywał wszelkie przeszkody na swojej drodze.

Zaczął od drobiazgów, mało znaczących gestów, na które nikt nie zwróciłby uwagi. Rozdanie kart do trójkolca gołymi rękami. Noc z rękawiczkami pod poduszką. A kiedy Per Haskell wysłał go z Czajnikiem, żeby wygarbowali skórę drobnemu rozrabiace imieniem Beni, który był winny Haskellowi pieniądze, Kaz odczekał do momentu, gdy znaleźli się we trzech w ciemnym zaułku i Czajnik kazał mu unieruchomić ręce Beniego, i zdjął rękawiczki. Tak na próbę. Łatwizna.

Ledwie dotknął nadgarstków Beniego, zalała go obezwładniająca fala obrzydzenia. Na szczęście był na nią przygotowany i ją przetrzymał: ignorując zalewający go zimny pot, wyłamał Beniemu ręce za plecy i trzymał go, gdy Czajnik recytował mu warunki pożyczki od Pera Haskella, podkreślając każde zdanie ciosem pięści w twarz albo brzuch.

Wytrzymam, powtarzał sobie. Dam radę.

A potem woda wezbrała.

Fala sięgała szczytów iglic Kościoła Handlu; pochwyciła go i pociągnęła w dół niczym brzemień, przed którym nie było ucieczki. Trzymał w ramionach Jordiego, gnijące, blade jak rybi brzuch ciało kleiło się do niego. Odepchnął je, łapiąc rozpaczliwie oddech.

W następnej chwili opierał się ciężko o ceglany mur, Czajnik wrzeszczał na niego, a Beni wiał, ile sił w nogach. Niebo miało szary kolor, panujący w zaułku odór wciskał się do nozdrzy: popiół, gnijące odpadki, intensywny smród moczu.

– Co to miało być, Brekker?! – krzyczał Czajnik z twarzą wykrzywioną w grymasie złości, poświstując przez nos w sposób, który powinien być zabawny. – Puściłeś go, do diabła! A gdyby miał nóż?!

Niewiele z tego docierało do Kaza. Ledwie dotknął Beniego, a jednak – bez rękawiczek – było to coś okropnego: nacisk skóry na skórę, miękkość ludzkiego ciała...

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz, ty żałosny, cherlawy gnoju?

Czajnik złapał Kaza za przód koszuli i mimowolnie przycisnął knykcie do jego szyi, przeszywając go kolejną falą odrazy. Tak nim potrząsnął, że zęby mu zagrzechotały, a potem spuścił mu łomot przeznaczony pierwotnie dla Beniego i zostawił go zakrwawionego w zaułku.

W gangu nie było miejsca na słabości i dekoncentrację, nie przy robocie, nie kiedy ktoś z ekipy na ciebie liczył. Kaz podkulił dłonie i ukrył je w rękawach. Ani razu nie uderzył Czajnika.

Wyczołganie się z tamtej ciemnej uliczki zajęło mu prawie godzinę, odbudowa straconej reputacji trwała całe tygodnie. W Baryłce każde potknięcie mogło się zakończyć poważnym upadkiem.

Odszukał Beniego i postarał się, by ten pożałował, że to nie Czajnik spuścił mu manto. Na powrót włożył rękawiczki – i już ich nie zdjął. Stał się dwakroć okrutniejszy, a w walce dwakroć bardziej zajadły. Przestał się przejmować tym, czy inni uważają go za

normalnego: odsłonił przed ludźmi odrobinę szaleństwa i pozwolił im snuć domysły co do reszty. Kiedy ktoś zanadto się do niego zbliżył, obrywał; kiedy ktoś ośmielił się go dotknąć, Kaz łamał mu jeden nadgarstek, drugi, czasem szczękę... Przewali go Brudnorekimi, wściekłym psem Haskella, a on podsycił płonący w nim gniew i nauczył się gardzić ludźmi, którzy się skarżą, błagają, twierdzą, że cierpią. „Ja wam pokażę, czym jest prawdziwe cierpienie” – mawiał i pięściami malował zapowiedziany obraz.

Kiedy przy ringu Imogen znów złapała go za rękaw, zmiażdżył ją spojrzeniem i czekał tak długo, aż jej nieśmiały uśmiech zniknął. Cofnęła rękę. Odwróciła wzrok.

A on wrócił do przeliczania pieniędzy.

Teraz zastukał laską w podłogę kostnicy.

– Bierzmy się do roboty – rzekł do Niny.

Echo przesadnie zwielokrotniło jego głos. Chciał jak najszybciej wydostać się z tego miejsca.

Zaczęli z przeciwległych krańców sali: sprawdzając daty na szufladach, szukali zwłok w odpowiednim stanie rozkładu. Na tę myśl ścisnęło Kaza w piersi, jakby wzbierał w niej krzyk, ale sam ułożył ten plan i od początku wiedział, że jego realizacja go tutaj zaprowadzi.

– Mam – powiedziała Nina.

Oboje stanęli przed zamkniętą szufladą, nie paląc się do jej wysunięcia. Kaz zdawał sobie sprawę, że naoglądali się w życiu aż nadto zwłok (żyjąc w Baryłce albo będąc żołnierzem Drugiej Armii, nie dało się uniknąć kontaktu ze śmiercią), ale to było co innego. To był rozkład.

W końcu zahaczył główką laski o uchwyt i pociągnął. Szuflada okazała się cięższa, niż się spodziewał, lecz wysunęła się gładko. Cofnął się.

– To na pewno dobry pomysł? – spytała Nina.

– Jestem otwarty na lepsze propozycje.

Nina wypuściła powietrze z płuc i podniosła okrywające trupa prześcieradło. Ten gest przywiódł Kazowi na myśl węża zrzucającego skórę.

Usta mężczyzny w średnim wieku zdążyły poczernieć od zgnilizny.

W dzieciństwie Kaz zawsze wstrzymywał oddech, przechodząc obok cmentarza. Był przekonany, że gdy tylko otworzy usta, coś okropnego mu do nich wpełźnie.

Sala się przekrzywiła. Próbował oddychać jak najpłycej, zmusić się do odrzucenia wspomnień i powrotu do terażniejszości. Rozpostarł palce, poczuł napinającą się skórę rękawiczek, zważył laskę w dłoni.

– Ciekawe, jak umarł – mruknęła Nina, przyglądając się szarym fałdom twarzy nieboszczyka.

– Samotnie – odparł Kaz.

Trup miał obgryzione czubki palców: szczury dorwały się do niego, zanim został znaleziony. Albo nie szczury, tylko jakiś zwierzak domowy.

Kaz wyjął z kieszeni zapieczętowany szklany pojemnik wykradziony wcześniej z przybornika Genyi.

– Weź, ile potrzebujesz – powiedział.



Zmierzył wzrokiem swoją ekipę. Zebrali się na wieży zegarowej nad apartamentem Colma. Miasto wciąż jeszcze spowijały ciemności, ale świt był już blisko. O wschodzie słońca się rozdziela: Wylan i Colm ukryją się w pustej piekarni, by poczekać na rozpoczęcie aukcji; Nina uda się do Baryłki, gdzie miała zadanie do wykonania; Inej zajmie pozycję na dachu kościoła.

Kaz w towarzystwie Matthiasa i Kuweia zejdzie na plac przed Giełdą, skąd uzbrojony oddział *stadwachty* odeskortuje ich do kościoła. Zastanawiał się, co powie Van Eck, kiedy się dowie, że jego ludzie ochraniają łotrzyka z Baryłki.

Od dawna nie czuł się tak dobrze. Pułapka, w którą wpadli u Van Ecka, wytrąciła go z równowagi. Nie był przygotowany na to, że Pekka Rollins w taki sposób włączy się do gry; nie był przygotowany na związany z tym wstyd i wspomnienie Jordiego.

Zawiodłeś mnie, rozbrzmiewał mu pod czaszką głos brata, głośniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Znowu dałeś mu się wykiwać.

Nazwał Jespera imieniem brata. Paskudna omyłka. Może jednak w ten sposób chciał ukarać ich obu. Był dzisiaj starszy niż Jordie, kiedy zabrała go Zaraza Dwórki, i z perspektywy czasu wyraźnie widział rozpierającą brata pychę i żądzę szybkiego sukcesu.

To ty mnie zawiodłeś, Jordie. Byłeś starszy. Powinieneś być mądrzejszy.

Przypomniał sobie pytanie Inej: „Kto miał was ochronić?”

Przypomniał sobie, jak siedzieli z Jordiem na moście, żywi i uśmiechnięci; ich stopy odbijały się w wodzie, na rękach miał ciepłe rękawice, w dłoniach ścisnął kubek z gorącą czekoladą.

Powinniśmy byli chronić się nawzajem, odparł w myślach.

Byli dwójką chłopaków ze wsi, którzy stracili ojca i zagubili się w wielkim mieście. I dlatego właśnie Pekka ich złowił. Nie skusił ich samą obietnicą pieniędzy, lecz tym, że dał im nowy dom: przedstawił im fałszywą żonę, która przyrzędziła im *hutspot*, fałszywą córkę, żeby Kaz miał się z kim bawić... Pekka Rollins zwabił ich ciepłym domowym ogniskiem i obietnicą zwrócenia im utraconego życia.

I to właśnie ostatecznie niszczy każdego z nas, pomyślał Kaz. Tęsknota za czymś, czego nigdy nie mogliśmy mieć.

Obrzucił spojrzeniem twarze ludzi, z którymi walczył ramię w ramię i wspólnie przelewał krew. Okłamywał ich i był przez nich okłamywany. Powiódł ich do piekła i wyprowadził z niego z powrotem na świat.

Zwrócony plecami do miasta wsparł się obiema rękami na lasce.

– Po dzisiejszym dniu wszyscy mamy różne pragnienia: wolność, odkupienie...

– Gotówka do ręki? – podsunął Jesper.

– Dużo gotówki. Wielu ludzi będzie próbowało nam przeszkodzić: Van Eck, Rada

Kupiecka, Pekka Rollins ze swoimi mięśniakami, kilka różnych krajów, a przede wszystkim to zapomniane przez świętych miasto.

– To ma nas podnieść na duchu? – upewniła się Nina.

– Oni nie wiedzą, kim jesteśmy. Nie tak naprawdę. Nie wiedzą, co zrobiliśmy; nie mają pojęcia, czego wspólnie dokonaliśmy. – Kaz zastukał laską w podłogę. – Pokażmy im, że źle wybrali sobie wroga.



Co ja tutaj robię?

Pochyliwszy się nad umywalką, ochlapał twarz zimną wodą. Do rozpoczęcia licytacji pozostało kilka godzin. Przed świtem mieli się wyprowadzić z hotelu. Dla realizacji planu kluczowe było założenie, że jeśli po aukcji ktoś przyjdzie szukać Johannusa Rietvelda, dowie się, że ten przepadł bez śladu.

Ostatni raz spojrzął w lustro w pozłacanej ramie. Widoczna w nim twarz znów wyglądała znajomo, ale kim był naprawdę? Przestępcą? Zbiegiem? Dzieciakiem, który ma pewne – może nawet całkiem spore – pojęcie o produkcji i podkładaniu ładunków wybuchowych?

Jestem synem Maryi Hendriks.

Pomyślał o swojej matce, samotnej i odrzuconej, tak jak odrzucone zostało jej niedoskonałe dziecko. Czyżby była nie dość młoda, by powić zdrowego dziedzica? Czy ojciec już wtedy planował pozbycie się wszelkich dowodów istnienia Wylana?

Co ja tutaj robię?

Znał odpowiedź. Tylko on mógł doprowadzić do tego, by ojca spotkała zasłużona kara. Tylko on mógł dopilnować uwolnienia matki.

Przyjrzał się sobie w lustrze. Oczy ojca. Kręcone włosy matki. Miło było przez pewien czas pobyć kimś innym, zapomnieć, że jest Van Eckiem, ale dłużej nie chciał grać tej roli. Odkąd poczuł na szyi zaciskające się palce Priora, stale uciekał. Zresztą może zaczęło się to jeszcze wcześniej, podczas długich popołudni przesiedzianych w spiżarni albo za zasłoną na parapecie okna, kiedy miał nadzieję, że wszyscy o nim zapomną, niania pójdzie sobie do domu, guwernantka się nie pojawi...

Ojciec chciał, żeby zniknął; chciał się go pozbyć, tak jak pozbył się matki, i przez długi czas Wylan pragnął dokładnie tego samego. Dopiero gdy przybył do Baryłki, znalazł pierwszą pracę, a potem poznał Jespera, Kaza i Inej, zaczęło do niego docierać, że jednak może być coś wart.

Życzenie Jana Van Ecka się nie spełni. Wylan nigdzie się nie wybierał.

– Jestem tu dla niej – powiedział do lustra.
Chyba nie zaimponował odbiciu rumianego chłopaka.



O wschodzie słońca Pim wyprowadził Wylana i Colma tylnym wyjściem, skąd labiryntem krętych uliczek dotarli na plac przed Giełdą. Piekarnia przy Beurstraat powinna być o tej porze otwarta i obsługiwać kupców i brokerów w drodze do pracy, ale zapowiedź aukcji wywróciła codzienną rutynę do góry nogami i piekarz zamknął sklep, być może po to, by zawnocować zająć dobre miejsce i osobiście śledzić licytację.

Spędzili nieznośnie długą chwilę przed drzwiami piekarni na pustym placu, kiedy Pim majstrował przy zamku. Wylan zdał sobie sprawę, że przyzwyczyił się do zręczności, z jaką Kaz otwierał zamki wytrychem. W końcu drzwi się otworzyły (z nieco zbyt głośnym szczęknięciem) i wszyscy trzej wylądowali w środku.

– Żadnych żałobników – powiedział Pim i zanim Wylan zdążył zareagować, wyszedł z powrotem na plac.

Skrzynki i formy były puste, w powietrzu unosił się zapach pieczywa i cukru. Wylan i Colm usadowili się na podłodze oparci plecami o regały, poszukując jak najwygodniejszej pozycji. Kaz wydał im bardzo szczegółowe instrukcje, których Wylan nie zamierzał lekceważyć. Johannus Rietveld miał zniknąć z miasta, a Wylanowi nikt nie musiał tłumaczyć, co zrobiłby z nim ojciec, gdyby natknął się na niego na ulicach Ketterdamu.

Mijały godziny, a oni siedzieli w milczeniu. Colm drzemał. Wylan nucił pod nosem melodię, która od dłuższego czasu chodziła mu po głowie; przydałaby się w niej perkusja, wybijając rytm *rat-a-tat-tat* podobny do odgłosu strzelaniny.

Kiedy ostrożnie wyjrzał przez okno, dostrzegł kilku ludzi zmierzających w stronę Kościoła Handlu, fruwające nad placem szpaki i odległe o kilkaset jardów wejście do gmachu Giełdy. Nie musiał umieć czytać, by rozpoznać wyryte nad łukiem słowa – ojciec powtarzał je mnóstwo razy: *Enjent, Voorhent, Almhent*. Pracowitość. Uczciwość. Dobrobyt. Z tych trzech rzeczy dwie wychodziły Janowi Van Eckowi doskonale.

Nie zauważył, że Colm nie śpi, dopóki ten się nie odezwał: – Dlaczego wtedy w grobowcu okłamałeś mnie, żeby chronić mojego syna?

Wylan usiadł z powrotem i odpowiedział, starannie dobierając słowa: – Chyba dlatego, że wiem, jak szkodliwe mogą być nieporozumienia.

Colm westchnął.

– Jesper wielu rzeczy nie rozumie. To raptus i głuptas, w dodatku ma skłonność do żartowania w niewłaściwych momentach, ale...

Wylan czekał na ciąg dalszy.

– Zmierzam do tego – podjął Colm – że naprawdę potrafi napsuć człowiekowi krwi, ale jest tego wart.

– Ja...

– A poza tym to moja wina, że taki jest. Chciałem go chronić, ale nie mogę wykluczyć, że mimowolnie obarczyłem go brzemieniem cięższym od wszystkich grożących mu niebezpieczeństw.

Nawet w słabiutkim świetle wschodzącego słońca, sączącym się przez szparę w zasłonach, Colm wydał się Wylanowi okrutnie znużony.

– Popełniłem poważne błędy – dodał.

Wylan palcem narysował kreskę na podłodze.

– Dzięki tobie zawsze miał kogoś, do kogo mógł uciec – odparł. – Bez względu na to, co zrobił albo co poszło nie tak. To się chyba liczy bardziej niż najpoważniejsze nawet błędy.

– Widzisz? To dlatego tak cię lubi. Wiem, wiem, to nie moja sprawa, a zresztą i tak nie mam pojęcia, czy będziecie do siebie pasowali. Pewnie nieraz przyprawi cię o ból głowy. Ale osobiście uważam, że byłbyś dla niego w sam raz.

Wylan raptownie poczerwieniał. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo Colm kocha Jespera; widział tę miłość w każdym jego geście. To nie byle co, że uznał Wylana za godnego jego syna.

Od strony tylnego wejścia dobiegł jakiś dźwięk. Na moment obaj zamarli.

Wylan wstał z walącym sercem.

– Pamiętaj – upomniał Colma. – Nie pokazuj się.

Wyminąwszy piec, skierował się na zaplecze. Zapachy były tu intensywniejsze, a ciemność głębsza, ale alarm był fałszywy.

– To nie...

Tylne wejście otworzyło się z impetem, czyjeś ręce złapały Wylana od tyłu, ktoś szarpnął mu głowę wstecz, otworzył przemocą usta i wepchnął w nie szmatę, po czym zarzucił mu worek na głowę.

– Cześć, kupiecki synku – zabrzmiał obcy męski głos. – Gotowy na spotkanie z tatulką?

Wykręcili mu ręce i tylnym wyjściem wywlekli go z piekarni. Potykał się, z trudem trzymał na nogach, nic nie widział, nie miał pojęcia, dokąd go prowadzą, w końcu upadł i boleśnie obił sobie kolana o bruk. Ktoś szarpnięciem postawił go na nogi.

– Tylko żebym nie musiał cię nieść. Za to mi nie płacą.

– Tędy – rozległ się inny głos, należący do kobiety. – Pekka czeka na południe od kościoła.

– Stać. Kogo tam macie?

Sądząc po władczej nucie w głosie, musiał to być ktoś ze *stadwacht*.

– Kogoś, z kim radny Van Eck bardzo chętnie się spotka.

– Z ekipy Kaza Brekkera?

– Pędź do radnego, jak na grzecznego trepa przystało, i powiedz mu, że Lwy za Dychę mają dla niego prezent. Czekaemy w kaplicy wojskowej.

Gdzieś z niedaleka dobiegał zgiełk tłumu. Czyżby zbliżali się do kościoła? Chwilę później ktoś szarpnął Wylana w przód i dźwięki rozbrzmiały inaczej: znaleźli się w jakimś wnętrzu. Zrobiło się chłodniej i nieco ciemniej. Został wciągnięty po schodach na górę,

objając sobie piszczele o krawędzie stopni, a potem, wciąż ze związanymi z tyłu rękami, posadzony na krześle.

Usłyszał kroki na schodach i odgłos otwieranych drzwi.

– Mamy go – zabrzmiał znajomy już basowy głos.

– Gdzie był?

Serce Wylana na moment przestało bić. Przypomniał sobie słowa ojca: „No wyduś to z siebie. Dzieci dwa razy młodsze od ciebie umieją to przeczytać”.

A wydawało mu się, że jest na to przygotowany.

– Brekker ukrył go w piekarni niedaleko stąd.

– Jak go znaleźliście?

– Pekka kazał nam przeszukać okolicę. Spodziewa się, że Brekker będzie chciał wykreć jakiś numer na aukcji.

– Z pewnością po to, żeby mnie upokorzyć – powiedział Van Eck.

Ktoś zerwał worek i Wylan spojrzał ojcu w oczy.

Van Eck pokręcił głową.

– Za każdym razem, kiedy myślę, że już bardziej nie mogę się na tobie zawieść, udowadniasz mi, że się myłę.

Znajdowali się w małej kaplicy z kopulastym sklepieniem. Olejne malowidła na ścianach przedstawiały sceny batalistyczne i stosy uzbrojenia. Jej fundatorem musiał chyba być ród zbrojmistrzów.

Przez ostatnie dni Wylan pilnie studiował plany Kościoła Handlu, wspólnie z Inej analizował rozkład wnęk i zagłębień w dachu, szkicował główną bryłę budynku i nawy rozchodzące się od niej na boki niczym palce Ghezena. Dlatego dokładnie wiedział, dokąd trafił: do jednej z kaplic na czubku małego palca. Na podłodze leżał dywan, jedyne drzwi prowadziły na schody, a jedyne okna na dach. Nawet gdyby nie miał knebla, wątpliwe było, by jego wołanie o pomoc usłyszał ktokolwiek poza postaciami na obrazach.

Za Van Eckiem stało dwoje ludzi: blondynka w spodniach w paski z na wpół ogoloną głową i krzepki chłopak w kraciastej koszuli i spodniach na szelkach. Oboje nosili na ramionach fioletowe opaski służby pomocniczej *stadwachty*. Oboje mieli też tatuaże Lwów za Dychę.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mam iść po Pekkę? – zapytał Van Ecka.

– Nie trzeba. Niech pilnuje przygotowań do licytacji. Tą sprawą sam się zajmę. – Van Eck pochylił się nad Wylanem. – Posłuchaj, chłopcze: Zjawę widziano w towarzystwie członkini Triumwiratu Griszów. Wiem, że Brekker działa ręką w rękę z Ravkańczykami. Masz wiele braków, ale jednak w twoich żyłach wciąż płynie moja krew. Dlatego, jeśli mi powiesz, co planuje Brekker, dopilnuję, żeby nie stała ci się krzywda. Zapewnię ci stały dochód, będziesz mógł sobie gdzieś wygodnie zamieszkać... Teraz wyjmę ci knebel. Jeśli zaczniesz krzyczeć, zostawię cię na pastwę kompanów Pekki; niech z tobą robią, co chcą. Rozumiemy się?

Wylan skinął głową. Ojciec wyciągnął mu szmatę z ust.

Wylan przesunął językiem po wargach i splunął ojcu w twarz.

Van Eck wyjął z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę z monogramem i wyhaftowanym czerwonym wawrzynem.

– Stosowna riposta ze strony kogoś, kto ledwie sobie radzi ze składaniem zdań. – Starł ślinę z twarzy. – Spróbujmy jeszcze raz: powiedz mi, co knują Brekker z Ravkańczykami, to może zostawię cię przy życiu.

– Tak jak zostawiłeś moją matkę?

Van Eck wzdrygnął się ledwo zauważalnie, jak marionetka, którą ktoś szarpnął za sznurki, a potem dał jej spokój. Złożył chusteczkę na czworo i schował z powrotem. Skinął na towarzyszących mu chłopca i dziewczynę.

– Róbcie, co trzeba. Do licytacji została niespełna godzina; do tego czasu muszę znać odpowiedzi.

– Podnieś go i przytrzymaj – polecił dziewczynie chłopak, zakładając na dłoń wyjęty z kieszeni kastet. – Urody mu od tego nie przybędzie – uprzedził.

Dziewczyna postawiła Wylana na nogi.

– Kogo to obchodzi? – Van Eck wzruszył ramionami. – Byle nie stracił przytomności. Zależy mi na uzyskaniu informacji.

Chłopak zmierzył Wylana sceptycznym spojrzeniem.

– Na pewno tego właśnie chcesz, kupiecki synku?

Wylan przywołał całą brawurę, jakiej nauczył się od Niny, siłę woli, którą imponował mu Matthias, koncentrację, jaką demonstrował Kaz, odwagę Inej i dziką, nierozważną nadzieję, którą tak cenił u Jespera, wiarę w to, że zwycięży bez względu na okoliczności.

– Nic nie powiem – odparł.

Pierwszy cios złamał mu dwa zębra. Po drugim zaczął pluć krwią.

– Może powinniśmy połamać ci palce, żebyś więcej nie mógł grać na tej przeklętej fujarce – zasugerował Van Eck.

Jestem tu dla niej, upomniał się w duchu Wylan. Jestem tu dla niej.

Nie był Niną, Matthiasem, Kazem, Inej ani Jesperem. Był tylko Wylanem Van Eckiem.

Dlatego w końcu wszystko im powiedział.

waramyr



Tego ranka przedostanie się do Kościoła Handlu nie było zadaniem łatwym. Ze względu na bliskość Giełdy i Beurscanal dach budynku nie przytykał do innych dachów, a zanim Inej zjawiła się na miejscu, wejścia zostały obstawione przez strażników. Nie na darmo była jednak Zjawą – jak nikt inny umiała wyszukiwać ukryte przejścia, szpary i zakamarki, do których zaglądać nikomu nie przyszłoby do głowy.

Uczestników i obserwatorów licytacji obowiązywał zakaz posiadania broni, dlatego to Inej przytroczyła sobie do pleców karabin Jespera. Czekwała w dyskretnym miejscu, aż wypatrzyła grupę trepów ze *stadwachty* wlokących wóz wyładowany drewnem w stronę dwuskrzydłowych drzwi kościoła; należało się domyślać, że potężne bale zostaną użyte do budowy trybun, przed którymi rozegra się aukcja. Odczekała jeszcze chwilę, a kiedy trepy przystanęły, schowała kaptur pod koszulę, żeby nie wśliznął się po ziemi, i wśliznąwszy się pod wóz, uczepiła się jego osi i zawisała dosłownie kilka cali nad ziemią. W ten sposób dała się wwieźć do kościoła, gdzie, nie czekając, aż pojazd dotrze do ołtarza, wysliznęła się spod niego i ukryła wśród ławek, cudem uniknąwszy rozjechania.

Przezołgała się po zimnej posadzce, wyczekała dogodny moment i przeskoczyła za jedną z zachodnich kolumn głównej nawy. Przemykając od kolumny do kolumny, trafiła w końcu do tej części nawy, z której był dostęp do kaplic na końcach palców. Znowu przypadła do ziemi, kryjąc się za ławkami; nie wiedziała, gdzie może spodziewać się patroli, a nie zamierzała dać się przyłapać na spacerowaniu po kościele.

Dotarłszy do kaplicy na parterze, wspięła się po schodach do pomarańczowej kaplicy na wyższej kondygnacji. Pośrodku złoconego ołtarza, przywodzącego na myśl spiętrzone skrzynki pomarańczy i innych egzotycznych owoców, znajdował się olejny obraz DeKappela przedstawiający odzianą w czerń rodzinę kupiecką, która, stojąc we wnętrzu dłoni Ghezena, unosiła się nad cytrusowym sadem.

Inej wspięła się na ołtarz, złapała występu na kopulasto wysklepionym suficie i zaczęła się wspinać dalej. Dotarłszy niemal do samego środka głównej kopuły, wcisnęła się plecami we wnętrze drugiej, mniejszej, posadowionej na tej głównej jak kapelusz na

czubku głowy. Nie spodziewała się wprawdzie, żeby ktoś ją usłyszał, ale poczekała, aż w powietrzu poniosą się dźwięki piłowania i wbijania gwoździ, po czym wycelowała stopą w jedno z wąskich okien w górnej kopułce i kopnęła z całej siły. Przy drugiej próbie szyba pękła i odłamki szkła posypały się na zewnątrz. Schowała dłoń w rękaw, wytłukła z ramy ocalałe odłamki i ostrożnie wyczołgała się na zewnętrzną powierzchnię kopuły. Umocowawszy do okna linę, zjechała po niej na dach nawy i zostawiła tam karabin; nie chciała, by zaburzał jej równowagę.

Stała na kciuku Ghezena. Słońce pomału wypalało poranną mgłę, zapowiadał się gorący dzień. Cofnęła się po kciuku do stromego dachu głównej nawy i znów zaczęła się wspinać.

Była to najwyższa część budynku, ale poruszanie się w znajomym terenie przychodziło jej z łatwością. Ze wszystkich dachów w mieście to właśnie dach Kościoła Handlu lubiła najbardziej. Nie miała dobrego powodu, żeby nauczyć się na pamięć jego kształtu; w okolicy nie brakowało innych dogodnych punktów obserwacyjnych, skąd w razie potrzeby mogła mieć na oku Giełdę albo Beurscanal, ale za każdym razem, gdy wymagało tego zadanie, wybierała kościół. Jego iglice było widać prawie z każdego miejsca w Ketterdamie, a kryty miedzią dach – pocięty ozdobnym metalowym żebrowaniem i dawno pozieleniał od śnieży – obfitował w dogodne chwytaki, stopnie i kryjówki. Czuła się na nim jak w dziwnej, szarozielonej krainie baśni, której oprócz niej nikt nie oglądał.

Kiedy odzywał się w niej linoskoczek, wyobrażała sobie, jak idzie po linie rozpiętej pomiędzy najwyższymi iglicami.

„Kto śmie spojrzeć śmierci w oczy?”

„Ja!”

Kercheni uznałoby pewnie akrobatykę na dachu ich głównej świątyni za bluźnierstwo.

Chyba żeby postanowiła pobierać opłatę za wstęp.

Podłożyła ładunki wybuchowe (ich „polisę ubezpieczeniową”, jak to ujął Kaz) w miejscach, które ustaliła wspólnie z Wylanem, ślęcząc nad planami kościoła. Chyba tylko w umyśle Kaza chaos mógł się równać bezpieczeństwu. Bomby miały narobić dużo hałasu, lecz niewiele szkód; gdyby coś poszło nie po ich myśli i potrzebowaliby pilnie wywołać zamieszanie, ładunki powinny spełnić swoją rolę.

Uporawszy się z tą częścią zadania, zajęła pozycję wśród żelaznych dźwigarów ponad apsydą i rozległą nawą główną, gdzie widok przesłaniały jej tylko drobniejsze elementy konstrukcyjne i rozpięta między nimi druciana siatka. Przychodziła tu czasem, żeby posłuchać muzyki organowej albo chóru głosów łączących się w śpiewie. Kiedy wysoko nad miastem dźwięk organów niósł się echem wśród kamiennych ścian, czuła się bliżej świętych.

Akustyka wnętrza była doskonała – gdyby Inej miała na to ochotę, mogłaby śledzić każde słowo kazania, ale postanowiła puścić tę część uroczystości mimo uszu. Ghezen nie był jej bogiem, nie miała więc ochoty słuchać o tym, w jaki sposób mogłaby mu lepiej służyć. Nie podobał jej się również jego ołtarz: pozbawiony wdzięku płaski głaz, wokół którego zbudowano kościół. Niektórzy nazywali go Pierwszą Kuźnią, inni Moździerzem.

Tego dnia miał być wykorzystany jako scena aukcji.

Na tę myśl zrobiło jej się niedobrze. Teoretycznie była kontraktowcem, który z własnej, nieprzymuszonej woli przybył do Kerchu. Tak w każdym razie stwierdzały dokumenty, pomijając zarazem historię jej uprowadzenia, dni zgrozy pod pokładem statku niewolniczego, upokorzenia, jakie musiała zność z rąk Tante Heleen, a także jej żalną egzystencję w Menażerii. Kerch został zbudowany na handlu – lecz jak dużą jego część stanowił handel ludźmi? Ile pieniędzy miasto zawdzięczało podatkom z domów uciech, gdy kapłan Ghezena przed tym ołtarzem pomstował na niewolnictwo? Ilu wiernych z tego kościoła zatrudniało dzieci, które ledwie mówiły po kercheńsku, a szorowały podłogi i sortowały pranie za nędzne grosze, żeby spłacić dług, który nigdy nie malął?

Gdyby za swoją część pieniędzy kupiła statek, mogłaby przyłożyć rękę do zmiany tego stanu rzeczy. O ile tylko dożyje najbliższego wieczoru. Wyobraziła sobie ich wszystkich – Kaza, Ninę, Matthiasa, Jespera, Wylana i Kuweia, który w tak nieznacznym stopniu decydował o swoim życiu – balansujących obok siebie na linie, powiązanych nicią nadziei i wzajemnego zaufania.

Pekka na pewno przyjdzie do kościoła; należało się spodziewać, że Dunyasha też będzie gdzieś w pobliżu. Inej nazwała białobursztynową dziewczynę swoim cieniem, ale może Dunyasha była także znakiem, przypomnieniem, że Inej nie jest stworzona do takiego życia, lecz mimo to trudno było jej nie wierzyć, że to miasto jest jej domem i że to Dunyasha jest w nim obca.

Odprowadziła wzrokiem strażników, którzy po raz ostatni przeczesywali wszystkie kaplice i zakamarki kościoła. Wiedziała, że mogą posłać paru odważnych do przeszukania dachu, ale na górze nie brakowało kryjówek, a w ostateczności zawsze mogła wśliznąć się z powrotem pod kopułę i przeczekać najście.

Strażnicy zajęli stanowiska i kapitan zaczął wydawać polecenia, gdzie należy usadzić członków Rady Kupieckiej. Mignął jej uniwersytecki medykus, który miał potwierdzić dobry stan zdrowia Kuweia. Jeden ze strażników wtoczył do kościoła podium na kółkach przeznaczone dla głównego bohatera licytacji. Z irytacją odnotowała obecność Lwów za Dychę, które do spółki ze *stadwachtą* patrolowały świątynię: ludzie Rollinsa prężyli piersi, napawali się świeżo zdobytą władzą, dumnie obnosili się z fioletowymi przepaskami na rękach i śmiali się do rozpuku. Funkcjonariusze *stadwachty* nie byli tym zachwyceni. Dostrzegła też co najmniej dwóch kupców, którzy z wyraźną podejrzliwością obserwowali rozwój wydarzeń. Czyżby przyszło im do głowy, że się przeliczyli, dzieląc się władzą z bandziorami z Baryłki? To Van Eck poprosił Rollinsa do tańca, ale Inej powątpiewała, by król Baryłki długo dał się grzecznie prowadzić.

Powiodła wzrokiem po dachach miasta aż do portu i górujących nad nim czarnych obelisków. Nina miała rację, kiedy twierdziła, że członkowie Rady Pływów będą woleli nie wychylać się ze swoich wież. Chociaż, biorąc pod uwagę fakt, że nikt nie znał ich tożsamości, równie dobrze mogli właśnie zasiadać w kościelnych ławach. Spojrzała w stronę Baryłki. Miała nadzieję, że Nina pozostała niezauważona i nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo: koncentracja sił *stadwachty* w okolicy kościoła powinna ułatwić

poruszanie się po ulicach.

Wczesnym popołudniem ławki zaczęły się zapełniać ciekawskimi obserwatorami: handlarzami samodziąłem, łobuziakami znad Klepek wystrojonymi w zgodzie z najnowszą Baryłkową modą, oraz kupcami w czerni, którym czasem towarzyszyły małżonki – ich okolone opiętymi warkoczami blade twarze wznosiły się ponad koronkowymi kołnierzykami.

Następnie przybyło fjerdańskie poselstwo: złotowłosi i złotoskórzy dyplomaci odziani w srebro i biel, eskortowani przez czarno umundurowanych *drüskelle*. Już samym wzrostem budzili powszechny szacunek. Inej domyślała się, że Matthias zna niektórych z nich, być może z niektórymi służył nawet w jednym oddziale. Ciekawe, jak teraz wyglądałoby ich spotkanie, po tym, jak został ogłoszony zdrajcą.

Delegacja z Nowoziemia została przy wejściu pozbawiona broni i wkroczyła do kościoła z pustymi kaburami u pasa. Mężczyźni nie ustępowali wzrostem *drüskelle*, byli jednak drobniejszej budowy. Niektórzy mieli skórę jasnobrązową jak Inej, inni ciemniejszą, bardziej w typie Jespera; jedni golili głowy, inni nosili grube warkocze i koki. Pomiędzy przedostatnim a ostatnim rzędem rozpoznała samego Jespera, który choć raz nie wyróżniał się z tłumu wzrostem: z postawionym kołnierzem płaszcz z woskowanej bawełny i kapeluszem zsuniętym na oczy był praktycznie nie do rozpoznania. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Kiedy zjawili się Ravkańczycy, szmer w kościele wzniósł się do głośnego ryku. Ciekawe, co ci wszyscy straganiarze, kupcy i łobuzy z Baryłki myśleli o tym międzynarodowym zlocie.

Ravkańskiej delegacji przewodził mężczyzna w turkusowym surducie. Otaczali go żołnierze w jasnoniebieskich mundurach. To musiał być sam legendarny Sturmhond we własnej osobie. Towarzyszyły mu idące po bokach Zoya Nazyalensky i Genya Safin, a on sam szedł swobodnym krokiem, emanując pewnością siebie, jakby uczestniczył w inspekcji jednego ze swoich statków. Może Inej powinna była spotkać się z Ravkańczykami, kiedy miała po temu okazję? Przez miesiąc w załodze Sturmhonda mogłaby się wiele nauczyć.

Fjerdanie wstali i przez moment zanosilo się na to, że wybuchnie walka, gdy *drüskelle* niechętnym wzrokiem mierzyli ravkańskich żołnierzy. Na szczęście natychmiast interweniowali dwaj członkowie Rady Kupieckiej wsparci przez oddział *stadwachty*.

– Kerch jest terytorium neutralnym – upomniał obie strony jeden z kupców piskliwym ze zdenerwowania głosem. – Spotkaliśmy się tutaj, by handlować, nie prowadzić wojnę.

– Ktokolwiek nie uszanuje świętości Kościoła Handlu, zostanie wykluczony z licytacji – dodał drugi, gestykulując gwałtownie, aż furkotały czarne rękawy jego szaty.

– Dlaczego wasz słaby król chce być reprezentowany przez brudnego pirata? – zadrwił fjerdański ambasador. Jego słowa poniosły się echem po wnętrzu kościoła.

– Korsarza – poprawił go Sturmhond. – Pewnie uznał, że nieprzeciętna prezencja będzie działać na moją korzyść. Chociaż tam, skąd pochodzicie, nie ma to pewnie znaczenia, prawda?

– Dumny jak paw i jak paw głupi. Cuchniesz griszą.

Sturmhond powęszył w powietrzu.

– Właściwie to aż się dziwię, że jesteś w stanie cokolwiek wyczuć w tym odorze lodu i chowu wsobnego – odparował.

Fjerdański ambasador sfioretowiał na twarzy. Jeden z jego towarzyszy czym prędzej go odciągnął.

Inej przewróciła oczami. Ci dwaj byli gorsi niż szefowie gangów, którzy stanęli naprzeciw siebie w Baryłce.

Naburmuszeni i pomrukujący pod nosem Fjerdanie i Ravkańczycy zajęli swoje miejsca po przeciwnych stronach głównego przejścia. Do zgromadzenia dołączyła jeszcze dyskretnie delegacja kaelska, zanim wszyscy znów zerwali się na równe nogi. Ktoś krzyknął:

– Shu Han!

Oczy wszystkich zwróciły się ku dwuskrzydłowym wrotom, przez które wkraczał właśnie pochód przedstawicieli Shu Hanu: oliwkowe mundury ze złoceniami i powiewająca nad nimi fala czerwonych chorągwi z wizerunkami koni i kluczy. Z kamiennymi twarzami delegacja przemaszerowała pomiędzy ławami, po czym znieruchomiała, gdy ambasador ze złością upomniał się o miejsca w pierwszych rzędach i oskarżył organizatorów o faworyzowanie Fjerdan i Ravkańczyków poprzez udostępnienie im miejsc bliżej podium.

Czy byli wśród nich kherguudowie? Inej spojrzała na jasne wiosenne niebo. Nie podobała jej się perspektywa porwania w powietrze przez skrzydlatego żołnierza.

W końcu Van Eck porzucił swoje dyskretne stanowisko w okolicy podium, wyszedł na środek nawy i warknął ze złością:

– Jeżeli chcieliście siedzieć z przodu, trzeba było sobie darować teatralne wejście i po prostu przyjść wcześniej.

Przepychanka trwała jeszcze chwilę, zanim w końcu goście z Shu Hanu zajęli wskazane miejsca. Tłum zareagował głośnymi pomrukami i pytającymi spojrzeniami. Większość gapiów nie miała pojęcia, ile wart jest Kuwei, i słyszała co najwyżej plotki o istnieniu narkotyku znanego jako *jurda parem*, toteż nie potrafili zrozumieć, dlaczego aukcja kontraktu jakiegoś chłopca z Shu Hanu sprowadziła tylu poważnych kupców. Ci nieliczni przedstawiciele Kerchu, którzy zasiedli bliżej ołtarza z zamiarem udziału w licytacji, skonfundowani spoglądali po sobie, kręcili głowami i bezradnie wruszali ramionami. Stawało się oczywiste, że to nie będzie zabawa dla przypadkowych graczy.

Kościelne dzwony zaczęły wybijać trzecią tuż po tym, jak obwieściły ją dzwony z wieży zegarowej Geldrennera. W kościele zapadła cisza. Przedstawiciele Rady zebrali się na podwyższeniu... i nagle wszystkie głowy zwróciły się w jednym kierunku: olbrzymie wrota otworzyły się ponownie i do środka wszedł Kuwei Yul-Bo w asyście Kaza, Matthiasa i zbrojnej eskorty *stadwachty*. Matthias włożył skromny podróżny strój, ale i tak wyglądał jak żołnierz na defiladzie. Za to Kaz – z podbitym okiem i rozciętą wargą – sprawiał jeszcze gorsze wrażenie niż zazwyczaj. Idealnie odprasowany czarny garnitur niewiele zmieniał.

Natychmiast rozległy się krzyki, chociaż trudno byłoby powiedzieć, kto robi największy harmider. Oto dwaj z najbardziej poszukiwanych przestępców w mieście kroczyli główną nawą Kościoła Handlu. Na widok Kaza rozstawione w całym kościele Lwy za Dychę zaczęły głośno buczeć. Z kolei *drüskelle* natychmiast rozpoznali Matthiasa i zaczęli miotać w jego kierunku najgorsze (jak domyślała się Inej) fjerdańskie obelgi.

Uświęcona prawem instytucja licytacji chroniła Kaza i Matthiasa, ale tylko do chwili, gdy prowadzący ją urzędnik po raz ostatni stuknie młotkiem. Mimo to żaden z nich nie wyglądał na przejętego tą perspektywą: szli wyprostowani, patrząc przed siebie i prowadząc między sobą Kuweia.

Kuweia, który radził sobie nieco gorzej. Przybysze z Shu Hanu powtarzali w kółko jedno i to samo słowo:

– *Sheyao! Sheyao!*

Cokolwiek oznaczało, Kuwei po każdym okrzyku coraz bardziej się kulił.

Wyznaczony przez miasto licytator zajął miejsce na podium obok ołtarza. Był nim Jellen Radmakker, jeden z inwestorów zaproszonych wcześniej na przedstawioną przez Jespera nedorzeczną prezentację poświęconą kontraktom na dostawę nowoziemskiej ropy. Przeprowadziwszy na zlecenie Kaza dokładne śledztwo, Inej wiedziała teraz, że Radmakker jest człowiekiem pobożnym i na wskroś uczciwym, a jedyną bliską mu osobą jest nie mniej od niego pobożna siostra, która w służbie Ghezena całymi dniami szorowała posadzki w budynkach użyteczności publicznej. Radmakker miał bladą cerę i krzaczaste rude brwi, które w połączeniu z przygarbioną sylwetką upodabniały go do olbrzymiej krewetki.

Inej rozejrzała się wśród iglic kościoła i dachów bocznych naw, rozchodzących się promieniście z dłoni Ghezena, a gdy nigdzie nie dostrzegła patroli, poczuła się niemal urażona. Cóż, może Pekka Rollins i Jan Van Eck zaplanowali dla niej coś innego.

Radmakker ze złością trzykrotnie uderzył młotkiem w podkładkę.

– Spokój! – zagrzmiął.

Zgiełk w nawie przycichł do niezadowolonego pomruku.

Kuwei, Kaz i Matthias weszli na podwyższenie i zajęli miejsca przy podium; Kaz z Matthiasem częściowo zasłonili wciąż roztrzęsionego Kuweia.

Radmakker odczekał, aż tłum całkowicie się uciszy, po czym przedstawił najpierw regulamin aukcji, a następnie warunki oferowanego na sprzedaż kontraktu Kuweia.

Inej spojrzała na Van Ecka. Ciekawe, co czuje w tej chwili, gdy od dawna wymarzona nagroda znalazła się na wyciągnięcie ręki. Na jego twarzy malowała się niecierpliwość, ale i zadowolenie z siebie.

On już planuje następne posunięcie, uświadomiła sobie.

Jeżeli Ravka nie wygra licytacji (a zważywszy na opróżniony po wojnie skarbiec, nie mogła jej wygrać), jego życzenie się spełni: cały świat pozna tajemnicę *jurdy parem*, cena *jurdy* wystrzeli pod niebo, a on – dzięki potajemnie skupowanym nowoziemskim plantacjom oraz inwestycji w konsorcjum Johannusa Rietvelda – stanie się bogaty ponad wszelkie wyobrażenie.

Na dany przez Radmakкера znak łysy jak kolano medykus z uniwersytetu sprawdził puls Kuweia, zmierzył jego wzrost, osłuchał go, obejrzał mu zęby i język. Całe to dziwaczne przedstawienie nieprzyjemnie przypominało Inej oględziny przeprowadzane przez Tante Heleen na pokładzie statku niewolniczego.

Medykus skończył i zamknął torbę.

– Proszę o werdykt – odezwał się Radmakker.

– Chłopak jest zdrowy.

Radmakker zwrócił się do Kuweia:

– Czy z własnej i nieprzymuszonej woli zgadzasz się podporządkować przepisom licytacji i uszanować jej wynik?

Jeżeli Kuwei coś powiedział, to Inej go nie usłyszała.

– Głośniej, chłopcze.

– Tak – wykrztusił Kuwei. – Zgadzam się.

– W takim razie zaczynamy.

Medykus zszedł z podwyższenia.

Radmakker uniósł młotek.

– Kuwei Yul-Bo zgodził się na przeprowadzenie licytacji i niniejszym oferuje swoje usługi za uczciwą cenę, zgodną z wolą Ghezena. Licytacja będzie prowadzona w *kruge*. Uczestnicy niezgłaszający ofert proszeni są o zachowanie ciszy. Wszelkie próby zakłócenia aukcji, a także licytowania w złej wierze, zostaną ukarane z pełną surowością kercheńskiego prawa. Cena wywoławcza: jeden milion *kruge*. – Licytator zawiesił głos. – W imię Ghezena... zaczynamy.

Aukcja ruszyła z kopyta, tak że Inej ledwie nadążała ze śledzeniem kolejnych ofert. Radmakker potwierdzał każde zgłoszenie uderzeniem młotka i głośno powtarzał ofertę.

– Pięć milionów *kruge*! – zawołał ambasador Shu Hanu.

– Pięć milionów – powtórzył licytator. – Czy będzie sześć?

– Sześć – potwierdzili Fjerdanie.

Pośpieszne słowa Radmakкера niosły się echem jak odgłosy wystrzałów. Fjerda i Shu Han przerzucali się liczbami, Sturmhond spokojnie czekał, a nowoziemski delegat podbijał cenę z rzadka i raczej ostrożnie, próbując uspokoić licytację. Kaelczycy w milczeniu obserwowali przebieg aukcji, a Inej zastanawiała się, jak dużo wiedzą i czy nie chcą, czy po prostu nie mogą licytować.

Podeksytowani ludzie wstawali z miejsc. Dzień był ciepły, ale wydarzenia w kościele dodatkowo podnosiły temperaturę. Widzowie wachlowali się dla ochłody, a członkowie Rady, przywodzący na myśl ławę przysięgłych złożoną ze srok, zaczęli ocierać spoczone czoła.

Kiedy licytacja doszła do czterdziestu milionów, Sturmhond podniósł w końcu rękę.

– Pięćdziesiąt milionów *kruge* – powiedział.

W Kościele Handlu zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Nawet Radmakker potrzebował chwili, żeby ochłonać i powtórzyć:

– Pięćdziesiąt milionów *kruge*. Oferta delegacji ravkańskiej.

Kupcy z Rady szeptali między sobą, osłaniając usta dłonią, z pewnością podekscytowani spodziewaną wysokością prowizji od transakcji.

– Kto da więcej? – zapytał licytator.

Przedstawiciele Shu Hanu się naradzali. Fjerdanie również rozmawiali między sobą, chociaż w ich wypadku wyglądało to raczej na kłótnię niż rzeczową dyskusję. Nowoziemcy czekali na rozwój sytuacji.

– Sześćdziesiąt milionów *kruge* – obwieścił w końcu Shu Han.

Przebicie o dziesięć milionów – tak jak przewidywał Kaz.

Fjerdanie podbili cenę do sześćdziesięciu milionów dwustu tysięcy. Było widać, że ich duma ucierpiała, kiedy zostali zmuszeni do tak skromnego przebicia, ale Nowoziemcom chyba również zaczęło zależeć na uspokojeniu emocji, bo zalicytowali sześćdziesiąt i pół miliona.

Rytm aukcji się zmienił, ceny rosły wolniej i długo utrzymywały się poniżej sześćdziesięciu dwóch milionów, za to po osiągnięciu tego progu Shu Han chyba stracił cierpliwość.

– Siedemdziesiąt milionów *kruge* – wypalił jego ambasador.

– Osiemdziesiąt milionów – odbił piłeczkę Sturmhond.

– Dziewięćdziesiąt! – zawołał ambasador, nie czekając już nawet na potwierdzenie oferty przez Radmakkera.

Nawet z tej wysokości usadowiona na swojej grzędzie Inej dobrze widziała pobladłą ze zgrozy twarz Kuweia. Cena poszybowała pod niebo zbyt wysoko i zbyt szybko.

– Dziewięćdziesiąt jeden milionów – zaoferował Sturmhond, ponieważ próbuje zapanować nad tym obłędem.

Ambasador Shu Hanu, jakby znudzony przedstawieniem, wystąpił naprzód i zagrział basowo:

– Sto dziesięć milionów *kruge*.

– Delegacja Shu Hanu oferuje sto dziesięć milionów *kruge*! – wykrzyknął Radmakker. Astronomiczna kwota zburzyła cały jego spokój. – Kto da więcej?

W Kościele Handlu zapadła cisza, jakby wszyscy wierni zgodnie pochyłili głowy w modlitwie.

Sturmhond wzruszył ramionami i parsknął drapieżnym śmiechem.

– Sto dwadzieścia milionów *kruge*! – zawołał.

Inej przygryzła wargę do krwi.

Bum!

Potężne wrota otworzyły się z impetem i do wnętrza runęła fala morskiej wody: przewaliła się przez nawę, spieniła wśród ławek i rozproszyła we mgłę. Podekscytowany szmer tłumu przeszedł w okrzyki przerażenia.

Do środka weszło gęsiego piętnaście odzianych w błękit postaci. Ich szaty rozwiewał niewyczuwalny wiatr, twarze przesłaniała mgła.

Uczestnicy licytacji dopominali się o broń, obejmowali się nawzajem, krzyczeli ze zgrozy. Inej dostrzegła kupca, który pochylony nad nieprzytomną żoną wachlował ją z

zapalem.

Nowo przybyli sunęli w głąb nawy; ich szaty falowały i marszczyły się jak leniwie poruszona woda.

– Jesteśmy Radą Pływów – oznajmiła postać na przedzie kobiecym głosem, cichym, lecz nieznoszącym sprzeciwu. Pod kapturem mgła okrywająca jej twarz burzyła się i falowała, tworząc wiecznie zmienną maskę. – Ta aukcja to oszustwo.

Publiczność odpowiedziała pomrukiem niedowierzania.

Inej zdążyła jeszcze usłyszeć, jak Radmakker apeluje o spokój, a potem instynktownie uskoczyła w lewo, usłyszawszy cichy świst. Malutkie okrągłe ostrze śmignęło obok niej w powietrzu, rozcięło rękaw jej koszuli i z metalicznym brzękiem zrykoszetowało na miedzianym pokryciu dachu.

– To było ostrzeżenie – powiedziała Dunyasha.

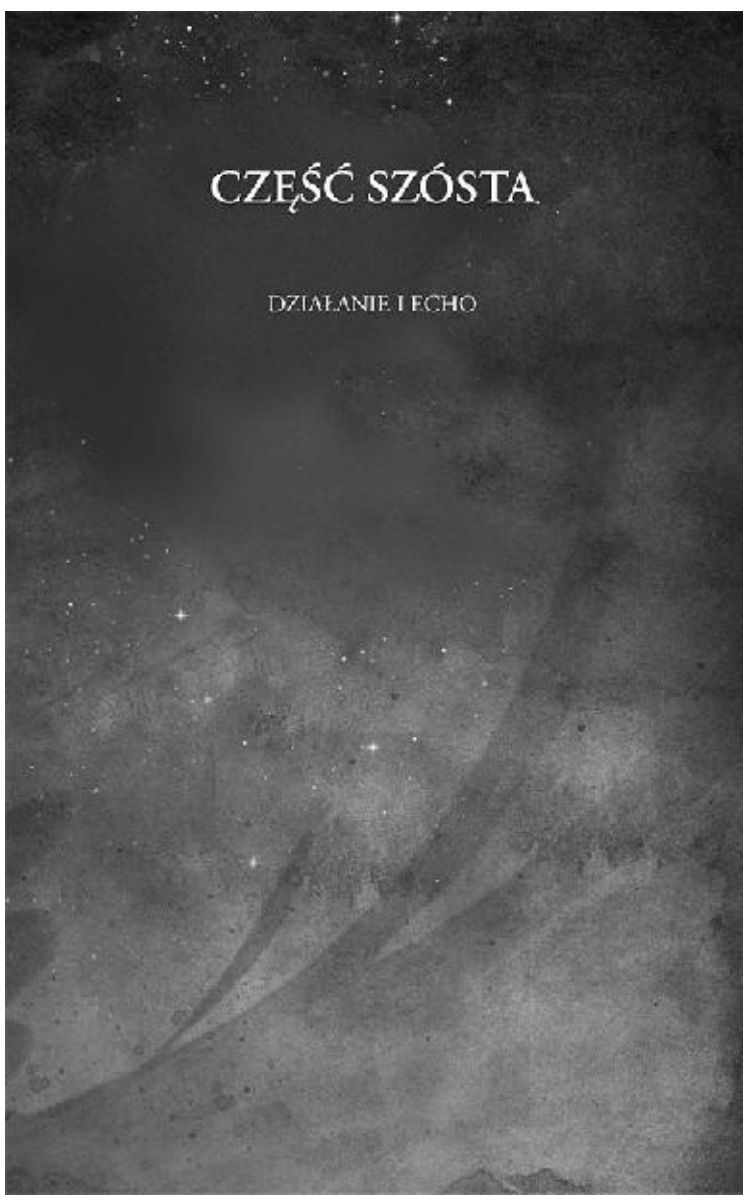
Przysiadła na ozdobnym wykończeniu jednej z wież kościoła w odległości trzydziestu stóp od Inej. Postawiony kaptur barwy kości słoniowej okalał jej twarz, która jaśniała jak świeży śnieg w promieniach popołudniowego słońca.

– Będę ci patrzeć w oczy, kiedy poślę cię na spotkanie śmierci – dodała.

Inej dobyła noży. Jej cień domagał się odpowiedzi.

CZEŚĆ SZÓSTA

DZIAŁANIE I ECHO





Matthias stał nieruchomo, chłonąc chaos, który zapanował w Kościele Handlu.

Był boleśnie świadomy obecności członków Rady Kupieckiej, którzy siedzieli za nim niczym stado odzianych w czerń kruków i skrzeczeeli jeden przez drugiego – wszyscy poza Van Eckiem, który zapadł się głęboko w fotelu, zetknąwszy dłonie czubkami palców, i z wyrazem najwyższego zadowolenia na twarzy śledził rozwój wydarzeń.

We wschodniej nawie oparty o kolumnę stał mężczyzna, w którym Matthias rozpoznał Pekkę Rollinsa; najprawdopodobniej celowo zajął takie miejsce, żeby Kaz nie mógł go nie zauważyć.

Radmakker bezskutecznie wołał o spokój; coraz bardziej podnosił głos, kępki jego jasnopomarańczowych włosów falowały gwałtownie przy każdym uderzeniu młotka. Trudno było powiedzieć, co bardziej wzburzyło publikę: fakt, że aukcja mogła być ustawiona, czy przybycie Rady Pływów. Kaz twierdził, że tożsamość wchodzących w jej skład akwatyków pozostaje nieznana; jeśli Brudnoręki i Zjawa nie byli w stanie przeniknąć ich tajemnicy, to z pewnością nie zrobił tego także nikt inny. Podobno poprzednim razem wystąpili publicznie przed dwudziestoma pięcioma laty, by zaprotestować przeciwko planowanemu wyburzeniu jednej z ich wież pod budowę nowej stoczni. Kiedy głosowanie poszło nie po ich myśli, przywołana przez nich potężna morska fala zmiotła Ratusz. Po tym wydarzeniu Rada zmieniła zdanie, a w miejsce starego Ratusza wybudowano nowy, osadzony na mocniejszych fundamentach.

Matthias zastanawiał się, czy kiedykolwiek oswoi się z takimi opowieściami o potężnej mocy griszów.

To tylko broń jak każda inna, tłumaczył sobie. Wszystko zależy od tego, kto nią włada.

Zapiekła nienawiść tkwiła w nim od tak dawna, że przerodziła się w instykt, a czegoś takiego nie da się wyplenić z dnia na dzień. Być może będzie się z nią zmagał już przez całe życie, jak Nina z *parem*. Nina... W tej chwili pewnie jest pochłonięta realizacją przypisanego jej zadania w Baryłce. Chyba że ktoś ją śledził i pojmał.

Opiekuj się nią, gdy ja nie mogę tego robić, pomodlił się w duchu do Djela.

Zbłądził wzrokiem na zajmującą pierwsze ławki fjerdańską delegację i wchodzących w jej skład *drüskelle*. Wielu z nich znał z imienia, podobnie jak oni znali jego. Wyraźnie czuł ich zdegustowanie. Zwłaszcza jeden chłopak, w pierwszym rzędzie, popatrywał na niego spode łba: oczy jak dwa lodowce, blond włosy tak jasne, że niemal białe, na dodatek cały aż drżał z tłumionej złości. Jakież to rany wykorzystali przełożeni, żeby nadać jego oczom taki wyraz?

Wytrzymał spojrzenie chłopaka, bez mrugnięcia okiem przyjął na siebie impet jego gniewu. Nie potrafił go nienawidzić. Kiedyś sam taki był.

W końcu chłopak odwrócił wzrok.

– Ta aukcja jest zgodna z prawem! – zaperzył się ambasador Shu Hanu. – Nie macie podstaw do jej przerwania!

Akwatycy z Rady Pływów w zgodnym geście unieśli ramiona i kolejna fala runęła przez otwarte drzwi, przewaliła się przejściem między ławkami, uniosła ponad głowami poselstwa Shu Hanu... i tak znieruchomiała.

– Cisza! – zarządziła rzeczniczka Rady Pływów. Oczekała chwilę, czy jeszcze ktoś ośmieli się protestować, a kiedy odpowiedziało jej milczenie, fala opadła i niczym srebrzysty wąż rozpełzła się po posadzce, nie czyniąc nikomu krzywdy. – Doszły nas wieści, że prawo licytacyjne zostało naruszone.

Matthias przeniósł wzrok na Sturmhonda, którego twarz przybrała wystudiowany wyraz leciutkiego zaskoczenia, ale nawet stąd, z odległości, było widać maskowane nim lęk i zatroskanie. Kuwei trząsł się na całym ciele i z zamkniętymi oczami mamrotał pod nosem w ojczystym języku. Z twarzy Kaza niczego nie dało się wyczytać. Jak zwykle.

– Przepisy aukcyjne są jasne – ciągnęła akwatyczka. – Ani kontraktowiec, ani jego przedstawiciele nie mają prawa ingerować w przebieg licytacji. To rynek decyduje.

Cała Rada Kupiecka zerwała się na równe nogi: kupcy skupili się wokół Radmakkera na przedzie podwyższenia i domagali się wyjaśnień. Van Eck pokrzykiwał na pokaz wraz z innymi, ale kiedy na moment przystanął obok Kaza, Matthias usłyszał jego szept: – Myślałem, że to ja ujawnię wasz układ z Ravkańczykami. Tymczasem wygląda na to, że ten zaszczyt przypadnie w udziale Radzie Pływów. – Uśmiechnął się z satysfakcją. – Wylan nieźle oberwał, zanim was wydał. – Przesunął się w stronę sceny. – Nie przypuszczałem, że taki z niego twardziel.

– Stworzony został fałszywy fundusz powierniczy mający na celu ograbienie kupców – mówiła dalej akwatyczka. – Zebrane na nim środki trafiły do jednego z uczestników aukcji.

– Ależ oczywiście! – wykrzyknął z udawanym zaskoczeniem Van Eck. – Ravkańczycy! Wszyscy wiedzieliśmy, że nie mają odpowiednich środków, żeby wziąć udział w takiej licytacji! – Z jego głosu przebijała nieskrywana satysfakcja. – Doskonale wiemy, ile pieniędzy pożyczaliśmy ravkańskiej koronie przez ostatnie dwa lata; Ravka z najwyższym trudem spłaca odsetki od tych kredytów, a już na pewno nie dysponuje stu dwudziestoma milionami *kruge*, które mogłaby wyłożyć na aukcję. Brekker na pewno z nimi współpracuje.

Teraz już nikt nie siedział. Fjerdanie donośnymi okrzykami dopominali się o sprawiedliwość. Przedstawiciele Shu Hanu tupali i uderzali w oparcia ławek. Ravkańczycy znaleźli się w oku cyklonu, ze wszystkich stron otoczeni przez wrogów: Sturmhond, Genya i Zoya stali dumnie wyprostowani, z uniesionymi głowami.

– Zrób coś! – mruknął Matthias do Kaza. – To się źle skończy.

Twarz Kaza pozostała niewzruszona.

– Tak myślisz?

– Do licha, Brekker, ty...

Akwatycy rozłożyli ręce i kościół zadrżał od głuchego łoskotu. Woda chlusnęła do środka przez okna na galerii. Tłum się uspokoił, lecz bynajmniej nie ucichł. Zewsząd dobiegały gniewne pomruki.

Radmakker stuknął młotkiem, walcząc o odzyskanie choć części autorytetu.

– Jeżeli macie dowody świadczące przeciwko Ravkańczykom...

– Ravkańczycy nie mają z tym nic wspólnego – odparła akwatyczka spoza mglistej maski. – Pieniądze trafiły na konto Shu Hanu.

Van Eck na moment zaniemówił, po czym błyskawicznie zmienił front: – Z tego wynika, że Brekker dogadał się z Shu Hanem.

Przedstawiciele Shu Hanu protestowali z zapałem, ale głos akwatyczki wzniósł się ponad zgiełk: – Fałszywy fundusz utworzyli Johannus Rietveld i Jan Van Eck.

Van Eck zbladł.

– To nieprawda.

– Rietveld to farmer – wykrztusił Karl Dryden. – Poznałem go osobiście.

Akwatyczka zwróciła się do niego:

– Widziano was dwóch na spotkaniu z Rietveldem w holu hotelu Geldrenner.

– To prawda, ale rozmawialiśmy o zupełnie innym funduszu. Chodziło o skupowanie plantacji *jurdy*. To uczciwe przedsięwzięcie.

– Radmakker? – odezwał się Van Eck. – Ty też tam byłeś. Spotkałeś się z Rietveldem.

– Nic mi nie wiadomo o żadnym panu Rietveldzie – zachnął się oburzony Radmakker.

– Widziałem cię. Obaj cię widzieliśmy w Geldrennerze...

– Przyszedłem tam na prezentację możliwości inwestowania w kontrakty na dostawę ropy z Nowoziemia. Prezentacja wypadła dość... niezwykle, ale to nie ma nic do rzeczy.

– Nie. – Van Eck kręcił głową. – Jeżeli Rietveld jest w to zamieszany, to za wszystkim stoi Brekker. To on wynajął Rietvelda, żeby oszukać Radę.

– Za twoją radą wszyscy wnieśliśmy wkład do tego funduszu – wytknął mu któryś z członków Rady. – Chcesz powiedzieć, że te pieniądze przepadły?

– Nic nam o tym nie wiadomo! – zarzekał się ambasador Shu Hanu.

– To robota Brekkera – upierał się Van Eck. Nie był już taki zadowolony z siebie jak przed chwilą, nie stracił jednak nic ze swojej pewności siebie. – Ten chłopak nie cofnie się przed niczym, żeby tylko upokorzyć mnie i wszystkich uczciwych mieszkańców tego miasta. Uprowadził moją żonę i syna! – Odwrócił się do Kaza. – A może tylko mi się wydawało, że widziałem cię z Alys na Goedmedbridge?

– Oczywiście, że nie: odnalazłem ją na targu i przyprowadziłem, tak jak pan prosił – skłamał Kaz z taką łatwością, że niewiele brakowało, by przekonał nawet Matthiasa. – Mówiła, że przez cały czas miała przepaskę na oczach i nie widziała swoich porywaczy.

– Bzdura! – zachnął się Van Eck. – Alys! – zawołał, zwróciwszy się w stronę zachodniej galerii, gdzie siedziała Alys z dłońmi skrzyżowanymi na wydatnym ciężowym brzuchu. – Powiedz im!

Skonsternowana Alys otworzyła tylko szeroko oczy i pokręciła głową. Szepnęła coś do służącej, która odkrzyknęła: – Porywacze nosili maski, a ona miała opaskę na oczach przez cały czas, aż znalazła się na placu.

Van Eck sapnął z irytacją.

– Moja ochrona widziała Brekkera w towarzystwie mojej żony.

– Ma pan na myśli ludzi, którym pan płaci? – spytał z powątpiewaniem Radmakker.

– To Brekker zaaranżował spotkanie na moście! Zostawił mi liścik w domu nad jeziorem!

– Ach tak. – Radmakker odetchnął z ulgą. – Może nam go pan pokazać?

– Oczywiście! Chociaż... nie jest podpisany.

– Skąd zatem wniosek, że to Kaz Brekker był jego autorem?

– Zostawił szpilkę od krawata...

– Swoją?

– Nie, moją! Ale...

– Czyli nie ma pan żadnych dowodów na to, że Kaz Brekker uprowadził pańską żonę. – Cierpliwość Radmakkera była na wyczerpaniu. – Czy sprawa porwania pańskiego syna jest równie wątpliwa? Szuka go całe miasto, wyznaczono nagrody... Oby w tej kwestii dysponował pan mocniejszymi dowodami.

– Mój syn...

– Jestem tutaj, ojczu.

Oczy wszystkich zwróciły się ku arkadom obok podwyższenia, gdzie oparty o ścianę stał Wylan. Twarz miał całą we krwi i ledwie trzymał się na nogach.

– Na dłoń Ghezena... – mruknął pod nosem Van Eck. – Czy dziś już nikt nie potrafi wykonać swojej roboty, jak należy?

– Czyżbyś zdał się z tym na ludzi Pekki Rollinsa? – spytał chrypliwym półgłosem Kaz.

– Ja...

– Skąd w ogóle pewność, że to byli jego ludzie? Nie jesteś z Baryłki, możesz mieć kłopot z odróżnieniem lwa od wrony. Zwierzęta są do siebie takie podobne...

Matthias z nieskrywaną satysfakcją obserwował twarz Van Ecka, gdy spływało na niego olśnienie. Kaz zdawał sobie sprawę, że nie zdoła przemycić Wylana do kościoła w taki sposób, żeby Van Eck i Lwy za Dychę się o tym nie dowiedziały. Dlatego zaaranżował porwanie. Dwie Szumowiny – Anika i Keeg – z fałszywymi tatuażami i opaskami na ramionach jak gdyby nigdy nic zaprowadziły złapanego Wylana do *stadwachtu* i kazały sprowadzić Van Ecka. Co zobaczył Van Eck po przybyciu do kościoła? Syna przetrzymywanego przez dwoje ludzi z insygniami gangu Pekki Rollinsa.

Matthias nie spodziewał się, że aż tak poturbują Wylana. Może chłopak powinien był szybciej udać, że go złamali.

– Pomóżcie mu! – krzyknął Radmakker do oficera *stadwachty*. – Nie widzicie, że jest ranny?!

Oficer pomógł Wylanowi dokuśtykać do krzesła. Medykus pośpieszył rannemu z pomocą.

– Wylan Van Eck? – spytał oficjalnym tonem Radmakker. – Ten sam, w poszukiwaniu którego prawie rozebraliśmy miasto na kawałki?

– Uciekłem przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Od Brekkera?

– Od Rollinsa.

– To Pekka Rollins cię porwał?

– Tak – przytaknął Wylan. – Kilka tygodni temu.

– Nie kłam – warknął Van Eck. – Powiedz im to, co powiedziałaś mnie. Powiedz im o Ravkańczykach.

Wylan znużonym gestem uniósł głowę.

– Powiem, co tylko zechcesz, ojczy. Tylko niech mnie już nie biją.

Gapiom zapało dech w piersiach. Członkowie Rady Kupieckiej patrzyli na Van Ecka z nieskrywanym niesmakiem.

Matthias z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

– Wylan pobiera lekcje u Niny? – spytał szeptem.

– Może po prostu ma talent – odparł Kaz.

– Brekker to znany przestępca – tokował Van Eck. – To on za tym stoi! Widzieliście go wszyscy u mnie w domu. Włamał się do mojego gabinetu!

– To prawda! – potwierdził z zapalem Karl Dryden.

– Oczywiście, że byliśmy w domu pana Van Ecka – przytaknął Kaz. – Sam nas zaprosił, żeby negocjować wykupienie kontraktu Kuweia Yul-Bo. Zapowiedział, że zaaranżuje spotkanie z Radą Kupiecką, a tymczasem wpadliśmy w pułapkę zastawioną przez Pekkę Rollinsa.

– Chce pan powiedzieć, że Van Eck zerwał negocjacje prowadzone w dobrej wierze? – spytał z niedowierzaniem jeden z członków Rady. – To mi się wydaje mało prawdopodobne.

– Ale widzieliśmy tam również Kuweia – przypomniał inny kupiec. – Chociaż wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, kto to taki.

– Widziałem afisz z obietnicą nagrody za schwytanie chłopaka, który z wyglądu przypominał Kuweia – powiedział Kaz. – Skąd znaliście jego rysopis?

– No...

Kupiec się zawahał. Matthias wyraźnie widział malującą się na jego twarzy podejrzliwość i niechęć do zaakceptowania faktów. Kupiec odwrócił się do Van Ecka i spytał z nadzieją w głosie: – Nie mogłeś chyba wiedzieć, że chłopak, którego opisujesz, to właśnie Kuwei Yul-Bo, prawda?

Karl Dryden pokręcił głową w geście raczej niedowierzania niż zaprzeczenia.

– To Van Eck namówił nas do inwestycji w fundusz Rietvelda – przypomniał.

– Paliłeś się do tej inwestycji nie mniej ode mnie! – wytknął mu Van Eck.

– Byłem ciekaw tożsamości kupca, który potajemnie skupuje uprawy *jurdy* w Nowoziemiu. Powiedziałaś wtedy... – Dryden zawiesił głos, rozdziawił usta i wytrzeszczył oczy. – To byłeś ty! To ty skupowałeś plantacje!

– No nareszcie... – mruknął Kaz.

– Nie uwierzycie chyba, że mógłbym celowo zaplanować oszukanie swoich przyjaciół i sąsiadów – tłumaczył się Van Eck. – Zainwestowałem w ten fundusz własne pieniądze! Miałem do stracenia nie mniej od was!

– Dopóki nie dogadałeś się z Shu Hanem – zauważył Dryden.

Radmakker jeszcze raz stuknął młotkiem.

– Janie Van Eck, w najlepszym wypadku można postawić panu zarzut bezprawnego wykorzystania zasobów miejskich do bezpodstawnych oskarżeń, w najgorszym zaś nadużycie pozycji członka Rady, próbę defraudacji majątku przyjaciół i złamanie praw aukcyjnych. – Pokręcił głową. – Aukcja została zmanipulowana i zostanie zawieszona do czasu, gdy ustalimy, czy któryś z członków Rady Kupieckiej świadomie i celowo przekazywał pieniądze któremuś z uczestników licytacji.

Ambasador Shu Hanu coś krzyczał. Radmakker zaczął walić młotkiem. I wtedy kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Trzej *drüskelle* rzucili się w stronę podwyższenia. *Stadwachta* zastąpiła im drogę. Żołnierze z Shu Hanu również próbowali przepchnąć się do przodu. Akwatycy podnieśli ręce. I nagle ponad tym wszystkim niczym lament pogrążonej w żałobie kobiety poniósł się skowyt syreny ostrzegającej przed zarazą.

W kościele zapadła cisza. Ludzie znieruchomieli, nasłuchując dźwięku, którego nie słyszano w mieście od ponad siedmiu lat. Nawet we Wrotach Piekieł więźniowie opowiadali sobie straszne historie o Zarazie Dwórki, ostatniej epidemii, która przewaliła się przez Ketterdam; o kwarantannach, pływających trupiarniach i zwłokach piętrzących się na ulicach tak szybko, że trupiarze nie nadążali z ich uprzątnięciem i paleniem.

– Co to? – zaniepokoił się Kuwei.

Kącik ust Kaza drgnął leciuteńko.

– To dźwięk nadciągającej śmierci, mój drogi Kuweiu.

Chwilę później skowyt syreny utonął w ogólnym jazgocie i rozgardiaszu, gdy wszyscy jednocześnie rzucili się do wyjścia. Nikt nie zauważył, kiedy padł pierwszy strzał.



Koło się kręciło, złote i zielone pola wirowały z taką prędkością, że zlewały się w jeden kolor. W końcu zwolniło i zatrzymało się na numerze, który musiał być dobry, bo grający głośno się radowali. W pałacu hazardu panował nieprzyjemny upał i głowa swędziała Ninę pod peruką o nietwarzowym dzwonowatym kształcie. Do peruki dobrała niezbyt elegancką sukienkę. Tego dnia wyjątkowo nie zamierzała zwracać na siebie uwagi.

Nierozpoznana przez nikogo zaliczyła pierwszy przystanek przy Zachodniej Klepce, potem drugi, a później wtopiła się w tłum i dotarła aż nad Wschodnią Klepkę. Ze względu na kontrolę ciżba była mniejsza niż zazwyczaj, ale mieszkańcy miasta nie zamierzali łatwo rezygnować z tradycyjnych przyjemności. Po drodze, kilka przecznic wcześniej, zajrzała jeszcze do jednego lokalu i pomału zbliżała się do zakończenia zadania. Ten dom gry miał być jej czwartym i ostatnim przystankiem.

Ciesząc się i wiwatując wraz z innymi graczami, otworzyła trzymany w kieszeni szklany pojemnik i skoncentrowała się na znajdujących się w nim czarnych komórkach. Czuła promieniujące z nich intensywne zimno i poczucie, że istnieje coś więcej, coś, co przemawia wprost do tętniącej w jej ciele mocy. Jeszcze przez sekundę się wahała, z nadmierną wyrazistością wspominając chłód kostnicy i wypełniający ją odór śmierci. Przypomniała sobie, jak stanąwszy nad trupem, skoncentrowała się na przebarwionej skórze wokół jego ust. I tak jak dawniej wykorzystywała swoją moc do rozdierania lub scalania skóry, a nawet do wywołania rumieńców na czyjeś twarzy, tak wówczas skupiła się na tych rozkładających się komórkach i przeniosła wąski skrawek martwiczego mięsa wprost do szklanego pojemnika. Pojemnik schowała do aksamitnego woreczka, który teraz, gdy stała w hałaśliwym tłumie i patrzyła na wirujące szczęśliwie kolory, przyjemnie jej ciążył zawieszony na srebrnym sznureczku na nadgarstku.

Nachyliła się nad stołem, żeby obstawić. Jedną ręką przesunęła żetony po blacie, a drugą otworzyła pokrywkę pojemnika.

– Życz mi szczęścia – powiedziała do krupiera.

Wylot otwartego woreczka musnął jego dłoń. Martwe komórki przeskoczyły na nią i

zaczęły się namnażać na zdrowej skórze. Kiedy wyciągnął rękę, żeby zakręcić kołem, całą dłoń miał czarną.

– Pańska ręka! – zauważyła jakaś kobieta. – Co pan na niej ma?

Krupier wytarł rękę o haftowany zielony uniform, jakby próbował się pozbyć plamy z atramentu albo węgla. Nina poruszyła palcami: komórki przepełzły po ręce krupiera w górę, do kołnierza koszuli, i rozlały się czarną plamą z boku szyi, zachodząc pod żuchwę i dolną wargę.

Ktoś krzyknął. Gracze cofnęli się od stołu, a zdezorientowany krupier rozglądał się bezradnie dookoła. Gracze przy innych stołach z irytacją odwracali się od kart i kości. Szef sali z pomocnikami już się przeciskał w stronę feralnego stołu, gotowy w zdławić zarodku ewentualną rozróbę utrudniającą gładkie funkcjonowanie kasyna.

Kryjąc się w tłumie, Nina wykonała zamaszysty gest w powietrzu i zlepek komórek przeskoczył na kobietę obwieszoną drogim (na oko) sznurem pereł, stojącą tuż obok krupiera. Czarna gwiazdka wykwitła jej na policzku jak mały, brzydki pająk, po czym spłynęła w dół po szczęce na szyję.

– Oleno! – krzyknął jej przysadzisty towarzysz. – Twoja twarz!

Krzyki rozlegały się wszędzie dookoła. Olena złapała się za szyję i potykając się, brnęła przez tłum w poszukiwaniu lusterka. Ludzie rozstępowali się przed nią.

– Dotknęła krupiera! To jest zaraźliwe!

– Ale co?

– Z drogi!

– Co się stało? – Szef sali ciężkim gestem położył dłoń na ramieniu krupiera.

– Pomocy! – Krupier rozłożył ręce. – Nie wiem, co się dzieje.

Szef sali obrzucił spojrzeniem czarne plamy na jego twarzy i rękach i czym prędzej próbował się odsunąć, ale było już za późno: dłoń, którą dotknął krupiera, przybrała paskudny fioletowo-czarny odcień. Chwilę później on też krzyczał.

Nina patrzyła, jak zgroza nabiera impetu i rozchodzi się po sali niczym zataczający się rozjuszony pijak. Gracze zrywali się od stołów, przewracali krzesła i potykając się, rzucali ku drzwiom, łapiąc po drodze garści zetonów. Stoliki się wywracały, karty spadały na ziemię, kości turkotały na posadzce. Ludzie jeden przez drugiego przepychali się do wyjścia. Nina dała się ponieść tłumowi i razem ze wszystkimi wypadła na ulicę. To samo działo się we wszystkich trzech przybytkach, które odwiedziła wcześniej: strach narastał powoli, by w końcu wezbrać gwałtowną falą paniki. I teraz w końcu to usłyszała: zawodzenie syreny. Na przemian wznoszący się i opadający żałobny dźwięk spadł na Baryłkę i poniósł się echem wśród bruków i dachów Ketterdamu.

Turyści spoglądali po sobie pytająco, u miejscowych zaś – artystów, krupierów, sklepikarzy i hazardzistów – doszło do błyskawicznej przemiany. Kaz powiedział Ninie, że mieszkańcy miasta bezbłędnie rozpoznają ten dźwięk i będą mu posłuszni jak dzieci, którym surowy rodzic każe wracać do domu.

Kerch był wyspą oddzieloną morzami od ewentualnych wrogów i chronioną przez potężną flotę. Dwa najgorsze zagrożenia dla stolicy stanowiły pożar i zaraza, i tak jak

płomienie rozprzestrzeniałyby się bez problemu wśród gęstej zabudowy, tak choroba z łatwością przeskakiwała z ciała na ciało w gęstej ciżbie i zatłoczonych wnętrzach. Podobnie jak to bywa z plotką, nikt nie wiedział dokładnie, skąd się wzięła i jakim cudem rozchodziła się tak szybko – ale się rozchodziła, przenosiła się przez oddech albo dotyk, przez powietrze albo wodę. Bogaci najmniej ucierpieli, bo albo pozamykali się w swoich ogromnych rezydencjach i ogrodach, albo zdążyli w ogóle uciec z miasta. Zarażonych biedaków obejmowano kwarantanną w prowizorycznych lazaretach urządzanych na barkach zacumowanych poza obrębem portu. Plagi nie dało się zatrzymać bronią ani pieniędzmi; nie można było z nią negocjować ani wymodlić jej odejścia.

Tylko najmłodszy mieszkańcy Ketterdamu nie pamiętali Zarazy Dwórki i trupich barek na kanałach, obsługiwanych przez trupiary z długimi wiosłami. Nawet ci, którzy przeżyli, stracili dziecko, ojca albo matkę, brata albo siostrę, przyjaciela, sąsiada... Pamiętali kwarantannę i zgrozę, jaką budził nawet przypadkowy kontakt z drugim człowiekiem.

Prawa odnoszące się do zarazy były proste i nienaruszalne. Na dźwięk syreny wszyscy obywatele byli zobowiązani do powrotu do domów. Funkcjonariusze *stadwachty* mieli się stawić w rozrzuconych po całym mieście punktach zbornych (ich rozproszenie miało zapobiec zarażeniu całej straży miejskiej za jednym zamachem). Od tego momentu ich główne zadanie polegało na zapobieganiu próbom szabru, a ci, którzy wyprawiali się na patrole, mieli prawo do potrójnego wynagrodzenia. Handel zamierał całkowicie. Tylko medykusi i trupiary zachowywali swobodę poruszania się po mieście.

– Jest tylko jedna rzecz, której to miasto obawia się bardziej niż Shu Hanu, Fjerdan i wszystkich gangów z Baryłki łącznie – powiedział jej Kaz.

Miał rację. Barykady, blokady na ulicach, kontrole dokumentów – w obliczu zarazy wszystko pójdzie w zapomnienie. Oczywiście żaden z „chorych” nie zachorował naprawdę. Martwa tkanka nie rozprzestrzeni się poza te miejsca, w które Nina ją przeszczepiła. Owszem, trzeba ją będzie usunąć, ale nikt od tego nie zachoruje. Nikt nie umrze. Co najwyżej czeka ich kilkutygodniowa kwarantanna.

Idąc szybkim krokiem przez port, spuściła głowę i narzuciła kaptur. Mimo że była przyczyną całego zamieszania i wiedziała, że zaraza nie jest prawdziwa, i tak łapała się na tym, że serce wali jej jak młotem i przechodzi w galop napędzane wzbierającą wszędzie histerią. Ludzie płakali, przepychali się, krzyczeli, walczyli o miejsce na promach... Panował chaos.

Chaos, który był jej dziełem.

To ja to zrobiłam, pomyślała w zadziwieniu. To ja rozkazywałam trupom, kawałkom kości, martwym komórkom.

Kim więc była? Jeżeli jakiś inny grisz dysponował podobną mocą, to ona nigdy o nim nie słyszała. Co pomyśleliby o niej griszowie, gdyby się dowiedzieli? Co pomyśleliby inni somatycy, ciałobójcy i uzdrowiciele?

„Jesteśmy powiązani z energią tworzenia, która doprowadziła do powstania świata”. To były słowa jej nauczyciela.

Może powinna się wstydzić, może nawet bać. Ale nie była stworzona do odczuwania wstydu.

„Może Djel zgasił jedno światełko i zapalił inne”, powiedział Matthias.

Nic a nic jej nie obchodziło, czy zrobił to Djel, święci, czy może stado ziejących ogniem kociąt. Śpiesząc na wschód, zdała sobie sprawę, że pierwszy raz od niepamiętnych czasów czuje się naprawdę silna. Oddychała swobodnie, ból mięśni zelżał. A poza tym była głodna jak wilk. Żądza *parem* oddaliła się i osłabła, stała się ledwie wspomnieniem prawdziwego głodu.

Bolała wcześniej nad utratą swojej mocy i zerwaniem więzi ze światem żywych; nie chciała przyjąć tego daru cienia, który wydawał jej się karą i oszustwem. A przecież śmierć tak jak życie przenika wszystko na świecie. To śmierć była tą bystrą, nieskończoną rzeką. Nina zamoczyła palce w jej wodach, pochwyciła w dłoń wir jej mocy. Stała się Żalobną Królową. Nie mogła się utopić w tej toni.



35

INEJ

Dunyasha strzepnęła gwałtownie ręką, rozległ się dźwięk przypominający trzepotanie ptasiego pióra... i coś otarło się o ramię Inej. Złapała srebrną gwiazdkę, zanim ta zdążyła upaść na dach. Tym razem była przygotowana. Jesper pomógł jej podszyć koszulę i kamizelkę odrobiną miękkiego wypełnienia z hotelowego materaca; po latach cerowania koszul i skarpetek na farmie zaskakująco dobrze radził sobie z igłą i nitką i Inej nie musiała się obawiać, że drugi raz przyjdzie jej grać rolę poduszki na szpilki ciskane przez Białą Klingę.

Skoczyła naprzód i szybko nabierając prędkości, wybiegła przeciwnicze na spotkanie; spędziła na tym dachu wiele godzin i teraz pewnie trzymała się na nogach. Odrzuciła gwiazdkę.

Dunyasha bez trudu uniknęła trafienia.

– Moje ostrza by mnie tak nie zdradziły – zadrwiła takim tonem, jakby karciała dziecko.

Ale Inej wcale nie chciała jej trafić, tylko odwrócić jej uwagę. Machnęła ręką, jakby rzucała kolejnym ostrzem, a gdy Dunyasha odruchowo zrobiła unik, Inej z impetem odbiła się od metalowej kalenicy po prawej stronie i wyminęła najemniczkę. Zanim przykucnęła z nożami w dłoni, cięła w przelocie. Ostrze rozorało łydkę Dunyashy.

Inej wyprostowała się i natychmiast odskoczyła w tył ponad jedną z ozdobnych krawędzi dachu, nie spuszczając wzroku z Dunyashy, ale ta tylko parsknęła śmiechem.

– Twój zapal sprawia mi przyjemność, Zjawo. Nie pamiętam już, kiedy ktoś zranił mnie pierwszy.

Wskoczyła na kalenicę i stanęły z Inej naprzeciw siebie, obie z bronią w rękach. Dunyasha zrobiła mocny wypad w przód i cięła zamasyście, ale Inej tym razem nie posłuchała instynktu wypracowanego z mozołem na ketterdamskich ulicach. Zamiast tego zareagowała jak akrobatka: kiedy trapez leci w twoją stronę, nie próbujesz go unikać, tylko wychodzisz mu na spotkanie.

Zanurkowała i skróciła dystans, jakby były partnerkami w tańcu; niesiona rozpędem Dunyasha straciła równowagę, a Inej znów cięła i rozplatała jej drugą łydkę.

Tym razem Dunyasha syknęła.

Lepsze to, niż gdyby miała się rozeźmiać, pomyślała Inej.

Jej przeciwniczka zrobiła ciasny piruet: obróciła się na palcach stóp jak sztylet na czubku ostrza; jeżeli ból zranionych nóg jej dokuczał, to nie dała tego po sobie poznać. Trzymała teraz w rękach dwa zakrzywione noże i kreśląc nimi węzowe kształty w powietrzu, przybliżała się do Inej po kalenicy.

Inej zdawała sobie sprawę, że teraz już nie powinna znaleźć się w zasięgu tych ostrzy.

W takim razie musi przełamać jej rytm.

Pozwoliła się spychać w tył, ustępując krok za krokiem do chwili, gdy za plecami mignął jej cień wysokiego kwiatonu. Wtedy zrobiła unik w prawo, prowokując Dunyashę do wypadu, ale zamiast wyhamować w zwodzie i złapać równowagę, po prostu poleciała dalej. Płynnym ruchem schowała do pochew oba noże i jedną ręką złapała się kwiatonu, by zakręcić się wokół niego i wyłonić z drugiej strony. Tym sposobem kwiaton oddzielił ją od Dunyashy, która tylko burknęła z frustracji, gdy jej ostrza zgrzytnęły o metal.

Inej przebiegła po dających oparcie żebrach dachu, po czym, dotarwszy do najgrubszego fragmentu kalenicy, zaczęła się po nim wspinać aż na garb sklepienia nad główną nawą kościoła. Czowała się tak, jakby szła po grzbiecie jakiegoś olbrzymiego morskiego stwora.

Dunyasha ruszyła za nią. Inej musiała przyznać, że mimo odniesionych ran jej ruchy pozostały tak samo płynne i zwinne.

– Będiesz tak biegła aż do swojego wozu cyrkowego, Zjawo? Wiesz przecież, że to tylko kwestia czasu, kiedy nie będziesz miała dokąd uciec, a wtedy dokona się sprawiedliwość.

– Sprawiedliwość?

– Jesteś morderczynią i złodziejką. Zostałam wybrana, by usuwać z tego świata ludzi takich jak ty. Może i zatrudnił mnie przestępca, ale nigdy nie zabiłam niewinnego człowieka.

Te słowa trąciły czułą strunę w duszy Inej. Czy była niewinna? Żałowała tych, których musiała zabić, ale gdyby znów przyszło jej ratować swoje życie lub życie przyjaciół, zrobiłaby to samo. Kradła. Pomagała Kazowi szantażować ludzi dobrych i złych. Czy mogła uczciwie powiedzieć, że decyzje, które podjęła, były jedynymi, jakie mogła podjąć?

Dunyasha była coraz bliżej. Jej włosy odcinały się jak płomienie od błękitnego nieba, skóra miała niemal dokładnie ten sam odcień kości słoniowej co ubranie. Gdzieś w dole, w kościele pod ich stopami trwała licytacja, której uczestnicy nie mieli pojęcia o walce toczącej się na dachu. Tutaj słońce lśniło jak świeżo wybita moneta, a wiatr pojękiwał wśród żeber i iglic kościelnego dachu.

Niewinność.

Niewinność była luksusem, którego święci Inej wcale od niej nie wymagali. Znowu dobytek noży.

Sankt Vladimirze, Sankta Alino, chrońcie mnie.

– Uroczę – powiedziała Dunyasha i z pochew przy nadgarstkach wyjęła dwa długie, proste sztylety. – Zrobię sobie nowy nóż z rękojeścią z twojej puszczeli. To będzie dla ciebie zaszczyt, służyć mi po śmierci.

– Nigdy nie będę ci służyć.

Dunyasha zaatakowała.

Inej przestała się cofać. Wykorzystywała teraz każdą okazję, żeby trzymać się w półdystansie, by Dunyasha nie mogła wykorzystać przewagi zasięgu. Inej była silniejsza, niż kiedy mierzyły się po raz pierwszy, na linie. Była też wypoczęta i syta, ale nie przestała być dziewczyną wyszkoloną na ulicy zamiast w wieżycach klasztoru w Shu Hanie.

Pierwszym jej błędem był zbyt wolny odskok. Zapłaciła za niego głęboką raną ciętą lewego bicepsa: ostrze przeszło przez podbitkę koszuli i werżnęło się w ciało. Coraz trudniej było jej trzymać broń w lewej ręce. Drugi błąd popełniła, wkładając zbyt wiele siły w pchnięcie z dołu do góry: wychyliła się przy tym i nóż Dunyashy przejechał jej po żebrach. Ta rana była wprawdzie powierzchowna, ale niewiele brakowało, żeby źle się to skończyło.

Zignorowała ból i skoncentrowała się na przeciwniczce. Przypomniała sobie słowa Kaza: „Spróbuj znaleźć jej zwiastun. Każdy jakiś ma”.

Na razie jednak ruchy Dunyashy były dla niej całkowicie nieprzewidywalne. Z równą swobodą walczyła lewą i prawą ręką, nie oszczędzała żadnej nogi i zawsze czekała do ostatniej chwili z zadaniem ciosu, nie dając wcześniej żadnych sygnałów. Była nadzwyczajna.

– Zaczynasz się męczyć, Zjawo?

Inej nie traciła sił na odpowiedź. Oddech Dunyashy wydawał się równy i głęboki, za to ona rzeczywiście zaczynała odczuwać zmęczenie: nic wielkiego, ale dość, by najemniczka miała przewagę.

I wtedy to wychwyciła: minimalne, ledwie dostrzegalne wahnięcie w rytmie oddechu Dunyashy, po którym nastąpił wypad. I znowu: wahnięcie, wypad. Zwiastunem był jej oddech. Przed każdym atakiem nabierała powietrza w płuca.

Teraz.

Inej zrobiła zwód w lewo, wyprowadziła błyskawiczne pchnięcie. Nóż trafił Dunyashę w bok.

Teraz.

Inej przypuściła kolejny atak. Na ramieniu Dunyashy wykwitł krwawy kwiat.

Cofnęła się, wyczekując natarcia najemniczki, która lubiła maskować atak jakimś innym ruchem, niepotrzebnym młynkiem, teatralnym gestem, zbędnym ozdobnikiem, co utrudniało odczytanie jej zamiarów, ale...

Teraz.

Szybki wdech.

Inej przykucnęła i kopnęła w poziomie, po niskim łuku, czym wytrąciła Dunyashę z równowagi. Dostrzegłszy szansę, wyprostowała się błyskawicznie i – łącząc swój rozpęd z impetem przewracającego się ciała Dunyashy – wbiła nóż pod skórzaną osłonę mostka przeciwniczki.

Krew popłynęła jej na dłoń, zanim zdążyła wyszarpnąć ostrze. Dunyasha stęknęła

zaskoczona i przycisnąwszy dłoń do piersi, zmierzyła Inej wzrokiem. Zmrużyła oczy. Nadal nie było w nich lęku, tylko głęboki, szczery żal, tak jakby Inej zepsuła jej z dawna wyczekiwane przyjęcie.

– Krew, którą przelewasz, jest krwią królów – syknęła ze złością Dunyasha. – Nie zasłużyłaś na taki dar.

Inej prawie zrobiło się jej żal. Dunyasha naprawdę uważała się za dziedziczkę Lantsovów – i być może nawet nią była, ale czyż nie o tym marzy każda młoda dziewczyna? Że pewnego dnia obudzi się jako księżniczka? Albo okaże się, że jest obdarzona mocą i przeznaczona do wielkich rzeczy? Może istnieli ludzie, którzy naprawdę wiedli takie życie; może ta dziewczyna była jedną z takich osób.

A co z resztą? – zadała sobie pytanie Inej. Co z rzeszą niewidzialnych dziewcząt, które są nikim i niczym? Uczymy się kroczyć dumnie, jakbyśmy nosiły korony. Uczymy się wydzierać magię z codzienności.

Tak właśnie robili ci, którzy nie byli wybrańcami i w których żyłach nie płynęła królewska krew, jeśli chcieli przetrwać. Świat nic nie był im winien, a oni i tak czegoś się od niego domagali.

Uniosła brwi i powoli, z namysłem wytarła krew królów o spodnie.

Dunyasha rzuciła się na nią z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości. Jedną rękę przyciskała do rany, drugą wyprowadziła błyskawicznie cięcie i pchnięcie nożem; było oczywiste, że umie walczyć także jedną ręką.

Ale nigdy przedtem nie musiała walczyć ranna, uświadomiła sobie Inej. Może przegapiła tę lekcję.

Po tym, jak Dunyasha odniosła poważną ranę, jej zwiastun stał się jeszcze bardziej oczywisty.

Znajdowały się już bardzo blisko najwyższego punktu dachu. Pokrycie w paru miejscach było poluzowane i Inej musiała patrzeć, gdzie stawia stopy, ale bez trudu unikała teraz natarć Dunyashy; uchylała się to w lewo, to w prawo, a po drodze zaliczała małe triumfy: cięcie tu, dźgnięcie tam... To była wojna na wyniszczenie. Dunyasha szybko się wykrwawiała.

– Jesteś lepsza, niż myślałam – wysapała najemniczka, czym zaskoczyła Inej. Oczywiście miała przymglone bólem, zaciśniętą na mostku dłoń śliską i czerwoną od krwi, ale trzymała się prosto i nie miała kłopotów z utrzymaniem równowagi na podniebnej metalowej grzędzie. Dzieliło je dosłownie kilka stóp.

– Dziękuję – odparła Inej, choć słowo to w tym kontekście wydało jej się fałszywe.

– To żaden wstyd, napotkać na swojej drodze godnego przeciwnika. To uczy pokory i oznacza, że wciąż nie posiadliśmy wszystkich umiejętności.

Dunyasha skłoniła głowę, schowała nóż do pochwy i przyłożyła pięść do piersi w geście salutu.

Inej zachowała czujność i czekała na rozwój wypadków. Czyżby najemniczka mówiła poważnie? W taki sposób kończyło się walki w Baryłce, ale było przecież ewidentne, że Dunyasha przestrzega innego, własnego kodeksu. Inej mogła sprawiać wrażenie

bezdusznej, ale naprawdę nie chciała jej zabijać.

– Ja odebrałam lekcję pokory – ciągnęła tymczasem Dunyasha, wciąż pochylona – a ty za chwilę nauczysz się, że przeznaczeniem niektórych jest służyć, a innych... rządzić!

Podniosła głowę, gwałtownym gestem wyrzuciła w przód trzymaną na sercu rękę i rozwarła pięść.

Inej dostrzegła obłok czerwonego proszku i odruchowo próbowała przed nim uskoknąć, ale spóźniła się z reakcją. Oczy ją zapiekły. Co to mogło być? Nieważne. Oślepla. Usłyszała zgrzyt dobywanego z pochwy noża i poczuła cięcie ostrza. Odskoknęła do tyłu, z trudem zachowując równowagę na kalenicy.

Próbowała wytrzeć proszek z oczu. Łzy płynęły jej po twarzy, Dunyasha stała się ledwie widoczną, rozmazaną sylwetką. Inej wystawiła przed siebie nóż, żeby trzymać ją na dystans, i poczuła, jak broń najemniczki rozcina jej przedramię. Nóż wypadł z ręki Inej i zaklekotał na blaszanym dachu.

Sankta Alino, chroń mnie.

A może to Dunyashę święci wybrali na swoje naczynie? Może postanowili osądzić Inej mimo jej modlitw i skruchy?

Wcale nie jest mi żal z tego powodu, zdała sobie sprawę.

Wolała wieść życie wolnej zabójczyni niż umrzeć po cichu jako niewolnica i nie potrafiła tego żałować. Na spotkanie świętych uda się z gotowością w sercu i nadzieją, że zechcą ją przyjąć.

Nóż rozorał jej skórę na knykciach. Cofnęła się jeszcze o krok, lecz wiedziała, że lada chwila zabraknie jej miejsca i Dunyasha zepchnie ją z dachu.

– Uprzedzałam cię, Zjawo. Nie znam strachu. W mojej krwi tętni siła wszystkich królowych i zdobywców, którzy mnie poprzedzali.

Inej zahaczyła piętą o skraj ozdobnego zebrowania... i nagle coś do niej dotarło. Nie miała co marzyć o dorównaniu Dunyashy wyszkoleniem, wykształceniem czy pięknym strojem; nigdy też nie doścignie jej w okrucieństwie i wcale nie powinna tego pragnąć. Za to знаła miasto jak własną kieszeń. Było dla niej źródłem cierpienia – i zarazem kuźnią, w której hartowała się jej siła. Mogło jej się to nie podobać, ale Ketterdam, brutalny, brudny, beznadziejny Ketterdam stał się jej domem. A domu należy bronić. Znała jego dachy równie dobrze jak skrzypiące schody w Listewce; jak bruki i zaułki przy Klepkach. Znała każdy cal tego miasta. Nosiła jego mapę w sercu.

– Dziewczyno, która nie znasz strachu – wysapała, gdy zamajaczyła jej sylwetka najemniczki.

Dunyasha ukloniła się w odpowiedzi.

– Żegnaj, Zjawo.

– Teraz, przed śmiercią, zdążysz się jeszcze go nauczyć – powiedziała Inej i usunęła się na bok, balansując na jednej nodze.

But Dunyashy natrafił na obluzowany fragment poszycia dachu.

Gdyby nie była ranna, może uważniej patrzyłaby pod nogi.

Gdyby była mniej zapalczywa, może zdążyłaby złapać równowagę.

Tymczasem pośliznęła się i poleciała do przodu. Inej śledziła jej ruchy przez rozmazaną kurtynę łez. Dunyasha na ułamek sekundy znieruchomiała na tle nieba: wyciągnięte ręce chwytające pustkę, stopa szukająca oparcia, szeroko otwarte oczy, usta rozdziawione w wyrazie zdumienia... Przywodziła na myśl tancerkę gotową do wyskoku w powietrze. Nawet teraz, w swoich ostatnich chwilach, wyglądała jak dziewczynka z bajki, której przeznaczeniem jest wspaniała przyszłość. Bezlitosna królowa wyrzeźbiona w kości i bursztynie.

Spadła, nie wydawszy krzyku, zdyscyplinowana do samego końca.

Inej ostrożnie wyjrzała przez krawędź dachu. Daleko w dole krzyczeli ludzie. Ciało najemniczki leżało jak biały kwiat w rozlewającej się coraz szerzej kałuży czerwieni.

– Obyś w swoim przyszłym życiu była źródłem czegoś więcej niż tylko nieszczęścia – mruknęła Inej pod nosem.

Nie miała czasu do stracenia. Syrena jeszcze nie zawyła, ale ona i bez tego wiedziała, że jest spóźniona. Jesper na pewno już na nią czeka.

Przebiegła po dachu głównej nawy, dalej po kciuku Ghezena, aż do kaplicy na czubku. Zabrała z kryjówki linę i karabin Jespera, wspięła się po kopule i zajrzała do pomarańczowej kaplicy, modląc się, by nie było za późno.

Jespera nigdzie nie było widać.

Wyciągnęła szyję, przepatrując puste wnętrze kaplicy. Powinna jak najprędzej odszukać Jespera. Kuwei Yul-Bo musi dzisiaj zginąć.



Kiedy Rada Pływów z fasonem zaprezentowała się w kościele, Jesperowi przypomniała się Dzika Komedycja. Cóż bowiem innego rozgrywało się w tym miejscu, jeśli nie przedstawienie, które wyreżyserował Kaz, obsadziwszy nieszczęsnego Kuweia w głównej roli?

Natychmiast pomyślał o Wylanie, który może się w końcu doczeka sprawiedliwości w imieniu matki, i o swoim ojcu ukrywającym się w piekarni. Zrobiło mu się żal, że pokłócił się z tatkiem. Inej powiedziała wprawdzie, że dobrze się stało, bo przynajmniej obaj wiedzą teraz, na czym stoją, ale Jesper wcale nie był pewien, czy miała rację. Uwielbiał bijatyki, lecz po pyskówce z ojcem czuł w żołądku ciężar jak po nadpsutej owsiance. Tak dawno nie rozmawiali, że powiedzenie prawdy prosto w oczy było niczym przełamanie zaklęcia, i to nie złego uroku, a raczej dobrego czaru, który wszystkim zapewniał bezpieczeństwo, chronił ich jak królestwo ukryte pod szklanym kloszem, aż pewnego dnia przylazł taki dureń jak on i dla zabawy ostrzelał klosz z karabinu.

Gdy tylko akwatycy ruszyli w głąb nawy, odłączył się od nowoziemskiej delegacji i skierował w stronę kciuka Ghezena. Szedł powoli i zwrócony plecami do ustawionych pod ścianami strażników, udawał, że szuka miejsca, z którego lepiej widziałby, co się dzieje.

Znalazłszy się przy łuku prowadzącym w głąb kciuka, odwrócił się ku głównym drzwiom kościoła, jakby zamierzał wyjść.

– Proszę się odsunąć – odezwał się jeden z trepów ze *stadwachty*. Uprzejmość wobec cudzoziemca nie przeszkadzała mu wspinać się na palce i obserwować Rady Pływów. – Proszę nie blokować drzwi.

– Źle się czuję. – Jesper złapał się za brzuch i dodał z lekkim nowoziemskim akcentem: – Proszę, przepuście mnie.

– Przykro mi, proszę pana, to niemożliwe.

Fiu, fiu, proszę pana... Grzeczność dostępna dla każdego, kto nie był szczurem z Baryłki.

– Pan nie rozumie... – nalegał Jesper. – Muszę do toalety, i to pilnie. Byłem wczoraj na

kolacji w... Jakżeż się ta knajpa nazywa? Kociołek Stena?

Funkcjonariusz się skrzywił.

– Po coś pan tam poszedł?

– Znalazłem ją w przewodniku.

Prawdę mówiąc, Kociołek Stena był jedną z najgorszych restauracji w Ketterdamie – ale też jedną z najtańszych. Z tego względu, a także dlatego, że był otwarty całą dobę, łączył *stadwachtę* i opryszków z Baryłki. Mniej więcej co dwa tygodnie ktoś się skarżył na kłopoty żołądkowe po bliskim spotkaniu ze Stenem i jego przekłętymi przez świętych potrawami.

Trep pokręcił głową i skinął na strażników pod łukiem. Jeden z nich przytruchtał do niego.

– Gość ma pecha, jadł wczoraj u Stena. Jeśli wypuszczę go głównym wyjściem, kapitan na pewno zauważy. Możesz go wyprowadzić przez kaplicę?

– Ale dlaczego u Stena, na wszystkich świętych? – spytał Jespera nowo przybyły strażnik.

– Szef kiepsko mi płaci – odparł Jesper.

– Skąd ja to znam... – mruknął tamten i dał mu znak, żeby szedł za nim.

Współczucie. Braterstwo. Powinienem częściej udawać turystę, pomyślał Jesper. Mogę się obejść bez ładniutkiej kamizelki, jeśli w zamian *stadwachta* będzie dla mnie taka miła.

Przechodząc pod łukiem, zauważył wbudowane tuż za nim kręcone schody: prowadziły na galerię, skąd miałby widok na całą scenę. Obiecali Kuweiwowi, że nie zostawią go samego w obliczu nadchodzącej katastrofy, i nawet jeśli chłopak sprawiał czasem kłopoty, Jesper nie zamierzał złamać danego mu słowa.

Dyskretnie zerknął na zegarek. O czwartej Inej powinna czekać na szczycie pomarańczowej kaplicy, żeby spuścić mu na dół karabin.

– O rety... – jęknął. Miał nadzieję, że strażnik przyśpieszy kroku. – Nie wiem, czy doniosę...

Strażnik mruknął coś z niesmakiem i zaczął iść szybciej.

– Co wzięłeś, brachu?

– Specjalność szefa kuchni.

– Nigdy nie zamawia się specjalności szefa kuchni. Zawsze podają ci wtedy odgrzewane resztki z poprzedniego dnia. – Dotarli do kaplicy. – Wypuszczę cię tędy. Po drugiej stronie ulicy jest kafejka.

– Dzięki – odparł Jesper.

Zarzucił strażnikowi rękę na szyję, przydusił go i odczekał, aż jego ciało zwiotczeje. Związał mu ręce za plecami, używając do tego skórzanych pasków, które do tej pory trzymał nawinięte na nadgarstki, i zakneblował go swoją apaszką, po czym wturlał nieprzytomnego za ołtarz.

– Kolorowych snów – mruknął.

Było mu gościa żal – nie aż tak, żeby go ocucić i rozwiązać, ale jednak.

Słyszając donośny łoskot, spojrzał w kierunku, z którego przybył. Ponieważ kciuk

Ghezena znajdował się nieco wyżej niż nawa, zobaczył tylko czubki głów ludzi w tylnych rzędach, wyglądało jednak na to, że akwatycy z Rady Pływów robią spore zamieszanie. Jeszcze raz zerknął na zegarek i wszedł na schody.

Czyjaś dłoń złapała go za kołnierz i ściągnęła na dół.

Z impetem grzmotnął o posadzkę; uderzenie zaparło mu dech w piersiach. Napastnik stał u podnóża schodów i przyglądał mu się złotymi oczami.

Kherguud był inaczej ubrany, niż kiedy Jesper widział go opuszczającego Dom Białej Róży przy Zachodniej Klepce: teraz jego szerokie ramiona opinał szarooliwkowy mundur z błyszczącymi guzikami. Czarne włosy związał w ciasny kucyk, odsłaniając kark gruby jak szynka. Wyglądał jak to, czym w istocie był: jak broń.

– Miło, że się tak wystroiłeś – stęknął Jesper. Wciąż miał kłopot ze złapaniem tchu.

Żołnierz z Shu Hanu rozdał nozdrza, wziął głęboki wdech i uśmiechnął się.

Jesper próbował się odczołgać, a kiedy kherguud ruszył za nim, przeklął się w duchu za to, że nie zabrał broni strażnikowi. Mały pistolecik nie miał dużego zasięgu, ale teraz, kiedy ten olbrzym patrzył na niego z góry, byłby lepszy niż nic.

Poderwał się na nogi i popędził z powrotem: gdyby zdołał dotrzeć do głównej nawy... No, pewnie musiałyby się wtedy gęsto tłumaczyć, ale kherguud nie odważyłby się go zaatakować na oczach uczestników licytacji.

Czy aby na pewno?

Nie zamierzał tego sprawdzać. Żołnierz wpadł na niego całym ciałem i powalił go na ziemię. Główna nawa kościoła nagle stała się niewyobrażalnie odległa, zgiełk aukcji i zamieszanie wywołane przybyciem akwatyków były już tylko ciągiem ech niosących się wśród kamiennych ścian.

Działanie i jego echo, pomyślał odrobinę bez sensu Jesper, gdy kherguud odwrócił go na plecy.

Wił się jak piskorz, nie dając się unieruchomić w uścisku olbrzyma; cieszył się teraz, że budowę ciała ma jak czapla na diecie. Udało mu się wstać, ale żołnierz – zdumiewająco szybki mimo okazałych gabarytów – dopadł go i cisnął nim o ścianę. Jesper zaskomlał z bólu; był przekonany, że pękło mu zebro.

„To dobre dla zdrowia! Ożywia wątrobę!”.

Dopóki ten tłuk się nad nim pastwił, nie był w stanie trzeźwo myśleć.

Olbrzym wziął zamach pięścią. Zaśnił metal. Wbudowali mu w rękę kastet, uświadomił sobie ze zgrozą Jesper. Na stałe.

W ostatniej chwili uchylił się w lewo. Pięść żołnierza z donośnym grzmotem zderzyła się ze ścianą.

– Śliski – powiedział żołnierz po kercheńsku z silnym obcym akcentem i znów wziął głęboki wdech.

Zwęszył mnie, domyślił się Jesper. Wtedy, przy Klepce. Nie przeszkadza mu, że *stadwachta* może go odkryć. On poluje. Wtedy złapał trop, a teraz wreszcie dopadł zwierzynę.

Kherguud znów zamierzył się do ciosu. Najpierw pobije Jespera do utraty

przytomności, a potem... Potem co? Wyłamię zewnętrzne drzwi kaplicy i wywlecze go na ulicę jak worek z ziarnem? Odda go któremuś ze swoich skrzydlatych kumpli?

Przynajmniej już nigdy nikogo nie rozczaruję, pomyślał.

Naszprycują go *parem* po czubki uszu i może pożyje dostatecznie długo, żeby wyprodukować Shu Hanowi nową partię kherguudów.

Zrobił unik w prawo. Pięść olbrzyma wybiła w ścianie drugi krater.

Krzywiąc się z wściekłości, żołnierz chwycił Jespera za gardło i zamachnął się po raz ostatni.

W jednej sekundzie tysiąc obrazów przemknęło Jesperowi przez głowę: zmięty kapelusz ojca; połysk macicy perłowej na rękojeściach rewolwerów; Inej, prosta jak trzcina, i jej „Nie oczekuję przeprosin, Jesper”; Wylan siedzący przy stole w grobowcu i nerwowo ogryzający paznokcie kciuka.

„Cukier w dowolnej postaci”, powiedział wtedy. I jeszcze: „Unikać kontaktu z potem, krwią, śliną”.

Chemiczny wólek cukrowy. Inej zostawiła niewykorzystane fiołki w hotelowym apartamencie, potem Jesper bawił się jedną z nich podczas kłótni z ojcem...

Wsunął dłoń do kieszeni spodni i zacisnął palce na buteleczce.

– *Parem!* – wypalił. Było to jedno z niewielu znanych mu słów w języku shu.

Żołnierz znieruchomiał z pięścią uniesioną do ciosu. Przekrzywił głowę.

„Zawsze uderzaj tam, gdzie cel nie spodziewa się ataku”.

Jesper ostentacyjnie rozchylił wargi i udał, że coś między nie wkłada.

Żołnierz wybałuszył oczy i poluzował uścisk na jego szyi, usiłując złapać go za rękę. Wydał przy tym jakiś dźwięk: może tylko chrząknął, może chciał zaprotestować, nie miało to jednak żadnego znaczenia. Drugą ręką Jesper wbił mu fiołkę prosto w rozdziawione usta.

Olbrzym szarpnął się do tyłu, gdy odłamki szkła naszpikowały mu wargi i popłynęła krew. Jesper z zapalem wycierał dłoń o koszulę; modlił się w duchu, by nie okazało się, że sam też się skaleczył i wpuścił sobie wołka do krwiobiegu.

Nic się nie wydarzyło, co najwyżej żołnierz jeszcze bardziej się wkurzył. Warknął basowo, złapał Jespera za ramiona i uniósł go w powietrze.

Na wszystkich świętych, pomyślał Jesper, chyba jednak nie zamierza mnie oddać kumplom.

Złapał grube przedramiona kherguuda, próbując przełamać chwyt.

Kherguud nim potrząsnął, zakaszłał, aż zadudniło mu w potężnej piersi, znów potrząsnął... chociaż niezbyt mocno, jakby bez przekonania. I wtedy Jesper zdał sobie sprawę, że kherguud wcale nim nie potrząsa, tylko po prostu cały drży.

Z ust olbrzyma dobył się cichy syk, jak skwierczenie jajek rozbijanych na gorącą patelnię. Bąble różowej piany wystąpiły mu na wargi, krew zmieszana ze śliną pociekła po brodzie. Jesper próbował się odsunąć.

Żołnierz jęknął i wypuścił z objęć Jespera, który natychmiast zaczął się cofać – powoli, krok za krokiem, niezdolny oderwać wzroku od kherguuda, który tymczasem dostał

drgawek. Pierś unosiła mu się i opadała w gwałtownym rytmie, aż w końcu zgiął się wpół i struga poróżwiałej żółci trysnęła mu z ust na ścianę.

– Znowu nie trafiłeś – zauważył Jesper, z trudem powstrzymując mdłości.

Olbrzym runął bokiem na podłogę, sztywny jak powalony dąb.

Przez chwilę Jesper po prostu stał i patrzył na gigantyczne nieruchome ciało, zanim w końcu otrząsnął się i doszedł do siebie. Ile czasu stracił?

Puścił się biegiem w stronę kaplicy przy końcu kciuka Ghezena.

Zanim dobiegł do drzwi, wypadła zza nich Inej. Spóźnił się na umówione spotkanie. Nie przyszłaby, gdyby się nie obawiała, że wpadł w kłopoty.

– Jesper! Gdzie się...

– Karabin – wszedł jej w słowo.

Bez dalszej gadaniny zdjęła przewieszoną przez ramię broń. Wyrwał ją z rąk Inej i popędził w kierunku głównej nawy. Żeby tylko zdążył wspiąć się na galerię...

Zawyła syrena.

Za późno. Nie zdąży. Zawiedzie ich wszystkich.

„Na co komu strzelec bez broni?”

Na co komu Jesper, jeśli nie mógł oddać tego jednego strzału? Nie wydostaną się z miasta, trafią do więzienia, najprawdopodobniej zostaną zgładzeni, Kuwei trafi w ręce tego, kto najwięcej zapłaci, *parem* podpali świat, polowanie na griszów rozgorzeje jak nigdy przedtem, wszędzie, we Fjerdzie, w Nowoziemiu, na Wyspie Tułaczej... *Zowowie* znikną wcieleni do wojska i pożarci przez przeklęty narkotyk.

Dźwięk syreny wznosił się i opadał miarowo. W kościele rozległy się krzyki. Ludzie rzucili się do głównego wyjścia, ale w każdej chwili ludzka fala mogła się przelać w głąb kciuka w poszukiwaniu innej drogi ucieczki.

„Każdy może strzelać, ale nie każdy umie celować”.

Głos matki.

„Jesteśmy *zowami*. Ty i ja”.

To niemożliwe. Stąd nawet nie widział Kuweia. A w dodatku nie da się strzelać z za rogu.

Znał rozkład kościoła na pamięć. Wiedział, że w głównej nawie strzał byłby łatwy: kula poleciałaby prosto do miejsca, w którym znajdowało się podwyższenie i trwała licytacja. Oczami wyobraźni widział drugi guzik koszuli Kuweia.

To niemożliwe.

Pocisk nie może dowolnie zmieniać trajektorii.

A gdyby nim pokierować?

„Nie każdy umie celować”.

– Jesper? – usłyszał za plecami głos Inej.

Uniósł broń do ramienia. To był całkiem zwyczajny karabin – do czasu, gdy Jesper trochę go przerobił. W tej chwili w komorze znajdował się tylko jeden nabój z pociskiem ulepionym z mieszanki wosku i gumy. Postrzał nie powinien być śmiertelny, ale jeśli chybi Kuweia, ktoś może zostać ranny.

Z drugiej strony, jeśli nie strzeli w ogóle, wielu ludziom stanie się krzywda.

Do licha, pomyślał, może jeśli nawet nie trafię Kuweia, uda mi się wyłupić oko Van Eckowi?

Współpracował z rusznikarzami, zajmował się elaboracją amunicji, znał się na broni lepiej niż na działaniu Koła Makкера.

Skoncentrował się. Wyobraził sobie pocisk, wyczuł jego najdrobniejsze elementy... Może sam był takim pociskiem i zamknięty przez całe życie w komorze czekał na tę chwilę, kiedy coś nada mu bieg i wskaże kierunek.

„Każdy może strzelać”.

– Inej? Jeśli masz jakiś zbędny pacierz, to teraz jest dobry moment, żeby go zmówić.

Strzelił.

Nagle czas jakby zwolnił bieg. Jesper wyraźnie poczuł odrzut karabinu i niepowstrzymany impet pocisku. Skoncentrował się, wyobraził sobie jego woskową okładzinę i pociągnął w lewo. Huk wystrzału dźwięczał mu w uszach. Czując, jak pocisk zakręca, skupił się na guziku, drugim guziku koszuli, kawałku drewna i przytrzymujących go niciach.

„To nie jest dar, to przekleństwo”.

Prawdę mówiąc, jego życie obfitowało w błogosławieństwa: ojciec; matka; Inej; Nina; Matthias prowadzący ich na drugi brzeg mulistego kanału; i Kaz, tak, nawet on, mimo że okrutny i niedoskonały, to przecież dał Jesperowi dom i rodzinę w postaci Szumowin, kiedy Ketterdam groził, że połknie go w całości. No i Wylan. Wylan, który wcześniej od niego zrozumiał, że drzemiąca w nim moc też może być błogosławieństwem.

– Co zrobiłeś? – zainteresowała się Inej.

Może nic. A może coś niewykonalnego. Zawsze miał słabość do sytuacji, w których nikt nie dawał mu szans.

Wzruszył ramionami.

– To co zawsze – odparł. – Strzeliłem.



37

KAZ

Kaz stał obok Kuweia, kiedy kula dosięgła celu, i pierwszy do niego doskoczył. W kościele rozległa się bezładna kanonada: prawdopodobnie spanikowani funkcjonariusze *stadwacht* nerwowo pociągnęli za spusty. Uklęknął nad ciałem Kuweia w taki sposób, żeby nie było widać, co robi lewą dłonią, i wbił mu igłę strzykawki w rękę. Wszędzie było pełno krwi. Jellen Radmakker leżał na podium i krzyczał: – Trafili mnie! Trafili mnie!

Nikt go nie trafił.

Kaz wrzasnął na łysogo medykusa, który sparaliżowany strachem stał przy podwyższeniu, gdzie jeszcze przed chwilą opatrywał obrażenia Wylana. Dopiero Matthias złapał go pod rękę i wciągnął na górę.

Tłum wciąż próbował wydostać się z kościoła. Ravkańscy żołnierze wdali się w bójkę z Fjerdanami, gdy Sturmhond, Zoya i Genya rzucili się do wyjścia. Wspierani przez *stadwachtę* kupcy otoczyli Van Ecka. Nie zamierzali go wypuścić.

Chwilę później Kaz dostrzegł Inej i Jespera: brnęli pod prąd płynącej główną nawą ludzkiej rzeki. Inej była zakrwawiona, oczy miała zaczerwienione i opuchnięte, ale poza tym wydawała się cała i zdrowa.

– Kuwei... – zaczęła.

– Teraz mu nie pomożemy – uciał Kaz.

– Wylan! – wykrzyknął Jesper na widok ran i szybko rozlewających się siniaków na ciele przyjaciela. – Na świętych, to wszystko prawdziwe?

– Anika i Keeg trochę go poturbowali.

– Chciałem, żeby to wyglądało wiarygodnie – wyjaśnił Wylan.

– Podziwiam twoje poświęcenie – przyznał Kaz. – Jesper, zostań z nim. Będą go chcieli przesłuchać.

– Nic mi nie jest – zaperzył się Wylan, chociaż spomiędzy obrzmiałych warg wydobyło się raczej coś na kształt: „Bic bi bie jezd”.

Kaz skinął głową Matthiasowi. Dwaj strażnicy przełożyli ciało Kuweia na nosze i zamiast zmagać się z ludzką ciżbą w głównej nawie, skierowali się wprost pod łuk

prowadzący do małego palca Ghezena i drzwi na jego drugim końcu. Matthias poszedł za nimi, wlokąc za sobą medykusa. Śmierć Kuweia nie mogła budzić cienia wątpliwości.

Inej i Kaz wyszli za nimi do nawy, ale przy łuku Inej przystanęła i obejrzała się przez ramię. Podążywszy wzrokiem za jej spojrzeniem, Kaz zobaczył Van Ecka, który – otoczony przez rozwścieczonych członków Rady Kupieckiej – patrzył Inej w oczy.

Kaz przypomniał sobie, co powiedziała Inej na Goedmedbridge: „Jeszcze się spotkamy. Ale tylko raz”.

Sądząc po nerwowym drgnięciu grdyki Van Ecka, on również zapamiętał te słowa.

Inej odpowiedziała leciutkim ukłonem.

Przebiegli przez nawę małego palca i wpadli do kaplicy na jej końcu. Drzwi prowadzące na ulicę były zamknięte na zamek. W tej samej chwili zatrzęsły się także drzwi za ich plecami. Odwróciwszy się, ujrzeli Pekkę Rollinsa w towarzystwie czterech Lwów za Dychę.

– W samą porę – mruknął Kaz.

– To też przewidziałeś, cwaniaczku?

– Przewidziałem, że tym razem nie dasz mi tak po prostu odejść.

– Nie dam – przyznał Rollins. – Kiedy przyszedłeś do mnie po pieniądze, powinienem był wypatroszyć ciebie i twoich kumpli. Oszczędziłbym sobie mnóstwa kłopotów. Cóż, byłem głupi. – Rollins zaczął zsuwać kurtkę z ramion. – Przyznam, że nie okazałem ci wtedy należytego szacunku, chłopcze. A zasłużyłeś na szacunek. Moje gratulacje. Jesteś wart czasu, jaki poświęcę na zatłuczenie cię na śmierć tym twoim kijaszkiem.

Inej dobyła noży.

– Nie, nie, nie, dziewczynko – przestrzegł ją Rollins. – To sprawa między mną i tym parweniuszem.

Kaz skinął Inej głową.

– Ma rację. Już dawno powinniśmy byli pogadać.

Rollins się roześmiał, rozpiął guziki przy mankietach koszuli i zakasał rękawy.

– Czas na pogawędki dobiegł końca, chłopcze. Jesteś młody, ale ja biłem się z innymi, kiedy ciebie jeszcze na świecie nie było.

Kaz ani drgnął, stał nieporuszony z rękami opartymi na lasce.

– Nie zamierzam się z tobą bić, Rollins. Proponuję ci wymianę.

– No, no, uczciwa transakcja w Kościele Handlu... Twoje intrygi kosztowały mnie dużo pieniędzy i przysporzyły mi mnóstwa kłopotów. Nie bardzo wiem, co takiego mógłbyś mi zaoferować, co sprawiłoby mi większą satysfakcję niż zabicie cię gołymi rękami.

– Chodzi o kaelskiego księcia.

– Ach, Kaelski Książę... Trzy kondygnacje rajy na ziemi. Najbardziej luksusowe kasyno przy Wschodniej Klepce. Podłożyłeś w nim bombę, czy co?

– Nie. Mam na myśli małego kaelskiego księcia.

Rollins zmartwiał.

– Lubi słodczy – ciągnął Kaz. – Rudowłosa, po ojcu. Nie pilnuje swoich zabawek.

Zza pazuchy wyjął małego lwa zrobionego na szydełku. Lewek miał wyblakły żółtawy

kolor, zmierzwioną grzywę i plamy od czarnej ziemi. Kaz upuścił go na podłogę.

Rollins wytrzeszczył oczy.

– Co to ma być? – zapytał głosem niewiele głośniejszym od szeptu. – Co to ma być?! – wykrzyknął, najwyraźniej doszedłszy do siebie.

– Przecież wiesz, Rollins. Czy to nie ty mi powiedziałeś, jak bardzo jesteście z Van Eckiem do siebie podobni? Obaj przedsiębiorczy, obaj budujecie coś, co po was zostanie, obaj troszczycie się o swoje dziedzictwo. Tylko na co komu dziedzictwo, kiedy nie ma dziedzica? Dlatego zadałem sobie pytanie: dla kogo Pekka Rollins tak się stara?

Rollins zacisnął pięści. Powęźlone mięśnie zagrały pod skórą przedramion, zaciśnięte szczęki zadrżały gniewnie.

– Zabiję cię, Brekker. Zabiję wszystko, co kochasz.

Kaz się roześmiał.

– Sekret polega na tym, żeby niczego nie kochać, Rollins. Możesz mi grozić do woli. Możesz mnie wypatroszyć na miejscu, tu i teraz. Ale wtedy na pewno nie zdążysz znaleźć i uratować syna. Mam ci go przysłać do domu z poderżniętym gardłem, ubranego w odświętny garniturek?

– Ty śmieciu z Baryłki! – warknął Rollins. – Czego ode mnie chcesz, do diabła?!

Kaz poczuł, jak w jego wnętrzu otwierają się drzwi prowadzące w ciemność. Cała jego wesołość ulotniła się w mgnieniu oka.

– Chcę, żebyś sobie przypomniawszy – odparł.

– Co mam sobie przypomnieć?

– Siedem lat temu wykiwałeś dwóch chłopców z południa, dwójkę dzieciaków ze wsi, za głupich, żeby się zorientować, kiedy się ich kantuje. Przygarnąłeś nas, zdobyłeś nasze zaufanie, razem z rzekomą żoną i córką nakarmiłeś nas *hutspot*... Zaczęło się od zaufania, potem odebrałeś nam pieniądze i wszystko, co mieliśmy.

Było widać, że Rollins wyteęza pamięć.

– Jeszcze sobie nie przypominasz? No tak, tylu ich było... Mam rację? Ile takich przewałów robiłeś rocznie? Ilu frajerów ogoliłeś od tamtej pory?

– Nie masz prawa... – złościł się Pekka. Jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie, wzrok co rusz padał na porzuconego szydełkowanego lwa.

– Nie martw się, twój syn żyje. Na razie. – Kaz bacznie obserwował twarz Pekki. – Czekał, pomożę ci. Podalesz się za Jakoba Hertzoona. Zatrudniłeś mojego brata jako gońca. Prowadziłeś interesy w kawiarni.

– Naprzeciw parku – dopowiedział pośpiesznie Pekka. – Tego, w którym rosną wiśnie.

– Zgadza się.

– To było dawno, chłopcze.

– Oszukałeś nas i okradłeś ze wszystkiego. Wylądowaliśmy na ulicy i umarliśmy, obaj, każdy na swój sposób. Ale tylko jeden z nas zmartwychwstał.

– To o to ci chodzi? Od początku o to ci chodziło? To dlatego patrzysz na mnie z taką żądzą mordy w tych rekinich ślepiach? – Rollins pokręcił głową. – Byliście frajerami, których przez przypadek akurat ja wykiwałem. Nie byłoby mnie, znalazłby się ktoś inny.

Drzwi wiodące w mrok otworzyły się szerzej. Kaz chciał przez nie przejść. Na zawsze stracił część siebie. Jordie nie wróci. Ale Pekka może przynajmniej zaznać tej samej bezradności, która stała się ich udziałem.

– Masz pecha, że padło na ciebie – odparował. – Obaj macie pecha, ty i twój syn.

– Myślę, że blefujesz.

Kaz uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Pogrzebałem twojego syna – wychrypiał śpiewnie, rozkoszując się każdym słowem. – Pochowałem go żywcem sześć stóp pod ziemią na kamienistym polu. Przez cały czas słyszałem, jak płacze i błagalnie nawołuje ojca. „Tato”, lamentował, „tato...”. W życiu nie słyszałem słodszych dźwięku.

– Kaz... – wykrztusiła pobladła Inej. Czegoś takiego nigdy by mu nie wybaczyła.

Rollins go dopadł, chwycił za klapy płaszcza i grzmotnął nim o ścianę. Kaz nie stawiał oporu. Rollins był zroszony potem jak śliwka rosą, twarz miał czerwoną ze zgrozy i rozpacz. Kaz napawał się tym widokiem. Chciał na zawsze wyryć sobie w pamięci każdą sekundę tej sceny.

– Powiedz mi, gdzie on jest, Brekker. – Rollins uderzył jego głową o ścianę. – Mów!

– Moja propozycja jest prosta, Rollins. Jeżeli wypowiesz imię mojego brata, twój syn przeżyje.

– Brekker...

– Powiedz, jak miał na imię mój brat. A może podsunąć ci jeszcze jakąś wskazówkę? Zaprosiłeś nas do domu przy Zilverstraat. Twoja rzekoma żona grała na fortepianie. Miała na imię Margit. Mieliście psa o srebrnej sierści i córkę, na którą wołałeś Saskia. Nosila czerwoną wstążkę we włosach. Widzisz? Ja wszystko pamiętam. Wszystko. To łatwe.

Rollins go puścił i zaczął spacerować po kaplicy, przeczesując palcami przerzedzone włosy.

– Dwaj chłopcy... – powtórzył, wytężając pamięć. Okręcił się na pięcie i wycelował w Kaza palec wskazujący. – Przypominam sobie. Dwaj bracia z Lij. Mieliście jakąś śmieszna sumkę pieniędzy. Twój brat wyobrażał sobie, że ma dryg do handlu, chciał zostać kupcem i się wzbogacić, jak każdy leszcz, który schodzi z promu na ląd w Baryłce.

– Wszystko to prawda. Kolejnych dwóch frajerów do ogolenia. A teraz powiedz mi, jak miał na imię.

– Kaz i... – Rollins złapał się za głowę. Chodził po kaplicy tam i z powrotem, tam i z powrotem, dysząc ciężko, jakby przebiegł przez całe miasto. – Kaz i... – Odwrócił się do Kaza. – Mogę uczynić cię bogatym, Brekker.

– Sam mogę uczynić się bogatym.

– Mogę ci dać Baryłkę. Będziesz miał władzę jak nigdy przedtem, wszystko, o czym zamarysz.

– Wskrześ mojego brata.

– Twój brat był głupcem i ty dobrze o tym wiesz! Był frajerem, jakich wielu, wyobrażał sobie, że przechytrzy system i szybko się dorobi. Uczciwego człowieka nie da się oskubać,

Brekker. Przecież wiesz.

Chciwość to najlepszy środek nacisku. To Pekka Rollins go tego nauczył – i miał rację. Byli głupi. Może nadejdzie dzień, w którym Kaz wybaczy Jordiemu, że nie był tym idealnym bratem, którego przechował w swoim sercu; może nawet rozgrzeszy sam siebie z bycia naiwnym, ufnym dzieciakiem, który wierzył, że ludzie mogą być dobrzy bez powodu. Ale dla Rollinsa nie będzie litości.

– Mów, gdzie on jest, Brekker! – ryknął mu Rollins prosto w twarz. – Gadaj, gdzie mój syn!

– Powiedz, jak miał na imię mój brat. Wypowiedz jego imię w taki sposób, jak robią to magicy występujący przy Wschodniej Klepce: jak zaklęcie. Chcesz odzyskać syna? A jakież niby on ma prawo do tego, żeby dalej wieść życie rozpieszczonego dziecka? Czym się różni ode mnie albo mojego brata?

– Nie znam imienia twojego brata. Nie znam go! Nie pamiętam! Wtedy dopiero wyrabiałem sobie markę; myślałem, że dla mnie to będzie drobna robótka, a wy po ciężkim tygodniu w mieście wróćcie do siebie na wieś.

– Wcale tak nie myślałeś. W ogóle się nie zastanawiałeś, co z nami będzie.

– Proszę cię, Kaz... – szepnęła Inej. – Nie rób tego. Nie bądź taki.

– Błagam cię... – jęknął Rollins.

– Naprawdę?

– Ty sukinsynu.

Kaz spojrział na zegarek.

– My tu sobie gadu-gadu, a twój synek tkwi zagubiony w mroku...

Pekka obejrzał się na swoich ludzi. Przetarł twarz dłońmi.

A potem powoli, ciężko, jakby każdy mięsień w jego ciele protestował przeciw tej decyzji, Pekka Rollins uklęknął.

Lwy za Dychę pokręciły głowami. Słabość nigdy nie była w Baryłce w cenie, bez względu na okoliczności.

– Błagam cię, Brekker. Chłopak jest dla mnie wszystkim. Daj mi po niego pójść. Daj mi go ocalić.

Kaz spojrział z góry na Pekkę Rollinsa – Jakoba Hertzoona – który wreszcie przed nim uklęknął, ze łzami w oczach i cierpieniem wrytym w zmarszczkach poczerwieniałej twarzy.

Cegła po cegle.

Zawsze to jakiś początek.

– Syna znajdziesz w południowym narożniku Pola Smolarza, dwie mile na zachód od Appelbroek. Oznaczyłem miejsce czarną chorągiewką. Jeżeli wyruszysz od razu, zdążysz go jeszcze uratować.

Pekka zerwał się na równe nogi i zaczął wydawać rozkazy:

– Pchnijcie posłańca do domu, niech przyszykuje konie. I znajdźcie mi medykusa.

– Ale zaraza...

– Weźcie tego, który dyżuruje w Szmaragdowym Pałacu. Jeśli będzie trzeba, siłą

wywleczyć go z lazaretu. – Rollins dźgnął Kaza palcem w pierś. – Zapłacisz mi za to, Brekker. Będziesz płacił i płacił. Twojemu cierpieniu nie będzie końca.

Kaz spojrzał mu w oczy.

– Cierpienie niczym się nie różni od innych rzeczy: kiedy człowiek z nim żyje dostatecznie długo, uczy się doceniać jego smak.

– Idziemy! – zarządził Rollins i szarpnął zamknięte drzwi. – Gdzie klucz, do licha?!

Jeden z jego ludzi podał mu klucz, lecz Kaz zwrócił uwagę, że trzyma się na dystans od szefa. Historia o kłęczącym Rollinsie jeszcze tego samego dnia rozejdzie się po Baryłce. Rollins też musiał o tym wiedzieć. Kochał syna na tyle, żeby w zamian za jego życie położyć na szali całą swoją dumę i reputację. To chyba powinno coś znaczyć. I może dla kogoś innego by znaczyło.

Drzwi na ulicę rozwarły się z impetem, chwilę później Pekka i jego ludzie zniknęli.

Inej przykucnęła i nasadami dłoni otarła oczy.

– Zdaży? – zapytała.

– Na co?

– Na... – Podniosła wzrok na Kaza. Ależ będzie mu brakowało tej jej zaskoczonej miny!

– Nie zrobiłeś tego. Nie pogrzebałeś chłopaka żywcem.

– Na oczy dzieciaka nie widziałem.

– Ale ten lewek...

– Strzeliłem. Duma Pekki z Lwów za Dychę jest raczej oczywista. Jego syn ma pewnie z tysiąc różnych lwów do zabawy, plus takiego dużego, drewnianego, na biegunach.

– Ale jak się dowiedziałeś, że Pekka w ogóle ma syna?

– Domyśliłem się, kiedy spotkaliśmy się w domu Van Ecka. Rollins bez przerwy nawijał o tym, jaką to wspaniałą spuściznę tworzy. Wiedziałem, że ma domek na wsi, bo lubi się czasem wyrwać z miasta, więc przypuszczałem, że po prostu ma kochankę. Ale to, co mówił tamtego wieczoru, dało mi do myślenia.

– A skąd pomyśł, że ma syna, nie córkę? Też szczęśliwy traf?

– Szczęśliwy, ale nie bezpodstawny. Pekka nazwał nowe kasyno Kaelskim Księciem.

Dzieciak musiał być rudy, po ojcu. A który maluch nie lubi słodczy?

Inej pokręciła głową.

– Co znajdzie na polu?

– Nic. Jego ludzie na pewno w końcu mu doniosą, że syn, cały i zdrowy, robi to, co robią wszystkie rozpieszczone dzieciaki, kiedy ojców nie ma w domu. Mam jednak nadzieję, że zanim do tego dojdzie, Pekka spędzi parę godzin na nerwowym grzebaniu w ziemi i kręceniu się w kółko. Najważniejsze, że nie będzie go w pobliżu, żeby potwierdzić ewentualne zeznania Van Ecka, i że rozejdzie się wieść, że opuścił miasto w pośpiechu i w asyście medykusa.

Widząc spojrzenie Inej, domyślił się, że właśnie odnalazła kolejny element układanki.

– Ogniska zarazy...

– Kaelski Książę. Szmaragdowy Pałac. Cukierenka. Wszystkie należą do Pekki Rollinsa. Zostaną zamknięte i objęte kwarantanną, która potrwa wiele tygodni. Nie

zdziwiłbym się, gdyby miasto profilaktycznie zamknęło także inne należące do niego lokale, na wypadek gdyby miało się okazać, że ich personel roznosi chorobę. Odzyskanie dzisiejszego statusu finansowego zajmie mu najmarniej rok, może dłużej, jeśli panika potrwa. Poza tym, jeżeli Rada uzna, że przyłożył rękę do założenia fałszywego konsorcjum, mogą mu już nigdy nie wydać nowej licencji.

– Przeznaczenie ma plan dla nas wszystkich – mruknęła Inej.

– Czasem trzeba mu troszkę pomóc.

Inej zmarszczyła brwi.

– Zaraz... Wybraliście z Niną cztery ogniska choroby, nie trzy. Prawda?

Kaz obciągnął mankiety koszuli.

– Kazałem jej po drodze zajrzeć do Menażerii.

Inej się uśmiechnęła. Oczy miała zaczerwienione, policzki obsypane jakimś pyłem, ale dla takiego uśmiechu Kaz byłby gotów nawet umrzeć.

Spojrzał na zegarek.

– Czas na nas. To jeszcze nie koniec.

I wyciągnął dłoń w rękawiczce. Inej wzięła głęboki, rozedrgany wdech, a potem złapała podaną jej rękę i uniosła się jak dym znad płomienia. Nie puściła jego dłoni.

– Okazałeś litość, Kaz. Byłeś lepszym człowiekiem.

Cała ona: doszukiwała się przyzwoitości tam, gdzie jej nie było i być nie mogło.

– Zrozum, Inej: zabić syna Pekki mógłbym tylko raz. – Kaz pchnięciem laski otworzył drzwi. – A zmusić go do wyobrażania sobie śmierci chłopaka mogę tysiące razy.



Matthias truchtał przy noszach z bezwładnym ciałem Kuweia, które dwaj strażnicy ze *stadwacht*y dźwigali w stronę Beurscanal. W powietrzu niosło się zawodzenie syreny. Medykus w targanych wiatrem szatach z trudem za nimi nadążał.

Na przystani medykus ujął Kuweia za przegub dłoni.

– To nie ma sensu – orzekł. – Nie wyczuwam pulsu. Pocisk musiał przeszyć serce.

Tylko nie zadzieraj mu koszuli, błagał w myślach Matthias.

Jesper użył woskowo-gumowej kuli, która rozpadła się na kawałki po uderzeniu w pęcherz umieszczony pod guzikiem koszuli. Z pękniętego pęcherza trysnęła krew z drobinkami kości, zebrana wcześniej w jatce u rzeźnika, o czym jednak medykus nie mógł wiedzieć. Dla wszystkich obserwatorów w kościele Kuwei został trafiony prosto w serce i zginął na miejscu.

– Do diabła – mruknął medykus – gdzie jest łódź ratunkowa? I gdzie zarządca przystani?

Matthias przypuszczał, że zna odpowiedzi na te pytania. Zarządca porzucił stanowisko pracy, gdy tylko zawyła syrena, a jeśli chodzi o łódź ratunkową... Z miejsca, w którym stali, niewiele było widać, ale było oczywiste, że kanał jest dosłownie zatkany łodziami, na których ludzie przekrzykują się i rozpychają wiosłami, próbując wydostać się z miasta, zanim kanały zostaną zamknięte, a oni uwięzieni w zakażonym labiryncie.

– Halo, tutaj! – zawołał jakiś rybak. – Możemy was zabrać do szpitala!

Medykus spojrział na niego z powątpiewaniem.

– Czy ktoś na pokładzie wykazuje objawy zakażenia?

Rybak wskazał kobietę w zaawansowanej ciąży: leżała na rufie, pod płóciennym daszkiem.

– Nie, panie. Jest nas tylko dwoje i oboje jesteśmy zdrowi, ale moja żona lada chwila zacznie rodzić. Przydałby się nam na pokładzie ktoś taki jak wy, panie, na wypadek gdybyśmy nie zdążyli do szpitala.

Medykus lekko pozieleniał na twarzy.

– Nie jestem... nie znam się na kobiecych przypadłościach. A w ogóle to dlaczego żona nie rodzi w domu? – spytał podejrzliwie.

Nie przejmuj się zbytnio Kuweiem, zauważył posępnie Matthias. Martwi się o siebie.

– Nie mamy domu – odparł rybak. – Tylko tę łódź.

Medykus obejrzał się przez ramię na wylewający się z kościoła ogarnięty paniką tłum.

– Dobrze, płynmy. Ty zostajesz – powiedział do Matthiasa.

– Zostałem wyznaczony na jego opiekuna. Gdzie on, tam i ja.

– Wszyscy się nie pomieszczą – uprzedził rybak.

Funkcjonariusze *stadwachty* wymienili szeptem kilka gniewnych zdań, po czym jeden z nich przemówił głośniej: – Włożymy go do łodzi, ale potem musimy wracać na posterunek. Taka jest procedura.

Kaz zapowiedział, że po wybuchu zarazy *stadwachta* będzie wolała się trzymać jak najdalej od szpitala – i miał rację. Zresztą Matthias wcale nie miał do nich pretensji.

– Możemy potrzebować ochrony! – zaprotestował medykus.

– Ale kto konkretnie? – zdziwił się strażnik. – Trup?

– Ja! Jestem medykusem, a w mieście panuje zaraza!

Tamten wzruszył ramionami.

– Taka procedura.

We dwóch przełożyli nosze na łódź i zniknęli.

– Ani krzty poczucia obowiązku – żołądkował się medykus.

– Marnie wygląda – przyznał rybak, zerknąwszy na Kuweia.

– Bo już po nim – odparł medykus. – Co nie zmienia faktu, że musimy jeszcze wykonać pewne rytualne gesty. Jak powiedzieliby nasi mundurowi znajomi: taka procedura.

Z ust ciężarnej dobył się przeraźliwy jęk. Matthias z satysfakcją stwierdził, że medykus smyrgnął aż pod reling, omal nie przewróciwszy przy tym kubła pełnego złowionych kałamarnic. Oby ten wymuskany tchórz jak najdłużej trzymał się z dala od Niny i jej fałszywego brzucha. Matthiasowi trudno było na nią nie patrzeć, kiedy co rusz pragnął się upewnić, że nic jej nie grozi, ale jeden rzut oka wystarczył mu, by stwierdzić, że jest całkowicie bezpieczna i ma się doskonale: jej twarz jaśniała własnym blaskiem, oczy lśniły jak szmaragdy. Tak właśnie wyglądała, gdy używała mocy – bez względu na to, jaką formę przybierała ta moc.

Wygląda nienaturalnie, odezwał się w jego duszy dawny, pełen determinacji głos.

Wygląda pięknie, zabrzmiał drugi głos, ten sam, który odezwał się tamtej nocy, gdy Matthias pomógł Jesperowi i Kuweiovi wymknąć się z Czarnego Woalu. Był nowy, mniej pewny siebie, ale głośniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

Matthias skinął rybakowi głową. Rotty odpowiedział porozumiewawczym mrugnięciem i skubnął sztuczną brodę, po czym szybkimi pchnięciami wyprowadził łódź na środek kanału.

Niedaleko Zentzbridge Matthias dostrzegł zacumowaną pod mostem ogromną barcę winiarską. Zajmowała tyle miejsca, że kiedy próbowali ją wyminąć, kadłuby zachrobotwały donośnie. Szyper barki wdał się w głośną sprzeczkę z Rottym, a Nina znów wydała z

siebie jęk, tak głośny i przeciągły, jakby próbowała iść w zawody z wyjąca nad miastem syreną.

– Radzę głęboko oddychać – zasugerował stojący przy relingu medykus.

Matthias posłał Ninie dyskretne ostrzegawcze spojrzenie. Mogli udawać, że jest w ciąży, ale nie daliby rady sfingować porodu – w każdym razie on tak przypuszczał, chociaż po tym, co zobaczył, zaczynał rozumieć, że dla Kaza nie ma rzeczy niemożliwych.

Medykus krzyknął na niego, żeby podał mu torbę. Matthias zakrzętnął się przy niej, wyjął stetoskop i zagrzebał go w kłębach rybackiej sieci, na wypadek gdyby medykus koniecznie chciał osłuchać ciężarny brzuch Niny.

Oddał torbę właścicielowi.

– Czego szukasz? – zapytał i stanął w taki sposób, żeby zasłonić medykusowi widok na barcę, gdzie właśnie odbywała się zamiana Kuweia na trupa, którego ubiegłej nocy podwędzili z kostnicy.

Gdy tylko Sturmhond z Genyą wydostali się z kościoła, grisza przybyła pod most, żeby przeformować twarz zmarłego i podnieść temperaturę jego ciała. Nie mógł przecież wyglądać jak kilkudniowy trup.

– Środka uspokajającego – odparł medykus.

– Nie zaszkodzi kobiecie w ciąży?

– To dla mnie.

Szyper barki obrzucił Rotty’ego jeszcze paroma przekleństwami (było widać, że Specht świetnie się bawi), a potem łódź rybacka wypłynęła w końcu spod mostu. Od razu też wyraźnie przyśpieszyła, bo zostawili już za sobą najbardziej zatłoczony odcinek kanału. Matthias nie oparł się pokusie i obejrzał się: na barce wśród skrzynek z winem trwała gorączkowa krzątanina. Wszyscy mieli jeszcze zadania do wykonania.

– Dokąd płyniemy? – zapytał zniecierpliwiony medykus. – Myślałem, że popłyniemy do kliniki uniwersyteckiej.

– Kanał był zablokowany – zełgał Rotty.

– W takim razie zabierz nas do Ghezendaal. Pośpiesz się.

O to właśnie chodziło. Klinika uniwersytecka znajdowała się bliżej, ale szpital Ghezendaal był mniejszy, skromniej obsadzony i z całą pewnością ogarnięty falą paniki wywołanej zarazą: idealne miejsce, żeby podrzucić ciało, któremu nikt nie zechce się bacznie przyjrzeć.

Przybili do szpitalnej przystani. Ludzie z obsługi szpitala pomogli Rotty’emu i Ninie wysiąść na ląd, a następnie wyciągnęli na brzeg nosze. Kiedy jednak dotarli do drzwi wejściowych, dyżurna pielęgniarka rzuciła okiem na nosze i zapytała: – Po co przynieśliście nam trupa?

– Taka procedura! – wykrzyknął medykus. – Próbuję tylko wypełniać swoje obowiązki!

– Wprowadzamy kwarantannę i nie mamy wolnych łóżek dla martwych. Przenieście go na tył, na stanowisko ładunkowe. Może trupiarze go w nocy zabiorą.

Nosze zostały zabrane na tyły szpitala; jutro ciało nieznanego stanie się kupką popiołu, a prawdziwy Kuwei będzie mógł wreszcie odetchnąć z ulgą i żyć bez ciągłego

oglądania się za siebie.

– W takim razie pomóżcie przynajmniej tej kobiecie, zaraz będzie... – Medykus rozejrzał się dookoła, ale Rotty'ego i Niny nie było już nigdzie widać.

– Weszli do środka – poinformował go Matthias.

– Ale...

– Zamierzasz tu tak stać przez cały dzień i blokować wejście? – warknęła pielęgniarka.

– Czy może jednak raczysz wejść do środka i się na coś przydać?

– Jestem... potrzebny gdzie indziej – wymamrotał medykus, udając, że nie widzi niedowierzającego spojrzenia pielęgniarki. – Niektórzy potrafią być naprawdę nieuprzejmi – dodał, otrzepując szaty, gdy zaczęli się oddalać od szpitala. – Jestem przecież naukowcem uniwersyteckim.

Matthias ukłonił mu się nisko.

– Dziękuję, że próbowałeś ratować mojego podopiecznego.

– No tak, tak. Istotnie. Po prostu wypełniałem wymogi przysięgi. – Medykus obejrzał się nerwowo na domy i sklepy, w których zamykano drzwi na klucz i zatraskiwano okiennice. – Naprawdę muszę już iść do... kliniki.

– Na pewno wszyscy będą wdzięczni za twoją opiekę – odparł Matthias, święcie przekonany, że medykus popędzi prosto do domu, żeby tam się ukryć przed każdym ewentualnym pacjentem, który mógłby na niego choćby kichnąć.

– Tak, tak, na pewno – przytaknął medykus. – Zdrowia życzę. Miłego dnia.

I przepadł w głębi wąskiej uliczki.

Matthias złapał się na tym, że szczyrzy zęby w uśmiechu, i puścił się biegiem w przeciwnym kierunku. Miał się spotkać z towarzyszami przy Zentzbridge, gdzie mieli nadzieję szybko doprowadzić Kuweia do normalnego stanu. Znów zobaczy Ninę i może będą mogli zacząć myśleć o przyszłości.

– Matthias Helvar! – zabrzmiał piskliwy, kłótlivy głosik.

Zatrzymał się i odwrócił. Na środku pustej ulicy stał chłopiec – ten sam młody *drüskelle* o włosach białych jak lód, który z taką złością popatrywał na niego wilkiem podczas licytacji. Miał na sobie szary mundur zamiast czarnego uniformu pełnoprawnego *drüskelle*. Czyżby śledził Matthiasa od wyjścia z kościoła? Jeśli tak, to co zobaczył? Mógł mieć najwyżej czternaście lat. Dłoń, w której trzymał pistolet, drżała.

– Oskarżam cię o zdradę stanu – powiedział łamiącym się głosem. – Zdradziłeś Fjerdę i swoich braci, *drüskelle*.

Matthias podniósł rękę.

– Jestem nieuzbrojony.

– Zdradziłeś swój kraj i boga.

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni...

– Zabiliście moich przyjaciół. Podczas napadu na Lodowy Dwór.

– Nie zabiłem żadnego *drüskelle*.

– Ty nie, ale twoi towarzysze tak. Jesteś mordercą. Upokorzyłeś naszego dowódcę, Jarla Bruma.

– Jak ci na imię? – spytał łagodnym głosem Matthias. Ten chłopak nie chciał nikomu zrobić krzywdy.

– Nieważne.

– Od dawna służysz?

– Od sześciu miesięcy. – Chłopak dumnie uniósł brodę.

– Kiedy dołączyłem do *drüskelle*, byłem jeszcze młodszy od ciebie. Wiem, jak tam jest; wiem, jakie myśli wkładają ci do głowy. Ale nie musisz tego robić.

Chłopak dygotał na całym ciele.

– Oskarżam cię o zdradę – powtórzył.

– A ja jestem winny – przyznał się Matthias. – Robiłem straszne rzeczy. Jeżeli chcesz, wrócę teraz z tobą do kościoła, stanę twarzą w twarz z twoimi przyjaciółmi i przełożonymi i przekonamy się, jak i komu zostanie wymierzona sprawiedliwość.

– Kłamiesz. Pozwoliłeś zabić nawet tego chłopca z Shu Hanu, którego miałeś chronić. Jesteś nie tylko zdrajcą, lecz także tchórzem.

Doskonale. Chłopak uwierzył, że Kuwei nie żyje.

– Pójdę z tobą, masz na to moje słowo. Zresztą masz pistolet. Nie musisz się niczego obawiać z mojej strony.

Matthias postąpił krok naprzód.

– Nie ruszaj się!

– Nie bój się. To właśnie poprzez strach tamci cię kontrolują.

„Wymyślimy coś, żeby ich przekonać”.

Dzieciak był w zakonie zaledwie od pół roku. Był jeszcze do uratowania.

– Na świecie jest mnóstwo rzeczy, których wcale nie musisz się bać. Wystarczy, że szeroko otworzysz oczy.

– Kazałem ci się nie ruszać!

– Nie chcesz mi zrobić krzywdy. Ja to wiem. Kiedyś też taki byłem.

– Nie jestem taki jak ty – odparł chłopiec z ogniem w oczach.

Matthias dostrzegł w nich pasję, wzburzenie, złość. Jakże dobrze je znał... Mimo to był zaskoczony, kiedy usłyszał strzał.



39

NINA

Nina ściągnęła suknię i odpięła założony na koszulę ciężki gumowy brzuch; przez ten czas Rotty pozbył się brody i płaszcza. Związali wszystkie rekwizyty w jedno zawiniątko, które Nina wyrzuciła za burtę, zanim przesiedli się na barcę winiarską zacumowaną pod Zentzbridge.

– Nareszcie – mruknęła, gdy tobolek pogrążył się w wodzie.

– Nie masz ani krzty instynktu macierzyńskiego – zauważył Kaz, wychyliwszy się zza stosu skrzyń.

– Gdzie Inej?

– Tutaj – odparła Inej zza pleców Kaza. – Cała i zdrowa. Za to Kuwei...

– Znów krwawisz – zauważyła Nina. Dołączyła do nich pośród skrzynek. Ruch na kanale był niewielki, ale woleli nie ryzykować. – Co ci się stało w oczy?

– Powiedziałabym, żebyś spytała Białą Klingę, ale... – Inej wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że cierpiała.

– Nino!

– No co? Nie możemy obie być spokojne i litościwe.

Wcisnęli się w spowitą cieniem przestrzeń pomiędzy skrzynkami i kamiennym łukiem mostu. Nosze z ciałem Kuweia spoczywały na prowizorycznym stole ze skrzyń. Genya robiła mu zastrzyk w rękę, czemu przyglądali się Zoya i człowiek, który musiał być Sturmhondem.

– Co z nim? – spytała Nina.

– Jeżeli ma puls, to ja nie umiem go znaleźć – odparła Genya. – Trucizna podziałała.

Może aż za dobrze. Genya zapowiadała, że trucizna spowolni serce i oddech do tego stopnia, że stan Kuweia będzie niemal nie do odróżnienia od śmierci. Sztuczka wypadła jednak nieprzyjemnie przekonująco. Jakaś częśćka Niny zdawała sobie sprawę, że po śmierci Kuweia świat mógłby się stać bezpieczniejszy – tak jak zdawała sobie sprawę, że jeśli ktokolwiek inny odkryje sekret *parem*, to właśnie Kuwei będzie dla Ravki największą nadzieją w wyścigu po antidotum. Walczyli o uwolnienie go z Lodowego Dworu. Knuli,

planowali i walczyli, żeby mógł bezpiecznie kontynuować swoje prace wśród griszów. Był ich nadzieją.

Był także chłopcem, który zasługiwał na życie bez wymalowanej na plecach tarczy strzelniczej.

– To odtrutka? – Nina spojrzała pytająco na strzykawkę w rękach Genyi.

– Druga dawka – potwierdził Kaz.

Wszyscy patrzyli, jak Genya znów sprawdza tętno i oddech Kuweia. Pokręciła głową.

– Zoya? – odezwał się Sturmhond tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zoya z westchnieniem zakasała rękawy.

– Rozepnijcie mu koszulę.

– Co chcesz zrobić? – spytał Kaz, kiedy Genya rozpięła pozostałe guziki koszuli. Chuda pierś i wystające zebra Kuweia były całe umazane świńską krwią z woskowego pęcherza.

– Albo pobudzę jego serce, albo ugotuję go od środka – odparła Zoya. – Odsuńcie się.

Zrobili, co w ich mocy, żeby wypełnić to polecenie w bardzo ograniczonej przestrzeni.

– Co ona ma na myśli? – zapytał Kaz Ninę.

– Nie jestem pewna... – przyznała Nina.

Zoya wyciągnęła przed siebie ręce i zamknęła oczy. Nagle powietrze zrobiło się chłodne i wilgotne.

Inej zaciągnęła się nim głęboko.

– Pachnie burzą.

Zoya otworzyła oczy, złożyła ręce jak do modlitwy i szybkim gestem zatarła dłonie.

Nina odczuła wyraźny spadek ciśnienia, poczuła metaliczny smak na języku.

– Wydaje mi się... że próbuje sprowadzić piorun.

– To bezpieczne? – zaniepokoiła się Inej.

– Ani trochę – odparł Sturmhond.

– Próbowwała już tego kiedyś? – zapytał Kaz.

– W takim celu jak teraz? Dwa razy byłem świadkiem, jak robiła coś takiego.

Podziałało fantastycznie. Za jednym razem.

Głos Sturmhonda wydał się Ninie dziwnie znajomy. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że już się kiedyś spotkali.

– Gotowi? – upewniła się Zoya.

Zanim Genya cofnęła się od stołu, wcisnęła Kuweiovi w zęby kilkakrotnie złożony kawałek materiału. Nina wzdrygnęła się, gdy dotarło do niej, że dzięki temu chłopak może nie odgryzie sobie języka.

– Mam szczerą nadzieję, że się jej uda – mruknęła.

– Kuwei też – odparł Kaz. – Większą niż ty.

– To trudne – uprzedził Sturmhond. – Piorun nie lubi słuchać rozkazów. Zoya też ryzykuje życie.

– Nie wygląda mi na taką – przyznał Kaz.

– Zdziwiłbyś się – odpowiedzieli Nina i Sturmhond jednym głosem i Nina po raz drugi odniosła wrażenie, że się znają.

Rotty zacisnął kurczowo powieki; nie mógł na to patrzeć. Wargi Inej poruszały się. Pewnie się modli, domyśliła się Nina.

Pomiędzy dłońmi Zoi rozkwitła skwiercząca błękitna poświata. Grisza odetchnęła głęboko i przyłożyła ręce do piersi Kuweia.

Ciało chłopaka wygięło się w łuk tak gwałtownie, że Nina zaniepokoiła się o stan jego kręgosłupa, ale tylko przez moment, bo zaraz znów opadł bezwładnie na nosze. Nie otworzył oczu. Jego pierś się nie poruszyła.

Genya sprawdziła mu puls.

– Nic.

Zoya z marsową miną klasnęła w dłonie. Pot zrosił jej idealne czoło.

– Na pewno chcemy, żeby żył? – burknęła.

Kiedy nikt nie odpowiedział, znów zaczęła pocierać dłonią o dłoń, gromadząc kolejny skwierczący ładunek.

– Co ona właściwie próbuje uzyskać? – zainteresowała się Inej.

– Chce pobudzić jego serce, żeby podjęło normalną pracę – wyjaśniła Genya. – A ciepło przyspieszy rozkład trucizny.

– Albo go zabije – zauważył Kaz.

– Albo go zabije – zgodziła się Genya.

– Teraz – zapowiedziała Zoya z determinacją w głosie.

Nina zastanawiała się, czy zależy jej na ocaleniu Kuweia, czy po prostu bardzo, ale to bardzo nie lubi przegrywać.

Zoya ponownie przytknęła dłonie do piersi Kuweia, którego ciało wygięło się jak zielona gałązka targana bezlitosnym wiatrem, zanim znowu osunęło się na nosze.

Kuwei stęknął i otworzył oczy. Odruchowo spróbował usiąść i wypluć dławiący go kłębek materiału.

– Świętym niech będą dzięki – powiedziała Nina.

– Mnie dziękuj, nie świętym – poprawiła ją Zoya.

Genya podeszła do noszy i przytrzymała Kuweia, który ze zgrozą wybałuszył oczy.

– Ćśś... – zaszemrała kojąco Nina, również podchodząc bliżej. Kuwei widział Genyę i Zoyę tylko w ravkańskiej delegacji na aukcji. Dla niego były praktycznie obcymi osobami.

– Wszystko w porządku. Żyjesz. Jesteś bezpieczny.

Inej dołączyła do niej, wyjęła Kuweiovi szmatkę z ust, przyglądała mu włosy.

– Jesteś bezpieczny – powtórzyła.

– Licytacja...?

– Dobiegła końca.

– A co z poselstwem Shu Hanu?

Widząc strach w jego złotych oczach, Nina uświadomiła sobie, jak bardzo musiał być przerażony podczas aukcji.

– Myślą, że zginąłeś – zapewniła go. – Przedstawiciele wszystkich krajów widzieli, jak dostałeś z karabinu prosto w serce. Medykus i personel szpitala potwierdzą twój zgon.

– Ale ciało...

– Jeszcze dziś wieczorem, najpóźniej w nocy, zabiorą je trupiarze – odparł Kaz. – To koniec.

Kuwei opadł na nosze, zasłonił oczy przedramieniem i wybuchnął płaczem. Nina pogładziła go delikatnie.

– Wiem, co czujesz, mały.

Zoya ujęła się pod biodra.

– A mnie nikt nie podziękuje za ten mały cud? Albo Genyi?

– Dziękujemy wam za to, że prawie zabiłyście, a potem przywróciłyście do życia najcenniejszego zakładnika na świecie, po to tylko, żeby wykorzystać go do swoich celów – powiedział Kaz. – A teraz zmywajcie się stąd. Ulice są praktycznie puste; musicie się przedostać do dzielnicy fabrycznej.

Zoya zmrużyła piękne oczy.

– Spróbuj się kiedyś pokazać w Ravce, Brekker, to cię nauczymy dobrych manier.

– Będę o tym pamiętał. Bo zanim spalą moje ciało na Krypie Kostuchy, chciałbym zostać zapamiętany przede wszystkim ze swojej ogłady i uprzejmości.

– Chodź z nami, Nino – nalegała Genya.

Nina pokręciła głową.

– Robota jeszcze nie jest skończona, a poza tym Kuwei i tak jest za słaby, żeby od razu z wami iść.

Zoya odęła wargi.

– Tylko nie zapominaj, komu jesteś winna lojalność.

Po tych słowach wysiadła z barki na ląd. Genya i Sturmhond poszli w jej ślady.

Korsarz odwrócił się jeszcze i zmierzył Ninę przeciągłym spojrzeniem. Jego oczy miały dziwny odcień, a rysy twarzy jakby nie całkiem pasowały do siebie nawzajem.

– Gdybyś się zastanawiała nad powrotem, chcę, żebyś wiedziała, że ty i twój Fjerdanin będziecie mile widziani w Ravce. Nie mamy pojęcia, jak dużo *parem* nadal znajduje się w rękach Shu Hanu ani ilu tych nowych żołnierzy, kherguudów, udało im się wyprodukować. Twój dar może się przydać w Drugiej Armii.

– Nie jestem... – Nina się zawahała. – Nie jestem tym, kim byłam.

– Jesteś żołnierką – odparła Zoya. – Jesteś griszą. Bylibyśmy szczęśliwi, mając cię po swojej stronie.

Nina rozdziawiła usta. To zabrzmiało prawie jak pochwała!

– Ravka jest wdzięczna za twoje usługi – zapewnił ją Sturmhond. – Korona również.

Pomachał jej na pożegnanie i odwrócił się. W popołudniowym świetle, ze słońcem za plecami znacznie mniej przypominał korsarza, znacznie bardziej zaś...

Nie, to głupie.

– Muszę wrócić do kościoła – oznajmił Kaz. – Nie wiem, co Rada postanowi zrobić z Wylanem.

– Idź – powiedziała Nina. – My poczekamy tu na Matthiasa.

– Bądźcie czujni. Niech Kuwei się nie pokazuje. Poczekajcie, aż się ściemni; potem wicie, dokąd iść.

Kaz wysiadł i odszedł w stronę Kościoła Handlu.

Nina wolała nie proponować Kuweiovi wina, przyniosła mu więc wody i próbowała go zachęcić do odpoczynku.

– Boję się zamknąć oczy – przyznał.

Nina wyciągnęła szyję, żeby ponad brzegiem kanału spojrzeć w głąb ulicy.

– Co zatrzymało Matthiasa? Myślicie, że medykus sprawił mu kłopot?

I wtedy właśnie zobaczyła, że idzie w jej stronę przez pusty plac. Machał jej na powitanie.

Wyskoczyła z barki, wybiegła mu na spotkanie i rzuciła się w jego ramiona.

– *Drüsje...* – wyszeptał w jej włosy. – Nic ci się nie stało.

– Oczywiście, że nic mi się nie stało. Za to ty się spóźniłeś.

– Bałem się, że nie znajdę cię w tej śnieżycy.

Odchyliła się.

– Piłeś?

Ujął jej policzek w dłoń.

– Nie – odparł i ją pocałował.

– Matthias!

– Zrobiłem coś nie tak?

– Nie, nie, wszystko zrobiłeś, jak należy. Ale to ja zawsze całuję cię pierwsza.

– Powinniśmy to zmienić – powiedział i osunął się na nią całym ciężarem.

– Matthias?

– To nic. Musiałem cię jeszcze raz zobaczyć.

– Matthias... Wszyscy święci!

Przytrzymywany przez Matthiasa płaszcz opadł i Nina dostrzegła w brzuchu ranę po kuli. Koszula była przesiąknięta krwią.

– Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! – Ulice były puste, a drzwi i okna pozamykane na głucho. – Inej!

Był dla niej za ciężki. Razem osunęli się na ziemię i Nina położyła sobie jego głowę na kolanach.

Inej biegła w ich stronę.

– Co się stało?

– Postrzelili go. Na świętych, Matthiasie, kto to zrobił?

Mieli tylu wrogów...

– To nieważne. – Jego oddech brzmiał dziwnie wątko. – Chciałem cię tylko jeszcze raz zobaczyć i powiedzieć...

– Leć po Kuweia – poleciła Inej Nina. – Albo po Kaza. On ma *parem*. Musisz ją dla mnie zdobyć. Mogę go uratować. Mogę go uleczyć.

Naprawdę? Czy gdyby przyjęła narkotyk, odzyskałaby dawną moc?

Cóż, mogła przynajmniej spróbować. Musiała spróbować.

Matthias zdumiewająco mocno złapał ją za rękę. Dłoń miał całą we krwi.

– Nie, Nino.

– Wygram z *parem*, tak jak wygrałam z pierwszym razem. Uzdrowię cię, a potem z nią wygram.

– To nie jest warte takiego ryzyka.

– To jest warte każdego ryzyka. Matthiasie...

– Musisz ratować innych.

– Jakich innych? – spytała zrozpaczona Nina.

– Innych *drüskelle*. Przrzeknij mi, że przynajmniej spróbujesz im pomóc i sprawić, żeby przejrżeli na oczy.

– Razem do nich pójdziemy, Matthiasie. Zostaniemy szpiegami. Genya nas przeformuje i razem udamy się do Fjerdy. Będę nosić paskudne dziane kamizelki, jeśli tylko będzie trzeba.

– Wracaj do Ravki, Nino, do domu. Bądź wolna, tak jak ci to było przeznaczone. I bądź wojowniczką, którą zawsze byłaś, tylko okaż moim ludziom odrobinę litości. Musi istnieć jakaś Fjerda, którą warto ocalić. Obiecuj mi.

– Obiecuję – wyszlochała Nina.

– Zobowiązałem się cię chronić. I nawet po śmierci znajdę na to sposób. – Mocniej ścisnął jej rękę. – Pochowaj mnie tak, żebym mógł udać się do Djela. Pochowaj mnie tak, żebym mógł się ukorzenieć i podążyć z wodą na północ.

– Obiecuję, Matthiasie, że zabiorę cię do domu.

– Nino... – Przycisnął jej rękę do swojego serca. – Ja już jestem w domu.

Światło w jego oczach zgasło. Jego pierś znieruchomiała pod jej dłońmi.

Z piersi Niny wydarł się przeraźliwy krzyk, skowyt dobywający się wprost z czarnej pustki, gdzie jeszcze chwilę wcześniej biło jej serce. Bezskutecznie szukała pulsu, światła, siły, które do niedawna były Matthiasem.

Gdybym miała swoją moc!

Gdybym nie wzięła *parem*!

Gdybym ją teraz miała!

Poczuła wzbierające wokół niej czarne wody smutku. Sięgnęła w głąb ich lodowatego nurtu.

Pierś Matthiasa uniosła się w oddechu, jego ciało zadygotało.

– Wróć do mnie – wyszeptała Nina. – Wróć.

Mogła tego dokonać. Mogła dać mu nowe życie zrodzone z głębokiej wody. Nie był zwyczajnym człowiekiem, był Matthiasem, jej dzielnym Fjerdaninem.

– Wróć do mnie – powtórzyła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Odetchnął. Zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Miały czarny połysk.

– Matthiasie... – wyszeptała. – Wypowiedz moje imię.

– Nina.

Jego głos. Jego piękny głos. Brzmiał tak samo. Trzymała go za rękę, szukając swojego Matthiasa w tym czarnym spojrzeniu...

Ale przecież wcześniej miał oczy jasnoniebieskie i błyszczące jak lody północy. Coś poszło nie tak.

Inej klęczała obok niej.

– Pozwól mu odejść, Nino.

– Nie mogę.

Inej ją objęła.

– Pozwól mu odejść do jego boga.

– Powinien być tutaj, przy mnie.

Dotknęła zimnego policzka Matthiasa. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby to cofnąć; żeby wszystko naprawić. Razem nieraz już przecież dokonywali rzeczy niemożliwych.

– Spotkacie się w następnym życiu – zapewniła ją Inej – ale tylko jeśli teraz zniesiesz rozstanie z nim.

Byli bratnimi duszami, dwojgiem żołnierzy, którzy zrzędzeniem losu stanęli naprzeciwko siebie, a potem odnaleźli się i aż nazbyt szybko stracili. Nie, nie chciała go tutaj zatrzymywać. Nie w taki sposób.

– A zatem w następnym życiu – powtórzyła szeptem. – Idź. – Patrzyła, jak jego oczy ponownie się zamknęły. – *Farvell* – powiedziała po fjerdańsku. – Niech Djel się tobą zaopiekuje do czasu, gdy ja znów będę mogła to zrobić.



40

MATTHIAS

Znów śnił. Śnił o niej. Szalejąca wokół śnieżycza zagłuszyła głos Niny, lecz jego serce ogarnął spokój. Wiedział – nie wiedząc, skąd to wie – że nic jej nie grozi; że znajdzie schronienie przed zimnem. A on znów znajdował się na lodzie i słyszał wycie wilków. Tyle że tym razem zdawał sobie sprawę, że tym wyciem witają go w domu.



41

WYLAN

Wylan siedział w pierwszym rzędzie, pomiędzy Alys i Jesperem. Wcześniej delegacje Ravki, Shu Hanu i Fjerdy wdały się w ogólną bijatykę na pięści, po której część żołnierzy była posiniaczona i zakrwawiona, fjerdański ambasador miał wybity bark, a wszyscy przerzucali się groźbami sankcji i rewanżu, ale od tamtej pory udało się przywrócić namiastkę ładu, zwłaszcza że większość uczestników i obserwatorów licytacji albo sama uciekła z kościoła, albo została zeń wyproszona przez *stadwachte*.

Świątynię opuściła w końcu cała delegacja Shu Hanu, miotając groźby zbrojnych retorsji w odwecie za śmierć jednego ze swoich obywateli. Fjerdanie wzięli z nich przykład i pomaszerowali prosto do Ratusza z żądaniem natychmiastowego odszukania i aresztowania Matthiasa Helvara – tylko po to, by usłyszeć, że przepisy obowiązujące w czasie epidemii zakazują publicznych zgromadzeń. Polecono im natychmiast wracać do ambasady, jeżeli nie chcą zostać siłą usunięci z ulicy.

Ludzie byli poobijani i wstrząśnięci, jedna z kobiet doznała ponoć zmiążdżenia dłoni, kiedy podczas panicznej ewakuacji przewróciła się na ziemię i ktoś nadepnął jej na rękę, ale ostatecznie niewielu poszkodowanych zdecydowało się szukać pomocy w szpitalach i klinikach: nikt nie chciał ryzykować kontaktu z rozprzestrzeniającą się po Baryłce zarazą. Tylko Rada Kupiecka i paru strażników ze *stadwachty* zostało przy ołtarzu, gdzie spierali się przyciszonymi głosami, które od czasu do czasu wnosiły się niemal do krzyku.

Wylan, Jesper, Alys i jej służąca znajdowali się pod czujną opieką *stadwachty*. Wylan miał nadzieję, że Kaz się nie pomylił, każąc mu zostać w kościele, nie był jednak pewien, czy strażnicy mają go chronić, czy raczej mieć na oku. Sądząc po tym, jak Jesper nieustannie bębnił palcami o kolana, on również się denerwował. Wylanowi nie pomagał też fakt, że przy każdym oddechu odczuwał ból w piersi, a jego głowa przypominała kocioł orkiestrowy atakowany z furją przez nadgorliwego perkusistę.

Był pokiereszowany, w Ketterdamie omal nie doszło do zamieszek, reputacja miasta legła w gruzach, ale Wylan nie przestawał się uśmiechać.

– Z czego się tak cieszysz? – zapytał Jesper.

Wylan zerknął na Alys i odparł:

– Udało nam się. Wiem, że Kaz miał swoje powody, ale jestem praktycznie pewien, że właśnie zapobiegliśmy wybuchowi wojny.

Gdyby Ravka wygrała licytację, Shu Han albo Fjerda napadłyby na nią pod byle pretekstem, żeby dopaść Kuweia. A teraz Kuwei był bezpieczny, a gdyby ktoś kiedyś odkrył sekret *parem*, Ravkańczycy będą mieli przynajmniej szansę na opracowanie receptury antidotum.

– To możliwe. – Jesper błysnął białymi zębami w uśmiechu. – Cóż znaczy międzynarodowy incydent wśród przyjaciół?

– Keeg chyba złamał mi nos.

– A Genya ci go wyprostowała i teraz jest bardzo ładny.

– Możesz iść, jeśli chcesz – powiedział z wahaniem Wylan. – Na pewno martwisz się o ojca.

Jesper zerknął na otaczających ich strażników.

– Nie wydaje mi się, żeby nasi nowi kumple zechcieli mnie wypuścić. Poza tym nie chciałbym, żeby ktoś mnie śledził, kiedy pójdę się z nim spotkać.

A poza tym Kaz też kazał mu zostać w kościele.

Alys pogładziła się po ciężowym brzuchu.

– Zgłodniałam – powiedziała, popatrując na pogrążoną w sporze Radę Kupiecką. – Jak myślicie, kiedy puszczą nas do domu?

Wylan z Jesperem bez słowa spojrzeli po sobie.

W tej samej chwili młody człowiek wpadł do kościoła, przebiegł przez nawę i podał Jellenowi Radmakkerowi gruby plik papierów opatrzonych jasnozieloną pieczęcią Gemensbanku. Najprawdopodobniej wynikało z nich, że pieniądze zdeponowane w banku przez Radę Kupiecką zostały przelane z fałszywego funduszu plantatorów *jurdy* wprost na konto przypisane Shu Hanowi.

– To jakiś obłąd! – wykrzyknął Van Eck. – Nie wierzcie w to!

Wylan wstał, by lepiej widzieć... i aż syknął, gdy spazm bólu przeszył mu pierś. Zaniepokojony Jesper złapał go za rękę, żeby nie stracił równowagi, ale na widok sceny, jaka właśnie rozgrywała się na podwyższeniu, Wylan natychmiast zapomniał o bólu. Oficer *stadwacht*y zakuwał w kajdany Jana Van Ecka, który miotał się i szarpał jak ryba na haczyku.

– To sprawa Brekkera! – tłumaczył. – To on założył ten fundusz. Znajdźcie tego farmera albo Pekkę Rollinsa, oni wam wszystko powiedzą.

– Nie rób scen! – wyszeptał wściekły Radmakker. – Dla dobra swoich bliskich okaż choć odrobinę samokontroli.

– Samokontroli? Po tym, jak kazałeś mnie skuć?!

– Uspokój się, człowieku. Zostaniesz odprowadzony do Ratusza, gdzie będziesz czekał na postawienie zarzutów. Po wpłaceniu kaucji...

– Kaucji? Jakiej znowu kaucji?! Jestem członkiem Rady Kupieckiej, moje słowo...

– Jest nic niewarte! – uciął Radmakker.

Karl Dryden cały się najeżył, czym do złudzenia przypominał Wylanowi terierka Alys, który znienacka zobaczył wiewiórkę.

– Ciesz się, że od razu nie wrzucimy cię do Wrót Piekieł – ciągnął tymczasem Radmakker. – Zniknęło siedemdziesiąt milionów *kruge* należących do Rady, a Kerch stał się pośmiewiskiem. Masz pojęcie, jak wielkie szkody wyrządziłeś?

– To my ciężko harujemy, a on spija śmietankę, tak? – mruknął z westchnieniem Jesper.

– Co się dzieje? – Alys złapała Wylana za rękę. – Dlaczego Jan ma kłopoty?

Wylanowi zrobiło się jej żal. Była słodka, głupiutka i po prostu wyszła za mąż zgodnie z życzeniem rodziny, nic więcej. Jeżeli dobrze zrozumiał, ojciec miał zostać oskarżony o defraudację i zdradę. Świadome zawarcie fałszywej umowy w celu manipulowania rynkiem nie było po prostu przestępstwem, lecz bluźnierstwem, ujmą dla dzieła Ghezena – i jako takie zasługiwało na surową karę. Jeżeli ojciec zostanie skazany, straci wszelką własność i prawo posiadania własnych funduszy. Cały jego majątek przejdzie na Alys i jego nienarodzonego dziedzica. Wylan nie był pewny, czy Alys jest gotowa na przyjęcie takiej odpowiedzialności.

Ścisnął jej dłoń.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił. – Obiecuję.

Mówił całkiem poważnie. Znajdą dobrego prawnika albo biznesmena, który pomoże jej ze spadkiem. Jeżeli Kaz znał wszystkich kanciarzy w Ketterdamie, to – siłą rzeczy – musiał też znać ludzi uczciwych. Chociażby po to, żeby ich unikać.

– Wypuszczą go na noc do domu? – zapytała Alys. Jej dolna warga drżała.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze Wylan.

– Ale ty wrócisz, prawda?

– Ja...

– Nie zbliżaj się do niej! – warknął Van Eck, gdy *stadwachta* wlokła go po schodach z podium. – Nie słuchaj go, Alys. Musisz się skontaktować ze Smeetem, żeby załatwił wpłatę kaucji. Idź do...

– Alys raczej ci nie pomoże – odezwał się Kaz. Stał na środku głównej nawy wsparty na lasce z wronią główką.

– Brekker, ty nędzny oprychu! Naprawdę myślisz, że to koniec? – Van Eck wyprostował się, próbując odzyskać choć część utraconej godności. – Jutro o tej porze wyjdę z aresztu za kaucją i zacznę pracować nad odzyskaniem swojej reputacji. Na pewno można cię jakoś powiązać z funduszem Rietvelda i przysięgam, że znajdę na to sposób.

Wylan poczuł, że siedzący obok Jesper zeszytniał. Colm Fahey był jedynym łącznikiem Kaza z funduszem.

– Przysięgaj sobie do woli – odparował Kaz. – Im bardziej uroczyście, tym lepiej. Wszyscy już chyba wiemy, co warte jest twoje słowo. Może się jednak okazać, że środki, jakimi dysponujesz, dramatycznie się skurczyły. Twój spadkobierca przejmie cały twój majątek i fundusze. Nie wiem nawet, ile pieniędzy Wylan zamierza przeznaczyć na twoją obronę. Albo na kaucję, skoro już o tym mowa.

Van Eck zaśmiał się z goryczą.

– Wykreśliłem go z testamentu, gdy tylko Alys zaszła w ciążę. Nie zobaczy złamanego *kruge* z moich pieniędzy.

Wśród członków Rady Kupieckiej poniósł się pomruk zdumienia.

– Jesteś pewien? – spytał Kaz. – Bo mnie Wylan mówił, że się pogodziliście. Oczywiście to było jeszcze przed tą brzydką aferą...

– Mój testament nie pozostawia cienia wątpliwości. Jego kopię zdeponowałem w... – Van Eck urwał w pół zdania. Na jego twarzy odmalowała się zgroza. – W sejfie – dokończył szeptem.

Sekundę później Wylan również doznał olśnienia. Specht podrobił charakter pisma Van Ecka, żeby napisać list do kapitana statku; dlaczego miałyby ograniczyć się do listu?

„Czasem dobry złodziej nie kradnie. Czasem coś po sobie zostawia”.

Kiedy włamali się do gabinetu ojca, nie chodziło tylko o wykradzenie pieczęci: korzystając z okazji, Kaz zabrał oryginał testamentu i na jego miejsce podłożył fałszywkę. Wylan przypomniał sobie teraz jeszcze inne jego słowa: „Zdajesz sobie sprawę, że kradniemy twoje pieniądze?”.

Mówił jak najbardziej serio.

– Drugi egzemplarz ma mój adwokat...

– Cornelis Smeet? – upewnił się Kaz. – Nie wiesz przypadkiem, czy sam hoduje te swoje psy strażnicze? Zabawne, jak czasem można przesadzić z tresurą: zwierzę aż nazbyt łatwo pozwala sobie rozkazywać... Lepiej zanadto ich nie udomawiać.

„Jeżeli chcesz wygrać, musisz prowadzić więcej niż jedną rozgrywkę jednocześnie”.

Od jak dawna Kaz planował oddanie Wylanowi imperium handlowego Van Ecka?

– Nie. – Van Eck kręcił głową. – Nie. – W nagłym przypływie sił wyrwał się strażnikom. – Nie możecie oddać władzy nad moim majątkiem w ręce tego imbecyla! – wykrzyknął, wskazując Wylana gestem skutych dłoni. – Nawet gdybym chciał wszystko mu zapisać, on się do tego zwyczajnie nie nadaje! Nie umie czytać, ledwie udaje mu się sklecić składne zdanie... To idiota. Niedorozwinięty dzieciak.

Wstrząs malujący się na twarzach kupców nie uszedł uwagi Wylana. Oto spełniał się koszmar, który w dzieciństwie prześladował go mnóstwo razy: jego niedoskonałości zostały obnażone na forum publicznym.

– Van Eck! – zawołał Radmakker. – Jak możesz tak mówić o własnym potomku?!

Van Eck zaniósł się dzikim śmiechem.

– To jedno na pewno będę w stanie udowodnić – odparł. – Dajcie mu coś do przeczytania. No, Wylanie, pokaż im, jaki będzie z ciebie wspaniały biznesmen.

Radmakker położył Wylanowi dłoń na ramieniu.

– Nie musisz słuchać jego wariackich żądań, synu.

Wylan przechylił głowę. Właśnie wpadł na pewien pomysł.

– Nie, panie Radmakker, nie ma sprawy. Jeżeli w ten sposób uda nam się położyć kres tej tragifarsie, spełnię prośbę ojca. Ba, jeżeli dysponujecie panowie spisana cesją praw i majątku, mogę ją podpisać od ręki, by tym szybciej rozpocząć gromadzenie środków

niezbędnych do obrony ojca.

Na podwyższeniu zrobiło się małe poruszenie i ktoś podniósł teczkę z dokumentami kontraktowymi. Wylan spojrzał Jesperowi w oczy: czy Jesper na pewno wiedział, co się święci?

– Dokumenty przygotowano na użytek Kuweia Yul-Bo – wyjaśnił Dryden – ale nie zostały wypełnione do końca. Wśród nich powinien się znajdować także formularz cesji.

Podał teczkę Wylanowi, ale Jesper był szybszy: przejął ją i zaczął przeglądać papiery.

– Nie! – wykrzyknął Van Eck. – Niech Wylan przeczyta, nie ten drugi!

– Powinieneś mu kupić kaganiec – mruknął półgłosem Jesper do Wylana. – Im prędzej, tym lepiej.

I podał mu jakiś dokument. To mogło być cokolwiek. Wylan widział słowa, rozpoznawał ich kształt... i nie potrafił przeniknąć ich znaczenia. Słyszał za to muzykę w głowie, jak w dzieciństwie, kiedy chętnie korzystał z tej sztuczki, melodię głosu Jespera czytającego mu tekst przy wejściu do Świętej Hildy. Znów zobaczył tamte jasnoniebieskie drzwi, poczuł zapach glicynii.

Odchrząknął i udał, że przebiega stronicę wzrokiem.

– „Niniejszy dokument, sporządzony przed obliczem Ghezena w zgodzie z praktykami uczciwych ludzi i uprawomocniony postanowieniami kercheńskich sądów i Rady Kupieckiej, przenosi wszelką własność materialną i tytuły prawne...”. – Zawiesił głos. – Domyślam się, że w tym miejscu należy wstawić nasze nazwiska: „...Jana Van Ecka na Wylana Van Ecka, który będzie nimi zarządzał w imieniu tego pierwszego do czasu, aż Jan Van Eck odzyska pełnię władz umysłowych i zdolność prowadzenia swoich spraw”. Naprawdę muszę czytać dalej?

Van Eck z rozdziawionymi ustami gapił się na Wylana. Członkowie Rady Kupieckiej kręcili głowami.

– Nie, synu, nie ma takiej potrzeby – zapewnił Radmakker. – Dość już przeszedłeś. – Z politowaniem spojrzał na Van Ecka. – Zabierzcie go do Ratusza. I znajdziemy mu jakiegoś medykusa, bo coś musiało mu zmącić umysł, żeby snuł tak szalone pomysły.

– To jakaś sztuczka – nie ustępował Van Eck. – Kolejna sztuczka Brekkera.

Znów wyrwał się strażnikom i ruszył do Wylana, ale Jesper zastąpił mu drogę, złapał go za ramiona i przytrzymał na odległość wyciągniętej ręki.

– Zniszczysz wszystko, co zbudowałem – pieniał się Van Eck. – Wszystko, co zbudował mój ojciec i jego ojciec przed nim. Jesteś...

Jesper nachylił się nad nim i szepnął mu do ucha tak, żeby nikt inny go nie usłyszał:

– Ja mu będę czytał.

– Ma nadzwyczaj kojący baryton – dodał Wylan, zanim strażnicy powlekli jego ojca do wyjścia.

– To wam nie ujdzie płazem! – wydzierał się Van Eck. – Przejrzałem cię, Brekker, wiem teraz, w co pogrywasz, ale ze mnie też ostry zawodnik...

– Nie da się w nieskończoność ostrzyć klingi – powiedział Kaz, stanąwszy obok Wylana i Jespera. – W ostatecznym rozrachunku o wszystkim decyduje jakość samej stali.

– Nawet nie wiecie, czy to naprawdę Wylan! – krzyczał Van Eck. – Może mieć cudzą twarz! Nie rozumiecie...

Pozostali kupcy, wyraźnie oszołomieni, również skierowali się do wyjścia.

– Postradał rozum – orzekł Dryden.

– Powinniśmy się byli zorientować, kiedy sprzymierzył się z tym szubrawcem, Pekką Rollinsem.

Wylan oddał Radmakkerowi formularz cesji.

– Może odłożmy to na później. Jestem trochę roztrzęsiony.

– Naturalnie. Poprosimy Smeeta o wydanie nam testamentu i wszystkiego dopilnujemy, a następnie prześlemy ci do domu niezbędne dokumenty.

– Do domu?

– Nie wracasz na Geldstraat?

– Ja...

– Wraca, wraca – wtrącił Jesper.

– Nie rozumiem – przyznała Alys. Służąca delikatnie gładziła jej dłoń. – Jan został aresztowany?

– Alys... – odezwał się Kaz. – Co powiesz na to, żeby przeczekać tę zawieruchę poza miastem, z dala od zagrożenia zarazą... na przykład w tym miłym domku nad jeziorem, o którym wspomniałaś?

Alys najpierw się rozpromieniła, lecz zaraz potem zaczęła się wahać.

– Myślicie, że tak wypada? Żeby w takiej chwili żona zostawiała męża samego?

– Na dobrą sprawę jest to twój obowiązek – zauważył Kaz. – Czyż dziecko nie powinno być najważniejsze?

Jesper zrobił mądrą minę i pokiwał głową.

– Świeże wiejskie powietrze, rozległe pola, na których można się... wyhasać. Wychowałem się na farmie, to dlatego jestem taki wysoki.

– Nawet trochę za wysoki – wytknęła mu z marsową miną Alys.

– To była bardzo duża farma.

– Mogłabyś też dalej pobierać lekcje muzyki – podsunął Wylan.

Teraz już oczy Alys naprawdę zabłysły.

– U pana Bajana? – Pokraśniała. Przygryzła wargę. – Tak, tak chyba będzie najlepiej. Dla dziecka.



W gęstniejącym zmierzchu wszyscy razem poszli do domu Van Ecka; Kaz podpierał się laską, Alys wspierała na ramieniu służącej. Ulice były upiornie puste. Kiedy z rzadka zdarzało im się zobaczyć patrol *stadwachty*, serce zaczynało żywiej bić w piersi Jespera, który zastanawiał się, czy ich kłopoty za chwilę rozpoczną się na nowo, ale po całkowitym zdyskredytowaniu Van Ecka i Pekki uwagę *stadwachty* zaprzętały ważniejsze sprawy, a gangi w Baryłce miały pełne ręce roboty. Wyglądało na to, że mieszkańcy miasta – zarówno ci porządni, jak i ci mniej uczciwi – zajęli się sami sobą i dali święty spokój Jesperowi i jego kompanom.

Co i tak nie miało żadnego znaczenia, bo Jesper nade wszystko chciał się upewnić, że jego ojcu nic się nie stało. Kusilo go, żeby pójść do piekarni, bał się jednak, że ktoś mógłby go śledzić.

Drażniło go to i chętnie by w coś zagrał, ale skutecznie opierał się pokusie – może dlatego, że wcześniej użył swojej mocy, a może po prostu jeszcze nie doszedł do siebie po walce. Na razie było za wcześnie, żeby dociekać przyczyn, ale miał pewność, że przynajmniej tej nocy nie wymyśli nic głupiego. Posiedzi zamknięty w pokoju i odbarwi dywan na podłodze. Albo poćwiczy strzelanie. Albo każe się Wylanowi przywiązać do krzesła, jeśli będzie trzeba. Chciał wiedzieć, co będzie dalej. Chciał być tego częścią.

Obojętni na skandal, jaki splamił nazwisko Van Ecków, służący jak co dzień pozapalali lampy w oknach i z radością otworzyli drzwi domu przed Alys i młodym paniczem Wylanem. W pokoju, który mógłby uchodzić za jadalnię, gdyby nie brakowało w nim stołu, uwagę Jespera zwróciła ziejąca w suficie ogromna dziura. Zobaczył przez nią pomieszczenie na wyższej kondygnacji, z mnóstwem rzeźbionych drewnianych ozdób.

Pokręcił głową.

– Naprawdę powinieneś bardziej uważać z tymi swoimi zabawkami – mruknął.

Wylan próbował się uśmiechnąć w odpowiedzi, ale było widać, że zżerają go nerwy. Ostrożnie przemykał z pokoju do pokoju, czasem dotknął jakiegoś sprzętu, kiedy indziej musnął ścianę... Poza tym był przecież mocno poobijany; posłali na uczelnię po medykusa,

musieli się jednak liczyć z tym, że nieprędko ktoś się do nich pofatyguje.

W pokoju muzycznym Wylan w końcu przystanął i powiódł dłonią po fortepianie.

– To jedyne miejsce w całym domu, w którym bywałem naprawdę szczęśliwy.

– Oby od dziś się to zmieniło.

– Czuję się jak intruz; jakby w każdej chwili ojciec mógł wparować przez te drzwi i kazać mi się wynosić.

– Podpisanie dokumentów wszystko zmieni. Zmiany zostaną zatwierdzone. – Jesper wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nawiasem mówiąc, byłeś niesamowity.

– Byłem przerażony. Nadal jestem.

Wylan spuścił wzrok na klawiaturę i brzdąknął cichy akord. Jesper nie był w stanie zrozumieć, jak mógł go pomylić z Kuweiem. Mieli zupełnie inne dłonie, inny kształt palców, inny zarys knykci.

– Jes? Czy kiedy rozmawiałeś z moim ojcem, mówiłeś serio? Że ze mną zostaniesz? Pomożesz mi?

Jesper oparł się plecami i łokciami o wieko fortepianu.

– Pomyślmy... Mieszkanie w luksusowym kupieckim dworku, ze służbą, w towarzystwie początkującego specja od materiałów wybuchowych, który od czasu do czasu rzępoli na flecie? Chyba dam radę. – Jego wzrok prześliznął się po Wylanie od koniuszków rudozłotych loków po czubki palców u stóp i z powrotem. – Ale moje towarzystwo kosztuje.

Twarz Wylana przybrała cudny odcień różu.

– Mam nadzieję, że medykus niedługo przyjdzie i poskłada mi żebra – powiedział, wycofując się do pokoju gościnnego.

– Tak?

– Tak. – Wylan obejrzał się przez ramię czerwony jak piwonia. – Bo chciałbym wpłacić zaliczkę.

Jesper parsknął śmiechem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak dobrze. A przecież teraz nikt nawet do niego nie strzelał.

Kucharka podała kolację na zimno. Alys zaszyła się w swoich pokojach, a pozostali przysiedli na schodach prowadzących do ogrodu na tyłach domu, żeby podziwiać niezwykle widowisko, jakim był zachód słońca nad niemal pustym Geldcanal. Czekali. Tylko barki *stadwachty*, straży pożarnej i nieliczne łodzie medykusów ślizgały się po powierzchni wody, znacząc ją szerokimi, niezmaconymi kilwaterami. Niewiele jedli, nerwowo wyczekując zapadnięcia zmroku. Czy pozostałym udało się uciec? Czy wszystko poszło zgodnie z planem? Czekają ich jeszcze dużo pracy. Kaz siedział nieruchomo, ale Jesper wyczuwał kłębiące się w nim napięcie; był jak gotowy do ataku grzechotnik.

On sam czuł, jak gaśnie w nim nadzieja, rozwiewana troską o ojca. Rozejrzał się po domu, przespacerował po ogrodzie, popodziwiał zniszczenia w gabinecie Van Ecka. Od kiedy zachód słońca trwa tak długo? Mógł sobie do woli wmawiać, że ojciec jest bezpieczny, ale wiedział, że w to nie uwierzy, dopóki na własne oczy nie zobaczy pożłobionej zmarszczkami twarzy Colma Faheya.

W końcu nastąpiła noc. Długą godzinę później barka winiarska przybiła do przystani przy eleganckiej szopie na łodzie Van Ecka.

– Udało im się! – wykrzyknął z triumfem Wylan.

Kaz odetchnął z ulgą. Jesper porwał w jedną rękę lampę, w drugą chwycił zawczasu schłodzony szampan i wszyscy razem pobiegli przez ogród. Gwałtownym szarpnięciem otworzyli drzwi szopy, stłoczyli się w środku... i słowa powitania zamarły im na ustach.

Inej i Rotty pomagali Kuweiovi zejść na ląd. Cały drżał, był wyczerpany, spod rozchylonej koszuli wзираła pierś wciąż jeszcze brudna od świńskiej krwi, ale przynajmniej był w jednym kawałku. Ojciec Jespera siedział zgarbiony na pokładzie, jego piegowatą twarz znaczyły smutne zmarszczki; Jesper nigdy przedtem nie widział go tak zmęczonego. W końcu Colm wstał, wysiadł z łodzi i mocno przytulił syna.

– Jesteś cały – powiedział. – Nic ci się nie stało.

Nina tkwiła na łodzi, tuląc głowę do piersi Matthiasa. Leżał obok niej z popielatą twarzą i zamkniętymi oczami.

Jesper spojrzał pytająco na Inej, która w odpowiedzi pokręciła głową. Jej twarz nosiła ślady łez.

– Jak? – spytał półgłosem Kaz.

Świeże łzy napłynęły jej do oczu.

– Nadal nie wiemy – odparła.

Wylan przyniósł z domu koc. Rozpostarli go w kącie, a potem Jesper i Rotty znieśli na ląd ciężkie ciało Matthiasa. Szło im to niesporo i niezręcznie; Jesper nie mógł się opędzić od myśli, że Fjerdanin nie byłby nimi zachwycony.

Położyli go na kocu. Nina bez słowa usiadła przy ciele, ściskając dłoń Matthiasa w obu swoich. Inej otuliła ją szalem, kucnęła obok i oparła jej głowę na ramieniu.

Przez długą chwilę nikt nie wiedział, co robić. W końcu Kaz spojrzał na zegarek i ponaglił ich gestem. Wciąż mieli zadania do wykonania.

Zajęli się przebudową barki winiarskiej, która przed dziesiątą musiała przestać wyglądać jak pływający sklepik z winem i upodobnić się do pływającej trupiarni. Wielokrotnie przerabiali różne łodzie: ta sama krypa mogła stać się załadkiem barki kwiaciarskiej, łodzi rybackiej albo pływającego kramu. Tym razem mieli łatwiejsze zadanie, bo nie musieli niczego budować, tylko po prostu odjąć zbędne części.

Zwlekli z pokładu palety ze skrzynkami wina i rozebrali górną część pokładu, likwidując w ten sposób przestrzeń magazynową, przez co barka stała się szersza i bardziej płaska. Colm też pomagał: pracowali z Jesperem ramię w ramię, jak na farmie. Kuwei, wciąż mocno osłabiony po ostatnich ciężkich przejściach, kręcił się pomiędzy ogrodem i szopą.

Zlany potem Jesper próbował całkowicie poświęcić się pracy, ale nie potrafił wyzbyć się smutku z serca. W przeszłości tracił już przyjaciół i brał udział w nieudanych akcjach. Dlaczego tym razem czuł się inaczej?

Po zakończonej pracy Wylan, Kaz, Rotty, Jesper i Colm wyszli do ogrodu. Nie mieli nic więcej do roboty. Barka była gotowa. Rotty ubrał się od stóp do głów na czarno; kaptur

trupiarza uszyli mu z jednego z eleganckich garniturów Van Ecka, który musieli rozpruć na części składowe i pozszywać na nowo. Powinni byli ruszać w drogę, a jednak nikomu się nie śpieszyło. W powietrzu unosił się zapach wiosny, słodki i ożywczy; pachniało liliami, hiacyntami i wczesnymi różami.

– Wszyscy mieliśmy przeżyć – powiedział cicho Wylan.

Może i był to naiwny protest bogatego kupieckiego dzieciaka, który ledwo, ledwo posmakował życia w Baryłce, ale Jesper zdał sobie sprawę, że myśli dokładnie tak samo. Po wszystkich niewiarygodnych ucieczkach i sytuacjach, w których ich szóstka o włos unikała śmierci, zaczynał wierzyć, że są zaczarowani; że dzięki jego rewolwerom, mózgowi Kaza, sprytowi Niny, talentowi Inej, pomysłowości Wylana i sile Matthiasa stali się nietykalni. Mogli ucierpieć, mogli oberwać, ale Wylan miał rację: po zakończeniu roboty wszyscy powinni żyć.

– Żadnych żałobników – powiedział zaskoczony bólem ściskającym go za gardło.

– Żadnych pogrzebów – odpowiedział mu chór ściszonych głosów.

– Idźcie – ponaglił ich Colm. – Pożegnajcie się.

Zeszli do szopy na łodzie. Przed wejściem Wylan schylił się i zerwał czerwony tulipan z pobliskiej rabaty kwiatowej. Pozostali wzięli z niego przykład i wszyscy razem bez słowa weszli do środka. Po kolei przyklękali obok Niny, kładli kwiaty na piersi Matthiasa i stawali wokół niego, tak jakby teraz, poniewczasie, mogli go jakoś ochronić.

Ostatni był Kuwei, ze łzami w złotych oczach. Jesper ucieszył się, że chłopak dołączył do ich kręgu. To dzięki Matthiasowi Jesper i Kuwei wyszli cało z zasadzki na Czarnym Woalu; to między innymi dzięki niemu Kuwei będzie miał szansę wieść w Ravce prawdziwe życie griszy.

Zwrócona ku wodzie Nina prześlizgiwała się wzrokiem po wąskich domach przy Geldcanal. Mieszkańcy powystawiali w oknach świece, jakby tym drobnym gestem mogli w jakiś sposób odepchnąć mrok.

– Udaję, że pozapalali je dla niego – wyjaśniła. Zdjęła z piersi Matthiasa zbłąkany czerwony płatek kwiatu, z westchnieniem puściła jego dłoń i powoli wstała. – Wiem. Już czas.

– Bardzo cię kochał, Nino. – Jesper objął ją ramieniem. – Ta miłość uczyniła go lepszym człowiekiem.

– Czy to cokolwiek zmieniło?

– Ależ oczywiście – przytaknęła Inej. – Matthias i ja modliliśmy się do różnych bogów, ale oboje wiedzieliśmy, że po tym życiu musi być coś jeszcze. Łatwiej było mu przejść do nowego świata ze świadomością, że w tym spisał się na medal.

– Zostaniesz w Ravce? – spytał Wylan.

– Tylko do czasu, aż uda mi się znaleźć jakiś transport do Fjerdy. Griszowie pomogą mi zakonserwować jego ciało na czas podróży. Nie mogę wrócić do domu, dopóki on nie wróci. Zabiorę go na północ, na lód, i pochowam blisko morza. – Nina odwróciła się do towarzyszy, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że stoją za jej plecami. – A wy? Co zamierzacie?

– Będziemy musieli wykombinować, na co wydamy nasze pieniądze – odparł Kaz.

– Jakie pieniądze? – zdziwił się Jesper. – Wszystkie trafiły do skarbcza Shu Hanu. Tak jakby oni ich potrzebowali...

– Jesteś pewien?

Nina zmrużyła oczy. Jesper zauważył, że nieco się ożywiła.

– Przestań się wygłupiać, Brekker, bo poszczuję cię moją armią umarłych.

Kaz wzruszył ramionami.

– Uznałem, że Shu Hanowi wystarczy czterdzieści milionów.

– A Van Eck był nam winien trzydzieści... – mruknął Jesper.

– Po cztery na łebka. Udział Pera Haskella rozdzielię pomiędzy Rotty’ego i Spechta. Trzeba jeszcze wyprać tę kasę, przepuścić przez któryś z prowadzonych przez Szumowiny biznesów, zanim wyląduje w Gemensbanku, ale przed końcem miesiąca powinna trafić na wasze indywidualne konta. – Kaz na moment zawiesił głos. – Udział Matthiasa przypadnie Ninie. Wiem, że pieniądze nie są ważne, kiedy...

– Są – przerwała mu Nina. – Znajdę sposób, żeby były. A wy co zrobicie ze swoimi działkami?

– Znajdę statek – odparła Inej. – Zatrudnię załogę.

– Ja pomogę zarządzać imperium – powiedział Jesper.

– A ja spróbuję nie wpakować go na mieliznę – dodał Wylan.

– A ty, Kaz? – zainteresowała się Nina.

– Zbuduję coś nowego. – Kaz wzruszył ramionami. – A potem będę patrzył, jak to coś płonie.

Jesper zdobył się na odwagę i powiedział:

– Prawdę mówiąc, moją część powinienś zapisać na mojego ojca. Ja... chyba nie jestem w tej chwili przygotowany na taką fortunę.

Kaz długo mu się przyglądał, zanim odparł:

– Dobre posunięcie, Jes.

Jesper poczuł w sercu ukłucie smutku. Pierwszy raz od lat miał pod dostatkiem pieniędzy, farma ojca była bezpieczna... Ale źle się z tym czuł.

– Myślałem, że kiedy się wzbogacę, wszystko od razu stanie się lepsze – przyznał.

Wylan obejrzał się przez ramię na rezydencję ojca.

– Trzeba było zapytać – zauważył. – Powiedziałbym ci, że to tak nie działa.

Gdzieś w oddali rozdzwoniły się dzwony. Jesper poszedł po ojca, który czekał przy schodach szopy, mnąc w dłoniach kapelusz.

– Teraz przynajmniej możemy ci kupić nowy – powiedział Jesper.

– Ten jest w sam raz.

– Wrócę, tatku. Wrócę do domu, gdy tylko Ketterdam zostanie otwarty. I gdy Wylan okrzepnie.

– To dobry chłopak.

Za dobry dla mnie, pomyślał Jesper.

– Mam nadzieję, że naprawdę przyjedziesz mnie odwiedzić. – Colm spuścił wzrok na

swoje duże dłonie. – Powinieneś poznać krewnych matki. Ta dziewczyna, którą mama przed laty ocaliła... Podobno ma wielką moc.

Jesper nie wiedział, co powiedzieć.

– Chciałbym – wykrztusił w końcu. – Przepraszam za wszystko. Za to, że cię w to wciągnąłem; że omal nie straciłem wszystkiego, co ty z takim wysiłkiem stworzyłeś. Chodzi mi o to, że... tak myślę... to działanie nie będzie miało echa.

– Że co?

– Po sulijsku to brzmi lepiej. Postaram się, tatku.

– Jesteś moim synem, Jesper. Nie mogę cię ochronić, może w ogóle nie powinienem był próbować, ale zawsze możesz na mnie liczyć, nawet kiedy powinie ci się noga. Za każdym razem.

Jesper z całej siły uściskał ojca.

Zapamiętaj to uczucie, upomniał się w myślach. Zapamiętaj, co masz do stracenia. Nie wiedział, czy wystarczy mu sił, by dotrzymać składanych w ten wieczór obietnic, ale na pewno mógł przynajmniej spróbować.

Weszli do szopy i dołączyli do pozostałych.

Inej położyła dłonie na biodrach Niny.

– Jeszcze się spotkamy.

– Oczywiście. Ty ocaliłaś mi życie, ja ocaliłam tobie.

– W tych rachunkach chyba nawet mnie wyprzedzasz.

– Ale ja nie mówię o żadnym bohaterstwie. – Nina powiodła wzrokiem po twarzach przyjaciół. – Chodzi mi o drobiazgi. Śmialiście się z moich żartów. Wybaczaście mi, kiedy robiłam coś głupiego. Nigdy nie dawaliście mi do zrozumienia, że jestem od was gorsza. I nie ma znaczenia, czy zobaczymy się za miesiąc, za rok czy za dziesięć lat: to o takich rzeczach będę pamiętać, kiedy znów się spotkamy.

Kaz wyciągnął do niej dłoń w rękawiczce.

– Do zobaczenia, Zenik.

– Możesz być tego pewien, Brekker.

Uścisnęli sobie ręce.

Rotty zszedł na pokład trupiej barki.

– Gotowi?

Kuwei spojrzał na Jespera.

– Powinieneś odwiedzić mnie w Ravce. Moglibyśmy się nauczyć, jak razem używać naszych mocy.

– A może wrzucę cię do kanału i zobaczymy, jak pływasz? – zaproponował Wylan, całkiem udatnie naśladując Kazowe spojrzenie spode łba.

Jesper wzruszył ramionami.

– Wiesz, to podobno jeden z najbogatszych ludzi w Ketterdamie – odpowiedział Kuweiovi, skinieniem głowy wskazując Wylana. – Na twoim miejscu bym go nie wkurzał.

Urażony Kuwei głośno pociągnął nosem, położył się na wznak na dnie barki i skrzyżował ręce na piersi.

– Nie – wtrącił się Kaz. – Nie tak. Trupiarze nie bawią się w artystyczne układanie zwłok.

Kuwei wyciągnął ręce po bokach ciała. Colm był następny.

Jesper natychmiast zapragnął zapomnieć obraz ojca leżącego jak trup na dnie łodzi.

Przenieśli Matthiasa na pokład na kocu, który następnie wysunęli spod jego ciała. Nina zgarnęła tulipany z jego piersi, rozrzuciła je na wodzie i wyciągnęła się obok niego.

Rotty zaparł się długim drągiem o piaszczyste dno kanału, a gdy barka odbiła od pomostu, w ciemnościach wyglądał jak rasowy trupiarz przewożący swój ponury ładunek. Tylko trupie barki mogły swobodnie poruszać się po mieście i wypływać z portu, by dostarczać zebrane ciała na Krypę Kostuchy, gdzie miały zostać spalone.

Miał ich przewieźć przez dzielnicę fabryczną, gdzie po licytacji schronili się zbiegli griszowie, odrzuciwszy wcześniej błękitne szaty Rady Pływów. Kaz zdawał sobie sprawę, że nie zdoła niepostrzeżenie przemycić tylu griszów. Przeszli więc ukrytym przejściem z ambasady do tawerny, a następnie przedelfilowali ulicami odziani w rozdęte wiatrem niebieskie szaty, z twarzami skrytymi we mgle, popisując się swoją mocą, zamiast usiłować się z nią kryć. Jesper miał wrażenie, że mógłby z ich postępowania wynieść nadzwyczaj ciekawą nauczkę, gdyby tylko chciał.

Było wśród nich zaledwie czworo akwatyków, ale to w zupełności wystarczyło. Oczywiście istniała możliwość, że na aukcji pojawią się prawdziwi przedstawiciele Rady Pływów, lecz zważywszy na ich wcześniejsze zachowanie, Kaz uznał, że warto podjąć to ryzyko.

Griszowie ze Sturmhondem mieli się dosiąść na barkę nieopodal Słodkiej Rafy. Zebrawszy na pokładzie komplet pasażerów, Rotty miał ich wywieźć z portu i wystrzelić racę będącą sygnałem dla oczekującego statku Sturmhonda. Tylko w taki sposób mogli wywieźć z miasta grupę zbiegłych griszów, farmera, który pomógł wykiwać Radę Kupiecką, oraz chłopca, który jeszcze kilka godzin wcześniej był najbardziej poszukiwanym zakładnikiem na świecie.

– Pamiętaj, nie ruszaj się – mruknęła Inej do Niny.

– Będę nieruchoma jak trup – zapewniła ją przyjaciółka.

Kiedy barka wśliznęła się w główny nurt kanału, Nina pomachała na pożegnanie. Jej biała dłoń odcinała się od ciemnego tła jak gwiazda na nocnym niebie.

Stali na brzegu jeszcze długo po tym, jak rozplynęła się w oddali.

W którymś momencie Jesper zdał sobie sprawę, że Kaza nie ma już wśród nich.

– Nie przepada za pożegnaniami, co? – mruknął.

– On się nie żegna – odparła Inej wpatrzona w światła nad kanałem. Gdzieś w ogrodzie rozśpiewał się nocny ptak. – On porzuca.



43

KAZ

Oparłszy kaleką nogę na niskim taborecie, Kaz słuchał raportu Aniki o zarobkach Klubu Wron i ruchu turystycznym przy Wschodniej Klepce. Minęły trzy tygodnie od licytacji Kuweia i paniki wywołanej zarazą. W tym czasie Kaz wprowadził się do biura Pera Haskella na parterze Listewki. Nadal sypiał na najwyższym piętrze budynku, ale z pokoju Haskella łatwiej mu było prowadzić interesy, zwłaszcza że nie przepadał za codzienną wspinaczką po schodach. Jego dawny własny pokój wydawał się nieprzyjemnie pusty; ilekroć siadał tam do pracy, mimo woli kierował wzrok na parapet okna.

Sytuacja w mieście nie wróciła jeszcze do normy, co sprzyjało wytworzeniu się ciekawych okazji biznesowych. Ceny przy Klepkach spadły, gdy ludzie szykowali się na długą epidemię, i Kaz nie omieszkał z tego skorzystać: wykupił nieduży budynek obok Klubu Wron, żeby rozbudować swój lokal; udało mu się też kupić niewielką posiadłość w Pokrywce. Liczył na to, że kiedy panika przygaśnie i wrócą turyści, będzie mógł zacząć skubać frajerów należących do znacznie wyższej klasy społecznej. Za rozsądną cenę odkupił też od Haskella jego udziały w Klubie Wron. W obliczu niedawnych wydarzeń w Baryłce mógł je przejąć za darmo, nie chciał jednak, żeby komuś zrobiło się znanadto żal staruszka.

Kiedy Pekka Rollins wróci do miasta, Kaz znajdzie sposób, żeby wysiudać go z interesów. Z całą pewnością nie zamierzał dopuścić do tego, żeby dochody z jego ciężkiej pracy płynęły do kufra Rollinsa.

Kiedy Anika skończyła swój występ, Pim przedstawił szczegółową relację z procesu Jana Van Ecka. Tajemniczego Johannusa Rietvelda nie udało się znaleźć, ale po ujawnieniu historii bankowej Van Ecka stało się oczywiste, że wykorzystywał informacje pozyskane w Radzie Kupieckiej do skupowania plantacji *jurdy*. Poza oszustwem, próbą wpływania na wynik licytacji oraz uprowadzeniem własnego syna zarzucano mu (na razie nieoficjalnie) wynajęcie ekipy z zadaniem włamania się do fjerdańskiego gmachu rządowego oraz przeprowadzenie sabotażu we własnych silosach cukrowych; nie tylko nie wyszedł za kaucją, ale nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie miał opuścić

więzienie. Jego syn przeznaczył wprawdzie jakieś pieniądze na obsługę prawną procesu, była to jednak suma, oględnie mówiąc, nader skromna.

Korzystając z części nowo nabytego majątku, Wylan postanowił na nowo stworzyć sobie dom. Wypłacał Jesperowi niewielkie kieszonkowe, żeby ten miał za co grać na giełdzie, ale przede wszystkim sprowadził do domu matkę. Zdumieni ludzie widywali Maryę Hendriks przy Geldstraat, siedzącą z synem w parku lub podróżującą łodzią wiosłową w towarzystwie kogoś ze służby. Czasami ktoś płynący kanałem widział ich oboje w ogrodzie, stojących przed sztalugami.

Alys pomieszkała z nimi jeszcze przez jakiś czas, w końcu jednak postanowiła wraz z terierkiem czmychnąć z miasta i znaleźć schronienie przed plotkami. Nie dała się ponownie zamknąć w domku nad jeziorem, podobno czyniła nawet – ograniczone – postępy na lekcjach śpiewu.

Kaz cieszył się, że nie ma jej za sąsiadkę.

– Dobra robota – pochwalił Pima, gdy ten skończył. Nie przypuszczał, że chłopak ma taki dryg do zbierania informacji.

– To Roeder przygotował raport – przyznał Pim. – Chyba marzy mu się rola nowego pająka.

– Nie potrzebuję nowego pająka.

Pim wzruszył ramionami.

– Zjawą zniknęła. Ludzie gadają.

Kaz odprawił Anikę i Pima i długo siedział sam w cichym biurze. Przez ostatnie tygodnie prawie nie sypiał. Niemal pół życia czekał na tę chwilę, a teraz bał się, że jeśli zaśnie, wszystko zniknie. Pekka Rollins wyniósł się z miasta i nie wrócił; podobno zaszły się z synem w swoim wiejskim domku, gdzie zbrojna straż nie odstępowała go na krok. Objęcie kwarantanną Szmaragdowego Pałacu, Kaelskiego Księcia i Cukierenki oraz fakt, że nieobecny Rollins nie mógł przypilnować interesu, doprowadził jego lokale na skraj bankructwa. Chodziły nawet słuchy o bliskim buncie w szeregach Lwów za Dychę: ich szef zniknął, a jego porozumienie z Van Eckiem sprowadziło gang do roli płatnych sługusów bogatego klienta. Równie dobrze mogliby wstąpić do *stadwachty*.

Cegła po cegle.

Kiedy w końcu Rollins wygrzebie się z tych zgliszcz i gruzów, Kaz będzie gotowy na jego powrót.

Ktoś zapukał do drzwi. Jedyne problem z urzędowaniem na parterze polegał na tym, że ludzie znacznie częściej zawracali mu głowę.

– Przyszedł list. – Anika rzuciła kopertę na biurko. – W ciekawym towarzystwie się obracasz, Brekker – dodała z chytrym uśmiechem.

Kaz spojrzał znacząco na drzwi. Nie interesowała go Anika trzepocząca żółtymi rzęsami.

– Jasna sprawa – mruknęła i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Podniósł kopertę do światła. Odcisnięta w jasnoniebieskim wosku pieczęć przedstawiała dwugłowego złotego orła. Rozciął kopertę, przeczytał list, spalił jedno i drugie, po czym

napisał odpowiedź i zapieczętował ją czarnym lakiem.

Wiedział, że Inej mieszka u Wylana. Zdarzało mu się czasem znajdować na biurku jej odręcznie pisane liściki z informacjami na temat Pekki albo poczynań Ratusza. Wiedział więc, że bywa u niego w biurze.

Narzucił płaszcz, wziął kapelusz i laskę, schował zalakowany list do kieszeni. Mógł opłacić posłańca, ale wolał dostarczyć wiadomość osobiście.

– Wracam za godzinę – powiedział do Pima i Aniki, wychodząc z Listewki. – Lepiej, żebym was tu wtedy nie zobaczył, wałkonie.

– W klubie puchy – odparł Pim. – Zaraza odstraszyła turystów.

– Przejdźcie się po pensjonatach, w których ci wszyscy tchórzliwi frajerzy chcą przeczekać trudny okres. Pokażcie im, że wszystko jest w najlepszym porządku. Opowiedzcie, że dopiero co wyszliście z Klubu Wron, gdzie świetnie się bawiliście przy stole do trójkolca. A jeśli to nie podziała, to dymajcie na przystań i ściągnijcie do klubu jakichś robotników portowych.

– Dopiero co skończyłem zmianę... – jęknął Pim.

Kaz włożył kapelusz i przesunął kciukiem po skraju ronda.

– Nie pytałem cię o to.



Ruszył przez miasto prosto na wschód. Kusilo go, żeby pójść okrężną drogą i zobaczyć na własne oczy, jak się sprawy mają przy Zachodniej Klepce. Po ataku Shu Hanu i wybuchu zarazy domy uciech opustoszały. Barykady na ulicach dodatkowo utrudniały dostęp do objętych kwarantanną Cukierenki i Menażerii. Podobno Heleen Van Houden nie zarobiła w tym miesiącu nawet na czynsz. Wielka szkoda.

Promy nie kursowały, musiał więc dotrzeć piechotą aż do dzielnicy finansowej. Kiedy szedł wzdłuż wąskiego, krętego, pustego kanału, jego uwagę zwróciła wznosząca się znad wody mgła, która dosłownie na przestrzeni paru kroków zgęstniała do tego stopnia, że ledwie cokolwiek widział. Czepiała się jego płaszcz, ciężka i wilgotna, zupełnie nie na miejscu w ciepły wiosenny dzień. Przystanął na przerzuconym nad kanałem wąskim mostku i czekał, trzymając laskę w pogotowiu. Po lewej stronie z mgły wynurzyły się trzy postaci, chwilę potem trzy kolejne zjawiły się po prawej. Mimo braku wiatru ich błękitne szaty falowały w powietrzu. To akurat Kaz odgadł prawidłowo, natomiast ich twarze nie skrywały maski z mgły: patrząc w oblicza prawdziwych członków Rady Pływów (albo ich nadzwyczaj przekonujących naśladowców), miało się wrażenie, że ogląda się gwiazdziste niebo. Fajny efekt.

– Kaz Brekker... – odezwał się pierwszy z akwatyków. – Gdzie jest Kuwei Yul-Bo?

– Nie żyje. Został spopieleny na Krypie Kostuchy.

– Gdzie jest prawdziwy Kuwei Yul-Bo?

– Cały kościół widział, jak go postrzelono. – Kaz wzruszył ramionami. – Medykus

stwierdził zgon. Nie mogę wam pomóc.

– Nie chcesz mieć wrogów w Radzie Pływów, młody człowieku. Żaden twój statek nie wyjdzie z portu. Zatopimy Piątą Przysiań.

– Ależ zatopcie ją, śmiało. Nie mam już w niej udziałów. A jeżeli chcecie mnie odciąć od morza, będziecie musieli zablokować cały handel morski w Ketterdamie. Ja nie jestem kupcem; nie wynajmuję statków, nie rejestruję ładunków. Jestem złodziejem i przemytnikiem. Spróbujcie mnie złapać, a przekonacie się, że chwytacie tylko powietrze.

– Masz pojęcie, jak łatwo jest utonąć? – nie ustępował akwatyk. Podniósł rękę. – To się może zdarzyć dosłownie wszędzie.

Nagle Kaz poczuł, jak woda wypełnia mu płuca. Zakaszał, splunął morską wodą i dysząc ciężko, zgiął się wpół.

– Powiedz nam to, co chcemy wiedzieć.

Z trudem nabrał powietrza w płuca.

– Nie wiem, gdzie jest Kuwei Yul-Bo. Możecie mnie utopić tu i teraz, ale to niczego nie zmieni.

– W takim razie może powinniśmy odszukać twoich przyjaciół i potopić ich w łózkach, kiedy będą spali.

Kaz jeszcze raz odkaszlnął i splunął.

– A wtedy może wasze wieże obserwacyjne zostaną objęte kwarantanną – odparł.

Akwatycy poruszyli się niespokojnie. Mgła zafalowała wraz z nimi.

– To przeze mnie zawyły syreny. To ja stworzyłem tę zarazę i ja ją kontroluję.

– Blefujesz – orzekł akwatyk i opuścił rękę. Rękaw jego szaty zafalował we mgle.

– Sprawdź mnie. Rozniosę chorobę wokół waszych wież. Uczynię z nich ogniska epidemii. Myślicie, że wtedy Rada Kupiecka nie każe ich zamknąć? Nie zażąda ujawnienia waszej tożsamości? Ha! Tylko czekają na taki pretekst.

– Nie odważą się. Gdyby nie my, ten kraj poszedłby na dno.

– Nie będą mieli wyboru. Ludzie zażądają zdecydowanych działań. Motłoch spali wasze wieże.

– Ty potworze.

– Ketterdam jest pełen potworów. Ja po prostu mam najdłuższe zęby.

– Świat nie może poznać tajemnicy *jurdy parem*. Żaden grisza nie byłby wtedy bezpieczny, ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej na świecie.

– W takim razie macie szczęście, że ten nieszczęsny chłopak z Shu Hanu zabrał sekret ze sobą do grobu.

– Nie zapomnimy o tobie, Kazie Brekkerze. Przyjdzie taki dzień, że pożałujesz swojej bezczelności.

– Coś wam poradzę: od razu zaznaczcie sobie tę datę w kalendarzu. Wielu ludzi chętnie wyprawi wtedy przyjęcie.

Otoczające Kaza postaci rozmyły się, a gdy mgła się rozviała, po Radzie Pływów nie było śladu. Pokręcił głową i ruszył dalej brzegiem kanału. To właśnie urzekło go w Ketterdamie: w tym mieście nie sposób było się nudzić. Na pewno w przyszłości akwatycy

z Rady czegoś od niego zażądają, a on będzie musiał im to dać.

Tymczasem ma jednak sprawę do załatwienia.

waramyr



44

INEJ

Nie miała siły wejść po schodach do sypialni. Jak to się stało, że przesiedziała tyle czasu przy kolacji z Jesperem i Wylanem?

Podająca posiłek kucharka nie wiedziała już, jak przeproszać. Ludzie wciąż bali się przyjeżdżać do miasta, przez co na targowiskach brakowało świeżych produktów dobrej jakości. Wylan i cała reszta starali się, jak mogli, zapewnić ją, że nie ma powodów do zmartwień; opchali się zapiekanką z porami i serem, a potem rozsiedli na podłodze w pokoju muzycznym i objadali ciasteczkami ociekającymi miodem. Matka Wylana wcześniej poszła spać. Pomału dochodziła do siebie; Inej przypuszczała, że pełny powrót do zdrowia zajmie jej sporo czasu.

Wylan grał na fortepianie, a Jesper śpiewał najbardziej sprośne szanty, jakie w życiu słyszała. Bardzo tęskniła za Niną. Żadne listy nie przychodziły i mogła tylko mieć nadzieję, że Nina bezpiecznie dotarła do Fjerdy i znalazła na łodzi spokój. Pomyślała, że kiedy w końcu kupi statek, może w pierwszy rejs uda się do Ravki; mogłaby potem udać się lądem do Os Alty, poszukać swojej rodziny na jednym ze starych szlaków, które od lat przemierzali, spotkać się z Niną...

Pewnego dnia tak właśnie zrobi.

A na razie postanowiła zatrzymać się w domu Wylana; wróciła do Listewki tylko po to, żeby zabrać swoje nieliczne drobiazgi osobiste. Odkąd jej kontrakt został wykupiony, a konto w banku pękało w szwach, nie bardzo umiała znaleźć sobie miejsce. Zaczęła się interesować dobrze uzbrojonymi statkami na sprzedaż, próbowała też wykorzystać znajomość sekretów miasta do namierzenia handlarzy niewolników, którzy prowadzili interesy w kercheńskich portach. Umiejętności, które nabyła jako Zjawa, okazały się nadzwyczaj użyteczne. Tej nocy marzyła jednak tylko o tym, żeby się wyspać.

Powlokła się schodami na piętro i wczłogała do swojego cudownie wygodnego łóżka. Dopiero sięgnąwszy ręką do lampy, zauważyła liścik: zapieczętowany, skreślony niechlujnymi gryzmołami Kaza, lakoniczny.

No oczywiście: Kaz bez trudu dostał się do zamkniętego na siedem spustów domu, unikając spotkania ze służbą i trojgiem głupków, którzy w tym czasie zdzierali sobie gardła przy fortepianie. Uczciwy układ, pomyślała. Sama wpadała do Listewki, kiedy tylko miała okazję, zakradała się przez okna albo drzwi, czasem podrzucała Kazowi jakieś okruchy informacji. Owszem, mogła po prostu pójść i zapukać do drzwi jego biura, ale tak było łatwiej.

Kaz się zmienił. Siatka. Wykupienie jej kontraktu. Nadal czuła na skórze muśnięcie jego warg, dotknięcie nagich dłoni, gdy mocował się z jej bandażami. Odkąd przez mgnienie oka ujrzała go takim, jakim mógłby być, gdyby tylko sobie na to pozwolił, nie chciała go więcej oglądać w pancerzu, oziębłego i zapiętego pod szyję w jednym z tych swoich nieskazitelnych garniturów. Nie chciała słuchać, kiedy mówił do niej w taki sposób, jakby Lodowy Dwór i wszystko, co wydarzyło się później, były po prostu kolejnym zadaniem do wykonania, przekrętem, jakich wiele, jeszcze jedną rozgrywką, którą należało rozstrzygnąć na swoją korzyść.

Nie zamierzała jednak zignorować jego listu. Najwyższy czas położyć kres temu, co nie miało szansy się rozpocząć. Powie mu, czego dowiedziała się o Rollinsie, zaproponuje, że podzieli się z Roederem swoją wiedzą o mieście, tajnych ścieżkach i kryjówkach, i to będzie koniec.

Zgasiła światło i po dłuższej chwili usnęła, ściskając liścik w dłoni.



Rano nie mogła zwlec się z łóżka. Przez ostatnie trzy tygodnie nabrała złych nawyków: spała, kiedy miała na to ochotę, jadła, kiedy jej się zachciało. Nina byłaby z niej dumna. Pobyt u Wylana przypominał jej wizytę w jakiejś baśniowej krainie. Bywała w tym domu już wcześniej, pierwszy raz, kiedy z Kazem kradli DeKappela, drugi tuż przed robotą na Słodkiej Rafie, ale co innego przybywać do domu jako złodziej, a co innego być w nim gościem. Przyjemność, jaką sprawiało jej posiadanie służby, wprawiała ją w zakłopotanie, mimo że służący Van Ecka byli im wszystkim bardzo życzliwi; może obawiali się, że Wylan zlikwiduje dom i stracą pracę, a może uważali, że chłopak zasłużył na odrobinę ciepła z ich strony.

Jedna z pokojówek wyłożyła dla niej przy łóżku sukienkę z błękitnego jedwabiu i lamowane futerkiem pantofle. W dzbanku przy miednicy czekała gorąca woda, w szklance obok pęk świeżych róż. Umyła się, rozczesała włosy, zaplotła warkocz, ubrała się i dyskretnie wymknęła z domu, tym razem frontowymi drzwiami.

Narzuciła kaptur i szybkim krokiem skierowała się do portu. Ulice nadal świeciły pustkami, zwłaszcza o tak wczesnej porze, miała jednak świadomość, że powinna zachować ostrożność. Pekka Rollins wyjechał z Ketterdamu, Van Eck był w więzieniu, ale

nawet bez kontraktu wiążącego ją z Szumowinami, dopóki Kaz miał w mieście wrogów, ona również ich miała.

Stał na nabrzeżu zapatrzony na wodę. Czarny płaszcz opinał mu ramiona, słony morski wiatr mierzwił czarne, kręcone włosy.

Wiedziała, że nie musi mu ogłaszać swojego przybycia, stanęła więc przy nim bez słowa i również zagapiła się na panoramę portu. Wyglądało na to, że od poprzedniego dnia na przystaniach przybyło statków. Być może miasto odzyskiwało dawny rytm.

– Jak się mieszka? – zapytał w końcu Kaz.

– Wygodnie – przyznała. – Rozleniwiłam się.

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy Kaz zazdrości jej tych wygód, czy po prostu ich idea jest mu zupełnie obca. Czy zdarza mu się naprawdę odpocząć? Dłużej pospać? Zasiadzieć się przy kolacji?

Nigdy się tego nie dowie.

– Podobno Wylan pozwala Jesperowi grać na giełdzie.

– Bardzo ostrożnie i niewielkimi sumami. Ma nadzieję, że jego zamiłowanie do ryzyka przekształci się w coś użytecznego.

– Albo Jesper odniesie wielki sukces, albo dozna sromotnej porażki, ale tak właśnie lubi pracować. Przynajmniej szanse ma większe niż w kasynie.

– Wylan zgodził się dopiero wtedy, gdy Jesper obiecał, że będzie ćwiczył pod okiem fabrykatora. O ile jakiegoś uda im się znaleźć. Być może niezbędny okaże się wypad do Ravki.

Kaz zadarł głowę, śledząc lot mewy, która z rozpostartymi skrzydłami kreśliła podniebny łuk.

– Powiedz Jesperowi, że go brakuje. W okolicach Listewki.

Inej uniosła brwi.

– W okolicach Listewki.

Takie słowa z ust Kaza były odpowiednikiem bukietu kwiatów i serdecznego uścisku. Jesper byłby zachwycony.

Jakaś jej cząstka miała ochotę przeciągnąć tę chwilę, pobyc z nim jeszcze trochę, posłuchać chropowatego tembru jego głosu albo po prostu postać tak z nim w milczeniu, jak wielokrotnie robili to w przeszłości. Tak długo stanowił wielką i ważną część jej świata...

– Jak idą interesy, Kaz? – spytała zamiast tego. – Chyba jeszcze za wcześnie, żeby planować nowy przewał.

– Proszę. – Podał jej lunetę.

Wzięła ją z jego ręki. Wstrząśnięta zwróciła uwagę, że Kaz nie nosi rękawiczek.

Podniosła lunetę do oka i powiodła wzrokiem po porcie.

– Nie wiem, czego szukam.

– Stanowisko numer trzydzieści dwa.

Nastawiła ostrość i prześliznęła się wzrokiem po przystani. Na tym samym stanowisku, z którego wyruszyli w drogę do Lodowego Dworu, stał elegancki okręcik wojenny: smukły,

proporcjonalny, najeżony lufami armat, na grotmaszcie kercheńska bandera z trzema rybami, a na dziobie eleganckie białe litery: ZJAWA.

Serce na moment przestało jej bić.

– To nie...

– Jest twoja. Poprosiłem już Spechta, żeby pomógł ci zatrudnić odpowiednią załogę, ale jeżeli wolisz innego pierwszego oficera, Specht...

– Kaz...

– Wylan zaproponował mi uczciwą cenę. We flocie jego ojca jest pod dostatkiem dzielnych statków, ale ten... Ten do ciebie pasuje. – Kaz spuścił wzrok na czubki swoich butów. – Stanowisko cumownicze też należy do ciebie. Zawsze będzie na ciebie czekać, kiedy... jeżeli będziesz chciała wrócić.

Zamurowało ją. Serce pękało jej od nadmiaru wzruszeń, jak wyschnięte łożysko strumienia nieprzygotowane na ulewny deszcz.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Kaz rozprostował i zacisnął gołe palce na główce laski. Był to widok tak niezwykły, że Inej nie potrafiła oderwać od nich wzroku.

– Powiedz, że wrócisz.

– Jeszcze nie skończyłam z Ketterdamem.

Nie wiedziała, że to właśnie ma na myśli, dopóki nie wypowiedziała tych słów.

Kaz posłał jej przelotne spojrzenie.

– Myślałem, że zamierzasz polować na łowców niewolników.

– Bo zamierzam. Ale potrzebuję twojej pomocy. – Przesunęła językiem po wargach, poczuła na nich smak oceanu. Całe jej życie składało się z nieprawdopodobnych chwil, dlatego więc i teraz nie poprosić o coś nieprawdopodobnego? – Nie chodzi tylko o łowców: są jeszcze dostawcy, klienci, szefowie gangów, politycy... Wszyscy, którzy przymykają oko na cierpienie innych, kiedy w grę wchodzi pieniądze.

– Ja też jestem szefem gangu.

– Ale ty byś nigdy nie sprzedał człowieka, Kaz. Sam wiesz najlepiej, że nie jesteś taki jak inni; są dla ciebie ważniejsze sprawy niż maksymalizacja zysku.

– Gangi, klienci, politycy... To mniej więcej połowa mieszkańców Ketterdamu. A ty chcesz z nimi walczyć.

– A czemu by nie? Na morzach i w mieście. Po kolei.

– Cegła po cegle... – Kaz pokręcił głową, jakby odrzucał tę wizję. – Nie nadaję się na bohatera, Zjawo, powinnaś to już wiedzieć. Chcesz, żebym stał się lepszym człowiekiem, dobrym człowiekiem, a ja...

– To miasto nie potrzebuje dobrego człowieka, tylko ciebie.

– Inej...

– Ile razy powtarzałeś mi, że jesteś potworem? Więc nim bądź. Bądź bestią, której tamci się boją, kiedy kładą się spać. Nie niszczy wszystkich gangów. Nie zamykajmy lokali, w których pracownicy są dobrze traktowani. Ścigajmy takie kobiety jak Tante Heleen, takich ludzi jak Pekka Rollins. – Zawiesiła głos. – Pomyśl o tym tak: w ten sposób

przetrzebisz konkurencję.

Kaz wydał dźwięk, który prawie, prawie mógłby uchodzić za parsknięcie śmiechem.

Jedną rękę trzymał teraz opartą na lasce, drugą ujął się pod biodro od strony Inej. Gdyby przysunęła się jeszcze o cal, dotknęliby się. Tak bliski. Tak bardzo nieosiągalny.

Ostrożnie szturchnęła knykциями jego dłoń: delikatny dotyk, jak muśnięcie ptasiego piórka.

Zesztywniał, ale się nie odsunął.

– Nie jestem gotowa na to, żeby zapomnieć o tym mieście. Uważam, że warto je ocalić.

Uważam, że ciebie warto ocalić, dodała w myślach.

Kiedyś już tak stali obok siebie, na pokładzie statku, i tak samo czekała, co odpowie. Wtedy nic nie powiedział – i teraz też się nie odezwał. Poczowała, że się jej wymyka, daje się wciągnąć pod wodę, unoszony nurtem, który odrzuci go daleko od brzegu. Rozumiała, czym jest cierpienie, i wiedziała, że nie może się udać za nim w to miejsce, jeśli nie chce utonąć.

Na Czarnym Woalu obiecał jej, że wywalczą sobie drogę ucieczki.

„Z nożem w zębach i pistoletem w garści” – powiedział wtedy. – „Bo tacy właśnie jesteśmy”.

Mogła dla niego walczyć, ale nie mogła go uleczyć i nie zamierzała marnować życia na kolejne próby.

Jego ręka dotknęła jej ręki, wewnątrz jego dłoni przylgnęło do jej dłoni. Przeszedł go dreszcz. Ich palce powoli się splotły.

Długo tak stali, trzymając się za ręce i patrząc na szary bezmiar morza.

Ravkański statek z banderą z dwugłowym orłem Lantsovów przycumował nieopodal *Zjawy*; najprawdopodobniej wysadzał na ląd turystów albo imigrantów przybyłych w poszukiwaniu pracy. Świat się zmieniał. Życie toczyło się dalej.

– Kaz? – zagadnęła w pewnym momencie Inej. – Dlaczego wrony?

– Wrona i kielich? Pewnie dlatego, że wrony to padlinożercy. Zjadają resztki.

– Nie pytam o tatuaż Szumowin, który jest równie stary jak sam gang. Dlaczego dla siebie też wybrałaś wronę? Ta laska, Klub Wron... Mogłaś wybrać nowy symbol, stworzyć nowy mit.

Oczy koloru gorzkiej kawy nadal przepatrywały horyzont. Promienie wschodzącego słońca kładły się jasnożółtą poświatą na całej postaci Kaza.

– Wrony zapamiętują twarze. Zapamiętują ludzi, którzy je karmią i są dla nich mili, tak jak zapamiętują tych, którzy wyrządzili im krzywdę.

– Naprawdę?

Powoli skinął głową.

– Nigdy nie zapominają. Przekazują sobie nawzajem, o kogo warto się zatroszczyć, a kogo lepiej się wystrzegać. Inej? – Kaz laską wskazał przystań. – Spójrz tam.

Znów przytknęła lunetę do oka i spojrzała na wysiadających ze statku pasażerów, ale obraz był nieostry. Niechętnie puściła dłoń Kaza – ten kontakt miał w sobie coś z obietnicy i wcale nie chciała go przerywać – i nastawiła ostrość. Dostrzegła dwie postaci

schodzące po trapie. Szły z gracją, proste jak trzcina. Poruszały się jak sulijscy akrobaci.

Zaparło jej dech w piersi. Wszystko się w niej wyostrzyło jak w polu widzenia lunety. Jej umysł odrzucał podsuwany przez oko obraz; nie mógł być prawdziwy, musiał być złudzeniem, fałszywym odbiciem, kłamstwem rysującym się w tęczowym szkle. Kiedy znów zaczęła oddychać, obraz rozprysnęło się na kawałeczki.

Złapała Kaza za rękaw. Bała się, że zaraz upadnie, ale ją objął i podtrzymał. Doznała swoistego rozdwojenia jaźni. Jedna jej część zdawała sobie sprawę z zaciśniętych na rękawie nagich palców Kaza, z jego rozszerzonych źrenic, z oparcia, jakie znalazła w jego ciele; druga wciąż zmagająca się z tym, co widzi.

Kaz zmarszczył brwi.

– Miałem wątpliwości – przyznał. – Może nie powinienem był...

Ledwie go słyszała, tak głośno biło jej serce.

– Jak? – wykrztusiła głosem chrapliwym, obcym, nabrzmiałym nieprzelanymi łzami. – Jak ich znalazłeś?

– Sturmhond wyświadczył mi przysługę. Rozesłał zwiadowców. Taką mieliśmy umowę. Jeżeli to był błąd...

– Nie – ucięła Inej. Łzy w końcu zaczęły płynąć. – To nie błąd.

– Oczywiście gdyby coś poszło nie tak przy naszej ostatniej robocie, przyplłynęliby odebrać twoje ciało.

Inej zdławiła śmiech.

– Zostaw to mnie.

Odzyskała równowagę i stanęła prosto. Naprawdę wyobrażała sobie, że świat się nie zmienia? Była głupia. Świat cały składał się z cudów, niespodziewanych trzęsień ziemi i burz, które nadciągały znikąd i mogły na nowo kształtować kontynenty. Chłopak obok niej. Przyszłość przed nią. Wszystko było możliwe.

Drżała na całym ciele i z dłońmi przyciśniętymi do ust patrzyła, jak idą po kei w stronę lądu. Ruszyła im na spotkanie, ale zawahała się jeszcze i odwróciła do Kaza.

– Chodź – powiedziała. – Przedstawię ci im.

Skinął sztywno głową, jakby szykował się do ciężkiej próby. Jeszcze raz rozprostował i zacisnął palce.

– Zaczekaj – powiedział głosem jeszcze bardziej ochryplym niż zwykle. – Krawat mam prosto?

Roześmiała się. Kaptur spadł jej z głowy.

– To jest ten śmiech... – mruknął Kaz, ale Inej już pędziła w stronę statku. Jej stopy ledwie muskały ziemię.

– Mamo! – zawołała. – Tato!

Odwrócili się w jej stronę. Matka złapała ojca pod rękę i oboje wybiegli jej na spotkanie. Jej serce było rzeką, która poniosła ją do morza.

Pekka siedział w pokoju od frontu w swoim wiejskim domu i wyglądał przez okno zza białej koronkowej firanki. To była kaelska koronka, sprowadzona z Maroch Glen. Nie szczędził wydatków, dopieszczając to lokum. Zbudował dom od zera: osobiście określili wymiary wszystkich pomieszczeń, wskazał lakier do podłóg, starannie dobrał całe wyposażenie i umeblowanie. Szmaragdowy Pałac był dla niego powodem do dumy, Kaelski Książę stał się klejnotem koronnym jego imperium, ucieleśnieniem luksusu i stylu urządzonym z typowym dla Baryłki skrajnym przepychem – ale to tutaj był jego dom, jego zamek, w którym każdy szczegół dowodził poważania, dobrobytu, trwałości.

Tutaj Pekka czuł się bezpiecznie – w towarzystwie syna i pod opieką sownie opłacanych ochroniarzy. Mimo to wolał odsunąć się od okna. Lepiej nie ryzykować bez potrzeby. Strzelec wyborowy znalazłby w okolicy aż nazbyt wiele dogodnych kryjówek. Może należałoby wyciąć ten rząd buków na skraju trawnika?

Nie mógł zrozumieć, co się stało z jego dawnym życiem. Przed miesiącem był człowiekiem zamożnym, z którym wszyscy musieli się liczyć. Był królem. A dzisiaj?

Przytulił syna i pogłodził go po rudej czuprynie. Siedzący mu na kolanach chłopak wiercił się niespokojnie.

– Chcę iść się pobawić! – powiedział Alby i zeskoczył z kolan ojca.

Ssał kciuk i tulił do piersi małego miękkiego lewka, jednego z wielu, jakie miał.

Pekka nie mógł patrzeć na tę zabawkę. Kaz Brekker zablefował, a on nabrał się na jego bluff. Ale nie to było najgorsze.

Brekker wszedł mu do głowy i teraz Pekka bez przerwy myślał o Albym. Jego najdroższy synek tkwił pogrzebany żywcem pod grudami ziemi i wzywał go błagalnym głosem, a on nie mógł mu pomóc. Czasami syn nawoływał go spośród pól, a Pekka nie wiedział, gdzie kopać. Kiedy indziej to on, Pekka, leżał w grobie jak sparalizowany, przysypywany ziemią, która z początku spadała lekko jak deszczyk, a potem coraz większe i cięższe bryły wypełniały mu usta i przygniatały pierś, uniemożliwiając zaczerpnięcie tchu. Nad głową rozbrzmiewał mu śmiech – śmiali się chłopcy i dziewczęta,

kobiety i mężczyźni. Ich sylwetki odcinały się od granatowego nieba o zmierzchu, twarze kryły się w cieniu, ale Pekka wiedział, kim są: to byli wszyscy ludzie, których w przeszłości oszukał, okantował, zabił; wszystkie żalosne skurczybyki, których poświęcił, pnąc się po szczeblach kariery. W dalszym ciągu nie mógł sobie przypomnieć imienia brata Kaza. Jakżeż on się nazywał, u diabła?

On sam podał się wtedy za Jakoba Hertzoona. W ciągu tych lat nosił tysiąc różnych twarzy, lecz mimo to Kaz Brekker go znalazł i przyszedł się zemścić. Jeżeli jeden z tych głupców mógł go znaleźć, to czemu nie drugi, trzeci i kolejni? Ilu ustawiłoby się w kolejce, żeby zrzucić mu na głowę kolejną szufłę ziemi?

Dokonywanie wyborów, nawet najprostszych, stało się trudne. Jaki krawat założyć. Co zamówić na kolację. Pekka zwątpił w siebie – on, który nigdy w sobie nie wątpił. Kiedy zaczynał, był nikim: kamieniarzem z Wyspy Tułaczej, krzepkim chłopakiem cenionym za mocny grzbiet, młodość, solidny zamach kilofem i umiejętność przenoszenia ciężkich ładunków. Oszustwem zdobył przepustkę na statek do Ketterdamu, gdzie za pomocą własnych pięści wyrobił sobie reputację. Był bokserem, osiłkiem do wynajęcia, budzącym zgrozę egzekutorem. Przetrwał, bo był najbardziej przebiegły i najtwardszy. Nikt nie mógł go złamać.

A teraz najchętniej nie ruszałby się z domu, popijał whisky i gapił się na ruchome cienie na suficie. Wszystko inne okrutnie go męczyło.

Pewnego dnia po przebudzeniu przywitało go idealnie błękitne niebo i rozbrzmiewające w ogrodzie ptasie trele. W powietrzu czuło się bliskość lata, prawdziwe ciepło, woń dojrzewających w sadzie owoców.

Ubrał się. Zjadł śniadanie. Poranek spędził na polu, pracując w pierwszych promieniach słońca i bawiąc się z Albym. Kiedy upał się wzmógł, przysiedli na szerokiej werandzie i popijali chłodną lemoniadę ze szklanek.

Potem Pekka wrócił do domu i wreszcie stawił czoło piętrzącym się na biurku dokumentom i rachunkom.

Sytuacja Szmaragdowego Pałacu i Kaelskiego Księcia była katastrofalna. Miasto zamknęło oba lokale w obawie przed zarazą, ich drzwi i okna opatrzone czarnymi iksami oznaczającymi ognisko choroby. Wieści dochodzące z Ketterdamu sugerowały, że to był fałszywy alarm – jakiś dziwny wirus albo grzyb, który szybko się rozprzestrzenił, lecz ostatecznie okazał się nieszkodliwy. Urzędnicy miejscy wykazywali ostrożny optymizm.

Pekka studiował bilans strat i zysków. Oba kasyna były do uratowania, gdyby tylko miał dość czasu. Przez najbliższy rok będą przynosiły straty, ale później, kiedy sytuacja się unormuje, pomaluje się je, odświeży, nada im nowe nazwy i interes zacznie hulać jak dawniej. Za to Cukierenkę prawdopodobnie będzie trzeba zamknąć. Żaden facet nie ściągnie spodni, jeśli miałyby to przypłacić złapaniem choróbska, zwłaszcza kiedy pod bokiem miał inne, zdrowe przybytki. Ot, nieszczęśliwy zbieg okoliczności, ale przecież nie pierwsza przeszkoda, jaką w życiu napotkał. Miał dobre źródło „kontraktowców”, którzy byli gotowi pracować za darmo, i nadal był Pekką Rollinsem, królem Baryłki. A gdyby któryś z tych gnojów na ulicach o tym zapomniał, z przyjemnością odświeży mu pamięć.

Zanim przekopał się przez stos korespondencji, zapadła noc. Przeciągnął się, dopił whisky i zajął do Alby'ego, który smacznie spał, tuląc pod brodą tego przeklętego lewka. Pekka powiedział dobranoc strażnikom wystawionym przed drzwiami sypialni syna i ruszył w głąb korytarza.

– Kładzie się pan, szefie? – zapytał Dzielny, który wraz z drugim zaufanym mięśniakiem pilnował w nocy pokoju Rollinsa.

– Tak, Dzielny. Dobrej nocy.

Kładąc się do łóżka, wiedział, że tej nocy nie będzie śnił o płaczącym synu, grobie ani mrocznym tłumie śmiejącym mu się nad głową. Będzie śnił o Wyspie Tułaczey, o jej falujących zielonych polach i o mgłach otulających góry. A rano wstanie wypoczęty i rzeński, gotowy rozpocząć prawdziwą pracę, czyli starania o odzyskanie tronu.

Zamiast tego obudził się przygnieciony spoczywającym mu na piersi ciężarem. W pierwszej chwili przypomniał sobie grób i miażdżące go masy ziemi, ale szybko otrząsnął się z tego wspomnienia. W sypialni panowała ciemność. Ktoś siedział mu na piersi. Pekka stęknął i spróbował wysliznąć się spod przykrycia, poczuł jednak nacisk unieruchamiających go kolan i łokci, a potem także ukłucie ostrza przystawionego do szyi.

– Zabiję cię – wystękał.

– Już próbowałeś.

Głos kobiety... nie, nie kobiety: dziewczyny.

Otworzyła usta, żeby wezwać strażę.

Dźgnęła go czubkiem noża w szyję. Krew pociekła mu po szyi. Syknął z bólu.

– Spróbuj krzyknąć, a przyszpilę ci szyję do poduszki.

– Czego chcesz?

– Lubisz życie, Rollins? – spytała, a gdy nie odpowiedział, dźgnęła go ponownie. –

Zadałam ci pytanie. Lubisz życie?

– Jak wyminęłaś moich strażników?

– Nazywasz ich strażnikami?

– Zabiłaś ich?

– Nie chciało mi się.

– Jedyne okno jest zakratowane. Nie...

– Jestem Zjawą, Rollins. Naprawdę myślisz, że jakieś kraty mogłyby mnie powstrzymać?

Ta mała Sulijka od Brekkera.

Rollins przeklął w duchu pieniądze wydane na ravkańską najemniczkę.

– Brekker chce mi coś powiedzieć?

– Sama mam dla ciebie wiadomość.

– Powiedz, jak się dogadałaś z Brekkerem. Zapłacę ci dwa razy więcej.

– Ćśś... – Przycisnęła go mocniej kolanami. Coś strzeliło mu w barku. – Rozbryznęłam na bruku mózg ślicznej Dunyashy. Pomyśl, co mogę zrobić z tobą.

– To może od razu mnie zabij i oszczędź mi pogrózek?

Nie da się zastraszyć jakiejś wywłóce z Menażerii.

– Śmierć jest darem, na który na razie nie zasłużyłeś.

– Ty...

Wcisnęła mu coś do ust.

– Teraz możesz krzyczeć do woli – powiedziała, przeciągając zgłoski.

Odciągnęła mu koszulę nocną i ostrze noża wgrzyło się w pierś. Krzyknął w knebel i wierzgnął, usiłując ją zrzucić.

– Uważaj – ostrzegła go. – Nie chcesz, by mi się nóż omsknął.

Pekka znieruchomiał. Zdał sobie sprawę, że już bardzo dawno nie czuł prawdziwego bólu. Od lat nikt się nie ważył podnieść na niego ręki.

– Tak lepiej.

Odchyliła się lekko w tył, żeby podziwiać swoje dzieło. Zadyszany Pekka spojrzał w dół, ale niczego nie widział. Ogarnęły go mdłości.

– To pierwsze nacięcie, Rollins. Jeżeli przyjdzie ci kiedyś do głowy wrócić do Ketterdamu, spotkamy się ponownie, a wtedy zrobię kolejne.

Poprawiła mu koszulę, poklepała go po piersi i zniknęła. Nie słyszał, jak wychodziła, po prostu poczuł, jak ciężar jej ciała przestał uciskać mu pierś. Wyrwał sobie knebel z ust, przeturlał się na bok i namacał lampę. Światło zalało wnętrze: komoda, lustro, miednica. W pokoju nie było nikogo. Na chwiejnych nogach dobiegł do okna: nadal było zamknięte i okratowane. Rana od noża na piersi paliła go żywym ogniem.

Zatoczył się przed toaletkę i odciągnął przesiąkniętą krwią koszulę. Zrobiła mu precyzyjne nacięcie tuż nad sercem. Gęsta krew sączyła się z rany w rytmie jego pulsu.

„To pierwsze nacięcie”.

Żołądek podszedł mu do gardła.

Na wszystkich świętych i ich matki, zaklął w duchu. Ona mi chce wyciąć serce!

Pomyślał o Dunyashy, najbardziej utalentowanej zabójczynie na świecie, istocie bez sumienia i litości. Zjawa ją pokonała. Może naprawdę nie była do końca człowiekiem.

Alby.

Wypadł na korytarz i przebiegł obok strażników, którzy zrobili zaskoczone miny i wyprężyli się na baczność. Wyminął ich i popędził prosto do pokoju syna.

Proszę, błagał bezgłośnie. Proszę, proszę, proszę.

Z impetem otworzył drzwi. Światło z korytarza padło na łóżko. Alby spał jak zabity, ssąc kciuk. Pekka osunął się na futrynę osłabiony nagłym poczuciem ulgi, przyciskając zakrwawioną koszulę do piersi. I wtedy zobaczył zabawkę, którą Alby przyciskał do piersi. Lewek zniknął. Jego miejsce zajęła czarnoskrzydła wrona.

Wzdrygnął się, jakby zobaczył syna śpiącego z policzkiem wtulonym we włochatego pająka.

Cicho zamknął drzwi i wrócił do strażników.

– Obudźcie Shaya i Gerrigana – polecił.

– Co się stało? – zaniepokoił się Dzielny. – Mam posłać po medykusa?

– Każ im się pakować. I zbierz całą gotówkę, jaką mamy.

– Dokąd jedziemy?

– Jak najdalej stąd.

Zatrzasnął za sobą drzwi sypialni, podszedł do okna: było zakratowane i zamknięte, jak przedtem. W połyskującym ciemno szkle dostrzegł swoje odbicie. Nie poznawał samego siebie. Kim był ten łysiejący mężczyzna o przerażonym spojrzeniu? Kiedyś stawiałby czoło dowolnemu zagrożeniu z dumnie uniesioną głową i plującymi ogniem pistoletami w rękach. Co się zmieniło? Czyżby to był tylko upływ czasu?

Nie, uświadomił sobie. To sukces.

Zaznał wygodnego życia i je polubił.

Usiadł przed lustrem i zaczął wycierać krew z piersi. Był dumny z tego, jak odmienił Ketterdam. Zastawiał pułapki, podkładał ogień, miażdżył wszystkich, którzy ośmielili się rzucić mu wyzwanie, i zbierał żniwo swojej nieustraszoneści. Większość przeciwników poddała się bez walki, przez co napotykanie z rzadka opór ekscytował go i sprawiał mu przyjemność. Nagiał Baryłkę do swojej woli, stworzył nowe reguły gry, a potem zmieniał je wedle upodobania.

Problem polegał na tym, że ci, którzy przetrwali w urządzonym przez niego mieście, stali się zagrożeniem zupełnie nowego kalibru: Brekker, ta jego królowa-Zjawa, orszak nędznych drani. Byli nieulekli, arogancy, dzicy. Bardziej zależało im na zemście niż na złocie.

„Lubisz życie, Rollins?”

O tak, lubi życie, nawet bardzo, i zamierza jeszcze długo, długo pożyć.

Będzie liczył pieniądze. Odchowa syna. Znajdzie sobie dobrą kobietę. Albo dwie. Albo i dziesięć. I może w spokojnej chwili wypije czasem za ludzi takich jak on, współtwórców nieszczęścia, przez które Brekker i jego ekipa urosli w siłę. Wypije za nich wszystkich, ale przede wszystkim za tych biednych głupców, którzy nie mieli pojęcia, jakie kłopoty ich czekają.

waramyr



Obsada

Adem Bajan

Nauczyciel muzyki zatrudniony na kontrakcie u Jana Van Ecka **Aditi Hilli** (nie żyje)
Matka Jespera Faheya

Alina Starkov (nie żyje)

Grisza, eteryczka, zwana Przywoływaczką Słońca; dawny dowódca Drugiej Armii

Alys Van Eck

Druga żona Jana Van Ecka **Anika**

Członkini Szumowin **Anya**

Grisza, uzdrowicielka, zatrudniona na kontrakcie u radnego Hoedego **Bastian**

Członek Szumowin **Betje**

Opiekunka u Świętej Hildy **Bo Yul-Bayur**

Wynalazca *jurdy parem*; niedoszły uchodźca z Shu Hanu; ojciec Kuweia Yul-Bo

Colm Fahey

Ojciec Jespera Faheya **Cornelis Smeet**

Adwokat i zarządca majątku Jana Van Ecka **Danil Markov**

Grisza, piekielnik, zatrudniony na kontrakcie w Kuźni **David Kostyk**

Grisza, fabrykator (substanyk); członek Triumwiratu Ravkańskiego **Dirix** (nie żyje)

Członek Szumowin

Dunyasha Lazareva

Najemniczka; znana także jako Biała Klinga z Ahmrat Jen **Duży Bolliger**

Były członek Szumowin, wypędzony **Dzielny**

Członek Lwów za Dychę **Eamon**

Porucznik Lwów za Dychę **Elzinger**

Członek Czarnych Palców **Emil Retvenko**

Grisza, szkwalnik, zatrudniony na kontrakcie u radnego Hoedego **Eroll Aerts**

Członek Lwów za Dychę **Filip** (nie żyje)

Członek Lwów za Dychę

Geels

Porucznik Czarnych Palców **Genya Safin**

Grisza, formatorka; członkini Triumwiratu Ravkańskiego **Gerrigan**

Członek Lwów za Dychę **Gorka**

Członek Szumowin **Hanna Smeet**

Córka Cornelisa Smeeta **Heleen Van Houden**

Właścicielka i główna stręczycielka Menażerii (Egzotycznego Domu); znana także jako Paw **Hoede** (nie żyje)

Członek Kercheńskiej Rady Kupieckiej **Inej Ghafa**

Członkini Szumowin; pająk, złodziejka sekretów; znana także jako Zjawa **Jan Van Eck**

Magnat okrętowy i wpływowy kupiec; członek Kercheńskiej Rady Kupieckiej; ojciec Wylana Van Ecka **Jarl Brum**

Dowódca fjerdańskich *drüskelle* **Jellen Radmakker**

Wpływowy kupiec **Jesper Fahey**

Członek Szumowin; strzelec wyborowy **Jordan Rietveld** (nie żyje)
Starszy brat Kaza Brekkera

Karl Dryden

Najmłodszy członek Kercheńskiej Rady Kupieckiej **Kaz Brekker**

Porucznik Szumowin; znany także jako Brudnoręki **Keeg**

Członek Szumowin **Kuwei Yul-Bo**

Grisza, piekielnik, uchodźca z Shu Hanu; syn Bo Yul-Bayura **Marya Hendriks**

Pierwsza żona Jana Van Ecka; matka Wylana Van Ecka **Matthias Helvar**

Skompromitowany fjerdański *drüskelle* **Miggson**

Pracownik Jana Van Ecka **Milo**

Członek Szumowin **Muzzen**

Członek Szumowin **Naten Boreg**

Członek Kercheńskiej Rady Kupieckiej **Nikolai Lantsov**

Król Ravki **Nina Zenik**

Członkini Szumowin; grisza, ciałobójczyni **Onkle Felix**

Główny stręczyciel w Domu Białej Róży **Oomen** (nie żyje)

Członek Czarnych Palców

Pekka Rollins

Generał Lwów za Dychę **Per Haskell**

Generał Szumowin **Pim**

Członek Szumowin **Prior**

Pracownik Jana Van Ecka **Raske**

Niezależny specjalista od materiałów wybuchowych **Roeder**

Członek Szumowin **Rotty**

Członek Szumowin **Rudy Felix**

Członek Szumowin **Seeger**

Członek Szumowin **Shay**

Członek Lwów za Dychę **Specht**

Członek Szumowin; były oficer marynarki wojennej; fałszerz **Sturmhond**

Korsarz i emisariusz ravkańskiego rządu **Swann**

Członek Szumowin **Tamar Kir-Bataar**

Grisza, ciałobójczyni; dowódca straży przybocznej króla Nikolaia **Varian**

Członek szumowin **Wylan Van Eck**

Syn Jana Van Ecka **Zmrocz**

Grisza, eteryk; tytuł przysługujący byłym dowódcom Drugiej Armii; prawdziwe imię

nieznane **Zoya Nazyalensky**

Grisza, szkwalniczka; członkini Triumwiratu Ravkańskiego **Żuczek**

Członek Szumowin

Podziękowania

Joanno Volpe – znana również jako Wilk, a także jako najzabawniejsza, najbardziej nieprzejeđnana, najbystrzejsza i najcierpliwsza agentka na świecie – dziękuję Ci za to, że jesteś moją bliską przyjaciółką i zacieklą orędowniczką. Dziękuję też wszystkim w Team New Leaf, a zwłaszcza Jackie, Jaidzie, Mike’owi, Kathleen, Mii, Chrisowi, Hilary, Danielle i Pouyi „All Star” Shabazian, za to, że jesteście moją agencją, rodziną i armią. Kocham Was.

Holly Black i Sarah Rees Brennan pomogły mi znaleźć serce tej historii, gdy sama dostrzegałam tylko jej szkielet. Robin Wasserman, Sarah Mesle, Daniel José Older i genialna Morgan Fahey byli źródłem bezcennych porad redakcyjnych. Rachael, Robyn i Flash przez wiele godzin towarzyszyli mi w ogrodzie i w pokoju gościnnym. Amie Kaufman i Marie Lu to wesołe, cudowne anioły-wojowniczk, które bohatercko znosiły powódź moich niedorzecznych e-maili. Rainbow Rowell jest z Gryffindoru, ale to nas chyba nie poróżni. Zarządzająca moim kalendarzem Anne Grasser z cierpliwością i spokojem spełniała moje najdziksze kaprysy. Nina Douglas promowała moje książki w Wielkiej Brytanii i rozweselała mnie podczas objazdu po tym kraju. Noa Wheeler: dziękuję, że zatrzymałaś się w Ketterdamie na dłużej, żeby doprowadzić mnie (i naszą skłóconą z życiem ekipę) do końca tej przygody.

Jak zwykle zaciągnęłam dług krwi u Kayte Ghaffar, mojej przybocznej i podręcznego geniusza, która poświęciła mnie i moim książkom wiele czasu i twórczych wysiłków.

Najszczerze wyrazy wdzięczności kieruję do mojej rodziny w Macmillanie, na którą składają się Jon, Laura, Jean, Lauren, Angus, Liz, Holly, Caitlin, Kallam, Kathryn, Lucy, Katie, April, Mariel, KB, Eileen, Tom, Melinda, Rich (który na tej okładce przeszedł sam siebie) oraz cały dział handlowy, dzięki któremu książka trafiła na półki, i cały dział marketingu, dzięki któremu ludzie po nią sięgnęli. Specjalne podziękowania należą się niewiarygodnemu zespołowi speców od reklamy, którzy jeździli ze mną po kraju, opiekowali się mną i wysłuchiwali mojego gędzenia na lotniskach: Morgan, Brittany, Mary, Allison, a szczególnie Cudownej Molly Brouillette, która dokonała prawdziwych czarów nad tą serią.

Dziękuję Stevenowi Kleinowi za pomoc przy analizie sztuczek i iluzji; Angeli DePace za pomoc z doszlifowaniu idei wylanołka i kwasu chlorozłotowego; oraz Joshowi Minuto, który był źródłem burzy w burzy mózgów, gdy przyszło do wskrzeszania Kuweia.

Lulu – dziękuję za przełożenie urlopu, znoszenie moich fochów i zasypywanie mnie piwoniami. Christie, Samie, Emily i Ryanie – jestem przeszczęśliwa, że jesteśmy rodziną. Zapiekaną kukurydziana dla wszystkich!

Wszystkim czytelnikom, bibliotekarzom, blogerom, BookTuberom, Instagramowcom, mieszkańcom booklr, autorom prozy fanowskiej, rysownikom, modyfikatorom i twórcom list ulubionych książek dziękuję za to, że ożywiacie świat griszów także poza kartami moich powieści. Jestem Wam naprawdę wdzięczna.

I na zakończenie: jeżeli chcecie przyłożyć rękę do ukrócenia handlu ludźmi i pracy niewolniczej, nie potrzebujecie wcale własnego szkunera i ciężkich dział. Na GAATW.org znajdziecie informacje o wiarygodnych organizacjach, którym przyda się wasze wsparcie.